



THINO'PAI

ADRIANNA BIEŁOWIEC

THINO'PAI



ADRIANNA BIEŁOWIEC

THINO'PAI

Adrianna Biełowiec

Wojkowice 2024



Spis treści

Szanowni Czytelnicy!

Preludium

1. Dziewczyna z siódmej strefy

2. Nakama

3. Ten obcy

4. Likanie

5. Haker w akcji

6. Krystian

7. Tożsamość wroga ujawniona

8. Fantastyczna Czwórka

9. Wahirika

10. Pierwsza krew

11. Wielkie polowanie

12. Siedlisko Kiritian

13. Fragma

14. Powrót do przeszłości

15. Ku nieznanym światom

16. Transformacja

Epilog

Copyright © Adrianna Bielowiec, 2024
Copyright © Wydawnictwo HM

ISBN: 978-83-962197-9-4 (e-book)

Wydanie I

Projekt okładki
Adrianna Bielowiec

Materiały na okładce
CG Artist, Artbreeder, Canva, Pixabay (Clker Free Vector Images, NoName13), zdjęcia autorskie

Ilustracje w książce
Susan Lu4esm, AstroGraphix, Canva

Redakcja, pierwsza korekta
Rafał Wojciechowski

Druga korekta
Janusz Muzyczyszyn

Strona autorska i wydawnictwa
facebook.com/zodiacuniversum
www.wydawnictwohm.pl

Niniejsza książka jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, aby przestrzegać praw, jakie im przysługują.

Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym, ale nie udostępniaj jej publicznie.

Jeśli cytujesz fragmenty w ramach prawa cytatu, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując je, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki
Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

Dotychczas opublikowane teksty autorki

Jednotomowe:

Alfa Jeden
Ognisty pył
Gen 56

Seria Zodiac Universum (proponowana kolejność czytania):

Onkalot (I tom trylogii Death Bringer)
Pięćdziesiąt twarzy Forkisa (opowiadanie, praca zbiorowa)
Mroczna strona Forkisa (prequel Onkalota)
Misja Odrodzenie (II tom trylogii Death Bringer)
Wilcza księżniczka (historia asasy Divinusa)
Czwarta szansa (historia Kate i androida Paula)
Wojna z Kandrok (III tom trylogii Death Bringer)

Pozycje, które można czytać samodzielnie i w dowolnej kolejności:

Wilcza księżniczka
Czwarta szansa
Pięćdziesiąt twarzy Forkisa
Mroczna strona Forkisa

*Średnio na dwieście pięćdziesiąt milionów planet skalistych na jednej rozwinęło się
inteligentne życie.*

I Reguła Baksa, kiritiańskiego matematyka i astronoma

Szanowni Czytelnicy!

Jest mi niezmiernie miło, że wybraliście tę książkę na swoją lekturę. Mam nadzieję, iż dostarczy Wam ona wielu niezapomnianych wrażeń, a przede wszystkim godzin relaksującej rozrywki.

O historii myślałam już w trakcie pisania *Onkalota*, gdzie pojawia się wzmianka o Hanako Saharze. Na miejsce akcji pasowała azjatycka wioska położona gdzieś na odseparowanym terytorium, otoczona ogromnym lasem. Nie wiedziałam, czy wrócę do tego wątku, ale tak się stało po skończeniu *Wojny z Kandrok*. Ta militarna science fiction okazała się dla mnie wielkim, wieloletnim wyzwaniem ze względu na spore nagromadzenie w niej opisów technicznych, neologizmów, także wątków dotyczących strategii i taktyki. Po jej premierze potrzebowałam przerwy, ewentualnie zabrania się za coś lekkiego. I tak oto wróciłam do rozwinięcia wspomnianej historii, która tym z założenia miała pozostać – lżejszą powieścią obyczajową young/new adult, osadzoną w realiach science fiction. Równoległe z nią powstawał krótki tekst postapo, biopunk *Gen 56*.

Otrzymałam wiadomości od Was, Drodzy Miłośnicy Książek, dotyczące kontynuacji *Ognistego pyłu*. Powieść od początku miała być jednotomowa i nie planowałam tworzyć drugiego, głównie z powodu braku pomysłu na fabułę, która widziała mi się jako kolejna wersja bestsellera *Wojna światów*. Ale może to się

zmieni, jeśli uda się wymyślić coś wartego publikacji. Dla fanów tej historii stworzyłam za to *Thino'paia*, który tak jak *Ognisty pył* skupia się na psychologii bohaterów i ich relacjach, a nie wartkiej akcji. Zatem jeśli nie macie ochoty czytać na tę chwilę o epickich walkach flot w kosmosie i mrowiu wynalazków przyszłości, *Thino'pai* może okazać się dobrym wyborem.

Pozostaje mi życzyć Wam udanej lektury! Zachęcam do dzielenia się opinią na jej temat w Internecie, co pozwoli mi wyeliminować słabe strony mojej twórczości i rozwijanie tych pozytywnych. Pamiętajcie, że książki piszę dla Was. Dzięki Waszej aktywności wiem, że energia (gdyby tak można było wziąć od Kandrok chociaż jedną ich baterię) i czas, które poświęcam na swoją pracę, mają sens.

Adrianna Biełowiec

#thinopai
#zodiacuniversum
#kandrok



Preludium

Wystarczyło jedno uderzenie potężnej, diardukowej pięści mecha bojowego, aby we wrotach fabryki produkującej sprzęt górniczy utworzył się krater.

Członkowie oddziału skrywającego się w budynku naprężyli mięśnie. Nie byli żołnierzami, na Yakiji instytucja wojska nawet nie istniała. Zamiast niego funkcjonował ekwiwalent zwany mjabia. Służył wspieraniu ludności w ekstremalnych sytuacjach, jak katastrofy naturalne czy zagrożenie ze strony skał kosmicznych, na samej planecie bądź w koloniach układu optycznie tetralnego, gdzie krążyły niepowiązane ze sobą grawitacyjnie cztery żółte karły. Bezkonfliktowy lud Ngozi Ya Kijani lubował się w nauce i zdobywaniu wiedzy; nigdy nie odkrył życia w kosmosie. Ufając swoim niezawodnym metodom badawczym, był przekonany, że rozwinęło się ono jedynie na ich planecie.

Dlatego Yakijanie byli równie przerażeni, co zaskoczeni, gdy flota wroga spadła na nich dosłownie z nieba. Krążyły plotki, że agresor obrał sobie tę planetę za cel z powodu słońc układu, miał bowiem inklinację do silnych źródeł energii. Jak

i obsesję na punkcie światła. Prawdy nie udało się ustalić – cybernetyczni Kandrok nie zaliczali się do istot wylewnych, mimo iż zdecydowali się poznać język ofiar. Łapanki i eksterminacje przechodziły wówczas znacznie sprawniej.

W chwili ataku Yakijanie dysponowali jedynie sprzętem przemysłowym, jak i urządzeniami służącymi do walki z lokalną florą i fauną. Widok takiej „broni” w rękach autochtonów wywołał u Kandrok nie śmiech, a wręcz gniew i zażenowanie, bo mimo że wcześniejszy zwiad nie pozostawiał wątpliwości, z jakim typem cywilizacji przyjdzie im się zmierzyć, spodziewali się większego wyzwania. Yakijanie musieli przymusowo dywersyfikować wyposażenie militarne, by szybko dostosować się do nowej sytuacji. Zaczęli wytwarzać sprzęt wojenny na wzór skradzionego agresorowi; produkcja ruszyła w fabrykach (które wciąż działały) macierzy i na koloniach, ale sytuacja nie poprawiła się za bardzo. Z garści piasku stali się garścią żwiru pomiędzy zębami wroga, który przodował nad nimi we wszystkich dziedzinach. Wystarczyło jedynie splunąć tym żwirem na grunt.

Kolejne uderzenie mecha jeszcze bardziej wybrzuszyło wrota. Trzecie zostało wyprowadzone drugą ręką, bo padło pod innym kątem, bardziej na prawo.

Czwarte wyrwało część wrót z zawiasów.

Przez utworzone prześwitki zaczęły napływać do fabryki sugestywne dźwięki świadczące o zbliżającej się zagładzie: dudnienie ciężkich kroków mechów i mniejszych robotów bojowych, terkot broni energetycznej, syk chemicznej zdmuchującej ciało z kości, grzmot wybuchających ładunków, szum maszyn latających – którymi Kandrok celowo robili hałas – o jakich żadnemu Ngozi Ya Kijani nawet się nie śniło. Zamiarem najeźdźcy było niesienie śmierci i zniszczenia w taki sposób, jakby czynił to nie z własnej woli, ale był do tego zaprogramowany.

Zdenerwowani, uzbrojeni członkowie oddziału popatrzyli na swojego dowódcę, mężczyznę o patynowym odcieniu skóry, który u szczytu czaszki nosił kępkę przyciętych, niebieskich włosów. Jak każdy Yakijanin miał wysuniętą do przodu twarzoczaszkę, co upodobiało odrobinę ten lud o szczątkowych ogonach i pręgach na ciele do kolorowych, tropikalnych gadów. Żaden mjabia nie przysłonił głowy hełmem, bo broni wroga i tak nie zrobiłoby to różnicy.

– Przyszedł... – szepnął lider i stanowczo spojrział na towarzyszy. – On chce dorwać tylko mnie. Wy się wynoście boczną kieszenią towarową w głębi kompleksu, póki jeszcze nikt jej nie zajął. Uciekajcie później w góry. Macie szansę

ocaleć! – zakończył warknięciem, widząc, że jego ludzie nie reagują. – Chunki, wyprowadź ich.

– To nic nie da, duat Salgo – odrzekła kobieta o brzoskwiniowej karnacji, z dużą liczbą brązowych, cienkich warkoczyków. – Widziałeś, co potrafią. Ich broń i wzrok przenikają ściany. Wiedzą, że tu jesteśmy. Bawią się nami jako niedobitkami w tym sektorze, bo już dawno mogliby zniszczyć całą fabrykę ledwo strzałem z okrętu. – Skinęła brodą ku frontowej elewacji.

Mech chwycił gigantycznymi kończynami krawędzie wrót i zaczął je wyłamywać i wypaczać, ciągnąc ku sobie. Towarzyszył temu niemiłosierny jazgot, gdy kruchy stop Yakijan miażdżony był przez niezniszczalny diarduk najeźdźcy.

– Może to was przekona.

Salgo wyciągnął ze schowka pancerza przedmiot wyglądający jak jajo, z żarzącą się wewnątrz pomarańczową esencją, która nie miała prawa być ogniem zamkniętym w całkowicie hermetycznym środowisku.

Spojrzenia mjabia stały się bardziej spanikowane niż wtedy, gdy byli świadkami makabry urządzonej przez Kandrok.

– Zaraz, czy to nie przedmiot ze skażonej strefy? – Chunki odsunęła się, podobnie jak pozostali. – Wiesz, że nie wolno tam wchodzić. To może być broń. Wysadzisz całe miasto!

Salgo uśmiechnął się przelotem.

– Przechowuję go od dawna i jak dotąd nic się nie stało. Niestety, tego przedmiotu nie da się zbadać. Sądzę, że zabicie otoczki wywoła jakąś reakcję. Macie ostatnią szansę, by się wycofać.

– Wolę wylecieć w powietrze, niż dostać się w śliskie, białe łapska tamtych. – Mężczyzna z poranioną twarzą, zwany Jeuhiwa, wycedził dokładnie to, o czym myśleli wszyscy.

Wejście do fabryki stanęło otworem, przez kurtyny dymu wpadły do środka złote snopy jednego z zachodzących słońc. Z jego tłem kontrastowała ciemna sylwetka mecha, który cisnął za siebie wrota zgniecione w wielką piłkę, jakby były najzwyklejszym kamieniem. Twarze oddziału zaczęła oblewać fala gorąca bijąca od pożarów i innych rodzajów energii rozproszonej w drgającym powietrzu.

Stojący przy nodze mecha przybysz, któremu towarzyszyło czterech varoth – oznaczających w języku kandrockim żołnierzy – nie mógł sobie wybrać lepszej

scenerii na robiące wrażenie wejście.

Był avorem, rdzeniem nadkolektywu Kandrok. W oczach Yakijan wyglądał przerażająco. Więcej maszyny niż żywej tkanki (chyba że gapili się na diardukowy pancerz koloru ciemnego indygo z karminowymi detalami, mocno zintegrowany z ciałem). Biała skóra. Tej samej barwy włosy sięgające karku, zjeżone jak od potraktowania ich ładunkiem, wygolone po błyszczących bokach głowy. Lewe oko pomarańczowe niczym płomień, zaś drugie czerwone, sztuczne. Nad jego barkiem unosił się mackowaty twór z licznymi rubinowymi wizjerami, otaczającymi ten największy pośrodku. Kandrok określali te maszyny leberiksami i byli z nimi w jakiś sposób sparowani; służyły jako wsparcie w procesie anihilacji planety. Avor o spojrzeniu, w którym duma i gniew konkurowały z pogardą, był nieco przygarbiony – Salgo przypuszczał, że to z powodu dodatkowych komponentów bojowych. W prawej ręce trzymał sporą broń, której lufę niemalże ciągnął po ziemi. Morfologicznie przypominał Yakijanina, jednak genetycznie oba gatunki nie miały ze sobą nic wspólnego, co ustalili lokalni naukowcy, zbadawszy ciała zabitych wrogów. Wyszło wniosek, że w odległym kosmosie musiała zajść biologiczna konwergencja, wynikająca z ewolucji zachodzącej w podobnym środowisku – chyba że avorowie i Yakijanie powstali w wyniku aktu kreacji. Ale w chwili ataku nikogo nie obchodziła szczegółowa geneza obu gatunków.

Piątka wrogów również nie pofatygowała się, aby osłonić głowy, jedynie dolną część twarzy zakrywały aparaty oddechow. Barki i ręce aż po łokcie, gdzie kończyła się tkanka, także mieli odsłonięte, pancerz nie obejmował ponadto kieszeni płucnych i brzusznych, wyglądało to niczym przestrzenie wentylacyjne. Salgo nie sądził, że avorowie są na tyle lekkomyślni, iż odsłaniają się na wojnie, raczej ostentacyjnie gardzą ofensywą Yakijan, bo chyba nie było im gorąco. Ale mogło też chodzić o szybki dostęp do obszarów ciała związanych z odżywianiem czy leczeniem.

Tożsamość wrażego przybysza Salgo miał nieszczęście poznać już wcześniej: xepo Thino'pai. Największa zakąta operująca w tej części planety. Gdzie się nie pojawił, tam kończyło się na trupach wśród niepotrzebnych Kandrok Yakijanach i niewolnikach wśród potrzebnych.

Thino'pai coś przeżuwał. Jakby telepatycznie wydał komendę ogromnemu mechowi, który się wycofał, powodując wibracje gruntu, by niebawem zniknąć

wśród pożogi.

Strzelanina przycichła, co nie wróżyło niczego dobrego. Salgo przypuszczał, że Thino'pai zostawił ich sobie na deser jako przyjemny finał przydzielonych Kandrok na dzisiaj zadań.

Członkowie oddziału, wiedząc z doświadczenia, że wróg i tak nie zechce pertraktować, jak i w ogóle rozmawiać, zaatakowali z krzykiem na ustach. Rozbiegli się, strzelając. Poukrywali się za maszynerią i głównymi wspornikami hali.

Cyborgi aktywowały transparentne, błękitne tarcze ze znanej tylko Kandrok energii riumarikowej, osłaniając organiczne części swoich sylwetek. Obrywały pociskami po nogach, nie zwracając na to uwagi.

Dezaktywowały osłony, przemieściwszy się w głąb budynku. Spłoszeni ich bliskością Yakijanie i tak pudłowali, choć zwykle mieli wroga na linii wzroku. Nie dysponowali czymś takim jak wspomaganie celowania w starciu bezpośrednim, nie wspominając o braku doświadczenia.

Avorowie także otworzyli ogień, który ciął bądź przeszywał z łatwością wszystko, co znajdowało się w fabryce. Kilku Yakijan sparaliżowano, rozpoznawszy w nich materiał nadający się na wzmocnienie multigatunkowej armii Kandrok.

Thino'pai obrał inną taktykę, pozostawiając selekcję swoim varoth. Wspomagając się leberiksem, który polatywał po zakładzie i wskazywał mu cele, podchodził do pojedynczych, bezwartościowych Yakijan i załatwiał ich długim ostrzem wysuwającym z opancerzonego prawego ramienia. Dekapitował. Wbijał w brzuch i pociągał aż po głowę. Rozpoławiał. Ciął po skosie. Miał do dyspozycji diarduk, zatem pancerze tamtych równie dobrze mogłyby być wykonane z utrzymanej w odpowiednim kształcie wody. Jednego z obrońców xepo chwycił dłonią za twarz i zmiażdżył mu czaszkę na kawałeczki. Spomiędzy palców wypłynęły zielona posoka i galaretowaty mózg.

Mimo wszystko Yakijanie odnosili drobne sukcesy – poległ jeden avor, rozstrzelany gremialnie przy jako takim skoordynowanym działaniu garstki mjabia. Rzeź przerwał kandrocki okręt, który nagle spadł na fabrykę. Kolubryna doszczętnie zezłomowała budynek, dach zapadł się całkowicie razem

z półkilometrowej długości kadłubem. Szmelc utworzył wypełnione toksynami i skwierczącym ogniem labirynty.

Kaszlący Salgo nie wiedział, co się stało z jego ludźmi, nie słyszał ich. Uwolniwszy się z przygniatającej go pułapki, przedzierał się przez zadymione zaspy metalu, wzdłuż resztek okrętu, chcąc wydostać się z najeżonego ostrymi fragmentami tunelu.

Umorusanemu mazidłami i sadzą udało mu się przedrzeć na otwartą przestrzeń, pod fragment wieczornego nieba. Ciężko dysząc, opadł na plecy. Był nieznacznie ranny w nogę, bark i lędźwie.

Coś potężnego przedzierało się niestrudzenie jego śladem, rozwalając wszystko, co zagrażało mu drogę. Yakijanin przypuszczał, że to któraś z licznych odmian kandrockich robotów, ale niebawem ujrzał Thino'paia. Wyłonił się spod złomu, rozrzucając go siłą swych scyborgizowanych rąk. Dołączył do niego leberiks, znalazłszy drogę powietrzną naokoło. Avorowie działali według kryteriów funkcjonowania własnego społeczeństwa, w którym należało chronić liderów kolektywów, jak i gerhę, głowę całego nadkolektwywu. Dlatego tak zachłannie polowali na dowódców obrony Yakijan.

Salgo wyciągnął artefakt z tłącym się rdzeniem, który na czas walki wsunął do schowka, licząc, że mimo krytycznego położenia jednak wykaraskają się z kłopotów. Teraz, po stracie wszystkich ludzi, było mu już wszystko jedno.

Thino'pai kroczył nieśpiesznie w jego stronę niczym cierpliwy egzekutor, skanując go upiornym okiem. Nie unosił broni palnej – przeznaczył dla Salga wysunięte ostrze. Z ran na ramieniu avora ciekła czerwona krew; u Yakijan barwnik posoki był zgodny z pigmentem skóry.

Avor rozsunął na moment maskę oddechową, by wypluć na ziemię to, co dotąd mełł w ustach – kość palca pechowego tubylca, której nie dało się już bardziej ogołocić z mięsa.

Salgo modlił się, aby napastnik podszedł jak najbliżej. Był pewien, że dysponujący niesamowitym zapleczem skanującym avor zareaguje na widok artefaktu, ale tak się nie stało. Więc albo go nie rozpoznawał, albo Salgo wszedł w posiadanie bezwartościowego śmiecia, z próżnej desperacji chcąc w nim widzieć skuteczne narzędzie zemsty.

Przestał udawać nadmiernie rannego. Zerwał się i z krzykiem zaatakował Thino'paia, który niedbale przysłonił się ostrzem. Ani on, ani jego leberiks nie dostrzegali w Yakijaninie zagrożenia.

Diarduk walnął w obudowę artefaktu przypominającą szkło wulkaniczne. Ta nie tylko nie pękła, ale i nie nabyła nawet rysy.

Thino'pai spojrział w stronę nieba, gdzie przelatywał jeden z ich destruktorów.

– Po tej kampanii na pewno stanę się Wyzwolonym – odezwał się po kandrocku. Miał na myśli najdoskonalszą formę całkowicie pozbawioną organicznego ciała, maszynę z orhadą – zasilaniem istoty żyjącej, esencją świadomości i istnienia – przeniesioną do sztucznego mózgu. Do tej ostatecznej postaci z utęsknieniem dążył każdy avor. Thino'pai spuścił wzrok na swoją ofiarę. – Nie nadajesz się fizycznie do absorpcji do nadkolektywu. – Łatwo zabrał przedmiot z rąk osłabionego Salga, jedno i drugie brudząc swoją krwią. Przyglądał się przedmiotowi obojętnie, następnie go wyrzucił, ciskając przez ramię. – Dlatego muszę cię zabić.

Wykonał cięcie ostrzem, które Salgo zbił pod kątem prętem podniesionym w pośpiechu z kupki złomu. Thino'pai znów go zaatakował, tym razem sztychem z góry i ponownie został sparowany metalem trzymanym oburącz. Czujący upokorzenie Yakijan nie miał wątpliwości, że wredny avor się z nim zabawia, wkładając w uderzenia ułamek swojej siły.

– Szybki jesteś mimo ran – skomentował Thino'pai bez uznania. Jego leberiks wisiał smętnie nieopodal, jakby wszedł w stan uśpienia. – Ale i tak za słaby.

Obaj zerknęli na artefakt, którego stan diametralnie uległ zmianie. Poruszająca się w środku niczym spłoszone, bioluminescencyjne pierwotniaki esencja miała teraz kolor żółty i przechodziła w biel.

Wrogowie spojrzeli po sobie. Zaciekawiony Thino'pai zamaszystym kopniakiem przewrócił Yakijanina i ruszył w stronę przedmiotu.

Z prawej strony uderzył weń rozpędzony ciężar – to Chunki, cała, żywa, choć brudna, dotarła do swojego dowódcy i zrobiła jedyną rzecz, jaka przyszła jej do głowy. Zdołała wytrącić avora z równowagi i oboje runęli na grunt. Przez dziurę w ścianie dostali się do środka ostatni dwaj ocalali z oddziału Yakijanie, w tym Jeuhiwa, udało im się umknąć przed zbierającymi się ze zgliszczy varoth.

Jeuhiwa razem z Chunki, która zdążyła zsunąć się z Thino'paia, zaczęli strzelać z bliska do avora. Udało im się go silnie zranić. Ostatni z przybyłych zaatakował leberiksa, w odpowiedzi na jego ciągły ogień z karabinka.

Artefakt zaczął świecić intensywnym, białym światłem. Myśląc, że jednak w ruinach prastarej cywilizacji, objętej permanentną kwarantanną, znalazł ładunek wybuchowy i zaraz dojdzie do potężnej detonacji, Salgo doczołgał się do przedmiotu. Chwycił go, wysunawszy obolałą rękę.

Gdy się obrócił na plecy, zobaczył, że umazany swoją i cudzą krwią Thino'pai zdołał powalić dwójkę jego towarzyszy, a ostatni padał właśnie pod ostrzałem leberiksa.

Salgo wstał. Krzycząc, zamachnął się i cisnął przedmiotem w avora.

Thino'pai złapał go odruchowo. Zapatrzył się weń. Zafascynowany wyczuwał bijące od niego gorąco, jak i ogromną, nieznaną moc.

Eksplozja niby mikrosupernowej odrzuciła Salga na wiele kroków i cisnęła nim o podłoże. Cudem uniknął nadziania na odstający fragment okrętu. Zjawisko trwało ledwie moment, potem nastąpił neurotyczny spokój. Świat zdawał się dogorywać pośród ognia, jego skwierczenia i dymu.

Leberiks i Thino'pai zniknęli albo wyparowali. W miejscu, gdzie przebywali chwilę wcześniej, ziajał wielki, syczący, żarzący się krater, jakby z nieba spadła kometa.

Salgo z przeogromnym poczuciem ulgi zauważył, że jego porozwalani na obrzeżach wgłębienia towarzysze się poruszają. Niemalże się roześmiał, widząc minę zdziwionej Chunki, która podniosła się na łokciach, spoglądając najpierw w krater, potem na niego.

Cokolwiek się wydarzyło, zgładziło jednego z silniejszych, najokrutniejszych dowódców najeźdźcy i tylko to miało teraz znaczenie. Salgo mógł pozwolić sobie na utratę przytomności i zaznać choć trochę należnego odpoczynku, co też uczynił.



1. Dziewczyna z siódmej strefy

– Droodzy rodaaacy zapindaaalac do praaacy! Droodzy rodaaacy zapindaaalac do praaacy!

Hanako Sahara skrzywiła się, słysząc regularne łomotanie stóp o posadzkę wykonaną z syntetyku imitującego drewno, zwanego kamakuni. Otworzyła oczy i zerknęła na zegar mający obudowę w kształcie kota. Na szczęście nie było tragedii, Fuhito obudził ją kilkanaście minut przed czasem. Zaspana, podpierając się ręką, uniosła się do pozycji półleżącej.

– A tobie co, gorzej? – rzekła do sześciolatniego brata. – Kto cię nauczył takich słów?

– To i tak wersja z cenzurą.

– W ogóle ładnie to tak wchodzić bez pukania do pokoju damy?

– Tata mówił, że żadna z ciebie dama tylko cholera jasna – odparł zadziornie, sprężony już do ucieczki.

Hanako zerwała się z materaca, wówczas chłopiec pół piszcząc, pół śmiejąc się, wybiegł z pokoju na korytarz. Zasunęła za nim drzwi, także wykonane z kamakuni, który w większości stanowił materiał budulcowy dwupoziomowego, wielopokoleniowego domu rodziny Sahara.

Trochę zirytowana poprawiła piżamę z krótkim rękawkiem. Wróciła na materac, by przez chwilę kontemplować budzik. Kiedy już go wyłączyła słowną komendą, wstała ponownie i wyszła na mały taras – jeden z kilku przylegających do domu. Rozciągał się zeń widok na większość miasteczka Sutafochun, którego nazwa znaczyła Gwiazdna Fortuna.

Calcaris, na której mieszkała Hanako, jako jedna z piętnastu planet obiegała gwiazdę oznaczoną A1. Pomimo tego, że A1 należała do układu optycznie potrójnego żółtego karła, cykle dobowe Calcaris wyglądały podobnie jak na Ziemi, skąd pochodziła większość mieszkańców. W przeszłości światy czy księżyce dobierane były do kolonizacji na podstawie podobieństwa do Błękitnej Planety, zwłaszcza pod względem gęstości skorupy, wielkości globu i siły ciężenia. Chodziło o to, by ludzie czuli się na nich jak najlepiej, zgodnie z normami ewolucyjnymi.

W Sutafochun panował wczesny ranek, bardzo uroczy. Miasteczko zostało wzniesione w naturalnym zagłębieniu terenu i miało kształt łagodnego leja. W przeszłości przyjęła się jego potoczna nazwa „paszcza Sarlacca”, ale obecnie nikt nie miał pojęcia, co ona właściwie znaczy. Wysokość zwężającego się ku dołowi stożka wynosiła ponad dwieście metrów, podzielono go na tarasy mieszkalne i użytkowe. Poszczególne pierścienie scalały ścieżki, pomosty bądź kładki, co malowniczo komponowało się z kaskadami, stawami oraz bujną roślinnością. Jeśli komuś nie chciało się chodzić po Sutafochun, mógł skorzystać z tramwaju powietrznego. Przy każdym zbiorniku ustawiono kompozycje kamiennych rzeźb albo pojedyncze posągi, głównie dobrych demonów i uśmiechniętych zwierząt, z dominacją kotów oraz pand. Niknący półmrok rozpraszały kuliste, chińskie lampiony oraz kryształy solarne. U podstawy miasteczka znajdowało się jezioro rekreacyjne, gdzie można było też popływać. Obok domów, na wydzielonych skrawkach ogrodów, stały altanki-kapliczki w stylu chinoiserie. Ogólnie o lekko eklektycznym, w większości homoetnicznym Sutafochun, gdzie mieszkało około trzech tysięcy ludzi, głównie Azjatów, można było powiedzieć, że jest

wielobarwne, bajeczne i pełne detali. Hanako osobiście wolała staroświeckie określenie: kawaii, miejsce to wydawało się jej nawet trochę dziecinne, niemniej lubiła Gwiezdną Fortunę. Na Calcaris ludność skupiała się w większych społecznościach, przedzielonych nieużytkami, które dało się szybko pokonywać drogą powietrzną. Czyli zupełnie inaczej niż na Teichasie, księżycu planety Kalwaria zwanej Ziemią Gangsterów, gdzie dominowały samowystarczalne, samotne rezydencje, głównie bogatych przestępców.

Na okalającej miasteczko równinie tkwiła natomiast, niczym brodawka na gładkiej skórze, paskudna królikarnia. Ulokowano tam też instytucje, lądowisko, obiekty usługowe i ogród wypoczynkowy Myanmar.

Sutafochun słynęło z hodowli perłowych królików, których skóra przypominała opalizujące w świetle paciorki pereł, choć dla Hanako wyglądała raczej obleśnie jak u gadów. Surowcem importowym była przede wszystkim cenna sierść tych modyfikantów genetycznych, pozyskiwana tak jak od owiec. Dwie trzecie mieszkańców przykładało się do tego interesu.

Napatrzywszy się na mieszkańców nieśpiesznie szykujących się do codziennych zajęć, Hanako rzuciła jeszcze okiem na jeden z księżyców o różowej barwie, zanim wróciła do pokoju. Satelity miały oznaczenia numeryczne w złożeniu z pierwszymi literami nazwy globu, czyli od Cal-1 po Cal-5. Poza pasiastym, niebiesko-szarym Cal-3, na którym dzięki większemu ciężarowi tudzież średnicy, postanowiono założyć kosmodrom, z którego wyruszały kursy na odległość setek lat świetlnych, reszta księżyców była drobna.

Dziewczynie udało się załapać na wolną łazienkę. Po wykonaniu wszystkich czynności toaletowych, zwieńczonych wsunięciem we włosy spinki z kwiatkiem własnej roboty, zeszła na parter.

– Dzień dobry, Hanako – zagaiła do niej studwudziestoletnia Misaki, odziana już w dwuczęściowy uniform pracowniczy z logo królikarni.

– Cześć, babciu. – Dziewczyna cmoknęła ją w policzek.

– Jak minęła noc? Wyspana? – zapytała Misaki pogodnie; praktycznie zawsze towarzyszył jej dobry nastrój. Była matką Riku, ojca Hanako. Zgodnie ze zwyczajem panującym w bardziej tradycyjnych domach to żona przeprowadzała się do rodziny męża. Tak też stało się z matką Hanako, Shuang. Jej rodzice mieszkali więc osobno.

– Miałam piękny sen. Ale pewna bestia zniszczyła jego najlepiej zapowiadający się epizod. – Hanako objęła kosym spojrzeniem Fuhitę jedzącego ryż z jabłkami oraz wczorajsze futomaki.

– A co, nie zdążyłaś pocałować się z Hiroshim w usta? – wyburczał chłopiec z pełną buzią.

Dziewczyna skrzywiła się przelotnie na dźwięk tego imienia. Oparłszy się siedzeniem o blat, sięgnęła po przygotowany przez Misaki koktajl, zawierający wszystkie niezbędne składniki na start dnia. Pogłaskała czarno-białą fretkę, która przeszła po stole i zaczęła wciskać pyszczek pomiędzy jej bok i ramię.

– A można całować się w coś innego, niż w usta? – przedrzeźniała go.

– No można, na przykład w d...

– Dobra, zamilcz lepiej.

– No, dłonie można całować. A co myślałaś?

– Nie gada się z pełną paszczą, znów dostaniesz czkawki. I nie mów głupot na temat Hiroshiego. – Hanako pociągnęła łyk brei gęstej niczym jogurt. Popatrzyła z wyrzutem na babcię, która chichocząc pod nosem, przygotowywała posiłek dla śpiących jeszcze domowników, którzy szli na popołudniową zmianę. W Sutafochun mieszkali obywatele ceniący tradycję i pracowitość. Z pomocy robotów czy androidów korzystano częściowo, natomiast dochodu podstawowego, przysługującego obywatelowi planety za sam fakt, że się urodził, nie pobierał tu nikt. Dziewczyna nasączyła swe oblicze sarkazmem, nim znów spojrzała na Fuhitę. – Jak tam lekcje na dzisiaj odrobione? – odcięła się z przekąsem.

Chłopiec skrzywił się i zajął śniadaniem.

Edukacja dzieci i młodzieży w standardach calcaryjskich odbywała się na kilka sposobów. Wedle planetarnej ustawy (każdy glob obowiązywały oddzielne prawa) można było iniekcjować dziecku na stałe do płata czołowego entrasera – bionośnik wymyślony przez rebeliantów, potem przejęty i udoskonalony przez militarny naród Kiritian. Odersi, czyli zwykli ludzie niebędący Kiritianami, mieli dostęp do podstawowej wersji, która okazywała się wystarczająca na ich potrzeby. Entraser co roku transferował do mózgu ucznia wymaganą dawkę wiedzy, zgodną z programem nauczania. Proces trwał kilka minut i w większości przypadków był nieszkodliwy dla organizmu, tak jak sam entraser tkwiący w głowie. Osoby, które z różnych powodów nie chciały instalować swoim pociechom bionośnika, bo na

przykład obawiały się powikłań bądź inwigilacji, mogły edukować je w sposób tradycyjny, posyłając do szkoły czy organizując naukę zdalną. Fuhito miał bóle głowy od entrasera, ponadto utworzyła się wokół niego torbiel i należało go usunąć. Poszedł więc do lokalnej szkoły. Tymczasem będąca na poziomie liceum siedemnastoletnia Hanako corocznie wzbogacała się o ustawową dawkę wiedzy. Często odcinała się bratu w kwestii entrasera, gdy zaczynał jej dokuczać.

– Wystarczy już – rzekła Misaki. Zdjęła ze stołu dobierającą się do sałatki fretkę i postawiła ją na podłodze. – Udaję się dziś transporterem po dostawę karmy, mamy pierwszy kurs na orbitę. Chcesz, Hanako, bym cię podwiozła do fabryki? Będzie szybciej niż orbusem.

– Bardzo chętnie, dziękuję. – Dziewczyna sfinalizowała śniadanie kubkiem soku z żurawiny. – Tylko jeszcze posprzątam w pokoju.

– Ogarnij to zatem i spotkamy się za pół godziny przy hali trzeciej, bo muszę się już zbierać.

Kiedy Hanako była już gotowa do wyjścia, niemalże wpadła na Riku, który dopiero co się obudził i szedł w stronę kuchni, pocierając czoło. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Dzień dobry, ojczu. – Dziewczyna lekko schyliła głowę na powitanie, co wypadło nazbyt oficjalnie.

Riku odburknął coś niewyraźnie i udał się ku chłodziarce z żywnością. Hanako odprowadziła go wzrokiem, po czym opuściła dom.

Po kwadransie była już na sporym lądowisku nieopodal królikarni. Cały lokalny przemysł wiązał się z istnieniem wielkiej infrastruktury logistycznej, od samego wybiegu dla królików, otwartego i halowego, po transport, centrum badawcze, selekcji, weterynaryjne, zarodkarnię, pomieszczenia socjalne dla osób spoza planety, garbarnię i inne instytucje powiązane pośrednio i bezpośrednio z hodowlą.

Hanako zaczęła tu pracować w zeszłym roku. Jako że życie ludzkie już dawno stało się mocno zautomatyzowane (choć nadal wiele osób perforowało tradycyjną egzystencję, zwłaszcza w domu), a rola człowieka ograniczała się głównie do kontroli procesów diagnostycznych i przemysłowych, co było zajęciem prostym, przy zachowanych wysokich standardach bezpieczeństwa, praca była prawnie dopuszczana od lat piętnastu. Przed jej rozpoczęciem Hanako pomagała w domu,

ale potem nie chciała mieć nic wspólnego z królikami, co stało się zarzewiem konfliktu z ojcem. Cała rodzina poza nią pracowała bowiem w lokalnej branży. Dziewczyna miała jednak solidny powód, by trzymać się daleko od tych pozornie słodkich, niegroźnych zwierząt.

Kiedy była mała, któregoś wieczoru doszło do awarii zabezpieczeń na obiekcie i pełno dobrze widzących po zmroku królików rozbiegło się po okolicy. Parę powchodziło do domów przez otwierane na noc tarasy. Dorosłe zwierzę potrafiło osiągnąć masę sześćdziesięciu kilogramów. Jeden z takich olbrzymów wlaźł na materac w pokoju Hanako i przygniótł jej twarz, od czego zaczęła się dusić. Była zbyt słaba, by zwalić z siebie taki ciężar, który nie raczył się przesunąć. Na najniższej półce komody znajdował się nóż, którego matka Shuang używała wieczorem do krojenia owoców i być może zapomniała go zabrać. Niemy płacz jedynie wzmagał zapotrzebowanie na powietrze, ale dziewczynka nawet w desperacji nie odważyła się sięgnąć po ostrze i dźgnąć zwierzęcia. Z powodu niedotlenienia zaczęła mieć majaki, widziała królika jako przeraźliwego demona o czerwonych, świecących oczach, pęczniejącego tak szybko, że całym cielskiem wypełnił jej pokój, wypychając ostatnie cenne milimetry sześciennego powietrza. Pamiętała doskonale jego wielkie, podrasowane wyobraźnią siekacze, sunące do jej gardła...

Nikt z domowników przebywających wtedy w domu, rozmawiających wesoło i głośno, nie miał pojęcia o dramacie rozgrywającym się za drzwiami dziecięcego pokoju. Hanako przeżyła tylko dlatego, że królik postanowił ostatecznie odkicać w inne miejsce.

Od tamtej pory bała się tych zajęczaków, nie znosiła ich. Często na samą myśl o nich czuła odrzucający, ciężki piżmowy zapach, ciepło ich rozpasanych cielsk, kojarzące się z niebezpiecznie przygrzewającym słońcem. Ulokowane po bokach głowy wylupiaste oczy przypominały ślepiec potwora, widzące wszystko, co dzieje się naokoło. Każdy szczegół jej życia. Jako nastolatka Hanako odmówiła pracy w królikarni, jak i ingerencji neurologicznej w jej pamięć, by pozbyć się traumy z dzieciństwa. Riku, jej silnie konserwatywny, neurotyczny ojciec, który był gotowy poprosić o pomoc samych Kiritian, by zabieg został wykonany perfekcyjnie, ostatecznie ustąpił i kazał dziewczynie w zamian pracować w barorestauracji na stacji orbitalnej, by nauczyła się tam chociaż, jak

przygotowywać posiłki dla przyszłego męża i dzieci. Oczywiście się zdenerwowała, że Riku próbuje ustawić jej życie. Początkowo rzeczywiście pracowała w „Nadniebnej Calcaris” – jedynie dlatego, że lubiła klimat tego miejsca – ale potem, by zrobić ojcu na przekór, poszła do fabryki na stanowisko kontrolera procesów przemysłowych, gdzie jak na gust Riku znajdowało się zbyt wielu przystojnych białych młodzieńców. O kręcących się w pobliżu rebeliantach i „szemranych typach” z niskich warstw społecznych nie wspominając. Kiritianie jak dotąd nie podporządkowali sobie Calcaris, która nieoficjalnie była powiązana z rebeliantami. Hanako nie rozumiała dlaczego, wiedziała jedynie, że Nieśmiertelni dzięki swojej zaawansowanej technologii zdobyliby planetę w dobie, gdyby tylko chcieli. Przypuszczała, że brakujące ogniwo w zrozumieniu tego precedensu stanowili właśnie rebelianci.

– Cześć, Hanako! – Jack Schwartzberg zawołał do niej serdecznie, machając ręką. Jak zwykle paradował w brudnym warsztatowym caju. Był w Sutafochun kimś w rodzaju złotej rączki, choć oficjalnie pilnował aspektu technicznego królikarni. Jeśli ktoś miał jakikolwiek problem ze sprzętem, zwracał się z tym do Jacka, bez względu na to, czy chodziło o stłuczkę skulakiem – antygravitacyjnym pojazdem polatującym, przypominającym motocykl bez kół – czy nawalił komuś automat do tworzenia kompozycji z żywności. Młodzieniec pochodził z północnej Europy na planecie Ziemia, o czym świadczyła jego jasna karnacja, niebieskie oczy i blond włosy.

Dziewczyna uśmiechnęła się i mu odmachała. Skinął jej też w uprzejmości głową dyskutujący z nim analityk medyczny Nathan Nakalski, Indianin o oliwkowej cerze, zwykle zaplatający długie czarne włosy w warkocz.

Hanako otrzymała komunikat od Misaki na holonocie – personalnym asystencie, że może już wsiadać do transportera. Karmy nie produkowano na miejscu, należało ją sprowadzić z drugiej półkuli planety, gdzie znajdowały się plantacje zbóż na najbardziej użyźnionej w procesie terraformacji glebie. Dziewczyna weszła po trapie słuzy do hangaru, przeszła krótkim korytarzem i zajęła miejsce w kokpicie wśród siedmioosobowego grona. Jej babka była jednym z dwóch pilotów.

Transporter uniósł się pionowo, skierował dziób w stronę nieba i zaczął nabierać prędkości. Wbita w fotel Hanako, siedząca w rogu przy osłonie, obserwowała

malejącą enklawę Sutafochun, która wydawała się tętniącym życiem ośrodkiem, ale dopiero z poziomu wyższych chmur dało się zobaczyć, że to ledwie drobna ranka na ciele planety. Calcaris, jako w pełni terraformowany glob, składała się ze stref aglomeracyjnych. Ta z królikarnią miała numer siódmy. W jej skład wchodziły słabo zagospodarowane tereny na zachód od Sutafochun, natomiast na wschodzie rozciągał się mający ponad tysiąc kilometrów szerokości Las Kolonistów o florze charakterystycznej dla ziemskiej strefy umiarkowanej wymieszanej z podzwrotnikową tropikalną, choć głównie były to modyfikanty. Dla Hanako ten właśnie las był ulubioną odskocznią od głośnego, zatłoczonego Sutafochun. Do siódemki należały też inne miejscowości, ulokowane na granicy z puszcza, jak Tikimo.

Pół godziny później dziewczyna była już na miejscu. Wysiadła razem z dwójką podwieszonych pasażerów. Jako dziecko zastanawiała się, po co wokół planet czy księżyców krążą takie stacje, skoro istniało ryzyko, że mogą spaść ludziom na głowy, a ich utrzymanie musi sporo kosztować. Później dowiedziała się, iż chodzi o lepszą możliwość startów i przylotów (przynajmniej dla odersów, bo Kiritianom, przy napędach ich okrętów i statków, nie robiło to różnicy), a samo utrzymanie obiektów na wielkiej, mobilnej platformie okazywało się opłacalne.

Stacja miała budowę pierścieniową, największa platforma o trzykilometrowej średnicy pełniła funkcję lądowiska. Wewnątrz bańki sferycznej generowanej przez sieć zewnętrznych głowic utrzymywano powietrze i dogodne ciśnienie. Sztuczne ciśnienie z kolei generowały cząsteczki atoplaksalne, będące wynalazkiem słynnego kiritiańskiego naukowca Maksimusa Figama. Duże ich skupienie wytwarzało hiperciężką masę o małej objętości, na przykład wielkości pięści, a rozpięty wokół nich parasol ochronny o właściwościach innego wymiaru sprawiał, że atokula nie osiągała masy porównywalnej z masą planety. Osłona całkowicie zmieniała bowiem odczuwane w środowisku zewnętrznym właściwości takiej realnie hiperciężkiej kuli, przez co ludzie odnosili wrażenie, że pod ich stopami panuje grawitacja, jakby chodzili po globie typu ziemskiego – czy jakoś tak. Mózg Hanako zazwyczaj wywlekał się na drugą stronę przy roztrząsaniu kwestii ciężenia na promach czy stacjach kosmicznych, wołała więc ograniczyć się do myślenia, że to działa i nie ma co drążyć tematu. Jej, jako prostemu odersowi, taka wiedza nie była potrzebna.

Pozdrowiwszy kilka napotkanych znajomych, udała się pod wrota fabryki, w której wytwarzano elementy maszyn gospodarstwa domowego. Android przy bramce zeskanował jej przepustkę, po czym Hanako przeszła przez hol do pomieszczenia socjalnego, by się przebrać. Popatrzyła w lustro na odbicie dziewczyny mającej metr sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, o czarnych włosach do ramion zasuniętych za uszy, piwnych oczach, drobnych sylwetce oraz rysach twarzy. Jak dla niej te ostatnie były nijakie, za bardzo dziewczęce. Założyła mahoniowy fartuch roboczy i ruszyła na halę.

Dla komfortu psychicznego i zdrowotnego robotników już dawno ustalono maksymalnie sześciogodzinny czas pracy. Kto sobie tego życzył, na własną odpowiedzialność mógł popracować dłużej, jednak przymus ze strony brygadzysty był zabroniony.

W zamierzonych czasach, gdy powiązana z automatyzacją sztuczna inteligencja stała się na tyle zaawansowana, że mogła wyręczyć człowieka w każdym zawodzie, przeprowadzono test na kontrolnej grupie milionowej populacji, z podgrupami podzielonymi według różnych parametrów. Osoby te nie musiały w ogóle pracować, otrzymywały dochód obywatelski generowany dzięki pracy maszyn, wystarczający na zapewnienie wszystkich potrzeb, jak i niezbyt wygórowaną rozrywkę. Trwający kilka lat test zakończył się totalną katastrofą. Jej uczestnicy rozleniwili się, przytyli, nie chcieli mieć potomstwa, spadły ich ambicje. Nasilił się egoizm, przestały ich obchodzić sprawy Zodiac Universum, każda forma rozrywki szybko przynosiła nudę, mało kto uprawiał sport czy z pasją realizował swoje hobby. Gdy pytało się takiego człowieka, jaki jest cel jego życia, jedynie wzruszał ramionami. Wtedy na podstawie przeprowadzonych badań ustalono najdogodniejszy model społeczny – współpraca ludzi i maszyn, gdzie te drugie miały wykonywać pracę oznaczającą dla człowieka utratę zdrowia lub życia. Usługi, w których przeważał czynnik ludzki, były droższe.

W fabryce, w której zatrudniła się Hanako, pracę wykonywały maszyny, ludzie zajmowali się ich konserwacją, naprawami albo kontrolą. Zadanie dziewczyny polegało na skanowaniu przydzielonych, przyszykowanych już produktów i ich analizie w będącym następcą komputera kapripodzie, czy coś nie jest o milimetr za krzywe czy o gram za ciężkie. Przechadzała się ponadto alejkami hali,

sprawdzając wyświetlane parametry pracującego sprzętu. Nie były to wyczerpujące zajęcia, choć monotonne, dlatego sześć godzin pracy pasowało Hanka idealnie.

Podczas zmiany nie wydarzyło się nic ciekawego. Jedyne skrzywiła się w duchu, gdy brygadzysta przekazał zespołowi, że z powodu nadprodukcji towaru w kilku działach będą mieć płatny tydzień wolnego.

Kiedy zbliżał się fajrant, będąca na krańcu jednej z alejek Sahara na widok Hiroshiego Sakaia wykonała w ukryciu taktyczny odwrót. Pech chciał, że kilka miesięcy temu on także zatrudnił się w tej fabryce, po odejściu z królikarni. Oskarżono go o udział w kradzieży części zwierząt, każdego mającego wartość trzydziestu gramów painitu, minerału ustalonego przez Kiritain jako najcenniejszego surowca. W takiej cenie można było nabyć całkiem przyzwoitego skulaka. Zaginionego żywego inwentarza nigdy nie znaleziono, podobnie jak dowodów obciążających Hiroshiego, ale ze względu na jego stanowisko specja od zabezpieczeń winę zrzucono na jego barki. Dziewczynie wydawało się to dziwne, bo po co młodzieniec należący do jednej z najbogatszych rodzin w Sutafochun miałby dopuszczać się kradzieży? Niemniej zwierzęta wieczorem jeszcze były, a w nocy rozpląły się w powietrzu. Hiro rzeczywiście mógł mieć współudział w incydencie, choć same króliki przemycił kto inny. W każdym razie smród pozostał i za namową ojca chłopak zmienił miejsce pracy do czasu wyjaśnienia sprawy, w najgorszym przypadku – jej zapomnienia.

Hiro jej nie zauważył, stał obrócony bokiem i zajęty rozmową z człowiekiem, którego Hanako widziała po raz pierwszy. Możliwe że tłumaczył coś nowemu pracownikowi, pokazując zagadnienia na projekcji holonotu. Sakai pracował w sąsiednim dziale; dziewczyna już się postarała, by mieć zmiany w czasie innym niż on. Ale zdarzało się nieraz, że przychodził wcześniej. Dlatego czasem poważnie rozważała, czy „Nadniebna Calcaris” nie byłaby jednak lepszą opcją, ale oznaczałoby to przegranie utajnionej zwady z Riku.

Sahara lubiła tę największą na stacji barorestaurację. Od końca pracy do chwili przylotu orbusego kursującego do portu „Królikarnia” musiała czekać ponad dwie godziny. Autobusy orbitalne miały nieregularny czas lotu, uzależniony od ulokowania stacji względem planety, ale odchylenia od średniej były nieznaczne. Okienka Sahara zawsze ochoczo spędzała w „Nadniebnej Calcaris”, dlatego nawet odpowiadała jej dłuższa przerwa.

Obiekt urządzono w najnowocześniejszym stylu, z wszędobylskim metalem, przywodzącym na myśl bardziej wewnątrz kiritiańskiego okrętu niż lokal. Wykluczając roboty czyszczące, obsługa była wyłącznie ludzka. Po bokach rozległej sali jadalnej znajdowały się charakterystyczne kule dymne, aktywowane przy kontuarze. Kiedy obiekt był wykorzystywany jako bawialnia, przykładowo na imprezie firmowej z brył wypuszczano nieraz kolorowy, nietoksyczny dym o pożądanym natężeniu, który mógł zalegać w pomieszczeniu subtelnie niczym opary używek, albo tak gęsto, że nie dało się zobaczyć dłoni wyprostowanej ręki. Właścicielem „Nadniebnej Calcaris” był pochodzący z Grecji ekstrawertyk w średnim wieku imieniem Eremon. Bardziej przypominał cherlawego urzędnika o czystych, uczesanych włosach, niż stereotypowego kucharzynę przy kości, jednak w przeciwieństwie do wielu biurokratów cechowało go serdeczne usposobienie. Dbał o swój interes, nie cwaniakował, nie miał nic do nikogo, dzięki czemu nie miał też wrogów. Czasem brał udział w drobnych przemytach, zwykle kiritiańskich artykułów, o czym Hanako się dowiedziała, gdy u niego pracowała. Nie wtrącała się w nieswoje sprawy i potrafiła dochować tajemnicy. Sama raz nabyła w takiej transakcji dobry towar.

Dziś Eremon osobiście przygotował i podał jej obiad: danie ryżowe oraz herbatę z czarnej soi.

Dziewczyna usiadła pod ścianą, skąd miała widok na całe pomieszczenie. Rozpoznawała już wielu stałych bywalców, którzy tak jak ona zatrzymywali się tu, będąc w trasie czy czekając na transport. Zauważyła małżeństwo w średnim wieku, prowadzące butik na wyższym pierścieniu stacji, jak i innych lokalnych przedsiębiorców przychodzących do „Nadniebnej Calcaris” na dobre posiłki, których wybór był szeroki ze względu na multikulturowych klientów. Z drugiej strony sali siedział mocno zbudowany, blady Kiritianin o kamiennym obliczu. Roztaczał wokół siebie na tyle ponurą aurę, że nawet muchy zdawały się nie siadać przy najbliższych stolikach. Mający na sobie lekki pancerz Nieśmiertelny zajęty był swoim PDA, lepszym odpowiednikiem holonotu odersów; na blacie stał obficie zastawiony talerz wystygłego już posiłku i kufel piwa.

Hanako kilka razy miała okazję zaobserwować, że Kiritianin zjadał całą zawartość talerza, jednak strasznie się z tym grzebał, skupiony na swoich sprawach, mając otoczenie w głębokim poważaniu. Bywał na stacji przelotem. Że

znajdował się tu samotnie jako członek znieprawionego narodu hegemonów – tylko dwa razy Hanako widziała go z grupą towarzyszy – zwłaszcza w obszarze aktywności rebeliantów, wbrew pozorom nie było lekkomyślnością z jego strony. Gdyby ktoś skrzywdził albo zastrzelił tego Kiritianina, cała stacja mogła zmienić się w gwiazdny pył, trafiona dalekosiężnym pociskiem z okrętu Nieśmiertelnych. Ci raczej nie fatygowałiby się, by sprawdzić, kto zawinił. Opozycja i Kiritianie od dziesięcioleci nie prowadzili ze sobą bitew, ale utrwalane przez stulecia napięcie między nimi nie malało. Byli niczym rozdzielone po walce psy, odprowadzone do kątów ogrodu. Wciąż warczały, demonstrowały zębiska, z pysków kapą ślina, uszy leżały na czaszkach. Wystarczył nieodpowiedni gest jednego z nich, mała prowokacja, a walka rozgorzałaby na nowo.

W barorestauracji przebywali też i sami rebelianci, przeważnie ta sama grupka rozdokazywanych młodzieńców koło trzydziestki. Przychodzili zwykle pić, zachowywali się przy tym na tyle głośno, jakby lubili znajdować się w centrum uwagi. Dzisiaj było ich pięciu, w tym jeden nowy. Hanako nie kojarzyła nowego mężczyzny, ale jak tylko zerknęła na niego przelotem, nie mogła już oderwać od niego oczu. Miał na sobie, jak reszta kompanów, szarosrebrny kombinezon lotniczy, który podkreślał jego średnią budowę ciała. Jasna karnacja komponowała się idealnie z brązowymi włosami, bujnymi i puszystymi, że aż chciało się je przeczesać palcami. Rysy twarzy, na której widniał kilkuniedniowy zarost, wskazywały na europejskie pochodzenie. Usta praktycznie mu się nie zamykały, dużo się śmiał, zdawał się być duszą towarzystwa. Wstał na chwilę, by uprzedzić kelnerkę i iść po kolejne zamówienie; okazało się, że jest dość wysoki. Ogólnie był zniewalająco przystojny.

Kiedy wracał z karafką i talerzem, wyłowił spojrzeniem Hanako gapiącą się na niego jak dziecko na zabawkę marzeń w sklepie. Gdy uśmiechnął się do niej sympatycznie, speszona gwałtownie przeniosła wzrok na rozmemlane pogorzelnisko swojego ryżu. Miała ochotę palnąć sobie dłonią w twarz.

– Krystian Sandstorm. – Wzdrygnęła się, gdy Eremon pojawił się obok z deserem. Jego sugestywne zadowolenie speszyło ją jeszcze bardziej. – Zapomnij.

Miała przed sobą ciastko ananasowe i mogła przynajmniej na nim skupić uwagę. Niestety to się nie udało, bo Eremon oddalił się, nie racząc oznajmić, co

było nie tak z Krystianem. Podparła głowę, umieściwszy dłoń tak, by palce przysłaniały jej widok przystojnego rebelianta.

Nie wytrzymała i pół ciastka później przesunęła rękę, by śmieiej zerknąć w stronę centralnego stolika. Chyba musiała przyciągnąć wzrok Krystiana, bo po paru sekundach on też na nią spojrział. Miał akurat poważny wyraz twarzy, który natychmiast przeminął na rzecz czarującego uśmiechu. Przeznaczonego dla niej! Tym razem Hanako nie zareagowała jak spłoszona dziewczica... którą w istocie była, tylko odwzajemniła subtelnie uśmiech. Krystian uniósł szklankę jak do toastu, napił się i od teraz skupiał się już wyłącznie na rozweselonych kompanach.

Towarzystwo niebawem rozpiło się bardziej, ich słowa i śmiechy zaczęły przeszkadzać gościom. Zanim doszło do większych spięć, rebelianci opuścili lokal.

Nie wiedząc, po co właściwie to robi, Hanako wyszła zaraz po nich. Śledziła wzrokiem mężczyzn, udających się do szybu powietrznego prowadzącego na dolny pierścień lądowiska.

Po chwili odlecieli pięcioma myśliwcami ku głębi kosmosu.

Niedługo potem zjawił się orbis; prawie wszystkie miejsca były zajęte.

* * *

Pod wieczór w Sutafochun rozpoczął się festiwal chleba, który miał trwać do rana. Na kamakuniowych platformach rozlokowanych wokół jeziora, także na niewielkich placach w wyższych partiach miasteczka i terenach przy urzędach stało wiele stołów z różnymi gatunkami pieczywa, od klasycznego po najbardziej fantazyjne. Ogólnie święto – a wiele podobnych organizowano w ciągu roku – umilało mieszkańcom już i tak spokojną egzystencję. Można było się spotkać gremialnie, porozmawiać przy muzyce, pojeść smakołyki, potańczyć, wziąć udział w konkursach. Świateł i osób było więcej niż zwykle, bo do Sutafochun zlecieli się ludzie z innych miejscowości siódmej strefy, także spoza niej. Rozstawione wszędzie lampiony, zarówno stacjonarne, jak i wolno latające, mogły konkurować z nieboskłonem nanizanym gwiazdami, gdzie szczególnie jasno prezentowały się dwa żółte karły.

Hanako z Lan, starszą od niej o rok koleżanką chińskiego pochodzenia, umościły się na ławce przy krawędzi górnego pierścienia, skąd miały widok na

całe Sutafochun. Rozchodzące się ciepło od strony leja było wyraźnie wyczuwalne. Dziewcząt nie interesował zbytnio festyn, zerkały przelotem na bawiących się głównie po to, by sprawdzać, czy nikt się nie zbliża.

Mająca niemalże wypieki na twarzy Lan opowiadała niezbyt składowo:

– Gdy już tak leżeliśmy po wszystkim z Nathanem koło siebie, czułam... nie wiem, jak to określić... ogromną moc podrasowaną szczęściem? Odnosiłam wrażenie, że jestem znacznie silniejsza. Kimś ważnym. Na początku strasznie się bałam, nasłuchawszy się różnych dziwnych rzeczy o pierwszym razie, ale gdy już sama tego doświadczyłam, cały strach kompletnie wyparował! Zupełnie nie było się czego bać. Większość historyjek okazała się bzdurą, ale nie od dziś wiadomo, że ludzie zmyślają, by nastraszyć niewtajemniczonych albo się dowartościować.

– Czyli twierdzisz, że było cudnie? – Hanako nie wpadł do głowy żaden bystrzejszy komentarz.

– I to jak! Zazdroszczę ci, że jeszcze wszystko przed tobą.

– A daj spokój. – Uśmiechnęła się, drapiąc swędzące miejsce przy nosie. – Mnie się nigdzie nie śpieszy.

– A jak ci się układa z Hiroshim? – zapytała zbyt śmiało Lan.

Hanako parsknęła perlistym śmiechem.

– Nie jesteśmy razem, nie byliśmy i nigdy nie będziemy. Należał kiedyś do naszej bandy, ale nigdy go nie lubiłam, choć starałam się być tolerancyjna. Mój głupi brat widział przypadkowo dwa razy, jak Hiro do mnie podbija, ale nie był już świadkiem tego, jak spuszczam go na bambus. Dlatego zaczął rozpowiadać ludziom te dyrdymały, że to mój chłopak. Nie cierpię Hira, w dodatku nie jest w moim typie. Zaczął się mną interesować tak nagle, co nie ma najmniejszego sensu.

– Miłość nie wybiera, kochana. Kierują nią reguły chaosu.

– Ej!

Lan pociągnęła łyk wina prosto z gwinta; dziewczyny przyniosły butelkę z festynu.

Nieopodal czarny posokowiec, nerwowo machając ogonem, zaczął szczeakać na odlatujący prom.

– Nigdy nie mów nigdy – rzekła filozoficznie Lan. – Jaki w ogóle jest twój typ? Pewnie napakowany rudzielec w fajnej zbroi, wielokrotnie od ciebie starszy?

Lan ostatnio rzadko spotykała się z Hanako na pogaduchy. Kiedyś obie wraz z innymi dziećmi stanowiły zgraną paczkę, jednym z ich ulubionych zajęć były wyprawy do Lasu Kolonistów. Pomijając zranienia, nic im tam nie groziło, założeniem terraformingu nie było bowiem rozpowszechnianie po planecie flory i fauny niebezpiecznej dla człowieka. Na Calcaris nie żyły nawet komary, chyba że ktoś przywłókł je przypadkiem z innej kolonii. Ponadto strefę siódmą uważano za najnudniejszą na całym globie i nawet incydent z kradzieżą królików nie był w stanie zmienić tej łątki. Niemniej frajda okazywała się tym większa, im rodzice bardziej irytowali się z powodu zakazanych eskapad swoich pociech. Grupka miała nawet ulubione miejsca, tylko dla siebie.

Z biegiem lat wszystko zaczęło się rozpadać, mimo że między przyjaciółmi nie dochodziło do większych konfliktów. Każdy zaczął układać życie po swojemu, część odleciała z planety. Hanako zadawała się praktycznie już tylko z Lan.

– No weź już, skończ z tamtym. – Sahara chwilę udawała oburzenie, po czym uśmiechnęła się konspiracyjnie. – Coś ci powiem, ale masz nikomu nie powtarzać – zniżyła głos do szeptu, choć irytujący pies poczynił sobie w najlepsze, mimo iż prom wyszedł już z troposfery. Przy pupilu znalazł się Billy, otyły mężczyzna po trzydziestce, z przetłuszczonymi czarnymi włosami, który opychał się darmowym chlebem zabranym na tacce.

– Dawaj – zachęciła zaintrygowana Lan.

– Ale poważnie. Riku by mnie zamordował, gdyby się o tym dowiedział. Co robisz? – zapytała Hanako, gdy koleżanka wstała i zaczęła iść, komicznie wymachując ramionami i głośno uderzając butami o skaliste podłoże.

– Nie widać? Zadzieram kiecę i lecę do niego naskarżyć.

– Dobra, siadaj już.

– Ej, możesz uciszyć swoją bestię? – zawołała Lan do Billy'ego. – Pokontemplować w spokoju szarej, brutalnej rzeczywistości nie można!

Żując przyduży kawałek pieczywa, mężczyzna wysunął rękę i pokazał dziewczynie środkowy palec.

– Klasyk, kurde. – Chinka wróciła do koleżanki, z łomotem opadła na ławkę. – Nie wiem, kogo bardziej chciałabym kopnąć w cztery litery. Tego egoistycznego grubasa czy jego wiecznie hałasującego kundla. Nie, żebym nie lubiła zwierząt. Aż dziwne, że szeryf nic z tym jeszcze nie zrobił.

– obrońcy zwierząt życzyli sobie dla nich więcej swobody, to teraz męcz się, człowieku. – Hanako przejęła wino i wtłoczyła w siebie spory łyk, także prosto z butelki, która była rogowym, biodegradowalnym wytworem pewnej odmiany bakterii.

– Na czym skończyłyśmy? A, już wiem. Mów zatem, Han. Dlaczego mi się wydaje, że przydarzyło ci się coś pikantnego? – Lan zadziornie poruszyła brwiami.

– Nic się nie wydarzyło. Dziś na stacji, u Eremona, widziałam takiego jednego... Chyba Europejczyk albo Amerykanin, chociaż to jedno i to samo. Ale mniejsza. Wysoki, przystojny, rozgadany. Dusza towarzystwa. Brązowe włosy, dostrzegłam nawet, że ma zielone oczy. To rebeliant. Nazywa się Krystian Sandstorm.

– Dobra jesteś! Najpierw Kiritianie, potem rebelianci... Czyli gadaliście. I co było potem?

– W ogóle nie gadaliśmy. Eremon mi zdradził jego tożsamość. I dał do zrozumienia, że mam się od niego trzymać z daleka.

– O kurde, faktycznie grubo. I straciłaś dla niego głowę? – zapytała Lan denerwującym głosem, tak jakby się nabijała.

– No ładny był. Odleciał myśliwcem. Pomyślało mi się, że pasował do tego myśliwca w swoim szarosrebrnym kombinezonie.

– Ha, ha. Zatem ci się podoba, skoro nawijasz już o myśliwcach!

– Weź się, zboczenico.

– Czyli znam już twoje preferencje na podstawie dwóch przypadków: wysocy, silni wojownicy dysponujący gigantycznymi zabawkami.

Hanako szturchnęła ją lekko pięścią.

– Ale ciekawe w sumie – ciągnęła niezrażona Lan, tym razem już bez żartów. – Nigdy nie miałaś chłopaka, żaden Azjata cię nie zainteresował? Sama masz japońskie pochodzenie.

– No co ty nie powiesz? Wzrok mam na tyle dobry, że widzę, kto stoi naprzeciwko mnie w lustrze. Zawsze lubiłam białych. Im jaśniejsza karnacja, tym lepiej. Obowiązkowo wysokich.

– Ja bym zagadała na twoim miejscu. Trzeba brać życie za rogi.

– Ale ja nie jestem tobą. Miałaś już chyba z dziesięciu chłopaków i dla ciebie to nic nowego, nawet jeśli z nimi tylko chodziłaś i nie robiliście niczego więcej. Ponadto byłoby to trochę ryzykowne. W sensie nie, że miałaś tylu chłopaków...

choć to też. Mówię teraz o Krystianie. Ojciec nienawidzi rebeliantów, Kiritian zresztą też. Twierdzi, że jedni i drudzy to pomioty i zadawanie się z nimi zawsze kończy się śmiercią. Zresztą Krystian być może odwiedził „Nadniebną Calcaris” jednorazowo. – Hanako zdziwiła się, że zasmuciła ją ta perspektywa.

– Oj, to poderwij tego Kiritianina, co siedzi sam ze sobą. Może będzie równie fajny, jak twój ukochany rudy Greguś.

– Spadaj, nimfomańska jędzo – rzekła Sahara z równą dawką obawy, co żartu. – Dopiero by było...

– No co? Trzeba się bawić na całego, by kolekcjonować zwariowane wspomnienia.

– Co ja gadam: nic by nie było. W najlepszym wypadku by na mnie warknął i olał ciepłym moczem. W przenośni oczywiście. Kiritianie gardzą odersami.

Hanako osobiście się przekonała, że sprawa wcale nie wyglądała tak klarownie, jak to przedstawiali uprzedzeni do nich ludzie. Nieśmiertelni byli niesłychanie okrutni i mściwi, racja, ale z drugiej strony – niezwykle honorowi i potrafili się odwdzięczać.

Dziewczyna za pierwsze zarobione pieniądze, jak i dzięki lekkiemu wsparciu finansowemu babki Misaki, zakupiła sobie rok temu upragnionego skulaka. Zaliczyła nim swój debiut, udając się na wymarzoną samotną wyprawę na zachodnią równinę, poprzecinaną wstęgami gór i kanionami. Calcaris z zasady była bezpieczna, a już szczególnie jeśli chodzi o nieużytki. Sto razy większe ryzyko napadu istniało w aglomeracjach, niż w miejscach, gdzie diabeł mówił dobranoc. Istniała korelacja między mniejszą liczbą ludności zamieszkującą daną planetę (skolonizowano ich łącznie dwadzieścia dziewięć, z czego osiemnaście znajdowało się pod auspicjami Kiritian; do tego dochodziły księżyce, stacje orbitalne i niezliczona ilość globów transferowych czy służących do wydobywania surowców) a mniejszą liczbą wypadków wynikających z winy człowieka. Wiązało się to ze zminimalizowaną, naturalną agresją gatunkową, powiązaną z zagęszczeniem ludności i dostępem do dóbr potrzebnych do przetrwania. W przeszłości odciążenie populacyjne Ziemi napędzane chęcią spełnienia *space dream* (w kiritiańskim słowa te brzmiały *spicae drime*), czyli lepszej egzystencji na którejś z kolonii kosmicznych, okazało się strzałem w dziesiątkę. Wojny i inne konflikty nabrały wprawdzie międzygwiazdowego charakteru, gdzie prym wiodli

Kiritianie i nienawidzący ich rebelianci zaliczający się do opozycji, ale lokalnie na planetach dochodziło rzadko do sporów.

Dlatego rodzice Hanako zgodzili się, aby ich niepełnoletnia córka udała się na taką wyprawę; zresztą stale miała z nimi kontakt przez holonot, jak i towarzyszącego drona – kulę z napędem antygravitacyjnym zrobioną dla niej na zamówienie przez Jacka. Szczególnie babce zależało na peregrynacji dziewczyny, zupełnie jakby Hanako miała przejść formę rytuału związanego z samodzielnością.

Podczas lotu dziesiątki centymetrów nad równiną obfitującą w niesamowite formacje skalne Hanako dostrzegła błyski na niebie, które początkowo wzięła za meteory albo flary orbitalne. Zastanawiający był jedynie nietypowy dym daleko na horyzoncie, dokąd akurat zamierzała lecieć.

Jakiś czas później znalazła na spalonej słońcem ziemi, nietkniętej w tej części planety procesem terraformingu, rozbity mały transporter podobny do pękatej poczwarki. Setki metrów dalej majaczyła cysta ewakuacyjna. Obok leżał Kiritianin, wydostał się z niej o własnych siłach, a potem stracił przytomność. Miał na sobie lekką zbroję, co świadczyło o tym, że raczej nie znalazł się na orbicie Calcaris w poważnych celach militarnych. W wyniku przeciążeń towarzyszących katastrofie biometal opancerzenia pękł i wbił mu się w bok; wyjęcie odłamka oznaczałoby wykrwawienie się w kilka minut.

Mimo iż mężczyzna znajdował się w fatalnym stanie, dla nastolatki wydawał się niesamowitą istotą niczym z legend. Jakby z nieba spadł potężny archanioł. Był dobrze zbudowany, z wyglądu przed czterdziestką, o krótko przyciętych rudych włosach. Moduły i podzespoły jego cysty, transportera i biopancerza okazały się na tyle wysoce zaawansowane, że dziewczyna nie potrafiłaby żadnego z nich obsłużyć. Oto w pełni pojęła, dlaczego prości odersi wymyślali na temat Kiritian różnorakie historie, od tych w miarę akceptowalnych po całkowicie niedorzeczne – z najbardziej zwariowaną na czele, że ich imperator Forkis potrafił pożerać żywe kobiety w całości. Hanako uważała, że ostatnie już na pewno było niemożliwe, a ktoś, kto wymyślił takie bzdury, miał zapewne ostro chore fantazje. Jednak sama możliwość bycia przez Kiritian nieśmiertelnymi, od czego pochodził ich synonim, w sensie wolnymi od śmierci ze starości i chorób, wydawała się wysoce

prawdopodobna. Zwłaszcza gdy dziewczyna stała się niebawem świadkiem wręcz magicznych sposobów leczenia.

Ze zdenerwowania jak zwykle dopadła ją czkawka, która na szczęście nie przeszkodziła Hanako w podjęciu działania. Natychmiast zaczęła udzielać mężczyźnie pierwszej pomocy. Gdy jego serce się zatrzymało, udało jej się zdjąć elementy pancerza, dostać do torsu i przeprowadzić sztuczne oddychanie oraz masaż piersi. To przywróciło rozbitkowi krążenie i przytomność.

Potem, leżąc na macie polowej, instruował ją, jak ma mu pomagać przy użyciu medykamentów i sprzętu obecnych w cyście. Szczególnie intrygująco prezentował się klej molekularny – maź z modyfikantów komórek macierzystych – błyskawicznie zasklepiający ranę. Nieśmiertelny naturalnie nie wspomniał, co się wydarzyło. Dziewczyna podejrzewała, że do katastrofy mogli przyczynić się rebelianci.

– Jestem porucznik Gregory Anderson – przedstawił się, gdy zagrożenie życia stało się wspomnieniem i połączył się już ze swoim oddziałem w kosmosie. – Także twoim dłużnikiem...

– Hanako Sahara – odwzajemniła się. – Naprawdę nie trzeba. Zrobiłam to, co każdy powinien uczynić dla drugiego człowieka w takiej sytuacji.

– Spontaniczna, młodzieńcza bezinteresowność. Mimo wszystko nalegam. Jeśli mógłbym kiedyś spłacić ci swój dług, po prostu o mnie zapytaj wśród Kiritian. Chyba że jest coś, co mógłbym teraz dla ciebie zrobić?

– Nie, ale dziękuję za propozycję. Zapamiętam pana nazwisko i może kiedyś się jeszcze spotkamy, oby w lepszych okolicznościach. – Lekko pochyliła głowę.

– Popieram w pełni. – Uśmiechnął się ciepło. – Może życzysz sobie, abyśmy gdzieś cię podwieźli?

– Również nie skorzystam – odmówiła kulturalnie. Wskazała skulaka. – Wybrałam się na samotną wycieczkę, tak jak planowałam. Na kolejną polecę już z grupą znajomych.

Hanako została z Gregorym, póki nie przyleciało po niego transporterami bojowymi kilku achij, jak Kiritianie określali swoich żołnierzy. Wprzód powinna zjawić się obrona planetarna Calcaris, która na pewno zarejestrowała zdarzenie, ale tak się nie stało. Hanako domyśliła się, że wzbudzający postrach Nieśmiertelni,

choć oficjalnie nie mieli żadnej władzy na planecie, kazali zapewne trzymać się tamtym z daleka.

Achij zbadali porucznika, zabrali wrak oraz cystę i niebawem odlecieli, zostawiwszy na równinie dziewczynę obserwującą ich szybki start.

Gregory był pierwszą osobą, w której się zadurzyła. Prezentował się tak niesamowicie, a już zupełnie przepadła, gdy musiała robić mu sztuczne oddychanie i dalej reanimować, co wymagało bezpośredniego kontaktu z jego ciałem. Przeszło jej po kilku miesiącach. Od tamtej pory Lan, której oczywiście się zwierzyła, dokuczała jej żartobliwie z tego powodu.

– Zresztą oni są chyba nieśmiertelni – kontynuowała Hanako wątek Kiritianina z „Nadniebnej Calcaris”. – Gość może mieć i pięćset lat, a ja mam siedemnaście! To trochę chore.

– Pięćset lat, ale kalendarzowych, a nie biologicznych. Przecież takie coś byłoby zarąbiste – rzekła z rozmarzeniem Lan. – Założę się, że większość kobiet z Sutafochun poleciałaby na taką opcję. O ile nie wszystkie.

– A co, Nathanek już ci się znudził? – odcięła się jej Hanako.

– Nigdy w życiu! Tak sobie tylko gdybam. Wyszumiałam się i jestem już w poważnym związku. Swoją drogą ten Kiritianin z barorestauracji nie może mieć pięćset lat. Pierwszy Nieśmiertelny powstał rzekomo w roku 2517, więc czterysta czternaście lat temu.

Lan wydawała się szalona, z pozoru prostacka, ale w rzeczywistości była inteligentna i posiadała ścisły umysł. Potrafiła liczyć w pamięci jak kapripod. Hanako zawsze lubiła w niej pacyfistyczną osobowość pełną sprzeczności.

– Ale to pewnie głupoty z tą nieśmiertelnością. Dla nas, zaściankowych odersów, których życie toczy się skromnie i powoli, Kiritianie są niczym istoty z innego wymiaru. Groźni, poważni, potężni, nieosiągalni. Wiemy jedynie, że gdzieś tam latają w kosmosie i biorą wszystko, na co mają ochotę. To sprzyja powstawianiu legend miejskich.

– Niemniej ja podziękuję za taki związek i się wyłamię z kółka napalonych kobiet. Łatwiej będzie wykopać z ziemi jakąś mumię. – Sahara nie do końca była szczerą z koleżanką. Fantazjowała czasem o tym, jakby to było być w związku z Kiritianinem. Raz w wizualizacji występował nawet sam Forkis, który robił jej straszliwe, ale i podniecające rzeczy, wedle plotek krążących o nim po kosmosie.

Ale nie zdziwiłaby się, gdyby każda kobieta choć raz pomyślała o potężnym, surowym imperatorze we frywolnych kategoriach. – Przynajmniej to bardziej normalna odmiana nekrofilii.

– A fuj, Hanako! – Zaśmiały się krótko. – No patrz, od razu wybrzydzasz z tym Kiritianinem z barorestauracji i jęczysz, że dupa blada wyjdzie. Cała ty. Jakie potem będziesz mieć wspomnienia z wieku nastoletniego? – Lan rozlała resztki wina do ich czystych, nietkniętych jeszcze kubeczków, by choć na koniec wypić kulturalnie. Wzięła swój, zatoczyła nim kólecza. – Noc jeszcze młoda. Za bladolice demony rozsiewające zło po Zodiac Universum, postrachy dziewic.

– Ku czci bogini Benzaiten, by zstąpiła z niebios i obdarowała Lan rozumem! – odparła zadziornie Sahara.

– Na zdrowie!

Kiedy stuknęły się kubkami, Hanako pomyślało się mimowolnie, że to Krystian siedzi z nią na ławce zamiast Lan.

Rozstały się pół godziny później. Trochę senna Hanako postanowiła od razu iść do domu. Gdy była już na poziomie swojego pierścienia mieszkalnego, znalazła w trawie malowaną ręcznie, drobnutką figurkę pandy wykonaną z kamienia; musiało ją upuścić jakieś dziecko. Nie zauważyła w pobliżu nikogo wyglądającego na właściciela zguby, schowała ją więc do torebki. Miała w zwyczaju opiekowanie się zaginionymi zabawkami, także innymi nieelektronicznymi przedmiotami; sprawiało jej to przyjemność. Zbierała je i układała u siebie przy oknach, by były na widoku. Znając hobby Hanako, niektórzy zgłaszali się do niej po swoje zguby, przynosząc w podziękowaniu ciastka, kwiaty czy inne drobiazgi.

Kiedy po toalecie udawała się do swojego pokoju, ukojona myślą, że jutro ma wolne, usłyszała słowa Riku, który z dziadkami Tun Tunem i Misaki wrócił właśnie z festynu:

– Nazajutrz po południu odwiedzi nas pan Sakai z synem Hiroshim.

Zesztywniała z ręką wysuniętą w stronę drzwi, jakby obawiała się, że z drugiej strony wyskoczy przyczajony zakapior. Obróciła się ku schodom, w stronę ojca ściągającego sweter w dolnym korytarzu.

– Po co?

– Gdybyś towarzyszyła na święcie własnej rodzinie, wiedziałabyś dlaczego. Hiroshi bardzo by pragnął, abyś została jego nakamą. Proszę więc, abyś nie

narobiła nam wstydu i zaprezentowała się jak najlepiej.

Nie poddała się doznanemu szokowi i udało jej się odpowiedzieć spokojnie:

– Oczywiście, ojcze. Dobranoc.

Gdyby taktycznie nie weszła szybko do pokoju i nie zasunęła za sobą drzwi, Riku dostrzegłby, że zaczęły drżeć jej ręce i ledwo trzyma się na nogach. Hanako oparła się plecami o ścianę, następnie zsunęła po niej aż do podłogi. Przycisnęła palce do skroni, podkurczyła nogi. Oczywiście złapała czkawkę, co przydarzało jej się często, gdy się denerwowała albo czuła strach. Sięgnęła do szuflady po inhalator, przytknęła nasadkę do nosa i pooddychała chwilę powietrzem wysyconym dwutlenkiem węgla. Dolegliwość ustąpiła.

Status nakamy oznaczał, że Hanako mogła się stać kimś poważniejszym niż dziewczyną Hiroshiego, ale jeszcze nie narzeczoną. Na bycie tą pierwszą oczywiście nie była potrzebna akceptacja głowy rodziny, wystarczyło samo uczucie, jednak nakama wymagała czegoś w rodzaju błogosławieństwa.

Hanako wpadła na pewien pomysł – w takiej sytuacji mogła zrobić tylko jedno. Opłatą za komfort psychiczny będzie jednak kara. Niemniej rodzący się plan napenił jej umysł spokojem, ale nie dlatego, że przedsięwzięcie zapewne skończy się ośmieszeniem własnej rodziny.

Długo nie mogła zasnąć. Przypomniała sobie o znalezionej pandzie. Podniosła się ociężale, by wyjąć ją z torebki i ustawić na parapecie, pomiędzy kolorową piłeczką a tautoriową lalką – zabawką wykonaną z syntetyku przyjaznego najmłodszemu. Stały tam też inne przedmioty, jak różowa świnka, wisiołek z motylem, figurka świerszcza z ułamanym czułkiem, łuska nieznannej Hanako broni, sztuczna królicza łapka, choć powleczona prawdziwym szylkretowym futerkiem, zaśnieżony pierścionek, żołnierzyk, krążownik, czy najładniejszy z całego dobytku – złoty anioł wojny. Hanako nie miała pojęcia, czy przedstawia bożka z któregoś z tysięcy kultów religijnych praktykowanych w Zodiac Universe (czasem na jednej planecie każde miasto posiadało własną wiarę lokalną), jak i jakiej jest płci, bo poza łabędzimi skrzydłami, wielkimi jak wysokość figurki, resztę skrywała stylizowana, starożytna zbroja.

W końcu zasnęła, wpatrzona w ostatnie znalezisko.

Śniło jej się, że wielki latający anioł goni ją z mieczem po Lesie Kolonistów, a z drugiej ręki strzela do niej bronią plazmową, topiąc trafione drzewa. Mimo to

udało jej się uciec. Prawie – rozpędzona Hanako nadzieja się na sterczące z rozwartej paszczy siekacze gigantycznego królika perłowego.

* * *

Thino'pai odniósł wrażenie, jakby ktoś zarzucił mu od tyłu na tors pętlę liny i szarpnął drugim końcem z siłą startującego destruktor. Słyszał eksplozję, widział wrogów, białe światło. Ale co się potem stało, stanowiło wielką niewiadomą. Trudno mu było określić, ile czasu trwało osobliwe, nagłe zjawisko i co realnie stanowiło jego przyczynę.

Szorował chwilę plecami po podłożu, jakby dostał cios w brzuch od któregoś z podległych mu mechów, potem walnął o coś sterczącego z gruntu i zaczął się toczyć bezwładnie. Zatrzymał się boleśnie, uderzając o pionową, chropawą, wysoką kolumnę. Takich niezidentyfikowanych kolumn miał wokół siebie mnóstwo, różnej wielkości, o różnym kształcie i nachyleniu, z długimi, powykrzywianymi wypustkami, które u góry przypominały nieco amplifikatory AMP neurosygnału woli gerhy, rozlokowane na planecie Asephor' Cerotis. Wszystkie organiczne części ciała Thino'pai miał mniej lub bardziej uszkodzone, do czego doprowadziła broń Yakijan i tajemnicze zjawisko, które podziało nawet na tkanki pod pancerzem. Suma tych zranień uczyniła z wkurzonego avora zdolne jedynie do leżenia i stękania truchło.

Ta poniżająca dla varoth niedogodność stanowiła ledwie preludium kolejnych problemów. Następnym był fakt, że Thino'pai w ogóle nie odbierał neurocytem sygnałów od swojego czy obcych kolektywów, co nigdy mu się nie zdarzyło. Odcięło go dokumentnie od Jedności powiązanej z innymi Kandrok, jak i Źródła pochodzącego od gerhy – mózgu i bóstwa ich cybernetycznej społeczności. Nawet jak lecieli do innego wszechświata, mieli ze sobą przenośne transpondery, wychytujące i amplifikujące przekazy z Macierzy. Była to kompletnie nowa dla Thino'paia sytuacja. Pustka go przerażała, paraliżowała umysł. A przecież nigdy się nie bał!

Otworzył diardukową dłoń i stwierdził, że z artefaktu, którym cisnął w niego Salgo, pozostał jedynie piasek przesypujący się między palcami. Kombinacja

nieznanych mu związków porywanych wiatrem. Jakby zużyte urządzenie uległo autodestrukcji.

Coś pacnęło miękko nieopodal jego głowy. Wokół panowały ciemności, przynajmniej jak na standardy Niewyzwolonego avora o organicznych oczach, przystosowanego do życia w środowisku o wysokiej aktywności wielkich gwiazd, zabójczych dla wielu innych organizmów. Thino'pai dysponował na szczęście prawym cybernetycznym okiem, zdolnym do uzyskiwania obrazu w wielu trybach, w tym jako neutrinowy przenikacz zwartej materii. Posiadał też detektor, dzięki któremu potrafił zmierzyć zmiany w strumieniu neutrin przechodzących przez obiekty różnej gęstości, co Yakijanie odbierali jako słynne „widzenie przez ściany”. Thino'pai spostrzegł, że wystarczy mu teraz jedynie wzrok namierzający żywe organizmy po sygnaturze organicznej, jednak nie dostrzegł śladów znanych mu z kampanii wojennych cywilizacji.

Był skrajnie zaskoczony dokonaniem odkryciem.

Wokół otaczało go bowiem żarzące się, ohydne życie w tak wielu formach, że aż zrobiło mu się jeszcze słabiej. Było wszędzie! Jego leberiks padł przed chwilą obok niczym zepsuty na wypukłe, miękkie, żyjące coś. Nie ruszało się, co nie oznaczało, że organizm nie jest przyczajonym drapieżnikiem albo tworem wydzielającym toksyny. Thino'pai kompletnie nie wiedział, z czym ma do czynienia. Jako varoth nienawidził znajdować się w podobnych sytuacjach – bez rozpoznania trafić nie wiadomo gdzie. A w takim przypadku wgrana w niego procedura przewidywała jedną opcję.

Zabić.

Zniszczyć.

Wszystko co nieznanne i może stanowić zagrożenie.

Cyborg wykonał skanowanie, by móc dostosowywać broń do obiektu – i przeżył kolejny szok.

To wypukłe, miękkie, żyjące coś zawierało część materiału genetycznego avora!

Nigdy nie spotkał się z czymś takim!

Neurocyt nałożył momentalnie na niego blokadę, za sprawą której Kandrok określano półautonomicznymi – tylko połowicznie dysponowali wolną wolą. Jego system operacyjny uznał, że nieokreślony organizm, na którym spoczął leberiks,

spokrewniony jest z avorem, więc zamiar jego eksterminacji wydaje się mocno wątpliwy.

Blokada ustąpiła, gdy przy kolejnym skanowaniu przy użyciu oka Thino'pai zorientował się, że podejrzany organizm wydziela tlen, który od pewnej objętości był zabójczy dla avorów. Wykrył też sporo nieznanymi związków, mogących stanowić dlań zagrożenie.

Ledwo mógł ruszać ręką, kule Yakijan uciskały jego wnętrzności, ale udało mu się przesunąć zmiennokształtną broń. Przy użyciu neurocytu przekształcił jej geometrię w miotacz pocisków chemicznych nieszkodliwych dla metali Kandrok, ale zmieniających słabych, miękkich Yakijan w szkielety. To samo powinno zadziałać na nieruchomy organizm.

W krótką chwilę wypalił do nagiej ziemi pobliską ściółkę, gdzie dominowały mchy. Eliminacja ewentualnego zagrożenia nie zmniejszyła ilości tlenu w otoczeniu. Ten pierwiastek, na który avorowie mieli własną nazwę, w dwudziestu jeden procentach wchodził w skład lokalnej atmosfery – była to ilość zabójcza dla płuc organicznego avora. Cennego dwutlenku węgla sfrustrowany Thino'pai wykrył za to szczątkowe ilości. Takie powietrze zabiłoby go w kilka godzin, gdyby nie miał sprawnego aparatu oddechowego. Przynajmniej tyle dobrego...

Nie, jednak nie dobrego – diagnoza wskazała, że życiodajne urządzenie też miało uszkodzone. Unormowanego powietrza zostało mu na ponad dwadzieścia nirów¹.

– Gahreka! – przeklął i natychmiast zasyczał z bólu i wściekłości.

Był ciężko ranny, a miał przy sobie jedynie broń, połowy pojemnik do wytwarzania żywności oraz parę dawek kunhikaru, kiedy jeszcze chwilę temu dysponował całym zapleczem zaopatrzenia. Padła mu neurocytowa łączność z leberiksem – wolał myśleć, że jego towarzysz stracił zasilanie, a nie jest uszkodzony.

Ewidentnie nie znajdował się na planecie wroga. Wszystkie parametry były bowiem tu inne. Kandrok nigdy nie znaleźli się na globie, gdzie nagromadziła się taka różnorodność życia. Widoczne na gołym niebie gwiazdy również były Thino'paiowi obce, także dwa księżycy, których mogło być tu znacznie więcej.

To musiała być pułapka, pomyślał. Salgo udawał uległą ofiarę, pozwolił mu podejść blisko siebie i wtedy zdetonował nieznaną Kandrok broń, która portowała

go w inne miejsce, choć wydawało się to niemożliwe. Yakijanie nie dysponowali przecież taką technologią, a Thino'pai nie przypuszczał, by udało im się ukryć przed Kandrok urządzenie o wysokim potencjale energetycznym. Nawet gdyby zakopali je głęboko pod ziemią.

Nieważne, lokalizacją pomartwi się później. Najpierw powinien doprowadzić siebie i leberiksa do użytku, jak i zapewnić sobie bezpieczeństwo, skoro najwyraźniej był tu sam. Miał kolejnego pecha, bo panowała noc, która mogła się ciągnąć na tej planecie równie dobrze kilka nirów, jak i huva². A cyborg czy Wyzwolony do wspomaganie samoczynnego leczenia i regeneracji potrzebował promieniowania słonecznego. Thino'pai mógł jedynie wstrzyknąć sobie przez kieszeń brzuszną jedną z dawek kunhikaru, co też zrobił. Poczul się nieznacznie lepiej.

Krzywiąc się i wściekając z bólu, próbował sięgnąć ramieniem do leberiksa. Skończyło się to ześlizgnięciem z wystającego korzenia dębu i zaryciem twarzą w wyłączony pomagiera.

Okazało się, że nie działał z powodu wyzerowania zasilania, co z pewnością było skutkiem nieznannej formy nieautoryzowanego przeniesienia. Avor transferował doń część swojej energii. Był świadomy, że wyczerpie go to jeszcze bardziej, pchnie na skraj zagrożenia, ale teraz mógł polegać wyłącznie na latającym leberiksie.

Po krótkim czasie sparowany z Thino'paiem towarzysz odzyskał pełną funkcjonalność i się uniósł. Wyczerpany avor oparł się plecami o pień drzewa i położył rękę na brzuchu. Neurocyt w pełni przejął funkcję nad jego organizmem, wyłączając mu biologiczny mózg – który doprowadziłby go do utraty przytomności – i przekierowując jego energię na siebie.

Z początku cyborg chciał prosić leberiksa o wyjęcie z niego wszystkich pocisków, jednak zreflektował się, że przecież jest tu sam i szybko by się wykrwawił.

Sprawdź teren, Zo'yo, wydał mu nowe polecenie. Ja sobie poradzę, mam broń.

Leberiks posłał mu serię klekotów.

– Taaa... Wiem, że wyglądam jak śmieć! – odwarknął Thino'pai. – Jeszcze raz się nade mną zlitujesz, to wymienię cię na inny model, kiedy już się z tego wykaraskamy. Przysięgam!

Zanim leberiks zerwał się do lotu, obaj dostrzegli nową formę życia. Ta była ruchoma, giętka, lekka, wspinała się sprawnie po kolumnie, używając kończyn z pazurkami. Miała długość stopy cyborga, plus ogon wielki jak reszta jej ciała, także dwoje spiczastych uszu. Znieruchomiała na widok wiszącego w powietrzu leberiksa, podobnego do bojowej ośmiornicy. Ze skanu zrobionego przez Zo'yo i przekierowanego do Thino'paia wynikało, że organizm ma ponad połowę materiału genetycznego wspólnego z avorami.

Thino'pai szybko zapanował nad szokiem dzięki neurocytowi, który, przyczyniając się między innymi do natychmiastowego wystrzeliwania do miejsc docelowych blokerów neuroprzekazników, skutecznie tłumił jego emocje, a tych zbędnych w ogóle nie dopuszczał do aktywacji.

Kolejne analizy leberiksa wskazywały, że nie jest to inteligentna forma życia, jak i nie dysponuje żadną znaną avorowi bronią. Składała się ze wszystkich znanych mu pierwiastków. I co najważniejsze – dałoby się ją przekształcić w energię, której Thino'pai tak bardzo teraz potrzebował, a nie mógł zużyć naraz całego kunhikaru, nie wiedząc, z czym przyjdzie mu się zmierzyć w przyszłości.

Daj go tu. Tym razem Thino'pai nie napotkał blokady, określając swój cel.

Zwierzę zaczęło uciekać, gdy Zo'yo ruszył się z miejsca. Choć ewolucyjnie dostosowane do życia w lesie, natychmiast przegrało w starciu z maszyną służącą narodowi żyjącemu wyłącznie z wojen.

Leberiks złapał chwytykiem wiewiórkę w momencie, gdy przeskakiwała z gałęzi na gałąź i z wyrrywającą się wrócił do Thino'paia.

Avor wysunął cylindryczny pojemnik ze schowka na plecach, gdzie miał też złożone skrzydłopodobne panele absorpcyjne. Wziął do ręki żywą wiewiórkę i wcisnął ją do środka. Wypełniła swoim rudo-białym cielskiem całą wolną przestrzeń.

Zmianienie zwierzęcia we wzbogacony chemikaliami cielisty koktajl nie trwało nawet dziesięciu sekund. Poza lekkim zadowoleniem avor nie odczuwał podczas trwania tego procesu żadnych innych emocji.

– Teraz możesz już lecieć – oznajmił, popijając napój po zsunięciu nasady aparatu oddechowego. Leberiks zaklekotał metalicznie w odpowiedzi. – Ty sam. Widzisz, w jakim jestem stanie. Nic mi nie będzie. Gdy coś cię zaniepokoi i ustalisz, że dasz radę to zniszczyć, po prostu zrób to.

Zo'yo ponownie wydał serię dźwięków.

Thino'pai pociągnął solidny łyk, zanim odrzekł:

– Nie jestem głupi! Przecież wiem, że to nieznany organizm z obcej planety. Nie, to nie trucizna. Ufam naszym analizatorom.

Zmiennokształtny leberiks przybrał wygląd zeskanowanej wiewiórki, z tym że cały korpus pozostał srebrny, jakby zwierzę wzięło kąpiel w rtęci. Opadł na grunt, nie mogąc latać w takiej formie.

– Może być – skomentował Thino'pai. – Choć wyglądasz okropnie.

Kiedy Zo'yo się oddalił szybkimi susami, avor osunął się na spaloną ziemię u podnóża drzewa. Odetchnął głęboko. Pojął, że jest z nim znacznie gorzej, niż przypuszczał, skoro ta krótka rozmowa tak bardzo go wyczerpała. Pusty pojemnik wysunął mu się z otwartej dłoni, gdy przeszedł w stan uśpienia regeneracyjnego, z włączonym trybem czuwania.



2. Nakama

– Droodzy rodaaacy zapindaaalac do praaacy! Droodzy rodaaacy zapindaaalac do praaacy!

Resztki koszmaru o króliku uleciały z umysłu Hanako. Minie jeszcze sporo czasu, nim przestaną ją nawiedzać, może nawet nigdy. Mając poczucie déjà vu, nakryła głowę poduszką, by przekląć bezgłośnie w materiał, po czym usiadła gwałtownie.

– Ty serio jesteś jakiś nienormalny – rzekła ochrypniętym od spania głosem.

Brat przestał podskakiwać.

– Mnie przynajmniej nie adoptowali.

– Jak już, to wyhodowali w bioreaktorze, baranie. – Uznała, że nie będzie mieć litości dla smarka, który po raz kolejny budzi ją wcześniej rano. – Coś źle podsłuchałeś albo ci się pomieszało pod kopułą, jak z Hiroshim Sakaiem.

Riku i Shuang bardzo chcieli mieć dziewczynkę jako pierwsze dziecko, jednak w badaniach molekularnych wyszło im, że prawdopodobieństwo urodzenia córki

wynosi jednaście procent. Zdecydowali się więc na pobranie komórek rozrodczych i manipulację genetyczną. Hanako rozwijała się w sztucznej macicy od chwili zapłodnienia in vitro, aż do „urodzenia”, wybrano jej też parametry fenotypowe, jak wzrost czy kolor oczu. Fuhito przyszedł na świat już w sposób tradycyjny. Rok temu dowiedział się przypadkiem o sztucznym powstaniu Hanako. Od tamtej pory stał się bardziej śmiały, także zły o to, że nie może nabywać wiedzy jak za pstryknięciem palców, tylko musi wstawać wcześniej do szkoły, i zaczął subtelnie dokuczać siostrze. Hanako podejrzewała, że czuł się lepszy z powodu sposobu własnych narodzin, interpretując rzeczywistość na swój niedojrzały sposób. Podejście chłopca nie było jednak odosobnione, choć z zasady dotyczyło bardziej dorosłych. Ludzie mieli zakodowaną w genach nietolerancję i zamiłowanie do podziałów – tak jak roślina światłolubna odchylała się w stronę słońca, na co nic nie mogła poradzić – i jeśli sztucznie się nie ingerowało w ich zachowanie, korzystając z dobrodziejstw medycyny, zawsze znajdowali kogoś, komu mogli przylepić łatkę „inny”. W wielu kulturach potrzebowano tysięcy lat, aby zrównały się prawa kobiet i mężczyzn, setek w dominujących religiach, aby panujące tam radykalne normy złagodniały. Również setki lat po zezwoleniu na hodowlę i projektowanie dzieci poprzez in vitro znajdowały się osoby, którym to przeszkadzało, co z punktu widzenia ewolucji i psychologii ludzkiej było jednak smutną normą. Wielu uważało, że dzieci z bioreaktora nie posiadają duszy, stanowią zagrożenie, jak i są czymś gorszym tylko dlatego, że nie przyszły na świat naturalnie.

Całe szczęście, że w tej kwestii Sahara w ogóle nie przejmowała się docinkami.

– Dziś mam wolne. Więc won z mojego pokoju.

Zerwała się na nogi i pogoniła uciekającego, chichoczącego Fuhitę do progu. Ojciec niestety zabronił blokowania wewnętrznych drzwi domu, by w razie jakiegoś zagrożenia każdy miał wszędzie dostęp. Szkoda tylko, że nie zadziałało to nigdy z królikiem, rozmyślała nieraz Hanako.

Pół godziny później zeszła do kuchni, gdzie spotkała urzędującą babcię Misaki. Po zjedzeniu szybkiego śniadania wzięła swojego autonomicznego drona i udała się do wyjścia.

– Pamiętaj, że o szesnastej przychodzi senior Sakai z synem. Masz być wtedy na miejscu i gotowa! – padło wręcz po żołniersku z głębi domu.

– Oczywiście, ojczu. Nie spóźnię się.

Przeгляд drona tak naprawdę nie był konieczny, dziewczyna chciała jednak mieć pretekst, aby wizyta w warsztacie Jacka wyglądała wiarygodniej. Lubili ze sobą rozmawiać, choć nie mogli nazwać się znajomymi. Działo to na tej samej zasadzie, jak w przypadku wielu mieszkańców Sutafochun, którym sprawiały przyjemność pogawędki z ekstrawertyczną złotą rączką.

Hanako znalazła się na równinie i ruszyła w stronę przytulonego do królikarni warsztatu.

Nie była świadoma faktu, że z gałęzi świerku rosnącego na skraju Lasu Kolonistów śledzi ją na zoomie wiewiórka, która w trybie maskowania pozostawała niewidoczna dla ludzi.

Dziewczyna westchnęła, gdy przypałał się do niej ten sam czarny posokowiec, który irytował ją i Lan podczas święta chleba, i zaczął obszcze kiwać. Kiedy szła, starając się go ignorować, stawał się bardziej agresywny za jej plecami. Jak się obracała, łagodniał, lekko się cofał, ale dalej ujadał i machał nerwowo ogonem. Hanako już zamierzała włączyć trzymanego pod pachą drona i pogonić nim niewyszkolone zwierzę, ale to dało nagle w długą, kierując się ku okrajkowi lasu na wschodzie.

Lubiący swoją pracę Jack siedział umorusany w warsztacie już od wczesnych godzin rannych. Akurat diagnozował sporego robota, służącego do transportu większych ciężarów w królikarni.

– Cześć, Jack. Sprawdziłbyś w wolnej chwili mojego drona? – Hanako chwyciła maszynę oburącz i uniosła lekko, jakby chciała rzucić piłkę. – Jeśli jesteś zbyt zajęty, przyjdę kiedy indziej.

Młodzieniec wstał z przykucu, odłożył lancet energetyczny i wytarł ręce szmatą.

– Miło cię widzieć, Han. Nie ma takiej potrzeby. Dziś będę mieć raczej luzy. Zobaczmy, co my tu mamy.

Wziął drona, usiadł na krześle i włączył skaner do prześwietlenia wszystkich struktur.

Przez pierwsze minuty rozmawiali o urzędzeniu, narodzinach syna jednego z pracowników warsztatu i zbliżającej się koniunkcji księżyców. Kiedy Schwartzberg doładowywał baterię drona, Hanako subtelnie skierowała rozmowę ku rodzinie Hiroshiego.

Młodzieniec uśmiechnął się szeroko, omiatając ją spojrzeniem.

– Nakama, tak?

Zaskoczona dziewczyna nie odpowiedziała. Od razu trafił w sedno, dedukując czy wprzód wiedząc, co się święci, więc nie było sensu kluczyć.

– Twój dronik jest w pełni sprawny. Aktywuj bransoletkę. – Jack włączył maszynę, która uniosła się i zawisła nieopodal Sahary, gdy ta wypełniła polecenie.

Drony personalne były czymś w rodzaju elektronicznych pupili, służyły głównie do nawigacji i towarzystwa. Hanako dysponowała wersją latającą, nieciekawą z wyglądu, ale wołała już prostą bryłę, niż wielkie uśmiechnięte głowy kotów czy innych fantastycznych stworzeń, które wyglądały szczególnie komicznie i infantylnie w towarzystwie ludzi starszych. Dron podążał za bransoletką na nadgarstku właściciela albo czipa podskórnego, słuchał słownych poleceń. Kiedyś opracowano serię sterowaną myślami przy użyciu entrasera, jednak niosło to konsekwencje zdrowotne, nawet onkologiczne, z powodu zbyt wysokiej amplitudy promieniowania oddziałującej na mózg. Wrócono zatem do prymitywniejszych, ale zdrowszych rozwiązań.

– Czyli wiesz, po co tak naprawdę tu przyszłam – oznajmiła Hanako z przepaszającym uśmiechem.

– Domyślam się, że chodzi o Hiroshiego.

– Wygadał się?

Jack wrócił do robota, krzyknął na pracownika w głębi warsztatu, by przyjął klienta, który właśnie wszedł. Mówił, ponownie majstrując przy stopionej obudowie:

– Słyszałem plotki. Rodzina Sakai należy do najbogatszych w Sutafochun, nic więc dziwnego, że siedzi na językach. Jeśli nie chcesz mieć z Hirem do czynienia, zrób mały skandalik i najlepiej powiedz podczas spotkania, że popierasz reżim Kiritian. Chociaż wydaje mi się, że on też jest zwolennikiem wielu metod stosowanych przez Nieśmiertelnych. Jednak jeśli chodzi o nakamę, decyzja będzie należała do ojca, nie syna. A ojciec Hira ich nie znosi.

– Wolałabym nie kłamać. Nie mogę po prostu powiedzieć prawdy? Rozważałam nawet robienie z siebie idiotki. Wiesz, bekanie, potknięcia i wywalanie naczyń, gadanie bzdur, wylewanie herbaty i takie tam, ale to raczej pasuje do Fuhity, a nie starej baby, jak ja.

– Fakt, byłoby to trochę niepoważne. – Jack uśmiechnął się, przerwał pracę i obrócił ku rozmówczyni. – Coś ci powiem, Han. Ludzie twierdzą, że nie znoszą kłamstwa, bo w oficjalnym ujęciu brzmi to patetycznie. W rzeczywistości nie znoszą prawdy, bo ta często bywa bolesna. Mąci im w życiu, które chcą mieć jak najbardziej wyidealizowane. Czują się z tym komfortowo, że są oszukiwani. To coś, w czym nie należy doszukiwać się logiki. Taka już natura ludzka. Mów szczerą prawdę, prosto z serca, a stracisz na pewno znajomych, może nawet zniechęcisz do siebie rodzinę. Kłam, najlepiej robiąc do tego fałszywe miny, a odpowiedzą ci równie fałszywymi, aprobującymi uśmiechami. W twoim przypadku prawda może ci tylko zaszkodzić.

– Dziękuję za radę, Jack. – Hanako lekko schyliła głowę. – Mam jeszcze czas, przeanalizuję twoje słowa. Już nie będę się naprzykrzać.

Młodzieniec napił się herbaty z kubka stojącego na regale z narzędziami. Wykonał nim gest w stronę dziewczyny, wskazał na drugi, czysty, ale pokiwała dłonią w odmowie.

– Zawsze jesteś tu mile widziana. Akurat powiadam teraz szczerą prawdę. – Wyszczerył się, Sahara też się uśmiechnęła. – „Odsuwam od siebie przewrotność ust, oddalam złośliwe wargi” – zacytował fragment pradawnej poezji, której twórcę zataił upływ czasu. – Jeśli masz ochotę, możemy rozmawiać i pół dnia, w niczym mi nie przeszkadzasz. Mam podzielną uwagę.

– Jasne. Do zobaczenia.

Pomachawszy, dziewczyna opuściła warsztat w towarzystwie swojego drona.

* * *

Pies wkroczył na przedpole mieszanego lasu, w którym szczebiało od nadaktywnych owadów, zwłaszcza cykad i świerszczy. Jednak to nie hałas generowany przez faunę przyciągnął uwagę luźno biegającego zwierzęcia. Wydawało mu się, że coś poruszyło się na rozłożystym, niskim świerku, co na pierwszy rzut ślepie przypominało wodnisty kształt. Na wszelki wypadek należało to obszczeć, zademonstrować swoją siłę, opuścić uszy, wystawić zęby. Powarczeć. Pokazać, że jest się groźnym.

Transparentny obiekt przemieścił się na sąsiednie drzewo, potem przeskoczył na kolejne.

Posokowiec zinterpretował to, że nieznana istota, pachnąca równie nieznanym mu metalem, boi się go i postanowiła się wycofać. Na pewno była wytworem ludzkich rąk, wyobraźnia człowieka nie znała bowiem granic; potrafił tworzyć kuriozalne wynalazki. Czarny pies poczuł się jak młody samiec alfa, władca całego lasu. Instykt drapieżcy nakazał mu puścić się w pogoń, nawet jeśli owo coś nie raczyło zejść z drzewa. Przynajmniej będzie satysfakcja z samej okazywanej dominacji.

Zagłębił się w puszcze, gdzie drzewa całkowicie różnych stref klimatycznych koegzystowały ze sobą w stworzonym sztucznie ekosystemie. Świergot owadów opadł o oktawę na rzecz treli ptaków. Korony przysłoniły żółtego karła.

Po pniu miniaturki baobabu spłynął kształt niczym przezroczysta, wielka kropla rzadkiej żywicy. Stał się bardziej materialny.

Pies prawie zastygł w bezruchu, z przekrzywionym łbem, nie wiedząc, co o tym myśleć. Na wszelki wypadek zachował czujność, poruszał się tylko jego ogon.

Stała przed nim na trawie w pełni srebrna wiewiórka. Nie był to jednak kolor pochodzenia naturalnego, podobny do tego na opalizujących łuskach ryb czy pancerzykach rybików toaletowych.

Posokowiec zaczął badać ją swoimi zmysłami.

* * *

Zo'yo skanował duży, obcy organizm pod kątem wszystkich zagrożeń, zwłaszcza toksyczności. Przeliczył potencjał energetyczny, jaki uzyska się po jego przetworzeniu. A potem postanowił zmienić kształt, przybierając mniejszą wersję znajdującej się naprzeciw istoty, zgodnie z prawem zachowania masy. Zmniejszył nieco upakowanie swoich cząstek, co pozwoliło mu przybrać znacznie większy rozmiar niż w przypadku wiewiórki. W takiej formie jego rozwierające się do kąta stu osiemdziesięciu stopni szczęki mogły mieć nawet wielotonowy ucisk, a sam Zo'yo przenosić wielokrotnie większe od siebie ciężary.

Znając już kolejną formę życia z tej straszliwej, przepelnionej tlenem i biomaterią planety, leberiks był gotów wypełnić polecenie Thino'paia.

Rzucił się na gardło psa niczym łasica na ogromnego królika, miażdżąc je diardukowymi kłami razem z kręgosłupem. Potem przyswajał kolejne informacje – uczył się, jak zachowuje się ów większy organizm w chwili śmierci. Nie dopatrywał się w tym wspaniałym procesie nic, czego by już nie znał z licznych kampanii z Thino'pajem.

Jego pan potrzebował energii. Wciąż nie był Wyzwolonym, musiał więc jeść i odzyskać pełną sprawność, by mogli wrócić na wojnę z Yakijanami.

Zo'yo chwycił psa pyskiem za brzuch, wbijając kły w miękką tkankę obleczoną sierścią. Ciągnąc po ściółce jego łeb i przednie łapy z jednej strony, a ogon i tylne z drugiej, ruszył w drogę powrotną. Gdyby zobaczył go teraz postronny obserwator, wziąłby za modyfikanta srebrnego lisa.

* * *

Czas postanowił nie brać jeńców i płynął Hanako zatrwając szybko. Po wizycie w warsztacie Jacka zdążyła ledwo zrobić zakupy i wrócić do domu, a już minęło południe.

Do czasu spotkania z Hiroshim i jego ojcem dziewczyną zajęła się Shuang. Wybrała jej kimonopodne ubranie (Hanako przypominał szlafrok w kwiatki), następnie zabrała się za przygotowanie fryzury (na szczęście skończyło się na przeczesaniu i włożeniu w nie paru skromnych ozdób). Radziła, dawała wskazówki, jak się zachowywać.

Hanako kochała swoją spokojną, pomocną matkę. Nie podobała jej się jedynie uległość Shuang (babka Misaki była zupełnie inna, to raczej ona dyrygowała dziadkiem Tun Tunem, nawet jeśli pod postacią dobrych rad i życzliwych sugestii) na wzór staroświeckich azjatyckich kobiet sprzed stuleci. Także jej ugodowość i bierna akceptacja tego, z czym w duchu się nie zgadzała. Patriarchat wydawał się Hanako niedorzeczny i bezpodstawny w obecnych czasach, był niczym losowy element wyłowiony z ogromnego worka zapomnianych odmętów tradycji. Chociaż rodzina Sahara uważała się za kultywującą zwyczaje (przynajmniej ich część) dalekich przodków, dziewczyna nie wiedziała, ile w rzeczywistości zachowało się tej osławionej tradycji, nieskundlonej przez konwenanse zaczerpnięte z innych nurtów. Zresztą zbyt nie zgłębiała się w historię.

Wystarczyła jej wiedza, że kolonie kosmiczne przypominały dawną Amerykę, dokąd ściągali różne narodowości, szukające lepszego życia w tak zwanym nowym świecie. Kultyury mieszały się, a różnorodność tej mikstury malała w miarę następowania kolejnych stuleci. Gdyby rodzina Hanako cofnęła się w czasie i przestrzeni o tysiąc lat do Japonii czy Chin, zapewne stanowiłaby całkiem odmienną komórkę społeczną niż tamte społeczeństwa.

Mimo przewagi Azjatów w Sutafochun normy nie były tu sztywne. Dla przykładu Riku wiele brakowało do starodawnego konserwatysty, bo z jednej strony miał wpływ na wybór męża dla córki, a z drugiej popierał hodowlę ludzi w bioreaktorach i uwielbiał święto chleba, które wywodziło się z chrześcijańskiego święta żniw, nie wiadomo już nawet z jakiej planety. Mężczyzna dominował w rodzinie Sahara i to on narzucał wartości. Jedynie babcia Misaki potrafiła się wyłamać.

Ubrani odświętnie goście zjawili się punktualnie. Przez tę oficjalność Hanako zrobiło się głupio, że świadomie planowała zepsuć zapowiadającą się na solenną uroczystość. Zgodnie z zasadami nakamy przy stole miały się spotkać cztery osoby: przybyły ojciec z synem oraz gospodarz z córką.

Hanako weszła do salonu jako ostatnia. Ojciec zasunął za nią drzwi i cała czwórka przyklękła na poduszkach przed skromnie zastawionym, niskim stołem.

Na początku, dla rozluźnienia atmosfery, ojcowie zaczęli rozmawiać nieoficjalnie na różne tematy niezwiązane z meritum spotkania. Hiroshi często dorzucał swoje kwestie. Hanako się nie odzywała, z czego nie była zadowolona – jako najmniej ważna w tym towarzystwie miała milczeć, jedynie dolewać herbaty do zdobnej filiżanki, gdy komuś się kończyła. Dziewczyna rozważała, czy nie odstawić szopki na wczesnym etapie i nie mieć już za sobą tego cyrku, jakkolwiek będą wyglądać konsekwencje, ale się mitygowała. W pokoju znajdował się ukryty podsłuch, reszta domowników odbierała wszystko na bieżąco, siedząc na jednym z tarasów.

– Hiroshi, wyjaśnij nam, dlaczego chciałbyś, aby moja Hanako stała się twoją nakamą? – Z ust Riku wypłynęło w końcu najważniejsze pytanie.

Dziewczyna była pewna, że chłopak, który patrzył teraz w jej stronę, zawczasu przygotował sobie odpowiedź, bo zaczął pewnie:

– To jedyna młoda kobieta, która już dawno zwróciła moją uwagę. Jest wyjątkowej urody...

Jak trzecia część dziewcząt z miasteczka, jedna do drugiej podobna, dodała w myślach Hanako.

– ...pracowita...

Tym razem jak prawie całe miasteczko, bo w Sutafochun nierobów, korzystających wyłącznie z usług maszyn, można policzyć na palcach.

– ...posiada własne zdanie, jest rozważna, myśląca...

A teraz to już cechy trzeciej części populacji ludzkiej, bo tyle podobno wystarczy, by tworzyć kolonie w kosmosie.

– ... ułożona, kobieca...

Aktywowałeś słownik przymiotników na losowych stronach?

– ...nie podąża z nurtem tego samego strumienia, jak wszyscy, ale szuka własnej ścieżki zawodowej. Czasem płynie pod prąd...

O, to akurat było niezłe.

Hiroshi wymieniał dalej jej zalety, częstując ją sztucznym uśmiechem, z niewiedomego powodu niepokojącym. Jakby przeznaczał go dla swoich sprośnych myśli, a nie wybranki przed zaręczynami, o którą podobno się starał. Dla Hanako całe to spotkanie wydawało się sztuczne, jedynie Riku za bardzo się nakręcił, bo mówił i zachowywał się spontanicznie.

– Powiedz nam coś o sobie – zwrócił się do niej ojciec Hiroshiego. – Jakie masz plany na przyszłość, jakie hołubisz wartości, co uważasz za cenne?

Oto nadeszła jej chwila.

– Kiritianie – Hanako wypaliła za szybko. Zacięła się z powodu nagłej pustki w głowie, jakby miała tam najedzonego mózgojada, jak czasem żartował Fuhito. Wzięła krótki, głębszy oddech. Spojrzała odważnie w oczy rozmówcy, co spowodowało, że użyteczne myśli pojawiły się same. – Uważam za wartościowe to, co Nieśmiertelni uczynili w Zodiac Universum. Totalitarne rządy Forkisa, jego Rady Dygnitarzy i liktorów po raz pierwszy w historii zaprowadziły porządek wśród ludzkości. To władcy, którzy potrafią trwać w stabilności przez stulecia, choć nie mają sądownictwa, a ich kodeks prawny składa się tylko z dziesięciu przekazów. Jest ich niewielu, niemniej dysponują wielką mocą, armią i flotą. Jedyne zamęt szerzą jeszcze rebelianci, ale i na nich przyjdzie czas. Kiritianie są

prawdopodobnie nieśmiertelni, wygrali ze słabościami natury ludzkiej, dysponują najlepszą technologią, ich medycyna jest niezawodna. – Starła się ignorować ciszę, która zapadła w pomieszczeniu, jakby Hanako znajdowała się w nim sama. Bała się spojrzeć w stronę Riku, ale oczami wyobraźni widziała jego zaskoczoną minę rywalizującą z wyrazem gniewu. – Powinni zająć także Calcaris, wszystkim z pewnością żyłoby się lepiej! – Emfaza wdarła się przypadkiem do wypowiedzi, co tylko nadało jej wiarygodności, jakby nastolatka rzeczywiście była dumna z Kiritian.

Nie wytrzymała, była na to zbyt uczciwa. Od początku przeczuwała, że ten kretyński pomysł zakończy się klapą. Uniosła się, tak że klęczała teraz jak do modlitwy, i oparła głośno dłonie o blat. Chciała wierzyć, że Jack jednak źle jej doradził, a jej wersja ostatecznie okaże się dobra.

– Przepraszam za ten zamęt – wypaliła – że poczuliście się skonsternowani. Wcale nie popieram Kiritian. Szczerze, to są mi całkowicie obojętni, jak i ich militarna działalność. Sądzę, że przyczyna leży w tym, że nie mam z nimi w ogóle do czynienia, pomijając grupkę lub pojedynczych Nieśmiertelnych widzialnych czasem w „Nadniebnej Calcaris”. Nigdy nie byłam świadkiem żadnej ich zbrodni, jedynie o nich słyszałam. A wiem, jak działa rebeliancka propaganda, bo akurat Nieśmiertelni są prawdomówni. Panie Sakai – zwróciła się do ojca Hiroshiego. Chłopak jako jedyny w pomieszczeniu wydawał się rozbawiony całą sytuacją. – Przykro mi to mówić, ale nie chcę budować swojego przyszłego związku na fałszu. Mówiąc najbardziej kulturalnie, pana syn nie znajduje się w kręgu moich zainteresowań. Ma despotyczny charakter, w dodatku mi się naprzykrza. Chce, by wszystko działo się po jego myśli, a jak tak się nie dzieje, denerwuje się i staje agresywny.

Przypomniała jej się sytuacja, od której zaczęły się plotki, że oboje kręcą ze sobą. Po którejś z awantur z ojcem Hanako wybrała się pokontemplować jezioro pośrodku miasteczka; weszła łukowatym, filigranowym pomostem na jedną z jego zielonych wysepek. Jak zawsze nad wodą kręciło się trochę osób, zajmujących się swoimi sprawami i nie zakłócających dziewczynie błogiej samotności. Dopiero zrobił to Hiro. Przyszedł do niej na bezczelnego, oparł się obok o barierkę, aż musiała cofnąć ramię z powodu tej niezręcznej bliskości. Dość bezceremonialnie, obcesowo zaprosił ją do restauracji i spytał, czy nie chciałyby z nim chodzić.

Zachowanie od razu wzbudzało podejrzenia, bo Hiro nigdy się nią nie interesował. W dawnej paczce dzieciaków zawsze stanowił dla Hanako blade tło, do tego miał wtenczas inny charakter. Był nijakim, nieśmiałym chłopcem, a nagle zaczął zachowywać się niczym casanova Sutafochun. Do tego widywała go z podejrzanymi typami na stacji orbitalnej. I jeszcze ta afera z królikami. Możliwe, że ojciec się za niego zabrał i go wytresował. Cały ten zagadkowy podryw wyglądał, jakby Hiro jej do czegoś potrzebował, niewykluczone, iż chciał wygrać jakiś zakład z kolegami. Kto stał daleko i nie słyszał dialogu, zapewne myślał, że ze sobą flirtują.

Hanako czuła nieokreślony lęk przed młodzieńcem, wtedy przy wodzie. I słusznie, bo jak odrzuciła propozycję i zaczęła odchodzić, posyłał jej w plecy groźby, zapewniając, że i tak będzie jego.

Opowiedziała o tym zajściu przy stole, także podobnych incydentach.

– Dlatego właśnie muszę odmówić – zakończyła swoją wypowiedź. – Ponadto... ktoś inny mi się już podoba.

– Jak śmiesz. – Riku nie wytrzymał i wstał. Kipiał gniewem, ale nie podniósł głosu. – To nie do ciebie należy decyzja, młoda damo. Nie masz tu nic do powiedzenia. Coś ty narobiła? Wychowaliśmy cię na porządną dziewczynę. Przeprós natychmiast państwo Sakai za ten stek bzdur.

– U Kiritian podoba mi się jedna kwestia: ich prawdomówność. To coś, co każdy człowiek powinien przyswoić. Dlatego, mimo złego startu z mojej strony, zreflektowałam się i powiedziałam, co naprawdę się wydarzyło i jakie są moje odczucia.

Starszy Sakai uśmiechnął się jowialnie i podniósł. Hiroshi także. Spojrzał na Hanako w całkowicie zaskakujący sposób – ze smutkiem i rezygnacją. Jakby nieświadomie zepsuła coś bardzo kluczowego. I co najdziwniejsze, ta reakcja wydawała się całkowicie autentyczna.

– Nic się nie stało. – Pan Sakai ugodowo uniósł rękę. – Najwyraźniej Hanako ma inne plany. Dziękuję za poczęstunek, życzę wam udanego popołudnia.

– Ja bardzo za nią przepraszam... – Riku prawie giął się w ukłonach, idąc za gośćmi udającymi się do wyjścia.

Hanako stała jak słup, z walącym sercem. Nad podłogą mignął jej czarno-biały kształt. Nawet fretka, która musiała przez cały czas przebywać w pomieszczeniu,

postanowiła je opuścić, by nie być świadkiem zbliżającego się huraganu, który zapewne zrodzi się z tej ciszy przed burzą.

Kiedy Sakaiowie już wyszli, Riku, który znalazł się sam na sam z córką, uznał, że nie musi już zachować emocjonalnej wstrzemięźliwości. Jego nozdrza poruszały się niczym u byka przed szarżą. Słowa ugrzęzły mu w gardle – po prostu wziął zamach i na tyle porządnie zdzielił w twarz zaskoczoną dziewczynę, że okręciła się i poleciała ku podłozu. Zdążyła wysunąć ręce, przez co boleśnie zamortyzowała upadek.

Usiadła, kierując oczy ku ojcu. Z nosa leciała jej krew, momentalnie pojawiła się czkawka.

Była bardziej zaskoczona niż zrozpaczona – Riku w życiu jej nie uderzył. Krzyczał, terroryzował, karał, ale nigdy nawet nie dał klapsa.

Nikt z domowników nie zdecydował się interweniować, nawet Misaki. Hanako poczuła się zdradzona przez własną rodzinę. Do pokoju wleciał jedynie martwy dron, który aktywował się ze stanu uśpienia, zlokalizowawszy raną właścicielkę. Nie był wyposażony w tryb bojowy, więc nie potraktował mężczyzny jako zagrożenia, jedynie zajął się krwotokiem Hanako, tamując go sprajem zwężającym naczynia i uśmierzającym ból.

– Połączenie się z rodziną Sakaiów byłoby dla nas bardzo korzystne – zaczął Riku, zaciskając pięści i patrząc beznamyślnie na poszkodowaną córkę. – Są bogaci, podzieliliby się z nami pieniędzmi. Wzmocniłby się nasz prestiż. Czy ty w ogóle myślisz, dziewczyno?

– Czyli o... to chodziło cały czas. – Czkając, Hanako pokręciła głową. Było jej przykro, ale nie uroniła nawet łzy. – Wszystko już sobie rozplanowałam. – Wstała chwiejnie. Dron zawisł przy niej niczym niegroźny strażnik. – Wymagałam ode mnie zachowania się... odpowiedzialnie w sprawie nakamy, tymczasem sam chciałeś potraktować mnie jak... dziecko, któremu rodzic nie ma obowiązku mówić wielu rzeczy, bo jest mało inteligentne i na wszystko się zgodzi. Pieniądzy nam nie brakuje. Nie zatrzasz... nimi ani prestiżem traumy swojej przeszłości, nie poczujesz się przez to lepiej.

Spojrzał na nią wręcz z nienawiścią, że przez moment obawiała się powtórki. Riku jednak się zmiętygował, ale jego głos kipiał złością, że bardziej cedził słowa, niż je wypowiadał:

– Miałaś jedynie zachować się jak na córkę przystało. Tymczasem przyniosłaś hańbę naszej rodzinie, obraziłaś cennych sąsiadów, jeszcze przyznałaś się do puszczalstwa.

Tym razem i ona poczuła gniew.

– O nie, nic takiego nie powiedziałam... Wiesz co, gwizdź na twoje zasady. I jeśli musisz już wiedzieć, chłopak, który naprawdę mi się podoba, jest rebeliantem.

– Wynoś się z mojego domu, niewdzięcznico! – Riku wskazał drzwi wyjściowe.

Celowo powiedziała o Krystianie, oczywiście nie podając jego tożsamości, bo postanowiła iść za ciosem i także zranić ojca. Kiedyś, gdy był jeszcze młody, z pobudek patriotycznych dołączył do rebeliantów. W czystym, młodzieńczym zrywie chciał walczyć chwalebnie ze złem, za jakie uważał Kiritian. Trafił akurat na ortodoksyjną grupę paramilitarną, w której w miarę upływu lat się radykalizował. Nie bez powodu opozycję niejedni określali terrorystami czy partyzantami, którzy niewiele opracowywali własnej technologii, a głównie kradli ją bądź kupowali. Rdzeń rebeliantów pochodził od Armii Nowego Porządku, działała ona na Ziemi przy rządzie globalnym, póki nie obalił go Forkis. Znajdowało się tam sporo bojowników Państwa Islamskiego. Riku przesiąknął ich ideologią. Podczas jednej z potyczek z Kiritianami w kosmosie, gdy miał uszkodzony lekki okręt posiłkowy zwany fustą, rebelianci wykalkulowali, że pilota nie warto ratować i zostawiono go na zatracenie. Nieśmiertelni nie dobili rakieta mężczyzny, sądząc, że w przestrzeni dryfuje nieistotny wrak. Riku miał zapas tlenu i żywności na trzy miesiące pokładowe, zasilania na połowę tego czasu, ale szczęśliwie namierzył go wcześniej wycieczkowiec przelatujący o kilka minut świetlnych nieopodal.

Po tych zdarzeniach mężczyzna osiadł na Calcaris, gdzie mieszkali jego rodzice, założył rodzinę, znalazłszy uległą żonę, i zajął się królikarnią. Z rebeliantami nie chciał mieć już nic wspólnego. Jak ich kiedyś podziwiał, od czasu feralnej potyczki zaczął nienawidzić. Zwłaszcza że żaden z dawnych znajomych nie zainteresował się jego stanem, gdy okazało się, iż przeżył.

Hanako zamaszystym krokiem opuściła salon, głucha na komentarze ojca. Dron podążył za nią.

W sąsiednim pomieszczeniu zobaczyła przez szparę w drzwiach zasiadającą na tarasie resztę. Dziadek Tun Tun usilnie skupiał się na posiłku, Fuhito wyglądał na

wystraszonych, jakby to on oberwał, natomiast Shuang spojrzała na nią ze współczuciem. Misaki nie było w domu – akurat jedynej osoby mogącej rozmówić się z synem.

Hanako poszła do swojego pokoju, oparła się ciężko o ścianę obok zamkniętych drzwi, ale nie tkwiła długo w tej pozycji. Opuszczenie domu na pewien czas z pewnością dobrze jej zrobi, obie strony powinny doprowadzić się psychicznie do porządku, bo dziewczynie krew przestała już lecieć, a czkawka zaczęła mijać. Nie zamierzała zgłosić do służb miejskich zaistniałego incydentu, rodzinne konflikty z zasady nie wychodziły poza ściany domu i wcześniej bądź później kończyły się konsensusem.

Przebrała się w wygodne spodnie, bluzę i kurtkę, następnie wyjęła z szafy zawsze będący na podorędziu „plecak kryzysowy”. Tam, gdzie zamierzała się wybrać, przyda się dodatkowy prowiant i wyposażenie, którego nie da się wydrukować na miejscu.

Pierwsze piętro stykało się z górką, Hanako wyszła więc swoim tarasem. Dron stale jej towarzyszył, polatując obok. Rozważała, czy go nie wyłączyć i nie zostawić, gdyż mógł działać jako lokalizator, ale sobie odpuściła. Jeśli nie przy pomocy drona, to ją samą można było namierzyć poprzez entrasera obrośniętego tkanką w jej mózgu. Chyba że stale nosiłaby ciężki hełm zakrywający całą głowę. Do tego dochodziła jeszcze kwestia skulaka. Problem rozchodził się więc na szerszą skalę, bo dotyczył sygnałów wychodzących od każdego sprzętu elektronicznego. Inwigilacja osób niebędących już dziećmi, czyli powyżej szesnastego roku życia, wymagała rozpatrzenia sprawy przez szeryfa miejskiego czy inne instytucje śledzące zaginionych. Wystarczyłoby więc, by Riku zgłosił sprawę, jednak Hanako przypuszczała, że tego nie zrobi – nie po raz pierwszy się posprzecwali i opuszczała dom na jakiś czas.

Gdy poszła naokoło do garażu po skulaka, spotkała Shuang z fretką na rękach. Kobieta weszła do środka korytarzykiem łączącym się z domem.

– Hanako, proszę, nie rób głupstw – zagaiła błagalnie.

Dziewczyna posłała jej uspokajający uśmiech.

– Znasz mnie, będę jak zwykle na siebie uważać. Mam wolne w pracy, potraktuję to jako wakacje. Posiedzę parę dni u Wiki.

Stuknęła plecak, aby dać matce do zrozumienia, że gdyby chciała zrobić „coś głupiego”, nie fatygowałaby się z przygotowaniami do wylotu. Poczowała się jednocześnie jak królowa hipokrytów, która dopiero co odwoływała się do kiritiańskiej prawdomówności. Wiktoria była jej starszą o kilka lat koleżanką z dzieciństwa, która już jako osoba pełnoletnia załatwiała nieraz ich bandzie frywolne materiały na holonoty, pokazując przy tym, jak obejść kontrolery treści dla nieletnich. Po ślubie wyprowadziła się do oddalonego o kilkaset kilometrów od Sutafochun miasteczka Tikimo na północy Lasu Kolonistów, gdzie zamieszkała z mężem i dzieckiem. Dzięki automatyzacji życia dysponowała sporą ilością czasu na rodzinę, jak i znajomych, chętnie więc gościła u siebie Hanako, która lubiła bawić się z jej córką.

Uzgodniła z Wiktoria, aby ta ją kryła, kiedy Sahara robiła samotne, wielodniowe wypadki poza Sutafochun. Na dowód, że była u Wiki, trzymała na holonocie rzekome zdjęcia z pobytu w Tikimo; deepfake'a robiło się w parę sekund i wzrokowo nie dało się go odróżnić od prawdziwego zdjęcia. Naturalnie stale pojawiały się aplikacje analityczne, ale w procesie cyfrowej koewolucji zaraz wychodziły równoważne programy uniemożliwiające odróżnienie materiałów realnych od stworzonych przez sieć neuronową. Proces wykorzystania fejków nie zmienił się od stuleci. W Zodiac Universum panowała zasada, że jeśli coś jest funkcjonalne i spełnia dobrze swoją rolę, stale znajduje się w użyciu. Stąd wiele technologii od dawna działało na tej samej zasadzie, jedynie wychodziły nowe wersje.

Hanako uruchomiła pojazd i ruszyła na spotkanie z zapadającym wieczorem. Na wschodnim niebie wykwiwały pierwsze gwiazdy, podczas gdy widoczne na zachodzie chmury opalizowały przepięknie w zjawisku iryzacji; przywodziło to na myśl tężowe pióropusze. Nad miasteczkiem wisiał sierp białego księżyca Cal-5. Dron towarzyszył dziewczynie niczym wierny ptak, który nie może się zmęczyć.

Polatując nad pochylniami, wydostała się poza kręgi Sutafochun.

Kiedy znalazła się na terenie ogrodu Myanmar, gdzie wśród bujnej zieleni sterczały stożkowe, rekreacyjne budowle, zawołał do niej Billy. Hanako wyhamowała skulaka i opadła na ziemię.

– Widziałś może mojego Lesota? – zapytał napastliwym tonem mężczyzna, nie przywitawszy się, jakby to Sahara odpowiadała za zniknięcie posokowca. Niemniej

w jego głosie dało się wychwycić troskę.

– Czemu nie znajdziesz go po sygnale z czipa?

– Urwał się właśnie przy lesie. – Wskazał ręką ku okrajkowi. – Lesoto nie mógł sam sobie go wyjąć, tym bardziej zablokować. To nierealne. Musiałby odgryźć sobie łopatkę...

– Jak go znajdę, to dam znać. – Pies był równie okropny, co arogancki Billy, ale Hanako wymiękła, dostrzegłszy zmartwienie właściciela. Darowała sobie wymądrzanie się, że gdyby bardziej pilnował Lesota, a przede wszystkim lepiej do wychował, nie dochodziłoby do takich sytuacji.

Uniosła pojazd i ruszyła dalej, mając w nawigacji konkretny cel wędrowni. Kiedy była mała, razem z ferajną dzieciaków zbudowali domek na drzewie, kilka kilometrów od granicy Lasu Kolonistów. Budowla, choć prymitywna, służyła im za bazę przez resztę dzieciństwa. Rok temu Hanako postanowiła, że stworzy sobie podobne miejsce, tylko dla siebie, własną, nostalgiczną, eremicką samotnię. Wynajęła więc prywatną firmę stawiającą obiekty mieszkalne; umowę zapisano na pełnoletnią Wiktorię. Pracownik poleciał z Hanako transporterem budowlanym w upatrzone miejsce, ponad sto kilometrów od Sutafochun, i wydrukował domek wedle zasugerowanego projektu. Wystarczył kwadrans, aby dziewczyna uzyskała garaż-rupieciarnię oraz parterowy, minimalistyczny lokal o powierzchni trzydziestu metrów kwadratowych, usytuowany w obszarze leśnym, gdzie nie kręcili się ludzie. Od razu z niezbędnym wyposażeniem, w tym długoterminową żywnością. Jedynym zagrożeniem dla Hanako byłiby Nieśmiertelni, gdyby zdecydowali się zaatakować z kosmosu. W ich języku taki domek rekreacyjny lub tymczasowy kolonialny nazywał się benglow. Był tak popularny, szybki i tani w produkcji, drukowany z syntetyku zwanego markią, że Hanako zdobyła na niego uinale już po kilku miesiącach pracy na stacji orbitalnej. Głównym powodem zatrudnienia się w tamtejszej fabryce była właśnie chęć szybszego zarobku na domek, który Wiktorie przepisze na Saharę, gdy ta stanie się już pełnoletnia.

Bez wsparcia autopilota skulaka sprawnie i szybko wymijała wielkie drzewa. Poczucie, że ma nad wszystkim kontrolę, działało odstresowująco. W zapadającym zmroku Hanako korzystała z nasuwanej przed oczy osłonki, która wyłapywała promieniowanie cieplne każdego organizmu o temperaturze większej od zera bezwzględnej, zatem też pnie mijanych po drodze drzew. Prawie wszystkie były

modyfikantami, by mogły koegzystować ze sobą: od sosen, brzoź i miłorzębów, po palmy obrośnięte lianami i paprocie drzewiaste.

Hanako zaczęła zwalniać, gdy las zgęstniał na dobre.

Skulak niespodziewanie odmówił posłuszeństwa i zwałił się na grunt niczym pocisk z uszkodzonym napędem. Opadł też dron, a zaskoczony dziewczynie wyłączyło się wspomaganie widzenia. Przeleciała przez sterownicę i turlała się wiele metrów po miękkim, sprężystym podłożu złożonym z widłaków i kożucha liści. Z jękiem wpadła na zmurszały pień, który zasypał ją rudym, zbutwiałym drewnem o woni grzybów i wilgoci. Na koniec rozlazło się po jej ciele ceniolubne robactwo.

Nic sobie nie zrobiła poza nabyciem paru siniaków i skaleczeń. Leżała sfrustrowana, przez długie oddechy wpatrywała się w kilka gwiazd widocznych przez komin pnia po zwalonym drzewie i w ciemne chmury przepływające nad lasem. Kiedy irytacja zaczęła ustępować, strzepała z siebie łaskoczącą faunę oraz nieczystości.

Pociemniało na tyle, że Hanako przestała rozróżniać kolory, ale wciąż rozpoznawała kształty. Podeszła do skulaka, starała się go odpalić, ale równie dobrze mogłaby próbować polecieć na pniu. Z dronem było podobnie. Wyjęła z plecaka staroświecką latarkę na baterię, której dotąd nie używała; przy pakowaniu sprzętu brała pod uwagę możliwość znalezienia się w warunkach, gdzie nie będzie działać elektronika. I najwyraźniej zaszła taka okoliczność, choć dziewczyna nie miała pomysłu, co mogło być tego przyczyną głęboko w lesie. Planeta została zabezpieczona na wypadek wyrzutu plazmy słonecznej, więc promieniowanie kosmiczne było wykluczone.

– Pięknie...

Rozejrzała się po otoczeniu. Kiedy ostatni raz patrzyła na nawigację, znajdowała się ponad dziesięć kilometrów od swojego benglowa. Jako że nie było tu żadnej drogi dla pojazdów kołowych (do dalekiego transportu używano praktycznie tylko latających), nawet ścieżki, Hanako miała problem z określeniem położenia. Wszystko teraz wyglądało inaczej, mroczno poza kręgiem światła i niepokojąco. Skrzekot bagiennych stworzeń i zdający się dochodzić zewsząd trel ptaków budzących się o zmierzchu nie sprzyjały zachowaniu spokoju.

Wiedząc, że ze skulakiem nic nie wymyśli, postanowiła zrobić jedyną możliwą na tę chwilę rzecz: udać się pieszo do benglowa. Schowała drona do materiałowej torby, którą miała złożoną w kieszeni plecaka, zarzuciła ją na ramię i ruszyła w drogę.

* * *

Mężczyzna palący bucha rozmyślał chwilę, usłyszawszy najnowsze wieści. Razem z Hiroshim znajdowali się wśród rozmontowanych silników w półmrocznym pomieszczeniu, jednym z wielu przynależących do wielkiego warsztatu. Choć na noc obiekt zamykano, dla pewności zabezpieczyli drzwi.

– Prosiłem cię tylko o tę jedną durną rzecz, i nawet tego nie potrafiłeś zrobić dobrze. – Korciło go, by dmuchnąć dymem prosto w twarz młodego Sakaia, ale finalnie skierował strumień na bok. Hiroshi już i tak wyglądał żałośnie, stojąc niemalże na baczność, z miną przegranego i rękoma przyciśniętymi do tułowia. Nie bał się rozmówcy, dręczyło go jednak poczucie winy. Człowiek wylewał na niego swoją złość także z powodu poniesionej klęski. – Całe życie tatuś wyręczał cię we wszystkim. Nie dziwi mnie to, że udawałeś zupełnie inną osobę.

– Myślisz, że da się wszystko zrobić tak od razu? – zaczął bronić się chłopak. – Miałoby to sens, gdybym próbował miesiącami, a nie tak nagle! Każdy się połapie, że coś kombinuję, nawet dziecko.

– No dobra, przepraszam, Hiro. Trochę przesadziłem. Ta nowa aplikacja, visercher, wybrała niestety tylko jeden obiekt o pożądanym cechach. Wyszłoby znacznie prościej, gdyby mieli w czym przebierać. Mimo wszystko wystarczyłoby złamać któryś nadrzędny warunek i byłoby raczej po sprawie. Musieliby szukać znowu, w dalszych miastach. Jeśli chodzi o reguły, ściśle ich przestrzegają.

– Czemu więc sam nie przejąłeś inicjatywy? Tak myślę...

– No?

Hiro popatrzył stanowczo na interlokutora.

– Może Midnight coś by zdziałał, gdybyśmy go odpowiednio przekupili...

– Ten świr?! Na miejscu dziewczyny wolałbym już się zabić. Naprawdę byłbyś gotów jej to zrobić? Zresztą on nie jest stąd, byłoby trudniej wszystko zorganizować. Mimo że Midnight to psychol, jest też honorowy i wierny

Remulusie, przynajmniej do czasu, aż stara nie popełni błędu. Myśl trochę. Sam nie mogę się zająć sprawą, bo w tym siedzę i miałbym kłopoty, gdyby coś wyszło na jaw. Stale mnie obserwują. Ty jesteś osobą postronną, więc twoje działania nie będą podejrzane.

– W przeszłości musiałem działać na wasze zlecenie – przypomniał mu Hiro.

– Ale nadal jesteś bezpieczny, bo użyteczny. Wykonałeś po prostu anonimową robotę, której kwintesencja cię nie obchodziła.

Sakai wzdychał długo, spoglądając na wybebeszonego skulaka.

– To co teraz zrobimy, skoro plan się rypnął? Tylko my dwaj przejęliśmy się losem dziewczyny.

– Serio nie wiem – odparł ponuro rozmówca. Docisnął resztkę bucha do stołu. – Nie możemy powiedzieć jej prawdy. Poginęliby kolejni ludzie. Ona nie nadaje się do tego, by być jedną z nas. Arcykapłanka skazała ją na stratę...

– Ja tego tak nie zostawię! – Hiro zacisnął pięść, wreszcie czując przypływ odwagi.

– Nie działaj pod wpływem emocji, w ten sposób nic nie osiągniesz. A sam możesz skończyć marnie. Już raz padły na ciebie podejrzenia.

– Nie możemy czekać z założonymi rękami, aż nadejdzie święto Czystej Krwi.

– Mamy jeszcze czas. Na pewno wydarzy się coś, czego będziemy mogli się uczyć.

– Czy używanie aplikacji nie jest sprzeczne z ich zasadami? Czy to nie jawna hipokryzja?

– A widziałeś kiedyś człowieka nią nieobarczonego? – Mężczyzna potarł o siebie rękoma ubrudzonymi mazidłem. – Jest późno. Zasiadzieliśmy się, ktoś nas jeszcze zauważy i będzie, że konspirujemy. A ty już w ogóle będziesz miał pozamiatane.

Hiroshi odblokował drzwi i obaj wyszli niebawem przed oświetlony budynek, po czym każdy udał się w kierunku swojego domu.



3. Ten obcy

Kiedy Hanako udało się dotrzeć do polanki obrzeżonej osikami, gdzie stała kamienna kapliczka, zaczął siąpić ciepły deszcz. Przedostawał się przez baldachim utworzony z rozległych gałęzi koron. W oddali zagrzmiało. Dziewczyna odkryła to wzniesione przez nie wiadomo kogo miejsce kultu na bagiennej wysepce, gdy szukała dogodnego punktu na ulokowanie benglowa. Od tamtej pory nieraz tu przychodziła, za każdym razem witana przez rzeźbę młodej, poważnej kobiety w chlamidzie, z rozłożonymi ramionami, tkwiącą w marmurowej wnęcie zwieńczonej piramidką. Do obiektu prowadził krótki chodnik porośnięty mchem, nieraz zalany wodą, ale na tyle płytką, że ledwo sięgała powyżej podeszew butów.

Kapliczka dotąd zdawała się nieodwiedzana przez ludzi.

Teraz jednak znajdowały się tu ślady ich bytności, bo zwierzęta nie mogły zostawić w błocie geometrycznych, traktorowych odcisków, nawet modyfikanty. Widocznych w świetle latarki wgłębień po łapach także nie brakowało – ktoś mógł zabrać dla towarzystwa sporego psa. Raczej nie był to zaginiony Lesoto, bo po co

ten mocny w pysku i na odległość diabeł miałby zagłębiać się na dziesiątki kilometrów w puszcze? Zresztą odciski zostawiło coś znacznie większego. Hanako pomyślała o wilku, ale takie stworzenia nie mieszkały w Lesie Kolonistów.

Sama kapliczka została zniszczona. Rzeźbę zwalono na grunt, jej lewa ręka była pęknięta. Święta panienka leżała twarzą w brei. Podobny los spotkał kolumnienki z jadeitowymi misami na wkłady. Ktoś dał nawet radę wybić dziurę w tylnej ścianie.

Hanako nie umiała określić, jak dawno temu dopuszczono się wandalizmu, przez co zaczęła się bać.

Opuściła szybko polankę, trzymając się myśli, że jednak jest tutaj sama i nikt nie podąży jej śladem. Zmierzała miękką ściółką w kierunku benglowa, przynajmniej tak jej się wydawało. Spłoszyła się, gdy para zajęcy gwałtownie wystrzeliła z chaszczki. Sprzęt elektroniczny, który dziewczyna miała w plecaku, wciąż pozostawał martwy. Poczowała się odrobinę pewniej, gdy w jej dłoni znalazł się nóż.

W latarce wyczerpała się bateria. Hanako kupiła ją za dwa uinale na stacji orbitalnej, gdzie sprzedawca zapewniał, że upływ czasu nie spowoduje utraty energii przy braku eksploatacji. Ładowała ją kilka miesięcy temu i teraz mogła jedynie zgadywać, czy dała sobie wcisnąć kit, czy może Fuhito bawił się urządzeniem.

Dziewczyna na dobre zaczęła odczuwać strach, gdy usłyszała w oddali męskie głosy. Paradoksalnie tandetna latarka przestała działać w idealnym momencie, bo światło zniknęło, zanim nieznajomi mieli szansę je dostrzec.

Po pewnym czasie, który Hanako spędziła nieruchomo w krzakach jak wcześniej zające, mogła ich zobaczyć.

Było ich pięciu. Czterech młodych i znacznie starszy, siwy, prowadzący grupę. Wszyscy nosili szmatławe, prymitywne ubrania niczym bezdomni czy jacyś partyzanci od dawna ukrywający się w puszczy. Szli wężykiem, nieśli pochodnie i kosili maczetami wielkie liście bananowców. Hanako udało się przemieścić bezszelestnie i przyległa do pnia potężnego dębu, od ciemnej strony lasu, gdy mężczyźni przechodzili z dwadzieścia kroków obok. Wychyliła zza drzewa kawałek głowy. Wśród wszechobecnej czerni mieli kontrastowo oświetlone ogniem sylwetki. Nie kojarzyła ich z widzenia, więc na pewno nie mieszkali na stałe w Sutafochun, ale jeden wydawał się znajomy. Rozważała, czy mogli być to ci

od zniszczonej kapliczki, ale nie zauważyła przy nich psa, choć z drugiej strony wcześniejsze ślady mogło pozostawić dzikie drapieżne zwierzę, które jakimś sposobem dostało się do lasu. Rozsądek nakazywał jej nie ujawniać się obcym facetom.

– ...i mówił, że mu nie wyszło – wyłapała strzępek rozmowy. – Twierdził, że trudno znaleźć partię z odpowiednimi parametrami.

– To znajdzie inną – odparł z irytacją kolejny z rozmówców.

– Jak dla mnie zaszło to za daleko – dodał trzeci, z wyglądu najmłodszy. Chciał zawisnąć na opadającym z gałęzi pnączu i prawie się wywalił, gdy roślina urwała się pod jego ciężarem. Sąsiad zaczął się śmiać. – No i co cieszysz mordę?

– Uważaj z tą pochodnią, bo zielsko podpalisz.

– Przecież pada. Mogą wyniknąć z tego kłopoty.

– No raczej, gdy sfajczy się cały las.

– O Chalkonie mówię, głąbie! Zobaczycie, że źle się to skończy.

– I kto niby nas znajdzie? – odezwał się siwy, okręcając się w tył. – A za konfidencją od razu idzie strzał w czerep. Jesteś nowy i zwyczajnie masz obawy, bo nie znasz jeszcze tego środowiska. To normalne. Z czasem ci przejdzie...

Hanako dalej nie była w stanie rozpoznawać słów. Wreszcie przypomniała sobie, gdzie widziała jednego z tych facetów – rozmawiał z Hiroshim w fabryce.

Ostatnia pochodnia zniknęła jej z widoku, pozostawiając po sobie blednącą poświatę. Dziewczyna odczekała jeszcze dwie minuty i ruszyła w przeciwną stronę.

Za dnia trafienie z bengłowa do kapliczki nie sprawiało jej problemu, teraz błąkała się po ciemku już drugą godzinę. Postanowiła przeczekać pod rozłożystym drzewem, które skutecznie chroniło przed mżawką. Las był ogromny i dziewczyna nie chciała ryzykować zapuszczenia się na obce tereny. Posiliła się suszoną porcją żywności wyjętą z plecaka. Odwiedziły ją na odległość lis i dwa szopy; małe drapieżniki były nieszkodliwe dla ludzi, więc dopuszczano ich obecność w puszczy.

Ze wsparciem przyszedł jej, obok zachodzącego księżycy Cal-5, różowy Cal-1 zbliżający się do pełni, który wyłonił się zza chmur po tym, jak deszcz ustąpił całkowicie. Przy takiej ilości światła dziewczyna rozpoznała miejsce, w którym się znalazła. Jeszcze jedno zjawisko pośpieszyło jej z pomocą, szczególnie

widowiskowe. O tej porze roku, późną wiosną, głęboko w ciepłych lasach kwitły podobne do storczyków kwiaty nayu. Ich lotne nasiona świeciły w ciemnościach błękitem bądź żółcią, podobne do setek tysięcy unoszących się w powietrzu mikrolamp. Był to efekt modyfikacji – ci, co stworzyli kwiaty, chcieli, by także nasiona ładnie wyglądały. Taka bioluminescencja nie była naturalna, nawet sprzeczna z normami natury, bo delikatne wiatropylne nasiona zamiast nie przykuwać uwagi, by trafić na podatny grunt, właśnie to robiły. A nayu nie zaliczały się do typu flory, która musiała zostać zjedzona przez zwierzęta i zdolna do kiełkowania dopiero po przejściu przez ich układ pokarmowy. Problem rozwiązano, wprowadzając genetycznie zmianę korygującą, czyli nieprzyjemny zapach nasion, niewyczuwalny przez ludzi, także dodatkowo substancje drażniące dla fauny.

Hanako zyskała więc efektowne, dodatkowe źródło światła. Mogła już bez problemu pokonać ostatni odcinek trasy.

Do swojej osłoniętej enklawy o powierzchni pół hektara dotarła kilka kwadransów później, w towarzystwie ostatnich nasion nayu. Prostokątny domek przylegał bokiem bezpośrednio do ściany kilkudziesięciometrowego, bazaltowego wzniesienia. Obok stał garaż, dalej znajdowała się sadzawka z klarownie czystą wodą i zbiorowiskiem lilii wodnych, nad którymi górowało drzewo zwane puchowcem pięciopręcikowym. Chcąc uzyskać większą integrację z naturalnym otoczeniem, Hanako nie naszpikowała go zaawansowaną elektroniką, jak ekran defensywny czy kolonia dronów naprawczych, bo było to zbyt drogie. Stworzenie enklawy w nudnej, nieodwiedzanej okolicy już samo w sobie stanowiło dobrą ochronę. Można tu było nawet palić ognisko bez obawy, że ktoś zauważy dym.

Urządzenia, które powinny się aktywować wraz z nadejściem właściciela, pozostały martwe niczym porzucony skulak. W benglowie nic nie działało: od klimatyzacji, głosowej sieci neuronowej i lamp bakteriobójczych, po komponenty kanalizacyjne i moduły awaryjne. Hanako musiała otwierać drzwi kluczem zamiast poprzez skan dermatoglificzny, a w środku zapalić świece z wosku pszczelego. Czuła się przez to, jakby porządnie cofnęła się w czasie, choć wiedziała, że takie podróże są niemożliwe. Niemniej ogień nadawał jednopokojowemu wnętrzu przytulnej, romantycznej atmosfery.

Obiekt uzyskiwał energię z otoczenia, wykorzystując zasilanie geoagregatów ulokowanych w piwnicze jak i germanowo-krzemowo-selenowych modułów fotowoltaicznych. To drugie było niezawodną metodą stosowaną od stuleci, choć obecnie o wiele wydajniejszą niż kiedyś. Moduły pokrywało pancerne szkło, niewrażliwe na ekstremalne zjawiska pogodowe, jak opad diamentów (owo zjawisko na małej Calcaris zająć akurat nie mogło) czy gradu wielkości ludzkiej głowy. Zamontowano je na wschodnim stoku skały przy benglowie, gdzie przez pół dnia, przy słonecznej pogodzie, absorbowały i przetwarzały promienie A1. Benglow i garaż były zasilane już gotowym prądem transferowanym bezprzewodowo do kilku prętów odbiorczych wkomponowanych w ściany. Wszystko to okazało się teraz bezużyteczne. Dziewczyna miała tylko nadzieję, że na Calcaris nie zawitała wojna i Kiritianie nie zdecydowali się dołączyć planety do swojej strefy wpływów, powodując zakłócenia elektroniki.

Inaczej wyglądała sprawa z główną atrakcją garażu.

Drugim hobby Sahary obok zbierania figurek były antyczne pojazdy kołowe. Jeden z nich, zielony samochód terenowy z okazałymi kołami typu monstertruck, wyposażony w zintegrowaną przyczepę z burtą, stał się jej własnością. Nabyła go oczywiście od Jacka za niewielkie pieniądze. Druk według starego projektu był prosty i błyskawiczny. W pełni mechaniczny samochód, bez grama elektroniki, napędzały akumulator oraz benzyna, której zapas Hanako wciąż miała w kanistrach.

Zrzuciwszy plecak, poszła sprawdzić pojazd. Jak zawsze czekał gotowy na eskapadę po lesie, do tego nie były mu potrzebne drogi.

Hanako obeszła resztę enklawy, nie znalazła w niej śladów niczyjej bytności. Zdecydowała się na krótkie pływanie w stawie przy towarzystwie rechoczących żab. Po odprężającej ablucji udała się na spoczynek.

Nie zdawała sobie sprawy, że od chwili gdy zauważyła pierwsze nasiona nayu, była stale obserwowana i zbierano na jej temat informacje.

* * *

Obudziła się, gdy niewyraźna kula słoneczna zaglądała przez nasuniętą na okno tkaninę fotowoltaiczną. Żółty karzeł A1 miał swoje pięć minut w benglowie tylko

wczesnym rankiem, gdy jego promienie przebijały się przez ubytek wśród gęstwiny liści. Tyle jednak wystarczyło, by naładować tkaninę, która mogła potem świecić po zmierzchu. Promienie padały intensywnie na domek jeszcze w okolicy zenitu, ale jedynie na dach.

Hanako długo leżała na materacu z włókna syntetycznego. Rozmyślała najpierw o konflikcie z ojcem, później o tajemniczym inhibitorze elektroniki (wieczorna myśl o Kiritianach w świetle dnia wydawała się niedorzeczna, prędzej już w puszczy wojsko miało ćwiczenia) i na koniec mężczyznach z pochodniami. Zastanawiała się, czy rzeczywiście była tu bezpieczna i czy nie zdążyli już ukraść jej porzuconego skulaka. Choć nie lubiła broni, zaopatrzyła się u Jacka w cywilny pistolet energetyczny, który był dozwolony do użytku dla każdego zdrowego psychicznie odersa powyżej czternastu lat. Wstała, by go wyjąć z komody pod oknem. Broń okazała się nieaktywna, podobnie jak nadal cała reszta sprzętu.

Poranek na zewnątrz okazał się rześki po wczorajszym deszczu. Słoneczny, spokojny i rozbrzmiewający pieśniami ptaków, których kilka par uwiło gniazda we wgłębieniach ściany skalnej. Po niebie nie latał żaden kiritiański czy rebeliancki okręt bądź statek. Panowała cisza cywilizacyjna, jak przystało na głębię lasu. W ferworze wczorajszych wydarzeń dziewczyna zapomniała wziąć z Sutafochun holonot, który zostawiła w swoim pokoju. W obecnych okolicznościach wydawało się to jednak małą niedogodnością. Za to jakimś cudem w jej plecaku znalazły się figurki pandy i anioła wojny. Uznała, że musiała je zabrać przypadkiem albo strąciła bezwiednie ręką z parapetu, szczególnie że czarno-biały misio miał wielkość pojedynczego winogrona. Postawiła przedmioty na gzymsie przy oknie.

Hanako wzięła długą, odprężającą kąpiel w sadzawce; wprawdzie miała do dyspozycji łazienkę wydzieloną z pokoju, ale na powietrzu zawsze było przyjemniej. Zwłaszcza że miała pełnię swobody. Mogła oglądać żwirowo-piaszczyste dno na każdej głębokości, a w najgłębszym punkcie woda sięgała jej do oczu. Szybko wymyła z niej wszystkie zmartwienia.

Wychodząca na brzeg dziewczyna stanęła oko w oko ze srebrnym psem.

Pisnęła.

Nie usłyszała, żeby podchodził. W ogóle go nie widziała, choć zmieniała kierunki podczas pływania.

Wyglądał jak Lesoto, który wykąpał się w rtęci i to przeżył, tyle że był mniejszych rozmiarów od oryginału. Zachowywał się nietypowo. Nagły hałas powinien go spłoszyć, spowodować chociaż dyg, machnięcie ogona, drgnięcie uszu, tymczasem pies wpatrywał się w nią twardo, jedynie lekko przechyliwszy łeb. O dziwo, nie warczał ani nie czekał, choć dziewczyna kojarzyła go praktycznie z samymi objawami agresji. Był zastanawiająco sztywny, przypominał przez to robota starych generacji.

Ewidentnie działo się coś mocno nie tak, zbyt wiele kuriozalnych wydarzeń miało miejsce zaledwie w dobę.

A już w ogóle zrobiło się dziwnie, gdy srebrny posokowiec obrócił się, następnie okręcił łeb, by spojrzeć dziewczynie w oczy, i skinął nim zupełnie po ludzku, wskazując pyskiem grupę drzew. Zachowywał się skrajnie spokojnie, lecz Hanako odnosiła niepokojące wrażenie, że mógłby ją zaatakować w mgnieniu oka.

Kiedy nadal stała jak słup, po kostki w wodzie, pies podszedł do niej, chwycił lekko metalowymi zębami za jej dłoń i pociągnął ku sobie.

– Chyba rozumiem – odezwała się. – Ale nie mogę iść na golasa.

Podróbka Lesoto przysiadła. Nie spuszczać z niego oczu, Hanako sięgnęła po ręcznik leżący na głazie, okryła się nim i skierowała w stronę bengłowa. Pies obrócił się, tak by stale mieć ją na widoku – jakby nie przeszkadzała mu nawet ściana domku, do którego weszła.

Dziewczyna szybko zamknęła za sobą drzwi. I co powinna teraz zrobić? Iść w nieznane, narażając się na niebezpieczeństwo? A jeśli ktoś pilnie potrzebował pomocy i przez jej wahanie, czy ostatecznie wypięcie się na problem, źle się to dla niego skończy? Czy to miało coś wspólnego z dezaktywacją elektroniki na dużym obszarze? Może działo się tak na całej planecie? Jeśli tak, to dlaczego ten wyglądający na robota stwór działał? Była równie zaintrygowana, co zaniepokojona.

Posokowiec nie pozostawił jej wyboru – uchylił jakoś okno, choć siedział od niego oddalony, po czym z toporną jak na psa biomechaniką wziął krótki rozbieg i wskoczył do środka. W przyziemnym otoczeniu jego ślepia miały rubinowy poblask. Czy zawsze musiał to być ten kolor, gdy chodziło o zagrożenie czy jakąś bestię?, pomyślała wystraszona dziewczyna. Czyli to jednak robot i jeśli miał coś wspólnego z dezaktywacją urządzeń elektronicznych, powinna się go obawiać.

Maszyna przemówiła kalekim głosem w obcym dziewczynie języku. Głos był męski, średniej tonacji, chropawy i brzmiał jak rozkaz wydawany komuś, kim się gardzi.

– W porządku, pójdę, ale daj mi się ubrać. – Nie zamierzała sprawdzać, jak zakończyłoby się starcie, gdyby zaczęła dźgać psa nożem czy rzucać w niego przedmiotami.

Założyła cienki, przewiewny, ale chroniący przed wilgocią i zimnem szary kombinezon z plamami moro. Pies jedynie ją obserwował, gdy wkładała do rozpakowanego wczoraj plecaka mogące się przydać przedmioty, w tym, obok apteczki, kiritiański klej molekularny. Dzięki Eremonowi nabyła go z rabatem na stacji orbitalnej. Dotąd użyła go dwa razy na swoje zadrapania i działał fenomenalnie, bo po krótkim czasie nie miała na ciele najmniejszych śladów.

Rozważała, czy nie iść pieszo, biorąc pod uwagę możliwość przemieszczania się po trudno dostępnym terenie, ale ostatecznie uznała, że pies może prowadzić ją daleko i zdecydowała się na samochód.

W garażu rzuciła plecak na siedzenie pasażera, jeszcze raz sprawdziła poziom paliwa, po czym ruszyła.

Biegnąc przed maską, zwierzę szybko prowadziło Hanako ku północnej części lasu. Wydawało się inteligentne, bo wybierało idealną drogę pod koła samochodu, unikając wądołów, torfowisk i bagien.

Przystanęli na kilka minut w dębowo-sagowcowym zagajniku – dziewczyna z przejęcia zapomniała w benglowie skorzystać z toalety.

– Czym ty jesteś? – skierowała filozoficznie brzmiące słowa do siedzącego psa, gdy załatwiła już potrzebę i zdezynfekowała ręce.

Nie spodziewała się reakcji – niemniej posokowiec zaczął się zmieniać. Stop, z którego go wykonano, nabrał półpłynnych właściwości.

Kilka kilogramów psa stało się kilkoma kilogramami czegoś w rodzaju drona: spłaszczoną kulą z ruchliwymi ramionami, o aparycji bojowej ośmiornicy i z przerażającą, rubinową diodą pośrodku okoloną mniejszymi. Bez żadnych dysz, stateczników, wirników czy jakichkolwiek napędów twór uniósł się ponad jej głowę, w zupełnie niezrozumiały dla Hanako sposób. Nie wyglądało to na antygravitację. Zapachniało jej to technologią Kiritian.

– O, nie, pierdzielę...

Ruszyła zamaszystym krokiem w stronę auta, zamierzając wykonać karkołomny w błocie manewr cofania i szybko się stąd wynieść. Stała na baczność, gdy tuż przed jej stopami fragment postrzelonej ziemi przestał istnieć.

Obejrzała się wystraszona na maszynę bojową, którą mogła już tak określać. Zrozumiała, że to ustrojstwo nie da jej odejść.

– Zatem prowadź, jeśli mamy bawić się w ten sposób – rzekła bezradnie.

Z walącym sercem i poczuciem zagrożenia ruszyła samochodem za lecącym dronem, rozmyślając, kim może być jego właściciel. Jeśli rzeczywiście miało to coś wspólnego z Kiritianami, będzie miała zdrowo pozamiatane. Może jej się poszczęści, gdy oznajmi, że uratowała kiedyś życie ich porucznikowi Andersonowi.

Dostali się na teren tym razem olchowo-topolowego zbiorowiska, w który w miarę pokonywania odległości wdzierało się coraz więcej dębów. Odstępy między pniami były zadowalające. Ściółkę stanowiły głównie grube kożuchy mchów, powodujące kołysanie się pojazdu. Szare chmury przysłoniły niebo, ale nie zapowiadało się na powtórkę z deszczu.

Wraz z mijanymi kilometrami Hanako nieznacznie się uspokoiła. Przypuszczała, że to dzięki monotonnemu bujaniu się pojazdu, olejkom eterycznym lasu i otaczającej ją zieleni.

Ale gdy dotarli do kresu tej nienormalnej wyprawy, przeżyła znacznie większy szok niż wczoraj, gdy oberwała od ojca.

Wychodziła z samochodu, patrząc wybałuszonymi oczami w konkretne miejsce. Momentalnie pojawiła się czkawka, lecz Hanako nie była w stanie sięgnąć po spersonalizowany inhalator.

– Wielki Buddo... – wyszeptała.

Na wypalonej ziemi leżał biały jak śnieg cyborg. Uściślając, taką karnację miała organiczna część jego ciała, tudzież wygolone po bokach głowy włosy. Ale równie dobrze mógł to być żołnierz w opancerzeniu. Co do charakteru bojowego obcego Hanako nie miała wątpliwości, zwłaszcza ze względu na tkwiącą przy jego ręce broń nieznanego typu. Pomijając fakt, że wszędzie znajdowała się krew, najbardziej niepokojąca wydawała się jego morfologia: niby miał kończyny, tułów i głowę jak człowiek, ale ewidentnie nie można było określić go istotą ludzką. Raczej humanoidalną. Widoczne poza maską oddechową rysy twarzy – choć

łagodnie zaokrąglone, kojarzyły się jej z okrucieństwem ich właściciela – były nieczłowiecze, miał także nietypowy kształt czaszki. Szyję mocną, ramiona niegrube, ale umięśnione, barki nie wiadomo jakiej budowy, bo niknęły pod pancerzem. Z odległości obcy wyglądał na martwego.

Oprócz wielu metrów sześciennych ściółki otoczenia umarło też kilka pobliskich drzew; wyglądały jak wypalone chemikaliami do ostatniej gałązki.

– To na pewno twór Nieśmiertelnych – powiedziała głośno, by samą siebie przekonać do swojej tezy.

Jednak nie zgadzało się tu wiele rzeczy.

Pies, który najwyraźniej był powiązany z poszkodowanym, nie przemówił w benglowie po kiritiańsku. Zresztą po co Nieśmiertelni mieliby spuszczać na planetę coś takiego? Jak mężczyzna mógł się tu dostać? Zniszczenia wskazywały na katastrofę, ale czemu rozbitek wciąż istniał? Gdzie podział się krater, jeśli miał miejsce impakt? Co z pojazdem? Może ciało było toksyczne i doszło do skażenia terenu? To brzmiało najsensowniej: Kiritianie podrzucili im z orbity jakiś człekopodobny, nieudany eksperyment. Ale czemu go nie zutilizowali...

Hanako podskoczyła, z frustracją uniosła dłonie, gdy dron bojowy strzelił blisko jej stopy. Rozumiała ów iście ponaglący przekaz. Nie miała zbyt dużego pola manewru. Jeśli pozostanie niezdecydowana, zabije ją ta cholerna maszyna albo zatruje się świństwem, które wyjałowiło teren.

– Już dobra, rozumiem – warknęła, choć w środku cała się trzęsła. Na zewnątrz zresztą też, szczególnie było to widoczne po kolanach.

Nie spuszczając mężczyzny z oczu, zbliżyła się doń. Przykucnęła, zsunęła zabrany z kabiny plecak. I... co dalej? Jak niby miała mu pomóc, skoro nie wiedziała, czym jest, co się wydarzyło i jak mogą wyglądać jego obrażenia pod pancerzem?

Coś jakby czytało jej w myślach, albo do zmiany sytuacji przyczynił się dron, dostrzegając wahanie nastolatki, bo elementy opancerzenia, w tym maska oddechowa, zaczęły się przesuwac i uchylać, prezentując schowaną w środku resztę.

Jednak był to cyborg. Poszczególne części ciała nieestetycznie scalały się z nieznanym Hanako metalem implantów, niebędących częścią pancerza. Komponenty wychodziły z torsu, jakby mężczyzna przeżył katastrofę lotniczą

i drobne szczątki wbiły mu się w organizm. Istniała też możliwość, że całe metalowe ciało powleczone było sztuczną skórą, która stopiła się w prawie pięćdziesięciu procentach. Obrażenia wyglądały paskudnie. Jak mogły zostać zadane pod solidną ochroną torsu, wykraczało poza zdolności rozumowania dziewczyny. Jedynie przyszło jej do głowy, że obcy nie miał na sobie osłony w chwili ataku sprawcy. Najgorzej prezentowały się rany postrzałowe, w których wciąż tkwiły kule... Ogólnie ciało tego żołnierza stanowiłoby mokry sen chirurgów plastycznych – i zapewne dramat zwykłych chirurgów odersów. Bo znajdujący się grubo powyżej dwójki w skali Kardaszowa Kiritianie doprowadziliby do stanu funkcjonalności nieszczęśnika w dwadzieścia minut.

Był jeszcze jeden ewenement, który dopiero teraz przykuł uwagę dziewczyny, kontemplującej obrażenia górnej partii organizmu. Obcy w ogóle nie miał... Uściślając, poniżej podbrzusza zupełnie brakowało tkanek organicznych, podobnie jak tkanka własna rąk zaczynała się dopiero ponad łokciem.

Hanako spaliła buraka, choć praktycznie nie było ku temu powodu. Nie wliczając wirtualnych projekcji dla dorosłych, z których niegdyś śmiała się z koleżankami, nigdy nie widziała na żywo nagiego faceta. I akurat w swoim debiucie musiała zobaczyć tak okropnego, w równie okropnych okolicznościach. Może inaczej: twarz i biologiczną budowę miał raczej w porządku, było w nich coś pociągającego, intrygującego z powodu obcości, tylko to opancerzenie, rany, krew... No i ten dziwaczny mankament. Ciekawe, czy miał tak od zawsze, rozważała, może był czymś w rodzaju bezpłodnej robotnicy u owadów? Albo postanowił zostać cyborgiem, bo stracił znaczną część ciała i wychodziło to taniej, niż odtwarzanie tkanek?

Znów się zaczerwieniła, zorientowawszy się, że gapi się we wstydlive miejsce. Czkała cały czas, choć teraz już rzadziej.

I co ona biedna miała poradzić?

Nie była ani lekarzem (może powinna wziąć pod uwagę ten fach, skoro znowu musiała kogoś ratować), ani nie znała się na fizjologii... kosmitów? W sumie czemu leżący nie miałby być przedstawicielem innej inteligencji? Ludzie odkryli już jeden gatunek obcych – Onkalotów określanych człekojuagarami, którzy na szczęście mieli poziom rozwoju cywilizacyjnego Azteków i Majów z szesnastego wieku, fachowo określany zero koma dwa Kardaszowa. Czemu zatem we

wszechświecie nie mogło się znajdować coś jeszcze, przeoczone i nieskatalogowane?

Hanako była w stanie co najwyżej przemyć i zdezynfekować rany, założyć opatrunki, dać środki przeciwbólowe i regeneracyjne, co też zaczęła robić. Na jedną z oczyszczonych ran nałożyła kiritiański klej molekularny, który w ogóle nie zadziałał, a był uniwersalny i integrował się z tkankami dowolnego człowieka. To mocno komplikowało sprawę; Sahara liczyła, że problem rozwiąże głównie ta maź.

Obcy nie oddychał, w ogóle się nie ruszał. Organizm miał wychłodzony, ale ponaglana przez pilnującego ją drona, ogłupiała dziewczyna pracowała dalej, czując się, jakby reanimowała zwłoki. Przynajmniej mogła być z siebie dumna, że nie zemdląca od babrania się w tak zmasakrowanym ciele; rozbity Gregory wyglądał o wiele lepiej.

Zerknęła na drona, który niczym patrolowiec tauricji – tak określano lokalne służby porządkowe, których nazwa pochodziła od byka w ich logo – wisiał nad nią, stale na tej samej wysokości, i uważnie wszystko rejestrował.

Hanako nie mogła się oprzeć pokusie i zaciekawiona uchyliła żuchwę mężczyzny, by zajrzeć w głąb jego ust. Wszystko wyglądało tak samo jak u człowieka, zęby miał grube i w pełni zdrowe. Może to jednak był człowiek, ale jako transhumanista? Nie posiadała wiedzy o tym, czy na silnie zmienionych genetycznie transhumanistów nie działał kiritiański medykament.

Skupiona dotąd wyłącznie na cyborgu Sahara zerknęła w lewo – i odchyliła się z jękiem, aż upadła na siedzenie. Ujrzała bowiem przy krzaku zakrwawione szczątki psa: czaszkę, żebra, miednicę, ogólnie same duże fragmenty. Miała złe przeczucia, choć wiedziała, że to wcale nie musiał być zaginiony Lesoto. Psy wciąż uchodziły za powszechne zwierzęta domowe, co nie wyglądało inaczej na Calcaris. Popatrzyła z lękiem na cyborga. Nie mogła w sumie potępiać go za takie zachowanie, o ile rzeczywiście zabił zwierzę, by przeżyć. Gorzej wyglądała sprawa z biednym, antyspołecznym Billym, który zapewne dlatego przelał swoje uczucia w Lesota.

Wysypała na ziemię resztę zawartości plecaka. Centralne oko drona ożywiło się, badając poszczególne przedmioty. Maszyna podleciała i uniosła chwytnikiem inhalator Hanako, z którego właśnie zamierzała skorzystać.

– Na czkawkę – oznajmiła. – Wysycony dwutlenkiem węgla. Ja się poddam – dodała z westchnieniem, załamując rękę. – Przepraszam. To nie mój poziom. Twój właściciel wymaga pilnej pomocy, trzeba jak najszybciej wyjąć wszystkie kule. Tu potrzebny jest szpital. Albo warsztat, choć najpewniej już prosektorium.

Dron najwyraźniej doskonale wiedział, co robić, bo ku zdziwieniu Hanako, przy pomocy macek przytknął nasadkę do nosa albinosa i wtłoczył mu do ustroju sporą dawkę aerozolu.

– Poważnie, umyвам ręce – powiedziała, unosząc je. – Jak chcesz go udusić, o ile wciąż żyje, to droga wolna. Grobu jednak kopać nie będę. Możesz mi strzelać pod stopy do woli.

Wzdrygnęła się, gdy mężczyzną targnął impuls nerwowy, jakby przez jego członki przeszedł prąd o dużym natężeniu. Zachłysnął się niby odratowany na brzegu topielec. Oddychając płytko, przejął ręką od drona inhalator i na oczach coraz bardziej zdumionej dziewczyny zaczął zasysać śmiertelne dawki dwutlenku węgla niczym najcenniejszą ambrozię.

Sahara wpatrywała się równie osłupiała co złęczona w cudownie ożywionego humanoida, szczególnie w jego przerażające cybernetyczne prawe oko oraz płomienne lewe.

Obcy był niemniej wstrząśnięty, także gapił się na Hanako niby na zjawę. Zmarszczył białe brwi, nagle coś sobie uświadamiając, potem szeroko otworzył swoje naturalne oko. Grymas na krótko przeszedł w zdumienie, bo zaraz na obliczu cyborga wykwitnęła niechęć, jakby dziewczyna była sprawczynią jego stanu, a nie próbowała mu pomóc.

Hanako dopiero teraz uświadomiła sobie, klęcząc obok opartego o martwy pień, półleżącego humanoida o wyglądzie maszyny bojowej, że mogła popełnić fatalny błąd. Nawet na skalę globalną czy kolonialną. Ktoś, kto prowadzi spokojne, pokojowe życie, raczej nie skończyłby w takim stanie. Dlaczego cyborg uciekł? A może chodziło o coś innego? Jednak jaki miała wybór, będąc stale na celowniku drona przymuszającego ją do pomocy? Zresztą niewiele pomogła. Nie wyleczy się pacjenta, przyklejając mu plaster na złamanie.

– Asilaha... – rzekł obcy, kiwając głową. Tembr głosu brzmiał tak samo, jak wcześniej u psa. Sahara przypuszczała, że to cyborg przemawiał wtedy na

odległość przez swojego małego strażnika. – Kama nisingali na maho yako o inhagaa, Zo'yo, kuhaya igu akaan inaan kwan kuamini.

– Nic nie rozumiem – odparła, bezradnie rozkładając ręce. Słowa brzmiały twardo i groźnie, jak nakaz zabójstwa, ale zarazem ładnie i melodyjne. Totalnie ambiwalentnie.

– Nic nie rozumiem – powtórzył mężczyzna z akcentem i poprawnie, jakby od urodzenia uczył się kiritiańskiego, bo w tym języku Hanako się odezwała, przekonana, że ma jednak do czynienia z wytworem Nieśmiertelnych. Upuścił inhalator.

Gdy minęły czkawka oraz chwile zdumienia, choć puls wciąż nie zamierzał spaść poniżej dziewięćdziesięciu, dziewczyna przyłożyła dłonie do piersi.

– Jestem Hanako Sahara.

– Thino'pai – odparł cyborg.

Pomyślała, że albo znów powiedział coś w swojej mowie, której wciąż nie potrafiła dopasować do niczego jej znanego, albo zrozumiał oczywistą intencję i się przedstawił.

– Thino'pai. – Dotknął się jedną ręką w pierś, bo druga bezwładnie spoczywała na wypalanej ziemi. Potem wskazał dziewczynę. – Hanako Sahara.

– Bardzo dobrze, tak się nazywam.

– Bardzo dobrze.

Trochę było to przykre, że stale spoglądał na nią jak na nielubianego sługę. Całkowicie odmiennie popatrzył na drona. Dziewczyna odgadła, że musiał w sposób zdalny się z nim komunikować, bo maszyna natychmiast zbliżyła się do gruntu i zaczęła rysować po nim szpikulcem wysięgnika. Błyskawicznie powstało tam istne dzieło sztuki, będące klarowną dla Hanako instrukcją jakby w formie komiksu, z poszczególnymi klatkami informacji.

Zrozumiała, że Thino'pai życzy sobie, aby go zabrała do lokum przy stawie i tam się nim zajęła.

– Nic z tego – odparła, przerażona perspektywą, że być może niebezpieczny cyborg naruszy jej prywatne terytorium, ostoję spokoju i bezpieczeństwa. Nie dbała tym razem o to, że nic nie rozumie. – Powinnam odwieźć cię autem do Sutafochun.

Nie była mistrzynią rysunku, więc wskazała na niego, potem na samochód, znów na Thino'paia, ostatecznie wstała, podskakując radośnie, machając rękoma, uśmiechając się i czując jak idiotka. Chciała przekazać w miarę klarownie, że odwiezienie go do miasteczka może oznaczać jego ozdrowienie. Ponownie wskazała Thino'paia, wykonała znak przekreślenia samochodu i legła na ziemię, udając trupa.

Mężczyzna zawarczał. Kiedy Hanako przykucnęła i zaczęła zbierać swoje rzeczy, w tym wrzucać do worka zakrwawione opatrunki, bezgłośnie naradzał się z dronem, chyba żażarcie, bo ten coś klekotał, a twarz Thino'paia przybierała gniewne wyrazy.

Cyborg objął dziewczynę groźnym, ofensywnym spojrzeniem, mrozącym krew w żyłach i ścinającym białko wokół nich.

Gwałtownie rozbolą ją głowa, aż syknęła i przysunęła dłoń do czoła, by się pomasaować. Zauważyła, że Thino'pai wpatruje się w nią intensywnie, co musiało sprawiać mu ból. Oczywiście powodem nie była praca oczu, lecz kolejny niezrozumiały dla Hanako proces, zachodzący w jego drżącym organizmie. Gdyby go teraz dotknęła, zorientowałaby się, jak bardzo się nagrzał.

Dziewczyna wrzasnęła z bólu, osunęła się na czworaka. Cierpiała tak przez chwilę w nagłym, nieprzechodzącym paroksyzmie, póki całkowicie nie padła na grunt – zupełnie jak Thino'pai kilka metrów obok. Tyle że w przeciwieństwie do niej cyborg znów wyglądał jak nieżywy.

Kiedy się ocknęła, leżała na wznak z twarzą skierowaną ku niebu, choć pamiętała, że legła na prawym boku. Zapewne straciła przytomność albo jej mózg był w takim stanie, że nie pamiętała momentu zmiany pozycji.

Podniosła się, spostrzegłszy, że stan Thino'paia nie uległ zmianie.

– Cześć, Hanako – przemówił do niej dron wiszący za jej plecami, co sprawiło, że westchnęła nerwowo, równocześnie wykonując błyskawiczny półobrót.

– Ty jednak mówisz po mojemu!? – wydukała z niedowierzaniem. – Ale jak...

– Rozmawiasz nie z Zo'yo, ale ze mną. Przemawiam przez leberiksa dzięki sparowaniu neurocytowemu.

Rzeczywiście tembr i ton głosu przypominały te wydobywające się wcześniej z ust Thino'paia, tyle że miały bardziej metaliczne, chropawe brzmienie. Spojrzała zdezorientowana na niego; wciąż nie dawał znaku życia.

– Wykorzystałem entrasera w twojej głowie i wyciągnąłem przez niego wszystkie zapisane tam informacje. Znam więc też język angloamerykański, jak nazywacie sztucznie stworzony język uniwersalny, i wywodzący się z niego kiritiański. Taki wysiłek energetyczny, konieczny do złamania zapory lingwistycznej, wyczerpał mnie doszczętnie, biorąc pod uwagę mój stan, dlatego znajduję się na poziomie wyciszenia.

– Czego? – zapytała Hanako, w sumie nie wiedząc o co. Przeraziły ją totalnie umiejętności tego mężczyzny. Stała jak osłupiała.

– Kandrok mają określenie na ten stan fizjologiczny, ludzie najwyraźniej nie, bo go nie znają. To coś silniejszego od snu, ale słabszego od śmierci.

– Kriostaza? Anabioza?

– Jeszcze coś innego. W przypadkach krytycznych pozwala zaoszczędzić resztki energii, którą nadważyłem, byśmy mogli się szybko porozumieć, zamiast odwoływać się do pantomimy i rysować obrazki, co na pewno zakończyłoby się błędnymi interpretacjami. Zakładam, że nie masz kybro, w którym mógłbym odpocząć i jednocześnie się zregenerować? Zo'yo nie zauważył w twojej wiosce czegoś podobnego.

– Nie mam pojęcia, co to. – Dziewczyna nie skomentowała niepokojącego faktu, że obcy najwyraźniej wie o jej miasteczku. Dziwnie się czuła, dyskutując przez zawieszony w powietrzu drona, kiedy realny rozmówca wyglądał jak nieboszczyk. Nie wspominając o tym, w jaki sposób Thino'pai obszedł barierę kojarzeniowo-znaczeniową, która zawsze rozdzielała odseparowane od siebie cywilizacje.

– W wielkim przybliżeniu to pojemnik z płynem półorganicznym – objaśnił – który służy do wyciszenia świadomości, ale i regeneruje mikrourazy. Śpimy w ten sposób, jakby to chyba brzmiało po waszemu.

– Nie mam czegoś takiego... Jednak w benglowie znajduje się drukarka do podstawowych elementów użytku codziennego, z której korzystają zwykli odersi. Oczywiście nie wydrukuje nic zaawansowanego, bo samowystarczalność oznaczałaby bezpodstawność istnienia firm, ale może będzie odpowiednia do twoich potrzeb.

– Istotna jest tutaj breja, a nie zdołasz jej wytworzyć. Zabierz mnie zatem samochodem do domku w lesie, tam będę mówić, jak masz się mną zająć.

Sahara nieznacznie otrząsnęła się z szoku, uświadamiając sobie, że Thino'pai wydaje jej polecenia. Zapewne zaklasyfikował ją do istot niegodnych z nim współpracy, jak równy z równym. Spojrzała mniej przychylnie na jego ciało, po czym wróciła wzrokiem do drona.

– Skoro wiesz to samo, co ja – myśl, że cyborg mógł poznać wszystkie jej sekrety, prywatne myśli, przyprawiała ją o dreszcze – chyba zdajesz sobie z tego sprawę, że powinniśmy jechać do Sutafochun? Nie posiadam odpowiednich kompetencji, aby się tobą zajmować. Rzucasz mnie od razu na głęboką wodę, kiedy ja stoję na brzegu i ledwo moczę stopę.

– Nie rozumiem twojego ostatniego zdania.

– To powiedzenie. Nieważne zresztą.

– Nikt więcej nie może o mnie wiedzieć! – Thino'pai uniósł głos. – Tylko ty, skoro już się napatoczyłaś.

– A co, jeśli odmówię? – Splotła ręce w koszyk.

Dźwięk, który wypłynął z kadłuba Zo'yo, można by uznać za śmiech.

– Cóż za marny instynkt przetrwania. Sam mój leberiks potrafiłby rozwalić całą twoją wiochę, więc lepiej bądź mi posłuszna, Hanako.

I pomyśleć, że jeszcze parę minut temu było jej żal Thino'paia, gdy leżał jak nieżywy, a ona zajmowała się jego ranami. Napływ irytacji jeszcze bardziej stłumił w niej instynkt samozachowawczy.

– Nie martw się – dodał już łagodniej cyborg. Chciało mu się rzygać z faktu, że będzie musiał współpracować z tym avoropodobnym czymś, ale nie mógł przesadzać z demonstrowaniem niechęci. – Będę cię po kolei we wszystkim instruował, abyś rozumiała. Nie mam przy sobie kandrockich medykamentów, więc mój proces naprawczy potrwa trochę dłużej.

– Co mam zatem robić? – rzekła z rezygnacją.

– Wpakuj mnie na przyczepę.

– Ważysz chyba dwieście kilo, kiedy ja jedną czwartą z tego!

– Masa własna, czyli obecna z komponentami, przy stopniu cyborgizacji około połowy ciała, to ponad dakri vigikadoh sekav. Bojowa będzie rzeczywiście znacznie większa.

– No to żeś mi, kurde, wytłumaczył.

– Nie rozumiem waszych jednostek miar, nie mam odniesienia.

- W każdym razie jesteś ode mnie znacznie cięższy. Jak mam cię niby podnieść?
- Wymyśl coś.
- Twój wróbel mi coś pomoże?
- To leberiks.
- Może nakradłeś ode mnie bezczelnie i bezprawnie informacji, ale czym jest sarkazm, to chyba nie ogarnąłeś.
- Dość gadania, Hanako, zabieraj się do pracy – burknął gniewnie, niecierpliwie Thino'pai. – Bezsensowna rozmowa, która wymaga szczególnego skupienia ze względu na kontakt z istotą rozumującą inaczej, pochłania moje nadwątlone zasoby. Nie mogę działać przy tobie automatycznie.
- Ostatnie pytanie, proszę – dziewczyna odezwała się grzeczniej, choć frustracja przegnała większość jej wcześniejszego strachu. – Naprawdę muszę to teraz wiedzieć.
- Pytaj.
- Nie jesteś człowiekiem, prawda? – rzekła drżącym głosem, czując, że jeszcze bardziej przyśpiesza jej puls. – Klej molekularny w ogóle nie regeneruje twoich ran.

Nastąpiła chwila neurotycznej ciszy.

- Nie jestem – odparł Thino'pai.

Była nastawiona na taką odpowiedź, ale i tak nią wstrząsnęła. Oznaczało więc to, że przypadkiem dokonała przełomowego odkrycia i znalazła nowy gatunek kosmity!

Wymyśliła, że przetransportuje Thino'paia na przyczepę liną z wyposażenia auta, przy użyciu wciągarki.

Opuściła na grunt trap przyczepy, obwiązała cyborga eksagonowym³ sznurem, który był przewleczony przez kołowrotek sterczący za kabiną kierowcy, następnie przyciskiem aktywowała naciąg. Gdy cyborg znalazł się już na przyczepie, dziewczyna zabezpieczyła ją burtą. Poszła z plecakiem do kabiny, odrzuciła go na bok i usiadła ciężko za kierownicą. Zo'yo, tym razem jako wiewiórka, ulokował się na przedzie maski, przypominając wielką figurkę marki samochodu. Terenówka nie była firmowa, a jedynie pokłosiem własnego pomysłu Hanako.

Gdy dużo później dojechała pod benglow, zaparkowała auto jak najbliżej drzwi. Thino'paia, stale znajdującego się w stanie wyciszenia, ściągnęła z przyczepy,

kombinując z liną, potem podstawiła platformę na kółkach, która służyła do wożenia szczapek i pni do kominka.

Z początku Hanako planowała umieścić cyborga na kocu na podłodze, by mu było twardo i niewygodnie, ale pomyślawszy, że mentalnie jest on może bardziej maszyną niż istotą żywą, nieczułą na takie złośliwości, zdecydowała się na swój materac. Niewykluczone iż późniejszy argument, jak wiele dla niego poświęciła, stanie się jakąś kartą przetargową.

– Będziemy wyciągać kule – ułożony na wznak Thino'pai odezwał się przez leberiksa po raz pierwszy od chwili, gdy wyjechali z lasu. – To znaczy Zo'yo to zrobi. Twoje zadanie będzie polegało na dociskaniu rany, póki krew nie przestanie płynąć.

– Czy ta blokada elektroniki na dziesiątkach hektarów lasu to twoja zasługa? – Hanako układała przy materacu opatrunki i syntetyki uciskowe.

– Tak. Nic nie wiem o waszej planecie i cywilizacji – odparł po prostu, nie uciekając się do milczenia czy siania dezinformacji – więc wolałem się zabezpieczyć. Nie chciałbym, aby wykryto aktywność mojego neurocytu, jednak wygląda na to, że niepotrzebnie się zamartwiałem.

– Bo?

– Dedukując po tym, co zaobserwował Zo'yo w twojej wiosce, jesteście jeszcze prymitywniejsi niż Yakijanie.

Ta oznaka pogardy wobec niej i jej gatunku zaboląła Hanako po raz kolejny. Nie znała się jednak na Kandrok – chyba jakoś tak nazywał się rodzaj cyborga – nie miała więc pojęcia o ich mentalności, kulturze czy poziomie cywilizacyjnym. Może coś, co ją raniło, wśród narodu – czy jak tam u nich wyglądała organizacja społeczna – Thino'paia uchodziło za normalne?

– Zatem przywróć zasilanie, będzie pracowało mi się łatwiej. Potrzebuję lepszego oświetlenia niż dzienne wpadające przez okna.

– Silne oświetlenie to zdecydowanie dobry pomysł. W porządku, ale przywrócę aktywność tylko w twojej chacie. Odciąży to mój neurocyt. Dalej będzie istniała elektroniczna martwa strefa wśród kolumn.

– Czego, proszę? – Hanako spryskała sobie dłonie pianką, z której utworzyły się rękawiczki chirurgiczne.

– No tego czegoś organicznego, czego wokół jest pełno.

- To drzewa, chodzi ci zapewne o las. Twierdziłeś, że pobrałeś informacje z mojego entrasera.

Pancerz Thino'paia znów się rozczłonkował, prezentując Saharze doskonale znany jej już widok, daleki od przyjemnego.

- Zgadza się, ale większości swoistych dla twojego gatunku słów nie rozumiem, więc używam tylko tych, których znaczenie kojarzę albo się go domyślam. Tak samo jak w waszym świecie nie istnieje pojęcie leberiksa, bo nie wiedziałaś, czym jest Zo'yo.

- Jak ty w ogóle kontrolujesz urządzenia elektroniczne? - Po tym, co właśnie usłyszała, Hanako zapytała z niedowierzaniem, ale też strachem i podziwem. - Neurocyt to jakaś twoja komórka nerwowa? Znam to słowo.

Leberiks usunął chwytakiem pierwszą kulę, wrzucił ją z brzękiem do przygotowanej metalowej misy. Krew zaczęła płynąć. Dziewczyna natychmiast docisnęła otwór opatrunkiem.

- Męczysz mnie - odparł ostrzej Thino'pai. Zo'yo doskonale modulował jego głos. - Jeśli spieszysz się odpowiednio i będę mógł już sobie włączyć świadomość, wtedy może porozmawiamy. Teraz bądź cicho.

Hanako natychmiast zapomniała o wnioskach wynikłych z wcześniejszej dedukcji na temat Kandrok. Postanowiła tym razem rozegrać swoją partię w sposób teatralny, silniej dociskając Thino'paiowi ranę, licząc, że to go zaboli i jęknie, co da jej szczyptę satysfakcji. Podstępny plan zakończył się jednak klęską. Wychłodzony cyborg ciągle leżał jak martwy. Zmierzyła mu nawet temperaturę: zarówno metal, jak i tkanka miały dziewiętnaście stopni Celsjusza. Wyglądało to odwrotnie niż u ludzi, u których chory organizm walczył, nagrzewając się.

Ostatecznie zdecydowała się powiedzieć wprost, co jej przeszkadza:

- Nie tym tonem, dobrze? Bo się wypnę na ciebie i wtedy umrzesz. Cały czas zachowujesz się podle.

- A zrobiłabyś to? Pozwoliłabyś mi umrzeć?

Między obojgiem doszło do pierwszego poważniejszego niezrozumienia. Thino'pai zadał po prostu szczerze pytanie, nie znając pojęcia ironii. Hanako odebrała słowa jako sarkastyczne - że zaserwował jej test na człowieczeństwo.

- Nie - odparła filozoficznym tonem po paru chwilach namysłu, patrząc na swe ubrudzone rękawiczki. Gdyby pozwoliła mu się wykrwawić, nawet ze

świadomością, że Thino'pai zalicza się do złych istot, miałyby potem potworne wyrzuty sumienia. A to, że nie usłyszałyby niczego więcej na temat jego świata, byłoby najmniejszą stratą. Czekala na jakąś reakcję z jego strony: uznanie, podziękowanie, pochwałę – cokolwiek, żadna jednak nie nastąpiła.

Thino'pai natomiast poczuł pewną ulgę, otrzymując odpowiedź na proste pytanie. Jako ergrih, czyli dowódca przyzwyczajony do pełnej szczerości swoich varoth, sterowanych przez neurocyty, nie brał nawet pod uwagę faktu, że Hanako może go okłamywać. Zresztą tylko głupiec by kłamał, mając nad sobą widmo śmierci. Dziewczyna spojrzała na niego z zawodem w oczach, ale poprzez Zo'yo nawet nie zwrócił na to uwagi. Dziewięćdziesiąt procent zachowań charakterystycznych dla człowieka nie istniało wśród avorów lub było blokowanych neurocytami.

Kiedy posoka przestała płynąć, Hanako założyła na ranę czysty opatrunek.

– Boli cię to? – Chciała się dowiedzieć, dlaczego jej wcześniejsza minizemsta nie wyszła. – Nie jest ci zimno czy coś? Masz strasznie niską temperaturę ciała.

– W ogóle nie boli. Nic nie czuję w stanie wyciszenia. Temperatura jest prawidłowa. Rozpoczynający naprawę organizm avora schładza się w sposób naturalny, tak jak wy chłodzić swoje maszyny w trakcie intensywnej pracy, by się nie przegrzały. Widzę, że nie przestaniesz mnie zadreć pytaniami.

Z jakiegoś powodu ją to rozbawiło i się uśmiechnęła.

– To kara za to, że jesteś dla mnie okropny – zażartowała.

Zo'yo zabrał się za ostrożne wyciąganie kolejnej kuli. Hanako sięgnęła po tę leżącą w misie. Oblała ją wodą, żeby spłukać krew. Pomijając bardziej charakterystyczny sprzęt używany w konfliktach zbrojnych, kompletnie nie znała się na militariach. Niemniej wydawało jej się, że nigdy nie widziała w holonocie takiego pocisku. Nie potrafiła też określić, z jakiego wykonano go stopu metali.

– Kto cię tak urządził? – Długo nie wytrzymała z niewypytywaniem kosmity. – Yakijanie?

Thino'pai warknął przez leberiksa. Zamilkł na dobre. Powinien oszczędzać energię, a stale marnował ją na wściekanie się, że jego los, przynajmniej na pewien czas, zależy od miernoty podrzędnego gatunku, której w dodatku nie zamykała się buzia. I tak okazał Hanako ogromną łaskę, że zechciał z nią w ogóle rozmawiać. Robił to jednak, by zadzierzgnąć z nią niezbędną więź, wzbudzić jej

ciekawość, bo gdyby zmuszał ją do pomocy wyłącznie terrorem, popełniałaby błędy. Od razu jak ją zauważył, poczuł do niej niezrozumiałą nienawiść. Nienawidził też wszystkich ludzi, których Zo'yo obserwował w Sutafochun z ukrycia wśród drzew. Pojął, że musiał mu się aktywować pewien uśpiony program z neurocytu, choć nie rozumiał tego ewenementu, skoro widział ludzi po raz pierwszy w życiu.

Dziewczyna chciała zadać mu tysiąc innych pytań, zwłaszcza najważniejsze: dlaczego do niego strzelano, ale tym razem uszanowała wolę wkurzonego cyborga. Sama by się irytowała, gdyby leżała poważnie ranna na kozetce i podczas zabiegu bez znieczulenia ktoś dręczyłby ją przesłuchiowaniem.

Czas płynął jej pośród brzęku metalu, nieprzyjemnego ciamkania otwartych ran oraz klekotów leberiksa.

Późnym popołudniem wszystkie uszczerbki były opatrzone. Hanako nie mogła się nadziwić, jak Thino'pai w ogóle przeżył najpierw ostrzał, potem nieokreśloną katastrofę i finalnie grzebanie w jego ranach. Nawet jeśli był cyborgiem zapewne o podrasowanym organizmie. Ale cóż, ekstrapolacja w odniesieniu do nieznannej istoty mogła okazać się podążaniem złą drogą.

– Dobrze. – Thino'pai nadal odzywał się poprzez leberiksa. Nie podziękował Hanako za pomoc. – Teraz muszę nagromadzić energię. Potrafię robić to na kilka sposobów, ale w tych okolicznościach będziemy musieli skorzystać z najprymitywniejszego. Zo'yo prawie wszystkim się zajmie. Ty będziesz musiała jedynie załadować zinabraha, a potem podać mi płyn, bo leberiks poradzi sobie z tym gorzej.

– Co mam niby załadować?!

– Pojemnik.

– Który pojemnik?

– Eh... Jak ciężko się przekazuje treści, gdy druga strona nie ma neurocytu.

Ze schowka na plecach cyborga wysunął się cylindryczny przedmiot, z przezroczystym rdzeniem pośrodku i metalowymi krawędziami. Hanako wzięła go do ręki, nie zauważyła na nim żadnych przycisków czy aktywatorów.

Zo'yo wyleciał przez uchylone drzwi. Nie było go ledwie kilka minut i wrócił z martwą wiewiórką, zwisającą smętnie z jego chwytaka.

- Włóż ją teraz do zinabraha – poinstruował Thino'pai zaniepokojoną dziewczynę. – Nie przejmuj się, leberiks już ją zabił.

Hanako nie bez lęku i obrzydzenia zaczęła wykonywać polecenie, gdy wieczko cylindra się uchyliło. Udało jej się wepchnąć do środka całe zwierzę, które wypełniło ściśniętym ciałkiem i zgniecionym futerkiem przedmiot po brzegi. Prawie upuściła koszarne naczynie, gdy po jego zhermetyzowaniu martwa wiewiórka przekształciła się w okamgnieniu w krwawo-mięsną breję. Skład chemiczny zaczął jednak się zmieniać, jak i kolor masy, która przeszła w gęstą ciecz, nawet o przyjemnym wyglądzie, bo ciemnoniebieskiej barwy z licznymi pęcherzykami. Przypominała przez to kosmetyk kąpielowy.

Hanako nie zasłabła, kiedy siedziała ubabrana krwią cyborga, majstrując przy jego ranach, ale teraz wszystko jakby się skumulowało. Z mdłościami wybiegła na zewnątrz, by wymiotować pod ścianą benglowa.

- To gorsza wersja kunhikaru, wytwarzana tylko w warunkach polowych, właśnie dzięki pojemnikom zinabrah, głównie z fragmentów ciał istot żywych – wyjaśnił dziewczynie Thino'pai, gdy wróciła kilka minut później. Jedno i drugie nie skomentowało zaszłego incydentu. Hanako, bo było jej wstyd z powodu nagłego napadu słabości, choć zareagowała całkiem naturalnie; cyborg, bo nie rozumiał zajścia. U Kandrok nie istniało coś takiego, jak wymiotowanie ze strachu czy obrzydzenia. Najwyżej zbierało im się na mdłości, gdy spoglądali na coś żalostnego i nie omieszkiwali tego komentować. – Dobrze się czujesz? – zapytał z myślą, że osłabiona dziewczyna może okazać się mniej wydajna.

- W porządku. – Odebrała pytanie jako troskę i zrobiło jej się miło. Zo'yo, schowawszy swoje liczne odnóża, spoczął nieruchomo na stole obok jej drona, stale będąc przekaźnikiem głosu właściciela.

- Nie mogę teraz tego wypić, więc wstrzyknij mi całość na zgięciu ramienia.

Gruba żyła Thino'paia wyglądała niczym nażarta dżdżownica. Igła wysunęła się sama z krawędzi zinabraha; tłoczka nie było. Po wbiciu jej w ciało cyborga (Hanako udało się wcelować w żyłę za pierwszym razem, co przy takim kalibrze nie okazało się wyzwaniem) błękitna zawartość, może czterysta mililitrów cieczy, całkiem szybko wniknęła do ustroju.

Potem Thino'pai zażyczył sobie jeszcze, aby zużyła na nim cały zapas dwutlenku węgla, który zdążył się uzupełnić w jej inhalatorze na czkawkę.

– Jak chcesz, mogę podstawić pod drzwi samochód i zacząć wszystko z rury wydechowej – powiedziała nieco sarkastycznie, niemniej już wcześniej wpadła na taki pomysł. – To żywa chmura dwutlenku węgla. Coś, za co wsadzono by mnie do więzienia jeszcze kilkaset lat temu, w najlepszym wypadku nałożono grzywnę. Sama poszłabym na ten czas do garażu albo została na zewnątrz.

– To nie będzie konieczne. Póki nie naprawię swojego aparatu, twój inhalator mi wystarczy.

– Zatem oddychacie dwutlenkiem węgla?

Thino'pai zapoznał się z układem Mendelejewa dzięki pakietowi informacji i od razu wiedział, że to spis pierwiastków, które avorowie znają pod innymi nazwami. W związkach chemicznych również się orientował.

– Nie samym, ale na pewno w takiej ilości, która szybko by was zabiła. Czy ludzie naprawdę używają tak prymitywnych maszyn?

Hanako, która odłożyła samoczyszczącego się zinabraha na miejsce do schowka, domyśliła się, że chodzi o samochód. Cieszyło ją, iż cyborg wreszcie sam się rozgadał. Może humor mu się poprawił, gdy dostał posiłek albo ogólnie poczuł się lepiej.

– Nie, ale akurat jestem hobbystką pradawnych pojazdów i chciałam mieć jeden. Skulak sprawuje się znacznie lepiej, ale przez ciebie tkwi gdzieś w zaroślach w lesie. Czy... te szczątki, które leżały przy tobie w miejscu, gdzie cię znalazłam... należały może do czarnego psa? Rasy posokowiec, o ile rozumiesz.

– Zo'yo mi go upolował. Rozdarłem go i przerobiłem na karmę wszystko, co zmieściło się w zinabrahu, zanim zasłałem z powodu ran i waszego trującego powietrza.

Biedny Billy – współczuła mu Hanako. Postanowiła, że nie piśnie mu słowa o Lesocie. Oczywiście jeśli Thino'pai puści ją stąd żywą... nie zdecydowawszy się zjeść również i jej. Popatrzyła nań z niepokojem. Czy byłby do tego zdolny, skoro zabijanie zwierząt nie wzbudzało w nim żadnych emocji? W końcu o kulinariach Kandrok nie miała zielonego pojęcia. Nie, nie powinna sama się nakręcać i myśleć o takim scenariuszu, upomniała się ostro. Ucieknie stąd od razu, jak tylko nadarzy się okazja.

– Czego teraz potrzebujesz? – zapytała.

– Na razie nic. Do jutra jesteś wolna. Wtedy pomyślimy o skonstruowaniu ekwiwalentu kybro, które w najgorszym przypadku można napełnić wodą. Nie powinienem odpoczywać na powietrzu. Jak chcesz, możesz jechać teraz po swojego skulaka.

– Nie pamiętam, gdzie miałam kraksę.

– Zo'yo cię ponawiguje. Chyba że chcesz poczekać parę dni, jak będę już w stanie wystarczającej funkcjonalności, abym mógł sprowadzić ci pojazd neurocytem.

Taki precedens z pewnością byłby ciekawy, niemniej Hanako zdecydowała się jechać natychmiast samochodem, licząc, że opuszczenie enklawy choć trochę rozładuje skumulowane w niej nerwy. Miała raczej marną szansę na ucieczkę, skoro cyborg puszczał ją tak łatwo. Nie wyglądał na głupca. Sam jego dron na pewno będzie jej dostatecznie pilnować.

Spoglądającej na leżącego Thino'paia Saharze przyszła do głowy jeszcze jedna myśl, trochę niezręczna.

– A gdybyś musiał iść za potrzebą, gdy mnie nie będzie? – odezwała się niepewnie.

– Nie rozumiem pytania.

– Jak na przykład oddasz... mocz? – zapytała zawstydzona, zwłaszcza że nie widziała u cyborga narządu służącego do załatwiania tej podstawowej ludzkiej potrzeby fizjologicznej. Znowu poczerwieniała na gotowanego kraba, gdy pomyślało jej się o tej drugiej funkcji.

Thino'pai sięgnął do zasobu nowych danych i nie znalazł tam zrozumiałego dla siebie pojęcia.

– Co to jest mocz?

Powaga zadanego pytania przyprawiła ją o śmiech.

– No wydalanie, sikanie.

– Ach, chodzi o przemiany biochemiczne i usuwanie śmieci, w tym toksyn. Przy moim stopniu cyborgizacji już się tego nie robi. Wszystko, co niepotrzebne i dostaje się do mojego ciała, ulega całkowitemu spalaniu, podobnie jak w twoim samochodzie bądź usuwane jest z wydechem.

Hanako przyjęła do wiadomości fakt, że jej pechowy rozbitek rzeczywiście jest bardziej maszyną niż żywym organizmem. Głównie mówił o sobie jak

o urzędzeniu, chociaż mogło to też wynikać z niezrozumiałości wielu słów, które funkcjonowały w ludzkiej mowie. Z jednej strony było to dla niej fascynujące, ale z drugiej, z nieokreślonego powodu czuła zawód, że oboje tak bardzo się od siebie różnią.

– Nic ci nie będzie?

– Dam sobie radę – odrzekł cyborg na odczepnego. Całkowicie się wyłączył, kwitując Zo'yo z przekazywania fonii. Leberiks się aktywował i uniósł nad stołem.

Zamknąwszy dermatoglicznie drzwi, dziewczyna wsiadła do zaparkowanej obok terenówki. Zanim odpaliła silnik, obserwowała, jak leberiks leci w stronę skały przytulonej do chaty, gdzie wybrał sobie dogodnie nachyloną gładź. Zakotwiczył się tam, wysunął z korpusu listwy; Hanako przypuszczała, że to rodzaj paneli słonecznych, bo Zo'yo ułożył się na najbardziej eksponowanej przez popołudniowe słońce powierzchni. Nie wiedząc, jak długo to potrwa, opuściła pojazd i zajęła się w międzyczasie zakopywaniem swoich wymiocin.

Leberiks szybko się naładował i niby zadowolony wystrzelił w korony drzew, bo okręcał się wokół własnej osi i pocieszenie klekotał. Uśmiechnięta Hanako zaczęła jechać nieśpiesznie za nim.

Pobrudzony, ale nieuszkodzony skulak znalazł się dalej, niż przypuszczała, bo ponad dwadzieścia kilometrów od enklawy. Szczęśliwie nikt tędy nie przechodził. Hanako wciągnęła go na przyczepę terenówki tak jak wcześniej Thino'paia.

Zmierzchało, gdy z towarzyszącym jej Zo'yo wróciła do domku. Tak jak przypuszczała, dron stale miał ją na „oku”, nie było możliwości pojechania w inną stronę. Działający już pojazd umieściła w garażu, po czym wjechała tam terenówką.

Dziewczyna zajrzała do benglowa. Thino'pai leżał w tej samej pozycji, co zapamiętała. Nie przemówił do niej na powitanie przez leberiksa, który podobnie jak wcześniej złożył się na stole. Uznała, że skoro Zo'yo nie próbuje jej nic przekazać, procedura uzdrawiania cyborga zapewne przebiega należycie.

Wzięła sobie danie błyskawiczne z ryżem, owocami morza i warzywami i udała się na skałę. Z nieosłoniętego roślinnością, płaskiego szczytu rozciągał się piękny widok na niebo i drzewne dywany. Szczególnie po zmroku było na co popatrzeć, landszaftu nie zakłócały bowiem żadne światła miejskie czy luno.

Hanako została na szczycie do czasu, póki gwiazdy nie nakropiły gęsto atramentowego nieba. Rozmyślała o Thino'paiu. Była w rozterce, czy dobrze postąpiła, pomagając mu. Być może miała ostatnią okazję, aby wziąć skulaka, polecieć do miasteczka i poinformować o wszystkim szeryfa, póki cyborg był osłabiony i nie znajdował się w stanie czuwania. Może lepiej byłoby uderzyć z problemem od razu do Jacka, specja od maszyn? Wstała i niespiesznie zeszła ze szczytu stromą ścieżką. Działając bardziej pod wpływem instynktu niż rozumu, ruszyła ostrożnie w stronę garażu.

Zo'yo natychmiast wyleciał z bengłowa, świecąc swoimi paciorkami infernalnych kolorów.

Hanako przeklęła szeptem.

To tyle, jeśli chodzi o ucieczkę.

Leberiks działał autonomicznie albo Thino'pai nawet w swoim obecnym stanie wszystko kontrolował. Czy mógł znać jej myśli, skoro miał dostęp do jej entrasera, z łatwością obszedłszy wszystkie jego zabezpieczenia?

Ostatecznie nie podjęła żadnej decyzji, postanowiła dać się porwać nurtowi wydarzeń.

Bała się spać w jednym pomieszczeniu z Thino'paiem i jego strażnikiem, dla złudnego komfortu psychicznego poszła więc z kocem umościć się na przyczepie terenówki.



4. Likanie

– Jak zapewne wiecie z historii, moi drodzy, człowiek bez wiary jest nic nieznaczącą skorupą, oderwaną od kosmicznych połączeń, których nie pojmuje nawet w obecnych czasach. Niewierny ich nie dostrzega, nie potrafi zbadać, a mimo to twierdzi, że nie istnieją! – Wpatrzony w wyznawców guru gwałtownie rozsunął ramiona, by zaraz je opuścić. – Chociaż wiele razy próbował polegać tylko na wiedzy i swoim rozumie, finalnie legł w strachu, agresji i chaosie. Niewierny wymądrza się przed innymi, że wiara to wymysł głupców, choć nie posiada dowodów na nieprawdziwość jej atrybutów. Wyśmiewa jej aspekty, choć nie potrafi udowodnić, że nie istnieją. Mamy trzydziesty wiek, potrafimy dolecieć go innej galaktyki, a mimo to w kwestii wiary stoimy na tym samym poziomie, co przodkowie sprzed tysiąclecia. Niektóre aspekty są najwyraźniej nieosiągalne dla ludzkiej nauki, lecz to, iż nie potrafimy czegoś zbadać, nie może powodować, że odrzucamy to jako nieistniejące. Tak właśnie czyni prawdziwy głupiec. Głupcem nie jest więc ten, kto wierzy w niezbadane, które czuje i odbiera całym swym

jestestwem. To dobrze zorganizowana religia scalała kiedyś plemiona w narody, pchnęła proste cywilizacje do akceleracji. Bez niej człowiek nigdy nie dotarłby do gwiazd. Jej normy postępowania były pierwszymi, prostymi, ale przez to najdoskonalszymi kodeksami prawnymi. Udowodnili to już Kiritianie, najpotężniejszy naród wśród ludzi, który nawet nie posiada sądownictwa, a jedynie korzysta z dekalogu. Tak, moi drodzy, Kiritianie postawili na prostotę. Forkis czerpał inspirację z prymitywnego gatunku Onkalotów, a zobaczcie, kim dziś są Nieśmiertelni. Najsilniejsi udowodnili nam, że liczą się przyziemność, szybkość działania, najprostsze rozwiązania. Karty historii mówią nam, że wiara upadała, ale zawsze rodziła się w zmienionej czy pierwotnej formie. Nawet gdy ludzkość skolonizowała kosmos, udowodniła swoimi myślami i czynami, że bez wiary żyć nie potrafi. – Wskazał ręką nocne, bezchmurne niebo. – Koło się zatoczyło, bo znów zrodziły się liczne wyznania, jak w czasach pradawnych. My jesteśmy częścią tego nieśmiertelnego kręgu. Ale taką, która nie służy żadnym bogom. Bo wiara może istnieć bez nich!

Ubrany trochę po urzędniczemu, bo w ciemne lakorianowe⁴ spodnie, tej samej barwy marynarkę i białą koszulę z wysokim, rozpiętym kołnierzem guru nazywał się Kion Nafsiga. Można go było opisać jako astenicznego, bladoliciego młodzieńca o popielatych włosach. Stąpał wolno po nieużywanej od setek lat estradzie sfatygowanego amfiteatru i przemawiał do obserwujących go wyznawców, niczym artysta do publiczności. Krążył, gestykulował, mówił z emfazą, kiedy należało. Czasem przystawał i patrzył w oczy losowemu likaninowi, który czuł się wyróżniony. Niezbyt wierzył w swoje słowa, prędzej bycie bożyszczem tłumu traktował jako szalone hobby, przez co postronny obserwator mógłby błędnie uznać sposób jego przemowy za fanatyczny.

Zapomniane miasto Nakhabanga, które ponad dwustu likanów wybrało sobie na kwaterę sekty, w czasach pierwszego osadnictwa na Calcaris było tymczasowym osiedlem kolonialnym. Potem zostało porzucone, gdy ludność zaczęła wędrować do miejsc docelowych, jednak nie zburzone. Jedne firmy przerzucały się bowiem argumentami z innymi, kto powinien się zająć rozbiórką i posprzątać. Ostatecznie nic nie zostało ruszone, zwłaszcza że nadeszły czasy łatwego pozyskiwania materiałów. Opuszczone budynki Nakhabangi wykorzystywali bezdomni, kryminaliści i squattersi – wszyscy ci, którym nie

udało się zrealizować swojego osobistego *space dreamu*. Pogardzani, gnębieni i odrzuceni przez resztę Zodiac Universum rozpoczęli swą drogę ku całkowitemu odczłowieczeniu. Tak zaczął formować się na Calcaris ateistyczny odłam likañskiej sekty. Nie wyznawała ona żadnego bóstwa, za to został w niej zakorzeniony symbolizm jako eksterioryzacja sił kosmicznych, których, według jej liderów, człowiek nigdy nie będzie w stanie zrozumieć i zbadać. Ponad połowa członków była zdziczałymi, wilczymi transhumanistami, ale nie brakowało i osób „normalnych”, wykształconych jak Kion, także piastujących w miastach przy Lesie Kolonistów kluczowe stanowiska. Sektą kierowała arcykapłanka Remulusa. Pod sobą miała guru, dwójkę kapłanów oraz alfy – liderów watah likanów. Struktura niby prymitywnej sekty utrwaliła się nad wyraz złożenie.

Kion przybył z planety Chulimal, dawnej ojczyzny Onkalotów, na której działał inny z likañskich odłamów. Wygnano go za sprzeczny z tamtejszymi guru światopogląd, gdyż uważał, że likanie, aby wyzwolić w sobie zwierzęce instynkty, nie muszą czcić żadnych bóstw, a wystarczy im sam symbolizm, bez deifikacji zjawisk, zwierząt czy przedmiotów. Postanowił rozkręcić na Calcaris własny kult. Łatwo mu się to udało i szybko znalazł wyznawców, głównie wśród mieszkańców zapomnianego osiedla, pochłoniętego przez Las Kolonistów. Nawiązał kontakt z Remulusą, która wzięła sekciarzy pod swoje auspicje. Najubożsi likanie mieszkali w porzuconych budynkach, żyjąc z rabunku ościennych miast i płodów lasu. Bogatsi przylatywali spoza puszczy, na co dzień wiodąc normalne życie, a uczestniczyli w spotkaniach sekty dla rozrywki, której nie dostarczała im egzystencja zwyczajnego obywatela.

Kiedyś zwarci, likanie podzielili się na podgrupy, które rozeszły się po Zodiac Universum. Ale wszystkie spajał kult bliskości natury i wilków jako stworzeń od zarania dziejów towarzyszących człowiekowi. Najbardziej podwórkową odmianą byli ludzcy obszarpańcy, czasem z drobnymi modyfikacjami ciała, jak wilczy ogon (będącym niczym u zwierząt przedłużeniem kręgosłupa), uszy czy kły. Ci najbogatsi, zwani likanami królewskimi, dzięki implantom i inżynierii genetycznej mogli sobie pozwolić na wygląd mitycznych wilkołaków i wbrew pozorom, poza wyjątkami, byli najspokojniejsi. Sekta Kiona poszła w stronę podwórkową, choć miała też w składzie likanów królewskich.

- Dzikość i bestialstwo są w każdym z nas – mówił dalej Nafsig, oświetlony ogniem pochodni i kagańców. Spojrzał na utuczone króliki perłowe w zagrodzie. Obok znajdował się niewielki korral z wygłodzonym koniem w jednej wydzielonej części i kaczatkami w drugiej. – Nie wyrzekniemy się ich. Tłumione zawsze dadzą o sobie znać w dowolnej formie. Wykształcenie, ładny ubiór czy pacyfistyczne wychowanie na nic się zdadzą. Dlatego właśnie w historii ludzkości nie było nawet minuty bez prowadzonej gdzieś wojny. Agresja to nasze genetyczne dziedzictwo, kultura jej nigdy nie wypleni. Wszyscy jesteśmy drapieżnikami jak istoty, które stały się naszą domeną. Tak naprawdę nie istnieją zwierzęta roślinożerne. Każde w pewnych okolicznościach stanie się egoistą, którego nie obchodzi egzystencja słabszego. Chodzi o głód. I uzupełnianie składników odżywczych.

Na skinienie głowy Kiona Ligrid, jeden ze stojących pod estradą kapłanów odzianych w dwuczęściowe szaty z symbolem wilczej łapy na prawej piersi, podszedł do korrala i przesunął przesło ogrodzenia oddzielające konia od kaczek.

Kare zwierzę, którego wychudzone ciało zdawało się opalizować w blasku ognia, wkroczyło niepewnie na ptasi wybieg. Chwilę analizowało nową sytuację, po czym pochyliło łeb i zaczęło podążać za kaczkami, rozpierzchającymi się koślawo w popłochu.

Koń rozchylił wargi, pochwycił szczękami jedno z piskląt i zaczął przeżuwać, wprawiając w zdumienie wielu likanów, zwłaszcza najmłodszych, którzy nigdy nie widzieli czegoś podobnego.

- Cudo – skomentował z uśmiechem Midnight, alfa jednej z watah.

Kiedy Kion zszedł z estrady i otworzył zagrodę z królikami, nikt poza nim i resztą liderów nie wiedzieli, czego tym razem mają się spodziewać.

- Niech prowadzi was dziki zew – rzekł nie wiadomo pod którym adresem.

Króliki rozpierzchły się jak wcześniej ptactwo, także odczuwając własny dziki zew, jakby w przeszłości nie były niebojącymi się człowieka zwierzętami hodowlanymi. Rozproszyły się po kamiennych płytach zarośniętego placu, obiegały ołtarz ceremonialny, nad którym górowała wielka, chropawa statua wilka, wykonana z szarej skały osadowej, z zatopionymi weń żwirami i odłamkami skalnymi. Zaczęły zmierzać w kierunku lasu.

Likanie zawyli. Wrzeszcząc i wiwatując, pobiegli kilkoma watahami na łowy, dzierżąc rozmaite bronie krótkodystansowe. Ci, którzy lubili wyzwania, pognali

z gołymi rękoma. Nikt nie poszedł po zaparkowane pojazdy.

Pogoń za królikami z pewnością zakończy się tym, że nakarmiona sekciarskim bełkotem hołota dotrze do zabudowań i zacznie je demolować, ścierając się z miejscową ludnością, pomyślał Kion. Wszystkie porzucone kapliczki w promieniu setek kilometrów zostały już chyba zdewastowane. Nikt nie zgłaszał tych incydentów władzom planety, bo autochtoni, którzy z własnej woli zdecydowali się mieszkać z dala od dużych miast, brali sprawy w swoje ręce. Nieraz chwyтали za broń. Ganiać likanów po przepastnym lesie nikomu się nie chciało, a i tak ich ataki nie zdarzały się często, bo sekta powstała niedawno. Zresztą w niektórych miasteczkach likanie dogadali się ze stróżami prawa. Ale i tak w przyszłości trzeba będzie zacząć uważać, aby nie przeholować. Jeśli sprawa pójdzie wyżej, wojsko planetarne nie będzie miało problemu z namierzeniem sekty w lesie.

Spoglądający ku drzewom guru nie mógł się nadziwić temu, jak tępy i prosty jest ludzki umysł, zwłaszcza u młodych, którym nie powiodły się plany życiowe. Nie istniało coś takiego, jak dojrzewanie społeczeństw, co niektórzy nazywali postęmem. Istniały jedynie modne na dany okres poglądy, polegające na wtłaczaniu ludziom do głów, że coś jest słuszne i właściwe. Zmieniały się tylko dekoracje. Dla likanów wartością była wolność, możliwość eksterioryzacji szaleństwa i gniewu w najbardziej prymitywny sposób. Pomagało w tym utożsamianie się z wilkami. Nie mieli perspektyw ani planów, bo społeczeństwo i tak nie potrzebowało ludzi spoza marginesu.

Kion obrócił się ku znacznie starszej od siebie Remulusie, która milczała podczas całego przemówienia, siedząc na tronie z kamakuni. Po jej surowym obliczu, maźniętym pędzlem politowania i rozbawienia, rozpoznał, że myśli arcykapłanki powędrowały w podobnym kierunku. Zerknął w stronę konia, który przełknął zawartość zakrwawionego pyska.

Wszystko, co tu robili, nie miało żadnego sensu – ale każdemu się to podobało. Nikt nie pragnął sławy ani bogactwa. Niewielkiej władzy chcieli tylko nieliczni, którym sprawiało przyjemność bycie słuchanym. Za to wszystkim chodziło o dotarcie do animalnej części ludzkiej natury, tej prawdziwej, tłamszonej od stuleci przez kulturę.

Hanako spało się fatalnie, głównie z powodu natrętnej myśli, że zerwie się gwałtownie w nocy i ujrzy nad sobą Thino'paia z tym swoim upiornym prawym okiem. Mogła po nim spodziewać się dosłownie wszystkiego. Budziła się co chwilę, choć w mroku garażu nikogo nie zastała. Raz tylko wystraszyła się własnej kurtki wiszącej na wieszaku, ulegając zjawisku pareidolii. Poszycie przyczepy było niewygodne, ponadto położyła koc na drobnych kamieniach. Na jednym przysnęła i zrobił jej się siniak, do tego spała w ubraniu.

Gdy się ostatecznie rozbudziła, słońce wisiało już na niebie. Po wyjściu z garażu chciała zajrzeć przez okno do benglowa, ale story były zasłonięte. Za to drzwi zastała otwarte. Nieprzykryty niczym Thino'pai leżał nieruchomo na jej materacu; dziewczyna rozważała, w jakim dziś jest stanie.

– U mnie wszystko w porządku – odpowiedział, tym razem własnymi ustami, lekko ją zaskakując.

– Potrafisz czytać mi w myślach?

– Nie, ale to logiczne, że najpierw zapytałabyś o mój stan.

Odpowiedź nie rozwiała jej wątpliwości, bo cyborg mógł kłamać. Niemniej wydawał się rzecz spontanicznie, zatem szczerze. Otworzył oko, drugie stało się czerwone. Uniósł się na łokciach i popatrzył w jej stronę.

– Podejdiesz tutaj, czy będziesz tak czatować z progu? – zapytał.

Powoli przyzwyczajała się do jego trybu rozkazującego i kompletnego braku ogłady. Zwracanie mu uwagi skończyłoby się w dwojaki sposób: sprzeczką albo rzucaniem grochem o ścianę, a najpewniej amalgamatem jednego i drugiego. Thino'pai zdawał się nie rozumieć, że dla Hanako jego zachowanie może wydawać się niesympatyczne.

Zerknęła na leberiksa, który tkwił na stole niczym metalowa kula obok jej drona. Podeszła, przekręciła sobie krzesło i usiadła w oddaleniu od Thino'paia.

– To już ci lepiej?

– Znacznie. Przyniesiesz mi trochę wiewiórek? Dziś jeszcze nie dam rady chodzić. Potrzebowałbym ich dużo.

Hanako wręcz poczuła zapach swoich wczorajszych wymiocin.

– Nie potrafię łapać wiewiórek. Muszą to być koniecznie one? Wspominałeś, że zabiłeś psa...

– Te dwa rodzaje stworzeń mają odpowiedni skład chemiczny.

– U nas wszystkie stworzenia mają taki sam skład chemiczny, także wspólne geny, nawet modyfikanty, bo bazą do miksowania cech były naturalne gatunki. Są powiązane ewolucyjnie – wyklepała informacje otrzymane kiedyś przez entraser. Pomyślało jej się natychmiast, jak dalece może być spokrewniona z Thino'paiem. Czy też mają wspólne geny, przez co podobną wizualnie budowę ciał? – Może być zatem coś innego? Na przykład ryby? Te umiałabym złapać. A ich zabijanie nie jest tak... niezręczne.

– Dlaczego?

– Wiewiórki są sympatyczne, wyglądają niewinnie.

– A ryby już nie? Są w czymś gorsze?

Świadomie czy nie, Thino'pai poruszył jeden z fundamentalnych problemów nękających ludzkość od czasu, gdy udomowiono pierwsze zwierzęta. Z biologicznego punktu widzenia na pewno wszystkie stworzenia były takie same i spełniały te same funkcje, bez względu na wielkość i długość życia, jednak z ludzkiego – co by tu zaprzeczać – jedne uważano za lepsze od innych. Hanako była pewna, że gdyby doszło do kryzysu żywnościowego, wpierw wybito by ryby z okolicy, dużo później przyszłyby kolej na śliczne wiewiórki. Jednak z psami, nawet dzikimi czy zdziczałymi, byłby już problem, zależnie od grupy społecznej. Dla jednych bowiem stanowiły składnik kuchni jak każdy inny, dla innych – były nietykalnymi towarzyszami od zarania ludzkich dziejów. Tym się właśnie kierował człowiek – kryteriami. Sztucznie nadawał wszystkiemu hierarchię.

– Czemu się tak zawiesiłaś? – Hanako spostrzegła, że cyborg przygląda jej się niechętnie. Rzeczywiście się zamyśliła. – To w czym gorsze są te ryby? Są trujące?

Oczywiście mogła się tego spodziewać, że to samo pytanie odbiorą zupełnie inaczej. Ona z automatu podeszła do sprawy filozoficznie, Thino'pai pytał wyłącznie o sprawy użytkowe. W jego naturze melancholia czy zaduma zdawały się nie istnieć, podobnie jak smutek, załamanie czy niepewność związana z trafieniem samotnie do obcego środowiska – wszystko, co stanowiło prostą drogę ku depresji. Był... taki czysty. No, jak maszyna. Przedmiot zaprogramowany

wyłącznie do wykonywania ustalonych czynności, czerpiący z otoczenia energię. Potrafił chyba tylko doświadczać różnych odmian gniewu.

– Nieważne – odparła. – Z rybami jest wszystko w porządku.

– Co to jest?

Zauważyła, że przygląda się figurkom na gzymsie. Wstawszy z krzesła, podeszła pod okno i wzięła do rąk pandę oraz anioła.

– Przedmioty ozdobne albo zabawki. Trzymamy je w miejscach, gdzie przebywamy. Dzieci lubią się tym bawić, dorośli dostawać jako prezenty. Często te rzeczy niosą ze sobą jakiś symbol bądź mają wartość sentymentalną. Panda przynosi szczęście, chroni domostwo, anioł to opiekun.

– Czemu służy to wszystko? – Wysunął dłoń w stronę złotego anioła. Hanako cofnęła się i mu go podała.

– Chyba obszernie ci wyjaśniłam.

– Jak takie coś może chronić? Nie jest elektroniczne. Rzucacie tym? – Oddał jej figurkę.

– Zgrywasz się teraz, czy pytasz poważnie?

Jego lekko zirytowany wyraz twarzy, jakim ją poczęstował, świadczył o tym, że nie żartuje. Co do tego, że Thino'pai wcale nie potrafi żartować, Hanako nie powinna mieć już wątpliwości.

– Nie macie u siebie czegoś takiego? Nic nie zbieracie dla przyjemności, nie ozdabiacie niczym domów?

– Wszystko, co do mnie mówisz, kojarzę z pojęć, których się od ciebie nauczyłem, ale niewiele z tego rozumiem. Te sprawy są dla mnie dziwne i zupełnie obce.

Hanako odstawiła figurki, wróciła na krzesło, licząc na dłuższe posiedzenie.

– Opowiedz zatem o sobie – poprosiła. – Kim jesteś. Jak życie. Czym zajmujesz się na co dzień.

– Wiewiórki. – Spojrzał na nią ponagląco. – Mogą być też ryby.

Nie zamierzała kiwnąć palcem przy tych precedensach, jednak Thino'pai wysłał z nią Zo'yo w postaci latającej. Niepokojące było obserwowanie, jak szybko wyszukuje niewidoczne dla ludzkich zmysłów zwierzęta, zabija je i przynosi dziewczynie, aby chowała je do pudła wziętego z garażu. Wskazała leberiksowi rzeczkę w lesie, gdzie przy brzegu, w nieruchomych zakolach odciętych niepełną

mierzeją brodziła zwykle ławica. Zo'yo przekształcił się w psa z utrwalonego wzorca Lesota i po zeskanowaniu ryb błyskawicznie zanurzył się w wodzie. Za każdym razem łapał pyskiem którąś, następnie podawał stojącej na brzegu dziewczynie, stale odczuwającej niepokój z powodu bycia świadkiem tak perfekcyjnej formy chwytania i zabijania.

Wróciła pod benglow z psem idącym przy nodze. Definitywnie zabroniła ruszania żab z jej stawu, na które Thino'pai też zwrócił uwagę bez wstawiania z posłania, „widząc” otoczenie dzięki neutronom i akustyce. Twierdził, że wystarczyło, by spadła szyszka kilka kilometrów stąd, aby zmapował wiernie tamtejsze otoczenie co do ostatniej, wyschniętej igły sosny na ściółce.

Mógł już siedzieć i operować rękoma, Hanako podała mu więc pudło pełne martwych zwierząt, aby sam się obsłużył. Okazało się, że ryby nie nadawały się do wytworzenia jego papki energetyczno-regeneracyjnej, dziewczyna zabrała je z myślą przyrządzenia obiadu, by się nie zmarnowały.

Zgarnęła nietoksyczne dla otoczenia środki pielęgnacyjne do ciała, ręcznik i poszła popływać w sadzawce. Słońce wisiało nieco poza zenitem, muskając promieniami lilie wodne. Woda zdążyła się nagrzać, przez co dziewczyna nie miała ochoty zbyt szybko kończyć kąpieli.

Westchnęła głośno, machnęła mocniej rękoma, zauważywszy przy nawrocie, że Thino'pai stoi oparty o próg drzwi i jej się przygląda. Był to wzrok, którego na pewno by nie spotkała u żadnego ludzkiego mężczyzny – chyba że psychopaty: zimny, beznamiętny, taksujący, po prostu maszynowy. Niczym u wynudzonego pracownika oglądającego na fermie milionowego w swej karierze królika perłowego. Podczas pływania Hanako miała tylko wynurzoną głowę i ramiona, resztę przysłaniały rozłożyste liście lilii. No ale to był Thino'pai, który ponoć potrafił przenikać wzrokiem objekty. Zdawał się oczywiście nie rozumieć jej konsternacji. Była pod wrażeniem, jak szybko dochodził do siebie, biorąc pod uwagę jego obrażenia. W ciele cyborga z pewnością zachodziły nieznane Hanako procesy.

– Wynocha! – wrzasnęła odruchowo, zawstydzona i zdenerwowana.

Zaskoczyła go. Czuł dezorientację. Był xepo, tylko dwa stopnie dzieliły go od statusu Elitarnego. Miał na tyle zaawansowany neurocyt, powiązany z jego szczeblem społecznym, że potrafiłby pilotować zdalnie ogromnego demo. Gdyby

się okazało, że cała Calcaris znajduje się na podobnym poziomie technologicznym, co Sutafochun, sam jeden potrafiłby przejąć kontrolę nad tą planetą i zniszczyć wszystkich jej mieszkańców. A teraz takie coś! Młoda, bezbronna, bezwartościowa ludzka samica mówiła mu, co ma robić! Nie mogła być aż tak brawurowa, prędeziej głupia i nieświadoma potęgi, którą przygarnęła pod swój dach.

Thino'pai wściekł się, nie kryjąc się i tym razem z wykwittem gniewu na obliczu, aż dziewczyna się złękła. Stała na dnie z miną, jakby miała zamiar wybiec z wody i pognać panicznie w las. Cyborg chętnie by ją teraz zastrzelił, ale potrzebował jej jako klucza do poznania nowej rzeczywistości, skoro już Niosący Światło rzucił mu Hanako pod kolana. Uświadomił sobie, że jest jej wdzięczny w pewnym sensie za opiekę. Noż, do czego to doszło... Prychnął, kręcąc głową. Kuśtykając, wrócił na swoje posłanie.

Jakiś czas później dziewczyna przyszła do Thino'paia już sucha i ubrana. Leberiks-Lesoto leżał przy nim zwinięty w kłębek. Cyborg spoczywał na materacu, trzymał i oglądał drona Hanako.

– Mieliśmy kiedyś bardzo podobne – odezwał się spokojnie, obracając przedmiot. – Z czasem zaczęły ewoluować. Potem stały się leberiksami. Mam pewne podejrzenia co do waszego świata. – Popatrzył na siedzącą na krześle dziewczynę. Dron aktywował się i zaczął latać po pomieszczeniu, bez udziału bransolety, która spoczywała na stole. Zo'yo uniósł łeb i spoglądał nań jak prawdziwy pies, zaciekawiony poruszającą się zabawką. – Ale muszę jeszcze sporo się o nim dowiedzieć.

– Tam wcześniej przy wodzie... Czuję się niezręcznie. W naszej kulturze nie godzi się, by patrzeć bez pozwolenia na kąpiącą się nago kobietę.

– Zbierałem jedynie informacje. Robiłem skanowanie. – Dotknął sztucznego oka. – Sprawdzalem twoją motorykę, wydatek energetyczny, funkcjonowanie organów w zagęszczonym środowisku, sposób pracy szkieletu. Zwykła metoda badawcza czegoś nowego. Dlaczego uważasz, że to złe?

Hanako parsknęła śmiechem.

– Ale ty jesteś dziwny. – Gdy nie zareagował w żaden sposób, wydając się rozgniewany jak zawsze, zapytała: – To co teraz zamierzasz?

– Potrzebne mi będzie najpierw kybro. Załatwisz mi chociaż ekwiwalent. Niestety twoja domowa drukarka nie nadaje się do zrobienia tego, czego

potrzebuję.

– Wybacz, złotko, ale uinale nie rozmnażają się przez pączkowanie – Hanako wygłosiła powiedzenie babci.

– Znam to pojęcie z twojego entrasera, ale nie rozumiem jego znaczenia.

– To waluta. Jedna z wielu form zapłaty, na przykład obok painitu czy platyny. Wszystko zależy od tego, czemu na daną chwilę przypisze się wartość. Nie mów mi, że nie wiesz, co to są pieniądze! – wypaliła, obserwując ciąg dalszy niezrozumienia na jego chłodnym obliczu.

– Z taką formą zapłaty nie spotkałem się dotąd u żadnego z inteligentnych gatunków.

Hanako była coraz bardziej zaintrygowana, jak i zaniepokojona faktem brnięcia w nieznaną. Obawiała się, że rzeczywistość Thino'paia mogła przypominać ogromną, ciemną jaskinię pełną potworów, a ona ledwie stała przy wejściu.

– Gatunków? Jesteś pewien, że użyłeś dobrego słowa? W Zodiac Universum, czyli obszarze bytności ludzkiej, są tylko dwa takie. My oraz Onkaloci, choć nigdy nie widziałam drugich na żywo.

Thino'pai wiedział dzięki entraserowi, że byli oni czymś w rodzaju antropomorficznych jaguarów potrafiących mówić. Rozwinęli technologiczną cywilizację, funkcjonowali niegdyś podzieleni na henoteistyczne plemiona. Dla Kandrok ten gatunek byłby więc całkowicie bezwartościowy. Zresztą i tak został niemalże całkowicie wytępiony przez człowieka. Co innego atrakcyjni militarnie ludzie... Wydawali się wręcz stworzeni do tego, aby ich podbić i zniewolić.

– Nie pomyliłem się. Widziałem już ich wiele, w różnych wszechświatach. Przykładowo zanim tu trafiłem, miałem do czynienia z Yakijanami. To również humanoidzi. Tylko u takich ma prawo wykształcić się inteligencja.

Zorientował się, że zdumiona Hanako słucha go z otwartymi ustami.

– Wielki Buddo... Za to, co teraz mówisz, nasi astroantropolodzy byliby gotowi zabić! Nie, cały świat nauki stałby się chaosem!

Thino'pai spojrział na nią zdziwiony.

– Zabijanie to domena varoth.

– U nas tak się tylko mówi. Setki lat temu zaczęliśmy latać w kosmos poza Układ Słoneczny. Kiritianie mają ponoć skatalogowany cały wszechświat co do ostatniego planetozymała, mapy aktualizują na bieżąco, ale odkryliśmy tylko

Onkalotów, którzy w dodatku są z nami spokrewnieni. Co ewidentnie świadczy o tym, że pochodzą z Ziemi, jak ludzie. Ale o co w tym chodzi i jak znaleźli się na Chulimal, tego nikt nie wie. Onkaloci mają jedynie mity na ten temat o bogach-podróżnikach, zwanych różnorako: Dynastia, Nimja, Wielki Ród. A ty teraz mi mówisz, że są inne wszechświaty i inne inteligentne gatunki...

Coś, co dlań było trywialne, na Hanako zrobiło piorunujące wrażenie. Thino'pai wiedział o tym, śledząc procesy fizyczne i biochemiczne zachodzące w jej ciele. Nie rozumiał żadnej z emocji dziewczyny, choć kojarzył tę najsilniejszą: zachwyty. Doświadczał czegoś podobnego, gdy powalał wrogów. Jeśli on jako avor odczuwał kiedyś podobne emocje, gerha dawno mu je zablokował. Wszystko, co zbędne i bezużyteczne u Kandrok było eliminowane.

– Chyba będzie lepiej, jak zachowam to dla siebie – spuentowała dziewczyna. – Zakładając, że mnie nie okłamujesz, takie nowości postawiłyby na głowie całe Zodiac Universum. Cholera, Onkaloci nie są jedyni... – Potrząsnęła głową, uśmiechając się smutno. – Że nie są, wydawało się oczywiste, biorąc pod uwagę ogrom kosmosu, o którym teraz wspomniałeś. O inteligencji w kosmosie wspomina nawet Pierwsza Reguła pana Baksa, który wyliczył, jaka może być ich średnia występowania. Ale i tak... to niesłychane, co mówisz.

Hanako uświadomiła sobie z niepokojem, że oto wygadała się w uniesieniu z wielu tajemnic Zodiac Universum. Przybliżyła obcemu rzeczy, których może nie pojął, uzyskawszy dane z entrasera. Od teraz będzie musiała bardzo się pilnować. Ciekawe, że wyszła z niej taka gaduła. Zawsze wolała słuchać innych. No ale ci inni nie byli kosmitami...

– Powiedz mi coś więcej o waszej ekonomii – zażądał Thino'pai.

Tłumaczyła mu jej podstawy przez kolejną godzinę, co uznała za niegroźne. Pojął i zapamiętał wszystko. Już przy ich pierwszym spotkaniu zorientowała się, że wystarczyło mu raz coś powiedzieć, by to sobie utrwalił. Mogła się założyć, że gdyby cyborg nie miał dostępu do entrasera, po kilkudniowych bezustannych rozmowach mówiłby biegle jej językiem. Ewentualnie miałby problemy z gramatyką i rozumieniem pojęć, które nie istniały wśród jego społeczności.

– Zwyczajny transfer danych, ale można to nazwać zapamiętywaniem – skomentował, gdy podzieliła się z nim swoim spostrzeżeniem. – Chciałbym się też dowiedzieć wszystkiego o twojej galaktyce, Drodze Mlecznej. Znając masę i układ

ciał niebieskich, przynajmniej jej części, zdołam ustalić, jak daleko jestem od Asephor' Cerotis... rekonstruujać kosmos – dodał, nie za bardzo wiedząc, jak jej to wyjaśnić. Nie zamierzał ponadto dzielić się z dziewczyną wiedzą, o której ludzie najwyraźniej nie mieli pojęcia.

Chodziło mu w skrócie o to, że w każdym wszechświecie tego samego typu, gdzie znajdowały się te same pierwiastki, działały identyczne prawa fizyki, a dynamiczne makroukłady pod względem ich parametrów były powtarzalne. Miały bliźniacze budowy i taką samą masę wszystkich składowych. Jeśli dochodziło do zachwiania masy, na przykład z powodu migracji materii, w następnej kolejności makroukłady dążyły do jej wyrównania. Thino'pai był pewien, że o ile wciąż nie znajdował się w swoim wszechświecie, to trafił do innego tego samego typu, co jego rodzimy. Wystarczyło więc poznać szczegółową budowę wycinka bryły przestrzeni kosmicznej i będzie zdolny dzięki temu odtworzyć makroukłady okalające, następnie kolejne, póki nie skataloguje całego wszechświata. Niczym archeolog szkielet, dysponując tylko jedną kością, ale mogący ekstrapolować swoje znalezisko, znając budowę licznych kompletnych szkieletów.

– Twój gatunek dysponuje urządzeniem zwanym holonotem – powiedział. – Jest podpięty do sieci informacyjnej Univnetu, więc to odbiornik całej waszej wiedzy. Dostarcz mi go.

Choć raz zapominalstwo wyszło jej na dobre, pomyślała Hanako.

– Nic z tego – odparła hardo. – Nie wiem wciąż, kim jesteś. Wiedza to najpotężniejsza z broni, odpowiednio wykorzystana zabija skuteczniej niż konwencjonalna, więc nie mogę ci jej dostarczyć prosto do rąk.

Thino'pai spojrział na nią krzywo. Po raz pierwszy ujrzała u niego coś w rodzaju cienia uśmiechu. Cierpkiego.

– Kiedy już odzyskam siły, nie będę musiał miarkować swoich umiejętności, zatem mógłbym użyć neurocytu do podpięcia się do waszej sieci centralnej. – Machnął ręką w stronę stropu. – Dowiedziałbym się wszystkiego, czego chcę. Raczej nikt by się nawet nie zorientował, że urządzenie o ogromnej mocy obliczeniowej i silnym sygnale kradnie dane, bo umiałbym się zabezpieczyć przed wykryciem. Niemniej nie jestem u siebie, wolę zachować ostrożność i na wszelki

wypadek pozostać wyciszony. Z holonotu mógłbym korzystać do woli, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

Hanako była pełna podziwu, że ledwo dobę od chwili zawarcia ich „znajomości” Thino’pai rozmawiał z nią niemalże jak oders z odersem, orientując się w ludzkiej rzeczywistości. Umysł jej podpowiadał, że choć ich gatunki się nie znały, mogły mieć ze sobą do czynienia w przeszłości. Bo jak inaczej wytłumaczyć tak błyskawiczne dochodzenie do porozumienia? Chyba że podobne zjawisko zachodziłoby przy zetknięciu się jakichkolwiek inteligencji. Skąd miała to wiedzieć? Znała tylko przypadek Onkalotów, z którymi dało się dogadać przy pierwszym z nimi spotkaniu.

– Wybacz, nie mogę ci go dać – trwała przy swoim. Mogła chociaż spróbować przedłużyć nieuniknione, ale kto wie, co wydarzy się w międzyczasie? – Nie wiem, w jakim celu go użyjesz, a przeczuwam, że na pewno zechcesz wydoić całą naszą wiedzę. Muszę cię zawieść jeszcze w innej kwestii. Sieć centralna Univnetu odersów jest bardziej uboga w zasoby niż ta, której używają Kiritianie. Więc jeśli zależy ci na kompletnej mapie, musiałbyś uderzać do nich. Od odersów nie dowiesz się na przykład o utajnionych obszarach, jak rezerwy planetarne najwyższego priorytetu.

– Jak się skontaktować z tymi Kiritianami?

Hanako po raz drugi w trakcie tej rozmowy zebrało się na śmiech. Zauważyła u Thino’paia większe zainteresowanie niż wcześniej w dyskusji. Niestety z rodzaju, jakby na obcy rewir przybył potężny drapieżca i szukał tam innych, zbliżonych do niego siłą.

– To najpotężniejszy ludzki naród, ponoć nieśmiertelny i bardzo zmilitaryzowany. Ich imperatorem jest Forkis. Dla nich odersi są jak zwierzęta, więc jedni i drudzy niezbyt chętnie zawierają przyjaźnie. Nie znam żadnego Kiritainina, czasem tylko widuję jednego bądź kilku w barorestauracji na stacji orbitalnej. – Wolała przemilczeć fakt, że prawdopodobnie udałoby się jej skontaktować z porucznikiem Andersonem. Nie chciała go w nic wrabiać.

– Tyle mi wystarczy. Gdy dojdę do siebie i zajdzie taka potrzeba, skontaktuję się z nimi.

– Zatem powodzenia – kąśliwie rzekła dziewczyna.

– Przynieś mi na początek holonot.

– Już to przerabialiśmy. Nie zrobię tego.

Wpatrzony w nią surowo Thino'pai wyłączył neurocytem jej drona, który z brzękiem opadł na ziemię.

– Co ty robisz?! – Hanako wstała, podniosła urządzenie. Obejrzała je, potrząsnęła nim i gdy się zorientowała, że nic nie lata luzem wewnątrz obudowy, umieściła drona we wgłębieniu na stole. Z marsmem na czole spojrzała na cyborga.
– Jeśli chcesz na mnie wymusić posłuszeństwo, psując mi drogie zabawki, to nic z tego. Zresztą aż do końca urlopu nigdzie się stąd nie ruszam. Nie mam nawet wyboru – dodała bardziej do siebie, smutniejąc. – Mogłabym mieć problem z powrotem do benglowa, gdybym teraz wróciła do Sutafochun.

Thino'pai podniósł się z materaca. Przeszedłszy z cichym brzękiem diardukowych nóg obok dziewczyny, skierował się do wyjścia. Teraz mogła określić dokładniej jego wzrost – z opancerzeniem miał około dwóch metrów, ale chodził lekko przygarbiony, niżej trzymając głowę.

– Kiedy stanę się Wyzwolonym, będę jeszcze cięższy i wyższy – rzekł, obrócony tyłem do Hanako.

– Na pewno nie potrafisz czytać mi w myślach?

– Nietrudno się zorientować, czego dotyczą, szacując po sposobie, w jaki się na mnie gapisz.

Hanako poczerwieniała. Wyszła za cyborgiem, który stał na trawniku i oglądał otoczenie. Usiadł na gładzie. Dziewczyna zajęła miejsce na sąsiednim.

– Dlaczego zatem tu jesteś? – zapytał Thino'pai, spoglądając niechętnie na żaby okupujące brzeg stawu. Poruszały podgardlami, także patrząc na dziwnego przybysza, tyle że czujnie. – Czyż ludzie nie trzymają się w kolektywach? Obserwowałem na razie jedno wasze miasto, ale przypuszczam, że cały wasz gatunek jest stadny.

Hanako podniosła kamyk leżący przy bucie i cisnęła go w wodę, płosząc kilka płazów.

– Ogólnie się trzymają. Nazywają się społecznościami. Te dzielą się na mniejsze grupy czymś powiązane. Rodziny, państwa, polis, partie polityczne, ugrupowania religijne, naukowców, wojsko... Mnóstwo tego jest. Często poszczególne grupy są ze sobą skonfliktowane. Niektórzy ludzie lubią jednak spędzać czas samotnie.

- Dlaczego? - zwrócił się w jej stronę. Dla Sahary pytanie zabrzmiało jak u dziecka, choć zdawała sobie sprawę, że nieznaną ludzkich norm społecznych Thino'pai pyta poważnie.

- Z różnych powodów. Uważają, że nie pasują do reszty i lepiej się czują osobno. Wybierają się na urlop, chcąc odpocząć od innych. Próbują się wyciszyć. Ukrywają się, będąc poszukiwanymi.

- Ty też zdajesz się stronić od towarzystwa.

Wpatrywał się w nią wyczekująco. Wzruszyła ramionami.

- Nie mam nic do ukrycia, po prostu pokłóciłam się z ojcem... dość porządnie. Sprzeciwiłam mu się, choć miałam do tego prawo, ale on tego nie zaakceptował. Ośmieszyłam go. Potrzebowałam odejść od mojej rodziny na jakiś czas. - Zdawała sobie sprawę, że wyjaśnienie zabrzmiało nieprecyzyjnie, ale nie chciała się zwierzać avorowi ze spraw osobistych.

Thino'pai burknął w nieokreślony sposób. Po raz kolejny nic nie zrozumiał, choć znał wypowiedziane pojęcia. Nie wiedział, czym jest rodzina. Jak może istnieć tyle kolektywów w społeczeństwie, i jak to możliwe, że same siebie zwalczają. Prostota oznaczała wydajność, skomplikowanie prowadziło wyłącznie do perturbacji z powodu zawilóści wzorca. Między kolektywami Kandrok nigdy nie dochodziło do waśni, być może za sprawą biosieci Źródła pochodzącej od gerhy albo Jedności, która spajała wszystkie umysły - to nie miało znaczenia. Ludzie zdawali się samowolni. Robili ogólnie, co chcieli. Nikt ich nie kontrolował, ograniczenia okazywały się złudne. Mieli wielu przywódców. Dla Thino'paia było to straszne i obrzydliwe. Zapewne stąd u ludzi wzięła się taka drobnica kolektywów. Chaos, bałagan. Czym jest ojciec, także nie pojmował. Wywnioskował, że Hanako weszła w konflikt z kimś potężniejszym od siebie. U Kandrok istniały kary, wadliwe jednostki naprawiano lub eliminowano, a przeciwstawić można się było wyłącznie gerhi, jeśli zawodził nadkolektyw. Kandrok pod dowództwem avorów mogli go zabić, jak i wszystkich z nim powiązanych, potem wybrać nowego przywódcę, którym zawsze był Wyzwolony.

- Jesteś zatem przestępczynią? Bo rozumiem, że nie zaatakowałaś swojego gerhy, ale kogoś pomniejszego? Masz usterkę? Co to jest ojciec?

Patrzyła moment na niego zdziwiona.

– O rany... – Tym razem nie było jej do śmiechu. – Ojciec to jeden z rodziców. Jeśli jest jeszcze matka, wówczas mogą powstać dzieci. Wszyscy razem tworzą rodzinę, w skład której wchodzi też dziadkowie czy krewni. Charakteryzuje ją pokrewieństwo krwi, chyba że doszło do adopcji potomstwa albo przyszedł ktoś z zewnątrz i został zaakceptowany. Będzie więc formalnie członkiem rodziny, ale nie genetycznie. A co z twoją rodziną, Thino'paiu?

– U nas nie ma czegoś takiego.

– To jak powstałeś? – Hanako obawiała się, że cyborg zareaguje nerwowo na tak osobiste pytanie, ale zdawało się go wcale nie krępować.

– Zostałem wyhodowany – odparł, jakby było to oczywiste.

– Wiesz, że ja też? W bioreaktorze.

Popatrzył bystrzej na dziewczynę. Uśmiechnęła się bez wyrazu, spoglądając w wodę, która zdążyła się już wygładzić.

– A co potem? Nie miałeś rodziny?

– Przydzielono mnie do kolektywu Sharraxa. Co było po moim ożywieniu i tak nie pamiętam. Bo na co to komu? Regularnie mamy czyszczoną pamięć ze śmieci.

– Nie masz więc żadnych wspomnień? – zapytała retorycznie, co miało mieć wyłącznie wydźwięk współczucia.

Thino'pai oczywiście nie zrozumiał tego, co miała na myśli.

– Nie słyszałaś, co właśnie powiedziałem? Wspomnienia zaśmiecają pamięć. Wprawdzie mamy ją pojemną, ale niczemu nie służy trzymanie bezużytecznych danych. Co ileś dikrah nasze wspomnienia są usuwane.

– To potworne. Wspomnienia to jedne z najlepszych elementów ludzkiego życia, wręcz jego kwintesencja. Zachowane w umyśle cudowne chwile, ale również te nieprzyjemne. Dzięki wspomnieniom kształtuje się osobowość, nie popełnia się potem błędów z przeszłości, o ile ktoś potrafi wyciągać wnioski z przykrych wydarzeń.

– Czyli same śmieci. – Thino'pai przesunął ręką po włosach. – Opowiadasz jakieś farmazony. Do niepopelniania błędów służy doskonały system operacyjny, stale ulepszany, a ten mamy w neurocytach. Męczy mnie już ta rozmowa.

Wstał, przyjrzał się niebu i sfrustrowany, że słońce skryło się za chmurami, jak i o to, iż przyszło mu trafić na glob z małym, niewydajnym żółtym karłem, wrócił do bengłowa.

Nie mógł zwierzyć się Hanako, że z powodu odcięcia go od kolektywu Sharraxa, ogólnie wszystkich Kandrok, jak i umysłu gerhy, zaczęło dziać się z nim coś dziwnego. Nigdy dotąd nie odczuwał takiej pustki, czemu towarzyszyło przygnębienie. Narastało wraz z czasem upływającym od chwili rozbicia się na tej okropnej planecie. Gdyby nie spotkał na swej drodze Hanako, od której pobrał informacje, nawet by nie wiedział, czym są te nowe odczucia. Uznałby je za nieprawidłową pracę mózgu spowodowaną uszczerbkiem na zdrowiu w wyniku portacji. Bo tym w istocie były przygnębienie i poczucie pustki – wadą. Powinien jak najszybciej wrócić do swojego kolektywu, aby nie ulec większemu rozregulowaniu.

Zbyt wadliwe jednostki były bowiem eliminowane, gdyż działały niekorzystnie na cały tryb społeczny. Mogły się także zbuntować.

Ale jeszcze gorsze od świadomości zagłady było poczucie osamotnienia – które w Thino'paiu narastało.

Do wieczora cyborg głównie przeleżał na pościeli, oszczędzając energię. Resztę czasu przeznaczył na druk poszczególnych elementów do nowej maski oddechowej. Polegało to na zrobieniu nieszablonowego, trójwymiarowego projektu w drukarce, niezwiązanego z niczym, co dotąd stworzył człowiek. Zajęło to Thino'paiowi kilkanaście sekund, czym wprowadził w zdumienie obserwującą jego poczynania Hanako. Neurocyt po prostu przejął chwilowo kontrolę nad urządzeniem i jakby przelał na niego myśli Thino'paia. Po wydrukowaniu części wykorzystał niektóre ze swojego oryginalnego aparatu, finalnie tworząc ludzko-avorowego składaka. Nie uzyskał oczywiście tego, czego by sobie życzył, bo ludzie nie znali kandrockich stopów i podzespołów, ale ważne, że aparat spełniał swoją rolę i cyborg mógł wreszcie swobodnie oddychać dużą ilością dwutlenku węgla.

Potem wrócił do leżenia.

Nie był skory do dyskusji, choć Hanako, której zwrócił inhalator, dwa razy próbowała z nim nawiązać rozmowę. Sporadycznie zadawał tylko pytania o pojęcia w języku kiritiańskim, których odpowiedników nie miał we własnym.

Po zmroku dziewczynie udało się jednak namówić go na ryby pieczone nad ogniskiem, rozpalonym w kamiennym kręgu nieopodal bengłowa. Cyborg bardziej skorzystał z zaproszenia z ciekawości, gdyż nie jadał pieczonej żywności,

preferując tę przetworzoną na surowo, która bardziej przypominała paliwo terenówki niż ludzkie jedzenie.

– Ogólnie jadam rzadko – wyznał. – Wolę uzyskiwać energię poprzez iniekcję płynów lub panele absorpcyjne pleców.

Zwrócił uwagę, że kilka paneli zasilających benglow i garaż było wyeksponowanych na gładziach skalnych. Lustrował je krótko, rzucił następnie przelotnym spojrzeniem na najbliższy pręt odbiorczy – i po raz pierwszy w obecności Hanako zaczął się śmiać. Siedząca na krześle teleskopowym dziewczyna zamarła z ością trzymaną w jednej ręce i talerzem w drugiej. Śmiech nie był przyjemny; nie tłumił go aparat oddechowy, który avor ściągnął na czas kolacji. Należał do tej kategorii, jaki wydałby z siebie ciężkozbrojny Kiritianin, gdyby stanął mu na drodze wieśniak uzbrojony w motykę.

– Tysiąc kilowatogodzin energii na rok lokalny.

Hanako nie miała pojęcia jak nocą, przy nieaktywnej instalacji solarnej, cyborg był w stanie wyliczyć, ile średnio zużywa prądu rocznie. Nie wspominając o tym, że świetnie już potrafił operować ludzkimi jednostkami.

– Jak to wyliczyłeś? – nie omieszkała zapytać, odkładając na ziemię talerz z niedojedzoną rybą.

– Nic nie wyliczałem, pobrałem jedynie dane.

– Jak to możliwe, skoro nie jesteś stąd? Co z kompatybilnością? – Hanako myślała już o tym wówczas, gdy Thino'pai używał jej drukarki. Jak i przy innych sytuacjach, gdy przejmował kontrolę nad urządzeniami.

– Używacie bardzo starej technologii cyfrowej. My też, niezależnie, rozwijaliśmy się kiedyś tą drogą. Bardzo dawno, dawno temu. To, z czym na razie miałem do czynienia w twoim świecie, nie stanowi dla mnie żadnej zagadki. Powiedz mi, czy inne budynki na planecie, ogólnie w waszych koloniach, zasilane są w podobny sposób?

– I to cię tak rozbawiło? Wydajność w moim apartamencie? – domyśliła się Sahara, lekko rozgniewana. – Dobrze wiedzieć przy okazji, że umiesz się śmiać.

Spoważniał, rozważając jej ostatnie zdanie jak zawsze w błyskawicznym tempie, bardziej jak kapripod niż istota żywa. Próżno było szukać na obliczu Thino'paia oznak zadumy. Nie zaczepiał też nigdzie zamysłonego spojrzenia.

– Wśród Kandrok w ogólne mi się to nie zdarzało – stwierdził. – Sam się teraz zdziwiłem. Ale to doświadczenie było... miłe.

– To co jest nie tak z moją chatą?

– Czy wszystkie wasze obiekty zasilane są w ten sposób? Chodzi konkretnie o ilość zużywanej energii. To kilowatogodziny? – Wsunął dzwonko ryby do ust i przełknął je po kilkukrotnym rozgryzieniu, spojrzał surowo na dziewczynę, niczym stróż prawa żądający, by uwięziony morderca przyznał się do winy.

Hanako zrozumiała, że ta informacja musi być dla niego cenna. Zdecydowała się nie kłamać. Jeśli nie od niej, Thino'pai i tak dowie się wszystkiego, czego chce, z innego źródła.

Wzruszyła ramionami, sięgnęła po talerz i umieściła go na kolanach.

– Nie znam się za bardzo. Prąd jest darmowy, każdy sam go sobie wytwarza. Prądożerne obiekty, jak fabryki czy syntezatory atmosfery korzystają jeszcze z elektrowni. Domki podobne mojemu na pewno zużywają podobną ilość energii co benglow. – Skinęła brodą w stronę chaty za plecami Thino'paia. – Zależy, ile osób w nich mieszka i z jakich urządzeń korzystają. Gospodarstwa domowe będą liczone w kilowatogodzinach, jakieś fabryki może w tera. Albo pekta. Naprawdę nie wiem, jestem tylko dzieckiem, a to wiedza dla fachowców. – Natychmiast pożałowała palniętej głupoty. Określając siebie „dzieckiem”, choć uważała się za młodą kobietę, dała przyzwolenie Thino'paiowi na to, by nie traktował jej poważnie. Liczyła chociaż, że słowo „dziecko” nie funkcjonuje w jego języku, skoro ich hodowano.

– Ile ty masz lat? – Cyborg niestety pociągnął temat.

– Siedemnaście.

– A jak długo żyjecie? – Tej informacji nie znalazł w entraserze.

– Jestem odersem. Tak Kiritianie nazywają każdego, kto do nich nie należy. Ludzi gorszego sortu. – Uśmiechnęła się z rozbawieniem, jak i pośepnie. – Odersi, korzystając z uzgodnień medycyny, dożywają stu pięćdziesięciu lat. Kiritianie ponoć są nieśmiertelni dzięki jakiemuś stworzonemu sztucznie superwirusowi. Nie wiadomo ile w tym prawdy. Na temat Zarażonych jest masa różnych teorii.

– To jesteś młodziutka. – Spojrzał na kolejną porcję swojej ryby i zjadł ją.

– Praktycznie już dorosła. Na Calcaris przyjmuje się, że pełnoletność osiąga się w wieku szesnastu-osiemnastu lat. Rozbieżność wynika stąd, że w innym wieku można uzyskać pozwolenie na broń, a w innym wziąć ślub czy złożyć zamówienie na określony artykuł. Każda planeta ma swoje normy. Na niektórych pełnoletność zaczyna się od trzydziestego roku życia, bo bierze się pod uwagę długość życia odersów i ich rozwój osobniczy. Czasem jest to nawet sprawa indywidualna, czyli wypadkowa stanu psychicznego i fizycznego danej osoby. Uważam ostatni model indywidualistyczny za najzdrowszy, bo każdy jest inny i dojrzewa inaczej. W nim jedni stają się pełnoletni, mając przykładowo siedemnaście lat, kiedy inni – czterdzieści. Niestety nie obowiązuje on na Calcaris. Zrównanie wszystkich narzuconą normą jest krzywdzące dla pewnej części społeczeństwa. A co z tobą? Jesteś młody? Jako po cyborgu trudno określić twój wiek.

– Tak, młody. Ale w przeliczeniu na twój wiek trochę od ciebie starszy. – Thino'pai nie rozwinął wypowiedzi, zajęty jechaniem, choć Hanako bardzo interesowała ta kwestia. Ale powinna się już przyzwyczaić, że on jak zwykle będzie aproksymować albo nic o sobie nie powie.

– To ile byś miał jako oders? – Nie dała za wygraną.

– Może trzydzieści – rzucił niedbale, jakby kwestia wieku była dlań nieistotna.

– Dlaczego się wypytywałeś o zasilanie energetyczne domów?

Skończywszy posiłek, napił się wody z kubka.

– Chciałem oszacować, ile energii jest w stanie wytworzyć wasza cywilizacja i czy miałbym jej wystarczająco, by zbudować transporter o konkretnym silniku, zdolnym dowieźć mnie do Kandrok – odparł, starając się trafnie używać ludzkiej terminologii. Powiedział tylko połowę prawdy.

Ku zdziwieniu Hanako rozmawiali do późna w nocy. Dziewczyna głównie tłumaczyła mu, na czym polegają zawiłości ludzkiego świata, zwłaszcza czym są konkretne uczucia i stany psychiczne. Cyborg zdawał się za to o wiele lepiej znać od niej złość, nienawiść i gniew, dostarczając jej kolejnego dowodu na to, że powinna na niego uważać. Na ostateczne pozbycie się go nie miała oczywiście szans. Nie tylko dlatego, że Thino'pai łatwo by jej to udaremnił, chociażby wykorzystując Zo'yo, ale sama z siebie nie byłaby w stanie komuś zaszkodzić, chyba że w obronie własnej lub kogoś słabszego.

Mimo że nie odczuwała już lęku w jego obecności (za wyjątkiem sytuacji, gdy robił te swoje groźne miny albo mówił, że coś nieakceptowalne moralnie w ludzkim społeczeństwie jest dla niego normalne), znów poszła spać na przyczepę terenówki, chcąc czuć tę złudną namiastkę bezpieczeństwa.

Thino'pai udał się na swoje posłanie w benglowie i w kilka sekund się wyłączył.

Obudził się jednak, gdy noc wciąż była głęboka, zlany potem i z tachykardią. Usiadł, podpierając się z tyłu dłońmi. Nigdy w życiu nie odczuwał takich pustki i lęku jak teraz. Szybko pojął, co doprowadziło go do takiego stanu – odseparowanie od kolektywu Sharraxa, jak i ogólnie nadkolektywu Kandrok. Gdyby nie przygoda na Calcaris, nigdy nie dowiedziałby się, że może w ten sposób reagować.

Długo nie mógł zasnąć, złękniony samotnością, ale w końcu udało mu się to nad ranem.

Nazajutrz nie poprosił Hanako, aby wybrali się z Zo'yo do lasu i przynieśli mu zwierzęta. Odmówił też śniadania. Nie wyjaśnił dziewczynie, co zamierza zrobić. Wyszedł przed bungalow na słoneczną pogodę i dokonał kilkuminutowej ablucji w stawie. Hanako w impulsive ciekawości chciała go zapytać, czy woda nie jest szkodliwa na metal jego zbroi, ale się wstrzymała. To było oczywiste. Thino'pai sam sobie przecież by nie szkodził, skoro pragnienie przetrwania było w nim bardzo wysokie.

Po wyjściu z kąpieli przykłęknął na ziemi, oparł dłonie na kolanach i, zamknąwszy oczy, zamarł tak na dobre, jakby medytował.

Dziewczyna nie za bardzo wiedziała, co ma ze sobą zrobić, zajęła się więc sprzątaniem garażu, potem benglowa, często zerkając w stronę nieruchomego towarzysza.

Thino'pai tkwił cierpliwie w posągowej pozycji, póki słońce nie zbliżyło się do zenitu. Wyliczywszy, że potencjał energetyczny A1 będzie teraz najsilniejszy, otworzył oczy i wstał.

Mijając Hanako, która wyszła zaciekawiona z benglowa, skierował się w stronę stromej ścieżki niknącej za skałą, strzeżonej przez szpaler chwastów. Dziewczyna ruszyła za nim, nie mając pomysłu, po co wchodzi na szczyt. Przyszła jej do głowy myśl, że zamierza skoczyć. Zdziwiła się, że ją to zaniepokoiło. Przyspieszyła kroku.

Thino'pai znalazł się na płaskim szczycie skały, który z jednej strony wysuwał się w przepaść, trochę jak pirs do dokowania małego statku kosmicznego. Stał kilka kroków od krawędzi. Jego źrenice zrobiły się małe niczym ukucia szpilki, gdy spojrzał prosto w południowe słońce, przed którym Hanako, dotarwszy na górę, musiała mrużyć oczy dodatkowo przysłonięte ramieniem. On nie musiał. Na jego macierzystej planecie Asephor' Cerotis, gdzie gerha miał swój kolektyworat, nadrzędną gwiazdą był błękitny nadolbrzym, z którym w układzie optycznie trionarnym krążyły jeszcze dwa żółte olbrzymy, niezwiązane grawitacyjnie. Był więc przyzwyczajony do silnego promieniowania i jasności, a wszelkie ewolucyjne braki Kandrok nadrabiali modyfikacją ciał. Wyzwoleni z kolei nie musieli się martwić z zasady żadnymi niedogodnościami.

– Słabo, ale powinno wystarczyć – skomentował, krzywiąc się trochę, że ma do dyspozycji jedynie marnego żółtego karła A1.

Stojąca kilka kroków za nim Hanako westchnęła, gdy z wnętrza na grzbiecie cyborga, która przypominała spłaszczony plecak, wysunęło się kilka par skrzydeł z heksagonalnym wzorem. Panele obróciły się szeroką powierzchnią w stronę promieni. Thino'pai, którego biała skóra odbijała maksimum światła, jeszcze bardziej drażniąc oczy dziewczyny, wyglądał, jakby zamierzał zerwać się do lotu. Jakby sam był słońcem. On jednak ładował się niczym Zo'yo niedawno. Jako ledwie drobna istota półorganiczna tysiąckroć wydajniej niż najbardziej energożerny kiritiański okręt, w przeliczeniu na jego masę. Miało to ogromny wpływ na jego regenerację.

– Niczym złoty anioł wojny – skomentowała z zachwytem Hanako, kojarząc Thino'paia ze swoją zdobyczną figurką.

Wyglądał ambiwalentnie: pięknie i zarazem śmiertelnie niebezpiecznie. Podobnie jak każdy twór natury z tej kategorii. Od wszystkiego co piękne należało natychmiast uciekać, bo mogło porazić jadem, rozszarpać kłami, zadusić czy sparaliżować. Zabić piorunem na miejscu, spalić na popiół. Thino'pai nie był jednak istotą stworzoną przez naturę, on jej się przeciwstawił i wygrał, był zatem o wiele bardziej niebezpieczny. Jaką tajemnicę skrywał, zastanawiała się dziewczyna, nie mogąc się napatrzeć na postać stojącą do niej tyłem, a twarzą do słońca. Dlaczego prawie nic nie chciał mówić o sobie? Co spowodowało, że tu się znalazł? Kim był?

Przysiadła na rozgrzanej skale i po prostu czekała, kontemplując towarzysza i otoczenie – wiele kilometrów dywanu koron drzew. Czas nie miał teraz najmniejszego znaczenia, zatrzymał się; mogła tak tkwić w nieskończoność.

Cyborg w końcu złożył i schował panele. Pobrawszy sporą dawkę dwutlenku węgla, odetchnął pełną piersią, wyraźnie zadowolony.

– Wreszcie jestem w pełni sprawny – oznajmił Hanako, na takiego też wyglądał: ożywiony, potężniejszy, wyprostowany. Gotowy do działania. Niczym dumny, surowy generał, który machnięciem ręki pośle tysiące oddanych mu żołnierzy do boju. – To teraz pokaż mi okolicę.

Po zejściu ze skały udali się do garażu. Dziewczyny nie zdziwiło, że Thino'pai ledwo zlustrował pojazd i już wiedział, jak z niego korzystać. Zasiadł za kierownicą, ona obok na miejscu pasażera. Nie wyglądał na zadowolonego.

– Nie podoba ci się moje auto? – zapytała z lekkim przekąsem.

– Jest mechaniczne, więc nie będę w stanie go prowadzić przy użyciu neurocytu.

Popatrzył na nią zagniewany, gdy chwyciła jego ciężkie, metalowe ręce i umieściła na kierownicy. Miały teraz ciepłość ciała Thino'paia; naturalna temperatura sprawnego avora wynosiła trzydzieści osiem koma cztery stopni Celsjusza.

– Największa frajda jest, gdy się przy czymś trochę pomęczysz – oznajmiła. – Sterowanie wszystkim na odległość nie daje takiej satysfakcji, jak przy pracy manualnej.

Thino'pai przekręcił kluczyk, ustawił bieg i dodał gazu. Samochód szarpnął niczym kopnięty w tył przez olbrzyma. Hanako najpierw wbiło w fotel, a potem wylądowała rękoma na pulpicie, gdy cyborg gwałtownie zahamował, będąc już poza garażem. Zatoczywszy oczyma łuk, zapięła pasy. Thino'pai pozostał niezabezpieczony.

– Jak rozwalisz, to odkupujesz – powiedziała. – To nie prom kosmiczny prowadzony w próżni.

Gdy wyjechali poza teren enklawy, dołączył do nich przyzwany przez Thino'paia leberiks w wersji Lesoto i wskoczył na przyczepę.

Avor choć wydawał się skupiony na widoku przed szybą, prowadził agresywnie. Skręcał gwałtownie, nie folgował z prędkością, ignorował ukształtowanie terenu,

przez co wóz skakał na leśnych wybojach niczym byk z niechcianym pasażerem na grzbiecie.

– Możesz trochę spokojniej? Wozisz ludzi, a nie ziemniaki. Zaraz się porzygam – wygarnęła mu dziewczyna. Odkręciła okno korbką do maksimum.

Thino'pai spojrział na nią przelotem. Rzeczywiście pobladła. Nie robił tego celowo, by gorzej się poczuła, przychodziło mu to naturalnie. Ale posłuchał i starał się prowadzić łagodniej, wykonywać powolne ruchy rąk, a nie zamaszyste.

– Teraz jest wręcz idealnie – pochwaliła go niebawem uśmiechająca się z wdzięcznością Hanako. – Mógłbyś oprowadzać wycieczkę małych dzieci, pokazując im las. Widzisz? Wystarczy się trochę postarać.

Thino'pai w życiu nie prowadził żadnego pojazdu manualnie, jak i nigdy nie miał do czynienia z tak prymitywnym. Oczywiście pamiętał słowa Hanako, że w ich świecie samochodów używa się jedynie hobbistycznie – cokolwiek to słowo miało znaczyć. Musiał jednak przyznać dziewczynie rację: prowadzenie pojazdu bez neurocytu, gdy nawet nie istniała możliwość jego kontroli, sprawiało mu przyjemność.

Przejeżdżali przez strumienie, sięgające nie wyżej niż do połowy kół monstertrucka, kołysali się na torfowiskach, rozbryzgiwali błoto, miażdżyli leżące gałęzie.

– Widzę, że ci się spodobało.

Skupiający się na nieskończonych pokładach biomasy w otoczeniu Thino'pai przestał interesować się współpasażerką. Gdy na nią spojrział, zauważył, że podpierająca głowę dłonią Hanako mu się przygląda, co mogło trwać od dłuższego czasu.

Przytaknął.

– Pod tym względem jesteś taki sam, jak mężczyźni na Calcaris. Dosłownie każdy lubi duże zabawki. A daj któremuś antyczne auto...

Nie wiedział, czy go skomplementowała, czy obraziła, choć osobiście odczuł to drugie. Ale i tak się zezłościł. Zrównywanie człowieka z avorem było dlań oburzające. Takie bluźnierstwo w ustach kogoś z gorszego gatunku nieraz kończyło się dlań karą śmierci. Nie chciało mu się jednak doprowadzać dziewczyny do porządku, bo zepsułby spokojną atmosferę, a sobie zabawę. Zresztą, czy dałby radę w ogóle ją zabić? Na pewno krępowała go ta przekłeta

wdzięczność, bo bez Hanako nie byłby teraz zdrowy i nie odzyskał sprawności. No i nadal jej potrzebował. Do pełni szczęścia brakowało mu tylko jego sprzętu, który pozostał na Yakiji. Niewykluczone, że dlatego tak dobrze czuł się we wnętrzu terenówki. Lubił otoczenie urządzeń, w dodatku kabina samochodu oddzielała go od tego okropnego, pełnego życia lasu.

– Pozwól mi nawigować, a pokażę ci kilka moich ulubionych miejsc – zaferowała Hanako. – Nie martw się, na pewno nie będzie tam żadnych ludzi.

– Ja myślę. – Pominął kwestię, że na tym etapie nie miałby ochoty zostawiać za sobą zbyt wielu trupów.

– Zresztą jako cyborg pewnie wiedziałbyś o ich obecności.

Przystanęli na kwadrans, by Hanako mogła zjeść w spokoju posiłek z plecaka. Usiadła na brzegu jeziora pod palmami. Thino'pai nie musiał się posilać. Dawka energii, jaką zaabsorbował na szczycie skały, starczy mu na swobodne funkcjonowanie przez wiele lokalnych tygodni, nawet przy znacznym obciążeniu neurocytu. Gdyby miał w pełni sprawny układ pokarmowy i posilałby się wyłącznie jak Hanako, przy wymaganiach energetycznych na poziomie funkcjonowania xepo, potrzebowałby tak ogromnej ilości kalorii, że nie byłby w stanie się wyżywić. Organizm żądałby więcej, niż cyborg byłby w stanie mu dostarczyć. Wraz z poziomem cyborgizacji avora wzrastało zapotrzebowanie energetyczne.

Pod wieczór dotarli nad urwisko. Rozciągał się tam widok na kolorowe wzniesienia przypominające rafę koralową, które szczególnie ekstrawagancko prezentowały się po deszczu. Była to w pewnym sensie skaza na terenie puszczy, niezmieniona od czasu terraformingu – taką formację zastali pierwsi badacze przybyli na Calcaris. Składała się z czerwonych konglomeratów i piaskowców, które nabrały przez miliony lat różnych barw na skutek erozji i ruchów tektonicznych. Postanowiono zostawić je w niezmienionej formie, a las zasiać naokoło.

Zo'yo przeszedł w swoją fabryczną formę drona i poleciał na obchód.

Hanako czuła zachwyty za każdym razem, gdy oglądała to miejsce, jakby resetowała jej się pamięć niby u towarzysza i widziała je po raz pierwszy. Teraz, przy barwach wieczoru, gdy słońce A1 nie świeciło już tak intensywnie,

prezentowało się szczególnie pięknie. Niczym pobojuwisko bombowców na kolorowe farby.

Spojrzała na siedzącego za kierownicą Thino'paia, wyczekującego za szybą jakiegoś widowiska.

– Widziałem już coś takiego – odparł po minucie, niczym niezachwycony. Wrócił leberiks i przekazał mu, że również nic ciekawego nie znalazł.

Hanako czuła się lekko zbita z tropu. No tak, nie wzięła pod uwagę możliwości, że Thino'pai zapewne sporo podróżował i niejedno już oglądał.

– Jest coś jeszcze. – Machnęła ręką na południe. – Musimy ominąć te wzgórza.

Zjechali samochodem z punktu widokowego i wcisnęli się w przejezdny przesmyk między lasem a podnóżem wzniesień. Cyborg nadal prowadził; Hanako wskazywała mu trasę.

Po zmroku dotarli do najwyższej części wzgórz, które dzięki swej kilkusetmetrowej wysokości zasługiwały na miano gór. Panowało tu zjawisko zwane kominem chłodu, gdzie światło licznych ciał niebieskich odbijało się od kryształków lodu obecnych na stokach, tworząc błyszczące kolumny. Wyglądało to, jakby Calcaris atakowała z kosmosu flota promieniami energetycznymi, padającymi pionowo.

Hanako rozsunęła dach. Wstała.

– I co tu jest niby ciekawego? – Thino'pai stracił nadzieję, że odkryje na tej planecie coś godnego uwagi. Była mała i skalista jak wiele innych, które odwiedził, o zbyt słabej jak dla niego grawitacji. Do tego miała fatalną gwiazdę pod względem wydajności; nawet trionarny układ żółtych karłów niezbyt poprawiał tę sytuację. Calcaris różniła się od całej rzeszy podobnych jej planet jedynie tym, że ludzie sprowadzili na nią życie, niestety w najgorszej formie – mnóstwo bezużytecznych gatunków. Gdzie Thino'pai się nie zwrócił, tam coś huczało, kumkało, świergotało, wyło, cykało, dokładając się do jazgotu kakofonicznego królestwa. Jeszcze ta ohydna, wszędobylska roślinność... Nie rozumiał, na co ludziom było to wszystko, skoro i tak prawie z tego nie korzystali. Hanako oczywiście postrzegała całokształt inaczej. Wspomniała coś o „konieczności zachowania bioróżnorodności” i „komforcie psychicznym”, co stanowiło dlań kolejną abstrakcję. Dobre samopoczucie jemu zapewniały wojna, gnębienie i zabijanie innych. Do tego został zaprogramowany. To się po prostu działo, więc

nie było sensu wnikać dlaczego. Cyborg chętnie wypaliły tę planetę do gołej ziemi, jak obszar w miejscu upadku, i dopiero stałyby się znośna.

– Zawsze jesteś taki bezpośredni i markotny? – zapytała go dziewczyna, opierając dłonie o otulinę przedniej szyby. – Nie mógłbyś chociaż poudawać, że coś ci się podoba?

– A jaki jest niby w tym cel?

Thino'pai stale brał wszystko na serio i przez to wydawał się jej zabawny. W dodatku zdawał się w ogóle nie odwoływać do fałszu, trochę jak Kiritianie. Tę cechę, nie zawsze osiągalną dla niej samej, Hanako u nich akurat bardzo ceniła. Wiedziała o swojej niedoskonałości i znała swoje ograniczenia.

– Zatem śpieszę się objaśnić ci zasady ludzkiej ogłady. U nas panuje zwyczaj, że jak ktoś robi coś dla drugiej osoby i jej niezbyt się to podoba, to nie mówi tego wprost, aby nie robić tamtej przykrości.

– Bez sensu. To nielogiczne. Jeśli coś nie sprawia ci przyjemności, to o tym mówisz, by druga strona więcej cię tym nie zadręczała.

– Niby masz rację, ale tak to nie działa. Spróbujmy jeszcze raz. Tego, co mam jeszcze w zanadrzu, na pewno nie widziałeś.

Kolejnym punktem wycieczki był skamieniały pień o kilkunastometrowej średnicy, znajdujący się głębiej w lesie. Wyglądał jak jeden gigantyczny zbiór minerałów, wokół którego grały tabuny świerszczy i cykad.

– Sekwoja wenusjańska – zaczęła Sahara, gdy Thino'pai zatrzymał monstertrucka, oblewając obiekt silnymi strumieniami światła. – To tylko taka nazwa, bo z planetą Wenus drzewo nie ma nic wspólnego. Jest jednym z pierwszych, jakie zasadzono podczas trzeciej fazy terraformingu, setki lat temu. Rosłoby nadal, gdyby nie trzasnął w nie piorun; drzewo ułamało się blisko gruntu i runęło. Potem zaszło rzadkie zjawisko, bo prócz tego, że pień skamieniał, to jeszcze wysyciły go kamienie szlachetne. Miało to związek z silną mineralizacją okolicy.

– Nuda – podsumował cyborg.

Hanako przez chwilę patrzyła na towarzysza, a potem rozbawiona wybuchnęła śmiechem, wprawiając go w irytację. Jego skwaszona mina tylko bardziej ją nakręcała. Zachowanie Thino'paia jakże było odmienne od wszystkiego, co znała od urodzenia.

– Co w tym śmiesznego? – zawarczał.

– Wybacz, tak jakoś wyszło. Zachowujesz się w sposób, który u ludzi uchodzi za zabawny. Zdaje się, że musiałeś dużo w życiu widzieć.

– Rzeczywiście sporo podróżowałem – przyznał, ale jak zwykle nie raczył rozwinąć kwestii osobistej.

– Co powiesz na to, abyśmy przenocowali na tamtej polanie? – Wskazała fragment terenu otoczony przez drzewa iglaste. Oświetlały go aktualnie trzy księżycy, w tym różowy Cal-1 będący już w pełni.

– A po co?

– Dla rozrywki i urozmaicenia egzystencji. Nie zamierzam nawet ci tłumaczyć, o co w tym chodzi – rzekła współpasażerka kąśliwie, ale i z nutą rozbawienia.

Patrzył na nią zdezorientowany, gdy wychodziła z kabiny, powarczał trochę i do niej dołączył. Zo'yo ponownie przybrał kształt psa, umościł się obok zwałonego pnia i zwinął w kłębek.

Hanako wyjęła z plecaka kulę kempingową, włączyła ją, rzuciła na ziemię, a ta w sekundy zmieniła się w jednoosobowy namiot. To samo powtórzyła z sąsiednim lokum.

– Co wolisz przynieść: głązy czy drewno? – zapytała. – Na ognisko – dodała, widząc pytający wyraz twarzy avora. Powoli uczyła się rozpoznawać jego – bardzo okrojone – emocje po samych oczach, a raczej tym naturalnym, pomarańczowym lewym, bo drugie stale wyglądało koszmarnie, jak u androida bojowego.

– Głązy – wypalił twardo. Nie miał ochoty dotykać kruchych roślin.

– Przynieś kilkanaście, tak by utworzyć z nich okrąg. – Tupnęła w igliwie, gdzie chciałyby rozpalić ogień. – Ja nazbieram to drugie.

Thino'paj niebawem wrócił z głazami, trzymając wszystkie naraz rękoma, a poruszał się, jakby niósł worki wypełnione powietrzem. Zaintrygowana Hanako oszacowała, że głązy musiały ważyć dwa razy tyle co ona. Była pełna podziwu, że zdołał jakoś ułożyć je w piramidkę i mu się to jeszcze nie rozwaliło.

Przywlokła pierwszą partię gałęzi, ciągnąc je po ziemi. Z kolejnymi wyręczył ją cyborg, nie kryjąc obrzydzenia. Przytachał nawet całe drzewo, z którym uporałoby się dopiero kilku silnych mężczyzn, następnie połamał je na kawałki gołymi rękoma, choć Hanako liczyła po cichu, że zobaczy jego broń w akcji; stale ją nosił w zminimalizowanej formie, doczepioną do lewego karwasza.

- Ależ mi tego brakowało! Miejscówka jak za dawnych lat... - oznajmiła ukontentowana, gdy parę chwil potem żwawo płonęło już ognisko. Mruknęła zadowolona, opierając dłonie za sobą na pniu, na którym siedzieli w pobliżu kamiennego kręgu. Uśmiechniętą twarz skierowała w stronę nieba. Thino'pai ostrzył nożem kije, o co go poprosiła. - Uwielbiam nocowanie w namiocie, tak pod gwiazdami... Rano skostniałe palce, nawet gąsienice we włosach. To ciągle przebywanie samej przed bengłowem już mi zbrzydło. Muszę się do czegoś przyznać: trochę cię wykorzystałam.

Thino'pai zwrócił na nią uwagę.

- Miałam kiedyś kolegów - mówiła dalej - ale gdy zaczęliśmy dorastać, każdy poszedł w swoją stronę. Ci, który podzielali moje hobby z wypadami w teren, powyjeżdżali, więc nie było już z kim chodzić na wycieczki. - Skinęła w stronę ognia. - Moja przyjaciółka Lan zmieniła się o sto osiemdziesiąt stopni i nie lubi już „łazić po krzakach”. A rodzina niezbyt nadaje się do takich rzeczy. Samej natomiast głupio, nawet z dronem.

- Dron to akurat doskonały towarzysz, broń i pomocnik - poprawił ją Thino'pai. Skierowali spojrzenia ku psu zwiniętemu teraz przy oczadzonych kamieniach. - Ale wasze są zupełnie inne niż u nas, potwornie proste.

Dziewczyna zapatrzyła się na leberiksa i odpłynęła myślami. Po chwili potrząsnęła głową.

- Biedny Billy - szepnęła smętnie.

- Kto to?

- Właściciel psa, którego zjadłeś. W sensie psa, nie właściciela.

- Nie zjadłem, tylko absorbowałem wzbogaconą surówkę.

- Jak zwał, tak zwał.

- No i co z tego? - zapytał Thino'pai bez żadnych skrupułów. Zupełnie nie rozumiał interakcji ludzi ze zwierzętami, czymś znacznie gorszym od nich, totalnie bezużytecznymi, które przecież nawet nie posiadały intelektu! Starał się spojrzeć na nie z innej perspektywy, podobnie jak na rośliny, ale poza materią, która słabo nadawała się jako surowiec do wykorzystania w procesach wysokoenergetycznych, nie dostrzegł w tych stworach innego potencjału.

Dziewczyna zdawała się oburzona jego odpowiedzią, nawet zawiedziona. Trochę go to dotknęło, o co sam na siebie się zirytował. Jeszcze tego brakowało, by poczuł

sympatię do własnego wroga, którym był dla niego, zgodnie z informacjami pochodzącymi z neurocytu, cały rodzaj Hanako. Zastanawiało go, skąd u niego takie myśli, sprzeczne z programem. Liczył, że w końcu same przeminą i nie są spowodowane ukrytą usterką, której mógł nabyć podczas przeniesienia się na Calcaris. W końcu nie miał pojęcia, jak tutaj się znalazł i jakie wtedy zaszły procesy.

– A jak byś się czuł, gdyby ktoś zeżarł twojego Zo'yo? – Dziewczyna użyła jedyne go argumentu, który według niej mógł okazać się skuteczny.

Thino'pai zerknął przelotem na leżącego leberiksa.

– Po co ktoś miałby go zjadać? Bez sensu.

– „Bez sensu” powinieneś mieć na drugie imię, bo często używasz tych słów. – Hanako zignorowała jego burknięcie. – To był tylko przykład. Chodzi mi o sytuację, gdy traci się kogoś, kto jest ci drogi. I cenny – dodała, orientując się już, że myślenie Thino'paia opiera się o wartości dotyczące maszyn. – Co byś wówczas zrobił?

– Zabiłbym za to, byłbym wściekły. Ale żaden Kandrok by innemu czegoś takiego nie zrobił, chyba że uszkodzony. Zapewne agresor pochodziłby spoza nadkolektywu. Zniszczyłbym go więc z przyjemnością.

– A widzisz. Wśród ludzi utrata kogoś bliskiego objawia się rozpaczą i smutkiem. Chociaż są i tacy reagujący agresją, że potrafią przywalić komuś w pysk za kopnięcie ich psa. Wielu z nas kocha zwierzęta za ich bezinteresowność, prostotę, niewinność i pocieszność.

– Nie znam tych emocji. Teoretycznie avor mógłby je poczuć, gdyby przepadł cały jego kolektyw, przynajmniej znaczna jego część. Ale takie coś nigdy się nie wydarzy. – Thino'pai wyjaśnił ogólnie, jak zwykle pozostawiając Hanako z pytaniami dotyczącymi kandrockiej układanki społecznej.

– Czy Zo'yo jest istotą świadomą? – zmieniła temat.

– Aha. – Podał jej naostrzony kij.

– Naprawdę? Jak to zrobiliście?

Spodziewała się, że Thino'pai rozwinie szerzej chociaż ten wątek, ale i tu się zawiodła.

– Tak wyszło – odparł lakonicznie.

- Wylewny to ty nie jesteś. A szło ci już tak dobrze, gdy rozmawialiśmy o ekonomii.

- Czyli twój kolektyw się rozpadł, powiadasz? To nie jest dobre.

- Ludzie są bardzo zmienni, zwłaszcza odersi, którzy nie są stabilni jak Kiritianie. Te zmiany powodują, że między nimi dochodzi do nieporozumień, czyli konfliktu potrzeb, dlatego się rozchodzą. Przyjaźnie ulegają rozbiciu. Grupy się rozpadają.

- U nas nie dochodzi do niekompatybilności. Kolektywy są trwałe. Chyba rozumiem, dlaczego mnie tu sprawdziłaś. Co robisz? - Spoglądał, jak nabija kielbasę na kij.

Uśmiechnęła się.

- To dla rozrywki. Rób po prostu to samo.

Milczeli przez chwilę, piekąc mięso nad ogniem. Hanako cieszyła się przyjemnością chwili, Thino'pai po prostu siedział, o niczym nie myśląc. Ta czynność trwałaby u niego femtosekundę i byłaby jedynie impulsem informacyjnym, choć potrafił przestroić mózg na powolną pracę jak u ludzi. Zorientował się, że obecność Hanako rekompensowała w nim w pewnym stopniu tę pustkę, którą odczuwał po separacji od Sharraxy.

Cyborg uznał, że nadszedł dobry moment na przeprowadzenie testu z entraserem dziewczyny - chciał sprawdzić, czy przy użyciu neurocytu byłby w stanie kontrolować zaczipowanego człowieka na poziomie nie tylko jego motoryki, ale i świadomości. A jeśli tak, czy działałoby to na podobnej zasadzie jak w przypadku leberiksów, mechów bojowych czy innych kandrockich maszyn. Musiał wybrać najpierw prostą czynność, sensowną, aby Hanako nie zorientowała się, że jest kontrolowana. Zerknął na szczelinę między głazami, które przyniósł do kręgu, gdzie znajdowało się trochę igliwia i już miał pomysł.

Spojrzał dyskretnie na profil Hanako skupionej na płomieniach i czerniącej kielbasie. Spróbował z najprostszym przekazem: kamień, uszczelnić, by nie doszło do pożaru lasu.

Nic.

Spróbował z wizualizacją: wyobraził sobie Saharę wykonującą pożądaną czynność.

Też się nie powiodło.

Za trzecim razem użył metody gerhy albo wyższego avora, na zasadzie działania kandrockiej biosieci Źródła, wysyłając rozkaz.

Dziewczyna wstała.

– Potrzebujesz? – Podała mu kij, odeszła kilka kroków, pochyliła się i chwyciła kamień z niewykorzystanej przyzmy, dokładnie ten, który Thino'pai wybrał do testu. Nie mógł to być więc przypadek. Włożyła go w lukę w kręgu, dopchnęła butem.

Avor odczuwał satysfakcję. Czyli zadziałało idealnie!

– Są dobrze wypieczone. Moja nawet za bardzo się zjarła. – Hanako odebrała swój kij i usiadła przy cyborgu. Uśmiechnęła się, patrząc, jak żuje mięso po zsunięciu maski. – Co jesteś taki zadowolony? Smakuje ci ludzkie żarcie?

– Nawet.

– Tak naprawdę nie jest to prawdziwe mięso, ale wyhodowane w zakładzie produkcyjnym, z samych komórek.

Wyczuł to. Tamto z wiewiórek i psa miało jakościowo lepszy potencjał energetyczny, pod względem składników również było wartościowsze. Z tego właśnie powodu Kandrok woleli produkować kunhikar, jak i wszelkie odmiany paliw, z naturalnych materiałów biologicznych, wykorzystując ciała jeńców albo własnych zabitych. W drugim przypadku obróbka dotyczyła paliw wyłącznie do maszyn – kanibalizm nie istniał w społeczeństwie. Miało to także podłoże religijne – Kandrok uważali, że najlepsze materiały pochodziły bezpośrednio z rąk Niosącego Światła.

Mimo wszystko avor musiał mieć pewność, że w jego teście nie zaszedł przypadek. Tym razem wymyślił coś trudniejszego, używając tej samej co wcześniej metody kontroli – „kazał” Hanako ściągnąć buty.

Oparłszy kij o pień, wykonała czynność natychmiast, ściągnęła też skarpetki, następnie wystawiła bosc stopy w stronę ciepła ogniska.

– Cudowna noc – podsumowała. Przetrzepała palcami włosy, by pozbyć się igielek sosny.

– Zgadza się – dopełnił bez entuzjazmu avor.

– Niesłychane. Thino'pai jest z czegoś zadowolony – dodała Hanako z kpiną.

Chociaż powodem jego zadowolenia oczywiście nie było bezsensowne siedzenie gdzieś w dziczy – biologiczni Kandrok nie potrzebowali relaksu; dla zapewnienia

sobie komfortu psychiki i ciała używali zupełnie innych metod – musiał przyznać, że również czuł się nie najgorzej. Po raz kolejny przypuszczał, iż mogło to być spowodowane bliskością Hanako, którą jego podświadomość zaliczyła do namiastki utraconego kolektywu. Jakby nie patrzeć, dziewczyna wyglądem przypominała niescyborgizowaną avorkę.

Noc nie okazała się wcale taka bezproduktywna – Thino'pai oto się dowiedział, że Kandrok łatwo mogliby kontrolować ludzi z entraserami. Było do jednak do przewidzenia, skoro ludzie podążali najwyraźniej tą samą ścieżką technologiczną co avorowie. Przynajmniej do obecnego etapu swojego rozwoju, bo w przyszłości może dojść do rozgałęzienia.

Testy zakończyły się sukcesem, jeśli chodzi o bliski dystans. Musiał teraz zbadać, jak mu pójdzie na znaczną odległość. Na przykład gdy Hanako wróci już do Sutafochun po skończonym urlopie.

Może to nie przypadek, że znalazł się na tej planecie? Może taka była wola Niosącego Światło, by jako wysoki dowódca odkrył rodzaj ludzki szczęśliwie wtedy, gdy Kandrok powoli zakańczali sprawę z opornymi Yakijanami? Coś musiało być na rzeczy. Thino'pai od razu poczuł animozję do ludzi, jakby tę nienawiść zaaplikowano Kandrok dawno temu. Oczami wyobraźni widział już afferis nalatującą Zodiac Universum, varoth masakrujących bądź wyłapujących *Homo sapiens*. Węzyki tych ostatnich zbliżające się do obrabiarek i zbiorników w centrach przetwarzania – część ludzi wydawała się spełniać wymogi, by zostać wcielonymi do armii Kandrok. Ludzie nie będą mieć z nimi najmniejszych szans, zwłaszcza ci z entraserami. Element ich technologicznej potęgi, służący ułatwianiu sobie życia, stanie się początkiem ich zagłady. Takie możliwości! I wszystko dzięki niemu! Thino'pai i tak błyskawicznie awansował jak na swój młody wiek, ale po czymś takim skoczy jeszcze wyżej. Może zostanie od razu Wyzwolonym!

Niespodziewanie zwizualizowała mu się Hanako idąca w szarym szeregu. Coś, co nie miało prawa się wydarzyć, ale i tak nie był pewny, czy podoba mu się ta perspektywa. Kobiety w społeczeństwie Kandrok nie zajmowały się wojną, czy to rasowe avorki, czy te avoropodobne absorbowane do nadkolektywu. Zwykle pracowały w przemyśle. Jeśli okazałoby się, że brakuje wakatów w fabrykach, dziewczynę czekałaby śmierć jak resztę ludzkich mężczyzn, których odrzucono by w procesie selekcji.

Wsunął do gardła ostatnią część mięsa i przełknął ją bez gryzienia.

– Tylko umyj zęby – rzekła do niego dziewczyna.

To była na razie jedyna jego porażka w starciu z cywilizacją Hanako – pokazała mu, czym jest szczotka do zębów i bez dyskusji kazała mu ją wydrukować w benglowie. Poinstruowała go też, jak działają płynne tabletki do higieny – wkładało się je do jamy ustnej, przegryzało biootulinę i płukało parę chwil rozlaną zawartością. Ale bardziej Sahara nalegała na używanie niezawodnej szczoteczki, która należała do grona przedmiotów niezmiennych od stuleci, bo doskonałych w swojej prostocie i skuteczności.

Posiedzieli jeszcze pewien czas przy ogniu, póki nieuzupełniane drewno nie zmieniło się w rozżarzone węgliki, standardowo Hanako coś mówiła, a Thino'pai słuchał – po czym udali się do swoich namiotów.

* * *

Avor się nie wyłączył. Dzięki różnym trybom cybernetycznego oka mógł śledzić stan Hanako, która szybko zasnęła zdrowym snem dotlenionej osoby, już nie mając problemu z jego obecnością. Zo'yo, znów w postaci drona, leżał przy twarzy Thino'paia.

Cyborg przy pomocy skanowania neutrinowego zarejestrował ruch w znacznym oddaleniu od obozowiska, w głębi lasu. Namierzył dwie postacie, które najwyraźniej podążały śladem czworonożnego, skaczącego zwierzęcia, jakiego dotąd jeszcze nie widział. Postanowił temu się przyjrzeć.

Opuścił namiot. Piaszczyste podłoże tłumilo jego kroki.

– Zostań – mruknął do leberiksa, który wyleciał za nim. Thino'pai nie zarejestrował w okolicy zagrożenia, ale gdyby Hanako jednak się obudziła i wyszła, zapewne poczuje się lepiej, wiedząc, że Zo'yo pozostał w obozie.

Przeszedłszy bezszelestnie na skraj polany, puścił się biegiem przez las w stronę dwójki mężczyzn.

* * *

– Ależ ty jesteś uparty – zwrócił się bełkotliwie do towarzysza piegowaty likanin z trzycentymetrowymi kłami i wilczym ogonem. Ten drugi, znacznie grubszy, o rudej czuprynie, także zaliczał się do transhumanistów, choć ze zwierzęcych cech miał jedynie ogon (człowiekowi w ogóle niepotrzebny, nawet przeszkadzał, ale pozostawała jeszcze kwestia wizualna). Obaj mężczyźni byli brudni, podobnie jak ich niechlujne ubrania. – Zwieje nam, szkoda zachodu. Przeleźliśmy za nim chyba pół lasu. Alfa Midnight się wkurwi, że oddzieliliśmy się od watahy.

– I o to właśnie w tym chodzi. Na tym polega zabawa! – odparł rudzielec. – Tak się poluje! Ścigasz ofiarę całą noc, nawet kilka. Ludzie i wilki są przystosowani do pokonywania każdego dnia dziesiątków kilometrów. W końcu dopadają zamęczoną zwierzynę, nie do doścignięcia na krótkim dystansie. A wtedy można wypruć jej flaki! – Wbił ostrze trzymanego noża w korę brzozy.

– O ile po raz piętnasty ci nie spierdzieli, Tukinie – wygarnął mu piegowaty.

– Tym razem go dopadnę. – Grubszy likanin pokazowo cisnął narzędziem w kolejny pień i spudłował.

– Ha, ha, ha! Nie potrafi trafić z trzech metrów!

Tukin szturchnął tamtego łokciem.

– Jeśli masz już dość, Clark, to se wracaj.

– No, weź, dobrze jest!

Znajdujący się kilkaset metrów przed nimi królik perłowy rzeczywiście był na skraju załamania nerwowego. Od kiedy wypuszczono go z Nakhabangi nie miał nawet chwili na odpoczynek i pożywienie się roślinami. Z łatwością potrafił uciec hordzie ścigających go dziwołagów, jednak gdy już myślał, że kupił sobie cenną chwilę wytchnienia, słyszał niepokojące hałasy. Przemieszczał się, chciał odsapnąć, ale sytuacja się powtarzała. Ścigający go ludzie byli nietypowi, bo posiadając cechy zwierząt, świetnie radzili sobie po ciemku. Choć w porównaniu z królikiem przemieszczali się wolniej, cierpliwie podążali jego śladem. A on potrzebował picia, potrzebował dużej ilości pożywienia przy swoim szybkim metabolizmie. I nie posili się w najbliższym czasie, bo zagnano go do zbiorowiska niejadalnych dlań roślin, głównie sosen.

Królik zrobił najmądrzejszą rzecz, jaką był w stanie wymyślić – wgramolił się do spróchniałego, opadłego pnia, przytulił uszy do tułowia i znieruchomiał, poruszając jedynie nosem. Może będzie miał szczęście i łowcy go nie wykryją?

Ale nic z tego.

Usłyszał odgłos zbliżających się kroków, czemu towarzyszyło sporadycznie pęknięcie gałązek. Gdy przybysze zatrzymali się przy samym pniu i czekali tak przez chwilę, zajęczak już myślał, że rozejrzą się i go wyminą. Pień uniósł się jednak gwałtownie.

– Ha! Mamy cię wreszcie, zakało cholerna! – zawołał triumfalnie piegowaty Clark. Zmurszałe drewno rozpadło się na miękkie, mokre drzazgi. – No dźgaj, ofermo!

Tukin postanowił utrudnić sobie zadanie i schwytać wystraszone zwierzę rękoma, zanim finalnie poderżnie mu gardło.

Uniesiony zajęczak rozorał mu pazurami tylnych kończyn twarz, wyrwał się i pognął w las.

– Noż idiota – zaburczał Clark.

– To pa tera. – Rudzielec zamachnął się i cisnął nożem z całej siły.

Narzędzie poleciało po łuku ku kicającemu zwierzęciu – jednak zostało od niechcenia pochwyczone czyjąś ręką.

Likanie wyprostowali się i zamarli. Popatrzyli na siebie ze zdziwionymi minami.

Przypominający człowieka, kuriozalny humanoid o białej skórze, w większości zbudowany z metalu albo nim opancerzony, trzymał narzędzie za ostrze, wpatrując się weń. Przesunął spojrzenie ku zaskoczonym mężczyznom. Jego prawe oko rozbliło czerwienią, niczym ampla alarmowa w bazie.

W silnym uścisku zgniótł nóż na złom. Opuścił rękę, rozluźnił palce, pozwalając opaść odłamkom na kolonię wątrobowców.

– Ja pieprzę, co to jest? – zapytał szeptem Tukin, po czym zawołał ofensywnie, choć odczuwał niepokój: – Ej, coś ty za jeden?!

Cyborg czekał, jak rozwinie się sytuacja. Nie pofatygował się nawet, by sięgnąć po broń, bo dwójka zeskanowanych mężczyzn miała przy sobie tylko prymitywne narzędzia.

– Jesteśmy pośrodku lasu i lepiej żebyś gadał, świrze, co tu robisz, bo możemy potraktować cię jak zagrożenie – ostrzegł go Clark, wysoko unosząc wargi, by było widać kły. Poruszający się energicznie z lewa na prawo ogon, zdradzał jednak zdenerwowanie. – Mordę masz, choć pewnie zakazaną, bo ją chowasz. Ale mówić chyba umiesz.

- A jeśli to jakiś Kiritianin? – zwrócił się do niego Tuki.
- On?
- Nie, ja. A niby kto?!
- I tak sam miałby tkwić w puszczy? Przecież to nawet nie jest człowiek! Może to zbiegły robot? Ej, dziwolągu, jesteś maszyną? – zapytał obcego Clark.
- Będzie mi potrzebna ręka jednego z was. – Cyborg zaczął iść wolno w ich stronę.
- To jakiś psychol. – Piegowaty likanin jeszcze bardziej wyszczerzył kły. – Radziłbym ci się zatrzymać! Jeśli umiesz liczyć do dwóch, to się zapewne zorientowałeś, że jest nas więcej!
- Clark, na cholerę z nim gadasz. – W ręce Tukina wyrosła maczeta wyjęta z pokrowca na plecach. – Spłoszył naszego królika.
- Może polowanie okaże się jeszcze udane. – Sąsiad sięgnął po nóż wojskowy. – Łeb dziwoląga na ołtarzu zamiast flaków królika? Mnie pasi!
- Nie wzięwszy pod uwagę faktu, że obcy dopiero co zmiażdżył nóż na ich oczach, likanie rzucili się nań z dzikim szałem.

* * *

Gdyby Thino'pai był niescyborgizowanym avorem, miałby problem z poruszaniem się po ciemku. Musiałby przemieszczać się całkowicie po omacku, chyba że miałby szczęście trafić na bezchmurne księżycowe niebo. Ale jako xepo z doskonałą aparaturą mógł w pełni wykluczyć ten mankament. Dlatego bez problemu złapał nóż ciśnięty przypadkiem w jego stronę.

Kiedy został zaatakowany, poczuł rozkoszny dreszczyk satysfakcji, który często towarzyszył mu podczas walk, choć ten tutaj był o bardzo niskim napięciu, wynikającym z zerowego zagrożenia. Dwójka autochtonów nie stanowiła dla niego żadnego wyzwania. Niemniej miło było znaleźć się w końcu w ulubionej przez niego sytuacji. Nie aktywował tarczy, tym bardziej nie było sensu używać broni dystansowej. Skusił się jedynie na złożone w schowku prawego ramienia diardukowe ostrze długości miecza, służące podczas wojen do rytualnego dobijania wroga, czasem honorowych pojedynków, gdy nieprzyjaciel sobie na to zasłużył.

Thino'pai wysunął je gwałtownie, gdy przeciwnicy ze swoją tragiczną bronią zamierzali zadać mu ciosy.

Zaskoczeni zamarli.

Cyborg błyskawicznym ruchem ręki, i bez oporu, wsunął ostrze rudemu w brzuch i rozkroił go prawie na dwie części, aż po czubek głowy. Diarduk ciął ludzkie tkanki, jakby były zbudowane z błota.

Drugi likanin zdołał wytrzeszczyć oczy w przerażeniu, nim został najpierw przeorany wszerz na wysokości pępka, a potem wzdłuż, jak towarzysz. Razem z ciałem przecięty został równie łatwo jego nóż, którym próbował się zasłonić. Na koniec cyborg go dekapitował, otrzymując dwie połówki z jego głowy. Nie zadziałała żadna blokada pochodząca z neurocytu, co oznaczało, że program akceptuje zabijanie tubylców. Inaczej odczuwanie do nich nienawiści byłoby pozbawione logiki.

Nadeszła znacząca chwila, dla której tak naprawdę tu przyszedł. Odciął piegowatemu likaninowi rękę tuż nad nadgarstkiem, następnie sięgnął po pojemnik zinabrah, do którego upchał uzyskaną próbkę.

Thino'pai przykucnął, by wypłukać ostrze w kałużę, po czym wsunął je na powrót do karwasza. Sam też obmył się z krwi. Zaciekawiony zerknął na odczyt z uzyskanej wzbogaconej brei. Okazało się, że, tak jak podejrzewał, ludzka tkanka jest doskonałym materiałem do wyrobu kunhikaru, jak i innych paliw.

Po zsunięciu maski zaczął pić błękitną zawartość pojemnika. Mrużył oko z rozkoszą, gdy cudowny, gęsty płyn spływał mu przelykiem do żołądka. Zamruczał. Oblizwał wargi, spoglądając na pusty pojemnik. Pomyślało mu się, że Hanako nie byłaby z tego zadowolona.

Poruszający nosem królik obserwował wszystko spod wykrotu, licząc, że ta straszliwa istota chociaż jego zostawi w spokoju.

Thino'paiowi nie chciało się pozbywać ciała. Nie orientował się w ludzkich metodach poszukiwania zaginionych, ale nie miało to i tak żadnego znaczenia, skoro poza Hanako nikt nie wiedział o jego istnieniu, więc nie powiąże go z zabójstwem. Zresztą w tej części lasu był jedynie chwilowo.

Serce królika wreszcie mogło odzyskać swój umiarkowany rytm dwustu trzydziestu uderzeń na minutę. Jedno uporczywe zagrożenie przestało wreszcie istnieć, a drugie właśnie oddalało się nieśpiesznie.

Oby na zawsze.



5. Haker w akcji

Hanako obudziła się pierwsza. Wypoczęta i odprężona wyszła z namiotu na słoneczny poranek, rozprostowując ramiona. Uśmiechnęła się do Thino'paia, który pojawił się niedługo potem.

Z myślą o śniadaniu na świeżym powietrzu dziewczyna zabrała z benglowa bułki nadziewane smaczną papką odżywczą, która rozpływała się pod wpływem wysokiej temperatury. Należało je umieścić w otulinie w rozgrzanym popiele niczym ziemniaki i piec podobnie, tyle że krótko. Wydający się mieć jeszcze więcej energii niż wieczorem Thino'pai zgodził się towarzyszyć Hanako w posiłku. Przy wkładaniu otulin do popiołu nie zwróciła uwagi, że wpadła jej do sadzy nieświadomie zgarnięta z pakunkiem panda. Dziewczyna mogłaby uznać ją za magiczną, bo figurka potrafiła pojawiać się niespodziewanie w dziwnych miejscach.

Namiot zwijało się równie łatwo, co rozkładało. Wystarczyło podnieść przykrywę przełącznika w jego rogu i wcisnąć aktywator, aby sam się przeczyścił

i przybrał z powrotem postać zbitej kuli podróżnej. Hanako z przyjemnością złożyła oba namioty. Jedynym dowodem bytności dwójki obozowiczów pozostały ślady po ognisku.

Do enklawy wrócili przed zmierzchem, akurat gdy rozpętała się straszliwa ulewa. W kilka minut wiele obszarów lasu, zwłaszcza z pochyłym terenem i przerzedzoną roślinnością, zmieniło się w rwące potoki błota. Na szczęście domek i garaż Hanako stały na częściowo skalistym wzniesieniu, gdzie nie miało prawa dojść do powodzi.

Dziewczyna nie obawiała się już spać z Thino'paiem pod jednym dachem. Jej lęki były zresztą pozbawione sensu, bo gdyby cyborg zechciał zrobić jej coś złego, nic by go nie powstrzymało przed wprowadzeniem tego w życie.

Kolejne dni mijały jej szybko. Thino'pai dalej nie mówił nic o swojej przeszłości, ale przynajmniej nie doszło między nimi do innego konfliktu poza sprzeczką o drona Hanako. Musiała jednak przyznać, że ogólnie całkiem miło spędziła swój przymusowy urlop. Pomijając surowość, okropny charakter i częste zagniewanie Thino'paia, tak bardzo fascynował ją jako obcy, że prawie wcale nie myślała o swoich najbliższych, z którymi nie miała jak się skontaktować.

– Przynieś mi holonot najszybciej, jak będziesz w stanie. Z twojej domowej drukarki bez odpowiednich materiałów nic nie wydrukuję – rzekł avor do dziewczyny przed benglowem. Rozsunął na trochę maskę i rozłożył szeroko ramiona. – Ja nigdzie się stąd nie ruszę.

– Będę musiała wymyślić jakiś powód, dlaczego nagle zacznę tak często latać do lasu. Rodzina nie wie o benglowie, to tajemnica moja i Wiktorii. – Hanako usiadła okrakiem na skulaku. Popatrzyła na wiszącego przy niej Zo'yo, który przekształcił się w wierną kopię jej drona, tym razem nawet pod względem kolorystyki, z czym nie fatygował się w przypadku zwierząt. Ustaliła z Thino'paiem, że oryginał zostanie tu na miejscu. O to właśnie wczoraj wieczorem się posprzecjali. Avor zażądał, żeby leberiks zajął miejsce drona i towarzyszył dziewczynie w Sutafochun niczym pieprzyk na jej skórze. Miał latać z nią wszędzie. Hanako nie zgadzała się na pełną inwigilację, ale ostatecznie poległa, nie mając żadnego silnego argumentu, który mogłaby przeciwstawić Thino'paiowi – podważał wszystko, co wymyśliła. Wywalczyła jedynie prywatność w łazience i warsztacie Jacka. W drugim przypadku chodziło o wysokie natężenie pola elektromagnetycznego,

które oczywiście Zo'yo by nie zaszkodziło, ale ktoś mógł zarejestrować coś nietypowego. Cyborg twierdził, że nikt nie zorientuje się co do podmienionego drona, ale w tej jednej nieistotnej kwestii ustąpił upartej dziewczynie.

– Powiedz, że chodzisz na schadzki. – Wykorzystał swoją niewielką wiedzę o ludziach. Jak zwykle jego uśmiech, który miał być żartobliwy, wypadł upiornie. Ale inaczej się nie dało przy trupiobiałej skórze, straszliwych heterochromicznych oczach i głowie o nieludzkim kształcie, zwieńczonej bojowo sterczącymi, nieczesanymi włosami. Dziewczyna zakodowała sobie w pamięci, że nadrobi to niedopatrzenie i pokaże następnym razem obcemu z kosmosu, że w jej społeczeństwie dba się o fryzurę.

Natchniona jego słowami wyobraziła sobie, że umawia się z Thino'paiem i natychmiast parsknęła śmiechem. Taka randka mogłaby zostać uznana za udaną jedynie wtedy, gdyby w jej trakcie nikt nie umarł.

– To nie przejdzie – odrzekła. – U nas panuje zwyczaj, że partner musi pokazać się rodzicom dziewczyny i uzyskać ich akceptację. Następuje zaproszenie obu rodzin na obiad. A nie jesteś zmiennokształtny jak Zo'yo, byś mógł upodobnić się do człowieka.

– Na takie poniżenie nawet bym się nie zgodził – odparł z odrazą. – To mamy umowę.

– A ja jako Sahara się z niej wywiążę – zapewniła, unosząc się honorem. W kwestii holonotu uparty Thino'pai niestety też wyszedł na swoje. Nawet gdyby się wypięła na jego nakaz i tak znalazłby sposób, aby dostać to, czego potrzebuje. – Tylko...

– Tak? – Przechylił głowę.

Mocniej zacisnęła palce na sterownicy skulaka.

– Nie odchódź z tego miejsca – rzekła dwuznacznie, patrząc na ziemię przed pojazdem.

Thino'pai zrozumiał tylko jedną z tych kwestii, nieczuły na pojęcie ludzkiej wieloznaczności.

– Już o tym rozmawialiśmy. Jakbym wyszedł z ukrycia, mogłyby wyniknąć z tego duże kłopoty, dla ludzi w pierwszej kolejności. A tak Zo'yo będzie moimi oczami. Poruczam ci go.

– Zatem do zobaczenia – odparła Hanako, myśląc, kto kogo naprawdę będzie tu pilnować.

– Cześć. – Cyborg nasunął maskę.

Odpaliła skulaka, uniosła się i wystrzeliła w przestrzeń, gdzie było mniejsze zagęszczenie pni. Zo'yo leciał obok, bez problemu dostosowując się do prędkości jej pojazdu.

* * *

Midnight, jak kazał siebie nazywać w sekcie, był alfą jednej z likañskich watah. Ten trzydziestoczterolatek o brązowych włosach miał je wygolone z lewej strony głowy, natomiast na drugiej połowie nosił krótkie, drobne dredy zaczesane ku uchu. Jako że specyficzną urodą mężczyzny były wiecznie podkrążone oczy, uwidaczniał tę cechę, malując te miejsca węglem. Midnight nie szalał z transhumanistycznymi modyfikacjami na wilczą modłę, wzbogacał swój wygląd jedynie o dłuższe górne kły. Aktualnie miał na sobie zieloną koszulę na ramiączkach, włożoną w ciemnoszare luźne spodnie. Na szerokim pasie znajdował się pokrowiec z nożem oraz kabura z X17A4 – podstawowym kiritiańskim pistoletem na samoodnawialną amunicję świetlną. Likanin zdobył go kiedyś na czarnym rynku planety Kalwarii.

W burym świetle pochmurnego dnia oglądał w przykucu leżące pod drzewami zwłoki dwóch sekciarzy. Zauważył je przypadkiem Ariak, likanin o wyglądzie atlety z jego watahy. Znając skłonności alfy do szybkiego wpadania w złość, reszta jego ludzi stała oddalona w półokręgu, niczym robotnicy budowlani spoglądający, jak pracuje jeden z nich.

– Może to niedźwiedź? – Któryś się wybił i odezwał. Część sekciarzy się skrzywiła, część zacisnęła zęby. Popatrzyli niepewnie na plecy Midnighta.

– Tu nie ma takich drapieźników – odparł nadzwyczaj spokojnie, dotykając czubkiem noża koszmarnych ran zabitego Tukina. – Chyba że znowu jakiś nuworysz wypuścił do lasu coś, co mu się znudziło. No i czy widziałeś kiedykolwiek, Eryku, niedźwiedzia szalejącego z kataną czy inną maczetą? – Obrócił się i napastliwie popatrzył na śmiałka.

Tchórzliwy z natury Eryk o wyglądzie wioskowego głupka energicznie potrząsnął głową.

– A co się stało z ręką? – zapytał Noova, pokryty sierścią likanin przypominający wilkołaka. Odruchowo rozejrzał się po okolicy, jakby sprawca ciągle czał się w pobliżu.

– Dobre pytanie – odrzekł Midnight. Pokręcił rękoma, wymachując nożem. – No co tak stoicie, jak zakorzenione ciołki!? Zapraszam, zapraszam! Robimy burzę mózgów! Koniec polowania, zapomnijcie o tych durnych królikach!

– Mid, chyba coś mamy – na holonot alfy zagadała Vanada, kobieta z watahy, która została wysłana z towarzyszami na przeczesanie dalszego terenu. – Nie wiem, czy to ma związek z zabójstwem, ale warto zobaczyć.

– Zaraz tam będę, podaj lokalizację. – Midnight wstał z przykucu. Wskazał ostrzem kilku ludzi, w tym Noowę i Eryka. – Wy zostańcie przy zwłokach. – Westchnął z irytacją, widząc ich nietęgę miny. – Jest was czterech! Ktokolwiek zabił Clarka i Tukina, dawno sobie poszedł. Już nie takie rzeczy robiliście – machnął na poćwiartowane ciała – więc ogarnijcie się trochę. Zwłaszcza ty Noova. Wygrywasz w Nakhabandze wszystkie walki, a teraz skręca ci jaja ze strachu? Jesteś półwilkiem czy psem kanapowym? Masz. Nie jest spersonalizowany. – Rzucił mu wyjętego z kabury X17A4, którego likanin prawie upuścił.

Idąc z Ariakiem i resztą watahy do miejsca, które wskazała Vanada, Midnight analizował sytuację. Cięcia zostały wykonane z błyskawiczną precyzją, przeszły bez oporu przez ubranie, mięso i kości. Obszar urazowy wskazywał, że rzeczywiście mogłaby to być broń biała o większym ostrzu. Na pewno droga, zwykłego cywila nie stać by było na coś zadającego takie obrażenia, jak i nie miałby po co chodzić z bajeranckim ostrzem po bezpiecznym lesie (likanów w to nie wliczał). Jeśli Clark i Tukin padli przypadkiem ofiarą kogoś poruszającego się pojazdem – znając ich, mogli tamtego wkurzyć – Midnight się już tego nie dowie, bo ulewny deszcz zatarł ślady. Jednak patrząc na gęstość drzew w miejscu zabójstwa, nie przeleciałoby tędy nic większego od drona personalnego. Przyszedł mu na myśl przemytnik, rebeliant, żołnierz z obrony planetarnej albo Kiritianin – czyli całkiem spora ferajna podejrzanych. Bo raczej nie zrobił tego wkurzony miejscowy.

Na piaszczystej polanie, do której dotarli, wyczekująca ich Vanada – młoda brunetka-transhumanistka o jasnej karnacji, puszystym ogonie, wilczych uszach i kłach – wskazała Midnightowi miejsce po rozbitym obozowisku. Pochylili się nad rozniesionym deszczem popiołem przy kamiennym kręgu. Alfa wygrzebał z brejowatej sadzy figurkę pandy, przyglądał się jej, obracając ją palcami przed oczyma.

– Jest jeszcze to. – Kobieta wskazała zachowane głębokie ślady po kołach kilka metrów dalej.

Midnight się wyprostował.

– Samochód. Ciekawe... – Obrócił twarz ku Ariakowi. – Kojarzę tylko jedną osobę z okolicy, która lubi bezużyteczne samochody i zbieranie takich dupereli. – Pokręcił figurką.

– Tylko czy ma to związek z zabójstwem Clarka i Tukina? – zapytała Vanada.

Alfa uśmiechnął się półgębkiem. Podszedł do niej i otoczył ramieniem jej barki.

– Masz, na szczęście. – Podał jej figurkę. – Siksa latająca po lesie z kataną z pozoru wydaje się niedorzecznością, ale czyż wśród likanów nie znajdują się politycy, osoby wysoko wykształcone i inne niepospolite umysły? Tam, gdzie z pozoru kompletnie nie pasują?

Ruszyli śladami opon, pewni, że dokądś ich doprowadzą. Ale skutki ulewy szybko ostudziły entuzjazm likanów, przez co poczuli się, jakby urwał im się trop ściganej zwierzyny.

* * *

Hanako ukazał się lej miasteczka, gdy tylko wyleciała skulakiem poza teren ogrodu Myanmar. Wydawało jej się, że nie była tu całe wieki. Kiedy zatrzymała się na moment z Zo'yo na najwyższym kręgu miejskim i osadziła pojazd, parę osób przystanęło i spoglądało na nią ze zdziwieniem. Zaintrygowana dziewczyna ruszyła w stronę domu, ale tam nie doleciała, bo na drodze stanęła jej Lan.

– Hanako! – Przytulili koleżankę na powitanie, gdy ta zeszła z maszyny. – Ale narozrabiałaś, niektórzy myśleli, że nie żyjesz – mówiąc to, nie wyglądała na zatroskaną. Uśmiechnęła się, tym razem obejmując ją spojrzeniem. – Nie spodziewałam się, że mimo wszystko dojdziecie do porozumienia.

Sahara zamrugęła.

– Ale o czym ty mówisz?

– Nieźle to wykombinowałaś!

– Hanako Sahara!

Dziewczyna syknęła, odruchowo się zgarbiła, słysząc za plecami ryk doskonale znanego jej głosu. Odnosiła wrażenie, że obrót w tył zajmuje jej sto lat. Ujrzała wściekłego Riku w towarzystwie stojącego za nim Fuhity, który z zadowoleniem wykonał pod adresem siostry gest przejeżdżania palcem po gardle.

Riku ruszył ku niej zamaszystym krokiem, przez co Sahara straciła nieco pewność siebie, żywo pamiętając, jak ostatnio skończyła się ich sprzeczka. Ale kiedy ojciec znalazł się tuż przy córce, przytulił ją bez słowa i długo tak trzymał.

– Pogadamy potem. Gdy cię już dorwę, to przysięgam, że nie wypuszczę, póki mi wszystkiego nie opowiesz. – Lan machnęła wesoło do zdezorientowanej Hanako i się oddaliła.

– Chyba mamy sobie trochę do wyjaśnienia. – Głos Riku nabrał groźby. – Zapraszam. – Pchnął dziewczynę lekko w plecy, drugą ręką wskazując dom.

* * *

Hanako czuła się niczym podejrzany sprowadzony przed oblicza znajdujących się na trybunie sędziów. Choć w tym przypadku klęczała na poduszce przy krańcu niskiego stołu, kiedy reszta zasiadającej przy nim rodziny spoglądała na nią w różnoraki sposób. Była nawet fretka, licząca na dostanie smacznego kąska.

Śledzący poczynania dziewczyny za pośrednictwem Zo'yo Thino'pai oszczędził jej dalszych nieprzyjemności i kazał leberiksowi przeczekać w jej pokoju, by nikt nie robił Hanako pretensji o to, że chodzi po domu w towarzystwie drona. I tak miał wgląd przez ściany na sytuację.

Gdy wszyscy już przyjęli do wiadomości, że Hanako ma się świetnie, głos zabrał Riku:

– Na początek chciałbym cię bardzo przeprosić za to, czego doświadczyłaś z mojej strony – mówił trochę kornie, spoglądając na swe pięści oparte o gładź blatu. – Poniosło mnie, ale kiedy zrozumiałem, co takiego uczyniłem, nie miałem już kogo przeproszać. Bezwzględnie ruszyłem transporterem do miasteczka

Tikimo, do twojej koleżanki Wiktorii, pewny, że będę tam przed tobą, a może i spotkamy się po drodze. – Uniósł spojrzenie na córkę. – I zapewne domyślasz się, czego się od niej dowiedziałem?

– Ojciec, ja nigdy was... – W pierwszej chwili pomyślała przerażona, że wiedzą o Thino'paiu, ale w kolejnej – że byłoby to absurdalne. Cyborg potrafił się świetnie zabezpieczać przed wykrzykiem.

Mężczyzna uciał jej zdanie zamaszystym uniesieniem dłoni.

– Dlaczego nas okłamałaś i odstawiłaś całe to przedstawienie przy rodzinie Sakaiów? Chciałem przycisnąć Hiroshiego, ale kłamał mi w żywe oczy, że nic nie wie. Więc dałem sobie spokój. Zresztą rzadko go widywałem w miasteczku, ale już wiem, co było tego przyczyną.

Oczy zdziwionej, nic nierozumiejącej Hanako zdawały się rosnać. Przesunęła nimi po bracie, dziadku, babci i matce, ale nie doszukała się na ich obliczach odpowiedzi. Patrzyli na nią... z zawodem, jakby uważali, że brak jej kindersztuby? Ze zgorszeniem? Jedyne Misaki spoglądała na całe to zebranie, zachowując dystans. Hanako nie byłaby zdziwiona, gdyby to ona przekonała Riku do przeprosin.

– Dziewczyno, ty masz przecież siedemnaście lat, takie postępowanie ci się nie godzi! – cisnął ją ojciec. – Wiktoria nie miała wyjścia i przyznała się, że masz do dyspozycji benglow w Lesie Kolonistów, ale kiedy chciała podać mi jego współrzędne, bym bezzwłocznie cię tam odwiedził, okazało się, że jest przepisany na Hira jako pełnoletniego właściciela. Współrzędne zostały zaszyfrowane, a Wiktoria oczywiście ich nie pamiętała.

– Co takiego?! – Chociaż Hanako była szczerze zaskoczona i skołowana, reszta odebrała jej reakcję jako pokłosie zdemaskowania, tudzież niewerbalnego przyznania się do winy.

Kompletnie zgłupiała i poczuła konsternację, gdy Riku, tak przy wszystkich, położył na stole... test ciężowy!

– Rób – nakazał. – Chcemy być spokojni.

– Odbiło wam?! – Zerwała się na równe nogi. – Nie jestem przecież w żadnej ciąży! – Gromko spojrzała na Fuhitę, który denerwująco ruszał brwiami. Z natury była łagodna i spokojna, jednak osaczona, potrafiła się bronić, choć nie znosiła znajdować się w stanie wzburzenia.

Patrząc wyzywająco ojcu w oczy, sięgnęła daleko ręką i chwyciła niewielki tłoczek. Zdjęła kapturek i wbiła w skórę przedramienia ultracienką igłę, po której nie pozostała ani ranka, ani nie wypływała krew, jak i sam test był całkowicie bezbolesny.

W sekundzie pojawił się wynik na wyświetlaczu, który zirytowana Hanako uniosła ku reszcie. Czuła przy tym wstyd.

– Trzy zera. Zadowoleni?

– Trochę manier, dziewczyno – upomniał ją dziadek Tun Tun.

– Jakbyś zapomniał, to przez twego syna uciekłam z domu – odparła kulturalnym, choć dobitnym tonem.

Misaki patrzyła na wszystko z założonymi na piersi rękoma, niczym Forkis biernie śledzący sprzeczkę wśród członków kirtiańskiej Rady Dygnitarzy.

– To normalne, że w twoim wieku ma się chłopaka – odezwała się Shuang. – I nie trzeba się z tym ukrywać, zwłaszcza tak daleko od domu. Cieszę się, że doszło jednak między wami do zgody.

– Zabierzesz mnie do domku w lesie?! – zapytał z entuzjazmem Fuhito.

– Kiepski pomysł, teraz panuje tam straszny bałagan – odparła szybko dziewczyna, spłoszywszy się na ledwie zauważalną chwilę. Ale Riku to zarejestrował i ściągnął brwi. Pięknie, pomyślała. Prócz tego, że ciągle nic nie rozumiała z tego chaosu, to jeszcze wyobraźnia ojca ukazała mu zapewne najbardziej zbereżne scenki, jakie rzekomo Hanako i Hiro mogli robić w benglowie. – Może kiedyś. – Wyprostowała się i spojrzała na ojca.

– Teraz lepiej nie kręcić się po lesie – odezwała się po raz pierwszy babcia. – W ciągu ostatnich miesięcy zaginęło tam kilka osób. Wszystkie z miasteczek w otoczeniu Lasu Kolonistów.

– Według statystyk – odpowiedziała Hanako – ponad połowa zaginionych to ludzie, którzy świadomie zerwali kontakt z bliskimi i zniknęli, bo nie chcą być odnalezieni. – Westchnęła. – Nie czuję się najlepiej, jestem zmęczona. Chciałabym odpocząć. Jutro rozpoczynam ponownie pracę na stacji orbitalnej. Czy będę jeszcze do czegoś potrzebna?

– Idź, ale wróćmy do tej rozmowy – oznajmił Riku.

– Czy mogę wiedzieć, jak do tego doszło, że ludzie myślą, iż randkuję z Hiro po lasach?

Fuhito odchrząknął, wziął fretkę na ręce i opuścił pomieszczenie. Zaraz za nim wyszła babcia.

– Oczywiście, jakże by inaczej – burknęła Hanako pod nosem.

* * *

W pokoju pierwsze, za co się zabrała, to sprawdzenie wiadomości w holonocie. Nie było tego wiele, ledwie kilkanaście połączeń: od rodziny, które urwały się, gdy się okazało, że personalny asystent leży w domu na jej łóżku, informacja z pracy z potwierdzeniem, że ma się stawić jutro na stanowisku, reszta od znajomych oraz nieśmiertelna stała kosmiczna ludzkości – spam reklamowy.

Leżąc na materacu, Hanako machnęła holonotem przed wizjerem wiszącego nad nią Zo'yo.

– Dostarczę ci go tak szybko, jak będę w stanie. Mojego aktualnie nie mogę ci oddać – rzekła z myślą, że Thino'pai ją słyszy. Nie zdziwiłoby jej, gdyby wystarczyło pokazać holonot leberiksowi, aby cyborg miał do niego dostęp z dowolnego krańca planety. – Sam widzisz, co się narobiło.

Przede wszystkim pozostawała do wyjaśnienia najważniejsza kwestia. Potwierdziło się na akcie własności, co Hanako sprawdziła w holonocie na założonym przez Wiktorię koncie, do którego miała dostęp, że benglow należy teraz do Hiroshiego Sakaia.

– Zabiję cię, normalnie, człowieku, jeśli to rzeczywiście twoja sprawa. – Wysłała wiadomość do chłopaka z żądaniem spotkania.

Odpisał, że mogą się zobaczyć niedługo przy bajorku w dolnym miasteczku.

Nie zostało to ustalone, że Hanako ma pozostać w domu, ale żeby uniknąć kłopotliwych dywagacji w korytarzu na parterze, wzięła torebkę i wyszła na zewnątrz ze swojego tarasu. Zbyt późno pomyślała, że może to zostać odebrane jako wymykanie się i lepiej byłoby już wyjść drzwiami, odważnie i po ludzku.

Zo'yo leciał za nią.

Nad wodę dotarła przed Hirem, stanęła na łukowatym mostku, pod którym rozkosznie szumiała kaskada. Zaczynało zmierzchać, a okolica rozgorzała feerią miejskich lampek, gdy Hanako dostrzegła zbliżającego się nieśpiesznie młodzieńca. Trzymała ręce splecione na piersi, piorunując go lodowatym

wzrokiem. Sama jego postawa niby u zbitego psa była jak przyznanie się do winy. Totalnie nie pasowała do Sakaia, chcącego uchodzić za macho.

– Mam nadzieję, że powód, dla którego to zrobiłeś, będzie odpowiednio dobry – zaczęła bez powitania.

– Witaj, Hanako. – Przystanął przed nią.

– „Witaj” to objaw dominacji przypisany do wyższego stanowiska. Tak sobie może powiedzieć pracodawca do podwładnego. A ty właśnie pokazałeś mojej rodzinie, że chętnie sobie mną porządysz, robiąc coś za moimi plecami. Czyba że to nie twoja sprawka?

– Przyznaję się do wszystkiego. Ja przepisałem twój domek na siebie.

– Niby po co? I jak?

– Moja specjalność to zabezpieczenia informatyczne, więc nie było to trudne.

– Czyli hakowałeś?

Spojrzał jej poważnie w oczy.

– Chciałem, abyś pozostała bezpieczna. Żeby nikt się nie dowiedział, gdzie przebywasz.

– W porządku, ochroniłeś mnie przed wjazdem rodzinki na chatę, ale kompletnie nie rozumiem twojego altruizmu. Ośmieszyłam cię przecież przy naszych ojcach, dałam ci kosza. Nigdy zbytnio się nie lubiliśmy. Więc dlaczego? Po co ta cała fatyga?

– Wybacz, więcej nie mogę ci nic powiedzieć. – Wcisnął dłonie w kieszenie bluzy z kapturem i przeniósł wzrok na szalejącą taflę wody u podnóża kaskady.

Hanako teraz dopiero pomyślała, że skoro Hiro znał lokalizację bengłowa, sam mógł się tam wybrać albo kogoś nasłać. Kiepsko by się to skończyło dla tego, kto stanąłby oko w oko z aktualnym lokatorem domku.

– Nie będę ci nic wybaczać. Czy ty jesteś normalny, Hiro? To dość istotna sprawa. Chodzi o majątek, więc nie nabieraj wody w usta. Chcę wiedzieć, dlaczego przepisałeś na siebie moją nieruchomość, w dodatku ośmieszyłeś mnie przed rodziną i pewnie połową miasta, gadając plotkarzowi Fuhito jakieś bzdury. Patrzyli dziś na mnie jak na niezrównoważoną psychicznie nastolatkę, która najpierw się awanturuje z ojcem, a potem ucieka na facetów do lasu. – W pewnym sensie wszystko było prawdą, pomyślała sfrustrowana. – Czy to jakaś forma zemsty za nasze ostatnie spotkanie?

Przeleciało jej przez głowę, że może Hiro rzeczywiście jest w niej chorobliwie zadurzony, przez co nie działa racjonalnie.

– To nie tak. – Potrząsnął głową. Nie dostrzegła w jego gestach czy spojrzeniu, że mogłaby mu się podobać. Jego zachowanie od początku spotkania wydawało się jałowe. – Jeśli powiem ci prawdę, będziesz wściekła. – Rzucił spojrzeniem na drona Hanako, który z jakiegoś powodu skojarzył mu się z osobnym, świadomym bytem, prześwietlającym jego nawet najmniejszą kosteczkę. Nie zdziwiłby się, gdyby Riku kazał córce korzystać z wizji na żywo albo ona sama na to nalegała, aby udowodnić swojej rodzinie, że doszło do nieporozumienia.

– Już jestem, bardziej chyba nie będę.

– To był zakład – wypalił nagle Sakai, co zabrzmiało strasznie sztucznie.

Kiedy dalej milczał, patrząca nań krzywo Hanako uniosła rękę, ruchami palców nakazując mu kontynuować.

Hiro nabrał dużo powietrza i głośno wypuścił.

– Byłem pijany na wieczorze z kolegami. Zacząłem chwalić się, czego to ja nie potrafię. Kazali mi wszystko udowodnić. Więc udowodniłem, włamując się do Instytutu Zasobów Prywatnych Calcaris i przepisując twój benglow na siebie.

– Skąd wiedziałeś, że jest mój, a nie Wiktorii?

– Zapis znajdował się w utajonym akcie własności, który był dostępny jedynie firmie stawiającej te domy, tobie i Wiktorii. Dowiedziałem się o tym dopiero wtedy, gdy szukałem obiektu do przejęcia. Wcześniej nie wiedziałem, że w ogóle taki domek istnieje.

No tak, spec od zabezpieczeń, pomyślała dziewczyna.

Hiro mówił dalej:

– Wygrałem zakład, ale aby podnieść stawkę, kazałem im dać mi po dwadzieścia uinali za każdy dzień, w którym mój numer nie zostałby wykryty. Chodziło więc od początku o zakład.

Hanako mocniej zacisnęła dłonie na barierce pomostu.

– Jesteś bałwanem. Mam nadzieję, że dobrze wydałeś swoje ciężko zarobione pieniądze. Na przykład na kupno mózgu. – Wcisnęła mu w dłonie holonot, wyjąwszy go z naramiennej torebki. – Skoro impreza została zepsuta, przepis dom z powrotem na prawowitego właściciela. Natychmiast – zażądała.

Niezbyt mu wierzyła. Jego opowiadka brzmiała, jakby miał ją wcześniej przygotowaną. Ani razu się nie zająknął, nie uciekał też wzrokiem na boki w chwilach, gdy musiałby sobie coś przypomnieć.

– Potrafisz to zrobić z poziomu holonotu czy potrzebujesz cięższego sprzętu?

– Dam sobie radę. – Hiro rozejrzał się, czy nie ma nikogo w pobliżu, po czym przykucnął i porozkładał w powietrzu katalogi holografów. – W tym przypadku nie są wymagane żadne umiejętności, to zwykła formalność z przepisaniem dokumentów. Będzie też wymagany twój elektroniczny podpis albo bezpośredni skan dermatoglificzny. Chyba że mogę i tym razem zająć się wszystkim. – Posłał dziewczynie uśmiech, który w jego pojęciu miał być chyba czarujący.

Odpowiedzią Hanako było gniewne spojrzenie. Opadła na filigranową ławeczkę i została tam na czas pracy chłopaka. Obserwowała go z głową podpartą pięścią, jak siedzi w siadzie skrzyżnym na birklonie⁵ mostu i manipuluje rękoma. Z początku nieco skwaszona mina Hira przeszła w zdziwienie, potem stała się nawet paniczna. Przelotem popatrzył na Hanako.

– Coś nie tak? – westchnęła, pewna już odpowiedzi.

Podniósł się.

– Nie wiem, o co chodzi, ale twój benglow został właśnie przepisany na kogoś innego. Jakiegoś Lyrnama Galapagos. Co to w ogóle za dziwne nazwisko?

Hanako odchyliła głowę za zagłówek ławki, oblewając go kaskadą rozpuszczonych czarnych włosów, podobną do tej szumiącej poniżej.

– Aaaahh... Ja chyba zwariuję...

Zerwała się i podeszła energicznie, by zobaczyć zapiski z bliska. Hiro wskazał jej palcem, gdzie dokładnie ma patrzeć.

– Brawo – wycedziła. – Bawiłeś się w hakera na widoku całego Sutafochun i teraz z ciebie ktoś sobie zrobił jaja.

– To tak nie działa. – Hiro rzekł głośniej, po raz pierwszy nerwowo od chwili rozpoczęcia tej rozmowy. – Nie schowałem się w jakiejś kanciapie na odludziu, bo nikt w tej chwili nie miał prawa włamać się do systemu. Znam się na swojej robocie, a ta wygląda na robotę profesjonalisty...

– No chyba jednak się nie znasz. Właśnie przez ciebie mnie okradziono. Przez twoje durne pomysły!

– Nawet nie wiem, gdzie stoi twój domek! Sytuacja wygląda identycznie, co w przypadku Wiki. Nie zwracałem uwagi na wielocyfrowe koordynaty, więc ich nie znam. Przepadły.

– To je odzyskaj i zrób wszystko tak, jak było.

Minął kwadrans, drugi, a Hiro niczego nie zdołał. Poprosił, by wybrali się w bardziej ustronne miejsce, gdzie co chwilę ktoś nie będzie przechodził, a szum wody go nie rozpraszał. Udali się poza miasteczko pod jedną z altanek widokowych w ogrodzie Myanmar, umiejscowioną na wzniesieniu, otoczoną kamieniami zen i strzeżoną przez posąg onyksowego, szaro-czarnego żurawia z żółtym czubem. Niebo zdążyło usiąć się gwiazdami, a świerszcze i cykady rozpocząć swoją wieczorną zmianę.

– Wybacz, nie mogę sobie z tym poradzić. – Hiro przyznał się do porażki. – Dziwne, bo to zwykła, prosta formalność. Chyba będziesz musiała zgłosić kradzież, Han.

– O nie, ty nabroileś, więc ty będziesz to naprawiać. Do jutra chcę mieć swój benglow znowu na swoje nazwisko.

– A mogę popracować nad tym w domu? – Oddał dziewczynie holonota.

– Jeśli chcesz, możesz nawet działać z szamba. – Zaraz się zreflektowała. Mówiła już łagodniej: – Dobra, przepraszam. Idź do domu, skup się i po prostu na spokojnie napraw to, co nabroileś, bez mojej presji.

– Raz jeszcze proszę o wybaczenie. – Sakai spojrział na stale towarzyszącego im Zo'yo. – Swoją drogą miałem nieodparte wrażenie, że twój dron chce mnie zabić.

– Ja miałam ochotę zrobić to szybciej.

– Mimo wszystko życzę ci dobrej nocy. – Hiro lekko skłonił głowę. Dziewczyna pomyślała, że nie jest wcale taki zły, za jakiego go uważała.

Nie poszła razem z nim. Oparła łokcie o bandę altanki i zaczęła kontemplować miedzianej barwy chryzantemy.

– Nie musisz się niczym martwić. – Przeszły ją ciarki, gdy będąc już wyciszoną, usłyszała chropawy, elektronicznie brzmiący głos przy lewym uchu. Obróciła szybko głowę i natychmiast odetchnęła.

– Wystraszyłeś mnie, Zo'yuś.

– To ja, Thino'pai. A nazwa Zo'yo jest nieodmienna, jak większość kandrockich słów.

– Śledziłeś naszą rozmowę, moją i Hira?

– Wszystko. Benglow przepisałem na siebie, przyjąłem nieistniejącą tożsamość Lyrnam Galapagos. Czyn Sakaia mnie zainspirował. Chciałem też sprawdzić, jak sobie poradzę. Okazało się to potwornie łatwe. Znalezienie domku będzie teraz jeszcze bardziej utrudnione. Chyba że kogoś wcześniej tam sprowadzałaś?

– Poza tobą nikogo – odparła Hanako. – Jak to zrobiłeś?

– Użyłem Zo'yo jako amplifikatora sygnału dla neurocytu. Potem wykorzystałem twój holonot. Nie pozostawiłem żadnych śladów, żadna istota ludzka nic nie wykryje.

– Ale czemu akurat Lyrnam Galapagos? – zapytała dziewczyna z lekkim rozbawieniem.

– Wszedłem na moment do waszej sieci i przewertowałem dane. Wybrałem te dwa człony losowo. Może tak zostać?

– Szczerze, teraz jest znacznie gorzej. Z Hira potrafiłabym się jeszcze wytłumaczyć, pójść z nurtem skojarzeń i przyznać się do tych romantycznych schadzek, ale jak niby mam z jakiegoś obcego koleśia?

– Zostaw wszystko mnie, niczym się nie martw. – Głos Thino'paia zdawał się rozbawiony. Hanako spostrzegła, że cyborg w miarę przebywania w jej bezpośrednim i pośrednim towarzystwie zaczął korzystać z szerszej palety emocji, nie wyłącznie gniewu jak na początku. – Wiem już, jak rozwiązać ten problem. Jedynie musisz chodzić po Sutafochun razem z Zo'yo.

Nie przyznała mu się, jak bardzo niepokoją ją jego czyny, zwłaszcza działalność na odległość. Nie mogła jednak nic na to poradzić, wiedząc, że Thino'pai i tak zrobi wszystko pod swoje dyktando. Pozostało żywić nadzieję, że jej konszachty z obcym nie skończą się katastrofalnie dla ludzi, zwłaszcza mieszkańców Sutafochun. Czy byłaby w stanie zmienić mentalność avora, gdyby się okazało, że ma w planach robienie złych rzeczy? Czy jego drobna zmiana w zachowaniu rzeczywiście miała związek z jej osobą? Wiedziała na pewno, że nie może go długo zostawiać samego.

Chciała go poprosić o sprecyzowanie planów, ale wówczas Zo'yo zamilkł.

W kierunku wzniesienia zmierzała Lan ze swoim chłopakiem Nathanem, który pracował jako analityk medyczny w lokalnej placówce.

– Rozmawiasz ze swoim dronem? – zapytała Lan z niebędącym objawem ironii politowaniem.

– Zamieniliśmy tylko kilka słów – odparła żartobliwie.

– Cześć, Han – przywitał się Nathan, zdawkowo unosząc rękę. Hanako skwitowała gest w ten sam sposób.

– Przyszliśmy na zachód słońca, ale chyba niezbyt nam to wyszło – oznajmiła Lan. – Możemy zniszczyć twoje cenne chwile samotności?

– Jasne, zostańcie.

Zapowiadało się, że tego wieczoru nie porozmawia już sobie z Thino'pajem, za którym, musiała przyznać, już zaczynała tęsknić. Co wydawało jej się arcydziwne, bo ledwo co chciała uciec z bengłowa i o wszystkim poinformować szeryfa. Ale z drugiej strony była jedyną osobą w Zodiac Univesum, mającą do dyspozycji własnego kosmitę! I zapewne to było czynnikiem przeważającym nad resztą.

* * *

Avor orientował się już, jak wyglądają północne części lasu, gdzie pojechali z Hanako samochodem, teraz postanowił zebrać informacje na temat innych jego regionów. Nie umówili się z dziewczyną, że stale będzie przebywał w bengłowie. Powiedział jedynie, że tu zostanie, ale chodziło mu o puszcę, ogromne pole eksploracji. Nie miał pewności co do możliwości gloryfikowanych przez Hanako Kiritian, która przedstawiła ich, jakby byli kimś pokroju Niosącego Światło, ale zakładał, że nie napotka ich na swojej drodze.

Jak tylko zakończył rozmowę, ruszył w noc na peregrynację. Mógł przemieszczać się szybko niczym terenówka, zwłaszcza że wciąż był prawie w pełni naładowany. Przetestował już swoje możliwości kontrolne na entraserze Hanako z bliska. Wiedział też, że przez Zo'yo mógłby włamać się globalnie do sieci. Teraz natomiast planował przejąć kontrolę nad zaczipowanymi ludźmi na odległość. Liczył, że kogoś znajdzie w tak wielkim lesie.

Poszcęściło mu się kilka godzin później. Przykucnął w zaroślach, gdy mijała go kawalkada kilku skulaków, kosząc magnetycznymi silnikami antygravitacyjnymi roślinność ściółki. Do rufy jednego z pojazdów przyczepiono uśpionego mężczyznę. Kierowcy mieli na sobie zdezelowane płaszcze, podarte mundury

i inne łachmany. Byli transhumanistami o wilczych cechach. Zupełnie jak w przypadku Clarka i Tukina, których cyborg rozpruł, gdy opuścił obozowisko. Z całej ferajny tylko dwóch miało w głowach entrasery, ale tyle mu wystarczało.

– Idealnie – szepnął do siebie.

Pozwolił pojazdowi swobodnie się oddalić. Śledził widzeniem akustycznym, jak nabijają kolejne kilometry, wymijając drzewa.

Kiedy odległość okazała się dla niego zadowalająca, użył sposobu, który przy teście zadziałał na Hanako, i wydał dwójce ludzi rozkaz. Zrobiło mu się miło na sercu, gdy nagle zatrzymali rozpędzone pojazdy, niemalże z nich spadając, i skoczyli sobie z nożami do gardeł, wprawiając w osłupienie resztę towarzyszy. Cała grupa przystanęła i próbowała pojąć niezrozumiałą dla nikogo sytuację. Ci bardziej rozgarnięci rzucili się, by rozdzielić walczących, zauważywszy, że ich niepohamowana agresja skierowana jest tylko nawzajem przeciwko sobie.

Nic to nie dało – likanie zdążyli się pozabijać.

Tę noc Thino'pai uznał za udaną. Po raz kolejny poszło mu jak z płatka, jakby powiedzieli ludzie. Korciło go, by wprowadzić podobny chaos na całej planecie, działać z ukrycia, nie zostawiać śladów i jedynie dobrze się bawić. Jednak program neurocytu nałożyłby zapewne na niego blokadę. Gerha nie dopuszczał do samowolki, wszelkie decyzje związane z aktywnością wśród gatunków podrzędnych musiały przejść przez niego.

Najtrudniejsze zadania wciąż jednak na niego czekały. Musiał koniecznie znaleźć sposób na tę paskudną chandrę powiązaną z separacją od nadkolektywu, która napadała go niespodziewanie. Mimo dopiero co odczutej radości znów w niego uderzyła, niczym likanin drugiego nożem. Okazała się szczególnie mało litościwa po odejściu Hanako. Stan ten odbijał się w dodatku na ego Thino'paia – dotąd miał siebie za silną jednostkę, był przecież xepo, a tego stanowiska nie piastowali słabeusze. Nigdy by nie przypuszczał, że załamie się nerwowo tak krótko po oddzieleniu się od Sharraxy. Znał z teorii przypadki Kandrok odpornych na izolację, jak Rei'than, jeden z jego podwładnych. Mogło minąć jednak bardzo dużo czasu od momentu, kiedy Salgo użył tajemniczej broni, skutkiem czego Thino'pai znalazł się na Calcaris. Jaką mógł mieć pewność, że nie minął okres stu huva, a wojna z Yakijanami już dawno została zakończona? Może nadkolektyw już o nim nie pamiętał...

Cyborg przeklinający swą słabość, na którą nie miał wpływu, nie wytrzymał presji i padł na kolana. Jakby i nim kierowała potężna siła, znacznie wykraczająca poza jego możliwości obronne.

Paroksyzm przygnębienia na szczęście minął szybko i Thino'pai mógł wrócić do bengłowa.

Znalazłszy się na miejscu, nie wszedł do domu, lecz udał się na spoczynek w stronę stawu. Wprawdzie była tam tylko woda pozbawiona wymaganych dla avora związków chemicznych, jednak wolał to, niż leżenie na posłaniu na powietrzu.

Wyjął filtr i konwertor powietrza ze swojego aparatu oddechowego, umieścił go na dopasowanym, rozwidlonym krańcu wydrukowanej rurki i tak zabezpieczył kamieniami improwizowaną konstrukcję, by podczas przebywania w wodzie nic się nie zsunęło.

Ściągnął z siebie zbroję. Mając na twarzy samą otulinę maski oddechowej z doczepioną rurką, zanurzył się cały w cieczy na wiele godzin.

* * *

Ta noc różniła się od pozostałych – nastąpiła koniunkcja trzech księżyców, doskonale widoczna na czystym niebie; wiązała się z obchodzonym świętem i czasem składania ofiary.

Likanie zwali je Dniem Wroga.

Na podobnych zasadach przypadał Dzień Zwycięstwa, Dzień Bohaterów czy święto Czystej Krwi, określane potocznie Dniem Dziecka. Prastarym zwyczajem obchody wiązały się z fazami albo układem księżyców. Zrównanie się tylko dwóch już stanowiło podwaliny do zorganizowania obrządku, a likanie uwielbiali się bawić.

Stworzona przez osobę powiązaną z sektą aplikacja visercher wybrała nieświadomych swego udziału w rytuale uczestników. A było w czym przebierać. Praktycznie każdy sekciarz miał kogoś, kto skrzywdził go w przeszłości. Ale ofiara mogła być tylko jedna, dlatego zdano się na losowanie.

Dzień Wroga ostatecznie przypadł w udziale Midnightowi.

Wybrany przez niego cel pochodził z miasteczka Tikimo. Samo polowanie na ofiarę było równie ekscytującą częścią święta, co sam rytuał. Przygotowania trwały jednak pewien czas. Należało obserwować obiekt, by się dowiedzieć wszystkiego o jego zwyczajach i zajęciach. Sprawa okazała się ułatwiona, bo w Tikimo mieszkało trochę sekciarzy.

Z dorwaniem celu także poszło łatwo, lubił bowiem chodzić samotnie do lasu. To tam doszło kiedyś do tragedii. Ogarnięty żądzą zemsty Midnight należał już wtedy do sekty, ale dał się przekonać arcykapłance Remulusie, żeby uzbroił się w cierpliwość. Obiecała mu, że jeśli poczeka do Dnia Wroga, wendetta okaże się o wiele bardziej satysfakcjonująca. Alfa był pewien, że wynik losowania viserchera został ustawiony specjalnie pod niego.

Nocne obchody w Nakhabandze trwały w najlepsze już kilka godzin. Były dzikie tańce, zawody w biciu się, trunki, narkotyki, seks i zabijanie zwierząt, które następnie pożerano na surowo, a szczątki rozmieszczano dookoła niczym wota. Robiono nawet konkursy, kto ułoży wyższą piramidę z kości i czaszek, także ludzkich, nim ta się zawali. Wyłaniano dwóch zwycięzców, którzy następnie, po przyjęciu zakładów, walczyli ze sobą w zbiorniku posoki. Wygrał Noova dzięki swojej sile mocno zmodyfikowanego genetycznie transhumanisty.

Remulusa siedziała na swym tronie i przyglądała się poczynaniom wyznawców. Rozmyślała o naturze ludzkiej, która niby burzliwa i zmienna, jako całość była jednak wartością stałą. Programem. Aplikacją jak visercher. Stworzoną jedynie do określonego funkcjonowania. Nie dało się więc jej zmienić, nie ewoluowała, podobnie jak nie ewoluowała psychika zwierzęcia, choć samo ciało dostosowywało się z biegiem czasu do warunków otoczenia. Żółw sprzed stu milionów lat myślał tak samo jak żółw współczesny. A człowiek na zawsze pozostanie okrutną bestią; jego postęp wiązał się jedynie ze sztucznym otoczeniem, które wokół siebie wytworzył. On sam nie uwolni się od agresji aż do kresu swego istnienia. Będzie się mścił, wyżywał, dokuczał innym, prowadził wojny, czerpał satysfakcję z czyjegoś cierpienia. Tacy sami byli jej likanie. Remulusa nie kazała im robić tych wszystkich okrutnych, obrzydliwych rzeczy. Razem z podwładnymi jedynie wyciągnęła naturę tych ludzi ze skorupy cywilizacji. Pozwoliła im być tym, kim byli naprawdę.

Kiedy do zapomnianego miasta przyleciała kawalkada z wychodzącą ze stanu odurzenia ofiarą, guru Kion przyszedł poinformować o tym arcykapłankę. Midnight nie brał udziału w polowaniu, czekał przy kobiecie na rozpoczęcie rytuału.

Skąpo odziany likanin, z uszatą wilczą skórą spływającą z głowy po kolana, uderzył metalową maczugą w gong. Świdrujący mózg grzmot rozszedł się po dziedzińcu przed amfiteatrem.

W ciągu paru chwil likanie skierowali wzrok na przywódczynię sekty, która wstała i unosiła rękę, nakazując ciszę.

– Nadeszła w końcu chwila, na którą wszyscy czekacie – mimo wieku mówiła gromko, że nie dało się nie skupić na niej pełnej uwagi. – Sprowadzono ofiarę do naszej enklawy.

Wśród ludzi rozszedł się głośny entuzjazm. Gdy zamilkli, kobieta mówiła dalej:

– Dwóch naszych braci, Pablo oraz Tomasz, opłaciło życiem jej zdobycie, jednak dopięliśmy swego. – Pominęła szczegóły przekazane jej przez Kiona, że ludzie ci z niewiadomego powodu rzucili się sobie do gardeł. Osoby z transportu będące świadkiem zdarzenia upomniano, że mają nikomu więcej nie wspominać o incydencie. Przynajmniej na jakiś czas. – Zginęli także niedawno Clark i Tugin, zabici przez nieznaną bestię. Ale pozostaniemy zjednoczeni i silni! Bestia, która rzuciła nam wyzwanie, zostanie wytropiona i pokonana, bo las należy do nas! My tu rządymy, ukryci w ciemnościach! Jesteśmy żywą tkanką tej cywilizacji, kiedy ona jest gangrenowym mięsem!

Tłum znów dziko eksplodował. Stojący obok Remulusy Kion przewrócił dyskretnie oczami. Kiedy ludzie byli naćpani używkami i hormonami, euforię potrafiły wyzwolić w nich i takie bzdury, umiejętnie serwowane przez przywódczynię. Ale zwykle, aby porwać i pobudzić tłum, wystarczyła jedynie jego niska inteligencja. Wówczas gadać można było cokolwiek, byle wzniośle, pompatycznie, stojąc na jakimś podwyższeniu.

Arcykapłanka rozsunęła ramiona i uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Otwieram oficjalnie obchody Dnia Wroga! – Po czym rzekła cicho do Midnighta: – Ta część należy do ciebie.

Kiedy środki odurzające przestały działać, Chalkon poczuł się ciężki i sztywny jak kłoda. Wciąż docierało do niego niewiele bodźców, zwłaszcza że obraz miał zamglony z powodu dysfunkcji wzroku. Ustalił jedynie, że spoczywa na czymś twardym; musiał przewrócić się na skraju lasu i być może uderzyć w głowę. Nie pamiętał jednak, czy w pobliżu znajdowały się drgające światła.

Pełna świadomość szybko do niego wróciła – dokładnie w momencie, jak rozplanowali to sobie porywacze, podając mu odpowiednią dawkę narkotyku. Spanikował, skonstatowawszy, że leży rozciągnięty – i cały nagi – na zimnym, szerokim głazie i jest prawie całkowicie unieruchomiony łańcuchami o drobnych, ale solidnych ogniwach. Miał je przewleczone przez nogi, ręce, tors, jakby był towarem transportowanym w pojeździe, natomiast szyję, nadgarstki oraz kostki ciasno opinały obręcze, na granicy tamowania przepływu krwi. Chalkon chciał szarpnąć ręką, ale jedyne co osiągnął, to napiął silnie mięśnie i poruszał palcami. Mógł przynajmniej obracać głowę.

– Co jest, do wafla chuja pana...

Zmysły mężczyzny zyskiwały na ostrości. Obraz wydawał się tak realny, że nie mógł być wytworem majaku, choć mózg usilnie starał się pozostać przy drugiej wersji. Pomarańczowe światła okazały się pochodniami, ogniskami i porozwieszanymi na obiektach kagańcami. Nie brakowało też różnych obrzydliwości, które pasowałyby do wystroju siedziby jaskiniowców dziesiątki tysięcy lat temu, a nie trzydziestego wieku. Obecne na zdezelowanym, zarośniętym placu osoby również kojarzyły mu się z dzikusami, ubranymi w większości tak, jakby ludzkość osiągnęła postapokaliptyczną rzeczywistość, kiedy niczego już nie wytwarzano. Chalkonowi wydawało się nawet, że na krańcach zasięgu światła majaczą ludzkie czaszki, ponakładane na wbity w ziemię drąg niczym smakołyki na szaszłyk.

Nad sobą miał kilkumetrową statwę wilka, siedzącą na tylnych kończynach niczym przeraźliwy strażnik. Ohydne ucieleśnienie ludzkich i zwierzęcych żądz, które same w sobie były obiektem kultu.

Chalkonowi właśnie ten wyraz zdominował teraz umysł – kult. Wokół niego rozgrywało się jakieś szaleństwo.

Wystraszony, zdezorientowany obrócił głowę w stronę amfiteatru i ujrzał na tronie staruchę, ubraną schludniej i mającą liczne ozdoby z naturalnych materiałów, głównie szlifowanych kamyków. Otaczało ją kilka osób także wyglądających na bardziej cywilizowane niż rozbisurmaniony tłum.

Młody facet stojący nieopodal babinki stale się na niego gapił. Chalkon znał go aż za dobrze.

– Midnight – wycedził. Nigdy nie czuł respektu do tego odpadu społecznego, podludzia, biedaka, który w życiu nie osiągnął nawet procenta tego, co on. Teraz jednak, w swoim fatalnym położeniu, po raz pierwszy poczuł przed nim lęk.

Alfa zeskoczył z podwyższenia i zbliżył się do ołtarza. Razem z nim, jak na niemą komendę, ruszyło się z miejsca kilku pobliskich transhumanistów.

– Wielce szanowny i szanowany pan prezes Chalkon – zaczął. – Mówiłem przecież, że jeszcze się spotkamy. A ja zawsze dotrzymuję słowa. Dobrze mi doradzono, że wystarczyło czekać cierpliwie, aż nadejdzie mój czas. – Wyszczerył się nieprzyjemnie, a ów uśmiech demonizowało pełgające oświetlenie, kontrastujące z cieniem zalegającym na połowie jego twarzy. – Witaj na likańskiej ziemi.

– Czego chcesz, śmieciu? Jak się tu znalazłem? – Mężczyzna szarpnął się bezskutecznie. Jedyne co osiągnął, to ból spowodowany wpijającymi się ogniwami.

Midnight chciał pójść za impulsem i do niego doskoczyć, coś mu zrobić, aby Chalkon zawył z bólu, na przykład zmiażdżyć mu łokciem kość nosową. Świadomość, że stać go na aranżację lepszego przedstawienia sprawiła, że jednak się mitygował.

– Chyba coś ci się pomyliło – przemawiał niepokojąco spokojnie, co mogło być jedynie zapowiedzią wstępu do czegoś ohydneho. Pokręcił głowę z fałszywym współczuciem. – Ale rozumiem, że pewnie za bardzo uderzyłeś się w ten zarobaczony łeb. Zatem pozwolę sobie wyjaśnić tę kwestię: to ty jesteś tu jedynym śmieciem, odpadem, przez których istnieją tacy, jak my. – Skinął w stronę skupionych na rozmowie sekciarzy, głodnych kolejnej rozrywki. – Ty stworzyłeś tego, kim teraz jestem.

Midnight jednak skapitulował, choć był pewien, że utrzyma emocje na wodzy, patrząc na tę zniechęconą gębę. Wściekły o to, że obnaża się ze swojej słabości, doskoczył gwałtownie do Chalkona, który się wzdrygnął.

– Zabiłeś mi syna, zaszary pedofilu – warknął, śląc refleksy górnymi kłami. – Tak jak kilkoro innych dzieci. Śmiałeś mi się w twarz, kiedy mówiłem, że cię załatwię, znajdę dowody na twoją zbrodnię. Takich bogaczy jak ty, radnych pierdolonych, nie sięga ręka sprawiedliwości, która powinna być najsilniejszym ramieniem ludzkiej normalności. Oczyszcziłeś się i w przypadku tej zbrodni ze wszystkich zarzutów. Ale tylko sługusów prawa potrafiłeś przekupić. Sprawiedliwość ma jednak wiele obliczy, zwłaszcza w arsenale pokrzywdzonych ludzi. – Rozsunął ramiona na wzór Kiona przemawiającego do tłumu. Chalkon zobaczył nad nim wielkie, demoniczne oko trzech księżyców ułożonych w idealną koniunkcję: od najmniejszego do największego. – Witaj w moim królestwie, gdzie nie masz już żadnej władzy, nawet we własnym ciele. Gdzie nikogo nie obchodzi bogactwa. To, co ceni twój „cywilizowany” świat, w Nakhabandze nie ma żadnego znaczenia. Pokażę ci więc tę odwrotną rzeczywistość. Zapraszam zatem uroczyste pana prezesa na obchody Dnia Wroga. Mimo krzywdy, jaką mi wyrządziłeś, a ściślej mojemu jedynemu dziecku, okażę ci przychyłność i umieszczę cię w samej łoży. Życzę udanych wrażeń.

– Co ze mną zrobicie? – spytał ogarniany coraz większą paniką Chalkon. Zwłaszcza że otaczający alfę likanie spoglądali na niego bardziej jak wygłodniałe wilki, a nie ludzie. Vanada nawet oblizała powoli krwistoczerwone wargi, co w innych okolicznościach wyglądałoby ponętnie, ale teraz uwięzionemu nawet nie drgnął będący na wierzchu członek.

– Hmmm... – Midnight pukał się palcem po ustach, udając rozterkę. Dla efektu zaczął kręcić się w pobliżu ołtarza. – No właśnie nie wiem. Niedaleko jest urwisko, więc rozważyłem zepchnięcie cię ze skały. Ale to jest takie banalne, ileż razy to już było? Przywiązanie do mrowiska i dla podkreślenia atmosfery rzucenie w mrówy pochodni? Też nuda. Zrzucenie do wulkanu? Cóż, na Calcaris nie ma czynnych wulkanów. Nabijanie kilka godzin na pal? Włożenie cię do brzucha posągu i rozpalanie ogniska pod spodem? – Wskazał statuę wilka. – Niby fajne, ale ciekawiej by było z metalem, a nie kamieniem. No patrz pan, niby tyle możliwości, ale człowiek wymyślił już chyba wszystko! – Klasnął w dłonie, stając przed ołtarzem. – Więc po co, w sumie, wysilać się na oryginalność?

– Co ty odwalasz, popierdzieleńcu? – wyjąkał Chalkon, gdy Midnight pochylił się nad nim i oparł ręce z obu stron ołtarza, tak że miał go pomiędzy ramionami.

Spoglądając zawadiacko w oczy ofierze, zaczął pociągać językiem po jej boku.

Vanada zrobiła proszącą minę, nawet złączyła dłonie i zamachała ogonem. Midnight uśmiechnął się, myśląc: jakże ona teraz słodko i niewinnie wygląda.

– Nie martw się, przecież bym o tobie nie zapomniał. – Ustąpił jej miejsca i zapraszająco zrobił gest ramieniem.

Kobieta zaczęła lizać przeklinającego Chalkona po brzuchu i klatce piersiowej. Doszła do szyi, gdzie szerzej otworzyła usta, odpowiednio układając kły. Spojrzała pytająco na Midnighta.

– E-e-e... – Pomachał jej palcem. Chciało mu się śmiać, gdy jego kochanka na niby posmutniała. – Też o tym pomyślałem, ale będzie za szybko. Musi czuć, że umiera, tak jak umierał mój torturowany syn – dodał szorstko. Zwrócił się do zgrupowanych za nim likanów. – Znacie doskonale ludzką anatomię, więc wiecie, co robić. Zatem nie krępujcie się! Zęby macie nie dla ozdoby!

– Pierdolcie się, jebane świry! – wrzeszczał mężczyzna.

Jego słowa się urwały, choć krzyki pozostały, kiedy każdy likanin, któremu udało się znaleźć miejsce przy ołtarzu, zaczął najpierw kąsać Chalkona dla spotęgowania jego przerażenia – a potem odgryzać bądź wyszarpywać coraz to kolejne fragmenty mięsa, bardziej jak hieny a nie wilki. Dzicy sekciarze się wymieniali, aby każdy mógł zdobyć coś dla siebie.

Wrzaski i łkania słabły, im mniej pozostawało ciała.

Ostatnie, co Chalkon zarejestrował przed pogrążeniem się w wieczności, to zadowoloną Vanadę. Spoglądała na niego ostentacyjnie z satysfakcją, wpychając sobie palcami do gardła jego niegdyś najcenniejszy fragment ciała.

Midnight nie brał udziału w tej makabrycznej egzekucji, jedynie obserwował wszystko z boku. Ukojenie, którego się spodziewał w końcu zaznać od czasu śmierci syna, nie przyszło nawet wtedy, gdy pod pyskiem statuy wilka spoczywał już sam nieruchomy, zakrwawiony szkielet. W przeciwieństwie do likanów zaangażowanych w zbiorowy mord, alfa pozostał nienasycony.

* * *

– Co tak naprawdę się tam wydarzyło? – spytała Kiona siedząca na tronie Remulusa. Oboje przyglądali się obojętnie, jak przed estradą amfiteatru likanie

rozszarpywali żywcem rytualną ofiarę. Eryk, który był z Midnightem przy zwłokach Tukina i Clarka, choć chciał wziąć udział w głównej atrakcji Dnia Wroga, nie wytrzymał i pobiegł zwymiotować w krzaki, nawet nie dotknąwszy ciała. – Doszło do porachunków?

– Nie sędzę. Pablo i Tomasz po prostu nagle się zatrzymali, wściekli na siebie jak Midnight na Chalkona, i zaczęli równocześnie walczyć na noże. Wyglądało to z boku totalnie nienormalnie i bezsensownie. A przecież się kolegowali, potrafili świetnie współpracować, zwłaszcza nieźle im poszło podczas uprowadzenia prezesa.

Arcykapłanka namyślała się tylko przez chwilę.

– Obaj mieli entrasery, zgadza się? – Szybko doszła do logicznego wniosku.

Guru natychmiast pojął tok jej rozumowania.

– Sądziś, Remuluso, że ktoś przejął nad nim kontrolę? Tu, w sercu lasu? Takie coś mógłby zrobić tylko dobry haker albo Kiritianie, a raczej jednych i drugich nie ma w pobliżu. I po co mieliby atakować wyrzutków? Jako sekta nie mamy wrogów, jesteśmy tu nowi i raczej nikt z niewtajemniczonych nie wie o naszej obecności. A kto dowiedział się zbyt wiele, już nie żyje. – Zmarszczył brwi. – Jedynym wyjątkiem jest Hiroshi Sakai.

– Raczej to nie on. Jest tchórzem. Zresztą nie miałby powodu, aby pozbywać się naszych ludzi. Musiałby być totalnym wariatem.

– Może spoglądamy w złą stronę? A jeśli to była któraś z odmian płasawicy? Nosicielowi nagle odbija, potrafi rozpędzić się i walnąć głową w ścianę... A ci tutaj – machnął ręką na zbiegowisko przy ołtarzu – swoją nienawiść do wszechświata eksterioryzują między innymi, jedząc surowe mięso. O pasożyta czy problemy z prionami nietrudno.

– I dziwnym trafem dwie osoby koło siebie miałyby pasożyty, które się zsynchronizowały? Nonsens. Ale i tak można to łatwo sprawdzić, by wykluczyć choroby. Wystarczy Nathanowi zlecić badania materiału biologicznego z ciał. Zajmij się tym.

– Oczywiście. A co w takim razie z Clarkiem i Tukinem? Obaj byli bez entraserów. Coś ich pocięło na kawałki. Uważasz, Remuluso, że oba morderstwa są ze sobą powiązane? Trochę wygląda to tak, jakby ktoś na nas polował.

– Musimy zachować czujność. – Kobieta wzięła do ręki swój wisiorek i zaczęła obracać paciorki. Drugą sięgnęła po kielich wina z małej zastawy na stoliku. Wskazała Kionowi karafkę, z której skorzystał. – Jeśli twoja hipoteza jest prawdziwa, pozbycie się entraserów z głów sekciarzy nic nie da. Mamy jeszcze jeden problem: dziewczyna stała się nieuchwytna, a mieliśmy ją jak na widelcu. Z Sutafochun czy stacji orbitalnej nie da się jej podprowadzić bez wzbudzania podejrzeń. A głupia nie jest, z nieznanymi nigdzie nie pójdzie. Pozostało niewiele czasu do święta Czystej Krwi, więc nie zdążymy już zorganizować większej akcji, jak w przypadku Chalkona.

– Ewentualnie poczekamy do kolejnej koniunkcji, a na tę znajdziemy inną dziewczynę.

– Wolałabym tego uniknąć. Cała egzystencja naszej sekty opiera się o ścisłe przestrzeganie ustalonych norm. Uznaliby mnie, ciebie albo kapłanów za słabych, gdybyśmy nie byli w stanie dać im tego, co zostało im obiecane. – Remulusa popatrzyła na oddalonego Midnighta.

– Jak zatem dostać się do dziewczyny? – Kion odstawił kielich.

– Ja się tym zajmę, skoro Midnight nie będzie mógł już ruszyć na łowy. – Remulusa wstała nieśpiesznie, podeszła na kraniec estrady. Splótłszy dłonie za siedzeniem, obserwowała dogorywanie rytuału; z Chalkona nie było już praktycznie co zbierać. Uniosła w górę ramiona i krzyknęła do likanów: – Noc dopiero się zaczyna, więc bawmy się do białego rana!

Gdy ofiara została już symbolicznie złożona, nadszedł czas na gremialny taniec i potem kolejne atrakcje.



6. Krystian

Hanako nie stęskniła się szczególnie za pracą w fabryce, choć spodziewała się, że po urlopie nic nie będzie w stanie oderwać jej od kontroli procesów przemysłowych. Lubiła mieć absorbujące zajęcia, czuć się społecznie potrzebna, nawet jeśli dzięki automatyzacji była praktycznie zwolniona z wysiłku fizycznego i umysłowego. Nie mogła się skupić przez Thino'paia i jego niepokojącą „niespodziankę”, którą miał jej zdradzić, kiedy już wróci orbusem na planetę. W każdej godzinie rozmyślała o tym, co też najlepszego cyborg wymyślił, by mogli się swobodnie widywać. Po południu miała się jeszcze spotkać z Lan.

Czas pracy leciał szybko i bezproblemowo, nie doszło do żadnych perturbacji. Ze względu na procedury Hanako nie mogła zabrać ze sobą Zo'yo do fabryki, zresztą nie było go nawet na stacji orbitalnej – Thino'pai wyjątkowo kazał jej go zostawić w Sutafochun, tłumacząc, że dron (zaczęła stosować to słowo zamiennie z leberiksem) będzie mu potrzebny do realizacji planu. Wolała nie myśleć, co

kombinuje, dostała jedynie gwarancję, że nikt nie zazna żadnej szkody, a istnienie Thino'paia dalej pozostanie tajemnicą.

Jako że babcia nie zahaczała dziś o stację orbitalną, Hanako po wyjściu z fabryki, w oczekiwaniu na orbusa, udała się mitrzyć z lubością czas do „Nadniebnej Calcaris”. Akurat był obecny właściciel Eremon. Gdyby dziewczyna nie znała jego profesji, powiedziałaaby, że to jeden z krzątających się energicznie pracowników zmiany. Zanim dostała zamówiony posiłek, porozmawiała serdecznie z mężczyzną przez szynkwias.

Zauważyła na sali wielu znanych jej z widzenia bywalców. Serce Hanako momentalnie zabiło szybciej, gdy wyłowiła wśród nich Krystiana Sandstorma. Siedział przy stole z dwójką rebeliantów.

Wziąwszy tacę z zamówieniem, wypatrzyła sobie puste miejsce w oddaleniu, tak by mogła swobodnie gapić się na młodzieńca, a on musiałby się obrócić, aby to zauważyć. Ten ułamek chwili wystarczyłby Hanako na spuszczenie wzroku.

Podczas wymijania filaru o znacznym obwodzie, zdobnego w lampiony, zderzyła się z impetem z jakimś człowiekiem. Taca z obiadem runęła na podłogę, natychmiast utworzyła się brejowata, warzywno-krabowa kałuża. Ocalała jedynie nietłukąca się, zamknięta butelka.

– Na argenów⁶... Jak leziesz, ofermo? – Część posiłku wylądowało na kombinezonie lotniczym młodego mężczyzny, który zaczął strzepywać go dłońmi.

– Pan wybaczy, ale oboje jesteśmy współwinni, jeśli już mamy wdawać się w szczegóły – odrzekła natychmiast Hanako, dobitnie, ale spokojnie. – Nie widziałam pana zza tej bryły.

Ku konsternacji dziewczyny świadkiem incydentu był nie kto inny, jak Krystian. Rozmowy przy jego stole ucichły, rebeliant podniósł się energicznie i podszedł do filaru.

– Wszystko w porządku? – Skierował pytanie nie wiadomo do kogo. – Daj, pomogę ci.

Przykucnął zaraz przy Hanako, by jako tako pomóc uprzątnąć jej bałagan. Podeszła do nich jeszcze wracająca od innego klienta dziewczyna z obsługi.

– Nic się nie stało, ja się tym zajmę! – Uśmiechnęła się uprzejmie. – Za to nam płacą.

Krystian chwycił delikatnie Hanako za ramię i pomógł jej się podnieść. Spostrzegła, że jest znacznie od niej wyższy – grubo ponad dwadzieścia centymetrów. Jak wszystkie Azjatki z Sutafochun nie grzeszyła wysokością; jeśli któraś dobiła do metra siedemdziesięciu, uważano ją za olbrzymkę.

– Przeprosiłeś ją chociaż, Vin? – Krystian zwrócił się do drugiego uczestnika kolizji. Była mu za to wdzięczna, bardziej o to, że odwrócił od niej wzrok i nie widział, jak maślanym wzrokiem nań spogląda, niż za przyście z odsieczą.

– Niby za co? To ona na mnie wlaźła z impetem, gdy wracałem z klopa. Uważa ten, co łązi z żarciem.

Sandstorm zaczął machać palcem koledze przed nosem.

– Przynajmniej nie jesteś egoistą: od rana masz zły humor i postanowiłeś podzielić się nim z każdym naokoło. Teraz pokażesz do tego, jakim jesteś dżentelmenem i odkupisz jej obiad.

– Naprawdę nie trzeba! – śpiesznie wtrąciła Hanako. – Wypadki się zdarzają. No stało się, trudno. Mam pieniądze.

– Proszę się tym nie martwić, byłam twarzą w tę stronę i widziałam całe zajście – odezwała się pracownica. – Lokal zapewni pani nowy posiłek za darmo, jak i czyszczenie ubrania. Przykro nam niezmiernie, że zdarzył się ten drobny wypadek.

– To nie żaden wypadek, tylko ten nadęty bałwan chodzi bez głowy – sprostował Krystian. – On będzie płacił. Tak w ogóle jestem Krystian Sandstorm. – Uśmiechając się przyjaźnie, wyciągnął do Hanako rękę.

– Hanako Sahara. – Uścisnęła ją ostrożnie. Młodzieniec miał mocny chwyt, ale i wyważony, że nie zabolą ją dłoń.

– Ten tutaj maruda to Vincent Nelson – przedstawił kolegę. – Cierpi na niedowalenie mózgowe, więc będziesz musiała mu wybaczyć, bo on tego robić nie potrafi.

– Dobra, przepraszam – wyburczał Nelson, zbałamucony po tak potężnej „aluzji”.

– Zechcesz zatem przyjąć przeprosiny i pozwolisz sobie odkupić obiad? – Krystian dalej robił za menadżera kompana.

– W porządku, dziękuję – odparła uprzejmie Sahara, zanim pomyślała, na co się godzi.

Vincent poszedł złożyć zamówienie.

– Już cię tu widziałem. – Sandstorm wsunął ręce w kieszenie kombinezonu.

– Pracuję w fabryce. Lubię spędzać czas w „Nadniebnej Calcaris”. Często tu czekam, zanim przyleci mój orbis. – Dziwiła się sobie, że zdołała wypowiedzieć naraz aż tyle słów bez zaplątania sobie języka, onieśmielona obecnością przystojnego, znacznie starszego od niej Krystiana. Do Hanako podjechał robot czyszczący i zaczął doprowadzać do porządku jej ubranie.

– Jesteś zatem z Calcaris?

– Zgadza się. – Trudno jej było utrzymać spojrzenie na zielonych, pogodnych oczach mężczyzny, który z kolei zdawał się zachowywać całkowicie swobodnie. Przypomniała sobie pamiętne słowo Eremona na jego temat: „Zapomnij”. Co mogło się za tym kryć? Czyżby ostrzeżenie, że Krystian jest niebezpieczny? Jednak gdyby tak było, właściciel obiektu powiedziałby jej to wprost, aby miała klarowny obraz sytuacji, a nie zakończył na lakonizmie o dowolnej interpretacji. Może chodziło o liczne romanse? Doświadczenie w obyciu z kobietami rzeczywiście mogło sprzyjać takiej swobodzie rebelianta w jej towarzystwie. Dlaczego poczuła lekką zazdrość z tego powodu?

– Super! Tam się urodziłem, choć moi rodzice pochodzą z Ziemi. Dokładnie jestem w połowie Polakiem, w połowie Amerykaninem.

Chociaż speszona, dobrze się czuła w towarzystwie tego ekstrawertyka. Trochę tak, jakby znali się od pewnego czasu. Fantastyczny wygląd Krystiana w połączeniu z urzekającym, ciepłym uśmiechem i otwartością kupiły dziewczynę. Zajmujący się nią robot odjechał.

– Może chciałabyś się do nas przysiąść? – Sandstorm skinął na stolik, skąd sporadycznie spoglądali ku nim dwaj młodzi mężczyźni. Jeden pomachał do Hanako. – Zapewniam cię, że najgorszego zakapiora z tej ferajny miałaś nieszczęście już poznać, a reszta jest lepsza.

– Czyżby ciebie? – wypaliła, czego natychmiast pożałowała. Nie zabrzmiało to dojrzałe.

Krystian zachichotał.

– Potrafię być też podły, ale tylko w stosunku do tych, którzy na to zasługują, zwykle Kiritian. Nie ma wtedy zmiłuj się. – Gestykulował ręką wyjętą z kieszeni.

Odważny, pomyślała. Nic nie wiedział na temat jej poglądów, a otwarcie przyznawał się do własnych.

– Zgaduję, że jesteś rebeliantem. – To było oczywiste, ale nie miała innego pomysłu na pociągnięcie rozmowy.

Zamiast odpowiadać, Krystian klepnął się w pierś, gdzie widniał powszechnie znany wizerunek maokana, ptaka będącego symbolem nieba i lotnictwa. Hanako najchętniej schowałaby się pod stołem. Znów się ośmieszyła. Ale co miała na to poradzić, że traciła rozum przy tym mężczyźnie?

– To jak, przyłączysz się? Zapewniam, że będziesz bezpieczna, a i sprawisz mi wielką przyjemność swoją obecnością.

Ileż to razy słyszała ostrzeżenia, by uważać na obcych facetów, ale w gruncie rzeczy co mogło jej się tu stać? Gdyby rebelianci rozrabiali, Eremon już dawno zakazałby im wstępu do lokalu. Na sali jadalnej działał monitoring, jak i w każdej chwili mogła przybyć wezwana ochrona. Ponadto Hanako będzie pilnować swojego jedzenia i napoju, aby dyskretnie nic tam nie wylądowało. Zresztą... to byli rebelianci! Wszechświatowcy! Jeśli nie skorzysta z okazji i z nimi nie pogada, potem będzie pewnie straszliwie tego żałować. A Lan w dodatku rozsmaruje ją językiem.

– W porządku, mnie też będzie miło – odpowiedziała, starając się uśmiechać równie swobodnie, co rozmówca. Jej umysł momentalnie zestawił Krystiana z Thino'pajem. Różniło ich dosłownie wszystko. Ale nie potrafiła powiedzieć, który jest lepszy. Byli po prostu inni. Skarciła się w myślach za porównywanie ich ze sobą, chociaż niewiele przecież wiedziała o jednym i drugim.

– Zatem siadaj wygodnie i się rozgość.

Przy stoliku Krystian z galanterią odsunął jej krzesło, choć wcześniej nie miał problemu z trzymaniem rąk w kieszeniach podczas rozmowy. Przedstawił dziewczynie pozostałych rebelianckich kolegów: Marluka Crofta oraz Carlosa Drunkensteina. Ci również wydawali się mili, mieli swobodną gadkę i dużo żartowali z istic młodzieńczą werwą. Niebawem dołączył do nich Vincent Nelson, też już miał wyczyszczone ubranie. Musiał przemyśleć sprawę, bo ponownie przeprosił dziewczynę za zdarzenie, tym razem szczerze, z własnej inicjatywy, choć nie wyzbył się swojego ponuractwa. Hanako doszła do wniosku, że mogła to być część jego osobowości, tak jak nieokrzesanie Krystiana.

Mężczyźni poruszali lekkie, komiczne tematy, głównie dotyczące wpadek kolegów podczas służby w lotnictwie. Choć dyskusja zeszła potem na statki i okręty, Sahara ochocho chłonęła wszystko, było to dla niej nowością. Odwdzięczyła się opowieścią o królikarni, dochodach związanych z branżą, co wiedziała dzięki rodzinie, i ogólnie życiu w Sutafochun, ale wolała słuchać niż mówić. Rebelianci, może poza sporadycznie uśmiechającym się Nelsonem, który częściej niż reszta popijał z kufła, okazali się strasznymi żartownisiami. Hanako nieraz płynęły łzy, a ze śmiechu nie mogła nabrać powietrza. Zdarzało się, że z Krystianem dyskretnie zerkali na siebie, jednak w przeciwieństwie do speszonej za każdym razem nastolatki Sandstorm posyłał jej ten swój rozbrajający, serdeczny uśmiech, skutecznie kojący nerwy. Możliwe, że jedynie dbał o to, by nie czuła się nieswojo pośród wciąż obcego towarzystwa, pomyślała.

Okazało się również, że towarzystwo uwielbia pić.

Kiedy rebelianci zaczęli się robić bardziej głośni i weseli, niż przewidywały normy dobrego zachowania, Hanako odmówiła gestem ręki i uśmiechem proponowanego jej trunku. Uznała, że to dobry moment na odejście.

– Będę się zbierać. Dziękuję za zaproszenie, było mi bardzo miło, że mogłam spędzić czas w tak zacnym towarzystwie – rzekła szczerze. Wstawszy, lekko się ukloniła zgodnie ze zwyczajem z Sutafochun.

– Odprowadzę cię kawałek – zaproponował Sandstorm, także się podnosząc.

Do przylotu orbusem na lądowisko pozostało kilkadziesiąt minut. Hanako wciąż nie знаła mentalności napotkanych rebeliantów, a nie chciała, by Krystian czuł się niezręcznie, widząc, że ich opuszcza jedynie dlatego, by mogli swobodnie raczyć się alkoholem. Mężczyzna zapewne wiedział o jej zakłopotaniu, bo poszedł z nią jedynie przed bramę „Nadniebnej Calcaris”.

– Cieszę się, że cię poznałem – zaczął, gdy przystanęli twarzami do siebie. Przeleciał nad nimi duży transporter dostawczy, z wielkim logo jednej z lokalnych firm na poszyciu. Jako że wszedł w zasięg sztucznej humansfery – jak określano potocznie sferę o ciśnieniu, temperaturze i składzie powietrza odpowiednimi dla człowieka – słyszeli wyraźnie tubalny szum jego silników.

– Tak naprawdę powinieneś podziękować swojemu koledze.

– Powiadają od niepamiętnych czasów, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. – Mrugnął do niej. – W sumie to ja powinienem postawić Vincentemu

obiad, bo mnie wyręczył. Od jakiegoś czasu chciałem zagadać do ciebie, ale nie starczyło mi odwagi – dodał, widząc pytający wyraz twarzy dziewczyny.

Tym ją zaskoczył.

– Nie mów... Ty i wstyd zupełnie do siebie nie pasujecie!

Wzruszył ramionami.

– A jednak.

– Można wiedzieć, co cię powstrzymywało?

– Wiesz dobrze, że na Calcaris żyją społeczności trzymające się tradycji, a Sutafochun zalicza się do takowej. Mieszkają tam głównie Azjaci, wielu nie zaakceptowałoby... – Przystopował, świadomy, że używając pewnych określeń, zagalopowałby się za bardzo w relacjach z Hanako.

– Gdyby ktoś stamtąd zakolegował się z rebeliantem, zwłaszcza białym – dokończyła odważnie i poważnie dziewczyna. Rozmawiało jej się lepiej, gdy w pobliżu nie było kolegów Krystiana.

– Akceptują nas, ale i tak się nas obawiają. Żyjący w spokoju, z dala od spraw Zodiak Universum ludzie raczej nie życzyliby sobie, aby w progach ich miast zasiały się wojenne ziarna. A wojna stale ciągnie się za rebeliantami. Nie chciałem sprawiać ci problemu, zwłaszcza że wyglądasz na przyzwoitą, dobrze wychowaną dziewczynę.

Hanako podparła się pod boki, pokręciła głową.

– Oj, z tą „dobrze wychowaną” to byś się nieźle zdziwił. – Oczywiście pierwsze, co jej przyszło na myśl, to ukrywanie być może złego kosmity.

Zaśmieli się.

– Mam nadzieję, że zechcesz jeszcze spędzić ze mną czas. Następnym razem bez tych tam zawadiaków. – Krystian okręcił się i machnął ku barorestauracji.

Zaraz, czy on jej proponował randkę?!

– Jasne – odparła zbyt szybko i ochoczo. – Jakby co, to będę tu codziennie, przez kolejne dni, o tej samej porze, bo kończę ranną zmianę.

– Ja raczej sporadycznie, co sama pewnie zauważyłaś. Ale cię znajdę. To do zobaczenia.

– Na razie, Krystianie.

Przystawił dwa palce do skroni, imitując salut, po czym wrócił do lokalu.

Do Hanako dopiero teraz zaczęło docierać, co się właśnie wydarzyło. Zawadiacki młodzieniec, który mącił jej w głowie od pewnego czasu, oto poprosił ją o kolejne spotkanie! Czyli ją polubił! Z tych setek osób, które widziała w „Nadniebnej Calcaris”, zagał do niej akurat on. Jakby to było przeznaczenie!

Gdyby nie ludzie wokół, pisnęłaby z radości, poskakała i pomachała piąstkami, ale lekkość ducha, z którą niemalże płynęła na stację transferową orbusem, jakby szlag trafił generowane ciśnienie, też wydawała się zadowolająca.

Zorientowała się, że nawet nie zapytała go o wiek i konkretną specjalizację. Wiedziała jedynie, że lata myśliwcami. W sumie wciąż niewiele o nim wiedziała... i to wydawało się jej fascynujące.

* * *

Hanako mogłaby przysiąc, że nie spotka jej dziś już nic bardziej emocjonującego niż czas spędzony z rebeliantem, jednak zmieniła zdanie, znalazłszy się na planecie.

– Jak ci się układa z Lyrnamem? – zapytał ją jeden z dalekich znajomych, gdy kierowała się z lądowiska ku Sutafochun. – Słyszałem, że dobrze.

Mówił to tak pewnie, spokojnie i naturalnie, jakby było starym, powszechnie znanym faktem.

Zaskoczona Hanako aż się zatrzymała, jednak kolega zdawał się nie zwracać uwagi na jej konsternację. Zdołała się szybko pozbierać i odpowiedzieć:

– Wszystko w porządku. – Rozsądek jej podpowiadał, że lepiej będzie nie zaprzeczać i na razie nie dociekać, o czym gość w ogóle bredzi.

Przypadek nie okazał się wyjątkiem.

– Nie widzieliście może z Lyrnamem w lesie mojego Lesoto? – zapytał Billy z ledwo tłącą się nadzieją. Zaczepił Hanako, gdy schodziła pochylnią z górnego pierścienia miasteczka.

– Przykro mi, ale nie. Na pewno się znajdzie, proszę nie tracić nadziei – odrzekła, czując potężne zażenowanie, ale nie chciała dobijać faceta. Jeśli kłamstwo dawało komuś nadzieję, a nawet radość, nie było chyba do końca takie złe?

Zanim znalazła się w domu, o związek z Lyrnamem spytały ją jeszcze dwie osoby. Wisienką na torcie był oczywiście Fuhito, który po raz pierwszy od bardzo dawna nie droczył się z nią ani nie psocił, jeno pytał z nabożnym namaszczeniem.

Hanako naszła myśl, że Billy miał entrasera. Jej brat wprawdzie nie, ale zbyt tępy i młody na weryfikację treści chłonał wszystko jak pelikan. Wystarczyło mu powiedzieć dowolne kłamstwo, aby uznał je za prawdę. Być może reszta mieszkańców, uważająca jej związek z rzekomym Lyrnamen za normalny, także nosiła w mózgach trwałe czipy.

– O nie...

Miała bardzo złe przeczucia. Przepadł cały jej cudowny nastrój. Rzuciwszy zdawkowe powitanie reszcie obecnych domowników, spieszenie dotarła korytarzem, potem schodami do swego pokoju.

Zo'yo udający jej drona leżał na materacu. Aktywował się i uniósł, jak tylko zasunęła za sobą drzwi.

– Powiedz, że to nie twoja sprawka? – zapytała ostrzej Thino'paia, realnego odbiorcę jej zirytowania.

– Nie tutaj, mogą usłyszeć. Chodź na zewnątrz.

Nie czekając na reakcję Hanako, leberiks natychmiast wyleciał na taras. Dziewczyna westchnęła bezgłośnie, potrząsnęła głową i udała się za maszyną.

Szła za nią do tej samej altanki widokowej w ogrodzie Myanmar, w której ostatnio zaskoczyli ją Lan z Nathanem. Była pusta; najbliżsi spacerowicze znajdowali się daleko.

Sahara splotła ręce w koszyk, przystanąwszy pod daszkiem konstrukcji.

– Cześć, Hanako – cyborg zabrzmiał, jakby się z niej nabijał.

– Dlaczego mi się wydaje, że twoje: „Zostaw wszystko mnie, niczym się nie martw” zostało zrealizowane w taki sposób, że powinnam szalenie się martwić? Coś ty narobił?

– Jak tak patrzę na ciebie paciorkami Zo'yo, jestem pewien, że znasz już odpowiedź. Tak w ogóle fajnie wyglądasz, kiedy się złościś, a to rzadka emocja u ciebie. Choć powinna być dominująca.

– Entrasery, tak?

– Właśnie. Wgrałem części mieszkańców fałszywe wspomnienia, że jesteś w rzekomym związku z Lyrnamem Galapagos, spotykasz się z nim w benglowie

umiejscowionym w pięknej, bezpiecznej scenerii, którego położenie ma nikogo nie obchodzić. To po prostu informacja, nikt nie będzie dochodzić, co może tu być nie tak. Ci ludzie rozpowiedzieli to innym jako coś trywialnego, a tamci w to wierzą.

– Czyli zaszczepiłeś całemu miastu informację na temat moich związków partnerskich, przynajmniej jakbym była jakąś siedzącą na językach wszystkich celebrytką. No super.

– Nie: części, jak mówiłem. Tym, którzy mają entrasery i są z tobą powiązani. W tym twojemu ojcu. Nie masz już zakazu wyjazdu do lasu. Możesz widywać się ze mną całkiem swobodnie.

– Przerażasz mnie, Thino'paiu.

– Widziałem, że masz w szufladzie pokoju drugi holonot, nowy, niespersonalizowany.

– Przed tobą nic nie da się ukryć. – Hanako przeszła złość. Znow odczuwała znany jej już doskonale niepokój, wynikający z obcowania z potężną, niezrozumiałą siłą, której intencji także nie rozumiała.

– Uściślając, odersi nie mają kompletnie żadnych zabezpieczeń, na żadnej płaszczyźnie. Może wasze inhibitory działają na Kiritian, których nie znam, ale nie na mnie.

– Na Nieśmiertelnych też nie działają. Ten militarny naród ma najwyższy wśród ludzi stopień w skali Kardaszowa, bo sporo ponad dwa. Odersom brakuje jeszcze daleko do dwójki. – Nie uważała, że to wyznanie cokolwiek zmieni. Thino'pai wiedział przecież to samo co ona, a niebawem wyciągnie kolejną potężną dawkę informacji o Zodiac Universum przy użyciu holonotu, czemu dziewczyna nie będzie w stanie zapobiec. – A ty jaki masz stopień? – zapytała, właściwie nie do końca wiedząc po co. Znała avora już na tyle, by wiedzieć, że nie zechce udzielić jej odpowiedzi. I miała rację. Cyborg jedynie burknął zirytowany po drugiej stronie. – No dobra... Wracając do meritum. Reasumując, zrobiłeś z nas oficjalnie parę.

– Mniej więcej – odrzekł beznamiętnie, jakby oznajmiał przełożonemu pod wieczór relację z wykonanych za dnia raportów.

Dla równowagi Hanako skorzystała z sarkazmu:

– Mam dziś szczęśliwy dzień, normalnie nie mogę odgonić się od chłopaków.

– Ciekawe, będziesz musiała mi o tym opowiedzieć. Przylećcie teraz do mnie z Zo'yo, weź drugi holonot.

– Nic z tego. Zgadałam się z Lan, nie mogę jej zawieść. Niech twój dron sam weźmie asystenta i do ciebie przyleci.

– Podoba mi się twoja postawa. Pozostajesz wierna tym, z którymi jesteś powiązana.

– To nie wierność, po prostu nie znoszę na coś się umawiać, a potem wystawiać ludzi do wiatru. Cokolwiek mogę powiedzieć o swojej rodzinie, ale nie to, że brak nam honoru.

– Niech będzie. Ale od Lan przyjdiesz bezpośrednio do mnie – rzekł cyborg apodyktycznie.

– Jasne, mój królu i władco. – Dziewczyna wykonała ironizujący dyg, uginając nogi, chwytając za boki spodni i pochylając głowę jak archaiczna służąca. Żałowała, że nie założyła dziś spódnicy, bo efekt byłby lepszy.

Jak zwykle nikt nie zwrócił uwagi na lecącego przez miasto Zo'yo. Najpierw w jedną stronę, potem tą samą trasą, z ukrytym już w schowku korpusu holonotem, jakby Hanako go po coś wysłała. Pomyślała, że przynajmniej tyle dobrego, iż Thino'pai nie ukradł bez pytania jej własności.

Nienamierzony przez żadne urządzenie leberiks opuścił ogród Myanmar i zniknął między drzewami lasu.

Hanako poprosiła Lan, żeby przyszła do zagajnika kwitnących wiśni nieopodal altanki.

Dziewczyny usiadły na soczystozielonej trawie, pod szumiącymi krzewami uginającymi się od różowych i białych kwiatów. Delikatny wietrzyk sypał na nie czasem aksamitnymi płatkami.

– Ja cię normalnie zamorduję, kobieto – odezwała się pełna dobrego humoru Chinka. Hanako popatrzyła na nią pytająco. – Czemu dowiaduję się o wszystkim tak późno? Mów, kim jest ten tajemniczy Lyrnam!

– A co konkretnie wiesz? – O ile Sahara dobrze pamiętała, Lan nie miała entrasera.

– Ludzie gadają, że przygruchałaś sobie jakiegoś białego przystojniaczka w kupionym przez siebie na tę okazję benglowie. By ukrywać to przed rodziną. Aż

nie mogę się nadziwić, że nie mają do ciebie o to pretensji, tylko wszystko akceptują. Zwłaszcza twój ojciec.

Hanako głośno wypuściła powietrze. Postanowiła jeszcze tego wieczoru zabić Thino'paia – nawet jeśli okaże się, że ów ma dziesiątkę w skali Kardaszowa.

– Rzeczywiście trochę się porobiło.

– No proszę, nie wiedziałam, że z mojej skromnej kumpeli w rzeczywistości jest taka ostra kocica. Tygrysica normalnie! Cicha woda!

– Mam dla ciebie lepszą wiadomość. – Hanako ściszyła głos. – Umówiłam się z Krystianem Sandstormem.

– Kurde, a ten to kto znowu? Odwiedziłaś w koszarach jakąś armię? Bo już się totalnie pogubiłam.

– No rebeliant z „Nadniebnej Calcaris”, o którym kiedyś ci mówiłam.

Dziewczyny uśmiechnęły się do siebie, złapały się za ręce i zapiszczały, choć głównie hałasowała Lan. Przechodzące szpalerem wiśniowych krzewów starsze małżeństwo zwróciło na nie uwagę.

– Opowiadaj wszystko, Han.

Sahara streściła wydarzenia ze stacji orbitalnej, począwszy od czołówki z naburmuszonym Nelsonem, po moment odprowadzenia jej przez Krystiana na zewnątrz i umówienia się na randkę. Musiała jakoś wybrnąć jeszcze z tej historyjki z Lyrnamem. Przypuszczała, że znajdowała się poza zasięgiem Thino'paia, skoro Zo'yo odleciał. Obiecała avorowi, że nie powie nikomu o jego istnieniu... Jednak nie mogła też okłamać Lan. Teoretycznie mogła, ale znały się od dziecka i bystra Chinka wychwyci natychmiast, że leje wodę. Ponadto była osobą godną zaufania. Przynajmniej dotąd nie zdradziła żadnej tajemnicy Hanako, której przydałaby się porada kogoś starszego i mądrzejszego w poważnej sprawie.

Poczuła wyrzuty sumienia, zanim jeszcze uchyliła usta. Jednocześnie rozsądek podpowiadał jej, że postępuje słusznie. Thino'pai mógł stanowić śmiertelne zagrożenie dla całej planety. Hanako zdawała sobie sprawę, że oto może wprowadzić w ruch potężną maszynę perpetuum mobile, która dotrze nawet do Kiritian, ale była gotów ponieść tego konsekwencje.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczęła melancholijnie.

Lan przysunęła rękę, którą nie udało jej się schwytać rączego motyla na kwiatku i skupiła uwagę na koleżance.

– Ostrzegam, że zabrzmie to niewiarygodnie – mówiła Hanako – ale przysięgam, że w niczym nie zamierzam cię okłamywać. Lyrnam to obcy.

– No, tyle chyba się domyślam. Jakbym miała tak radykalnego ojca-tradycjonalistę jak ty, też bym chowała faceta z innego miasta gdzieś daleko.

– Nie o to chodzi... On jest – popatrzyła na Lan najpoważniej, jak była w stanie – kosmitą. Obcym w sensie jak kiedyś Onkaloci. Innym gatunkiem.

Tych kilka wypowiedzianych chaotycznie zdań tak ją wyprowadziło z równowagi, że aż musiała sięgnąć do torebki po inhalator, bo już wyczuwała nadchodzącą czkawkową falę. Nie zdenerwował jej fakt, że być może wystawi się zaraz na największe pośmiewisko swojego życia, ale poczuła się jak najgorszy konfident, który słono zapłacił za zdradę. Jakby uciekła od gangsterów z planety Kalwarii i chciała zdobyć na innej status świadka koronnego. Przy okazji wymacała, że na dnie torebki zachomikował się zakrwawiony opatrunek po Thino'paiu. Cała ona – gdy była poruszona albo robiła coś bezmyślnie w pośpiechu, nieraz upychała różne rzeczy, gdzie popadnie.

Lan patrzyła na nią, jakby Hanako postradała rozum. Ale przynajmniej się nie zaśmiała. Bardziej jej wyraz twarzy kojarzył się z wyrażaniem litości.

– Mówiłaś, że nie piłaś z tym całym Krystianem.

– Rzekłabym o choczko, że możemy iść do twojego Nathana, by zbadał mnie pod kątem trzeźwości, albo w ogóle moją prawdomówność, ale poza tobą nikt nie może się tego dowiedzieć. Nikt, rozumiesz?! Przysięgnij, że zachowasz wszystko dla siebie.

– Na razie twoja informacja nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia. Wyczuwam jakiś podstęp. Masz na holonocie zdjęcie tego kosmity czy coś? Jakikolwiek dowód?

– Byłam roztrzęsiona po kłótni z ojcem i nie zabrałam asystenta z domu. Zresztą cyborg potrafi panować nad naszą elektroniką i albo by mi wykasował niechciane treści, albo w ogóle wszystko zablokował, co zresztą zrobił. Nie może jednak w nieskończoność utrzymywać stanu wysokiej aktywności bez wzbudzania podejrzeń, stąd „zalegalizował” swój pobyt na Calcaris, nadając sobie fałszywą tożsamość.

– Cyborg? Nie wiem, co tym razem wymyśliłaś, ale opowiadaj wszystko od początku. – Lan nie wydawała się przekonana.

- Masz więcej czasu? Trochę to zajmie.
- Nie układałam planów na wieczór. Może zamówimy sobie jakąś wyzerkę?
- Czemu nie.

Lan wybrała holonotem z lokalnej restauracji danie jajeczno-zbożowe, razem z deserem i napojem, które też spodobało się Hanako. Po kilku minutach dron dostawczy przyleciał do ogrodu Myanmar z dwoma zamówieniami.

Sahara ponownie zaabsorbowała koleżankę opowieścią, podjadając co jakiś czas i nawilżając suche gardło wodą z cytryną. Zaczęła od momentu, gdy uciekła z domu, a skończyła na chwili, w której Zo'yo zniknął w lesie razem z jej zapasowym holonotem.

Lan początkowo słuchała relacji jak dobrej fantastycznej historyjki. Chociaż do psychologa było jej daleko, przypuszczała, że Hanako wymaginała sobie wszystko, co wydarzyło się w benglowie jak i w głębi lasu, chcąc powetować sobie traumę, jaką zaserwował jej Riku. Podświadomie potrzebowała poczuć przy sobie obecność kogoś silnego. Wymyślanie urojonych przyjaciół pasowało jednak do dzieci, zresztą nie zauważyła nigdy u Hanako problemów psychicznych. Opowieść zaintrygowała Chinkę, nawet jeśli przez jej umysł zaczęły przepływać coraz gęstsze chmury niepokoju. Opisy Sahary były szczegółowe, nie dało się wyłapać w nich sprzeczności, choć brak namacalnych dowodów na istnienie kosmity mocno negował prawdziwość przekazu; jakże to było wygodne.

- No nie wiem - podsumowała Lan dwie godziny później, gdy otoczenie nabrało ciemniejszych, kolorowych barw, a cienie się wydłużyły. - Zdajesz sobie sprawę, jak to brzmi? Gdybyś miała chociaż... - Zwęziła powieki i uniosła rękę, przysuwając palec wskazujący i kciuk do siebie, jakby wysilała się, chcąc ujrzeć coś maleńkiego.

Hanako uśmiechnęła się niespodziewanie.

- Tak się składa, że mam. - Wysypała na trawę zawartość torebki i triumfalnie zaprezentowała dowód.

- Wacik z krwią? Czerwoną? - mruknęła ze sceptycyzmem Lan. - A raczej już brązową.

- Thino'pai ma taki sam kolor krwi jak człowiek. Pachnie też tak samo żelazście.

Sahara przesunęła rękę ku koleżance, która się odsunęła.

– A fu!, wachać tego nie będę. Nie gniewaj się, ale wiesz... to może być twoja krew z nosa czy z palca...

– Nie mam do ciebie żalu, że mi nie wierzysz. – Hanako podniosła się. Wyrzuciła fragment opatrunku razem z naczyniami po posiłku do śmietnika przy drodze. – Sama zapewne zareagowałabym tak samo. Nieistotne w sumie, czy mi wierzysz, czy nie. Jednak znając już całą historię, co byś zrobiła na moim miejscu?

Siedząca wciąż na trawniku Lan namyślała się chwilę, spoglądając w sierp wstającego czerwonego księżyca Cal-2. Owady rozpoczęły swój bezwstydnie głośny koncert.

– Na pewno wszystko, aby dowiedzieć się prawdy na temat tego Thino'paia. Czy jest niebezpieczny, czy raczej nieszkodliwy. Nie chciałabym, aby ludzie wyrządzili mu krzywdę, gdyby druga opcja okazała się prawdziwa, nawet jeśli mówimy o obcym gatunku. Wiesz, jak to jest: nieznanne zawsze wzbudza u ludzi lęk albo agresję, zwykle drugie wynika z pierwszego. Wołałabym, aby ucierpiała nauka, niż miała ucierpieć samotna, zagubiona istota. Jednak biorąc pod uwagę jego apodyktyczność i umiejętności, zwłaszcza to, że robi wszystko, na co żywnie ma ochotę, porządnie przemyślałabym sprawę chronienia go na twoim miejscu. – Lan również się podniosła z siadu skrzyżnego. Wskazała Hanako palcem. – Jeśli ten obcy jest tak potężny, za jakiego go uważasz, masz przewalone.

– Dzięki, Lan – odparła Hanako z rezygnacją.

– Wybacz kwiatku, ale sama prosiłaś mnie o opinię. No i pamiętaj, że nie jesteś mną. Każdy rozgarnięty człowiek sam powinien podejmować decyzje.

– Ale nie powinien się wstydzić pytać o mądre rady.

– Też racja. – Chinka przytaknęła.

– Cokolwiek sobie myślisz, mam nadzieję, że dotrzymasz słowa?

– Nikomu nie powiem.

– Dzięki za miły wieczór. I że zechciałaś wysłuchać moich szalonych opowieści.

– Obie uśmiechnęły się pogodnie. – Do następnego razu.

Hanako machnęła jej na pożegnanie, odwróciła się i zaczęła iść trawnikiem w kierunku skraju ogrodu.

– Hanako?

Przystanęła, obejrzała się ku koleżance, wciąż stojącej w pobliżu kosza na śmieci.

– Lecisz teraz do niego skulakiem? – zapytała Lan.

Sahara przytaknęła kilka razy.

– Uważaj, co robisz i rób, co uważasz za słuszne – dodała Chinka. – Poleciałabym ci trzymanie broni zawsze przy sobie, ale w tym przypadku nic to nie da. Musiałabyś wydrukować chyba sobie przedpotopowy prochowiec i strzelać prosto w głowę. Sobie albo wrogowi, zależnie od sytuacji.

– Brzmi romantycznie, na pewno skorzystam! – Hanako także zamierzała zażartować, ale słowa zabrzmiały kąśliwie, jakby odgryzała się Lan za obrazę.

* * *

Po opuszczeniu ogrodu przez kumpelę Lan podeszła do pierwszej napotkanej pustej ławki, na którą opadła ciężko, jakby wróciła z całodniowej pracy w kopalni. Miała mętlik w głowie. Nie zdziwiłoby jej, gdyby Hanako, znana z dobrego serca, ukrywała w benglowie jakąś niebezpieczną jednostkę. Może rzeczywiście była to kiritiańska maszyna nieznanego typu, jak Sahara początkowo przypuszczała, która w wyniku ciągu niefortunnych zdarzeń znalazła się w lesie? Albo jeszcze lepiej: uciekinier z Aristillusa – usytuowanej na Księżycu jednej z najgorszych kolonii karnych, zarówno pod względem rygoru, przeżywalności więźniów, jak i powodów ich zesłania. Nastolatka pomagająca niebezpiecznemu bandycie – ale by było! Rzeczywiście nawet trochę romantycznie. Lan zreflektowała się, że zbyt mocno puściła wodze fantazji.

Ale przecież mogła sprawdzić tego całego rzekomego cyborga!

Wróciła do śmietnika i krzywiąc się, jak i ignorując spojrzenia ciekawskich, wyjęła zakrwawiony opatrunek, trzymając go za nieubrudzony krwią fragment. Wygrzebała też jakieś w miarę czyste opakowanie po jedzeniu, w które owinęła próbkę.

Korzystając ze stacji skulaków miejskich, podjechała pod wrota centrum medycznego, usytuowanego w pobliżu królikarni. Idąc przez jasno oświetloną placówkę z licznymi, wielkimi oknami, dotarła pod gabinet pracującego jeszcze Nathana. Akurat był sam.

– Zrobiłbyś coś dla mnie? – zapytała, gdy pocałowali się na przywitanie.

– Nie mów, że znowu zapodziałaś zielsko do bucha? – Indianin przerzucił na plecy czarny warkocz. – Mogłaś dać znać rano, dziś już nie zdążę nic załatwić.

– Nie, nie. Chciałabym, aby coś mi sprawdził. Nic wielkiego. Tak prywatnie, anonimowo.

Podawała mu opatrunek owinięty w opakowanie ze śmietnika.

– Co mam z tym zrobić? – Nathan okręcał ręką zawiniątko.

– Podstawowa analiza.

– No niech będzie. To tylko kilkanaście sekund roboty. Czyje to jest w ogóle?

– Właśnie nie wiem. Może zabrzmiało to zwariowanie, ale... Wydaje mi się, że Hanako ukrywa w lesie kryminalistę z Aristillusa.

Nathan jak nigdy dotąd spojrział tak ostro na swoją partnerkę, aż poczuła się nieswojo. Zupełnie jakby skojarzył jakieś ważne fakty.

– Coś nie tak? – zapytała głośno.

– Wszystko gra. – Uśmiechnął się uspokajająco. – Przypomniała mi się pewna sprawa. Ale to nie ma związku. Jak skończę robotę w biurze, to zrobię ci tę analizę.

– Dzięki. Daj potem znać. Zatem uciekam i już nie przeszkadzam. – Lan pocałowała go ponownie, po czym wyszła z pomieszczenia.

Idąc korytarzem, myślała o tym, że nie oszukała Hanako. Obiecała, że nie będzie mówić nikomu o kosmitach i tej obietnicy zamierzała dotrzymać. Jeśli jednak dziewczyna rzeczywiście ukrywała groźnego przestępcę i zmyśliła całą tę historię o obcych, by mieć przykrywkę, a jedynie zależało jej na poradzie, Lan czuła się w obowiązku ochrony mieszkańców Sutafochun. Woląca już stracić dobrą koleżankę, niż komuś miałaby stać się krzywdą. Podobno w ostatnich miesiącach zaginęło kilka osób z okolicznych miast, w tym jakiś szanowany prezes z Tikimo, co mogło mieć związek z Lasem Kolonistów. Jego gigantyczna powierzchnia sprzyjała ukrywaniu przed światem niecznych czynów. Choć bardziej prawdopodobna była wersja, że ci ludzie zwyczajnie zniknęli w nieautoryzowany sposób, chcąc zerwać z przeszłością, w tym odgrodzić się od nielubianych, skonfliktowanych z nimi bliskich. Przepastny kosmos stwarzał pod tym względem nieograniczone możliwości. W przypadku prezesa mogło chodzić o malwersacje. Jednak kto tam wie, przezorności nigdy za wiele. Lan gorąco życzyłaby sobie, aby Hanako nie miała nic z tym wspólnego. Ale raczej nie było się o co martwić.

Najpewniej okaże się, że krew będzie należeć do nieostrożnej, zapominalskiej Sahary.

* * *

Nathan miał dziś trochę więcej pracy biurowej niż zazwyczaj, przez co jego zwyczajowa godzina pójścia do domu już dawno minęła. Jeszcze Lan przyniosła mu próbkę do zbadania, co oznaczało spacer na drugi koniec budynku, skąd ledwie wrócił kilka minut przed przybyciem dziewczyny. Zaskoczyły go jej słowa o rzekomym – skoro nie było dowodów – kryminaliście ukrywanym w lesie. W pierwszym przeblysku myśli ujrzał kilku zabitych likanów przez nieznanego sprawcę (wieść o śmierci uczestników porwania Chalkona wyciekła już do sekty), ale przemyślawszy sprawę racjonalnie, uznał, że to absurd. Nie było takiej opcji, by samotny człowiek załatwił dzikich sekciarzy, jednych z najniebezpieczniejszych ludzi na planecie, w dodatku pewnie napruty narkotykami. Zresztą gdyby z więzienia uciekł jakiś przestępca, raczej nie dysponowałby narzędziami, które wpływałyby na zachowanie likanów na odległość. Chyba że Hanako ukrywała Kiritianina...

Mężczyzna potrząsnął głową.

To wymykało się zdrowemu rozsądkowi.

Strasznie nie chciało mu się ponownie łązić przez cały budynek do laboratorium. Roboty pomocnicze, które mogłyby w pełni zająć się procesem, w tym zawieźć próbkę na miejsce, zostały już wyłączone. Raczej Lan nie zawracałaby mu głowy, aby zrobić mu jakiś kawał. To nie w jej stylu, choć czasem wymyślała dziwne rzeczy. Raz dla przykładu kazała iść Nathanowi ze sobą szukać po lesie rzadkiego grzyba, którego chciała użyć jako składnika do swojego kremu, zamiast jak wszyscy zamówić go z sieci. Przyniosła mu też do pracy kolorowego robala złapanego w domu, by sprawdził, czy jest jadowity, choć w biocenozach Calcaris nie istniały zwierzęta mogące szkodzić człowiekowi, zgodnie z założeniami terraformingu. Owad nie był jedyną osobliwością, które Lan dawała mu do analizy. Jednak finał okazywał się zwykle wartością stałą: zapominała o swoich prośbach albo nie paliła się z tym, by wynik uzyskać natychmiast.

I właśnie dlatego Nathan kochał swoją dziewczynę – była wesoła i szalona ze swoimi pomysłami.

Postanowił zająć się krwią następnym razem, skoro to nic pilnego.

Zabezpieczył próbkę w hermetycznym pudełku i wrzucił do najniższej szuflady swojej szafki.

Potem wyleciała mu ona z głowy w natłoku obowiązków – wliczając w nie to, czym zajmował się nieraz po pracy.

* * *

Hanako przekonała się osobiście, jak doskonałą robotę wykonał Thino'pai, co napawało ją jeszcze większym lękiem. Kiedy z sercem buszującym w gardle oznajmiła ojcu, że zamierza lecieć na noc do lasu, aby spędzić czas z obcym facetem, spodziewała się tak dzikiej, wiekopomnej awantury z jego strony, że nie zdziwiłoby jej to, gdyby wygenerowane na skutek złości ciśnienie rozsadziło ściany domu. Tymczasem Riku rzucił niewiarygodne: „dobrze, kochanie, do następnego razu, bawcie się dobrze”, jakby znał Lyrnama od lat i w pełni mu ufał. Matka Shuang powiedziała mniej więcej coś podobnego. Fuhito w ogóle zignorował słowa siostry – zamknięty w pokoju do gier 16D, przeżywał walkę w chulimalskiej dżungli z Onkalotami-kanibalami, jakby działa się naprawdę.

Hanako dałaby wiele, aby ojciec był miłszy i bardziej liberalny, jednak kiedy jej życzenie jakby się spełniło, nie podobała jej się jego zmieniona wersja. Powstała bowiem w wyniku niezrozumiałej metodologii i dlatego wydawała się przerażająca. Dziewczyna nie miała pewności, czy Thino'pai nazbyt nie namieszał członkom rodziny mającym entrasery w mózgach i jakie będą tego konsekwencje.

Kiedy przelatywała skulakiem przez ładnie oświetlone miasteczko oraz ogród Myanmar, nikt nie zwracał na nią uwagi. Wpadła pomiędzy leśne drzewa. Zamiast długich świateł włączyła na HUD-zie osłony tryb bioktowizyjny, w którym doskonale było widać przed maską wszystko, co żywe, zwłaszcza pnie jaskrawe niczym słupy lawy.

Gdy znalazła się w końcu na terenie swojej enklawy, panowały na niej ciemność i zastój, jakby w pobliżu nie było żywego ducha – co w przypadku leberiksa i Thino'paia można by uznać za prawdę. Osadziwszy pojazd na ziemi, Hanako na

wszelki wypadek wyjęła z torebki pistolet energetyczny. Nie sądziła, by ktoś wypatrył jej benglowa w tak schowanym zagajniku, ale podobno pozorność popłaca. Na szczęście dotąd ani razu nie skorzystała z broni.

Po otwarciu drzwi jej oczy poraziła intensywna jasność, jakby w południe zerknęła na słońce. Skrzywiła się z sykiem, zaciskając powieki.

– Wielki Buddo...

– Cześć, Hanako – przywitał się jakoś smętnie Thino'pai.

Ku jej wielkiemu zaskoczeniu – przytulił się do niej, jakby rzeczywiście byli parą, a Sahara wróciła do domu rodzinnego po długim rozstaniu.

Trzymał ją tak bez słowa, totalnie zeszywniałą, w mocarnych obciężciach, z brodą przyciśniętą do jej lewej łopatki. Metalowe komponenty cyborga były równie ciepłe co tkanki.

– Thino, co ty robisz? – Dziewczyna ciągle nie była w stanie się ruszyć, w prawej ręce trzymała opuszczony pistolet.

Odsunął się od niej. Patrzyli chwilę na siebie, ona zdezorientowana, nierozumiejąca, on beznamiętnie, tym swoim niepokojącym, heterochromicznym spojrzeniem czerwonego i pomarańczowego oka. Drugie miało bardzo drobną źrenicę, przez co wyglądało koszmarniej niż to sztuczne.

Hanako, cały czas mrużąc oczy, zerknęła na stopy. Cyborg nasunął na okna najgrubszą ich formę, dlatego benglow z zewnątrz wydawał się nieoświetlony. Włączył ponadto najjaśniejsze możliwe światła dostępne w wyposażeniu, których Hanako nigdy nie używała.

– Możesz zmniejszyć natężenie światła? – Sama mogła to zrobić, ale nie wiedziała, do czego Thino'pai potrzebował takiego oświetlenia.

Za sprawą jego neurocytu natychmiast zrobiło się znośnie. Odłożyła pistolet na szafkę na bibeloty. Thino'pai podszedł do stołu pośrodku pokoju i opadł na jedno z siedzeń, plecami do blatu. Leżały tam oba wyłączone drony.

Dziewczyna zawiesiła torebkę na oparciu sąsiedniego krzesła, zdjęła cienką kurtkę, odrzuciła ją i usiadła na swoim materacu. Była znacznie poniżej linii wzroku dumającego Thino'paia, opierającego brodę o złączone na zagłówek, metalowe dłonie. Na jego obliczu widocznym ponad maską oddechową irytacja przeplatała się z przygnębieniem.

– Co się stało? – zapytała Hanako.

– Dzięki za holonot, posiadam już całą wiedzę odersów – odrzekł tonem, jakby to go dręczyło zamiast cieszyło.

Sahara miała okazję już zaobserwować, jak cyborg świetnie sobie radzi z przyswajaniem danych i piorunująco szybko się uczy, ale i tak ją zaskoczył.

– Całą wiedzę? Pobrałeś wszystko do neurocytu?!

– Tak, w kilka sekund – i tym razem odparł, jakby nie było nic niezwykłego w takim wyczynie. Oczywiście darował sobie wzmiankę, że pobieranie energii z otoczenia przez cywilizację jest wprost proporcjonalne do pojemności danych użytkowanych przez taką cywilizację. To podstawowy miernik stopnia jej zaawansowania, a Kandrok znajdowali się pod tym względem o wiele wyżej niż ludzie.

– To jakieś pierdyliard bajtów danych!

– To nie jest mój wszechświat. – Spojrzał dziewczynie ostro w oczy.

Przeciągając się ciszę przerwał kamyk, który oderwał się od ściany skalnej i zabębnił parę razy o dach bengłowa.

– Mapa kosmosu, uzyskana z sieci centralnej przez twój holonot, jest niekompletna – ciągnął Thino'pai – ale dostępna jej wersja mi wystarczy, by określić, że nie jestem u siebie.

– Pełną uzyskałbyś dopiero od Kiritian. Mają na niej ponoć mnóstwo poukrywanych planet, które na mapach odersów widnieją jako pusta przestrzeń kosmiczna.

– Wiem, mówiłaś mi to. Jednak nawet kiritiańska mapa nic mi nie da. Nie martwię się o to, gdzie jestem. – Dźwignął się na nogi, jakby funkcjonował na oparach energii. Podszedł nieśpiesznie do gzymsu, gdzie stała figurka anioła wojny. Wziął ją w dłonie i zaczął obracać. – Ale o to, że wy nawet nie znacie hirabre i krolli.

– Czego?

Cyborg nie zareagował na pytanie. Odstawił przedmiot, przesunął się do ściany między wyjściem a pierwszym oknem zasłoniętym storą.

– Najszybszy napęd, jakim dysponują ludzie, to kiritiański model Alcubierre'a, a dolecenie nim stąd do granicy tego wszechświata zajęłoby dziesiątki tysięcy waszych lat!

Wyczerpanie i smętność, które zdawały się emanować od niego jeszcze przed chwilą, momentalnie ustąpiły. W nagłym wybuchu gniewu avor walnął pięścią w makiową ścianę, przebijając się na zewnątrz i wywalając na podwórze kawałki wydrukowanej materii. Hanako bardziej niż samo uszkodzenie jej mienia zaskoczyła łatwość, z jaką cyborg wybił dziurę. Według zapewnień producenta w bok benglowa mógł walnąć nawet spory głaz, który stoczyłby się z pagórka, i nie zostawiłby wgniecenia. Więc albo ktoś tu kłamał w sprawie swoich produktów, albo Thino'pai dysponował siłą dziesiątek ludzi.

– Złość złością, ale to nie powód, żeby rozwalać dom gospodarza. Będiesz to teraz naprawiać.

Podniosła się i podeszła do Thino'paia patrzącego przez powstałą wyrwę na staw. Po krótkim wahaniu odważyła się położyć mu dłoń na ramieniu, licząc, że odbierze gest jako formę pocieszenia i się nie zezłości. Okręcił lekko szyję i zerknął niechętnie na rękę dziewczyny, ale nie zareagował inaczej.

– Zatem dlatego wcześniej chciałeś się przytulić? – Obawiała się, iż zadała zbyt bezpośrednio pytanie, zwłaszcza że Thino'pai zdawał się gardzić wszelakimi objawami słabości. Ale skwitował słowa tak samo, jak pocieszający gest – posłał Hanako w miarę neutralne spojrzenie. – Byłeś zły o to, że nasz rodzaj nie jest tak rozwinięty, jak byś sobie tego życzył, co pokrzyżowało ci plany?

– To nie miało związku – odrzekł oschle, wracając spojrzeniem do gładkiej tafli wody. Zmierzający ku pełni sierp czerwonego księżycy odbijał się w niej, jakby staw nabył krwawiącej rany. – Coraz gorzej radzę sobie z separacją od nadkolektywu Sharraxa. Chciałem sprawdzić, czy twoja bliskość na coś się przyda.

– I pomogła? – Hanako zastanawiała się, czy avor w ogóle zdaje sobie sprawę, że obdarzył ją zaufaniem, skoro mówił jej takie rzeczy. Ale wolała się nie dopytywać, by bardziej go nie rozjuszyć.

– Tak. – Przecisnęła się przez wyrwę i wyszedł na zewnątrz, siejąc w poharatanej ścianie jeszcze większe spustoszenie.

Dziewczyna westchnęła, popatrzyła w sufit, po czym wyszła drzwiami.

Avor umościł się w siadzie skrzyżnym przy brzegu, Hanako usiadła obok niego i przechylona na biodro podparła się ręką.

– Co to są te chabry i kralle? – zapytała.

– Hirabre i krolle. To kandrockie słowa, nie istnieją odpowiedniki w waszym języku, bo nie znacie tych struktur, jak wynika z tego, co się dowiedziałem.

– Spróbuj jakoś mi wytłumaczyć.

– Ale w wielkim, naprawdę wiiiiielkim uproszczeniu. Krolle to struktury w macierzy, czyli obszarze rozdzielającym wszechświaty, o wielkiej sile grawitacyjnej, jak i magazyny przeogromnej energii. Są wykorzystywane do podróży między wszechświatami. Nasze okręty wybijają się z nich jak z procy... w podprzestrzeni. Czyli będąc w podprzestrzeni lecisz jeszcze w podprzestrzeni. W macierzy prawa fizyki działają inaczej, dlatego maszyny nie ulegają rozerwaniu przy wybiciu, jak i czas jest tam niemierzalny. Hirabre mogę na kiritiański przetłumaczyć jako węzeł albo stacja. To także struktura wysokoenergetyczna, zawierająca śladowe ilości materii, sprzyjająca szybkiemu podróżowaniu, ale raczej między galaktykami, czyli na bardzo bliskie odległości.

– Dla kogo bliskie, dla tego bliskie. – Hanako nie mogła się powstrzymać przed komentarzem, słysząc tak niesamowite rzeczy, o których avor mówił tak zwyczajnie. Zdążyła zapomnieć, będąc przed chwilą świadkiem jego wręcz zwierzęcej reakcji, że jest istotą o wiele bardziej zaawansowaną technologicznie od człowieka. Wydawało się to ciekawe. Zawsze wyobrażała sobie, że jeśli gdzieś tam w kosmosie istnieli wysoko rozwinięci kosmici, będą poważni, opanowani i niesłychanie spokojni.

– Węzły to losowo powstające źródła energii daleko od ciał niebieskich, nietrwałe, mogące się utrzymywać zarówno sekundy, jak i lata. Kandrok do przemieszczania się na zasadzie portacji wykorzystują więc hirabre o odpowiednim czasie rozpadu. Mamy napęd dostosowany do takich podróży. Odległości między punktami A i B są różne, co uzależnione jest oczywiście od miejsca wykwitnięcia stacji. Kiedy znajdujesz się w tunelu między oboma hirabre, odczuwasz zawsze stałą prędkość podróży. W kosmosie jednocześnie jest aktywnych wiele takich struktur, więc w każdej chwili można nimi podróżować. Zrozumiałaś coś z tego?

– Nie.

– To był prosty przekaz – rzekł, zerkając na nią z lekkim chłodem.

– No dobra, coś tam rozumiem. Wszystko to dla mnie jest takie nierealne... Przerażająca wiedza. – Pokręciła głową, spoglądając na jaskrawą, zielono-żółtą

rzekotkę rozkraczoną na liściu. – Ludzie powinni już dawno odkryć takie hirabre, skoro to punkty o wielkiej mocy.

– Celowo użyłem ogólnego sformowania „energia”, bo nie znacie tych rodzajów, o których wspomniałem. Nie wiecie, czego szukać, gdzie i przy jakim zakresie promieniowania. Przelatujecie obok, ale nic nie wykrywacie. To tak, jakby pięć tysięcy lat temu mówić ludziom o istnieniu atomu. A skoro jesteśmy przy małych obiektach. Mnie też przeraża jedna rzecz, której się dowiedziałem. Informacje pobrane wcześniej od ciebie były selektywne – wykorzystałem jedynie te, które służyłyby naszemu porozumiewaniu się i zobrazowaniu mapy.

Hanako spojrzała na niego zdziwiona.

– Ty i strach? Aż trudno w to uwierzyć. Zdradzisz mi przynajmniej, cóż sprawiło, że zdecydowałeś się na to śmiałe wyznanie?

– Wirusy ludzkie. Wszystko wskazuje na to, że te półmartwe twory, przynajmniej niektóre ich odmiany, mogłyby zabić wszystkich avorów. U nas wirusy w ogóle nie istnieją. Widzisz, avorowie i ludzie są spokrewnieni, choć nigdy wcześniej jako cywilizacje się nie spotkaliśmy. Wy żyjecie z wirusami od zawsze, więc wykształciliście naturalne mechanizmy obronne, jak i na pewnym etapie rozwoju dodatkową bronią stały się osiągnięcia medycyny. My w ogóle takowych nie posiadamy. Lepiej więc by było, gdybyś przychodziła do mnie całkiem zdrowa.

Dziewczyna osłupiała. Zakręciło jej się w głowie. Thino'pai widząc jej bladość, chwycił ją oburącz, pewny, że zaraz się przewróci.

– Wielki Buddo...

– Powinnaś teraz rozumieć, dlaczego Kandrok tak cenią sobie życie bez emocji. Nie zareagowałem tak intensywnie jak ty, gdy odkryłem nasze pokrewieństwo. Wstrząs nie wyszedł poza moje pole umysłowe i natychmiast został stłumiony. W fachu, którym się zajmujemy, sprawdzają się najlepiej wszelkie odmiany gniewu. Jest on niczym wysokiej jakości paliwo podsycające nasz potencjał, wyciągający z nas to, co najlepsze. Wyzwała nas. Inne uczucia bywają destrukcyjne.

– Właśnie widać. – Hanako miała akurat na linii wzroku wyrwę w ścianie.

Nie pytając jej o zgodę, avor umieścił dziewczynę przed sobą na nogach i objął ją ramionami.

Wiedziała, że nie było sensu mu tłumaczyć, jak niezręcznie i zawstydzona się teraz czuje, niczym owca, która znalazła się między łapami ukontentowanego tygrysa, zwłaszcza po jego słowach o gloryfikacji gniewu w kandrockim społeczeństwie. Zwyczajnie nie był świadomy swojego czynu. Nie zrozumiałby, jak w świecie ludzi interpretuje się gest, którego właśnie się dopuścił. Hanako zdążyła już zaobserwować, że Thino'pai działał niesłychanie prosto, otwarcie, trochę jak niewychowane dziecko, które bierze, co chce i kiedy chce; w jego rzeczywistości podteksty i aluzje zdawały się nie istnieć. Dopatrywał się w Hanako wyłącznie ekwiwalentu kolektywu – nic innego sobie nie myślał. Zrobiło jej się smutno z powodu jego osamotnienia.

Dotyk avora był niezwykły, nieludzki dosłownie i w przenośni: metalowy, twardy, przez to mocarny, ale jednocześnie ciepły, świadczący o życiu i energii. Przyjemny, jakby grzało się przy starodawnym kominku. Przesunęła dłońmi ku jego ramionom. Oprócz głowy, szyi i kieszeni płuco-brzusznym były to jedyne miejsca, gdzie mogła dotykać żywej tkanki. Chyba że Thino'pai znów ściągnąłby pancerz.

– Rzeczywiście moje słowa zrobiły na tobie spore wrażenie – zauważył – bo serce szybko ci bije i zaczęłaś niespokojnie oddychać.

Niezwykle krępującą dla niej kwestię odebrał oczywiście totalnie na opak. Owszem, Hanako wyprowadziły z równowagi jego słowa, ale... to nie one wywołały gwałtowną reakcję jej organizmu. Może i cyborg pobrał ogrom informacji, ale nie miał prawa wielu z nich zrozumieć, zwłaszcza tych dotyczących ludzkich zachowań. Postanowiła nie wyprowadzać go z błędu, zwłaszcza że musiałaby mu sporo tłumaczyć, a tego robić nie zamierzała. Nie podjęła żadnej reakcji. Nawet podobało jej się to, że znalazła się w uścisku avora. Mogła sobie dowolnie korzystać z chwili, nie ponosząc absolutnie żadnych konsekwencji. Thino'pai nie będzie oczekiwać od niej niczego w zamian jako nieczłowiek. Zresztą i tak realizował własne potrzeby, kompletnie dla dziewczyny niezrozumiałe.

– Jak to możliwe, że jesteśmy spokrewnieni? – Chwyciła go delikatnie za przedramię, ułożyła głowę na lewej piersi cyborga. Poczucie jego bliskości było bardzo miłe, przyjemne. Nigdy nie przytulała się do żadnego mężczyzny spoza rodziny, a i tam wszystko miało zupełnie inny charakter. Hanako pomyślała, że

dobrze byłoby się oswoić z nową dla niej sytuacją, potraktować ją jako sesję treningową przed nawiązaniem relacji z Krystianem, by znów się tak nie spieszyła jak ostatnio.

– Nie wiem. Też nic z tego nie rozumiem.

Thino'pai nie chciał ciągnąć tematu. Podczas gdy dla Hanako informacja o pokrewieństwie wydawała się niezwykła, on odczuwał irytację. Program neurocytu nie przestawał wtłaczać mu do podrzędnego mózgu informacji, że ludzie są czymś gorszym od avorów, zasługują na eksterminację, zniewolenie w najlepszym przypadku służące wzmocnieniu nadkolektywu. Gdyby był wśród Kandrok i otrzymał od gerhy odpowiedni rozkaz, bez wahania zaatakowałby ludzkość. Nie miałby żadnych skrupułów, nic by go nie powstrzymało.

Na Calcaris hamował się z wszelkimi zakusami jako samotna jednostka. Ponadto poza gniewem aktywowały się w nim jeszcze inne emocje, w tym wdzięczność dla dziewczyny, która nigdy by się nie ujawniła w warunkach w pełni kontrolowanych. Z jednej strony miał tego dosyć i chciał jak najszybciej wyrwać się z tej planety, ale z drugiej... był ciekawy nowości.

– Czy nie boisz się mi mówić tego wszystkiego? – Hanako zmieniła temat, widząc, że w kwestii poprzedniego zapadła między nimi kurtyna milczenia. – Właśnie opowiedziałeś o broni, którą dałoby się ciebie zniszczyć.

– W każdej chwili możesz znaleźć się pod moją kontrolą. Przypomnij sobie ludzi z twojej wiochy. Ponadto zdążyłem cię wystarczająco poznać, by wiedzieć, że nikomu na mnie nie doniesiesz.

Hanako przez chwilę czuła się jak zdrajczynie. Odczekała kolejną, by zapewne widoczne na jej twarzy napięcie ustąpiło. Cyborg tym razem niczego nie wykrył, być może skupiony na czymś innym.

Bardziej już rozluźniona odchyliła głowę, Thino'pai pochylił swoją, że spotkały się ich spojrzenia.

– Skąd ta pewność? Jesteś avorem, ja człowiekiem, wciąż dzieli nas przepaść poznawcza. Możesz wydoić cały Univnet z danych, ale do zrozumienia wielu z nich potrzebne jest doświadczenie, a nie sama teoria.

– Masz rację: mogę się mylić.

Dziewczyna poznała po tonie jego głosu, że się uspokoił. Od pewnego czasu zachowywał się mniej ofensywnie. Trzymanie jej w objęciach naprawdę musiało

mu pomagać, uświadomiła sobie. A ona lubiła czuć się potrzebna.

– Skoro nie obawiasz się, że mogę pokrzyżować twoje plany, powiedz mi zatem w końcu, kim jesteś. – Stanowczo spojrzała mu w twarz, okręciwszy się, tak że dłonie miała teraz na jego piersi. Dostrzegła w oczach Thino'paia jedynie niechęć. I znów irytację.

– Może nie wolno ci tego mówić? – dopytywała się.

– Mogę. Ale nie chcę – odrzekł definitywnie.

Wstrzymała się od westchnięcia, jedynie wzruszyła ramionami. Wróciła do wcześniejszej pozycji, opierając się plecami o jego tors. Wykręconą nieco ręką wymacała miejsce, gdzie metal przedramienia cyborga krzykliwie łączył się z pozostałym mu ramieniem. Thino'pai zaburczał niegniewnie, gdy bezwiednie zaczęła przesuwając palcami po jego skórze, na tej samej zasadzie, jak podczas rozmowy głaskała w domu fretkę, która wskoczyła jej na kolana.

Mimo że enklawa była osłonięta z każdej strony skałą i drzewami, dostawał się tam wiatr. Przyjemnie zaszumiały gałęzie. Hanako usłyszała, jak z modyfikanta drzewa kasztanowego, rosnącego na skraju wolnej przestrzeni, spadł owoc. Wyglądał jak zwyczajny kasztan otulony kolczastą łupiną, które dzieci uwielbiały zbierać calcarisowymi porami jesiennymi. Chociaż miały niewiele praktycznych zastosowań, ludzie i tak zabierali je do domu dla przyjemności. Samosiejka-kasztanowiec rosnący przy stawie, zapewne przywleczony przez jakiegoś roślinożercę, prócz tego, że miał owoce już późną wiosną, to w dodatku były miększe, jadalne i smaczne. Dziewczyna postanowiła nazbierać ich trochę w najbliższych dniach.

Do enklawy zaczęły napływać z mroku zalegającego za pniami niebieskie i żółte światełka.

– Nasiona kwiatów nayu – szepnęła Hanako. Zorientowała się, że nie rozmawiają z Thino'paiem od pewnego czasu, oboje odprężeni. Cyborg miał zsuniętą maskę i zamknięte oczy, to znaczy jedno zamknięte, a drugie wygaszone.

– Ciekawe, co tutaj robią? Myślałam, że już po sezonie.

Wiatr nie był silny, przez co dmuchawcowate nasiona unosiły się łagodnie, rozproszone już nad całą enklawą.

– Śliczne. – Sahara skrzywiła się na dźwięk własnego słowa. Zrobiło się zbyt romantycznie?

Na szczęście Thino'pai nieświadomie uratował sytuację:

– Nic szczególnego.

Zapewne nie zdawał sobie z tego sprawy, że jego obrzydzenie pewnych zjawisk brzmiało dla niej komicznie. Dziewczyna zachichotała. Uznała, że zbyt długo siedziała już w jego objęciach. Rozsunęła ramiona avora i przysiadła obok na trawie. Poza tym, że tylko spojrzał na nią beznamiętnie, nie zareagował inaczej.

– Co zatem planujesz? – Chciała się dowiedzieć.

– Na razie skupię się na tym, co mogę zrobić. Czyli zamówię zamiennik kybro. – Wskazał ręką staw. – Starczy już tego spania w wodzie co noc.

– Naprawdę tak wypoczywasz? – Hanako zerknęła ku taflি. Widziała wcześniej przy brzegu wydrukowaną instalację, ale myślała, że avor zostawił tam po prostu jakieś komponenty. Rzeczywiście gdy przebiło się spojrzeniem mrok wieczoru, rozpraszany kilkoma drobnymi źródłami światła, można było rozpoznać coś na kształt aparatury do oddychania z długą rurką.

– Sama zobaczysz. W kwestii poważniejszych planów odersi nie dostarczą mi nic, czego bym potrzebował. Moją jedyną nadzieją są teraz Kiritianie.

Dziewczyna popatrzyła nań zaskoczona.

– Jesteś w stanie mnie do nich zabrać? – zapytał Thino'pai. Ostatnie nasiona odrunęły bądź osiadły na ziemi. Wiatr ustał całkowicie.

– Widuję kilku sporadycznie na orbicie. Nieśmiertelni mają fatalną reputację, każdy się ich boi albo ich nie znosi. Tylko nie mów mi, że będziesz chciał lecieć na stację!?

– Coś wymyślę. Potrzebuję od Kiritian więcej informacji o ich technologiach. Ale najpierw kybro. – Wyciągnął ze schowka w pancerzu holonot Hanako. Włączył go. – Skoro mowa o Nieśmiertelnym, widziałem ich biokriokomorę. Myślę, że mógłbym to wykorzystać jako zbiornik.

Sahara zerwała się na nogi.

– No ale kto za to zapłaci? Wiesz, ile taka komora do hibernacji kosztuje?

– Ty.

– Co? Chyba oszalałeś! – Podparła się pod boki. – To nie benglow, który sobie możesz wydrukować w chwilę, bo jest tani i łatwy w produkcji...

Nie podobała jej się ironiczna mina Thino'paia, który machał przed swoją twarzą personalnym asystentem. Oj, stanowczo nie podobała. Chyba wołała go

w wersji, gdy na wszystko był wkurzony, niezdolny do eksterioryzacji innych emocji.

– Przecież jesteś bardzo bogata, więc w czym problem?

– O nie...

Bez finezji wyrwała mu z dłoni luźno trzymany holonot. Na ekranie widniała strona z jej profilem bankowym. Od razu rzuciła się w oczy niewiarygodna liczba.

– DWA MILIARDY UINALI?! – Złapała się na głowę. Poczowała doskonale znane jej skurcze przepony. Urządzenie spadło na trawę. – Thino'pai, coś ty zrobił?! Teraz pójdę siedzieć! I to pewnie od razu do Aristillus!!! Tyle szmalu to mają dygnitarze Kiritian! I jak obszedłeś limity?! Zwyczajni obywatele nie mogą naraz nabywać takiej kwoty...

– Spokojnie, wszystko było dziecinnie łatwe. Transakcja przelewu widnieje jako dokonana na Proximie e, czyli setki lat świetlnych stąd. Została przekierowana na zupełnie inną osobę, niesłuchanie bogatą, więc nikt nie dopatrzy się nieprawidłowości. Nie ma takiej opcji, że kogoś zdziwią duże pieniądze na twoim koncie. Szanse ich wykrycia wynoszą zero procent.

– No jak zero procent? Już sam bank się zdziwi, skąd jakaś randomowa nastolatka z Calcaris ma na koncie taką kasę! O dokonywaniu późniejszych transakcji nie wspominając. Za to mogę kupować myśliwce Nieśmiertelnych!

– Każdy będzie widział kwotę taką, jaką miałaś wcześniej, stopniowo regularnie pomniejszaną podczas dokonywanych transakcji. Gdy będziesz chciała nabyć coś drogiego, na liście znajdzie się jakiś drobny, nic nieznaczący produkt, na przykład zakupy spożywcze, na co nikt nie zwróci uwagi. Gdybyś chciała zaopatrzyć się w myśliwiec, „kupi go” ktoś znaczący lata świetlne od ciebie, ale produkt trafi pod twój adres.

– Z tym myśliwcem oczywiście to był żart – dodała na wszelki wypadek, widząc, że Thino'pai odparł z pełną koncentracją. – Wielki, Przenajświętszy Buddo... – Hanako padła plecami na trawę obok swojego urządzenia, rozłożyła ramiona na boki. Przy czymś takim nie dało się utrzymać godności ani emocji na wodzy. Ani czkawki.

– Nie musisz rozumieć, co zrobiłem, bo skorzystałem z metod znajdujących się poza zasięgiem ludzkiego rozumowania. Po prostu mi zaufaj. Nikt nic nie będzie szukać, nikogo nic nie zdziwi, wszystko będzie wydawało się legalne.

– W przyrodzie nic nie ginie. Ktoś się zorientuje, że zniknęły mu pieniądze. Komu je zabrałeś? Tylko, błagam, nie mów, że komuś z archontatu, skoro to planeta Proxima Centauri e...

– Pozbierałem uinale od milionów bogatych ludzi, jak wskazuje matematyka tak drobne kwoty, że nie ma opcji, by ktoś zauważył, że czegoś mu brakuje. Ty też nie wpadłabyś na to, że brakuje ci na koncie ćwierć uinala przy twojej obecnej pensji. Takich szczegółów po prostu się nie zauważa. – Thino'pai rozłożył ramiona. – Korzystaj do woli.

Hanako podniosła się i usiadła naprzeciw niego.

– Przy takich kwotach nie musiałabym chodzić do pracy. Jednak z niej nigdy nie zrezygnuję. To byłoby okropne, wyzbyć się z życia pewnej formy wyzwania i oddać się jedynie przyjemnościom. Lepiej zwróć to wszystko.

Avor podniósł holonot z trawnika.

– Będę potrzebował tych pieniędzy. Robię zamówienie. – Nie zwracając uwagi na kombinację niezadowolenia i zaskoczenia u towarzyszki, jak i na nią w ogóle, przy użyciu neurocytu wybrał błyskawicznie interesujące go przedmioty, wykonując kilkanaście operacji jednocześnie. – Poprosiłem o ekspresową przesyłkę. Biokriokomory oczywiście nie dostanę od Kiritian, ale za to w Kalwarii można kupić wszystko.

Załamana Hanako oparła łokcie na kolanach i wpiła palce we włosy.

– Nabyłeś towary od gangsterów. Coraz lepiej...

– Dron pocztowy przywiezie wszystko pod twój benglow. – Oddał Hanako asystenta. – Na czas dostawy zdejmę pole inhibicyjne z tego obszaru. Teraz muszę podpiąć się do kiritiańskiej wersji sieci centralnej. Albo wbić się w entraser jakiegoś Nieśmiertelnego. Wspominałaś, że widzisz kilku w „Nadniebnej Calcaris”?

– Tak naprawdę to jednego, ale sporadycznie. Raczej nie pracuje w pobliżu, bo chodziłby do barorestauracji regularnie na żarcie. Chyba że ma zajęcie niewymagające systematyczności albo po prostu czasem przylatuje na stację. W każdym razie w jego pobycie tam nie widzę żadnych utartych schematów. Trzeba na niego trafić.

– Są zatem dwie opcje. Pierwsza, to zamówiłbym sobie jakiś pancerz, których używacie w Zodiac Universum, zamienił go ze swoim i poleciał w pobliże Kiritian.

Jeśli choć jeden z nich miałby entraser, już bym sobie z nimi poradził.

– Pamiętaj tylko, że Kiritianie mają lepsze entrasery niż odersi. To jedyna technologia, którą ukradli od rebeliantów, ale ją zmodyfikowali i ulepszyli.

– Nie ma to dla mnie znaczenia. Obszedłbym wszystkie zabezpieczenia, więc kody czy inne procedury potwierdzające tożsamość by mnie nie dotyczyły. Gorzej, gdyby ktoś fizycznie kazał mi ściągnąć hełm, na przykład ochrona stacji. Ogólnie zbyt duże ryzyko wykrycia. Druga opcja to wykorzystanie holonotu jako amplifikatora zamiast Zo'yo. Wystarczy tylko, że będziesz go nosić przy sobie w torebce, a jak w pobliżu znajdzie się nasz Kiritianin, wtedy wszystkim się zajmę. Nieśmiertelni również nie mają prawa wykryć mojej aktywności.

– Na orbicie? – zdziwiła się dziewczyna. – Będziesz mieć aż taki zasięg?

Twarde spojrzenie cyborga, którego czerwone oko stanowiło w ciemnościach młodej nocy niepokojąco wyglądające źródło światła, wystarczyło jej za odpowiedź. Oto doszła do granicy, której przekroczenie będzie dla niej niebezpieczne. Odetchnęła głęboko.

– Ja chyba osiwieję przez ciebie o jakieś sto lat przed czasem – powiedziała. Po krótkiej przerwie zapytała: – Co w ogóle sądzisz o naszych wolnych stacjach kosmicznych, światach i skolonizowanych księżycach? Musiałeś być mocno zdziwiony, gdy pobrałeś informacje z holonotu.

– Zdziwienia doświadczyłem wcześniej i dotyczyło ono waszego istnienia. Jesteście jednym z lepiej rozwiniętych gatunków, z jakimi dotąd mieliśmy do czynienia, bardzo agresywnym, wartym dalszej obserwacji, ale i tak znacznie prymitywniejszym od Kandrok. Stało się zatem coś, z czym od dawna jestem już obyty. W kosmosie znajduje się wiele życia. Kto sądzi, że go nie ma poza jego planetą, po prostu nie potrafi jeszcze szukać. Każda obca cywilizacja myśląca, że jest sama, zostaje uznana przez nas za bardzo prymitywną, bo koreluje to z poziomem ich technologii.

Hanako podniosła się.

– Mnie chyba wystarczy na dzisiaj. Czuję się zmęczona. Powoli będę się szykować do spania.

Zdecydowanie potrzebowała odpoczynku po zaserwowanych jej przez Thino'paia informacjach. Coś, co dla niego było normalne, ona będzie musiała trawić umysłowo nawet całe terrenejskie tygodnie. Gdyby nie fakt, że ludzkość

odkryła już jeden obcy, inteligentny gatunek, rewelacje avora byłyby dla niej wielokrotnie większym szokiem.

– A, i napraw ścianę – rzuciła na odchodnym. Mogła sama szybko się uporać z mankamentem dzięki drukarce domowej, ale skoro to nie ona rozwaliła benglow, nie ona będzie go łątać. – Masz ochotę zjeść ze mną kolację?

– Nie muszę. Mówiłem.

Przewróciła oczami. I znów doszło do między nimi do nieporozumienia kulturowego. Ale powinna się już nauczyć, że Thino'pai działał prosto niczym dźwignia, a jego kontrolowany przez neurocyt mózg funkcjonował na zasadzie bezpośredniego przyswajania informacji. Avor najwyraźniej też nie chciał poznawać ludzkiego sposobu rozumowania – nawet na potrzeby ich relacji – być może uważając go za uwłaczający jego godności.

– Pamiętam. To było grzecznościowe pytanie.

Dziewczyna wzięła krótki prysznic w łazience wydzielonej od salonu półokrągłą ścianą. Kiedy wyszła w szlafroku, Thino'pai pistoletem natryskowym łątał dziurę. Pobrana z drukarki markia została upakowana niesłychanie gęsto, przez co rozciągliwy zbiornik zwisał na dole niczym nazbyt nadmuchany balon. Na wyświetlaczu urządzenia widniał trójwymiarowy szablon uszkodzonej części benglowa. Odbudowywanie mankamentu następowało poprzez syfon wypuszczający surowiec. Cyborg od razu wiedział, jak używać pistoletu; naprawa zajęła mu krótką chwilę. Świat ludzkiej technologii zdawał się nie skrywać dlań żadnych tajemnic. Działo się więc zupełnie odwrotnie niż w ludzkich wyobrażeniach, że zetknięcie się obcych cywilizacji będzie oznaczało komizm sytuacyjny, gdy jedna strona pogubi się w technologii tej drugiej.

Hanako przesunęła drony na bok stołu, rozłożyła na nim naczynia i żywność. Zabrała się za wycinanie krążków z chlebków ryżowych, które posmaruje różnokolorowymi pastami, także o wielu smakach.

Cyborg odłożył pistolet do pawlaczka znajdującego się obok niszy łazienkowej. Popatrzył na swoje dzieło, potem na dziewczynę.

– O, i to mi się podoba – rzekła pogodnie pomiędzy kęsami. Z Thino'paia przeniosła spojrzenie na krzesło obok. – No chodź! – Uśmiechnęła się, widząc, że avor szuka czegoś na blacie.

Dał się jednak namówić na posiłek. Często wybrzydzał, czym jedynie rozśmieszał dziewczynę, zwłaszcza swoją utrzymywaną przy tym niezłomną powagą.

Pomimo zmęczenia Hanako nabrała wątpliwości, czy uśnie tej nocy. Co kilka minut zmieniała pozycję na materacu. Story okienne na noc zostawiła uniesione. Wstała, by w świetle księżyców popatrzeć na staw. Niewiele widziała z tej odległości, wyszła więc drzwiami i pokonała kilkadziesiąt kroków dzielących ją od wody. Thino'pai wisiał zanurzony w toni, w pozycji mumii ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, podłączony instalacją twarzową z powierzchnią. Widok był zarazem niepokojący z powodu inności, bo ludzie nie sypiali w ten sposób, jak i intrygujący. Cyborga obserwowało się trochę jak bladą, groźną piranię w domowym akwarium.

Dziewczyna przysiadła na brzegu i kontemplowała avora. Ciepłe, wonne powietrze rozbrzmiało szmerem owadów i innych łagodnych leśnych stworzeń sprawiło, że to, co w pomieszczeniu przychodziło jej z trudem, na zewnątrz szybko doszło do skutku – zasnęła na miękkim trawniku.



7. Tożsamość wroga ujawniona

Kolejne dni przebiegały spokojnie i monotennie, ale dla Hanako nie były nudne. Zorientowała się, że sporadycznych spotkań z Thino'pajem wyczekiwała równie ochoczo, co widywań z Krystianem, choć jednym i drugim towarzyszyły inne emocje.

Rano udawała się na orbusa i leciała do pracy, chyba że miała szansę zabrać się z babcią. W fabryce czas płynął bez większych przygód. Jedyną sensacją okazał się przypadek maszyny do tworzenia aglomeratu, która „zepsuła się” inaczej niż zwykle. Nie zaciął się bowiem jej ruchomy moduł, co nieraz miało już miejsce, ale cała, ciężka i ustabilizowana kolubryna zrobiła wywrotkę na grzbiet, co fizycznie wydawało się niemożliwe. Wszyscy z działu, jak i wiele osób z sąsiednich, przyszli popatrzeć, łącznie ze zdumionym brygadzystą. Winą o incydent jeden pracownik obarczał drugiego.

Po pracy Hanako szła do swojej ulubionej barorestauracji, gdzie po mrukliwym Kiritianinie ślad jakby zagał. Wyczuwała w tym paradoks figlarnego losu – kiedy

nie miało się ochoty na obecność Nieśmiertelnych, ci oczywiście się zjawiali i nieraz robili wiele złego. Na przykład zrównywali z ziemią wioskę, gdy jej mieszkańcy zaszkodzili wcześniej któremuś z nich (istniało nawet powiedzenie: „Nie zadzieraj z Kiritianinem, bo odda ci dziesięć razy mocniej”). Ale gdy jednego się wyczekiwało z utęsknieniem, ten oczywiście się nie zjawiał.

Wszystko rekompensował na szczęście otwarty, zawadiacki Krystian, z którym Hanako nieraz dyskutowała długie kwadransy w oczekiwaniu na orbuse. Czasem był bez kolegów, zapewne celowo odprawiwszy ich wcześniej. Posiadał dar ładowania jej mentalnych baterii do pełnego poziomu, że wydawać by się mogło, iż do wieczora nic nie będzie w stanie popsuć dziewczynie humoru. Sandstorm postanowił pójść krok dalej. zaproponował raz Saharze przelot jego białym myśliwcem XRS-14 Ghost po orbicie, ale odmówiła. Na początku w ogóle proponował jej podwózkę do Sutafochun, lecz z kolejnego faceta w swoim życiu nie potrafiłaby się już wytłumaczyć, a nie wypadało prosić o wsparcie Thino'paia w tej kwestii. Wciąż zbyt mało znała Krystiana, ponadto, gdy był raz lekko podchmielony, zbyt śmiało sobie zażartował z ich dopasowanych do siebie nazwisk – że chętnie zrobiłby jej to, co burza piaskowa robi na pustyni. Hanako pomyślała wtedy, co bardzo ją zaskoczyło, że zdecydowanie woli już być w niezobowiązującym, aseksualnym uścisku Thino'paia, niż brnąć w zbyt głębokie relacje z rebeliantem.

Podczas gdy reszta domowników, łącznie z niemającym entrasera dziadkiem Tun Tunem, traktowali wypady Hanako do Lyrnama jako coś zwyczajnego, Misaki zdawała się po kryjomu ją obserwować. Między nimi pojawiło się wyczuwalne, drobne napięcie, choć ich serdecznie relacje nie uległy zmianie. Dziewczyna podejrzewała, że racjonalizm niezaczipowanej Misaki nie pozwalał jej wierzyć w historyjkę z Lyrnamem. Bo nic tu przecież nie miało sensu! Mężczyzny nikt dotąd nie widział. Jego zdjęcie na holonocie Hanako mogło być fałszywką (w istocie zrobiła deepfake'a po ostatniej rozmowie z Lan). Również dla każdego mieszkańca powinno wydawać się to niepokojące, że niepełnoletnia nastolatka lata sobie popołudniami na schadzki z nie wiadomo kim do lasu i nieraz tam nocuje.

Hanako udawała, że nie dostrzega podejrzliwości ze strony babci.

– Śledź ją. – Ariak otrzymał polecenie przez komunikator wmontowany w kask. Na wszelki wypadek kazano mu przylecieć skulakiem wcześniej do ogrodu Myanmar, jeszcze zanim Hanako wróciła z orbity. Dysponujący zapleczem czasowym likanin z watahy Midnighta znalazł więc w spokoju dobrą miejscówkę, z widokiem na całą, wyludnioną okolicę.

Ujrzał Hanako po czterdziestu minutach siedzenia na posterunku przy krzakach. Przelatująca kilkadziesiąt kroków dalej, zawsze tą samą trasą, dziewczyna go nie zauważyła. A nawet gdyby, ujrzałaby znanego jej z widzenia mieszkańca Sutafochun, który stał sobie oparty o pojazd, popijając napój. Ariak nie był bowiem rzucającym się w oczy transhumanistą. Mógł robić cokolwiek: czekać na partnerkę, kolegów czy odpoczywać sobie pod chmurką.

– Ruszaj. Nie zbliżaj się bardziej niż na kilometr – poinstruował ten sam głos, co wcześniej. – Nie może cię zobaczyć.

– Przecież nie jestem idiotą. – Ariak miał w zwyczaju kozaczenie na odległość, nawet w stosunku do osób o znacznie wyższej randze od niego, jak w tym przypadku.

– Miej stale aktywną komórkę wizyjną – wydająca instrukcje kobieta nie zraziła się.

– Tak jest, wszystko pamiętam. – Tym razem mężczyzna się nie czepiał, że musi wysłuchiwać oczywistości, zresztą ustalonych już wcześniej.

– Do roboty. I miej się na baczności – dodał ostrzej głos.

– W przeciwieństwie do mnie Clark i Tugin byli debilami.

– Ale groźnymi i umięjącymi się bić w zwarcie debilami – rzekła kobieta nieznacznie pogardliwym tonem.

– Mam pojazd i broń, a nie mam entrasera, który być może wykończył tę drugą dwójkę. Zresztą będę gotowy na wszystko – odparł człowiek o wyglądzie siłacza.

Zabrał ze sobą strzelbę na niedźwiedzie, która leżała obok jego nogi w podłużnej niszy pojazdu. Siedział okrakiem na skulaku używanym przez służby mundurowe – sekta dysponowała kilkunastoma takimi pojazdami – przez co czuł się jeszcze bardziej pewnie. Hanako używała polatrywacza cywilnego, w dodatku przeznaczonego dla młodzieży, zatem pozbawionego funkcji śledzenia i wykrywania celu. Nie było więc możliwości, by wyłapała ogon.

Nasunawszy osłonę kasku, Ariak ustawił HUD przedniej osłony na śledzenie wyznaczonego obiektu i podążył śladem dziewczyny, zagłębiając się w las. Wiszące nad nim zachodzące słońce przechodziło obrączkowe zaćmienie, co było częstym zjawiskiem na planecie mającej pięć księżyców.

* * *

Thino'pai jak zwykle wychwycił aktywność zbliżającej się Hanako nie tylko po jej entraserze, ale i holonocie. Od chwili kłótni z ojcem nie zapomniała już go ze sobą zabierać do benglowa. Drugiego asystenta avora miał już do własnej dyspozycji.

Oprócz dziewczyny zlokalizował coś jeszcze – innego skulaka, bardziej zaawansowany model. Jako doświadczony varoth od razu rozpoznał, że nie jest to żaden kompan Sahary, ale ktoś, kto ją śledzi z bezpiecznej odległości. Dla niego jako avora w stopniu xepo, dysponującego zdolnościami przypisanymi do tego poziomu, ów daleki dystans był jednak nieistotny przy dokonaniu namiaru.

Nie przypuszczał, że Hanako ma cokolwiek wspólnego ze swoim ogonem.

– Zo'yo – wezwał leberiksa na brzeg stawu, gdzie klęczał w bezruchu, z dłońmi opartymi na kolanach. Ten w kilka chwil podleciał do swego właściciela, który wstał i spojrzał w jego stronę. – Zaczekaj w enklawie. Zajmij czymś Hanako, gdy już przybędzie.

Sam ruszył błyskawicznie w półmrok leśnej gęstwiny.

Chciał rozegrać wszystko poufnie, jak ostatnim razem. Odkrył już, że Hanako z jednej strony to twarda i stanowcza dziewczyna, ale w głębi orhady była z niej nieukształtowana, wrażliwa istota. Złapał się na tym, że nie miał ochoty ujawniać jej swojej krwiożerczej, bezwzględnej natury avora, co nie miało nic wspólnego z własnym bezpieczeństwem – gdyby darzyła się sytuacja, że przerażona Hanako jednak by się złamała i komuś na niego doniosła. Nie rozumiał dlaczego, ale nie chciał jej destabilizować psychicznie. Tłumaczył to sobie tym, że jej potrzebował. Gdyby go opuściła, szybciej popadłby w szaleństwo.

Obrzeżające ścieżkę drobnej zwierzyny grzyby i porosty w zapadającym mroku zaczynały wydzielać substancje chemiczne powodujące bioluminescencję. Wyglądało to trochę jak świetlisty tor dla polatujących pojazdów, choć obszar powstał w pełni naturalnie. Thino'pai ulokował się w ciemnym już gąszczu

kilkadziesiąt kroków dalej. Przykucnął nieruchomo na miękkiej, gąbczastej ściółce, przed omszonym wykrotem. Wyłączył swoje czerwone oko, przez co pod względem wizyjnym stał się dysfunkcyjny. Na szczęście jako xepo mógł pozwolić sobie na inne rodzaje śledzenia celu. Wystarczył mu chociażby sam dźwięk.

Przeczekał przelatującą nieopodal Hanako, nieświadomą jego obecności, ale gdy kilka minut potem pojawił się skulak sutafochuńskiej tauricji, stopniowo wyłączał neurocytem jego silniki, aby operator nie poleciał na głębę razem z wyrwaną przednią osłoną. Dezaktywował także komórkę wizyjną znajdującą się z przodu pojazdu. Słowem – wysiadła cała elektronika śledzącego dziewczynę człowieka, który z tauricją nie miał nic wspólnego.

– Co jest, do ciemnej dupy? – brzęknął Ariak, gdy pojazd mu zamarł i rozorał ziemię siłą inercji. Był jedynie wściekły; nie domyślił się, że mogło dojść do sabotażu.

Zmieniło się to chwilę potem, gdy wyrósł obok niego człekokształtny, bladolicy cyborg z nagle aktywowanym, przerażającym czerwonym ślepiem. Dosłownie jakby zmaterializował się z ciemności.

– Czym ty, kurwa, jesteś? Czy wy to widzicie?! – Likanin nie odkrył jeszcze, że wizja też przestała działać.

Nie stracił zimnej krwi. Sięgnął szybko po załadowaną już strzelbę powtarzalną, której kulowy nabój rozpryskowy powinny rozkruszyć czaszkę grubego zwierza, przerzucił bezpiecznik i z niej wystrzelił.

Wiedzący z teorii, czym jest strzelba – prymitywną bronią kinetyczną, ale ciągle lubianą i skuteczną w niektórych okolicznościach, dlatego będącą w użyciu – Thino'pai aktywował przed sobą transparentną tarczę, ostatnio używaną przeciwko Yakijanom. Krew mu zawrzała z rozkoszy, choć miał świadomość, że to nie jest bitwa, nawet nie namiastka potyczki, i wszystko zaraz się skończy.

Pociski rozpadły się w proch po zetknięciu z osłoną. Równie dobrze Ariak mógłby rzucać w cyborga jagodami okolicznych roślin. Thino'pai poczuł zawód. Zdawał sobie sprawę, że ludzka broń nie jest w stanie mu zagrozić, niemniej spodziewał się większego wyzwania ze strony samotnej jednostki zapuszczającej się w głąb puszczy. Swojej zmiennokształtnej broni nawet nie musiał dotykać.

Podczas gdy Ariak wytrzeszczał oczy, znieruchomiawszy z opróżnioną strzelbą w rękach, Thino'pai doskoczył do niego i pchnięciem ramienia zwałił go na ziemię.

Schylił się, palcami prawej ręki chwycił gardło mężczyzny, kiedy lewą wyrwał mu broń niczym niemowlęciu zabawkę. Oglądał ją krótką chwilę, nim cisnął na bok.

Ariak zaczął się tarmosić, trzymając dłońmi za diardukowe przedramię cyborga, co można by porównać do próby uwolnienia się z kleszczy fabrycznych o wielotonowym udźwigu.

– Ktoś ty? – Thino'pai zbliżył twarz do lica człowieka. – Czego tu szukasz?

Po krótkiej analizie jego zachowania wiedział już, z kim ma do czynienia. Obserwował to niezliczoną ilość razy. Inteligentne gatunki o wspólnym mianowniku morfologicznym, z którymi Thino'pai dotąd się zetknął, zdawały się działać według podobnego schematu. Niosący Światło musiał wypełnić wszystkie wszechświaty tej samej klasy istotami zbliżonymi do siebie funkcjonalnie – oczywiście z avorami u szczytu tej hierarchii – zapewne by dało się resztę cyborgizować. Powalony mężczyzna będzie walczyć do upadłego, pozostanie milczący, a gdyby udało mu się wyrwać z jego uścisku i uciec, szukałby w przyszłości szansy na pomszczenie swojej krzywdy z zimną krwią. Zaliczał się do odważnych, kierował nim gniew. Thino'paiowi nawet to zaimponowało, że nie drze ryja, nie płacze i nie błaga o litość. Byłby z niego świetny Kandrok, gdyby istniała możliwość jego transportu do centrum przetwarzania.

Szkoda.

Niczego nie wyciągnie od tego człowieka.

Zabierać go do benglowa na tortury też nie miało sensu. Tylko spłoszyłyby Hanako i obciążył siebie dodatkowym kłopotem. Ciekawe, że wziął pod uwagę jej komfort...

Schwytany szarpał się pod jego ręką, ciskając przekleństwa, wyliczając w to, co mu zrobią jacyś likanie. Patrzący na ściółkę avor pomyślał, że te paskudne, ohydne świecące rośliny zapewne spodobałyby się Hanako. Lubiła takie bezużyteczne świecidełka, jak tamte latające nasiona. Całą okolicę można by uznać za przyjemną, gdyby usunąć z niej drącego się faceta.

Thino'pai spojrzał nań obojętnie. Mógł mu się przecież przydać w inny sposób.

– Cicho.

Palce wolnej ręki wcisnął mu do ust, by wyszarpnąć z nich język mężczyzny. Zanim ten zagulgotał od własnej krwi, avor cofnął dłoń od jego gardła i lekkim ciosem pięści zmiażdżył mu czaszkę. Pękła niczym jajko.

Ciało drgało przez chwilę w pośmiertnych konwulsjach, po czym znieruchomiało.

– Być może zdobędę brakujący składnik.

Sięgnął za plecy do schowka po pojemnik zinabrah, następnie wysunął z prawego ramienia kawałek ostrza. Rozciął mężczyźnie ubranie razem z korpusem, od szyi aż po splot słoneczny. Odłożył pojemnik, rozwarł skórę i mięśnie, odsłaniając wnętrze. Rozkładając upakowane jelita, znów pomyślał, że Hanako zdecydowanie nie podobałoby się to, co teraz wyprawia. Dziwnie się z tym czuł, stanowiło to dla niego kolejną nowość. Ewidentnie odseparowanie się od nadkolektywu na znaczną odległość kosmiczną, że nie docierały do niego sygnały behawioralne od pobratymców i gerhy, w których zasięgu dotąd stale przebywał, rozregulowywało jego szczątkowy układ nerwowo-hormonalny. Tak. To na pewno było to.

Pierwsze cięcie przeszło także wzdłuż żołądka, o który cyborgowi chodziło. Konkretnie o ludzkie soki trawienne. Zabity musiał niedawno spożywać posiłek, bo tkwiły tam niestrawione resztki.

Thino'pai pobrał próbkę do zinabraha. Nie był zadowolony z wyniku. Musiał przyznać, że spodziewał się czegoś lepszego. Okazało się, że ludzie mają trzykrotnie słabsze soki trawienne niż avorowie, za to silniejsze szczęki i zęby. Wydawało się to ciekawe, zwłaszcza że połykanie pokarmów u avorów uchodziło za rzadką, uzupełniającą formę odżywiania. Od dawna ich życie związane było z metalami. Wiele cyborgów miało w żołądkach montowane obrabiarki, by w kilka chwil móc przemienić pokarm w produkt gotowy do przemian energetycznych, co mogło skutkować tym, że w toku ewolucji organizm próbował wytwarzać coraz bardziej kwasowe enzymy, zdolne do rozpuszczenia twardych ciał obcych. Istniała podobna korelacja ewolucyjna w przypadku owłosienia ludzi, ich odporności na chłody i noszenia odzieży.

Niemniej soki trawienne denata dało się jeszcze wykorzystać. Nawet jeśli Thino'pai finalnie osiągnie jedynie pięć procent tego, co miałby do dyspozycji w kandrockich zakładach przemysłowych.

Udało mu się zassać połowę zawartości pojemnika.

– Thino, gdzie ty jesteś? – zagadała do niego Hanako poprzez holonot. Włączył na swoim tylko rozmowę głosową.

- Eksploruję – odparł poważnie, z ciekawością grzebiąc we flakach.
- Daleko jesteś? Może pozwiedzamy razem?
- Nie trzeba, zaraz będę wracać.

Wyłączył asystenta. Ustawił tryb swojej broni na miotacz pocisków chemicznych, którymi spalił ciało podobnie jak kiedyś rośliny wokół siebie, gdy trafił na Calcaris. Do benglowa było stąd relatywnie daleko, a wszelki ślad urwał się w tym miejscu, istniało więc małe prawdopodobieństwo, że potencjalne osoby szukające zaginionego odnajdą siedzibę Hanako. A nawet jeśli, Thino'pai będzie miał najwyżej odrobinę większe wyzwanie niż przed chwilą.

Wziął strzelbę, doładował ją wszystkimi znalezionymi w skulaku nabojami 12/56 w liczbie 9+1, następnie wsunął broń do niszy przy podwoziu. Neurocytem przekalibrował ustawienia pojazdu, by stał się dla ludzi nienamierzany. Usiadł na nim okrakiem i przywrócił mu aktywność, aby ruszyć na spotkanie z dziewczyną. Ale najpierw musiał znaleźć strumień i dokładnie się obmyć.

* * *

Hanako zatrzymała skulaka na skraju enklawy rozświetlonej wieczornym oświetleniem i ze dziwieniem spoglądała na własne podwórko. Między benglowem a stawem stała kiritiańska biokriokomora, trochę o wyglądzie ogromnego kokonu poczwarki, trochę konstrukcji z tkanek i kości. Wokół boty transportowe rozlokowały rozmaite utensylia, jeszcze nierozpakowane z pudełek i opakowań. Podeszła do jednego i podniosła je, śledzona paciorkami wizyjnymi wiszącego nad tym wszystkim leberiksa.

- Siarka – przeczytała napis.

Nie był to jedyny znajdujący się wśród towarów pierwiastek. Znalazła też węgiel, sód, azot, cynk, nawet kadm i rtęć, i wiele innych, także sole mineralne i nie wiadomo co jeszcze. Zaczęła oglądać z entuzjazmem dziecka kiritiański wynalazek, znany jej jedynie z projekcji wirtualnych.

Cyborg rzeczywiście przybył niedługo po ich rozmowie.

- Thino, skąd masz skulaka służb mundurowych? – zapytała, choć domyślała się odpowiedzi.

– Wszystko przyszło z zamówieniem. – Skinął głową w stronę nieba. Tym razem musiał nakłamać. Zszedł z siedzenia i sięgnął po strzelbę. – To dla ciebie. Już załadowana. – Wcisnął ją zdumionej Hanako w ręce.

– Czyli jednak spodobały ci się nasze pojazdy?

– Skulak na pewno jest znacznie szybszy niż twój samochód.

– Skąd to wszystko się tu wzięło, w sensie logistycznym? – Hanako niepewnie oglądała pompkę.

– Poprzez autonomicznego drona dostawczego, wielkiego jak twój benglow, jako jeden kompletny pakiet.

– A czy zdajesz sobie sprawę, że przybycie ogromnego dostawczaka widziała masa osób, w tym kontrolerzy lotów? – Położyła ostrożnie strzelbę na ławce przytulonej do ściany bengłowa. – To jak zawiesić nad tym miejscem wielką, podświetlaną strzałkę z napisem „Tutaj jesteśmy!”

Thino'pai popatrzył na nią z politowaniem, wzrokiem zdającym się mówić: „Za kogo ty mnie masz?”

– Wybrałem najdroższy transport, jak również najszybszy. Dron dostawczy był kiritiańskiej produkcji, z trybem skanerowej niewidzialności stealth oraz maskowaniem wizualnym, wyposażony w napęd Alcubierre'a. Przybył bezpośrednio z Kalwarii, planety gangsterów. Priorytet przesyłki: tajny. Reasumując: nikt nic nie widział.

Dziewczyna nie wszystko pojmowała. Thino'pai dysponował obecnie pojęciami wykraczającymi poza zakres jej rozumowania. Ludzki mózg miał ograniczenia biologiczne. Nie dało się wetknąć do niego całej wiedzy ludzkości, co miało miejsce w przypadku neurocytu Thino'paia, a już szczególnie limitowano wiedzę osobom niepełnoletnim, dostosowując ją do ich poziomu intelektualnego i potrzeb. Hanako nie pierwszy raz była pod wrażeniem „ewolucji” jej towarzysza. Niesamowite, jak szybko poznał zasady rządzące jej światem. I jak zawsze pomyślał o wszystkim, nawet najdrobniejszym szczególe. Nie popełnił żadnego błędu. Był doskonały.

Cyborg oparł dłonie na gładkiej krawędzi biokriokomory, nad którą sterczał nieznacznie uchylony karapaks.

– Zabiorę się za pracę rano. – Nie chciał tworzyć zamiennika kybro podczas znienawidzonej przez avorów ciemności.

– A ja z dużą przyjemnością ci pomogę – zaproponowała dziewczyna. Widok tych wszystkich towarów, jakby jej skromną polanę zmieniono w magazyn, tylko nakręcił ją do działania. – Jutro mam wolne.

– Czemu nie.

Hanako usiadła na ławce, delikatnie przesunęła sobie na kolana broń, jakby w każdej chwili mogła wystrzelić.

– Nie obawiaj się, jest zabezpieczona – zakomunikował Thino'pai. Pokręcił palcem. – Gdy widzisz tę namalowaną zieloną kropkę przy bezpieczniku manualnym, nic ci nie grozi. Przesuwa się go, aby przygotować broń do oddawania strzałów, wtedy zobaczysz czerwoną kropkę.

– To weź lepiej wyjmij te naboje. Nie powinno się tak paradować niepotrzebnie z załadowaną bronią.

– Nic się nie stanie, gwarantuję. Sprawdziłem ją. O ile się o to nie postarasz, sama nie wystrzeli.

– Po co właściwie kupiłeś dla mnie tę staroświecką strzelbę? – zapytała go, skupionego teraz na dwóch torebkach trzymanyh dłońmi.

– Krucha kobieta powinna mieć czym bronić się w lesie – rzucił niedbale, nie spoglądając w jej stronę.

To dało dziewczynie kolejną wskazówkę co do tego, jak mogło wyglądać społeczeństwo Kandrok. Zwykły, normalny człowiek chciałby wyperswadować samotnej nastolatce pobyt w takim miejscu. Zaproponowałby opiekę czy inny rodzaj wsparcia, z myślą o zapewnieniu jej bezpieczeństwa. Cyborg większość dylematów chciał załatwiać rozważką, najchętniej przy pomocy broni, co mogło świadczyć o jej powszechności wśród Kandrok. Może tam każdy musiał sam o siebie zadbać, choć było bardziej prawdopodobne, że nie potrzebował ochrony sąsiada jako w pełni samodzielna jednostka.

Hanako nie знаła się na broni poza swoim pistoletem, ale wiedziała chociaż tyle, że strzelba powtarzalna typu pompka – jak i ogólnie strzelby tej klasy – nie miała generatorów i w przeciwieństwie do broni energetycznej nie była samoodnawialna, jeśli chodzi o amunicję.

– Przyciśnij pazurek na końcu łyżki, tam po lewej, i możesz wtedy powyciągać naboje z komory rurowej, jeden za drugim – zagadał do niej Thino'pai,

zauważywszy przelotem, że Hanako przekręciła broń do góry nogami i ze sceptycyzmem jej się przygląda. – Śmiało.

– Nie rozumiem, co do mnie mówisz.

Podszedł do niej i pokazał sprawnie, jak wyjąć pierwszy nabój. Pozostałych Hanako pozbywała się już sama, kładąc je kolejno na ławkę.

– A gdzie zapasowa amunicja? – zapytała.

Wracający na swoje poprzednie miejsce Thino'pai zawahał się na chwilę.

– Dodrukujemy. – Machnął ręką, sięgając po kolejny pakunek.

– Nie zamówiłeś jej? – Dziewczynie wydawało się dziwne, że akurat zapomniał o tak kluczowej rzeczy.

– Zamówiłem, ale najwyraźniej zapomnieli ją włożyć do paczki. – Skoro już zaczął tę farsę obłudy, teraz musiał brnąć w nią głębiej.

Hanako przesunęła dłoń po łożu ze stali węglowej. Ujrzała na nim małe, wyskrobane inicjały: A.K, jakby broń była przez kogoś używana. Darowała już sobie wypytywanie się o szczegóły. Próbowwała przekonać samą siebie, że produkt pochodził z drugiego obiegu.

Thino'pai w ogóle nie zwrócił uwagi na amatorskie grawerowanie, bo coś takiego, jak oznaczanie swojej własności poprzez utrwalenie inicjałów w jego społeczeństwie nie funkcjonowało.

– Chodź, zjemy kolację – powiedziała dziewczyna, kierując się do drzwi benglowa. – I nie przyjmuję wykrętów.

– Niech będzie. A potem już ostatnia noc spania w wodzie.

* * *

Rano Hanako mogła przyjrzeć się lepiej kiritiańskiej biokriokomorze. Z dłońmi opartymi o krawędź zaglądała do środka, niczym ciekawski kilkulatek do terrarium z rzadkimi okazami zwierząt. Od zwykłej kriokomorzy odersów wersja bio różniła się jakością oraz dodatkowymi atutami, czyniącymi ze zbiornika obiekt przyjaźniejszy ciału, gdyż zarówno wyściółka, jak i kapilary i reszta urządzeń imitowały żywe tkanki. Ten egzemplarz biokriokomorzy w świetle rzeńskiego poranka bardziej przypominał mocno wypukłą skorupę żółwia niż kadłub poczwarki. Bania, czyli plastron, zrobiona została z dhurnstali, stopu

trzydziestokrotnie twardszego od diamentu, którego Nieśmiertelni używali głównie w przemyśle kosmicznym i przy budowie swoich lekkich, średnich bądź ciężkich – zależnie od wagi, funkcji i wytrzymałości – pancerzy. Karapaks, a więc pokrywa, była przezroczysta, wykonana z kolei z cienkiej warstwy puronaksu, materiału wykorzystywanego przez Kiritian do budowy kabin, kokpitów czy prześwitujących ścian. Chociaż wyglądała jak szkło, Hanako mogłaby strzelać w nią swoją nową pompką i co najwyżej zabiłaby się rykoszetem, a nie zrobiłaby zarysowań. Wyściółka kojarzyła się z wnętrzem muszli perłowej... albo żołądkiem czy łożyskiem. Nie wyglądało to przyjemnie, ale ponoć Kiritianie lubowali się w takich paskudztwach. Dziewczyna przesunęła ręką po miękkiej, śliskiej ścianie. W dotyku też przypominała wnętrze organizmu. Pojemnościowo biokriokomora była spora, zmieściłoby się w niej nawet dwóch avorów wielkości Thino'paia.

– Skoro mam dziś wolne od pracy, nauczysz mnie potem strzelać z nowej broni?
– zapytała Sahara.

– Z przyjemnością – odparł ochoczo Thino'pai, bo wreszcie chodziło o jego specjalizację. – Zatem do roboty.

Rurami napełnił dwie przygotowane balie wodą ze stawu, następnie całkowicie ją wyjałowił rozpuszczalną trucizną. Zapewnił Hanako, że będzie nieszkodliwa dla ciała ludzkiego czy avora nie tylko ze względu na jej śladowe ilości w finalnej zawartości komory, ale i zostanie zneutralizowana w kolejnych procesach.

A tych Thino'pai przeprowadził całkiem sporo.

Z rozbitką o nieznannej Hanako profesji, która podawała mu substraty, zmienił się w chemika przeprowadzającego przed bengłowem kolejne reakcje. Powstawały coraz to nowe związki chemiczne o zmiennych kolorach, czasem ulatniał się dym. Thino'pai pracował pewnie, nie wahał się z niczym. Stale miał założoną maskę oddechową, zapewniającą mu też ochronę przy niektórych reakcjach. Hanako również zaopatrzyła się w osłonę twarzy.

– Wygląda to, jakbyś wytwarzał truciznę, którą planujesz rozpylić przez detonację nad miastem, a nie breję sprzyjającą regeneracji i spaniu – zażartowała. Bawiła się świetnie. Zastanawiała się, czy to dlatego, że jako nosicielka entrasera nie miała możliwości przeprowadzać takich eksperymentów w szkole, czy może główną rozrywkę zapewniała jej współpraca z Thino'paiem.

– Efekt końcowy będzie zupełnie inny. Możesz czuć się zawiedziona.

Rzeczywiście finalny produkt okazał się niepozorny – setki litrów bezwonnej brei o wyglądzie rozcieńczonego krochmalu. Totalnie takiej sobie, biorąc pod uwagę pracownię alchemiczną stworzoną przez cyborga.

– Prawdziwą zawartość kybro też tak produkujecie? – Hanako trzymała rurę, przez którą pompa tłoczyła zawartość z mniejszych zbiorników do otwartej biokriokomory.

– Nie, tam już zachodzi szybki proces fabryczny. Z oryginalną breją – avor skinał brodą ku wnętrzu – ma to niewiele wspólnego. Ale i tak będzie dla mnie lepsza od wody.

Hanako imponowało w Thino'paiu to, że zwykle starał się mówić prosto, oszczędnie, choć posiadał przeogromną wiedzę. Nieważne, że nabytą przy pomocy neurocytu. Zresztą ona sama nie była lepsza.

Kiedy komora została zapełniona, avor sięgnął po swój zinabrah, w którym coś pływało.

– A to co? – Dziewczyna pozbyła się osłony twarzy.

– Mały dodatek – odparł od niechcienia. – Ekwiwalent, jak wszystko tutaj. Trochę zmieniony chemicznie.

– Czyli tak jak w przypadku strzelby? – rzuciła podejrzliwie Hanako, czego natychmiast pożałowała. Avor zdążył popatrzeć na nią bystro, na jego obliczu widoczne były znamiona gniewu. Odczuwała, że cyborg wiele rzeczy przed nią ukrywa, nie chciała mu jednak tego wytykać, bo skoro przyjął strategię milczenia i tak nie wyciągnie jego sekretów. Zresztą miał prawo do prywatności.

Temat pochodzenia zawartości pojemnika zamarł.

– I zrobione – oznajmił avor.

Oboje spoglądali w zbiornik gotowy już do użytku.

– I w czymś takim wypoczywacie? – Podciągnąwszy rękaw bluzy, Hanako zaczęła stopniowo zanurzać rękę w brei, jakby się obawiała, że zmieni się w żrący kwas. – Nawet przyjemne w dotyku.

Thino'pai zsunął maskę oddechową.

– Skład oryginalnej brei w kybro to między innymi zmienione soki trawienne avorów, tak że nie nadtrawiają ciała, ale je wygładzają, „szlifują” brzegi ran. Uściślając, powodują mikrouszczerbki, co z kolei zmusza komórki do wydajniejszej regeneracji naskórka i głębszych warstw ciała.

– A, błeeeeee.

Thino'pai uśmiechnął się lekko na myśl, jakby dziewczyna zareagowała, gdyby wyjawiał jej, że jednym ze składników brei, w której majta właśnie ręką, są ludzkie soki żołądkowe.

– Chcesz spróbować i się zdrzemnąć? – Wykonał palcami gest przed komorą, drugą ręką głaskał po łbie swojego leberiksa, teraz w postaci psa.

– A nie będzie to dla mnie szkodliwe?

– Ta papka nie, oboje możemy z niej korzystać. Choć większe korzyści odniosę ja, bo dobierałem substancje pod siebie. Nadkolektyw Kandrok jest multigatunkowy, prawdziwe kybro ustawia się więc pod fizjologię danego osobnika, który chciałby z niego skorzystać.

Dziewczynę poniosła wyobraźnia, jakby to było w tym leżeć. Po długim namyśle z uśmiechem pokręciła głową.

– Chyba sobie daruję. Ale dziękuję, że zaproponowałeś. I tak wszystko zostanie na dworze?

– Zbiornik nie wejdzie do benglowa przez drzwi, musiałbym znów coś rozwalić. Zresztą nikt nie przyjdzie do twojej enklawy. – Thino'pai taką miał nadzieję po dokonanych w lesie mordach. – Zo'yo czuwa, gdy jestem wyłączony. Mogę w pełni na nim polegać.

Ta jego więź z maszynami dla Hanako chyba na zawsze pozostanie niezrozumiała. Ogólnie nie pojmowała fenomenu technofilii także wśród własnego gatunku – gdy ludzie zamiast swoich pobratymców woleli maszyny. Upomniała się, że nie powinna wybiegać myślami daleko w przyszłość, jeśli chodzi o Thino'paia, który zniknie z jej życia, jak tylko zdobędzie od Kiritian to, czego szuka.

Jednak zastanawiała się nad tym, gdy sprząтали bałagan na zewnątrz, a potem ćwiczyła strzelanie do pni dodrukowanymi na drukarce nabojami, pod czujnym okiem instruktora-profesjonalisty. Myśl, że zapewne niedługo go tu nie będzie, nie sprawiała dziewczynie przyjemności. A dopiero co chciała uciekać od Thino'paia, nawet go wydać i zabić...

Za to miło wspominała momenty, gdy przebywał blisko niej. Teraz także czuła promieniujące od niego ciepło, siłę jego metalowych dłoni, gdy bez dbania

o finezję ustawiał jej ciało najdogodniej do oddawania strzału. Hanako trudno było się skupić na tym, co cyborg mówi.

* * *

Nathan przypomniał sobie o próbce od Lan podczas przerwy obiadowej w pracy. Rozmawiał przy stole z kolegami i jeden akurat wspomniał o badaniach okresowych królików. Dziewczyna nie upominała się o wyniki, Nakalski uznał więc, że pewnie była to błahostka albo jednak kawał. Na moment go zmroziło, gdy uświadomił sobie, że może zamierzała w ten sposób przekazać mu informację o swojej ciąży, jednak nawet zwariowana Lan nie zrobiłaby tego w tak nietypowy sposób.

Postanowił dziś jeszcze odhaczyć ten szczegół, póki o nim pamiętał.

Oczywiście później wszystko wyleciało mu z głowy i pomyślał o krwi tuż przed wyjściem do domu. Gdyby nie powrót rozważań, że to jednak może być ciąża, odłożyłby badanie na inny termin.

Taka analiza trwała chwilę, ale trzeba było iść ją zrobić do sąsiedniego budynku, połączonego przełazem z tym, gdzie Nathan miał swoje stanowisko pracy. Udał się zatem rozprostować na koniec kości.

Będąc już na miejscu, w pustym gabinecie 190 wrzucił cały opatrunek z wyschniętą krwią do pojemnika analizatora. Próbką nie musiała być jałowa, bo nie chodziło w badaniu o patogeny. Nakalski na początek postanowił zrobić zwykłą morfologię...

I wyszły mu totalne bzdury.

Nie zgadzały się żadne normy ustalone średnią, niektórych elementów krwi w ogóle nie wykryło, a ilość tych z układu immunologicznego oscylowała blisko zera.

Nathan nie przejął się zbytnio wynikami, myśląc, że maszyna jest zepsuta. Bardziej zirytowało go to, iż nikt z partaczy nie zostawił informacji o awarii.

Przy pomocy małego, długiego ramienia hydraulicznego robota przeniósł próbkę do innego urządzenia, zamknął w pojemniku i wybrał analizę. Zarówno morfologię, jak i bardziej rozszerzone badania.

Nie, druga maszyna na pewno nie mogła być też uszkodzona. Zwłaszcza że pokazało mu to samo, co poprzednio.

Mężczyzna wybrał z szufladki igłę do zabiegów, wbił ją sobie w ramię i pobrał trochę krwi, następnie spuścił na szalkę parę kropel, by finalnie umieścić je w pojemniku drugiego analizatora.

Tym razem wyszło wszystko jak należy. Nikt z pracowników nie zaniedbał jednak swoich obowiązków.

Próbka od Lan wyglądała, jakby Nathan nie badał materiału ludzkiego. Istniały wprawdzie rzadkie choroby krwi, które powodowały totalne przeniebowanie jej paramentów. Nie wytworzyły się naturalnie w toku ewolucji, podobno wyszły z laboratoriów Kiritian, którzy rzucili wyzwanie prawom bogów. To, że w krwi nie znajdowały się kompletnie żadne przeciwciała jako pokłosie zakażeń czy przebytych chorób, analityk medyczny też jeszcze mógł zrozumieć – osoba, od której pochodził opatrunek, mogła od urodzenia przebywać w hermetycznym, w pełni jałowym pomieszczeniu, czyli być na pewno obiektem laboratoryjnym. Ale jak w takim razie Lan zdobyła taką krew?

Tego jednak, że w niezwyklej krwi znajdowało się wiele niezidentyfikowanych białek, Nathan już kompletnie nie pojmował.

I nagle z przerażeniem stwierdził, że przecież widział już coś takiego. Z wrażenia aż musiał usiąść na krześle, by wróciło mu normalne ciśnienie.

* * *

Dawny gmach zarządu grupy kolonialnej Nakhabangi przetrwał próbę czasu, po stuleciach wciąż znajdował się bowiem w idealnym stanie. Remulusa zaproponowała, aby nie zmieniać jego funkcji i organizować tam zebrania likańskich liderów. Oddalony nieco od pomieszczeń socjalnych dla sekciarzy, wtopiony w las punktowiec mianowano abysanktum.

Sama Remulusa jako głowa sekty nie mogła zjawić się na spotkaniu tej nocy. W abysanktum byli więc Midnight jako reprezentant wszystkich alf, guru Kion oraz dwaj kapłani: cherlawy, przebiegły mężczyzna przypominający z twarzy facjatę węża imieniem Shanti oraz Ligrid. Drugi również nie zdecydował się na transhumanizm, choć wyglądał na osobę po modyfikacjach przy swojej potężnej

sylwetce i sporym owłosieniu. Jedynym zwilczonym wśród tej grupy pozostał Midnight. Mężczyźni siedzieli bądź krążyli przed monitorem kapripodu, na którym mieli podgląd z komórki wizyjnej Ariaka; rozmawiali też z nim na bieżąco.

Kilkadziesiąt kilometrów po tym jak śledzący Hanako likanin wleciał do lasu, niespodziewanie utracili z nim kontakt. Fonia ani wizja nie wracały przez kolejne minuty. Mężczyźni patrzyli na siebie wymownie i ponuro.

Midnight wstał wściekły z krzesła, wywalając je z hukiem.

– To sprzęt wojskowy, ponadto był w pełni sprawny. Nie miał prawa się zepsuć!
– rzucił pod adresem trzymającego rezon Shantiego. Kapłan umiejętność tę już dawno wyćwiczył w swojej wieloletniej pracy.

– Wiem, dlatego to nie wina mojego sprzętu – odparł spokojnie, wytrzymując spojrzenie piwnych oczu alfy. – Stale go przeglądamy. Jedyne wytłumaczenie jest takie, że wszystko nagle musiało zostać wyłączone. Przyczyna pochodzi więc z zewnątrz.

– Co się, do ciężkiej gwiazdy, wyprawia się w tym lesie? – Ligrid zaciągnął się z tutki tumbaku popularną w Zodiac Universum używką. – Straciliśmy już kilkoro ludzi.

– Przestańcie mi krakać nad głową – sarknął Kion. – Na razie tylko szlag trafił kontakt z Ariakiem; możliwe, że zaraz go odzyskamy. Koleś jest zresztą uzbrojony w nieelektroniczną strzelbę. To były komandos, kawał chłopca z niego.

– Pompka jest mechaniczna, ale że pojazd już nie, tego nie wzięliście pod uwagę – zauważył Midnight.

Shanti przecisnął ślinę przez szpary między zębami, co zabrzmiało jak cyknięcie. Splótł ramiona na piersi.

– A miało być to dziecinnie łatwe zadanie.

– Trzeba było mnie posłuchać i od razu wysłać kilku ludzi za gówniarą – odezwał się Kion. – Skoro zawsze wlatuje do lasu w tym samym punkcie, mogliśmy poukrywać zmotoryzowanych likan w pobliżu po krzakach. Ze strony ogrodu Myanmar, tym bardziej z Sutafochun nikt by ich nie dostrzegł.

– A co, jeśli potracilibyśmy wówczas tych kilku? – Ligrid machnął ręką w stronę stolika z trunkami i narkotykami, choć ogólnie w kierunku, gdzie powinien znajdować się Ariak.

Midnight postawił krzesło, ponownie zasiadł przed kapripodem. Włączył holograficzną mapę całego lasu, z zaznaczonymi wokół niego miejscowościami.

– Z Ariakiem straciliśmy kontakt dokładnie tutaj. – Zatoczył palcem wskazującym koło, pochyliwszy się. – Lokalizacja geograficzna była podawana na bieżąco. Dziewczyna leciała stale prosto, na pewno nie zdawała sobie sprawy, że jest śledzona. Sądzę więc, że miejsce, gdzie mieszka, znajduje się na przedłużeniu linii. Raczej by nie kluczyła od samego początku, wiedząc, że nikt się nią nie interesuje. – Wędrował ręką po wyświetlanym holografie.

– Nie możemy wykluczyć możliwości, że tajemniczy Lyrnam wiedział o Ariaku od samego początku – odezwał się Kion. – Dlatego kazał dziewczynie lecieć w złym kierunku.

Shanti podparł się pięściami o stół. Wzdychając głośno, lustrował holograf.

– Myślicie, że to ten anonimowy facet rozrabia w naszym lesie? – zapytał, obracając oblicze ku reszcie stojącej po jego prawej stronie. – Naprawdę uważacie, że Hanako skrywa Kiritianina? To jakiś absurd. Nieśmiertelni pilnują swoich. Gdyby mieli zaginionego, zaraz by go odnaleźli. Wystarczyłoby, gdyby ich rozproszona eskadra obleciała całą planetę.

Midnight prychnął.

– To teraz awansował już na Kiritianina? Dopiero co był niebezpiecznym więźniem z Aristillusa, jak powiadają ludzie w Sutafochun. Dziwne jest to wszystko, bez ładu i składu, wali kalcem na kilometr. Mieszczuchy mówią o ganiającym wolno kryminaliście, jakby to było normalne. Nikomu nie zgłaszają ucieczki.

Podświetlił na holografie na czerwono kilka punktów.

– Zobaczcie. Tu znaleźliśmy Clarka i Tukina. Nie mieli przy sobie żadnych cyfrowych urządzeń w czasie polowania na króliki, chociaż to nie ma znaczenia, skoro rzekomy Lyrnam potrafi przejmować kontrolę nad cudzą elektroniką. Zrobił z nich marmoladę. Pasowałoby to do zachowania Kiritianina, zresztą ta dwójka była nerwowa i lubiła się rzucać. Pablowi i Tomaszowi odwaliło. Raczej na pewno ktoś o znacznych umiejętnościach zhakował ich entrasery. Hiroshi Sakai potwierdził, że to możliwe w leśnych warunkach. Nathan nie znalazł w ich ciałach żadnych dragów, pasożytów, wadliwych prionów czy innych mankamentów z tej kategorii, od których nagle by im odbiło. Wedle relacji rebeliantów to jedna

z metod stosowanych przez Nieśmiertelnych, by przejąć nad wrogiem kontrolę – hakowanie entraserów starszych generacji, czyli tych, które mają do dyspozycji odersi. A teraz Ariakowi prawdopodobnie wyłączono sprzęt.

Kion patrzył na niego, myśląc, że jest impulsywny i totalnie walnięty, jednak zdolności analizy i logicznego myślenia to mu nie brakuje. Nic dziwnego, że Midnight był najbardziej wpływową alfą w sekcie.

– Ale po kiego grzyba jakiś Kiritianin miałby mieć wroga w likanach? – Ligrid skończył palić narkotyk. Resztki strzepnął do popielniczki. – Jesteśmy im obojętni. Zresztą z tego, co wiem, nikt z Nakhabangi im nie podpadł.

– Co powiemy Remulusie, gdy zapyta o nasze ustalenia? – Shanti wyrzwał przez otwór okienny – nieosłoniętą niczym dziurę w ścianie. Patrzył, jak w świetle pochodni i kagańców rozdokazywani likanie urządzają walki. Dwóch się biło pośrodku usypanego kręgu, a reszta wokół hucznie kibicowała. Akurat zmagala się para silnie transhumanizowana, co wyglądało, jakby biły się mityczne wilkołaki. Wśród warknięć i ujadania wyglądało to też równie dziko i brutalnie. Jednym z walczących był oczywiście uwielbiający zapasy Noova. – Jeszcze nie wie o Ariaku.

– Na razie poczekamy – zaproponował guru. – Może wkrótce wróci połączenie.

Kontakt niebawem nastąpił, ale nie ze strony wyczekiwanego mężczyzny.

– Musimy porozmawiać – rzucił jedynie Nathan, którego poważne oblicze wyświetliło się obok mapy i nikomu się nie spodobało. Wyglądało bowiem jak zapowiedź większych komplikacji.

Kion także wyrzwał na zewnątrz, gdy pisnął większy wilkołak, zarobiwszy kończący cios w pierś, który definitywnie posłał go na ziemię. Noova rzucił mu się go gardła, rozwarł szczęki, ale jedynie przyciskał kłami futro tamtego, obwieszczając niemo swoją wygraną.

– No to co cię powstrzymuje? – Midnight rozłożył ramiona, patrząc na holograf.

– To nie jest rozmowa na odległość. Niedługo do was przylecę. – Analityk medyczny zerwał połączenie.

Godzinę, kilka tutek i kubków alkoholu później mały transporter personalny wylądował w miejscu postojowym na skraju Nakhabangi, gdzie stacjonowały inne pojazdy.

Nathan wszedł do abysanktum, wciąż mając na sobie kitel pracowniczy i białe spodnie. Był szeregowym likaninem z zerowymi modyfikacjami, tak że nie brał udziału w żadnych dzikich zabawach lokalnej tłuszczy. Jako intelektualista potrzebował sekty jako odskoczni, wystarczyło mu jedynie przebywanie wśród tych ludzi i słuchanie odmóżdżających kazań guru, które działały nań relaksująco. Podobał mu się ten dziki, pradawny świat – jakże odmienny od jego własnego – którego członkom nieraz świadczył usługi. Jako człowiek powiązany z medycyną stanował dla sekty cenny nabytek.

– Witajcie – rzekł zdawkowo. Podszedł do kapripodu i bez pytania o pozwolenie dezaktywował mapę, zastępując ją danymi przesłanymi ze swojego holonotu.

– Krew i jakieś cyfry? – rzucił półironicznie Midnight, widząc obraz przedstawiający kroplę krwi w powiększeniu i poniżej szereg danych, z których większości nie rozumiał.

– Patrzcie teraz wszyscy na mnie – poinstruował gestykulujący Nathan. Nalał sobie kieliszek wódki i wypił jednym haustem, po czym odkaslnął parę razy, czując ostre palenie w ustach, przełyku i żołądku.

– No, ciekawe. Pić to my też umiemy. – Alfa nie mógł się powstrzymać.

– Skupcie się, naprawdę bardzo trudno będzie w to uwierzyć – kontynuował analityk medyczny. – Dotąd ignorowałem plotki dotyczące tego całego Lyrnama. Olałem sprawę jako miejską legendę wymyśloną chyba z nudów, póki nie zobaczyłem tego. – Wskazał otwartą dłońią swój holograf. – To, co widzicie przed sobą, jest analizą krwi istoty pozaziemskiej. Nieczłowieka.

W pomieszczeniu zaległa cisza. Czwórka słuchających likanów spoglądała na siebie nawzajem, chcąc sprawdzić, czy każdy z nich aby dobrze usłyszał. Doszukiwali się w Nathanie cech świadczących o tym, że wódka to nie jedyny trunek, którym się znieczulał.

– Co ty pierdzielisz? – Ze stuporu pierwszy wyrwał się Midnight.

– Wiem, jak to brzmi. Ja też powtarzałem w laboratorium badanie, sądząc, że nie zgłoszono awarii sprzętu. Ten jednak działał w stu procentach sprawnie, sprawdzałem próbki kontrolne. Zakrwawiony opatrunek, który dostałem od Lan, nasączony jest krwią najprawdziwszego obcego. – Nathan aktywował drugi holograf przedstawiający onkalockiego wojownika – dwunożnego humanoida o jaguarzym futrze, kocim łbie, z ogonem, wzorzystym maxtlatlem zakrywającym

biodra i maczugowłócznie w pazurzastej łapie. – Zrozumiałem, na co patrzę, bo coś podobnego zdarzyło już się w historii, gdy w 2480 odkryto Onkalotów. Normalnie ludzie i kotowate, w genetyce ziemskiej podpartej setkami milionów lat ewolucji, dzielą ze sobą około dziewięćdziesięciu procent wspólnych genów. Okazało się jednak, po zbadaniu antropomorfów z Chulimal, że ci mają z nami wspólnych ledwo ponad sześćdziesiąt procent, co z początku wydawało się niewytłumaczalne. Czterdzieści procent różnicy to bardziej jak porównać człowieka do bakterii. Astrobiolodzy wysnuli jednak wniosek, że jeśli, założmy, z Ziemi wywieziemy rodzimy gatunek na bliźniaczą skalistą planetę, to wraz z upływem czasu procentowo gatunki wywieziony i ziemski będą różnić się coraz bardziej pod względem odległości genetycznej, choć mogą zachować cechy fenotypowe. Wskazują na to badania na muszkach owocowych, które bardzo szybko wytwarzają kolejne pokolenia. Wywieziono je na różne kolonie i obserwowano ewolucyjne pokrewieństwo. Po milionach lat ssacze podobieństwo genetyczne może wynosić nawet zero procent, choć morfologicznie oba gatunki mogą wyglądać podobnie lub tak samo. Ten długi proces ekologiczny nazywa się konwergencją, co związane jest z wpływem otoczenia. Nadążacie?

Kion zdecydował się odpowiedzieć za wszystkich. Lekko zmarszczył mięśnie twarzy i pokręcił palcami, sygnalizując, że ogarniają jako tako.

– Upraszczając, kosmos przyczynia się do szybkiego zwiększania odległości genetycznej, a prędkość, z jaką następuje ten proces, zależy od wielu czynników. Tu – Nathan wskazał palcem obrazek z krwią w znacznym powiększeniu – mamy do czynienia z tą samą sytuacją, co jest wręcz nieprawdopodobne. Istota, od której pochodzi krew, ma z nami osiemdziesiąt dziewięć procent wspólnych genów. Przeprowadziłem te same badania, co kiedyś astrobiolodzy z Onkalotami, i okazało się, że i w tym przypadku różnica związana jest z czasoprzestrzenią. Czyli że my, ludzie, i to coś, co przyjmijmy nazywać Lyrnamem, byliśmy być może dziesiątki tysięcy lat temu tacy sami. Wiecie, kurwa, co to oznacza? – Nathan spuentował już nieprofesjonalnie, gdy górę wzięły emocje.

– No? – zapytał Shanti, nie bardzo rozumiejąc, co ten Indianin do nich mówi.

– Że my i gatunek Lyrnama byliśmy kiedyś tym samym! – Analityk mówił z coraz większą emfazą. – W naszych ciałach znajduje się cała ewolucja życia ziemskiego. To – pomachał torebką zawierającą opatrunek, wyjętą z kieszeni na

piersi – jest mapa, drzewo genealogiczne. Niby tylko wyschnięta krew, a dowiedzieć się można z niej tych wszystkich rzeczy, o których wspomniałem. Są dwie możliwości. Dawno temu ludzie opuścili w jakiś niewiadomy sposób Ziemię i daleko w kosmosie przekształcili się w gatunek Lyrnama... albo, co jest znacznie bardziej mroczne, nas i tamtych ktoś stworzył, wykorzystując ziemski materiał genetyczny. Ludzi sprowadził na Ziemię, a ich osadził na innej planecie. To byłby ewidentny dowód na kreacjonizm! Że człowiek nie powstał samoczynnie w toku ewolucji!

– I wiesz to wszystko z kawałka wacika, który dała ci twoja dziewczyna? – Midnight machnął rękoma.

– Mamy trzydziesty wiek. – Nathan schował cenną próbkę, poklepał pieczołowicie kieszeń palcami. – Daj mi kroplę twojej krwi, a powiem ci, kim był twój przodek sprzed pięciuset milionów lat, wymienię ci wszystkie choroby, jakie ci się uaktywnią albo powiem, na co będziesz mieć alergię pokarmową za sto dwadzieścia lat.

Czwórka likanów była w szoku. Mogli sobie tylko wyobrażać, co przeżywa teraz Nathan jako człowiek powiązany z nauką.

– Jesteś pewien, że w niczym się nie pomyliłeś? – Kion podszedł doń i szybko spojrzał mu w oczy.

Nathan wędrował wzrokiem od jednego likanina do drugiego.

– Jestem wam wierny, znacie mnie. Nigdy was nie zawiodłem. Choć brzmi to wszystko jak jakaś paranoja, przysięgam, że sobie nie żartuję. Jest środek nocy, a ja od wielu godzin powtarzałem analizy na wielu urządzeniach, aby wykluczyć nawet drobne błędy.

– Ja pieprzę. Co za powalona akcja. – Midnight splótł palce nad głową i chodził tak po pomieszczeniu.

Prawie przez kwadrans mężczyźni pili alkohol, odzywając się jedynie w błahych sprawach, jak prośba o dopełnienie szklanki czy kieliszka. Ligrid zapalił kolejną tutkę, Midnight zrobił skręta i sobie od niego odpalił.

– Czy ktoś jeszcze o tym wie? – Kion wreszcie wrócił do tematu.

– Ja, zapewne Lan, z którą jeszcze nie rozmawiałem, i teraz wasza czwórka – odparł Nathan.

– Będziemy musieli przycisnąć dziewczynę – stwierdził Midnight, obserwując krzywo unoszący się dym ze swojego narkotyku. Nathan popatrzył na niego z niepokojem.

– Sam mogę ją wypytać. Ona nie wie, że należę do sekty, jak i ogólnie o istnieniu likanów na Calcaris. Nie chcę jej w to mieszać! – zakończył kategorycznie.

– A co z monitoringiem i śladami w kapripodach po twojej pracy? – zapytał Shanti.

– Na dupę Connora⁷... – Nathan pacnął się w twarz. – Byłem tak wyprowadzony z równowagi, że kompletnie nie myślałem o tak kluczowych rzeczach. Włączyłem jednak tryb prywatności, badania przeprowadzałem dla siebie. I co teraz?

– Łącz się z Jackiem, a on niech od razu budzi tego swojego kolegę, specja od zabezpieczeń – postanowił natychmiast Kion. – Hiro pomógł nam z uprowadzeniem królików, że nikt się nie połapał, więc pomoże i teraz. Niech pokasuje wszystko. Rozumiem, że masz offline kopie swoich badań?

– Tak – przytaknął analityk. – Ale jakby co, mogę zrobić nowe.

– A jak Hiro się wygada? Sprawdzi sobie przecież dokładnie, co każemy mu usuwać. – Shanti opadł na krzesło przed kapripodem. – Zdjęcie przez niego zabezpieczeń królikarni czy napisanie viserchera, by wyszukiwała nam ofiary rytualne, to była drobnica, ale teraz mowa o istocie pozaziemskiej.

– Nie należy do likanów, boi się nas – odrzekł Midnight, ziewając i prezentując w okazałości swoje wilcze kły. Przesunął palcami po dredach. – To tchórz. Postraszymy go, jak ostatnio, i będzie milczeć jak skała. Łącz się z Jackiem, doktorku. – Szturchnął Nathana.

Analityk wziął holonot i odszedł na stronę.

– Powinniśmy powiadomić o wszystkim arcykapłankę – Ligrid podszedł do otworu okiennego. Padło na niego światło czerwonego księżyca, który właśnie wyłonił się zza chmur.

Kion stanął obok, z westchnięciem wcisnął ręce w kieszenie.

– Hanako nie jest już ofiarą wyznaczoną przez viserchera do złożenia w noc Czystej Krwi. Wygląda na to, że to nie ona chroni Lyrnama, ale on ją. Możemy zapomnieć o święcie.

– Powinniśmy wezwać oficjalnie szeryfa i jednostki, by przeczesali las – zaproponował Ligrid.

Shanti, który też dołączył do towarzystwa, popatrzył na niego krzywo, z politowaniem.

– Szeryfa z której okolicznej miejscowości?

– No, a jak myślisz?

– Znasz procedury – odrzekł kapłan. – Moje chłopaki i dziewczyny będą musieli sprawdzić cały teren, hektar za hektarem i odkryją, co tu wyprawiamy. Nie będę mógł im ot tak – pstryknął – wydać rozkazu, by nie sporządzali raportów i wszystko wyparowało im na zawołanie z głowy. Przeszłoby to może przy dwóch-trzech osobach – wykonał wymowny gest pocierania o siebie kciuka i palca wskazującego – a nie kilkunastu żywych tauricjantach z Sutafochun, których jestem szeryfem. To samo tyczy się innych miast przy Lesie Kolonistów. Młodszy ciągle są zapaleni idealisci, jak i legaliści. A androidów, których mógłbym kontrolować do woli, chwilowo nie mam do dyspozycji. Nie wiadomo też, jak groźny jest ten Lyrnam i czy w ogóle Nathan ma rację. – Posłał krótkie spojrzenie w stronę analityka medycznego, rozmawiającego z Jackiem. – Jeśli rzeczywiście to Lyrnam pozbył się naszych ludzi, stróża prawa będą mieć także problemy. Nie wiemy, z kim mamy do czynienia i jakimi dysponuje środkami.

– To sprowadźmy Kiritian – rzucił poważnie Ligrid. – Oni na pewno się z tym uporają. Przylecą, jak tylko dostarczymy im dowodów na to, że w lesie znajduje się obcy. Zabiorą go, pokroją na plasterki, a las znów będzie cały dla nas.

– Nie, żadnych Kiritian! – ożywił się Kion. – Poza nami nikt na razie nie może o tym wiedzieć.

– Załatwione – poinformował Nathan towarzyszy. – Jack wyciągnął Hiroshiego z łóżka. Haker zaraz wszystkim się zajmie. Całe szczęście, że budynek centrum medycznego jest pusty, z wyjątkiem dyżurnych, którzy przebywają jednak w innym sektorze.

– To teraz holorozmowa z Remulusą. – Kion wybrał kontakt w stacjonarnym kapripodzie.

Międzyplanetarne połączenie wykorzystujące wieże komunikacyjne o zasięgu globalnym i transmittersy podprzestrzenne rozmieszczone w kosmosie trwało znacznie dłużej, niż gdyby poszło się do stacji centrum łączności. Emitowanie

wiadomości w obie strony miało też znaczne opóźnienie w przypadku korzystania z kapripodów. Likanie korzystali jednak z tej formy łączności, bo Hiro wyciszył im kiedyś aktywność z Nakhabangi.

Kobieta znajdowała się aktualnie w dżungli Chulimal, w odwiedzinach u tamtejszych likanów. Kiedy znalazła już ustronne miejsce do rozmowy bez świadków, Kion nakreślił jej, jak istotny mają problem, a potem oddał głos Nathanowi, który powtórzył liderce sekty to samo, co wcześniej przedstawił w abysanktum.

Przez chwilę spacerowała, pocierając przy tym w zamyśleniu skronie czy trzymając dłoń przyciśniętą do ust.

– Podjąłeś dobrą decyzję, Kionie – poinformowała w końcu. – Żadnych Kiritian, wojska czy lokalnych stróżów prawa. Nieśmiertelni są nieprzewidywalni, jak i niemile widziani. Nie wiadomo, czym może się skończyć ich przylot na planetę Calcaris, może nawet wybuchem wojny z rebeliantami, a na pewno zgrzytem z autochtonami. Kwestię lokalnych mundurowych omówił już kapłan Shanti. Z wojskiem planetarnym skończyłoby się podobnie, bo też dysponują sprzętem, którym łatwo przeczeszą cały las. Byłby to koniec naszej sekty, gdyby otrzymali oficjalny rozkaz przeszukania. Musimy załatwić sprawę Lyrnama poufnie, zwłaszcza że mamy sporo ludzi bez entraserów w głowach. Dysponujemy więc środkami, trzeba się jedynie dobrze przygotować, i nie łązić beztrosko po puszczy w pojedynkę albo w parach. Od teraz trzymamy się razem, żadnej samowolki. Trzeba najpierw odkryć, z czym mamy do czynienia. To tak wstępem. Jak wrócę, będziemy wszystko dokładnie omawiać.

Po skończonym spotkaniu mężczyźni się rozeszli. Midnight udał się do swojej watahy na dziedzińcu. Umościł się w pozycji pólężącej na rozkładanym krześle i sięgnął po pierwszy z brzegu trunek w korkowej czaszy.

Kiedy go sączył, obserwując kolejną walkę likanów, tym razem mniej widowiskową od poprzednich, bo zmagali się zwykli, mieszkający w Nakhabandze bezdomni, do tego totalnie narąbani, podeszła do niego Vanada. Poruszała na boki swym puszystym wilczym ogonem w rytm stawianych kroków. Złączyła jego rozsunięte kolana i usiadła na nich okrakiem, przodem do Midnighta.

– O czym rozmawialiście? – Zaczęła ugniatać dłońmi jego barki niczym surowe ciasto.

Alfa pomyślała, jak dobrze jest ją mieć przy sobie. Wypełniła pustkę po krzywdzie, której zaznał w przeszłości.

– Chyba szykuje się poważne polowanie, w każdym razie zapowiada się niezła zabawa. I trzeba będzie przesłuchać pewną dziewczynę z Sutafochun.

– Czyżby wreszcie ta pinda Hanako?

Midnight zachichotał.

– Chciałabyś. Niestety nie ma tak łatwo. Sahara obecnie znajduje się poza naszym zasięgiem. Mówiłem o jej psiapsiółce Lan, dziewczynie Nathana.

– I doktorek zapewne wyraził na to zgodę?

Odpowiedzią alfy był wymowny, perfidny uśmiech.

– Zajmę się tym z przyjemnością – zaproponowała Vanada, również uśmiechając się nieprzyjemnie.

– Musimy tylko mieć zgodę Remulusy. Nathan może jednak sprawiać problemy.

– Odłóżmy szczegóły na później. – Kobieta zaczęła skubać go w ucho.

Midnight upuścił na ziemię puste naczynie, które odbiło się parę razy.

– I to dużo później.

Przyciągnął Vanadę do siebie, zaczynając zabawę od lizania jej szyi.

* * *

Tembr głosu Jacka i dobierane przezeń słowa stanowiły dla Hira ewidentny dowód na to, że kwestia jest niecierpiąca zwłoki. Zresztą z drobnostkami nie dzwoniło się w środku nocy.

Sakai zabrał się od razu do pracy, wkurzony, że znów z obawy o swoje bezpieczeństwo musiał zajmować się sprawami sekty, choć nie chciał mieć z nią nic wspólnego. Byli z Jackiem przyjaciółmi, jednak to on wciągnął Hira pośrednio w to bagno. Swego czasu proponował mu nawet wstąpienie do likanów, twierdząc, że jest to ciekawa odskocznia od nudnego życia codziennego, maźnięta farbą dzikości i dreszczyku emocji. Posprzeczali się nawet o to. Hiro zaproponował wówczas Jackowi, że jeśli dotychczasowe życie jest mu niemiłe, niech pójdzie na całość i zgłosi się na achij do Forkisa.

Wtedy temat się urwał.

Jack prosił co jakiś czas Sakaia o przysługę informatyczną dla sekty. Hiro odmówił za pierwszym razem, ale wtedy Remulusa wysłała do niego kilku swoich siepaczy, którzy przytulając go w barze i klepiąc jak dobrego znajomego od butelki, przekazali mu miło, ale dobitnie, że będzie miał kłopoty, jeśli zrzeknie się współpracy. Zupełnie jakby był jednym z nich. Miał to szczęście, i jednocześnie pecha, że mimo swojego młodego wieku został najlepszym hakerem w Sutafochun.

Kiedy poszedł z tym do szeryfa – odkrył, że Shanti jest kapłanem tej wesołej ferajny.

Jackowi zbrzydła sekta, gdy okazało się, że przeprowadza makabryczne, krwawe rytuały. Nie wiedział o tym w chwili wstąpienia do likanów, wyobrażając sobie, że wszystko, co dzieje się w lesie, ma charakter zabawy. Ale nie zdołał już jej opuścić. Każdy członek był skarbnicą wiedzy na jej temat. Jeśli więc mógł zapobiec czasem jakiemuś nieszczęściu, uratować osobę wyznaczoną na ofiarę, dyskretnie kontaktował się z Hirem i tylko z nim. Ustalił, że można mu ufać; znajdowali się w podobnej sytuacji.

Półśpiący Hiroshi zabrał się za czyszczenie ze swojego kapripoda serwerów centrum medycznego z danych, które podał mu Jack. Zdziwił się, że chodziło o prywatne badania krwi zrobione przez Nathana. Spodziewał się czegoś w rodzaju oszustwa na przetarg sprzętu dla służb mundurowych, które kapłan Shanti aka szeryf miejski kazałby przemycić do lasu. Sakai nie znał się na sprawach medycznych, ale ogarniał podstawowe badania zdrowotne i domyślił się, że może chodzić o jakiegoś fenomenalnego pacjenta z dużymi odchyleniami morfologicznymi od średniej. Ilość jego leukocytów, monocytów czy bazofili była bowiem w ilości zero na jednostkę objętości cieczy. Jakby jego ciało w ogóle nie posiadało układu immunologicznego. Młodzieniec uznał, że ma do czynienia z nielegalnymi eksperymentami albo ukrywaniem nowej choroby. Jack w rozmowie twierdził, że sam niczego nie rozumie. Kazano mu zadzwonić do Hira, ponieważ mieli najlepszy kontakt. Powinien to zgłosić do odpowiednich służb... ale tu zamykało się błędne koło. Wszelkie przestępstwa objęły się o postać szeryfa. Hiro nie wiedział, dokąd sięgają wilcze łapska, jak wiele osób mogło być skorumpowanych. W innych miasteczkach naokoło puszczy likanie na pewno też mieli swoich ludzi.

Zrobił, co mu kazano, choć jak zawsze w przypadkach przymusu czuł się fatalnie, głównie z powodu swojej bezsilności i beznadziejności. Dokładał się pośrednio do tej spirali zła. Nie był likaninem, ale jakby nim był. Jego męskie ego traciło punkty.

Na wszelki wypadek zachował kopię badań na swoim kapripodzie, do którego tylko on miał dostęp.



8. Fantastyczna Czwórka

– Plan jest jak najbardziej rozsądny i bezpieczny, jednak ma solidną wadę: polega na losowości – oznajmiła posępnie Hanako. Siedziała z wyprostowanymi nogami, jedną założoną na drugą, podpierając się rękoma za plecami. Palce dłoni trzymała wtopione w miękką trawę, która mimo niekorzystnego podłoża rozrosła się bujnie na ubogiej w głąbę skale. – I przez to ciągle stoimy w miejscu.

Pomijając burknięcie, pólleżący obok – tak że prawie stykali się ciałami – Thino'pai nie zareagował w inny sposób.

Mijały dni, a Kiritianin jak na złość nie pojawiał się na stacji orbitalnej. Hanako pytała nawet dyskretnie Eremona, czym ten achij się zajmuje, nie zważając już na domysły właściciela barorestauracji. Jeśli ktoś miał coś wiedzieć na temat swoich nieregularnych, ale stałych klientów, to na pewno on. Ale i ten krok nie posunął sprawy do przodu.

Była jeszcze jedna opcja, bardziej pewna: porucznik Gregory Anderson, któremu dziewczyna pospieszyła kiedyś na ratunek. Jego zapewnienie o chęci

udzielenia odwzajemnionej pomocy w potrzebie brzmiały raczej szczerze. Nie wydawały się grzecznością w ramach dobrej manieri, tak jak zaproszenie napotkanego znajomego na herbatę, choć realnie nie ma się zbytnio ochoty go widzieć. Ocalenie komuś życia to rzecz najwyższej wagi, zwłaszcza gdy uratowanym jest Kiritianin. Gdyby zdołała umówić się z porucznikiem, Thino'pai miałby szansę pobrać od niego poprzez jej holonot niezbędne dane. Nieśmiertelny zawsze oznaczał obładowanie zaawansowanym technologicznie sprzętem. Dziewczyna musiałaby mieć jednak solidny powód do zaaranżowania takiego spotkania. Nie wiadomo też, czy Gregory by nie wykrył aktywności avora; Kiritianie w końcu to nie odersi, należeli do elity rasy ludzkiej.

Ostatecznie wygrało sumienie. Hanako ponownie postanowiła wykluczyć Andersona ze swojego planu. Czułaby się podle, gdyby wezwała go tylko po to, by obcy mógł na tym skorzystać, nie do końca tak naprawdę wiadomo w jakim celu. Thino'pai twierdził, że potrzebuje jedynie sprawdzić, jak dalece Kiritianie są zaawansowani i choć zaskarbił sobie jej sympatię, wciąż daleka była od obdarzenia go pełnym zaufaniem.

Kwestia polubienia cyborga niepokoiła ją najbardziej: rozum swoje, a emocje swoje. Rozbieżność pogłębiała się wraz z upływem czasu.

Stłumiła nieprzyjemne myśli. Nie po to tu przyleciała, by się zamartwiać. Zaciągnęła się amalgamatem powietrza: suchym napływającym od strony skalistych gór i wonnym wilgotnym ze strony lasu. Uniosła z ukontentowaniem podbródek, zamknęła oczy.

Chciała posiedzieć trochę po pracy na plotkach z Lan, ale ta wyjątkowo okazała się nieuchwytna. Hanako mogła przynajmniej spędzić więcej czasu z Thino'paiem. Spotkania z nim stały się dla niej taką rutyną, że trudno było jej uwierzyć, iż wszystko kiedyś się skończy, może nawet niedługo.

Tego wieczoru namówiła go, aby poleciełi skulakami bardziej na północny-wschód puszczy, gdzie znajdował się punkt widokowy ku spłaszczonym górcom tarczowym, zajmującym niewielki obszar. Najwyższy szczyt zdecydowanie zasługiwał na uwagę, zachodziło tam bowiem zjawisko podobno bliźniacze jak na Ziemi, w kolebce ludzkości. Tworzyła się rozległa chmura soczewkowata, do tego wielokondygnacyjna niczym pagoda z klasycznej świątyni japońskiej, na skutek ciśnieniowego zjawiska fenowego, związanego z wilgotnością i cyrkulacją

powietrza. Z daleka przypominało to gigantycznego grzyba z wieloma kapeluszami, którego nogę stanowiła góra. Zjawisko skumulowało się akurat ze zgrupowaniem wszystkich pięciu, niebędących w koniunkcji, księżyców na północnej stronie gwiazdzonego nieba. Satelity, w tym trzy w pełni, oświetlały różnymi barwami chmury. Światło się załamywało, co w efekcie dawało zjawisko wielokroć ładniejsze niż łuk okołohoryzontalny czy zorza polarna. Księżyce oddziaływały grawitacyjnie na Calcaris, dlatego w procesie terraformingu zdecydowano się nie tworzyć mórz i oceanów, zwłaszcza że dominował transport powietrzny. Nie brakowało za to licznych jezior i innych mniejszych cieków wodnych.

– Chyba będę musiał skończyć z tymi bzdurami i podjąć bardziej radykalne kroki. – Thino'pai podniósł się i podszedł do stojących nieopodal skulaków. Zajrzał do wnętrza schowka tego należącego do Hanako. – A gdzie masz strzelbę? – Obejrzał się ku dziewczynie w sposób, jakby czemuś zawiniła.

– Została w benglowie. Nie ma zagrożenia ani wojny, a jakby co, to ty będziesz mnie bronić w zamian za schronienie. Nie wolno tak paradować z bronią. Calcaris to spokojna planeta.

– Noś ją przy sobie – rzucił krótko, nie chcąc wdawać się w dyskusję. – Załadowaną. Zwłaszcza gdy jesteś w lesie.

– Brzmi to tak, jakbyś o czymś wiedział. – Nie doczekała się odpowiedzi. Cyborg przyglądał jej się nieprzyjemnie. Widząc, że temat definitywnie został urwany, podjęła poprzedni wątek: – Co miałeś na myśli, mówiąc o radykalnych krokach?

Nieprzyjemna myśl, że avor zamierza ją opuścić, wróciła ponownie. Na pewno by się wściekł, gdyby się dowiedział, że porucznik Anderson stanowi klucz do jego wolności, a Hanako trzyma to przed nim w tajemnicy. Dzięki Thino'paiowi mogła wreszcie robić rzeczy, na które od dawna miała ochotę, ale rezygnowała z nich z braku towarzystwa. Oto na przykład odwiedziła z nim kolejne z jej ulubionych miejsc. Niemniej zatrzymywanie go w lesie na Calcaris byłoby egoistyczne z jej strony. Miała prócz tego jeszcze inny kłopot...

– Jeszcze nie wiem. – Thino'pai wrócił na miejsce obok Hanako, oparł rękę o zgięte kolano. – Gdybym zdołał jakoś opuścić planetę, w końcu wywaliłbym się

na procedurach. Miałbym pod kontrolą każdego człowieka z entraserem, ale ci bez niego stanowiliby dla mnie zagrożenie. Potrzebuję więcej informacji.

– Znów przyznajesz się do strachu – odparła z żartobliwym przekąsem.

– Wyobraź sobie, że jesteś nieczłowiekiem, nagle ujawniana jest twoja tożsamość i masz przeciwko sobie cały gatunek ludzki.

– Nie cały. Ja byłabym po twojej stronie. – Uśmiech Hanako wydawał się smętny.

Avor zaobserwował jej markotność już na początku ich dzisiejszego spotkania.

– Nie podobają ci się księżycy? – Skinął brodą w stronę nieba. Jak zwykle widok sprawiający Hanako przyjemność nie robił na nim wrażenia. Przekręcił się bardziej do pozycji leżącej, podpierając o grunt przedramieniem.

– Nie, bardzo mi się tu podoba. To znaczy tak, widoki są przepiękne z naszej polanki. Jeszcze to klimatyczne cykanie świerszczy.

– O co zatem chodzi? Płaczesz się w odpowiedziach.

– Nie kłopotz cię. – Hanako legła krzyżem na trawie. – Raczej nic nie wymyślisz. Chodzi o interakcje międzyludzkie, więc to totalnie nie twoja działka.

– Działka?

– W znaczeniu zakres kompetencji.

– Może chociaż spróbuj powiedzieć? I tak za dużo nie mam tu do roboty, co mnie wkurza. Muszę jeszcze polegać na tobie.

Dziewczyna zerwała dłuższy kawałek trawy i zaczęła rolować go palcami. W sumie neutralność w połączeniu z beznamiętnością avora mogły okazać się korzystne, pomyślała. Na tym polegała jego użyteczność. Przy ludziach trudniej byłoby jej rozmawiać o krępującym problemie, bo zapewne sypnęliby pomocnymi radami, a w duchu się z niej nabijali. Thino'pai stał powyżej takich zachowań, w ogóle ich nie znał. Jakby nie patrzeć, wydawał się lepszy od ludzi w każdej dziedzinie, z którą miał styczność.

– Chodzi o Krystiana – odważyła się wyznać po chwili wahania – tego, o którym ci nieco wspominałam. Czasem się spotykamy, ale nasze relacje nie posuwają się do przodu. Tylko rozmawiamy. Boję się, że przez to się zniechęci. A wszystko z mojej winy.

– Czyli co?

Hanako usiadła, spojrzała na Thino'paia.

– Naprawdę cię to ciekawi? – zapytała trochę podejrzliwie. Avor myślący o kimś innym niż o sobie stanowił nie lada odchylenie od normy. Pomijając kwestię, że uczył ją strzelać, ale zapewne zrobił to, by samemu się pobawić. Odetchnęła głęboko. – No dobra... Nie umiem się całować – odparła bezradnie, komicznie wyszczerzając zęby. – O ile wiesz, o co w ogóle chodzi.

Przyjął to wstydlive wyzwanie jak zwyczajną informację. Naprawdę pasowała jej ta neutralność Thino'paia do spraw, które u ludzi wywoływały krępujące ją reakcje. Lan pewnie zaczęłaby chichotać i porównywać ją do rówieśników, nawet jeśli robiłaby to niewinnie, nie mając nic złego na myśli. Riku wkurzyłby się, że jego córka chodzi z rebeliantem. Fuhito w ogóle odstawiłby szopkę dla większej widowni, gdyby przypadkiem o tym usłyszał.

Hanako spostrzegła, że niesłuchanie jej ulżyło, gdy zwierzyła się akurat cyborgowi.

– Wiem – odrzekł. – Posiadam przecież sporą wiedzę o ludziach. Jednak wspominałem ci, że przyswoiłem selektywnie informacje, te mnie interesujące. Co nie znaczy, że mało.

– No właśnie. Wiedzę teoretyczną to i ja posiadam. W Univnecie można znaleźć wszelakie poradniki. Ale ważniejsza jest praktyka. Nie chciałabym zepsuć swoich relacji, zwłaszcza że Krystian jest...

– Chciałabyś poćwiczyć całowanie?

Nie dokończyła zdania odnośnie do doświadczenia starszego od niej rebelianta, Thino'pai totalnie ją bowiem zaskoczył. Ostatnim razem podobnie się czuła, gdy ujrzała go po raz pierwszy. Spojrzała nań szeroko otwartymi oczami. U avora o osobowości schizoidalnej nie zmanifestowała się oczywiście żadna reakcja. Zadał zwykłe, wyzute z podtekstów i emocji pytanie. Równe dobrze mógłby ją prosić o podanie kamienia, który miała obok buta.

– Ale jak to poćwiczyć?

– Ze mną. Wyglądam przecież jak człowiek. Twarzy nie mam scyborgizowanej. Maskę oddechową mogę zdejmować na kilka godzin.

Gdyby ktoś inny złożył jej tak śmiałą, dziwaczną propozycję, starałaby się zrozumieć, co delikwentowi może chodzić po głowie. W przypadku Thino'paia sprawa wydawała się prosta – i przez to kompletnie nienormalna. Nierealna. Nieludzka. W takich chwilach Sahara zupełnie nie wiedziała, czy avor działa jak

maszyna, czy znów odblokowały się w nim kolejne przytłumione zachowania z powodu odcięcia od Jedności, jak nieraz powtarzał.

Jednak... Uświadomiła sobie, że chciałaby to zrobić.

– No dobra – odparła. – A umiesz się w ogóle całować?

Ogarnęło ją nagle przerażenie, w pewnym sensie rozkoszne. Jakby nie chodziło o trenowanie pocałunków, ale oto pozwoliła Thino'paiowi siebie pożreć.

– W życiu tego nie robiłem – po prostu oznajmił.

Mogła się tego spodziewać, ale i tak ją zaskoczył. Miała niepowtarzalną okazję, aby brnąć w temat dalej.

– To nie miałeś nigdy dziewczyny... czy coś?

– A po co?

Wzruszyła ramionami.

– No na przykład, by wywiązały się z tego inne relacje. Było wam obojgu przyjemnie podczas całowania.

– To nie sprawia przecież przyjemności. – Przyklęknął na wprost niej. Pozbył się maski.

– A co ci sprawia? – Też usiadła naprzeciw niego.

– Nie chciałabyś wiedzieć – odrzekł z powagą.

No tak, przecież rozmawiała z istotą, które hodowano, a następnie robiono z ich trybiki wielkiego, spójnego, nieznanego jej wciąż mechanizmu. W każdym razie chemia ciała w przypadku Thino'paia kompletnie wymykała się znanym Hanako standardom. Był cyborgiem. Aby organizm wytrzymał takie zredukowanie tkanek, obłożenie komponentami i implantami, wymagane były zmiany na każdym poziomie biologicznym.

Rozważała akurat, czy to na pewno dobry pomysł z tym treningiem, skoro oboje rozumują i odbierają rzeczywistość inaczej, gdy Thino'pai podjął za nią decyzję – niespodziewanie umieścił rękę na jej plecach i mocno przyciągnął dziewczynę ku sobie.

– To jak? – zapytał.

– Przysięgnij, że nie masz w tym żadnego interesu i nie będę potem żałować, gdy zażądaś czegoś dziwnego w zamian.

– Bez obaw. Niczego od ciebie nie chcę, poza tym, co już ustaliliśmy.

Beznamiętnie wypowiedziane słowa brzmiały dla niej trochę nieprzyjemnie. Postanowiła wyobrazić sobie, że ćwiczy po prostu na automacie.

Wahała się, ale tym razem avor nie przejął inicjatywy i czekał na posunięcie dziewczyny. Nie był natarczywy, tym bardziej głupi. Hanako przymknęła oczy i z wahaniem przybliżyła swoje usta do jego. Po raz pierwszy zetknęli się w poważniejszym akcie intymności. Jego wargi były cieplejsze niż ludzkie, twarde, suche, ale przyjemne w dotyku. Zaczęła poruszać swoimi. Thino'paiowi jego działka szła z oporem, był strasznie sztywny.

Nie minęło dwadzieścia sekund, a Hanako odsunęła się z sykiem.

– Ała. – Dotknęła palcami ust, zauważyła trochę krwi. – Ugryzłeś mnie.

– Wybacz.

– Myślałam, że jednak to potrafisz, skoro zaproponowałeś szkolenie.

– A ja myślałem, że chcesz po prostu popróbować.

Westchnięcie dziewczyny zakończyło się krótkim śmiechem. Thino'pai znów się do niej przybliżył, tym razem by zlizać krew z jej ust, przez co poczuła się bardzo nieswojo. Zwłaszcza że zdawało się mu to smakować.

– Ale tak się nie bawimy. – Odsunęła go delikatnie. – Coś nam chyba nie idzie. Może lepiej włączę jakiś tutorial – oznajmiła zawstydzona. – Dobrze, że nie jesteś człowiekiem.

– Też bardzo się cieszę z tego powodu.

– Chodzi o to, że obciach robić coś takiego przy ludziach. Oni lubią wyśmiewać czyjąś niewiedzę, wykorzystują ją do żartów, jakby brak umiejętności w danej dziedzinie, z którą nie miało się styczności, było czymś złym.

Wzięła swój holonot. Planowała z początku wybrać z Univnetu krótki klip z całującą się parą, ale przypomniała sobie, że wciąż ma na dysku materiały, które parę lat temu załatwiała im Wiktoria. Hanako była wówczas w wieku, gdy na jej holonocie działała blokada na wiele treści dostępnych online.

– O, cholera, nie to! – pisnęła z zażenowaniem i szybko wyłączyła naciśniętego przypadkiem pornosą. Obejrzała się na patrzącego jej przez ramię Thino'paia, ale nie zareagował w żaden sposób. Wydawał się skupiony i trochę nieobecny. – To będzie dobre.

Wyświetliła w powietrzu zajmujący dwa metry kwadratowe, sztampony w swojej scenerii klip holograficzny, z dziewczyną i chłopakiem całującymi się na

plaży oblanej czerwienią i pomarańczem zachodzącego słońca.

– To już wiem wszystko – oznajmił Thino'pai, gdy skończyło się nagranie.

Nie zdążyła schować holonotu w kieszeń, gdy cyborg znów przyciągnął ją do siebie. Objął rękoma w pasie i złożył na ustach dziewczyny stanowczy, ale nie natarczywy pocałunek. Niestęchanie perfekcyjny, jakby miał za sobą długą praktykę w sprawach damsko-męskich. Jak zwykle nie musiał niczego się uczyć, tylko przyswoił zaserwowane informacje i już potrafił szczić się nowymi umiejętnościami.

Tym razem on w pełni przejął inicjatywę. Hanako, której holonot wypadł z ręki na trawę, nieśmiało objęła jego szyję ramionami, następnie w podobny sposób zmusiła swoje wargi do działania, jakby próbowała nowy egotyczny owoc. Serce zaczęło jej bić szybciej, oddech przyśpieszył. Nic nie czuła do Thino'paia poza tym, że go lubiła na koleżeńskim poziomie i ją fascynował odmiennością i doskonałością swojego gatunku. Teraz odnosiła wrażenie, jakby zadał jej pewien mentalny, nieokreślony sztych powodujący niepokój, który mimo to sprawiał przyjemność. Uczucie było całkowicie odmienne od zauroczenia Krystianem.

Stopniowo i ona zaczęła swobodniej czuć się w nowej sytuacji, nabierała tempa. Pozwoliła prowadzić się instynktowi, który miała zapisany w genach. Do jego aktywacji nie był wymagany żaden tutorial. Wędrowała dłońmi po wypukłościach pancerza Thino'paia na plecach i jego w pełni odsłoniętej głowie. Nie zepsuła mu fryzury. W swojej abnegacji zdawał się nie przywiązywać do niej uwagi, więc aby ciągle nie sterczała niby od lotu skulakiem bez osłony, dziewczyna pokazała mu raz w benglowie, jak przylizywać ją żelem kosmetycznym. Spodziewała się, że zignoruje jej starania, ale od tamtej pory rzeczywiście zaczął tak robić, przez co miał na szczycie głowy białe pasmo po kark. Przypominał przez to trochę rzezimieszka z Kalwarii, tyle że bez infantylności.

Coś ją napadło, jakby kontrolę nad ciałem przejął argen z przestrzeni kosmicznej – chyba że Thino'pai manipulował jej entraserem. Ale nie miało to dla Hanako znaczenia. Usiadła mu na diardukowych udach i zaczęła wpychać swój język do jego ust. Tym razem nie zrobił jej krzywdy, ale bawił się w ten sposób, że przygryzał jej mięsień i nie pozwalał dziewczynie go cofnąć. Wnętrze ust cyborga było mięsiste, gorące i wilgotne. Badała językiem kolejno każdy jego ząb, przynajmniej te, do których sięgała.

Tak jej się spodobały ich dziwaczne igraszki, że pozwoliła sobie na bierne tkwienie w takim położeniu. Skoro on nie mógł być w niej, ona mogła znaleźć się w nim. Chociaż trochę.

Wielki Buddo, o czym ona myślała?! Bezceństwo pod gwiazdami!

Potem znów było całowanie.

Oderwali się od siebie po dziesięciu minutach, ona usiadła na klęczkach, a on w przykucu. Gdyby byli świadkowie tej sceny, powiedzieliby, że oboje są niczym zwierzaki, które po krótkiej szarpaninie odsunęły się od siebie dla zaczerpnięcia oddechu, bystro na siebie spoglądając.

– Wielki Buddo, przepraszam – rzuciła dysząca Hanako, wplątując palce we włosy. Nie poznawała siebie. Co jej odbiło? Skąd wzięło się u niej takie zachowanie? Czyżby było wynikiem hormonalnej kumulacji, gdyż dotąd nie miała chłopaka? Może chciała odbić sobie nieświadomie sytuację z domu, o co ciągle czuła żal? Może bardzo brakowało jej czyjeś bliskości? Ale... przecież to avor!

Dostała czkawki. Thino'pai pomógł jej pozbyć się dolegliwości, nakładając nastolatce na moment swoją maskę oddechową.

– Za co? – zapytał.

– Zachowałam się jak dziw... nieodpowiednio. Ja mam przecież dopiero siedemnaście lat! Czegoś takiego na pewno nie mogę zrobić z Krystianem... – Celowo wcisnęła rebelianta do wypowiedzi, by usilnie przypomnieć avorowi, co było meritum ich treningu. A tak naprawdę sama sobie chciała to uzmysłowić. Podczas całego aktu bliskości ani razu nie pomyślała o Sandstormie.

– Więc spróbuj jeszcze raz, spokojniej. – Na Thino'paiu oczywiście wspólny epizod nie odbił się w żaden sposób. Nie poczuł kompletnie nic. Hanako trochę zazdrościła mu tej chłodnej, maszynowej postawy, ale było jej też trochę przykro, że nie reagował jak człowiek, z którym mogliby wymienić się debiutanckimi doświadczeniami. Poczuliaby się lepiej, gdyby wykazał jakieś oznaki zazdrości wobec rebelianta. Ale przecież sama chciała trenować z nieczłowiekiem.

Przytaknęła, godząc się na powtórkę. Rzeczywiście miała niepowtarzalną okazję poćwiczenia samokontroli.

Tym razem obcowali ze sobą niczym kochająca się młoda para, która robi to po raz pierwszy, badając siebie wzajemnie. Pocałunek Thino'paia, który trzymał mocarną rękę na jej policzku, był niczym zapowiedź opieki i bezpieczeństwa,

nieślychanie przyjemny, powolny, ale i z pewnym naciskiem. Hanako nie mogła nie odwzajemniać tej czynności, mając zamknięte oczy.

– Dzięki za ćwiczenie – oznajmiła, gdy już się od niego odsunęła. Czowała się rozbita, dziwnie onieśmielona. Wszystko wydarzyło się za szybko, kompletnie nie była przygotowana, że może zaistnieć taka sytuacja.

– To, co mi pokazałaś na początku... – zaczął Thino'pai. – Ciekawie byłoby przeżyć coś takiego. – Uzupełnił, gdy spojrzała na niego spłoszona: – Nie mam na myśli konkretnie ciebie, jedynie głośno myślę.

A no tak, nieszczęsny pornol z holonotu, przypominała sobie.

Chyba nigdy nie przyzwyczai się do otwartości cyborga i jego prozaiczności. Jako członek ludzkiego społeczeństwa Hanako we wszystkim dopatrywała się podtekstów. W rzeczywistości avora istniała tylko informacja, prosty przekaz.

– Zabrzmiało to tak, jakbyś żałował tego, kim jesteś – powiedziała ostrożnie. – I jak wygląda twoje ciało.

– Jestem z niego dumny. Kiedyś o tym rozmawialiśmy. Im avor ma mniej ciała, tym pełni wyższą funkcję w społeczeństwie.

– Czyli musisz być kimś ważnym.

– Tak właśnie jest.

Nie rozwinął. Hanako wiedziała już z doświadczenia, że zbliżyła się swoimi podtekstami do niemej granicy, której Thino'pai, mimo iż znali się już pewien czas, nie miał zamiaru przekraczać. Oznajmił to nie tylko słowem, ale i wlepionym w nią zdeterminowanym stop-spojrzeniem.

– A czy ty... kiedykolwiek... – Zaczerwieniła się, spuściła wzrok.

– Wiem, o co próbujesz zapytać. – Wsunął palec pod brodę Hanako i skierował jej oblicze ku swojej spokojnej już twarzy. – Nigdy tego nie robiłem, kiedy miałem jeszcze całe ciało. Nie było mi to do niczego potrzebne. Jednak teraz, gdy zostałem oderwany od nadkolektywu i nie spoczywają na mnie żadne obowiązki, pozwoliłem sobie na tak śmiałe myślenie. Ale i tak nie ma jak tego zrealizować – zakończył beznamiętną informacją.

Dla Hanako było tego wszystkiego trochę za dużo jak na niecałą godzinę.

Ułożyła się bokiem na trawie. Chociaż planowała wrócić do bengłowa, postanowiła ostatecznie wykorzystać maksymalnie piękne okoliczności przyrody, przerzucić na nią swoje myśli. Thino'pai zapewne nieświadomie jej to

uniemożliwił, przyciskając się do jej pleców i obejmując ją ciężkim, twardym ramieniem. Tak jak widział to na klipie. Hanako przynajmniej wiedziała już, że avor nie potrzebował intymnej bliskości na wzór ludzkiej, ale poczucia fałszywej więzi, pod której działaniem był wśród Kandrok.

– Nie robi ci różnicy, że nie odpoczywasz w kybro? – Obserwowała grę świateł na chmurach, które niedawno napłynęły. Takiej dawki odprężenia nie zaserwowała sobie od dawna.

– Tamto to nie jest kybro. Nic się nie stanie, gdy spędzę tak noc, co już przecież robiłem, będąc w dodatku wybebeszonym. Chodzi tylko o komfort i wydajniejsze procesy naprawcze.

Skoro Thino'pai nie komentował zaszłego epizodu, również Hanako postanowiła przemilczeć temat. Z nich dwojga zapewne tylko ona przeżywała oba pocałunki. Ciągle czuła wstyd z powodu swojej eksplozji namiętności.

Tymczasem avor był po prostu tym, czym uczynił go jego twórca.

* * *

Hanako żałowała później, że poprosiła Thino'paia o te nieszczęsne ćwiczenia. Przez nie była zdestabilizowana emocjonalnie i zamiast skupiać się na zbliżającej się randce z Krystianem, myślała o cyborgu, choć bynajmniej nie w sposób, jakby się w nim zadurzyła. Tego byłoby już zbyt wiele. Po prostu stale zajmował jej myśli. Odtwarzała w pamięci szczegółowo każdą minutę ich bliskości; umysł urealniał te fizyczne doznania. Okłamałaby samą siebie, gdyby stwierdziła, że wszystko nie było szalenie przyjemne, nawet w pewnym sensie to przypadkowe ugryzienie jej w wargę.

Katastrofa na miarę uderzenia trzydziestokilometrowej asteroidy w planetę skalistą nastąpiła po południu, gdy Hanako skończyła pracę.

Włożyła zabraną z domu elegancką, niezbyt opiętą szaro-złotą sukienkę do kolan, zrobiła delikatny makijaż w żeńskiej części poczekalni na orbusey i udała się do jednej z restauracji stacji, gdzie umówiła się z Krystianem. Usiadła przy zarezerwowanym stoliku. Rebeliant się spóźnił. Minął kwadrans, pół godziny, a go dalej nie było. Nie dało się z nim skontaktować przez holonot, bo się wyciszył.

Zawiedziona Hanako, zwolniwszy rezerwację kolejnym gościom, postanowiła zajrzeć do „Nadniebnej Calcaris”. Miała dziwne przeczucie wynikające z powierzchownej znajomości natury Krystiana.

Nie pomyliła się.

W lokalu znajdowało się kilkudziesięciu klientów. Rebeliant zasiadał przy dużym stole ze standardowym składem swoich koleś: Carlosem Drunkensteinem, Marlukiem Croftem i panem marudą Vincentem Nelsonem. Wszyscy byli ostro narąbani, w takim stanie Sahara jeszcze ich nie widziała. Ruszyła w ich stronę, bełkoczących, śmiejących się, bekających, ale nawet jej nie zauważyli. Zniesmaczona zmieniła więc kierunek i udała się do kontuaru, za którym kręcił się Eremon z pracownikami.

– Dzień dobry – zagadała do Greka.

– Cześć, słonko. Wyglądasz dziś śliczniej niż zwykle, a zwykle wyglądasz ślicznie – odparł wesoło, marszcząc jowialnie mięśnie twarzy.

– Dzięki.

Posłała niechętne spojrzenie w stronę wiadomego stołu i wróciła wzrokiem do Eremona, wzdychając z politowaniem.

Mężczyzna od razu zrozumiał, w czym rzecz. Odchrząknął, poważniejąc. Oparł łokieć o blat, pochylając się ku Hanako i kiwając na nią palcem.

– Zanim doprowadzili się do takiego stanu – mówił półgłosem, tak by nie zagłuszyły go odgłosy pomieszczenia – słyszałem, jak jeden z nich mówił, że prawdopodobnie czeka ich bitwa z Kiritianami. Chcą sprzątnąć ich ważniejszego generała, nijakiego Velkee’a Vandringena. To okrutny konserwatysta. Rebeliancki wywiad ustalił, że będzie przelatował z niezbyt silną obstawą, bo w sektorze, gdzie Nieśmiertelni czują się bezpiecznie.

Hanako aż zaniemówiła z szeroko otwartymi oczyma.

– Tak, wiem. Ci młodzieńcy tak się wstawili, że sypnęli informacjami z odprawy. Piciem starają się wygrać ze strachem.

Po słowach Eremona dziewczynie minął gniew na Krystiana. Z początku egoistycznie pomyślała, że zablokował się na holonocie, bo nie chciało mu się przychodzić na spotkanie. Nie wzięła pod uwagę, iż mogła być tego poważniejszą przyczyną; ryzyko śmierci podczas misji ewidentnie nie należało do przelewów.

Ale mimo wszystko każdy poważny, szanujący się człowiek powinien sypnąć jakimś wyjaśnieniem, dlaczego wystawia drugą stronę do wiatru.

– Byle konflikt nie wyniknął przedwcześnie – usłyszała.

Skupiona na porysowanym blacie znów spojrzała ku gospodarzowi, który ponuro skinął głową w róg barorestauracji. Dziewczyna wstrzymała oddech; siedział tam znany jej Kiritianin, wielki, posępny i odpychający jak zawsze.

– Hanakooo! Czeeeeeeeeeee! – Wyszczierzony Krystian wreszcie ją zauważył. Machał ręką zakończoną trzymaną butelką. Całe szczęście, że szkło dawno już wyszło z użycia. – Chooooo! Przepraaaaaszaaamm!

Dziewczyna zasłoniła twarz dłońmi. Sandstorm momentalnie zapomniał o jej istnieniu, jakby miał problem z pamięcią krótkotrwałą, bo wrócił uwagę do swoich kolegów.

– Rozumiem, że w takiej sytuacji rezygnujesz z obiadu z powodu niemiłych widoków? – zapytał Eremon.

– A właśnie, że poproszę o specjalność dnia – powiedziała z myślą o Kiritianinie. Może chociaż Thino'pai wyjdzie szczęśliwy z całej tej farsy. Poprawiła zawieszoną na ramieniu torebkę.

Krystian definitywnie został wyłączony dziś z użytku. Hanako mogła się założyć, że jego stan był pośrednio zasługą Carlosa Drunkensteina – człowieka będącego zbiorowiskiem skrajności, bo rozsądnego i dojrzałego z jednej strony, a moczymordy z drugiej. Słyszała od Sandstorma podczas któregoś ich spotkania, że Carlos podobno dał się już napić swojemu kilkuletniemu synowi Beliarowi. Dziewczyna miała na względzie, że pochodziła z miasteczka na spokojnej planecie, więc nie znała stresu, na jaki byli wystawiani rebelianci. Może piłaby również i imprezowała, gdyby stale wisiało nad nią widmo śmierci z rąk Kiritian. Wprawdzie oczyścić krew z toksyn można było błyskawicznie ledwie jedną tabletką, a zniszczoną wątrobę wymienić na nową, wyhodowaną, ale nie na tym polegało według niej życie – nieograniczonym wyniszczaniu się, skoro „nauka może naprawić”.

Usiadła w oddaleniu od rebeliantów, ale tak, by móc ich obserwować. Pracownik restauracji szybko dostarczył jej zamówienie: zupę bambusową oraz pieczone, panierowane, kruche plastry owoców z Chulimal, w gęstym tłuszczu rybnym, z sokiem w zestawie. Wsunęła dłoń do torebki i upewniła się, że holonot

znajduje się na swoim miejscu. Thino'pai powinien już wykryć PDA Kiritianina, który leżał na jego stole obok talerza.

Pomiędzy rebeliantami doszło do sprzeczki. Mówili na tyle głośno, że dziewczyna słyszała słowa:

– Nie wim – gęgał Vincent Nelson pod adresem Krystiana, mając trudności z utrzymywaniem głowy prosto – co kmandor Avo Cetti w tobie widzi. Nie jesteś jiiiszczce gotooowy. Zginiesz w pirwszej bitfie.

– Aaaaa, czyli to ci nie pasi! – Sandstorm oparł dłonie o blat, nieznacznie się unosząc. – Wreszcie się wygadałeś, cwaniaczku. Zazdrośniku ty jeden. Bo jestem już porycnikiem, a ty jiszczy ni, bo pod... Pode mną!

– Możesz se być generałem, srym na to srakom rzadkom. – Vincent wydał odgłos przypominający pierdzenie. Kiritianin, który siedział plecami do rebeliantów, obrócił trochę głowę. Hanako mogła dostrzec jego pogardliwe spojrzenie.

– Dobra, skończcie już – wtrącił Carlos. Chociaż wypił najwięcej z czwórki, był najmniej pijany. – I tak za godzinę się pogodzicie, jak zawsze.

Marluk Croft nie wtrącał się. Rozbawiony czekał na rozwój wydarzeń, popijając alkohol i podjadając słodczyce.

– Udowodnię ci, że nczego się nie boje. – Nelson wstał.

– To co, wyzwanie? – Sandstorm też wstał, zbyt gwałtownie, przez co zakreśliło mu się w głowie i wywalił się na posadzkę razem z krzesłem. Hanako przystawiła dłoń do czoła.

– Wyzwanie! – odrzekł dumnie Nelson. Chwiejąc się, zaczął rozglądać się po sali. Gdy wypatrzył to, co mógłby wykorzystać do zadania, przeszedł parę kroków normalnie, a resztę na czworaka, zgarniając nieprzychylne spojrzenia innych bywalców. Eremon akurat wyszedł poza obiekt, a obsługująca teraz klientów młoda kelnerka przystanąła dyskretnie z boku i niczym Croft czekała na ciąg dalszy.

– No ludzie, to nie speluna! – sarknął któryś z gości.

Vincentemu udało się podnieść z podłogi dużych rozmiarów stonogę, która pełzała przy wydzielonym obszarze żywej zielonej ściany ozdobnej. Uniósł ją wysoko z triumfem, na podobieństwo flary wolności.

– Moge zjeść żywom glizde! – obwieścił dumnie. Kilka osób, w tym Croft, zaczęło chichotać.

– Glizde każdy gupi se może zjeść. Zeszto to nie glizda! – wyśmiał go Krystian. – Glizdy to masz tu, o! – Klepnął się w brzuch.

– No i zaraz ona tam też byndzie!

Hanako skrzywiła się z odrazą, gdy rebeliant wpakował sobie włochatego robala do buzi. Nie przełknął go jednak, ale zwymiotował razem z alkoholem w paroksyzmie obrzydzenia. Gąsienica szybko odpełzła. Dziewczynie całkowicie przeszła ochota na posiłek, choć był smaczny. W niezaliczającej się do najwyższych standardów „Nadniebnej Calcaris” zdarzały się pijackie utarczki, podobnie jak i inne drobne awantury, ale tak grubych akcji jeszcze tu nie widziała. Zdziwiła się, iż dotąd nikt nie zrobił porządku z rebeliantami, ale dostrzegła po ubawionych minach części klientów, że podoba im się dawka niecodziennej rozrywki. Obsługa postanowiła się ulotnić, choć zapewne obserwowała dyskretnie przedstawienie.

Robot czyszczący zjawił się natychmiast i uprzątnął nieczystości.

Krystian z Vincentem nie zwalniali tempa.

Pierwszy wyciągnął pręt podtrzymujący łodygi pnącej rośliny i oznajmił, że wcale nie jest pijany, co udowodni tym, że zakręci się wokół opartego o ziemię przedmiotu i nie upadnie. Gdy był na dwunastym obrocie, Nelson wyrwał mu pręt z rąk, co oczywiście zakończyło się pięknym orłem. Obaj golnęli sobie po kolejnym.

Sahara miała ochotę położyć głowę na stół, twarzą ku blatowi i długo tak pozostać. Pomijając Kiritianina, który z wyrazem dogłębnej abominacji na twarzy odciął się od otoczenia, pozostając obrócony plecami do centrum sali, otaczający rebeliantów ludzie dobrze się bawili, widząc ich błazenadę.

– Oto młody kwiat obrony kosmicznej – rzucił jednak ktoś ze zbulwersowanych niedaleko Hanako. – Przyszłość naszych uciśnionych narodów.

Mimo podejmowanych prób Carlos ostatecznie machnął ręką i dał sobie spokój z uspokajaniem towarzyszy.

Potem było robienie jaskółek, czego żaden z dwójki rebeliantów nie wytrzymał dłużej niż cztery sekundy, rzucanie monety do hełmu lotniczego (Krystian trafił fartem) i... stawanie na stole, by klepnąć się w goły tyłek.

– Krystian, co ty wyprawiasz?! – Sahara tym razem nie wytrzymała i zerwała się z miejsca. – Odbiło ci?

– Laska, siad. – Croft, który jako jedyny z rebeliantów zwrócił na nią uwagę, wykonał gest ręką. – Daj się chłopakom zabawić na ich prywatnym wypadzie.

– Carlos, zróbże coś z nimi. To twoi koledzy – zwróciła się do najbardziej ogarniętego, jej zdaniem, mężczyzny z tej grupki. Uśmiechający się Drunkenstein jedynie pokręcił bezradnie głową.

Ruszyła więc sama, aby zdjąć Sandstorma ze stołu. Zamarła, zbliżywszy się do rebeliantów. Wiedziała, że ludziom po samym alkoholu raczej nie odbijałaby taka szajba, czego potwierdzeniem stał się fakt, że pomiędzy brudne naczynia wciśnięto płaskie pudełko z jakimś niebieskim proszkiem.

Krystian wiele stracił w jej oczach. A z początku wydawał się wspaniały na miarę Thino'paia. Po prostu nie zdążyła jeszcze poznać jego wad.

Croft chwycił dziewczynę za ramię i posadził na krześle przy ich stole.

– Ciii, nie wtrącaj się – rzekł, grożąc jej żartobliwie palcem.

– Wiem dobrze, co mam robić – odparła ze wzburzeniem. – Przestańcie natychmiast albo wynikną z tego grube kłopoty.

– No dobla, pokazaes dupe py ludziach – powiedział Krystian do Vincenta, gdy tamtemu udało się zejść ze stołu bez rozwalenia sobie głowy.

– Czyli wygrraem seć do penciu. Jesem badziej ofdaszny od ciebie.

Sandstorm rozejrzał się po sali, zatrzymał spojrzenie na insertującym go obiekcie. Uśmiechnął się sardonicznie. Nachylił się ku Nelsonowi i ściszył głos do szeptu. Hanako też go usłyszała:

– Ja... ja moge kopoć w dupe Kitirjajina!

– Ta, jasne.

– Krystian, na litość boską. – Sahara wstała i chwyciła pijanego porucznika za materiał kombinezonu lotniczego na wysokości piersi. Potrząsnęła nim trochę. – Przestańcie wreszcie się wydurniać. Zobacz, cała restauracja ma z was polewkę.

– Nie moge. On – Krystian skierował palec na Vincenta – zburkał mój horror. Hronor... Honor!

Kiedy Marluk Croft znów próbował posadzić dziewczynę na miejsce, uspokajając ją bełkotliwie, wyrwała mu rękę i zirytowana wróciła do swojego stolika. Po co w ogóle przejmowała się Krystianem? Wystawił ją, kiedy ona tak się

starła, by wypaść jak najlepiej. Nawet odważyła się przeciwzyć scenariusz randki na Thino'pau. Narąbał się – już bez znaczenia, że w ten sposób chciał się znieczulić przed poważną misją – a teraz robił jeszcze z siebie durnia. Był chaosem, kiedy cyborg ostoją porządku i stabilności, pomyślało jej się. Mogła już na początku posłuchać dobrej rady Eremona i dać sobie spokój z Sandstormem, stłamsić swoje uczucia. Tak jak Thino'pai, który radził sobie z tym świetnie.

Postanowiła dokończyć posiłek i nie zerkać ku rebeliantom. Krystian przecież i tak nie zrobi tego, o czym zaczęli konspirować z Vincentem. Chyba.

Nie wytrzymała i popatrzyła w ich stronę. Zakrztusiła się.

– O nie...

Sandstorm właśnie zamierzał to zrobić – chwiejąc się, parodiując skradanie się na palcach, znalazł się kilka metrów od pleców Kiritianina. Pochylony do przodu w krześle Nieśmiertelny wciąż ignorował otaczających go „podludzi”, jakby znajdował się sam w barorestauracji. Jej tumult zagłuszał odgłos kroków rebelianta, ponadto był pewny swojej nietykalności.

Hanako zamarła. Wrzeszcząc: „Kiritianinie, uważaj!” – czego poza nią najwyraźniej nikt nie raczyłby uczynić – straciłaby wiele w oczach rebeliantów. Wywołując imię Sandstorma, uzyskałaby ten sam efekt, bo Nieśmiertelny na pewno zareagowałby na taki okrzyk.

Na domiar złego w wejściu do lokalu pojawiła się dwójka rozmawiających Kiritian.

Dla dziewczyny czas jakby się zatrzymał.

Krystian walnął potężnie z uniesionej nogi w tył zbroi Nieśmiertelnego, posyłając go na ziemię razem z krzesłem. Sam też się wywalił.

Przybyli zwrócili oczy na incydent w chwili, gdy usłyszeli łomot. Jako wyszkoleni achij od razu chwycili za broń i ruszyli z pomocą towarzyszowi.

– O nie... – powtórzyła Hanako.

Złość na porucznika przeszła jej całkowicie. Nie myślała, co robi, zadziałała automatycznie. Jako że siedziała niedaleko kontuaru z kontrolerem kul dymnych, skoczyła ku niemu i uruchomiła program ekstremalny.

Dym natychmiast wystrzelił w wielu źródła, pochłaniając zaskoczonych ludzi. Ignorując napad czkawki, dziewczyna ruszyła niezagrodzoną przeszkodami drogą do miejsca, gdzie widziała Krystiana. Musiała działać błyskawicznie, bo Kiritianie

zapewne nasuną osłony hełmów i będą mogli przebić wizyjnie wygenerowany harmider.

Wśród gęstych kłębow fioletowopurpurowego dymu, krzyków irytacji, pisków i odgłosów szamotaniny chwyciła po omacku jakiegoś mężczyznę, od którego natychmiast cofnęła ręce. Kolejnym okazał się Krystian; znajdował się bliżej, niż zapamiętała. Możliwe, że planował zbiec na czworaka i się przemieścić. W pobliżu padł strzał.

– Gdzie jesteś, rebelianciku? – cedził słowa zaatakowany Kiritianin. – Tak ci przywalę w ten krzywy ryj, że zęby ci wyjdą potylicą. Pokaż się, tchórze!

– Szybko. – Potężnym szarpnięciem Sahara zmusiła rebelianta do przyjęcia pochylonej pozycji, bo o idealnym pionie nie mogło być mowy. – No to mamy przez ciebie przerabane.

Z oczu niemalże pociekły jej łzy bólu, co nie było spowodowane całkowicie nieszkodliwym nawet dla alergików dymem – przygrzmociła krocem o kant stołu. Zacisnęła zęby i ruszyła dalej.

Czując się, jakby prowadziła wielkiego szympansa, na szczęście dającego się ciągnąć potulnie, wykorzystwała swoją znajomość obiektu i dotarła do kontuaru. Truchtała wzdłuż niego, póki nie napotkała wolnej przestrzeni. Przejściem dla personelu dotarła do kuchni, zastając pracowników zaskoczonych na równi jej obecnością, jak i dymem dostającym się na zaplecze przez rozwarte drzwi.

Widzący strach i desperację odmalowane na twarzy Hanako oraz łagodne, wesołkowate otępienie zdobiące oblicze Krystiana, kucharz domyślił się meritum.

– Tędy. – Wskazał im wyjście na kwadrat zaplecza, gdzie odbierano towary.

Hanako, wciąż pilnując Krystiana, który miał duże problemy z utrzymaniem równowagi, dostała się z nim na tyły barorestauracji.

– Do mojego ...śliwca. – Sandstorm zachował na tyle trzeźwy umysł, że domyślił się, w czym uczestniczy. – Tam. – Wskazał przeciwny kierunek niż ten, w którym znajdowało się lądowisko. – Albo tam... – Jego palec powędrował gdzie indziej.

– Chyba oszalałeś. – Ciągle czkająca dziewczyna ciągnęła go teraz wzdłuż ściany hurtowni elementów metalowych. – Kiritianie najpierw zaczną cię tam szukać. Zresztą w takim stanie już widzę, jak będziesz pilotować tego swojego myśliwca.

– Jest autopilot.

- Nie ma. Uciekniemy orbusem. Mam nadzieję, że twoi koledzy wyjdą cało z zadymy. I to dosłownie.

Nie wierzyła, że to może się udać. Kiritianie z pewnością szybko namierzą uciekającego, pijanego rebelianta na trzykilometrowej stacji orbitalnej. W pierwszej kolejności zwrócą uwagę na wszystko, co będzie odlatywać. Hanako rozważała, czy nie ukryć Krystiana na pewien czas w fabryce, ale ryzyko było zbyt wielkie. Gdyby plan się nie powiódł, właścicielowi molochu Nieśmiertelni mogliby zarzucić współudział i nie interesowałoby ich, czy ktoś jest winny, czy nie. Niemniej dziewczyna postanowiła się nie poddawać.

Przemykając przez najślabiej oświetlone zakamarki (na monitoring niestety nic nie mogli poradzić), gdzie sporadycznie kręcili się ludzie, udało im się dotrzeć na stację orbusów. Nie dostrzegłszy Kiritian podążających ich śladem, dziewczyna wepchnęła Krystiana do pierwszego z brzegu latacza, kursującego wprawdzie na Calcaris, ale daleko od Sutafochun. Wzbudzając nieznaczące zainteresowanie kilku osób czekających na odlot, osadziła Sandstorma na szeregowym krześle ustawionym tyłem do okna, jakby na wzór wojskowych transporterów desantowych. Sama ulokowała się obok. Gapie niebawem wrócili do swoich spraw, biorąc Hanako i Krystiana za parę młodzików wracającą z imprezy, choć przedej dziewczynę pilnującą wstawionego chłopaka przed rozwaleniem sobie głowy.

Odetchnęła z ulgą, gdy orbus zaczął powoli startować kilkanaście minut później, które dłużyły jej się niemiłosiernie i upłynęły w nerwach. Ujrzała na stacji idącą trójkę Kiritian. Nie wyglądali, jakby się śpieszyli. Może odpuścili sobie chęć dorwania Krystiana, bo nic nie stało na przeszkodzie, aby powstrzymali loty czy zdobyli od ręki listy pasażerów. Wszystko zależało od tego, jak ważny był kopnięty Kiritianin; oni nigdy nie nosili oznaczeń. Po rebeliantach nie było śladu; obok „Nadniebnej Calcaris” stało trochę gapiów i pojazdów służb. Chociaż Hanako nie darzyła sympatią towarzyszy Sandstorma, życzyła im, aby wyszli z incydentu w barorestauracji bez szwanku, bo chyba też dołączyli do szamotaniny. Dawka dwutlenku węgla z inhalatora szybko zakończyła jej czkawkę, która nie chciała odpuścić przez całą drogę ucieczki. Kiedy poziom adrenaliny nieznacznie opadł, zaczęło bardziej boleć ją miejsce, gdzie uderzyła się o stół; będzie mieć tam pewnie efektowną śliwkę.

Humansferę stacji zostawili za sobą. Przez całą drogę na Calcaris Hanako nie odzywała się do Krystiana, który zresztą zrobił się senny. Nie musiała poprawiać go na siedzisku, bo był przytrzymywany natorśnikiem.

Orbus obleciał kilka miejscowości. Dziewczyna postanowiła wysiąść na kolejnej stacji; ustronne miasteczko Rimibia miało opinię bezpiecznego i spokojnego. Patrząc na drzemiącego Krystiana, sama sobie się dziwiła, że tak się zaangażowała w jego ratunek. Musiała jednak przyznać, że nawet podobała jej się ta niespodziewana przygoda, chociaż ukrywając Thino'paia i tak nie narzekała na brak wrażeń. Z wkurzonymi Kiritianami wolałaby jednak nie mieć więcej do czynienia.

Położone niecałe tysiąc kilometrów na zachód od Sutafochun miasteczko miało mniej niż ono mieszkańców, bo rdzennych dwa tysiące, ale również sporo przybyszów. Rimibia była ośrodkiem turystyczno-uzdrowiskowym ze względu na swój klimat i malowniczy charakter. Tworzyły ją prawie wyłącznie parterowe domy i niskie bloki wykonane z kamakuni, przez co przypominała w połowie staroświecką górską wioskę, gdzie zamiast szczytów było jezioro, i w połowie miejscowość z dziewiętnastowiecznego ziemskiego Dzikiego Zachodu. Przy drogach i licznych zieleńcach wisały na słupach latarnie imitujące gazowe.

Hanako wylądowała z Krystianem akurat po zmroku, gdy słały swój klimatyczny blask. Panujący wokół spokój działał wyciszająco. Dziewczyna poczuła się bardzo odprężona, chciało jej się błogo uśmiechać do mijanych ludzi, nawet latarni, gdy prowadziła Sandstorma w stronę motelu. Zupełnie jakby narkotykowy odlot rebelianta wpłynął także i na nią. Próbowwała z tym walczyć, zachować trzeźwość umysłu, ale nie mogła, jakby coś przejęło nad nią kontrolę.

Pamiętała, że wynajęła wstępnie na dobę pokój na parterze, wprowadziła do niego młodzieńca – ale potem była już tylko wielka czarna, umysłowa dziura.

* * *

Kiedy Hanako otworzyła oczy, ujrzała wypełniające prawie całą ścianę okno z widokiem na opalizujące w słońcu jezioro, gdzie stało przycumowanych bądź pływało sporo rozmaitych łodzi. Leżała w bieliźnie na dużym łóżu, nakryta cienką

kołdrą. W rogu stał sięgający kolan robot czyszczący, na bieżąco usługujący gościom.

Obróciła się z boku na plecy – i skonstatowała, że obok śpi potargany Krystian, z komicznym uśmiechem na twarzy, niby śniący o czymś idiotycznym.

Zerwała się z łóżka, jakby w pościeli dostrzegła wijące się larwy, pociągnęła ze sobą większość kołdry. Krystian miał na sobie koszulę i krótkie spodnie, jego kombinezon leżał rozwalony na podłodze, niby zrzucony pod koniec melanzu.

Obudzony uniósł powiekę. Mruknął, przeciągnął się i poszedł spać dalej, z ramieniem złożonym pod głową.

Hanako stała z rękoma wczepionymi we włosy i z niepokojem próbowała zrozumieć, co się właściwie stało. Miała nadzieję, że nic, skoro oboje tkwili w ubraniach. Bolało ją krocze, ale pamiętała, że uderzyła się o stół. Stroniła od używek, a nie przypominała sobie, by ktoś podał jej coś potajemnie. Eremona i jego posiłek od razu mogła wykluczyć. Może coś, z opóźnionym zapłonem, było rozpylone w gęstym dymie? W końcu używano go, gdy z barorestauracji robiono bawialnię przy rozmaitych imprezach. Uznała to za prawdopodobny scenariusz, co trochę ją uspokoiło.

– Krystian.

Weszła na czworaka na łóżko i zaczęła potrząsać rebeliantem.

– Ićććć – wymruczał, naciągając na siebie kołdrę. – Achhhhh, ale kac gigant.

Sahara głośno wypuściła powietrze. Znalazła w holonocie najbliższą aptekę i zamówiła nanitowe tabletki niwelujące z krwi toksyny w trybie natychmiastowym. Po trzech minutach dron wisiał już z paczką przy oknie.

Hanako klepnęła Krystiana w policzek. Mężczyzna uniósł zaspaną twarz nad posłanie.

– Masz, wypij. – Siedząc na łóżku, podała mu szklankę wody i medykament.

– Co to?

– Trucizna, po której umrzesz szybko w męczarniach.

– Brzmi nieźle. Na zdrowie. – Uniósł żartobliwie toast i popił tabletkę, która od razu rozpuściła się w kontakcie z wodą i śliną. Rój nanitów, zaprogramowanych na neutralizację kilku milionów znanych trucizn, już w przełyku zaczął przenikać przez mięśniówkę.

Po dwóch minutach Sandstorm był trzeźwy i pełen wigoru, jakby miał podjąć honorowo rebelianckiego komandora Lacettiego.

Patrzyli chwilę na siebie. On z niedowierzaniem i przepraszająco, ona z miną, jakby zaraz miała wpaść do pokoju żandarmeria androidów i ich aresztować.

Z ciężaru powiedzenia czegoś sensownego skwitował go tymczasowo dźwięk jego holonotu anonsujący kontakt. Sandstorm zorientował się, że od wczorajszej przygody miał go wyłączzonego.

– No i masz... – Westchnął nerwowo, nim odebrał i uruchomił holograf. – Dzień dobry, panie kapitanie.

– Niedobry. – Będący w swoim gabinecie przełożony rozejrzał się krótko po pomieszczeniu motelowym. Na widok Hanako siedzącej na brzegu łóżka lekko dygnął oficerską czapką. – Moje uszanowanie, śliczna pani. Proszę teraz zatkać uszy. – Wrócił uwagą do Krystiana. Nie silił się nawet na oficjalne, regulaminowe przemówienie. – Poruczniku Sandstorm! Ty imbecylny niedorobiony! Gdzie jesteś, do kurwy nędzy?

– Ja... – Zerknął na Hanako oczyma okrzykanego psa, do tego winowajcy. – Gdzie my w ogóle jesteśmy?

– W Rimibii na Calcaris – odparła.

– W Rimibii na Calcaris, sir – powtórzył.

– Nie jestem głuchy. Ja zaraz pierdolnę... – warknął kapitan, przecierając dłonią twarz. – Widziałeś chociaż wiadomości?

– Nie? – Sandstorm zrobił głupkowatą minę. I tak był już na dnie, więc niżej nie upadnie.

– To daruj sobie i nawet już nie patrz. Misja odwołana. Któryś z waszej Fantastycznej Czwórki wygadał się wczoraj po pijaku w barze i zdradził szczegóły odprawy. Zapewne nie zgadniesz, ale dotarło to do Kiritian, z których jeden siedział ledwo kilka metrów obok. Generał Vandringen osobiście skontaktował się z komandorem Lacettim i go wyśmiał, jak i całą opozycję. Serdecznie zaprosił nas na spotkanie z ich skwadronami.

– A co się stało z chłopakami, sir?

– A jak myślisz, geniuszu? Dostali wpierdol od Kiritian, że ledwo było co zbierać.

– Nie żyją? – zapytał ze strachem Sandstorm.

– Na twoje szczęście nic im nie będzie, trafili do kliniki. Nelson oddał strzał w jednego z Nieśmiertelnych, którzy weszli do lokalu i się zaczęło. Powinieneś dziękować w pokłonach tej oto pani, że z łaski swojej zdecydowała się ci pomóc w ucieczce, inaczej Kiritianie rozerwaliby cię na strzępy. Tym razem już wam nie odpuszczę, Sandstorm, za dużo sprawiacie kłopotów. Zachowujecie się jak banda rozbisurmanionych ośmiolatków. Przez ten wybryk na stacji mogliście wywołać wojnę! Wasza czwórka została tymczasowo zdegradowana, tracicie stopnie oficerskie i tym samym prawo do latania na okrętach. Zostaniecie wysłani na rehabilitację na jakąś zapyziałą planetę, dowództwo zadecyduje dokąd. A pani radzę – holograf zwrócił się grzecznie do Hanako – lepiej dobierać sobie towarzystwo.

– Wrócę zatem na stację któryś z orbusów, sir.

– Chyba cię pogrzało. Masz tam bana, przynajmniej na jakiś czas. Lepiej siedź na dupie, gdzie jesteś. Wyślij adres i ktoś po ciebie przyleci.

Oficer z marsem na czole wyłączył się bez pożegnania.

Przekląwszy, Krystian padł plecami na łóżko, z dłońmi przyciśniętymi do skroni. Zwrócił głowę ku dziewczynie.

– Hanako, ja cię chciałem naprawdę bardzo przeprosić...

– Ciii, momencik. – Chciała sprawdzić ze swojego holonotu lokalne wiadomości, ale najpierw otworzyła nieodebrane połączenia. Kilka było od matki Shuang, o dziwo trzy od Nathana, także jedna od brygadzysty z fabryki. Zaczęła od ostatniej. Przeczuwała, co może w niej znaleźć i się nie pomyliła:

Pani Saharo. Z powodu zaistniałej sytuacji w „Nadniebnej Calcaris” zostanie Pani skierowana na tymczasowy urlop, póki sytuacja w pełni się nie wyjaśni. Obecnie nie wiemy, jakie kroki podejmą Kiritianie, czy nie zostanie pani oskarżona o współudział w skierowanej ku nim rebelianckiej agresji na neutralnym terytorium. Z poważaniem, kierownik działu kontroli produkcji Zahariasz Morasovsky.

Dziewczyna opadła krzyżem na drugą połowę łóżka.

– Witaj w klubie. Właśnie straciłam pracę.

Sandstorm usiadł i pochylił się ku niej, gestykułując. Na jego obliczu widniała szczerza skrucha.

– Wybacz mi. Zachowałem się jak idiota. Nie będę się nawet usprawiedliwiać, że to z powodu prochów...

– Właśnie to zrobiłeś – mruknęła, patrząc w muszlowo-falowe wzory na suficie poprzetykane drobnymi lampami.

– Oddam ci pieniądze za przejazd, lek i motel. Pogadam z twoim szefem, aby cię przywrócił.

– Nie trzeba. Na pieniądze akurat nie mam co narzekać. Chodziłam w sumie do pracy, by robić coś pożytecznego. Sprawiało mi to przyjemność.

– Daj spokój, nawet mój żołąd przy twojej pensji jest jak painit przy złocie.

Hanako uniosła holonot nad siebie i zaczęła czytać wczorajsze informacje z lokalnego portalu:

Dzisiejszego popołudnia doszło do zamieszek w barorestauracji „Nadniebna Calcaris”, mieszczącej się na stacji orbitalnej planety. Starła się grupa rebeliantów, szerzej znana jako Fantastyczna Czwórka, z Kiritianami. Obeszło się bez ofiar, poszkodowanymi okazali się wyłącznie bojownicy opozycji. Sprawca całej batalii zbiegł z miejsca zdarzenia poza stację orbitalną, towarzyszyła mu jedna z pracownic lokalnej fabryki.

Po prostu genialnie...

Czuła się nie lepiej od Krystiana. Nie podano danych osobowych, ale opublikowanych zdjęć z celluli wizyjnych nikt nie raczył ocenzurować, była na nich doskonale widoczna.

Zwróciła się do młodzieńca:

– Fantastyczna Czwórka? Myślałam, że to ironia ze strony twojego kapitana.

Rebeliant przeczesał palcami włosy.

– My, tak jakby... lubimy rozrabiać. Ja, Carlos, Marluk i Vincent. Należymy do tej samej eskadry. Odersi z tej części Uniwersum Wagi nadali nam taki przydomek.

– Nie wspominałeś nigdy, czym w ogóle się zajmujesz. O ile możesz udzielać takich informacji.

Popatrzyli po sobie z uśmiechami, myśląc o tym samym. Jakże absurdalnie to zabrzmiało po tym, że rebelianci pochwalili się w barorestauracji szczegółami swojej misji.

– W porządku. Jakoś zawsze ów temat był nam nie po drodze. Jestem w patrolu – oznajmił mężczyzna. – Mamy monitorować aktywność Kiritian w promieniu dwudziestu lat świetlnych. Przydzielili ten sektor konkretnym rebelianckim eskadrom. To żadna tajemnica, bo nie ma wojny i każdy może nas zobaczyć, zresztą wymieniamy się co jakiś czas. Status zmienia się dynamicznie.

Hanako postanowiła odhaczyć najbardziej dręczącą ją kwestię:

– Pamiętasz może, co się wydarzyło po naszym przyjeździe do motelu?

– Ja to nawet drogi na planetę nie pamiętam, i połowy tego, co odwałam na stacji. – Krystian uśmiechnął się uroczo, aby rozluźnić atmosferę. – Dopiero moment, gdy mnie obudziłaś. A o co konkretnie pytasz? Zrobiłem jeszcze coś głupiego? Jeśli tak, to oddam ci w ramach rekompensaty swój ostatni żołądek – dodał pół żartem, pół poważnie. – I tak powinienem to zrobić za to, co dla mnie uczyniłaś. I jako przeprosiny.

– Nie, nic nie zrobiłaś w motelu. Zresztą nieistotne. – Ucieszyła się, że jego myśli nie podążyły w tym samym kierunku, co jej. A przynajmniej nie wypowiedział ich na głos, bo przez moment patrzył na dziewczynę z krępującym zaciekawieniem. Oboje najwyraźniej woleli, by pewna sprawa pozostała za kurtyną ponurego milczenia. – Czeka mnie teraz coś jeszcze gorszego, niż twoja rozmowa z kapitanem – muszę skontaktować się z matką i ją uspokoić. Na pewno widziała wiadomości. – Hanako westchnęła. – Pewnie wie już całe Sutafochun. Byłbyś łaskaw zostawić mnie samą na pewien czas?

– Oczywiście.

Sandstorm wstał z łóżka i podniósł z podłogi swoje odzienie. Postanowił go nie zakładać, tylko skorzystać z ubrania w sprayu, które każdy gość motelu miał do dyspozycji – choćby na podobne przypadki, gdy klienci z jakiegoś powodu przybywali bez bagażu. Materiał bazowy był podobny jak w drukarce do wytwarzania przedmiotów użytku domowego. Wybierało się z panelu interesujący strój i należało następnie nakierować syfon na nagie ciało albo odziane w bieliznę. Rozmiar był dopasowywany do sylwetki użytkownika.

Mężczyzna ze sprayem w dłoni zniknął w łazience.

Hanako udała się na minitaras łączący się z pomostem wychodzącym na jezioro, którego powierzchnia mimo wczesnej pory była już pokryta dziesiątkami łódek. Zmartwiło ją, że Thino'pai ani razu się z nią nie skontaktował, chociażby aby obwieścić, że pobrał interesujące go informacje z PDA Kiritianina. Chciała się z nim połączyć, ale był niedostępny.

W kwestii rodziny zastanawiała się, co jej powiedzieć. Powinna prawdę – że z porucznikiem Sandstormem wylądowali tysiąc kilometrów od Sutafochun, uciekając przed Kiritianami – ale wówczas Riku urządziłby jej prawdziwe piekło. Nie wiadomo, czy bardziej za akcję na stacji, czy o to, że zadaje się z rebeliantem. Ostatecznie postanowiła skrócić tę wersję, z pominięciem nieobecnego teraz mężczyzny. Jakoby przybyła do Rimibii sama.

Zbyt długo się wahała i stała na tarasie, kontemplując leniwe życie mieszkańców i turystów, bo krótko po tym, gdy nawiązała połączenie ze zmartwioną Shuang, pokazując jej pokój motelowy, w drzwiach zjawił się Krystian. Miał na sobie ubranie okolicznościowe z pianki sprayowej – a w dłoniach okazały bukiet pięknych kwiatów nieistniejącego naturalnie gatunku. Wygląd tych ostatnich ograniczała jedynie ludzka wyobraźnia. Każda kwaciarnia miała własne zestawy albo tworzyła je od podstaw na zamówienie klientów. Rebeliant dzierżył kwiaty przypominające róże i lilie, z których sterczały białe listki-pióropusze; musiał opuścić motel, czego Hanako nie zauważyła.

– A oto porucznik Krystian Sandstorm – przedstawiła załamana Hanako rebelianta zaskoczonej matce, robiąc dobrą minę do złej gry. Jej limit szczęścia uległ wyczerpaniu albo los, czy sam Budda, postanowił ją pokarać za to, że znów próbowała wymigać się od ciężaru rzeczywistości, odwołując się do kłamstwa. – To ten człowiek z wiadomości, któremu pomogłam.

– Dzień dobry, pani Shuang. – Krystian też był zaskoczony, ale perfekcyjnie potrafił udawać pogodę ducha, uśmiechając się przy tym serdecznie. Ubranie i kwiaty dodawały mu uroku, że matka dziewczyny trochę się uspokoiła. – Zapewnię dziś pani córce bezpieczny transport do Sutafochun – wypalił grzecznościowo. Hanako jęknęła w duchu. – Proszę się o nic nie martwić, będzie w dobrych rękach.

– Widzisz, mamó, nic mi nie jest – dodała, odbijając uwagę Shuang. W tle salonu pojawił się głodny nowinek Fuhito. – Naprawdę nic się nie stało, Kiritianie

nas nie ścigają. To kaczka dziennikarska. Sieć neuronowa pismaków standardowo wyolbrzymiła sprawę, by z nudnego wydarzenia zrobić niemalże zarzewie wojny rebeliancko-kiritiańskiej. Doszło tylko do sprzeczki, jakich codziennie jest kilka w „Nadniebnej Calcaris”. W wiadomościach podali bzdury.

Nie pogrążaj się!, trąbiło jej sumienie.

– Dobrze, kochanie. – Shuang na szczęście dała się przekonać, choć prędeż nie chciała zadrećzać zestresowanej córki rozdrabnianiem świeżego tematu. – Ale miej holonot pod ręką. Jakby coś się działo, natychmiast nas poinformuj i babcia po ciebie poleci.

– Pa, mammo. – Hanako jej pomachała.

Wyłączywszy holonot, spojrzała na Krystiana, który klęknął przed nią na kolano.

– To oświadczyni? – zażartowała.

– W przyszłości – kto wie? Na razie jedynie przeprosiny. Za wszystko. Przyjmij chociaż kwiaty.

– No, niech będzie. – Wzięła od niego oburącz wielki bukiet, w który wtuliła nos, by zaciągnąć się łagodną, subtelną wonią. – Choć powinnam cię nimi trzepnąć za to, co powiedziałeś mojej matce.

– Co tym razem nabroilem? – Krystian wstał.

– Z tym „byciem w dobrych rękach” po moich słowach o pomaganiu ci zabrzmiało karykaturalnie. Ponadto mój ojciec nienawidzi rebeliantów, a ty zdeklarowałeś się odwieźć mnie do domu.

– To może czas najwyższy, by zmienił o nas zdanie? – Zaprezentował białe zęby w ciepłym, zawadiackim uśmiechu.



9. Wahirika

Tak naprawdę Krystian pośpieszył się z ofertą, gdyż nie miał pewności czy osoba, która zostanie po niego wysłana, zechce podzucić Hanako do jej miejscowości. Na szczęście nie było z tym problemu, bo taka podróż trwała krótko, więc wydatek energetyczny w przypadku maszyny, która latała w podprzestrzeni na lata świetlne – żaden. Zjawiała się ponadto na lądowisku miejskim gadatliwa, sympatyczna oficer, która zbeształa Krystiana za całokształt, za to wdała się w serdeczną pogawędkę z Hanako.

Lądujący w Sutafochun rebeliancki lekki myśliwiec wzbudził sensację, zwłaszcza ze względu na pasażera. Pilotka została w maszynie, natomiast wykąpany, uczesany Krystian, ubrany już w swój kombinezon, postanowił odprowadzić Hanako. Jego wygląd i sposób bycia wzbudzały sympatię, niekojarzący go z wiadomości mieszkańcy patrzyli więc na niego przychylnie.

Riku wyszedł przed dom naprzeciw przybyłej dwójce, przy nim stał zaciekawiony Fuhito; z sieni zerkał dziadek Tun Tun. Riku zaproponował

rebeliantowi wejście do środka na obiad. Grał gościnnego, ale dziewczyna знаła go nie od dziś, by wiedzieć, że wewnątrz kipi z gniewu niczym Thino'pai przez większość czasu spędzonego w Lesie Kolonistów. Niestosownie byłoby to okazywać przy tylu ludziach z ulicy.

Myśl o cyborgu sprawiła, że przestała skupiać się na rozmowie mężczyzn, zresztą krótkiej.

– Dziękuję za zaproszenie, ale obowiązki czekają. – Krystian lekko machnął ręką. – Mam już ustaloną godzinę transferu.

– Zatem spokojnej podróży, dokądkolwiek się udajesz. – Riku pochylił lekko głowę, nie spuszczać oczu z rebelianta.

– Dziękuję, udanego popołudnia. Do widzenia, Hanako.

Krystian zakończył spotkanie przelotnym uśmiechem, nim się oddalił. Pamiętał, jak i zresztą poznał po mowie ciała Japończyka, że Riku był uprzedzonym człowiekiem ciężkiego kalibru i pocałowanie Hanako w policzek mogłoby się zakończyć awanturą, gdy zamkną się już za nimi drzwi domu. Dziewczyna była mu wdzięczna za oszczędne pożegnanie.

Z sercem pełnym obaw weszła w korytarz sieni. Jasność ustawiona była na tryb wieczorny, z większą domieszką czerwieni. Barwa ta idealnie pasowała do panującej neurotycznej atmosfery. Fuhito wyjątkowo nic nie mówił, za to patrzył na siostrę z trwogą i... podziwem (?), nim pod surowym spojrzeniem ojca przeszedł obok, by iść do swojego pokoju na piętro.

Kiedy Riku obrócił się wolno ku Hanako, ta odnosiła wrażenie, że doświadcza *déjà vu*. Że znów dojdzie do rękoczynu...

Do zmagającego się z wściekłością mężczyzny szybko podeszła Shuang, uściskawszy córkę na powitanie.

– Riku, już o tym długo rozmawialiśmy – szepnęła błagalnie, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Mężczyzna nieznacznie się uspokoił, wykonał głęboki, cichy, ale i świszczący oddech. Przestał już przypominać koguta przed pogonią za lisem, który wtargnął do jego kurnika.

– Zapraszam. – Wskazał ramieniem niski stół narad rodzinnych w salonie, przy którym na poduszkach klęczeli już Tun Tun i Misaki.

Włożywszy kwiaty do wazonu, Hanako wzięła na ręce płaczącą się przy jej stopach fretkę i zajęła miejsce. Nie pierwszy już raz w tym domu czuła się, jakby weszła do prądawnej sali sądowej na wysłuchanie najpierw aktu oskarżenia, a potem wyroku – co niewiele różniło się od rzeczywistości. Wyjaśnienia wydawały się zbędne; patrząc na posępne miny członków rodziny, już wiedziała, że dowiedzieli się o wszystkim z mediów i uwierzyli w tę wersję wydarzeń. I ustalili już wszystko bez jej udziału. Zagranie z przekonaniem Shuang w Rimibii tym razem już nie przejdzie. Jeszcze ten nieszczęsny, odwożący ją prawie pod dom Krystian stał się ciężarkiem dołożonym do pochylni balansującej na krawędzi przepaści – po niekorzystnej stronie.

– Okoliczności twojego spotykania się z Lyrnamem Galapagos jeszcze znajdowały się w granicach mojej tolerancji – zaczął Riku, gdy wszyscy już siedzieli. „Raczej wynikało to z kontroli umysłów zaaranżowanej przez Thina, o czym nie możecie wiedzieć”, pomyślała Hanako. – Jednak fakt, że obok niego masz drugiego chłopaka – słowo zabrzmiało pejoratywnie i nietrudno było zgadnąć, że chodzi o przynależność Krystiana do rebeliantów – to już stanowczo za wiele. Nie wspominając o twoim wybrykach na stacji.

– Chciałam jedynie pomóc Krystianowi...

– Cisza! – Mężczyzna walnął pięścią w blat, aż dziewczyna drgnęła i spuściła wzrok. Przysypiająca w jej ramionach fretka rozbudziła się, po czym dała dyla na korytarz. Hanako mogłaby patrzeć buntowniczo ojcu w oczy, ale to zapewne wydłużyłoby spotkanie i w konsekwencji awanturę. Choć raz postanowiła udawać uległość jak matka, z czym czuła się okropnie. – Niepełnoletnia panna zadająca się ze znacznie starszymi od siebie mężczyznami o niepewnej reputacji, ograniczająca widoczność dla całego personelu i gości „Nadniebnej Calcaris”, biorąca udział w zadymie na stacji z udziałem Kiritian, uciekająca z rebeliantem i jeszcze tracąca do tego pracę. Tak, jako twój rodzic też otrzymałem o tym wiadomość – odpowiedział na jej niezadane pytanie. – Przez ciebie staliśmy się pośmiewiskiem w Sutafochun! Mówi się, że jesteś puszczalska i sprzyjasz rebelii. Zdenerwowani Kiritianie mogliby jednym strzałem krążownika unicestwić całe miasteczko, gdyby uznali, że skrywają się tu osoby zarażające ich interesom. Nie pomyślałaś o tym? – Spojrzenia Riku i stanowcze Misaki skrzyżowały się. Pokręciła głową. Mężczyzna postanowił odpuścić sobie przygotowaną tyradę. – A zresztą... Nie ma co

roztrząsać sprawy. Ostrzegano mnie kiedyś, że dziecko pochodzące z hodowli może sprawiać kłopoty rodzinie, gdyż nie będzie z nią związane emocjonalnie w takim stopniu, jakby to stało się, gdyby dorastało normalnie, w matce.

Hanako zabolęły słowa ojca, choć nie dała poznać tego po sobie. A korciło ją, by cisnąć kąśliwą uwagą, że to kompletnie nie jest wina potomka, ale wyłącznie wychowania ze strony rodziców. Sama mogła sobie z tym poradzić, zgodnie z sugestią Thina przekuć przygnębienie w gniew (przekonała się, że rzeczywiście czasem to pomaga), ale szkoda jej było matki. Shuang wyraźnie posmutniała. Jednocześnie Hanako była na nią zła – że zamiast fuknąć na Riku, wołała zmagać się ze swoim bólem. Jak zwykle. Dziadek Tun Tun z kolei miał w zwyczaju zachowywać się jak pomnik.

– Od dziś masz szlaban na wychodzenie, pomijając drogę w tę i z powrotem do królikarni – oznajmił Riku. – Od teraz pracujesz tam razem z nami.

– Nie, nie chcę tam chodzić! – Dziewczynę tak obruszyła wiadomość, że pękło postanowienie, iż przeczeka to żalosne spotkanie w ciszy i spokoju. Uniosła się i pacnęła otwartymi dłońmi w stół. – Przecież wiesz, że nie mogę...

– Dostyc tych bzdur! Czas stawić czoło lękom przeszłości.

– To samo mogłabym powiedzieć o tobie. Krystiana najchętniej spaliłbyś dziś żywcem wzrokiem tylko dlatego, że jest rebeliantem. Wyżywasz się na mnie, stale mnie deprecjonujesz, sprawiasz przykrość matce, bo nie radzisz sobie z traumą przeszłości. Nie panujesz nad gniewem. – „Thino z pewnością by ci pokazał, jak go wykorzystać najlepiej”, znów pomyślała o cyborgu, nawet w takiej chwili. – Autorytaryzmu to mógłbyś swobodnie uczyć Forkisa, ojczu.

– Wynocha do pokoju! – Riku zamaszystym ruchem ręki wskazał kierunek wyjścia.

Dziewczyna przystopowała. Jakkolwiek dalej potoczyłaby się ta „rozmowa”, i tak zakończyłaby się katastrofą. Podniosła się, lekko skłoniła głowę rodzinie i wyszła spokojnym krokiem. Po pokonaniu schodów minęła milczącego Fuhite, stojącego z fretką na rękach w progu swojego pokoju, i weszła do własnego.

Położyła się plecami na pościeli, włączyła holonot. Bardziej niż kolejna nerwówka z udziałem ojca zmartwiło ją to, że Thino'pai wciąż pozostawał poza zasięgiem. Powinien ją wesprzeć przy użyciu entraserów mających je domowników, by w ramach konfabulacji zaszczepić im pozytywne myślenie

odnośnie do Krystiana, jak to uczynił z Lyrnamem. Jak i ogólnie udobruchać jej rodzinę w sprawie wydarzeń na stacji orbitalnej. Więc albo nie chciał tego robić – albo nie mógł, bo coś się stało w Lesie Kolonistów.

Hanako przeraziła ta myśl, jakby oznajmiono jej, że rano oczekuje ją pluton egzekucyjny.

Aby choć trochę poprawić sobie nastrój chciała pogadać z Lan o głupotach, ale okazało, że również jej koleżanka wolała trwać jako niedostępna. Takie coś nigdy się nie zdarzało. Lan i nieaktywny holonot było takim samym oksymoronem, co prawdopodobny polityk czy relaksujące wakacje z dziećmi. Podświadomie pomyślała, że może to mieć związek z Thino'paiem. Niepotrzebnie mówiła o nim Lan, nawet jeśli zrzucenie ze swoich barków tak ogromnego ciężaru przyniosło Hanako pewną ulgę.

Chyba jej kumpela nie postanowiła z ciekawości na własną rękę szukać go w lesie!? To przecież absurd, pomyślała. Od kiedy Lan stała się młodą kobietą, przestała znosić niewygody dzikiej przyrody i bezludne okolice. No ale czyż nie każdy na jej miejscu byłby gotów złamać swoje upodobania, byle na własne oczy zobaczyć kosmitę?

– No przecież.

Zupełnie zapomniała o wiadomościach od Nathana, które zauważyła w motelu w Rimibii. Coraz bardziej zaczęło jej się to wszystko nie podobać.

Skontaktowała się z analitykiem medycznym.

– Cześć, Nathanie. Możesz rozmawiać?

– Tak. Miałaś ostatnio kontakt z Lan?

– Właśnie nie. Też nie mogę do niej zagadać. Myślałam, że ma coś z holonotem, ale to by do niej nie pasowało. Naprawa go byłoby pierwszą rzeczą, za którą by się zabrała.

– Bo nie pasuje. – Nathan był wyraźnie rozjuszony. – Dzięki, to właśnie chciałem usłyszeć.

– Czekał. Brzmisz, jakbyś wiedział, co się dzieje. Gdzie jest Lan?

– Lepiej się nie interesuj – powiedział ostro, ale natychmiast się zreflektował: – Przepraszam, Hanako. Nie jestem w nastroju do rozmowy... Muszę gdzieś lecieć. To cześć.

Nic z tego nie rozumiała, jednak szacując po sposobie jego mówienia i nerwowym oddechu wynikającym z irytacji, Nathan nie zachowywał się, jakby coś stało się Lan. Brzmiał bardziej, jakby dowiedział się o jej zdradzie albo wkurzyła go czymś innym. Wyobraźnia Hanako poszybowała w dziwnym kierunku, w efekcie czego otrzymała wizerunek Thino'paia i Lan leżących na posłaniu w benglowie. Pamiętając własne przeprawy z cyborgiem, miała wytłumaczenie, dlaczego holonot Chinki jest nieaktywny.

Nie, taki scenariusz był nieprawdopodobny, nawet jeśli logiczny! Jej mózg po prostu połączył błędnie dwie niewiadome, o których intensywnie rozmyślała.

Zorientowała się, że czuje zazdrość o cyborga.

Musiała jak najszybszej dostać się do Thino'paia, by stłamsić ten obłąd w zarodku.

Podeszła do okna – wyjście na taras okazało się zamknięte. Normalnie zrobiono z jej pokoju półwięzienie, bo gdy znalazła się przy drzwiach, te otwierały się zwyczajnie. Poczowała się jak małe dziecko, które należy zabezpieczyć przed zrobieniem sobie krzywdy. Jeszcze tylko brakowało miękkich nakładek na wszystkie kanciastości. Szkoda, że tak jej nie zabezpieczono, kiedy była mała, pomyślała z irytacją. Gdyby nie przyduśli jej ten durny zajęczak, być może pracowałyby w królikarni zamiast na stacji orbitalnej, nie słuchała tamtejszych opowieści podróżnych, które rozbudzały pragnienie przygód, skutkiem czego nie robiłaby samotnych wypadów w teren i nie wzbudziła w sobie natury buntowniczk.

Ale wówczas nie poznałaby Gregory'ego, Krystiana, a tym bardziej Thino'paia.

Rozmyślała o Lan i avorze, z którymi wciąż bezskutecznie próbowała się połączyć, jak i wydarzeniach z ostatnich miesięcy. Dzięki temu czas szybko jej płynął.

Nie poszła na kolację. Babcia przyniosła jej tacę do pokoju i z uśmiechem powiedziała parę motywujących zdań.

– Wkrótce będziesz mieć osiemnaste urodziny i wybierzesz sobie życie wedle potrzeb – oznajmiła pogodnie, wychodząc.

Rzeczywiście, Hanako zupełnie nie pomyślała o zbliżających się urodzinach. To odpowiedni moment na zrobienie czegoś dla swojego komfortu psychicznego – na pewno zdecyduje się wyprowadzić. Gdy osiągnie pełnoletność, nikt nie będzie

miał prawa jej zatrzymać, nawet jeśli postanowi wybyć z wielopokoleniowego domu. Po tym, co Thino uczynił z jej kontem, czekały ją praktycznie nieograniczone możliwości! Przypadkowo wygrała życie. Mogła nawet zamieszkać na innej planecie: dzikiej, mistycznej, ale pięknej Chulimal, suchej Nefrydzie z pięciomilionową populacją, tajemniczej Mezzo, gdzie większość globu pokrywał ocean, odległej, najsilniej zurbanizowanej Proximie Centauri e, a nawet na bajkowej Atli, ziemi nuworyszy. Jakoś dotąd nie myślała o swoim bogactwie, ale gdy teraz przypominała sobie o zawartości konta, ogarniał ją dreszczyk niepokoju. Że prawowici władcy tych uinali przylecą tu i osobiście zażądają zwrotu swojej własności, a że byli bogaci, nie mogli jednocześnie być niegroźni.

Rozmyślała o możliwym scenariuszu na przyszłość: związaniu się z Krystianem i wiedzeniu życia żony rebelianta (niezbyt bezpiecznego, ale na pewno ekscytującego)... albo przebywaniu zawsze w ukryciu z Thino'pajem. Ten pomysł jakoś sam wskoczył jej do głowy. Nie chciała, aby odlatywał. Przyzwyczała się do tego osobliwego cyborga. Żaden człowiek poza nią nie miałby takiego przyjaciela.

A jeśli kontakt się urwał, bo znalazł sposób na opuszczenie Calcaris i nawet nie raczył się z nią pożegnać?

Odrzuciła tę myśl. Nie powinna sobie mnożyć zmartwień.

Nie dowie się prawdy, póki nie polecą do avora. A miała już plan. Najprostszy z możliwych.

Cierpliwie czekała, aż dom się wyciszy i wszyscy udadzą się na spoczynek. Udawała, że śpi, gdy Shuang przyszła do niej zajrzeć po północy. Od momentu, gdy jako ostatni poszedł spać podśpiewujący sobie cicho dziadek, Hanako odczekała dla pewności jeszcze półtorej godziny, póki nie zapadła głęboka noc.

Wyjrzała przez uchylone drzwi na skąpany częściowo w świetle czerwonego księżycy korytarz oraz schody. Drewnopodobny kamakuni podłogi, choć miał zwodniczy wygląd, nie skrzypiał, gdy przemieszczała się boso na palcach. Myślała już, że jej się uda, ale byłoby to zbyt łatwe – drzwi wejściowe zastała zamknięte. Działały one na zasadzie uwierzytelniania profilu genetycznego, co w praktyce oznaczało, że o każdej porze doby wprowadzeni do systemu domownicy mogą swobodnie wchodzić i wychodzić. Riku musiał więc zablokować jej profil, a żeby dokonać zmian, należało zejść do kontrolera w piwnicy. Tam też drzwi były zamknięte.

Przeklinając ojca w myślach i niemalże nadeptując na fretkę, Hanako sprawdziła po cichu taras salonu. To samo. Za to, po zgarnięciu po drodze butów sprzed wyjścia, udało jej się dostać przełazem do garażu. Jednak niewiele to dało, bo jej skulaka przypięto do potężnej ramy zabezpieczeniem tak grubym, że nie rozerwałby go szalejący słoń. Wrota garażu oczywiście się nie otwierały, gdy dziewczyna do nich podeszła.

Włożywszy buty, zaczęła się głowić, jakby tu zejść do piwnicy, by zneutralizować te zabezpieczenia (rozważała nawet kontakt z Hiroshim), gdy zapaliło się za nią światło.

W wejściu do garażu stała babcia w kwiecistym kimono do spania.

– To było do przewidzenia, że będziesz chciała się wymknąć – rzekła pogodnie.

Ku zdziwieniu Hanako Misaki uchyliła bezgłośnie przy pomocy swojego holonotu wrota garażu, odbezpieczyła też skulaka. Dziewczyna popatrzyła na nią ze zdziwieniem, wietrząc podstęp.

– Ja też miałam kiedyś twoje lata – powiedziała z uśmiechem. – A Riku przesadził. Mam o tobie zupełnie inne zdanie, niż on. Jesteś odpowiedzialna i odważna, co udowodniłaś, ratując tego rebelianta, nie zważając na to, że możesz mieć do czynienia z najniebezpieczniejszymi istniejącymi ludźmi.

– Ojciec się wścieknie.

– Tak? I co mi zrobi? Leć, gdzie musisz, rozsądna dziewczyno. Na pewno masz swoje powody. Ale proszę cię, uważaj na siebie.

Hanako podeszła do babci i ją uścisnęła. Misaki poklepała ją po plecach.

– Będę – zapewniła.

Kiedy już wyleciała poza ogród i osiadła na birkłonowej ścieżce, sprawdziła, czy w zamkniętym schowku znajduje się strzelba. Na szczęście leżała tak, jak ją zostawiła. Zresztą gdyby było inaczej, Riku zacząłby wczorajszą awanturę od tego, skąd zdobyła niebezpieczną broń i do czego jest jej potrzebna.

Opuściła teren Sutafochun, przecięła aluzyjnie oświetlony nocą ogród Myanmar i ruszyła w kierunku lasu.

– I jak sprawuje się nadajnik? – zapytał Midnight. Znajdował się przed kapripodem w abysanktum. Towarzyszył mu Kion, który przysiadł na brzegu stołu i wpatrywał się w projekcję.

– Bezbłędnie – odpowiedział ospale Hiroshi, siedząc po turecku na łóżku w mieszkaniu w Sutafochun. Znów został wciągnięty, w środku nocy, we współpracę z likanami, której z obawy o bezpieczeństwo swoje czy rodziny nie potrafił odmówić. – Jednak nie sądzę, by coś miało się zmienić.

– Nie marudź, tylko sonduj – wtrącił guru.

Sakai więc sprawdzał trasę Hanako lecącej skulakiem w głąb puszczy. Tak jak się spodziewał, stracił ją z widoku na mapie w konkretnej strefie.

– Już jej nie ma – oznajmił likanom. – Sądzę, że ukryty obszar, którego nie da się przebić w żaden sposób, może mieć średnicę czterdziestu kilometrów. W domyśle pośrodku znajduje się nieokreślony inhibitor, rozciągający płaszcz niczym parasol. W to miejsce Hanako udaje się za każdym razem.

– Dzięki, Hiro. Tyle mi wystarczy. – Midnight wstał ze stanowiska. – Niezawodny jak zawsze. – Uśmiechnął się jadowniczo do chłopaka, na którego twarzy malowała się jedynie rezygnacja. Bawiła ona alfę za każdym razem. – Mimo wszystko życzę ci dobrej nocy.

Likanin zerwał połączenie. Popatrzył na Kiona bawiącego się kawałkiem skały.

– Przynajmniej ustaliliśmy wreszcie, który obszar trzeba będzie przeczesać. Mamy więc jakiś przyczynek. – Midnight zbliżył się do otworu okiennego i rzucił okiem na miejsce postojowe. Jack wciąż konserwował skulaki, także ich mniejsze, jednoosobowe wersje zwane boltami.

Kilka chwil później, jakby uwaga alfy celowo została ściągnięta w tamtą stronę, z lasu wyłonił się Nathan na skulaku. Wylądował w pośpiechu. Jack spojrzał w jego kierunku, rzekł słowo powitania, jednak analityk medyczny zignorował go i niczym zdalnie sterowany ruszył zamaszystym krokiem ku abysanktum. Odprowadzały go przelotne spojrzenia znajdujących się w pobliżu likanów. Przy wejściu do budynku doszło do krótkiej szarpaniny, w końcu Nathan odepchnął zagradzającego mu drogę strażnika i wszedł do środka.

– Gdzie ona jest? – zapytał ostro Kiona i Midnighta, gdy minął już próg salki, w której przebywali.

– Nathanie, bez zaproszenia nie wolno tu wchodzić nikomu, kto nie należy do elity – rzekł spokojnie guru.

– Ale o kim ty mówisz? – Pytanie ziewającego Midnighta, który się przemieścił, zabrzmiało podejrzenie niewinnie, co jeszcze bardziej zdenerwowało analityka.

Nathan zajął jego wcześniejsze miejsce przy otworze okiennym.

– Nigdzie nie mogę znaleźć Lan. Nikt nic nie wie na jej temat. A nie mówiła, że planuje opuścić Sutafochun. Wiem, że to wasza sprawka, wspominaliście o jej przesłuchaniu. – Oskarżycielsko wskazał palcem Midnighta.

– Nie ma jej w Nakhabandze. Tak że nic o tym nie wiemy – odparł alfa, zerkając na Kiona. – Kapłani Shanti i Ligrid również. Remulusa nic nie wspominała o dziewczynie, przynajmniej nie przy nas. Może zleciła któremuś z likanów jej przesłuchanie – dodał lekceważąco, znów ziewając.

– To chyba jakiś żart! Lan nie ma z sektą nic wspólnego, poza tym obiecaliście, że nigdy się to nie zmieni!

Uwagę Nathana przykuł ruch na zewnątrz. Jack zmierzał w stronę rupieciarni, zarazem zbrojowni i magazynu, stojącej nieopodal abysanktum. Trzymano tam części do pojazdów, same stare czy zniszczone pojazdy, jak i wszelki sprzęt metalowy, w tym broń.

– Spokojnie – odezwał się guru. – Na pewno nic jej nie będzie.

– Sądzę, że coś wiecie, ale nie chcecie powiedzieć, żebym się bardziej nie wkurwił.

– Lepiej przyhamuj trochę swój język – powiedział agresywniej Midnight, gwałtownie się poruszywszy, przez co przypominał wilka, którego terytorium naruszono. – Pamiętaj, gdzie jest twoje miejsce.

Przybyły postanowił nie stopować.

– Ciekawe, jak ty byś się poczuł, gdyby chodziło o Vanadę.

Nathan zauważył, że technik mechanik przystanął przy budynku abysanktum, dokładnie pod otworem okiennym, zapewne zaciekawiony meritum awantury.

– Lan nie może spaść włos z głowy – ostrzegł.

– Ojej, bo co niby nam zrobisz? – zapytał z rozbawieniem alfa.

– Więc jednak coś wiecie. – Nathan również uśmiechnął się nieprzyjemnie i prowokująco. – A co zrobię? No nie wiem. Na przykład mógłbym wyjawic większemu gronu zainteresowanych, że w Lesie Kolonistów przebywa niezwykle

niebezpieczny kosmita nieznanego nauce gatunku, którego krew trzymam w schowku w swoim gabinecie. Jeśli ludzie zaczną go szukać i przeczesywać las, znajdą tętniącą życiem Nakhabangę, a nie zarośniętą i wymarłą dawno temu.

Nie zdradził w żaden sposób dwojce rozmówców, że udało mu się dostrzec, jak podsłuchujący ich Jack zeszywniał. Akurat znajdował się w zasięgu blasku pochodni, które obok kagańców i koszy z żarem były porozstawiane po okolicy.

– Śmiesz nas szantażować, szeregowy likaninie?!

Midnight rzucił się naprzód, jednak Kion, który odłożył swoją zabawkę, błyskawicznie znalazł się przy nim i skutecznie powstrzymał go ramieniem, mimo swej sylwetki astenika.

– Radzę, drodzy panowie, abyśmy się uspokoili. – Wszedł między nich, wolno unosząc dłonie. – Jeżeli już chcecie ze sobą walczyć, to tylko rozrywkowo na naszym małym placu, w kontrolowanych warunkach. Wroga mamy na razie tylko jednego, wspomniałeś o nim, Nathanie. I skupmy się na jego znalezieniu.

– Chcę ujrzeć Lan całą i zdrową – oznajmił analityk już normalnym tonem. – Oczywiście, że nie zależy mi na sranu do własnego gniazda, ale to ktoś stąd zaczął pierwszy. Zostały złamane warunki, które ze mną ustalono. – Znał reguły. Wiedział, że zdarzały się przypadki, gdy ktoś poświęcał kogoś z rodziny czy przyjaciół na rzecz sekty, ale on twardo wynegocjował w chwili przystępowania do likanów, że od jego bliskich mają się odczepić.

Widząc, że kryzys został zażegnany, Kion wycofał się z opuszczonymi rękoma.

– Nie martw się, dziewczyna na pewno wróci do Sutafochun. Gwarantuję ci to. Idź teraz do domu, Nathanie, i się wyśpij.

– O ile w ogóle zasnę – odparł, kierując się ku wyjściu, wiedział, że nic więcej tu nie osiągnie.

Uświadomił sobie, zmierzając na małe lądowisko, że Kion nie potwierdził, czy Lan wróci do niego w stanie nienaruszonym.

Jack także śpiesznie ruszył ku rupieciarni po śmigło silnika antygravitacyjnego na wymianę, jak zamierzał od początku.

– Wiesz coś o tej całej Lan? – zapytał Kion Midnighta, obserwując przez otwór okienny, jak Nathan uruchamia swojego skulaka.

– Tylko tyle, że Vanada miała nieoficjalnie się tym zająć. A teraz nie ma ani jednej, ani drugiej. – Alfa zaczął bawić się minerałem, podrzucając go ręką. – Ale

Vanada już tak ma, że znika na całe dni, wyłącza też czasem holonot. Pewnie trzyma Lan w którejś ze swoich kryjówek, nawet mi niektórych nie pokazuje. – Zaśmiał się.

Patrząc, jak Nathan znika pomiędzy drzewami Kion przeczuwał, że w tej sytuacji sprawa Lan może nie skończyć się pomyślnie. Chciał wierzyć, że Nathan jedynie w nerwach oznajmił im, że ujawnieni istnienie obcego. Gdyby nie był jedynym medykiem pracującym dla sekty, dla pewności kazałby pozbyć się go likanom od razu.

* * *

Hanako przybyła skulakiem do swego azylu, zastając wszystkie pogaszone światła. Nie zmartwiło jej to szczególnie, już widywała enklawę w takim stanie, podczas gdy w zasłoniętym storami benglowie panowała intensywna jasność.

Tym razem domek okazał się jednak pogrążony w ciemności, co odkryła, uchylając drzwi. Zmartwiona, zaniepokojona cofnęła się do pojazdu po strzelbę.

– Thino?

Jęknęła, gdy przed włączeniem świateł spojrzały na nią z nicości czerwone paciorki. Szkolenie najwyraźniej nie poszło na marne, bo nie wystrzeżiła w panice.

– Zo'yo. – Odetchnęła z ulgą. Nie usłyszała, jak podlatywał, chyba że wisiał tak w powietrzu cały czas.

Rozejrzała się po jasnym już pomieszczeniu.

– A gdzie Thino? – zapytała leberiksa.

Poszła za nim, gdy wyleciał na zewnątrz. Skierował swe największe oko ku szczytowi skały, dobrze widocznej, bo tej nocy w pełni wciąż znajdowały się trzy księżyce, co ostatnio: pasiasty niebiesko-szary Cal-3, czerwony Cal-2 oraz najjaśniejszy biały Cal-5.

Trzymając broń w prawej dłoni, dosiadła skulaka. Dostała się na wzniesienie, podlatując pod ostrym kątem.

Wyskoczyła z siedzenia, nim wyłączony pojazd opadł na grunt, w pośpiechu odłożyła na nim strzelbę.

– Wielki Buddo.

Thino'pai leżał na boku blisko krawędzi przepaści, jakby stracił całe zasilanie... albo był martwy. Panele ze schowka grzbietowego miał wysunięte.

Dziewczyna przyklękła przy nim w pośpiechu i uniosła jego głowę. Odetchnęła z ulgą. Żył. Nie był też ranny, ale znajdował się w niezrozumiałym dla niej odrętwieniu, jakby wyczerpany z sił, choć zapewniał niedawno, że jest w pełni naładowany. Hanako wzięła porządną dawkę dwutlenku węgla ze swojego inhalatora, bo już czuła nieprzyjemny skurcz przepony.

– Thino, co się stało?

Wysunął się z jej objęć i ociężale uklęknął przed nią zgarbiony, z opuszczoną głową.

– Zostanę tu na zawsze, to się stało – wysapał.

– Twój leberiks...

– Kazałem mu iść precz.

Nie chciała zamęczać go dalszymi pytaniami, bo na wyjaśnienia przyjdzie pora, tylko spontanicznie, przyjacielsko się do niego przytuliła. Ucieszyło ją, że prawie po połowie minuty odwzajemnił uścisk. W pewnym sensie było to podbudowujące, że avor nie zamierzał do siebie dopuścić Zo'yo w swoim stanie, a ją tak.

Siedzieli tak niemo prawie kwadrans, oświetleni blaskiem księżyców. Chociaż Hanako zbliżyła się do Thino'paia wyłącznie, by go pocieszyć, sama też poczuła się o wiele lepiej, wyczuwając gorąco jego ciała i diardukowego pancerza. Nie zdawała sobie z tego sprawy, że ostatnie wydarzenia tak bardzo wyczerpały ją psychicznie, a przez ten czas prawie wcale nie doświadczyła czułości. Nie, w ogóle jej nie doświadczała. Od dawna. Afekt w stosunku do Krystiana też praktycznie się ulotnił; Sahara bardziej czuła się jak głos jego rozsądku czy matka, a nie... Kim właściwie była dla niego? Dotąd ich spotkania przybierały luźne formy, nie padły żadne ustalenia, nie wyznaczyli sobie granic. Wychodziło na to, że Krystian po prostu uwielbiał się bawić, traktował ich spotkania jako rozrywkę, kolejną do zaliczenia, kiedy Hanako podchodziła do ich relacji z nieśmiałością, ale poważnie. Paradoksalnie największego pocieszenia doświadczała w obecności cyborga, istoty całkowicie jej obcej, wydrenowanej z najwartościowszych uczuć. Epizod z całowaniem wołała na razie zakopać gdzieś głęboko w odmętach umysłu. Był on czymś, czego nie potrafiła sklasyfikować.

Panele Thino'paia nieznacznie się uniosły, nie przypominając już mokrych, połamanych skrzydeł.

– Czyli rozumiem, że udało ci się dostać do PDA tego Kiritianina na stacji, siedzącego niedaleko mnie? – Hanako spróbowała delikatnie zagaić rozmowę.

Cyborg cofnął ręce.

– Tak, i potwierdziły się moje wcześniejsze ustalenia. To nie jest mój wszechświat. A Kiritianie, najbardziej zaawansowany technologicznie naród ludzki, nie dysponują sprzętem, którym mógłbym się dostać na Asephor' Cerotis, moją rodzimą planetę. Czy gdziekolwiek do wszechświata, w którym ona krąży.

– Bardzo mi przykro. – Wcześniej Hanako życzyła sobie, aby Thino został z nią na zawsze. Teraz zupełnie nie cieszyła jej taka perspektywa. Udzielał się jej jego smutek. – Czy naprawdę nic się nie da zrobić? Przecież jakoś się tu dostałeś.

– To było wydarzenie losowe, podróż tylko w jedną stronę. Musiałbym zebrać przynajmniej kompanię Kiritian, mieć ich pod swoją ścisłą kontrolą i instruować, by od zera zbudowali mi okręt z nieznanymi im stopów i części. Z technologią, którą wynajdziecie może za dwadzieścia tysięcy lat, szacując po akceleracji waszego rozwoju. Dla mnie samego okręt mógłby być bardzo mały. To jedyne rozwiązanie.

– Potrafiłbyś taki wybudować? – zapytała zdumiona.

– Mam przynajmniej to szczęście, że nie jestem varoth niskiego stopnia, ale posiadam znaczną wiedzę.

– Zatem jest nadzieja. – Hanako się uśmiechnęła.

– W teorii wszystko brzmi pięknie i romantycznie, ale to praktycznie awykonalne. – Avor uniósł rękę, przesunął nią po swych przylizanych włosach i opuścił. – Bardzo niebezpieczne już na poziomie dobierania sobie odpowiednich, zaczipowanych Nieśmiertelnych. A jeszcze trzeba się do nich dostać, niewykrytym zrobić z nich nieświadome niczego marionetki, odizolować się gdzieś z tą grupą, jednocześnie tak, by mieć dostęp do surowców i fabryk – ogólnie wszystko tak rozegrać, by nikt nic nie zauważył. Na poziomie ośmiomilionowego narodu, mającego doskonały, błyskawiczny przepływ informacji! Zboczenie z kursu byle uprowadzonej fusty szybko zostanie zarejestrowane.

– Rzeczywiście nie brzmi to ciekawie, zwłaszcza gdy nie jest się człowiekiem. Tylko mogę się domyślać, co teraz czujesz.

– Nic nie czuję w kwestii problemów logistycznych, Hanako. To tylko uproszczona analiza.

– Zatem co doprowadziło cię do takiego stanu? – zapytała ostrożnie, pamiętając, jak Thino'pai gardzi słabością, zwłaszcza w odniesieniu do siebie.

Musiał znajdować się naprawdę w złej kondycji psychicznej, skoro nie zareagował frustracją. Mało w nim było teraz znanego jej Thino'paia.

– Okazało się, że nie jestem tak odporny na odcięcie od nadkolektywu, jak przypuszczałem. A świadomość, że zostanę może już na zawsze sam, także zrobiła swoje.

– Nie będziesz sam, ja cię nie zostawię. – Dziewczyna musnęła palcami jego dłoń. – I dasz radę wybudować swój okręt. Pomogę ci na tyle, na ile będę w stanie, choćbym miała tylko trzymać śrubokręt – zakończyła żartem.

Ponownie do niego przyłgnęła. Zorientowała się, że przy Thino'paiu czuje się o wiele lepiej niż w obecności Krystiana. I to jeszcze z czasów sprzed feralnego wydarzenia na stacji, gdy widziała w rebeliancie zbiorowisko doskonałości. Przy nikim jeszcze nie czuła się tak dobrze.

Odsunęła się na długość łokcia, tak że spoglądali sobie w oczy.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić w tej chwili, żebyś wyszedł chociaż z depresji?

Położył dłonie na jej ramionach.

– Istnieje pewien sposób, ale oznacza on, że będziesz musiała oddać mi część siebie. To cię osłabi. Stan jest jednak odwracalny, odzyskasz siły z powrotem. Działa to przyjemniej za każdym razem w przypadku innych podrzędnych nam gatunków, bo na ludziach nie przeprowadzaliśmy testów z wiadomego powodu. Jednak biorąc pod uwagę fakt, że w całym kosmosie inteligencja posiada te same cechy wspólne, z tobą również mogłoby się udać.

– Brzmi to tak, jakbyś co najmniej chciał wyssać mi krew.

Thino'pai uniósł rękę, zaczął przesuwać delikatnie kciukiem po lewej połowie jej twarzy.

– Krew nie, ale twoje siły życiowe.

– Na czym to polega?

Opuścił dłoń, bystro patrzył na Hanako.

– Na stworzeniu ofiary zasilającej, tak w sporym przybliżeniu ze względu na nieistnienie odpowiednika w ludzkiej mowie. W naszej zwie się ona wahiriką.

Dotyczy wyłącznie organicznych avorów, a ja wciąż się do takowych zaliczam. – Dotknął się w pierś. – Zhańbiony varoth, aby odzyskać szacunek w nadkolektywie, może znaleźć istotę, która dobrowolnie zechce stać się jego ofiarą. Dalsza część wyda ci się zapewne niezrozumiała ze względu na ubogość twoich słów, dlatego nie wytłumaczę ci tego z wiernym odzwierciedleniem. Ta dobrowolność jest kluczowa, bo u nieprzerażonej, chętnej ofiary wytwarza się... u nas zwie się to kurha. Coś jakby rodzaj biopola akceptowanego przez avora, w którego w mózgu zachodzą konkretne reakcje chemiczne. To tak, jakby maszyna mogła pobierać energię czy roślina światło, aby zaszły te mechanizmy. Muszą istnieć odpowiednie aparaty, przekaźniki, odbiorniki. Mam nadzieję, że udało mi się trafić z ostatnim przykładem. – Thino'pai lekko się uśmiechnął. – Działa to też jednak w sytuacji, gdy nie doszło do hańby, a avor znajduje się w kiepskim stanie. Wahirika stanie się dla varoth dobraną pod niego baterią indywidualną, z której będzie mógł korzystać, póki jej nie zabije. Wahirika w społeczeństwie Kandrok jest nietykalna, ale lepiej, by trzymała się blisko swojego varoth.

– Brzmi elegancko – zironizowała dziewczyna. – Czyli innymi słowy: wysiesz mi siły życiowe, wydrenujesz do cna, przez co zginę.

– Dzięki konkretnej już więzi będę mógł czerpać z ciebie energię jak ze słońca czy kunhikaru. Znam się jednak na rzeczy i w żaden sposób ci nie zaszkodzę. To tak, jakbym wypił mały łyk z kubka, a nie naraz całą wodę, potem napełnił ten kubek po brzegi, co jest analogią do twojej regeneracji. W skrajnych przypadkach będziesz się czuć, jakbyś w ciągu dnia długo pracowała fizycznie. A zabicie nie musi następować w konkretnym czasie, może dojść do niego minutę przed naturalną śmiercią wahiriki.

Wpatrywał się w Hanako, wyczekując jej odpowiedzi.

– Brzmi niepokojąco, gdy się nie wie, o co w tym chodzi. Nie jestem avorem, potrzebuję przemyśleć sprawę, więc w sekundę ci nie odpowiem. Czujesz się już lepiej? Możesz zejść czy zlecieć na dół?

– Tak. – Cyborg wstał, pomógł też podnieść się Hanako. Skupił uwagę na jej pojeździe. – Bardzo wiele dała mi twoja obecność. Ale to ułamek z tego, co bym otrzymał, gdybyś była moją wahiriką. Musimy być sparowani, jak ja i Zo'yo.

– Chodźmy.

– Zaczekaj moment. – Przykucnął obok skulaka, pomacał ręką od spodu, przy obudowie silnika, po czym pokazał Hanako palec, na którym widniała mała, okrągła elektroniczna nalepka. – Nadajnik.

Dziewczyna przytknęła dłoń do ust.

– Skąd wiedziałeś? – zapytała poruszona. Wymowna mina avora zdawała się mówić, że powinna już znać jego możliwości. – Nieważne. W życiu bym tego nie zauważyła! Tylko kto mógł ją...

– Shuang Sahara – oznajmił.

– A to skąd wiesz?!

– Wykorzystałem holonot i wyszukałem przed chwilą w bazie danych tauricji odciski palców wszystkich z Sutafochun, nakładając je po kolei na te zeskanowane z urzędnika. – Zniszczył nadajnik, rozgniatając go palcami.

Hanako pomyślała, że rzeczywiście przy upowszechnionej dermatoglifycji w wielu urządzeniach, przykładowo bramach wejściowych, służby miały w bazie danych odciski palców obywateli. Thino'pai chyba nigdy nie przestanie jej zadziwiać. Westchnęła zawiedziona.

– Świetnie... Pewnie to pomysł Riku. Czyli dlatego mnie tak łatwo puścili. Wiedzieli, że się wymknę. Dali mi nadajnik, bo chcieli sprawdzić, gdzie znajduje się mój benglow w lesie. Myślałam, że po twojej ingerencji będzie ta sprawa już permanentnie załatwiona.

– Jeśli tego nie zauważyłaś, w ostatnim czasie tak jakby trochę osłabłem – oznajmił avor bez wyrzutu, nawet z rezygnacją.

– Wybacz. Dzięki, że mimo swojego stanu zachowałeś czujność. Chodźmy już stąd. Powinieneś odpocząć.

Zlecieli skulakiem ze skały. Thino'pai udał się do kybro. Nie korzystał z niego od momentu włamania się do PDA Kiritianina, cały ten czas spędził na szczycie skały.

Hanako próbowała dospać resztę nocy na swoim posłaniu. Rzeczywiście niewiele z tego rozumiała. Najpierw widziała w pełni naładowanego Thino'paia dzięki zasobom, które potrafił wykorzystywać i miał ich pod dostatkiem, a potem leżącego na ziemi jak bez życia. Ale czy tak samo nie zachowuje się człowiek pogrążony w depresji, który ma przecież siły fizyczne, dostęp do dobrego jedzenia i leków, a mimo to wstanie z łóżka może stanowić dla niego nie lada wyczyn? Pod

pewnymi względami avorowie wcale nie wydawali się od ludzi tacy różni, jak lubił to podkreślać Thino'pai.

* * *

Saharze udało się przespać niecałe dwie godziny. Ziewająca, osłabiona i z bólem głowy poszła się przemyć i ubrać.

Gdy wyszła zaspana przed benglow, kybro wciąż było zatrzaśnięte. Zo'yo krążył wolno na wysokości koron drzew, nie wylatując poza obszar enklawy. Dzień zapowiadał się słonecznie, na nabierającym błękitu niebie pływało parę postrzępionych chmur.

Hanako zatrzymała spojrzenie na modyfikancie jadalnego kasztanowca rosnącego nieopodal leśnych drzew. Gdy tam podeszła, ujrzała kilka brązowych owoców wystających z leżących na ziemi łupin. Wróciła do benglowa po koszyk. Drzewo było młode, ale miało już na tyle duży w obwodzie pień, że strącanie kopniakami owoców stało się problematyczne. Nie wspominając o potrząsaniu kasztanowca rękoma. Spróbowała obu metod, rzucała też kijami w koronę, ale udało jej się zdobyć tylko pięć przepysznych nagród.

Nie usłyszała podchodzącego Thino'paia, który wyrósł z nienacka za jej plecami, ociekając śluzem i mazią z kybro. Na czas spoczynku zdejmował pancerz, nie miał go też teraz, przez co stuprocentowo wyglądał jak cyborg, wydawał się także mniej masywny. Ale siły mu nie brakowało, co właśnie zaprezentował, waląc pięścią w drzewo i tworząc w pniu wgniecenie.

Przysłaniająca ramionami głowę Hanako odbiegła z rozbawieniem, gdy zaczęła się na nich sypać chyba trzecia część owoców z korony.

– Przemyślałaś kwestię wahiriki? – zapytał Thino'pai, gdy przykucnęła, by zabrać się za zbiory.

– Zastanawia mnie jedna sprawa. Gdyby nie było to dobrowolne, a wręcz należało przerazić taką ofiarę na śmierć czy ją sterroryzować, by osiągnąć to samo, zrobiłbyś mi to wtedy? – Popatrzyła na niego.

Thino'pai z kolei zerknął na Zo'yo. Wzruszył ramionami.

– Gdyby działało się to krótko po tym, gdy mnie znalazłaś, z pewnością tak.

– Nadal mnie nienawidzisz, jak wtedy? – Nie mogła zadać tego pytania poważnie.

– Tak, za to, że jesteś człowiekiem. Pamiętaj, że nie mam w pełni wolnej woli jak ty. Nie zmusisz tego kasztanowca – machnął ręką ku drzewu – aby wytworzył gruszki. No chyba że po grzebaniu w jego materiale genetycznym. To samo jest ze mną. Gerha musiałby mnie przeprogramować. Jednak za to, co dla mnie zrobiłaś, moja niechęć w stosunku do ciebie znacznie zmalała. Zadziałała tu ta część mnie, nad którą posiadam kontrolę.

Jednak niezbyt miała ochotę brnąć w temat uczuć. Obawiała się usłyszeć z ust cyborga, który w końcu był półmaszyną, nie do końca to, czego by oczekiwała. Jako podatnemu na emocje człowiekowi, przywiązanemu już do Thino'paia, zrobiliby się jej zapewne przykro.

– Jest coś, co powinnam wiedzieć jeszcze o tej wahirice? Trochę boję się spytać, jak można się nią stać.

– Po pierwsze, między wahiriką i avorem musi być zadzierzgnięta więź, która rozwijała się wraz z upływem czasu. W naszym przypadku takie coś już istnieje. Nazywacie to koleżeństwem, przyjaźnią czy jakoś tak.

Dziewczyna zwróciła uwagę, że nie mówił tego z pogardą jak niegdyś, gdy pod każdym względem uważał ją jako człowieka za coś gorszego. Thino'pai spostrzegł, że się zaczerwieniła, nim zdążyła pochylić bardziej głowę, wybierając owoce z łupin, ale tego nie skomentował.

– Potem musimy być blisko ze sobą – kontynuował. – Czuć siebie nawzajem.

Zerknęła nań spłoszona, on jak zwykle zdawał się ją obserwować bystro i beznamiętnie. Zmęczenie z niewyspania minęło Hanako całkowicie, jakby zażyła pigułkę przywracającą wigor. To, co przyszło jej do głowy, na pewno nie wchodziło w grę, bo Thino'pai przecież był cyborgiem.

– Nie martw się, wszystkim się zajmę – dodał.

– Co ci w ogóle da ta wahirika?

– Nie popadałbym w stany, które u mnie obserwowałaś, stałbym się odporny na chandrę separacyjną. Bez względu na to, jak daleko byśmy się od siebie znajdowali.

– Brzmi to jak jakaś pokręcona, chora forma małżeństwa – zażartowała, kiwając głową. – W tym wszystkim jest jeszcze dla mnie wiele niewiadomych.

– Większości i tak nie pojmiesz, bo nie jesteś avorem i nie rozumujesz ani nie funkcjonujesz jak my.

Hanako wstała z ciężkim koszykiem. Skierowała się do bengłowa, Thino'pai szedł obok.

– Powiedz mi chociaż, jakie poniosę konsekwencje zostania wahiriką. Co się ze mną stanie, gdyby udało ci się wrócić do swojego świata? – zapytała.

Odebrał jej kosz. Dziewczyna uniosła brwi.

– Czy mi się wydaje, czy jesteś dla mnie miłszy od pewnego czasu? Pomyślałabym, że zbroiłeś coś za moimi plecami.

– Nic z tych rzeczy – odparł szybko Thino'pai, oschlejszym tonem niż przez resztę dyskusji. – Co do wahiriki, to jak mówiłem: najgorsze, co może cię spotkać, to tymczasowe poczucie osłabienia, które nie odbije się na twoim zdrowiu, zwłaszcza że jesteś młoda i silna. Tu nic cię nie zaskoczy. A możesz mi niezmiernie pomóc. – Spauzował na chwilę. – Mogłabyś także rozważyć, czy nie zechciałabyś lecieć ze mną. Utrzymałabym cię wtedy przy życiu najdłużej, jak to jest możliwe. A wierz mi, że avorowie są mistrzami w kwestii manipulowania procesami życiowymi.

Przystanąła, taksując scyborgizowaną sylwetkę towarzysza, który też się zatrzymał. Same jego słowa nieznacznie podniosły jej tętno. Bardzo ją zaskoczył taką nieoczekiwaną propozycją, która była kusząca – jednak tylko dla ludzi naiwnych. Mózg dziewczyny zadziałał podobnie jak u Thino'paia – zaczął wszystko szybko analizować. Perspektywa zwiedzenia nieznanymi ludzkośćmi zakątków kosmosów, nawet jeśli żyła w czasach lotów do innych galaktyk, była spełnieniem marzeń wielu odersów. Hanako mogłaby poznać gatunek Thino'paia, dowiedzieć się mnóstwa rzeczy. Przeżyć niezwykle przygody, a na pewno wzbogacić się o niesamowite wspomnienia.

Ale na tym kończyły się pozytywy.

Avor pod wieloma względami stale był do niej zdystansowany, zapewne skrywając swoje nieakceptowalne dla niej sekrety. Postawiona ściana wydawała się nie do przebicia. Mimo że z każdym dniem ich znajomości dziewczyna żywiła do niego coraz bardziej ambiwalentne uczucia, których nawet nie potrafiła przyporządkować do właściwej kategorii, zwłaszcza gdy ją czymś zaskakiwał, byłaby głupia, gdyby w pełni mu zaufała. Jaką miała gwarancję, czy tak naprawdę

nie wywiózłby jej na śmierć? Ponadto nic nie wiedziała o rodzimym świecie cyborga. Sam ciągle stanowił dla niej zagadkę. Czasami spoglądał na nią, jakby chciał ją zabić, gdy innym razem nie wahał się do niej przytulać – czy nawet jej całować – jakby ich komitywa wyewoluowała w coś poważniejszego. Strategia kontrolowanego zdystansowania w stosunku do niego wydawała się odpowiednim rozwiązaniem. To pozwalało Hanako nie rozdrażnić go, jak i samej się nie ośmieszać, gdyby zinterpretowała coś zupełnie na opak, niż było w założeniu cyborga. Ale właśnie dzięki tej inności z masą niewiadomych ich relacje wydawały się tak ekscytujące.

W benglowie Thino'pai postawił kosz na stole pośrodku pokoju.

– Kwestia udania się z tobą wymaga głębszej analizy z mojej strony – odparła wymijająco. – Nie wiem, jak jest u was, ale u ludzi takie decyzje nie zapadają tak hop-siup. – Pstryknęła palcami. – Głównie dlatego, że należałoby porzucić swoje dotychczasowe życie, miejsce, do którego jest się przywiązany, znajomych i rodzinę.

– Strasznie wszystko komplikujecie – skomentował. Posiadał już wiedzę na temat ludzi, ale i tak nie zrozumiał założeń jej ostatniego zdania.

– Co do wahiriki – mówiła dalej Hanako – naturalnie obawiam się nieznanego, ale jednocześnie jestem niezmiernie ciekawa, czym realnie jest taka więź i co się wydarzy.

Wciągnęła głośniejsz powietrze, gdy avor chwycił jej dłonie i zamknął w swoich.

– Czyli rozumiem, że się zgadzasz? Dobrowolnie?

– Tak. – Przytaknęła.

– Musisz to powiedzieć z zaangażowaniem, szczerze.

Hanako wykonała głęboki wdech i wydech. Wędrowała chwilę wzrokiem po przedmiotach pomieszczenia, zatrzymując go na aniele wojny.

– Chcę być twoją wahiriką, Thino'paiu.

Cyborg uśmiechnął się przyjaźnie.

– Dobrze, zajmiemy się tym wieczorem. – Popatrzył na kosz. – Po co ci w ogóle te kasztany?

– Będziemy je jeść oczywiście. – Rozbawiła ją jego skrzywiona mina. – Po ugotowaniu staną się miękkie jak ziemniaki. To taka fajna odmiana.

Cyborg wyszedł na zewnątrz, przy wykorzystaniu neurocytu wzmocnił działanie strefy inhibicyjnej całego obszaru, ale tylko dla sygnałów przychodzących, by dziewczyna mogła swobodnie komunikować się ze swojego holonotu.

Usiadłszy przy stole, Hanako uspokoiła mamę, oznajmiając jej, że jest u chłopaka Lyrnama, co wypadło strasznie niezręcznie w kontekście Krystiana. Dlatego nie przeciągała rozmowy. Tematu nadajnika wcale nie poruszyła, jak i Shuang się o niego nie wypytywała, zapewne nie wiedząc, że został zniszczony, co stanowiło ewidentny dowód na to, że Riku kazał jej go jedynie przykleić. Z Lan dziewczyna wciąż nie miała kontaktu. Upadek teorii, teraz strasznie niedorzecznej, jakoby Chinka i Thino'pai byli razem ukryci w lesie przed światem, wcale nie przyniósł ukojenia jej nerwom. Postanowiła, że jak tylko załatwi sprawę wahiriki, uda się do Sutafochun, by wy badać, co się dzieje z Lan. Skontaktowała się jeszcze z Hiroshim i poprosiła go, aby skorzystał ze swoich zdolności informatycznych i namierzył Lan, choć przypuszczała, że Nathan już dawno wpadł na ten sam pomysł.

Aby się trochę odstresować, włączyła sobie grę z holonotu. Polegała na tym, że w pomieszczeniu generowały się dwa holografy kota i psa naturalnych rozmiarów, wydające się twarde, jednak przechodziły przez część obiektów. Była to gra dla dzieci, zwierzęta wyglądały więc sympatycznie i bajkowo. Hanako prowadziła kota, sterowany przez holonot pies miał go złapać do określonego limitu czasu. Zwierzęta buszowały po benglowie jak żywe, ale mogły też biegać po ścianach i suficie. Przy wybranym poziomie trudności rozgrywka człowieka z oprogramowaniem była wyrównana.

Holografy wydostały się za zewnątrz przez otwarte drzwi, Sahara poszła za nimi. Zo'yo rozpoznał, że nie są to żywe organizmy i nie stanowią zagrożenia, więc nie wystawił broni.

Hanako była świadkiem, jak na Thino'paia nasuwają się ostatnie elementy pancerza, dopasowane do jego cybernetycznego ciała jak enzym do właściwego substratu. Straciła przez to czujność; pies dogonił kota przy stawie siedemnaście sekund przed końcem rundy. Zwierzęta zaczęły się wygłupiać ze sobą.

- Co ty robisz? - zapytał cyborg.
- Bawię się. - Wyłączyła grę, holografy zniknęły.
- Rozrywka to objaw źle wy gospodarowanego życia.

– Powiedział avor, któremu wyprano mózg z uczuć, przez co obce jest mu zmaganie się z trudami egzystencji – odcięła mu się. – Swoją drogą, ty to masz dobrze. – Skinęła na jego tors. – Nie musisz nosić ubrań. I ciągle chodzisz w tym samym.

– Wygląd pancerza zależy od rangi i kolektynu. Gdybym kiedyś stał się Elitarnym, miałbym piękne, złoto-pomarańczowe barwy.

– Czyli zmysł estetyczny w jakimś stopniu ci tam zachowali.

Thino'pai odpowiedział jej uśmiechem.

* * *

Zadzierzgnięcie więzi miało odbyć się w kybro.

Mająca na sobie podkoszulek i krótkie spodenki Hanako stała przy jego krawędzi, trzymając palce na śliskiej powierzchni, i zaglądała do wnętrza widniejącego pod uniesionym karapaksem. Całość prezentowała się jeszcze mniej ochoczo przy lampach wieczornych, zacierają się bowiem detale, przez co widok nabierał psychodelicznego charakteru. Wyższa partia brei była jeszcze transparentna, ale na dnie dziewczyna widziała już tylko ciemną masę. Z księżyców wiszących na gwieździstym niebie aktualnie najmocniej nadawał czerwony, co tylko potęgowało zniechęcający efekt.

Po drugiej stronie kybro stał nieopancerzony Thino'pai. Czekał cierpliwie, aż dziewczyna oswoi się z widokiem i uspokoi myśli.

– Czy musimy akurat spać ze sobą całą noc? – zapytała, przenosząc spojrzenie na spokojną twarz cyborga.

– Być blisko siebie – poprawił. – Będziemy tylko zawieszani w brei. To okaże się dla ciebie mniej niezręczne, niż gdybym... miał się zachowywać, jakbyśmy byli prawdziwą parą. Może poza jednym wiadomym szczegółem.

Wyobraźnia dziewczyny, niczym niesforny kot, szybko podążyła w kierunku niezależnym od jej myśli. Widziała siebie razem z Thino'paiem na posłaniu w benglowie, jak się namiętnie całują i obściskują. Cyborg penetruje dłońmi i wilgotnym, gorącym językiem kolejne centymetry kwadratowe jej skóry. Zadaje przeogromną rozkosz, docierając poniżej lędźwi dziewczyny. Układa ją i przesuwają,

jak chce, dogodnie do swoich potrzeb. Jej drobna pierś znika w jego oślinionych, pracowitych ustach...

Aż się wzdrygnęła. Jeszcze nigdy nie miała tak mocnych wizji erotycznych, nawet w stosunku do Krystiana czy kiedyś Gregory'ego. Fantazjowanie o facetach uchodziło za normę w jej wieku. Ale Thino'pai? Istota z innego gatunku?

– Chyba odpłynęłaś – zauważył obiekt jej fantazji. Poczowała się, jakby schwytano ją na kradzieży czegoś cennego. – Nie masz się czego bać.

Dopiero po chwili patrzenia nań doszło do dziewczyny, że avor mówi o kybro.

– Mamy inną biologię, potrzebujemy do życia innych proporcji pierwiastków – tłumaczył – ale skomponowałem dziś breję dogodną dla twojego organizmu, a dla mnie neutralną. Będiesz mieć też aparat oddechowy połączony bezpośrednio z powietrzem na zewnątrz.

– Jasne. – Przytaknęła.

– To wchodzimy?

– Raz Hanako śmierć.

Nie chciała wypadać przez Thino'paiem na tchórza, podciągnęła się więc i wsunęła do środka, wyobrażając sobie, że to wielka wanna wypełniona wodą.

Pochłaniająca ją breja okazała się ciepła i przyjemna przy styku ze skórą, choć o konsystencji błota. Rzeczywiście w czymś takim dałoby się zrelaksować, pomyślała Hanako. Ścianki kybro były z kolei gładkie i śliskie, przypominały wnętrze organizmu, więc w tej kwestii wołała pozostać myślami przy wannie.

Thino'pai przyłączył do jej ciała parę kapilar, na koniec nałożył szczelnie na pół twarzy maskę oddechową. Pomyślał nawet o formie okularów, aby Hanako więcej mogła widzieć po zanurzeniu się w brei. Potem sam wsunął się do zbiornika, zaczął podczepiać do siebie podzespoły. Dziewczyna nie czuła dyskomfortu spowodowanego jego bliskością; nawet dobrze się stało, że nieraz znajdowali się już w podobnych okolicznościach.

Karapaks nasunął się nad ich głowami, zamykając oboje w zbiorniku. Ze ścianek emanowało jednorodnie delikatne, sprzyjające relaksacji czerwone światło, od czego odcinało się krzykliwie jaskrawe, sztuczne oko cyborga. Pomimo znacznej gęstości breja przezroczystością przypominała wodę, że swobodnie dało się spoglądać przez gogle. Byli w pełni zanurzeni, tkwiąc pozycjach zbliżonych do embrionalnych, ułożeni równoległe do ziemi. Dziewczyny tym razem nie męczyła

czkawka z powodu nadmiaru wrażeń, jak i nie nasza jej klaustrofobiczna panika. Nie cierpiała wprawdzie na tę drugą dolegliwość, ale nie mogła przewidzieć, jak zareaguje zamknięta w ciasnym obiekcie, kojarzącym się zbyt mocno z zalanym sokami żołądkiem olbrzyma, w którym mieli zostać strawieni. Dopiero po fakcie dokonanym nasza ją refleksja, jak mogła przystać na coś tak osobliwego. W psychodelicznym otoczeniu podłączony do instalacji cyborg zbyt mocno kojarzył jej się z potworem mającym ją eksterminować.

Dostrzegający na obliczu Hanako znamiona obawy avor objął delikatnie palcami jej ramię, dodając dziewczynie otuchy zarówno gestem, jak i łagodnym uśmiechem. Gdy zaczął głaskać ją drugą ręką, poczuła, że napięcie ustępuje. Starła się nie interpretować tej bliskości w kategoriach damsko-męskich, tak samo jak Thino'pai, traktujący ją instrumentalnie. Powinna mieć na względzie, że dla niego proces był niczym innym, jak formą wymiany energii, kiedy ona zechciała być jego baterią.

Chociaż Thino'pai wielokrotnie wspominał, że zbiornik odbiega właściwościami od prawdziwego kandrockiego kybro, breja zaczęła na nią oddziaływać pozytywnie. Nic jej nie bolało, w żadnym miejscu nie czuła dyskomfortu. Nawet umysł Hanako się odprężył, ale nie bez znaczenia było tu wsparcie avora.

Być może pod wpływem niezwykłości chwili, może za sprawą wdzięczności Thino'paiowi za to, co robi albo oddziaływaniu substancji zbiornika, Hanako sięgnęła dłonią do twarzy cyborga. Zaczęła ją muskać delikatnie paznokciami, smutno się uśmiechając. Ramieniem drugiej ręki objęła go za śliską szyję.

A potem pozwoliła, by Thino'pai przycisnął ją do swojego ciała; napawała się jego pokrzepiającą siłą, intrygującą bliskością i kojącą ciepłotą. Przez chwilę miała poczucie winy, gdy pomyślała o Krystianie. Ale potem wreszcie dopuściła do siebie myśl, że to avor zawsze był lepszy od rebelianta. Starła się unikać porównywania ich obu, wmawiając sobie ślepo, iż to z Sandstormem powinna się trzymać jako z człowiekiem. Mającym wady, bo przecież jak najbardziej ludzkim.

Jednak to właśnie inność, niebezpieczeństwo, odmienność i szaleństwo sprawiały, że chciało się wyrwać z utartych schematów. Wstąpić na zakazaną ścieżkę.

Odprężona dziewczyna pozwoliła wziąć się w objęcia snu, które tak naprawdę były objęciami Thino'paia.



10. Pierwsza krew

Ocknęła się sama w zatrzaśniętym zbiorniku, ze znacznie niższym poziomem brei. Trochę się zaniepokoiła, nie wiedząc, ile jeszcze będzie musiała tu siedzieć. Zanurzona wodziła dłońmi po gładkim wnętrzu i lekko pofałdowanych ściankach, ale nie znalazła niczego w rodzaju płytki sterowniczej czy aktywatora wyjścia.

Niespodziewanie pokrywa uchyliła się, Hanako oparła nogi o dno i częściowo się wynurzyła. Stopień nasłonecznienia wskazywał na późny poranek. Zdjęła z twarzy okulary oraz aparat oddechowy, umieściła ręce na krawędziach zbiornika i się podciągnęła. Choć czuła się naprawdę świetnie (ale również, jakby jej ciało stanowiło wybieg dla pokrytych śluzem ślimaków), przy szybkiej próbie uniesienia się znów wylądowała w środku, poczuwszy osłabienie i zawroty głowy. Uspokoila oddech i powtórzyła czynność, wolniej, spokojniej.

– Thino?

Przy drugim podejściu ciało nie odmówiło posłuszeństwa. Stała bosymi stopami na ziemi, dłońmi zrzucała z siebie spływające pokłady brei. Zo'yo także

nie dostrzegła. Ruszyła sprawdzić, czy nie ma ich w benglowie.

Wrzasnęła panicznie, gdy coś twardego chwyciło ją od tyłu za ramiona. Okręciła gwałtownie szyję i ujrzała cyborga.

– Wielki Buddo... – Odetchnęła głośno. Poprawiła włosy, których część niczym piracka opaska oklapła jej na oko. – Oszalałeś?! Co to niby miało być? Chcesz, bym dostała zawału ze strachu?

– Zdrowy, młody człowiek tak nie może dostać zawału – odparł.

– Jeszcze się mądrzysz. Po co się schowałeś za zbiornikiem i na mnie naskoczyłeś?

– Chciałem coś sprawdzić. Nie zauważyłaś różnicy? Jak się czujesz?

Hanako kontemplowała chwilę swoje ciało.

– Muszę przyznać, że bardzo dobrze – zakomunikowała z zadowoleniem. – Gdyby nie lekkie osłabienie, powiedziałabym, że idealnie.

– Twoje osłabienie to moja sprawka. Pożywiłem się trochę tobą, ale niebawem dojdiesz do siebie. Wystraszyłem cię, a ty nie masz czkawki.

– No rzeczywiście...

– Breja, którą skomponowałem, wyleczyła cię z twojej przypadłości. Ogólnie jej funkcja to pełna regeneracja, eliminacja nieprawidłowości. Gdyby nie to, czułabyś się jak po utracie połowy krwi, skoro pobrałem od ciebie znaczne siły życiowe. Kurha się dopełniła.

– Pięknie, nabyłam swego prywatnego wampira – rzekła żartem. – Czyli nie będę mieć już tych czkawek?

– Raczej nie.

– Zaakceptowałam moją sporadyczną niedogodność, dlatego nie starałam się jej wyleczyć, ale dziękuję.

– Jesteś cała oblepiona breją. Chodźmy popływać w stawie.

– Brzmi świetnie.

* * *

– Przyszedł mi do głowy pewien pomysł – mówiła Hanako w benglowie godzinę później. Siedzieli przy stole i spożywali śniadanie, co jak zwykle cyborg robił z grzeczności, aby towarzyszka nie czuła skrępowania, że je sama, a on patrzy.

Wyłączony Zo'yo leżał na posłaniu. – Mógłbyś wydrukować opancerzenie służb militarnych niskiej rangi, na które mało kto zwraca uwagę, ale które mają dostęp do wielu miejsc. Ich obecność nie wzbudzałaby zainteresowania na stacji orbitalnej. Wykorzystałbyś swoje umiejętności, aby konfabulować osoby, które sprawdzałyby twoją tożsamość. Dostałbyś się tak orbusem z Calcaris na stację, potem na Cal-3, a stamtąd mógłbyś udać się w dalszą podróż, do Kiritian.

– Już to rozważałem. Od razu rzuci się w oczy, że mam na sobie tandetę z drukarki domowej. Musiałbym zdobyć realne opancerzenie tauricjanta z Sutafochun. To akurat łatwo zrobić, wystarczyłoby ściągnąć któregoś neurocytem na skraj lasu, gdzie bym odebrał mu zbroję. Mam jednak za duże gabaryty na coś takiego.

Hanako przełknęła porcję ryżu, popijając go napojem sojowym. Rozmowa o odejściu Thino'paia sprawiała jej smutek, ale dobrze wychodziło jej niepokazywanie tego po sobie.

– Jeśli zdejmiesz własną zbroję, to byś się zmieścił w inną.

– Byłbym wtedy jak ty bez organów, niekompletny, bezużyteczny – powiedział ostrzej, dotykając dłonią piersi. – Dzięki niej jestem niczym forteca. Jednoosobowa amia.

– Co zatem proponujesz?

– Istnieje łatwiejszy sposób. Wezwę ze strefy, w której bytują Kiritianie autonomicznego drona-transporter, takiego jak ten, który dostarczał nam przesyłkę. Zamówi się jakiegokolwiek duperela, potem po rozładunku zaszyję się w hangarze i opuszczę Calcaris. Dalej, przynajmniej na tym etapie, powinno być już łatwo. Namierzę jakiś mały patrol czy drużynę Kiritian z entraserami i przejmę nad nimi kontrolę. Zmuszę ich, aby pokątnie zbudowali mi mały okręt, tak by żadne procedury Nieśmiertelnych nie zostały zakłócone.

– Widzisz? Czyli nie jest tak tragicznie, jak zakładałeś. Ale będziesz z tym wszystkim sam. – Hanako przemyślała kwestię udania się w podróż razem z nim i postanowiła jednak zostać. To wszystko brzmiało dla niej zbyt strasznie, zwłaszcza że, pomijając krótkie wypadki na stację, nie opuszczała Calcaris. Za bardzo się bała. Był to zupełnie inny poziom odwagi niż ten wymagający wyprowadzenie rebelianta przez kuchnię i ucieczkę orbusem.

– Pamiętaj, że jestem avorem. Nie znasz jeszcze wielu moich możliwości.

- Żałuję, że nie nadarzyła się okazja, bym mogła się z nimi zapoznać - wymuskięło się jej szczerze.

- Zapewniam cię, że powinnaś się cieszyć, iż do tego nie doszło.

Zapadło między nimi krótkie milczenie, w trakcie którego patrzyli na siebie.

- Chyba nic lepszego nie wymyślimy. - Dziewczyna uśmiechnęła się przymusowo. Odłożyła patyczki, nalała sobie sok. - Poczekaj, proszę, z odlotem, póki się nie dowiem, co dzieje się z Lan.

- Dzień w tę czy we w tę nie zrobi mi różnicy. Gdybym potrafił czytać w myślach przy użyciu waszych entraserów, już dawno bym ci pomógł znaleźć koleżankę.

- Nie szkodzi, poradzę sobie.

* * *

Po południu Hanako wsiadła na skulaka i opuściła enklawę. Leciała przez las szybciej niż zazwyczaj, jakby zawrotna prędkość mogła wydmuchać z jej umysłu przygnębiecie. Bywały sekundy, w których autopilot przejmował kontrolę nad lotem, korygując wektory ruchu, gdy sensory wykrywały zbyt blisko znajdujące się drzewa. Dziewczyna wprawdzie nie rozbiłaby pojazdu, prowadząc go manualnie, jednak oprogramowanie uznało, że podróż okaże się bezpieczniejsza, kiedy czasem zastąpi operatora.

Hanako w roztargnieniu zapomniała skorzystać z łazienki przed opuszczeniem benglowa, zatrzymała więc pojazd, aby załatwić potrzebę pod dębem.

Kiedy skończyła, wydawało jej się, że usłyszała czyjeś wołanie. Rozglądała się po zagajniku gęstych, wysokich paproci, nasłuchując. Uznawszy, że pomyliła odległy odgłos leśny z krzykiem, wsiadła na skulaka.

Dźwięk powtórzył się, nim uruchomiła silniki. Tym razem słyszała go wyraźniej, choć był cichy z powodu odległości.

- Błagam, pomocy!

Pierwszą myślą dziewczyny było to, że w pojeździe leży strzelba od Thino'paia, a w przypasanej kaburze tkwi pistolet energetyczny - cyborgowi niezwykle się podobało, że stale ma broń na podorędziu. Jeśli komuś rzeczywiście coś się działo,

zabłądził czy się zranił, być może Hanako będzie dla niego jedynym wsparciem. Nie spodziewała się zasadzki, bo nikt nie miał pojęcia o jej odlocie z benglowa.

Gdy wołanie znów się powtórzyło, ignorująca niepokój Sahara uniosła skulaka ponad paprocie i ruszyła ku źródłu hałasu. Nie dysponowała wojskową wersją pojazdu, więc nie miała możliwości włączyć wykrywania celu. Roztrącając wysokie liście, lawirując między pniami sosen, kierowała się słuchem.

Zatrzymała się zaskoczona i wystraszona nieopodal bagien, gdy kilka minut potem natrafiła na źródło zakłócające leśną głuszę. Przez chaszczę na resztkach sił przebijała się Lan: brudna, pokaleczona, w poszarpanym ubraniu. Szlochała, znajdując się na skraju załamania nerwowego. W niczym nie przypominała wesołej, wyluzowanej, pozytywnie nastawionej do życia koleżanki, którą Hanako widziała za każdym razem w Sutafochun. Widok był tak nierealny, iż w pierwszej chwili myślała, że to nie Lan, ale pechowa podróżniczka niebędąca asem od survivalu, która być może straciła pojazd. Już zdarzały się w lesie takie przypadki.

– Lan?

Gdy kilka zmysłów przekonało ją, że koleżanka jest jak najbardziej realna, błyskawicznie zeszła z pojazdu. Wykonała trzy kroki i cofnęła się po strzelbę.

– Hanako, to ty?! Błagam, pomóż mi...

Dygocząca, płacząca Chinka znajdowała się w takim stanie psychicznym, że pojawienie się Hanako w stylu *deus ex machina* nie okazało się dla niej wielkim zaskoczeniem. Kulejąc, ruszyła prosto w jej stronę.

Sahara poczuła nieprzyjemny ścisk w okolicy przepony, co wreszcie nie zakończyło się napadem czkawki, zauważywszy z bliska prawą dłoń Lan – zakrwawioną i bez trzech palców. Cokolwiek makabrycznego przydarzyło się biedaczce, od tamtego momentu minęło już trochę czasu, bo na ranach na szczęście utworzyły się grube, poczerniałe skrzepy. Ale mogły też wskazywać na kauteryzację.

Lan wpadła w ramiona Hanako, będąc na skraju omdlenia. Sahara przytuliła ją, posadziła na ziemi i pozwoliła się jej wyszlochać.

– Ona zaraz tu będzie, zabierz mnie stąd – cedziła zadyszana Chinka.

– O kim ty mówisz? Jak się tu w ogóle znalazłaś? Musimy wezwać lekarza.

– To świruska. Błagam...

Chwilę później Hanako usłyszała inny damski głos, szydarczy:

– Gdzie jesteś, niesforna gąsko? – Brzmiał jak mruczenie zadowolonego kota, który zagonił w ślepy zaułek zaszczutą mysz. Czując, jak Lan się spięła i panicznie spojrzała w stronę, skąd dochodził, Hanako wiedziała już wystarczająco wiele.

– Czy jest uzbrojona? – zapytała Chinę.

– Nie wiem... Jak uciekłam, nie widziałam... co wzięła. Ściga mnie nieśpiesznie... od wielu kilometrów.

Thino'pai dobrze wyćwiczył Hanako, bo choć bała się niemniej od koleżanki, wyszła przed nią wyprostowana, nie drżąc ze zdenerwowania. Udało jej się też zachować kamienną twarz. Upewniła się, że w komorze rurowej na pewno znajduje się wężyk amunicji gotowej do użycia. Zwolniła czółenka i przesunęła je w tył i przód, aby pierwszy nabój z magazynka wszedł do komory zamkowej. Przycisnęła palcem kabłąk zabezpieczający spust.

Z zarośli wyłoniła się niebawem transhumanistka, która miała przesunięte ku górze głowy wilcze uszy zamiast ludzkich, a przy odcinku lędźwiowym pleców puszysty ogon. Na widok Hanako ze strzelbą przystanęła zdziwiona, ale po chwili na jej obliczu zagościł grymas rozbawienia, jakby napotkała niemowlaka grożącego jej grzechotką. Okazało się, że miała także zwierzęce kły.

Sahara domyśliła się, kim ona może być – likanką. Czytała o przedstawicielach tej sekty czczących wilkołaki, choć nigdy nie widziała nikogo z nich na żywo.

– Proszę, proszę, czyli ty jesteś tą słynną Hanako Saharą, której wszyscy szukają – odezwała się Vanada prześmiewczym tonem, zbliżając się wolno. – Cóż za niesamowity zbieg okoliczności.

– Coś ty za jedna? – zapytała beznamiętnie Hanako. Błagała w myślach własne nogi, by nie zaczęły się trząść, bo na wariujące tętno i szum w uszach i tak nic nie mogła poradzić.

– Nie pozwól jej się do mnie zbliżyć... Zabij ją... – jęczała z tyłu Lan, unosząc dłoń jak przy intensywnym słońcu.

– To bez znaczenia – odrzekła likanka. – Przyszłam tu po to, co mi uciekło. Ale widzę, że trafiły mi się od razu dwie pieczenie. Odstaw ten kijek, dziewczynko, zanim zrobisz sobie krzywdę. – Uśmiechnęła się, widząc, że Hanako wymierzyła czernią lufy w jej stronę, jednak nie szła dalej.

– Wspominałaś, że ktoś mnie szuka. O co w tym chodzi? Co zrobiłaś Lan?

Gdy Vanada przesunęła ohydnie językiem po nienaturalnie długich zębach, Hanako domyśliła się ze zgrozą, co mogło stać się z palcami koleżanki.

– Zabij ją – płakała Chinka.

Hanako zdjęła palec z kabłąka i przesunęła go na spust.

– Dosyc tej farsy – rzekła już bez ironii Vanada. – Odłóż broń i obie grzecznie poczekacie teraz na wsparcie. Z Lan bym sobie poradziła sama, polowanie było łatwe, choć pełne wrażeń, ale tak będę musiała wezwać transport. Nie mam zamiaru szarpać się z wami dwiema po lesie.

– Ręce przy sobie – ostrzegła Hanako, gdy likanka sięgnęła do kieszeni obszernych, obwisłych spodni i wyciągnęła holonot. – Jak Buddę Kocham, strzelę!

Vanada prychnęła, pewna, że poza kozaczeniem i robieniem w majtki ze strachu Hanako nie zdoła zmusić się do czegoś brutalniejszego.

Pomyliła się.

Sahara strzeliła, panując nad odrzutem.

Lan wzdrygnęła się za jej nogami.

Rozwalony holonot wypadł Vanadzie z poranionej ręki. Hanako skupiła się na urządzeniu, celując idealnie, ponadto z bliskiej odległości, ale gdyby przesunęła broń o centymetr w dół, strzelba na niedźwiedzie urwałaby likance dłoń.

Niegroźne draśnięcie jednak wystarczyło, by Vanadę ogarnęła dzika furia.

Wciąż przekonana, że Hanako oto zaprezentowała wszystko, na co ją stać, wyciągnęła zakrzywiony nóż z pokrowca umiejscowionego na plecach i nie dbając o to, że dostarczy do Nakhabangi martwą ofiarę, z wrzaskiem rzuciła się ku niej z uniesionym ostrzem.

Hanako wybałuszyła oczy, zeszywniała. Nawet u Kiritianina zaatakowanego na stacji czy Thino'paia w początkowej fazie ich znajomości nie widziała takiego pokładu gniewu, pierwotnego i animalnego.

Lan krzyczała coś panicznie.

Hanako zarepetowała broń, uwolniła łuskę i strzeliła tym razem z odległości niecałych dwóch metrów.

Wyrzucony z komory nabój rozpryskowy dosłownie rozerwał pierś likanki na strzępy, ją samą odrzucając daleko w tył. Ciało padło ciężko na grunt, zgniatając paproć. Z obficie broczącej krwią klatki piersiowej wystawały pogruchothane żebra, narządy wisiały na nich w strzępach. Na obliczu martwej kobiety, szklistym

wzrokiem spoglądającej w zwarte korony drzew, wciąż gościł grymas gniewu, choć mięśnie twarzy nieco się rozluźniły.

Hanako nie mogła oderwać wzroku od tego strasznego, ale i fascynującego widoku.

– Zabiłam człowieka... – wyszeptała. Zabezpieczyła broń i ją upuściła.

– Nieprawda, zlikwidowałaś potwora – powiedziała Lan, której udało się wstać.

Dziewczyny przytuliły się do siebie i przykucnęły.

– Jak najszybciej muszę zabrać cię do Sutafochun.

– To moja wina, tak bardzo cię przepraszam, Hanako – Lan znów zaczęła chlipać. – Poza ręką nic mi nie jest. Ona... Ta psychopatka... odgryzła mi palce...

– Za co niby mnie przepraszasz? Możemy mówić o ogromnym szczęściu albo interwencji boskiej, że usłyszałam twoje wołanie i znalazłyśmy się przypadkiem tak blisko siebie.

– Pamiętasz, jak opowiadałaś mi o obcym? Nie uwierzyłam ci oczywiście. Wyrzuciłaś do śmietnika opatrunek z jego rzekomą krwią. Ja go wzięłam i zaniósłam do laboratorium Nathana. Przysięgam, że myślałam, że to jakieś żarty, ale musiało coś być na rzeczy i to wyciekło dalej. Spacerowałam, jak często to robię po ogrodzie Myanmar i tam mnie porwano skulakiem. Ta straszliwa kobieta i jej dwóch towarzyszy wywieźli mnie do jakiejś urządzonej jaskini w lesie i wypytywali o tego obcego, to znaczy ona mnie przesłuchiwała. – Lan ze zgrozą popatrzyła na ciało, jakby mogło wstać z martwych. – Cudem udało mi się umknąć, ale ona niebawem zaczęła mnie ścigać. Nawet nie wołała swoich pomagierów do pomocy. Byli likanami.

– I co im powiedziałaś? – zapytała Hanako, której od ponad kwadransa nie opuszczał niepokój.

– Niewiele...

Hanako rozważała, czy nie zabrać Lan do Thino'paia, aby ją opatrzył, ale raz, że do Sutafochun było znacznie bliżej, a dwa – cyborg mógłby się wściec o to, że ktoś jeszcze zobaczył go na żywo. I niewykluczone, że Lan już zupełnie postradałaby zmysły z powodu takiego natłoku wrażeń.

Wziąwszy ze skulaka apteczkę pierwszej pomocy, przeczyściła Lan ranę i założyła jej na rękę prowizoryczny opatrunek. Z niepokojem podeszła do zwłok

i tym razem starając się nie patrzeć na dziurę w piersi likanki, podniosła jej rozwalony holonot.

– Potem porozmawiamy na spokojnie – odezwała się do Chinki, chowając strzelbę do schowka. – Musimy się stąd zabierać, skoro jest jeszcze dwóch likanów. Czy widziałaś ich więcej?

– Nie, tylko tę kobietę i parę dzikich mężczyzn.

– Jesteś na siłach, aby lecieć?

Lan przytaknęła. Hanako pomogła jej wejść na tył skulaka i przymocowała ją do siedzenia, a sama na powrót usiadła za sterownicą.

Podczas lotu przez nabierający szarości wieczoru las Hanako poinformowała Nathana, że znalazła jego dziewczynę.

* * *

Indianin czekał już na nich obok swojego skulaka na skraju puszczy, w miejscu niewystawionym na oczy gapiów. Jeszcze w drodze do Sutafochun Hanako ustaliła z nim jednogłośnie, by załatwić sprawę po cichu – choć każde domagało się tego z innego powodu. Kiedy dziewczyna zatrzymała swój pojazd, mężczyzna natychmiast doskoczył do Lan i zaczął wypytywać o jej stan. Był nie tyle zmartwiony, co wkurzony. Sahara odnosiła dziwne wrażenie, jakoby miał na celowniku swojego gniewu kogoś konkretnego, ale na pewno nie była to żadna z ich dwójki.

– Musimy iść z tym natychmiast do komisariatu szeryfa – oznajmiła Hanako.

– Nie! – Zaskoczyła ją stanowcza reakcja Nathana, dlatego szybko się zreflektował: – Miałem na myśli, że najpierw klinika. Odtworzę Lan palce klejem molekularnym, a to trochę potrwa. Z komisariatem można się połączyć zdalnie, gdy Lan sobie już odpocznie.

– Ale do tego czasu może zapomnieć kluczowe szczegóły. W lesie ponoć są jeszcze bandyci, którzy mogą uciec.

– Wybacz, Hanako, ale jestem za opcją Nathana – odezwała się zmęczona Lan. – Mam dosyć. Na razie nie chcę wracać do tych traumatycznych wydarzeń.

– Przepraszam, nie spojrzałam na problem z twojej perspektywy. Prześpij się zatem i sobie odpocznij. Najważniejsze, że już po wszystkim i jesteś bezpieczna.

Ale skąd się tutaj wzięli likanie?

– Niezmiernie ci dziękuję, Hanako, że ocaliłaś moją dziewczynę. – Zmieniwszy temat, Nathan potrząsnął jej ręką i lekko schylił głowę w podziękowaniu. Pomógł wsiąść Lan na swojego skulaka. – Jeśli masz ochotę, możesz lecieć z nami do kliniki.

– Powinnam najpierw złożyć zeznania – nie ustępowała Hanako. – Spotkamy się potem.

– Dobrze, zatem powodzenia.

* * *

Kiedy Lan z Nathanem odlecieli już w kierunku kliniki, Hanako uświadomiła sobie, jak bardzo jest zdenerwowana i wystraszona. Jakby wyrósł przed nią kiritiański pluton egzekucyjny. W chwili samotności spotęgowało się w niej poczucie paraliżującego przytłoczenia, co jeszcze pogłębiła pogoda – z ciemnoszarego nieba właśnie zaczęło padać.

Zabiła człowieka.

Według Lan niebezpieczną transhumanistkę, ale ciągle człowieka.

Chociaż wiedziała, że zadziałała spontanicznie, w nerwach, w obronie własnej i poranionej koleżanki, będącej jednocześnie świadkiem zdarzenia, co prawnie czyniło z niej osobę niewinną, miała ochotę odlecieć jak najszybciej i jak najdalej stąd, niczym szeregowy kryminalista. Od przyszłych kłopotów, od bliskiej przeszłości. Zapragnęła, aby Thino'pai być przy niej z tym swoim jakże użytecznym w każdych okolicznościach, chłodnym pragmatyzmem. Dopiero potem pomyślała o rodzinie – powinna najpierw udać się do domu i opowiedzieć, co się stało. Ale bała się tego jeszcze bardziej niż wizyty na komisariacie. Rozpętałoby się tam piekło.

To myśl o avorze dodała jej sił. Jako obywatelka Sutafochun miała obowiązek brania udziału w utrzymywaniu bezpieczeństwa w okolicy. Wsiadła zatem na skulaka, odetchnęła głęboko i ruszyła ku północy Sutafochun, gdzie mieściły się gmachy urzędowe, jak i komisariat.

Na lokalne służby porządkowe składało się kilkudziesięciu tauricjantów, w większości androidów, których aktywowano zwykle na czas akcji. Na czele

instytucji stał szeryf Shanti. Punktowiec przypominał parterową świątynię w ziemskim stylu Dalekiego Wschodu, ze spadzistym, krótkim, zielonym dachem, żółtymi ścianami i oknami obramowanymi czerwienią. Wnętrze kontrastowo było metalowe, prosto urządzone.

Zostawiwszy pojazd na parkingu, Hanako powiedziała sobie w myślach parę motywujących sloganów i weszła przez bramę, minąwszy siedzącego w stróżówce androida.

– Dzień dobry, pani Saharo – przywitał ją w punkcie informacji tauricjant przy kości, któremu miło patrzyło z oczu, miał również sympatyczną twarz. W chwili wchodzenia do środka zeskanowano entraser, znał więc jej tożsamość. Zresztą kojarzył Hanako z widzenia. – Sierżant Gustaw Wasilewski się kłania. W czym mogę pomóc szanownej obywatelce?

Wyminąwszy wcześniejszego interesanta, Hanako popatrzyła na tauricjanta wzrokiem bardziej spłoszonym, niżby sobie tego życzyła.

– Chciałam... zgłosić porwanie. I zabójstwo.

Oblicze mężczyzny diametralnie się zmieniło. Umieścił ramiona na biurku.

– Czy to są jakieś żarty? Znów bawicie się w wyzwania?

– Nie, przysięgam. Mam świadomość, że w moim wieku obowiązuje mnie już odpowiedzialność karna. Jestem prawie pełnoletnia. To znalazłam przy zabitej.

Położyła przed nim zniszczony holonot likanki.

Wasilewski przyjrzał się Hanako podejrzliwie, następnie skierował małego robota z pająkowatymi odnóżami o wysokim stopniu manipulacji, aby uniósł przedmiot i poobracał go przed jego oczyma.

– To lepiej na razie zachowam – oznajmił. – Idź do pokoju szesnaście. – Wskazał w głąb oświetlonego na pomarańczowo, prawego korytarza. – Twoją sprawą zajmie się pan Mikael...

Na stojącym na biurku kapripodzie ukazała się sylwetka samego szeryfa, który miał wgląd wizualny i foniczny w sprawy zgłaszane w punkcie informacji.

– Panie Gustawie, proszę skierować Hanako bezpośrednio do mnie – oznajmił pośpiesznie.

Podczas gdy sierżant Wasilewski nie brał dotąd słów Hanako na poważnie, tak teraz się zaniepokoił, skoro sam Shanti chciał przejąć jej sprawę.

– Oczywiście. Zapraszam zatem – rzekł do Sahary – na pierwsze piętro, pokój czterdzieści dwa.

Dziewczyna zrobiła się jeszcze bardziej nerwowa, gdy za jej plecami, po obu stronach, pojawiły się uzbrojone androidy w lekkich pancerzach, choć przypuszczała, że to tylko zwyczajna procedura. Ale i tak poczuła się jak główna podejrzana.

We trójkę udali się na małą platformę windy o walcowatym, przezroczystym szybie i po pokonaniu pięciu metrów byli już na piętrze, gdzie kręciło się kilka osób. W punktach kontrolnych stały nieruchomo kolejne androidy.

Te eskortujące Hanako weszły z nią do gabinetu szeryfa, który z wyrazem znudzenia na twarzy kończył właśnie prowadzić rozmowę przez kapripod.

– Usiądź, Hanako. – Wskazał fotel przed swoim biurkiem. Machnięciem ręki oddelegował sztucznych ludzi na korytarz, po czym splótł palce. – Bardzo zaniepokoiła nas informacja, z którą tu przyszłaś. W spokojnym Sutafochun takie rzeczy się nie zdarzają. Chciałabyś może coś do picia albo na uspokojenie?

– Nie, dziękuję. – Hanako zajęła miejsce w półtwardym fotelu. Cherlawy szeryf Shanti o wężowym obliczu niezbyt jej pasował do komisariatu – bardziej kalibrem do drobnego rzezimieszka z miasta zbrodni czy przywódcy szajki kalwaryjskich przemytników. Jego zwężone niebieskie oczy były zupełnie inne niż te szeroko otwarte, z ciepłymi iskierkami, u sierżanta Wasilewskiego.

– Opowiedz więc, proszę, co się wydarzyło. Wszystko, co pamiętasz, każdy szczegół – rzekł spokojnie.

Hanako zaczęła zatem opowiadać wszystko od momentu, gdy zmierzała lasem w stronę Sutafochun. Bała się, że wywali się już na wstępie zeznania, oczekując pytania, skąd leciała, gdzie dokładnie znajduje się to miejsce i co tam robiła. Ale, o dziwo, Shanti jej nie przerywał, wpatrywał się w nią i słuchał uważnie. Dziewczyna nie wiedziała, ilu mieszkańcom miasteczka Thino'pai namieszał w głowach i czy do takich nie zalicza się też sam szeryf, co byłby logiczne. Jeśli i on miał czipa edukacyjnego w mózgu, może już „wiedział” o Lyrnamie Galapagos, u którego mieszkała. Jeśli tak było, tej kwestii nie powinien akurat drążyć, będąc zaprogramowanym przez cyborga.

Zgodnie z sugestią przesłuchującego ją mężczyzny nie pomijała niczego poza kwestią Thino'paia. Udało się jej ustalić z Lan podczas lotu, by i ona nie

wspominała w przyszłości o tym, że likanka zadawała jej pytania na temat kosmity. Jakby co, miała mówić jedynie, że tamta ją uwięziła i torturowała jako świruska, wówczas motyw porwania traciłby na znaczeniu. O strzelbie Hanako powiedziała, że należy do niej. Skończyła relację na momencie, gdy rozdzieliła się z Nathanem i postanowiła zgłosić wszystko na komisariat.

– Naprawdę gratuluję odwagi, młoda damo – pochwalił szeryf. – Jeśli wszystko, co wyznałaś, się potwierdzi, martwić się będziesz musiała jedynie używaniem strzelby. Tak antyczną broń, w kontekście prawa wolnego miasta Sutafochun, można posiadać jedynie kolekcjonersko, z nabojami trzymanymi osobno. – Sprawdził profil Hanako w kapripodzie. – Nie byłaś dotąd karana, więc czeka cię prawdopodobnie grzywna, która trochę zaboli. Muszę jednak na ciebie nałożyć areszt trzeciego stopnia. – Popatrzył na nią spode łba, przez co przy swojej aparycji wyglądał jak osoba, która coś knuje.

– Jak to? – Nie orientowała się w sprawach tauricjantów, wyobraziła więc sobie siebie siedzącą w celi na czas zbierania dowodów.

– Spokojnie. To tylko zamiar elektroniczny twojego entrasera, który właśnie uruchomiłem, zgodnie z prawem. Nie będziesz mogła opuszczać Sutafochun dopóty, dopóki nie wyjaśnimy sprawy, a sądzę, że zajmiemy się tym szybko. Dopuszczalne jest jedynie chodzenie do miejsca pracy.

– Chwilowo mam urlop, a pracuję na stacji – oznajmiła. Przynajmniej tyle dobrego, że Kiritianin, którego zaatakował Krystian w „Nadniebnej Calcaris”, nie nabrudził jej w profilu, przez co potem mogłaby mieć ograniczenia obywatelskie. Nieśmiertelni zapewne uznali, że to poniżej ich godności zgłaszać taki incydent odersom.

– No i świetnie się składa. Jeśli zaczniesz się oddalać od miasta w innym kierunku, będziemy mieć podaną na czerwono twoją lokalizację i wyślemy po ciebie uzbrojonego androida.

– Lepiej nie. – Dziewczyna chciała rzec z lekkim żartem, aby samej sobie dodać animusz, ale przez słowa przebrzmiewał niepokój.

– Czy potrzebujesz pomocy psychologicznej albo medykamentów, Hanako?

– Jestem ciągle wstrząśnięta, ale sądzę, że sobie poradzę.

Niby pogodny, pobłażliwy uśmiech szeryfa pochylonego nad złączonymi dłońmi, zamiast ukoić jej nerwy, wydał się dziewczynie złowieszczy.

– Rozumiem, na tym więc zakończymy.

– A co z dwoma likanami, którzy podobno towarzyszyli tamtej transhumanistce podczas tortur Lan?

– Zaraz wyślę na miejsce oddział androidów i przeczeszemy las. Jeśli skrywają się tam jacyś likanie, na pewno ich znajdziemy. – Shanti zerknął na sprawę zaksięgowaną w kapripodzie. – W uszkodzonym holonocie, który chłopaki już sprawdziły, zapisała się ostatnia lokalizacja właścicielki. Przesłuchamy jeszcze twoją koleżankę oraz Nathana, gdy będą już w stanie zeznawać. Aha, i najważniejsze. – Spojrzał bystro dziewczynie w oczy, trochę ostrzegawczo. – Pod żadnym pozorem nie wolno ci nikomu powtarzać tego, co mi przekazałaś. Nawet rodzinie. To bardzo ważne. Nie chcemy straszyć ludzi, prawda? Mogą potem dopowiadać sobie własne wersje i siać dezinformacje, nie wspominając o tym, że śmiałkowie od ręki mogliby udać się w las na samosąd. A od wymierzania sprawiedliwości jesteśmy my. Lan i Nathana też będzie obowiązywało to samo. Ani słowa o Vanadzie. Zrozumiała?

– Tak, szeryfie. – Hanako przytaknęła.

– To wszystko.

– Dziękuję, panie Shanti. Do widzenia.

– Idź do poczekalni dla interesantów obok wejścia na komisariat, rodzice zaraz cię odbiorą. – Usłyszała Hanako za plecami.

Odwróciła się.

– Słucham? A po co tu oni?

– Jesteś niepełnoletnia, sierżant Wasilewski musiał ich przecież o wszystkim powiadomić.

Obawiała się, że androidy zechcą ją eskortować aż do wyjścia i, nie daj Buddo, będą z nią siedzieć, póki ktoś po nią nie przyleci. Ale na szczęście po opuszczeniu gabinetu szeryfa przestano się nią interesować. Zostawiła komisariat za sobą, lecz nie weszła do wskazanej budki, tylko stała na zewnątrz w dogorywającym deszczu. Świeże, wilgotne powietrze działało nieco jak kojący balsam na umysł. Chociaż Hanako miała poczucie, jakby z jej barków spadły ciężkie głązy, gdy problem zrzuciła na osoby doświadczone, coś w tym wszystkim ją niepokoiło. Niczym kolec małego kaktusa tkwiący gdzieś w łokciu, niewidoczny, ale irytujący przy naciskaniu, co nie miało związku z porwaniem i torturami Lan. Było to jedynie

przecucie, chciała wierzyć, że mimo wszystko wynikało z samej traumatycznej sytuacji. Dobrze przynajmniej, że w Sutafochun nic się nie działo, więc oddział tauricjantów od razu zabierze się za poszukiwania bandytów, pomyślała.

Nie wiedziała, jak działa nałożony na nią namiar i czy obejmuje też wszystkie jej kontakty, ale wolała nie używać holonotu do porozumiewania się z Thino'paiem, by go ostrzec przed tauricją mającą przeszukiwać las. Maszyny infiltracyjne o wyższym zaawansowaniu niż dron Hanako raczej też nie stanowiły dla avora żadnego zagrożenia, nawet nie znajdą ukrytego benglowa – tego była pewna.

Teraz to ona miała problem.

Zaliczyła swojego pierwszego trupa, jak i zapewne przekazano jej rodzinie cenzurowaną wersję zdarzenia, ale i nowinę, że paradowała po krzakach ze strzelbą. Nie byłoby kłopotu, gdyby użyła w samoobronie pistoletu energetycznego od Jacka, dozwolonego w miasteczku, który mógł paraliżować albo odbierać przytomność.

Likanka zacznie się pojawiać w jej koszmarach.

Słowem – miała przewalone. Bała się spotkania z ojcem. Nie uznają jej za bohaterkę ratującą koleżankę, ale głupią, brawurową nastolatkę, która dopiero co nabroiła na stacji orbitalnej, a teraz mogła stracić życie. Czy cokolwiek tauricja im tam nagadała. Szeryf Shanti nie był precyzyjny, ale Hanako zrozumiała, że problem stanowiła tu sama Vanada, o której miasteczko nie powinno się dowiedzieć. Tym razem rodzina na pewno skutecznie ją uziemi, a zbliżające się urodziny nie staną się kartą przetargową.

W takich okolicznościach, aby odzyskać równowagę psychiczną, poleciałyby do Wiktorii do Tikimo, ale wtedy tauricjanci od razu ustaliliby jej lokalizację. Za złamanie nakazu o ograniczeniu wolności będą mogli ją chyba już zamknąć – jak sądziła. Do Lan nie pójdzie. Krystian też znajdował się poza jej zasięgiem, może już o lata świetlne. Hiroshi Sakai? Nie, bez przesady!

Było tylko jedno miejsce, gdzie mogła szybko dotrzeć skulakiem.

Upewniwszy się, że nadal nikt się nią nie interesuje, udała się na parking. Obawiała się nałożonej blokady elektronicznej na pojazd, jednak i przy tym kroku los postanowił jej sprzyjać. Najwyraźniej wciąż miała w Sutafochun opinię grzecznego dziewczynki.

Opuściła teren komisariatu w momencie, gdy babcia przyleciała po nią persokarem – pojazdem, którego protoplastą były latające samochody, choć obecna wersja maszyny miała bardziej opływowy, aerodynamiczny kształt – i zapewne ją zauważyła. Hanako dodała gazu. Znowu rozwinęła prędkość jak w lesie, że oprogramowanie skulaka mogło uznać, iż przejmie kontrolę nad lotem.

Realnie obawiała się pościgu. Babcia mogła łatwo ją dogonić z powietrza na otwartym terenie, zanim Hanako osiągnęłaby okrajek lasu, ale tak się nie stało. Androidów za sobą także nie widziała.

Wystarczy teraz, że doleci do swojej zielonej strefy – i stanie się nieosiągalna dla każdego odersa planety.

* * *

Misaki wprawdzie uniosła persokara, ale tylko po to, by z poważnym wyrazem twarzy zerknąć na wnuczkę, zanim ta zdołała zniknąć w puszczy, pokonawszy odcinek pustkowiec.

* * *

Shanti jako szeryf Sutafochun, jak i kapłan likanów, oczywiście nie zamierzał organizować żadnej obławy. Przejął szybko sprawę Hanako, mając do tego pełne prawo, aby to on mógł przydzielić do niej odpowiednie jednostki. A zamierzał skorzystać jedynie z pomocy androidów, którzy nie musieli utrzymywać interwencji na nośnikach pamięci, nic też później nie powiedzą – wszystko było kwestią ustawień.

Mężczyzna siedział chwilę w fotelu, myśląc, nim połączył się holonotem z Kionem znajdującym się w Nakhabandze.

– Tak, Shanti? – odezwał się guru.

– Nie uwierzysz, co się stało. Właśnie przesłuchiwałem Hanako. Wygląda na to, że w obronie własnej zabiła Vanadę. Wpadły na siebie przypadkiem.

– Do diaska... To dlatego nie odpowiadała alfie od pewnego czasu. Powoli zaczął się irytować.

– Masz go tam?

– Tak, ale jest chyba w abysanktum. Ja stoję na zewnątrz. – Kion głośno wypuścił powietrze, pokręcił głową. – No to Midnight nieźle się wkurwi...

– O co mam się niby wkurwiać?

Obrócony plecami do alfy Kion wzdrygnął się, usłyszawszy przy sobie agresywnie wypowiedziane pytanie. Oblany blaskiem ognia, z miną wyrażającą żądanie odpowiedzi, lider watahy wpatrywał się w guru wzrokiem, jakby zamierzał się na niego rzucić niczym na pierwsze z brzegu źródło do wyżycia się.

Kion nabrał wody w usta, lecz Midnight wyczytał wszystko z jego współczująco-zaskoczonego oblicza, dodając do tego usłyszane strzępki rozmowy. Nie tyle się zdenerwował, co zmienił w nieokrzesaną burzę i zwołał najbliższych likanów.

* * *

Hiroshi podleciał persokarem do miasta Tikimo pod wskazany przez Jacka lokal, zdziwiony, dlaczego technik mechanik chce się z nim spotkać akurat tam i o tak nieludzkiej porze.

– Masz nowe hobby, by zrywać ludzi z łóżka o wpół do chuja w nocy? – Nie omieszkał go o to zapytać. Podali sobie ręce przy jednym ze stolików, zarezerwowanym przez siedzącego tam od trzydziestu minut Jacka.

– Dlaczego odnoszę wrażenie, że to nie przyłot tutaj jest powodem twojej irytacji? – odezwał się Schwartzberg, gdy już usiedli. Wyczuł od Hira alkohol, którego spożywanie nie należało do jego standardowych przywar, gdyż wzorem większości Azjatów w Sutafochun Sakai był raczej abstynentem. Nie zdarzało mu się również używać wulgaryzmów.

W lokalu o przyciemnionych światłach panowała spokojna, senna atmosfera, w której prym wiodła leniwa muzyka. Niezbyt liczne towarzystwo zajęte było swoimi sprawami w osobistych niszach.

– A... nie ma co opowiadać – odparł Hiro z rezygnacją. Jack był pewien, że ma to związek z sektą. – Domyślam się, że ściągnąłeś mnie tu raczej w pilnej sprawie? – dodał z kpiną.

Robot obsługujący przywiózł im niecukrowe napoje owocowe, dopasowane metabolicznie pod późną porę doby, jako gratis dla każdego robiącego rezerwację. Spec od zabezpieczeń od razu się napił ze swojej wysokiej szklanki.

– Nie inaczej. Dodatkowo wybrałem Tikimo, by zmniejszyć prawdopodobieństwo, że zobaczą nas razem. Zwłaszcza że Remulusa mieszka w Sutafochun. Ale do sedna. – Jack objął kolegę byстрыm spojrzeniem, pochylając się lekko. – Pamiętasz te badania, które miałeś wyczyścić z nośników placówki medycznej?

– Ano. Wyniki krwi. Dziwne były.

– Były? To nie masz już kopii? – Jack zapytał ze zdenerwowaniem.

– Trzymam ją cały czas.

– Teraz lepiej odłóż tę szklanke, bo ją upuścisz. Są to badania krwi kosmity, najprawdziwszego obcego.

– Onkalota? – Na twarzy Hira pojawił się nikły ślad zainteresowania. Odstawił naczynie jedynie dlatego, że wypił już prawie cały napój.

– Właśnie nie. Jakiegoś nowego inteligentnego gatunku. Podobno zaszył się gdzieś w Lesie Kolonistów i to on odpowiada za śmierć kilku likanów. Tak gadają.

– Co ty opowiadasz? – Hiro rzekł zbyt głośno, zwracając na siebie uwagę kobiety i mężczyzny nieopodal. Przycisnął panel z wybranym zamówieniem w rogu stolika, stwierdzając, że napije się jeszcze piwa.

Jack pokiwał palcem przed swoją twarzą, pochylił się jeszcze bardziej, podobnie Sakai.

– Słyszałem rozmowę Midnighta, Kiona i Nathana w abysanktum. Stałem tuż pod otworem okiennym. Pokłócili się i analityk zaczął ich szantażować ujawnieniem informacji o obcym, dowiedziawszy się, że Vanada torturowała Lan. Powiedział nawet, że próbkę krwi przetrzymuje w swoim gabinecie w placówce medycznej.

Zaskoczony, nieruchomy Hiro trawił przez wiele sekund tę niesłychaną informację. Nie minęła minuta, a robot przywiózł im kufel piwa i kolejną parę naczyń.

– Jack, do diaska. Powiedz, że to jakiś żart...

– Znając ciebie, na pewno analizowałeś te wyniki. Nie zdziwiła cię ich specyfikacja?

– Fakt, były zaskakujące, jak mówiłem. Nigdy czegoś takiego nie widziałem, ale nie jestem przecież medykiem i mogę czegoś nie wiedzieć. Nie grzebałem też w Univnecie, bo to nie moja sprawa. Brałem pod uwagę jakąś nieznaną mi

chorobę czy człowieka-ewenement. Ale obcy? Nowy gatunek? U nas w lesie?! – Sakai potrząsał w oszołomieniu głową.

– Ciszej – upomniał go Jack, widząc, że znów ktoś na nich popatrzył. – Na tym etapie chyba domyślasz się już, co jest celem naszego spotkania?

Chociaż Hiro sobie trochę popił w domu i czuł przymulenie, natychmiast doszedł do oczywistego wniosku. Jego oczy, spoglądające na ponure oblicze kolegi, rozszerzyły się z niepokoju.

– Chyba sobie żartujesz! Nathan będzie miał pozamiatane.

– Nie, jeśli zwalimy winę na siebie. – Jack sięgnął po napój owocowy. Haker poszedł za jego przykładem, ale nalał sobie piwa.

– I co potem? Chcesz dokonać eutanazji z sekty?

Technik mechanik uśmiechnął się półgębkiem.

– Nie sądzisz, że eutanazja to dość radykalny środek na wyjście z jakiegokolwiek kościoła? Chyba chodziło ci o apostazję.

– Taa, masz rację. – Hiro odstawił głośno szklankę z piwem opróżnionym do połowy. – To oświeć mnie, co zamierzasz. Jeśli ukradniemy tę krew z placówki i ujawnię anonimowo i publicznie dowody, że w Lesie Kolonistów znajduje się coś dziwnego – jakoś nie chce mi się wierzyć w tego całego kosmitę – winą za przeciek likanie obarczą Nathana. I raczej marnie się to dla niego skończy. Jeśli przyznamy się, że to my rozgłosiliśmy tę niesłychaną nowinę, przejmujemy jego rolę ofiary.

– Z tą apostazją trafiłeś w sedno. Jest pewien sposób na to, że to likanie będą się nas bać. Podobnie jak ty mam już wszystkiego dosyć. – Jack popatrzył obojętnie na robota obsługującego innych klientów, kątem oka zarejestrowawszy ruch. – Miałem kompletnie inne oczekiwania, wstępując do sekty. Dlatego od pewnego czasu konspiruję, by ocalić życie choć garstce niewinnych osób. Na razie uchodziło mi wszystko płazem, ale to tylko kwestia czasu, aż moje postępowanie wyjdzie na jaw.

– Ty przynajmniej ponosisz konsekwencje swojego wyboru. Ja nie chciałem mieć nic wspólnego z likanami, a i tak zachowuję się przymusowo jak jeden z nich. Boję się, Jack, tak samo jak ty. Mój ojciec nic nie wie o wydarzeniach z lasu. Jest bogaty, na pewno mógłby mnie wysłać gdzieś daleko – Sakai machnął ręką w stronę stropu – gdyby się dowiedział o moich problemach albo uruchomiłby

swoje kontakty, by zniszczyć likanów. Oznaczałoby to jednak wojnę z Remulusą, a sekta ta nabrała charakteru niebezpiecznej szajki przestępczej.

– Hiro? – Jack odczekał kilka sekund, aż mówiący dotychczas do kryształu świetlnego ustawionego na stole kolega spojrzy mu w twarz. – Co byś powiedział na to, abyśmy wstąpili do Kiritian jako specjaliści cywilni?

– Wiesz, że nieraz to rozważałem? Forkis jednak przyjmuje tylko patriotów, którzy szczerze chcą dołączyć do narodu i służyć wzrostowi jego potęgi. Każdy kandydat jest skrupulatnie sprawdzany. Ci, którzy chcieliby zostać Nieśmiertelnymi, bo przed czymś uciekają, albo mają w tym inny egoistyczny interes, od razu zostaliby odrzuceni, może i jeszcze coś gorszego...

– A gdybyśmy dostarczyli im dowodów na to, że mamy na Calcaris niebezpiecznego obcego? Byłoby to dla Kiritian epokowe odkrycie. Sama specyfikacja badawcza, którą posiadasz, może zostać uznana za fałszywkę, bo każdy mógłby sobie wpisać w parametry krwi liczby, jakie chce, dlatego potrzebny jest nam namacalny dowód.

– O ile rzeczywiście istnieje jakiś obcy. Inaczej zrobilibyśmy z siebie przed Forkisem i jego liktorami takie pośmiewisko, że przez kolejne tygodnie mieliby z nas polewkę. I rozumiem, że to jest ten twój plan, Jack?

Technik mechanik również sięgnął po piwo.

– Zobacz, elita likanów istnienie obcego trzyma w tajemnicy. Sami podjęli taką decyzję, zdecydowali za innych odersów planety. Jeśli to *faux pas*, mogą sprowadzić ogromne zagrożenie na Calcaris albo i jeszcze większy obszar. Dlatego trzeba z tym skończyć i ściągnąć tu Kiritian. Tylko przed nimi każdy czuje respekt, nawet rebelianci, chociaż ich nienawidzą.

– Chyba już rozumiem, do czego zmierzasz. – Ożywiony Hiro wskazał sąsiada palcem. – Jeśli przylecieliby tu Kiritianie, szukając obcego, zrobiliby przy okazji rozpiżdziec z likanami z lasu, nakładając na cały obszar kwarantannę albo karząc ich za to, że zatajali tak cenne odkrycie. Rykoszetem mogłoby oberwać jednak też Sutafochun, Tikimo, jak i więcej okolicznych miast. W najgorszym przypadku zakończy się spięciami Nieśmiertelnych z rebeliantami działającymi w tej strefie kosmosu.

– Musimy więc przekonać ich, by skupili się tylko na lesie.

Hiroshi przyglądał się przez moment ze sceptycyzmem koledze.

– Czegoś tu mocno nie rozumiem – zaczął wolno. – To raczej powinien być mój plan, aby uciekać nawet do Kiritian, by wreszcie skończyć z wykorzystywaniem mnie przez likanów. Ale ty? Masz przecież spokój. Skąd zatem ten pomysł? Jesteś aż takim altruistą?

Jack popukał palcami w stół, rozważając, czy warto kontynuować. Podjął decyzję.

– Skoro już karty są odsłaniane, prawda jest taka, że od dawna pragnąłem być Kiritianinem. Marzyło mi się, by na co dzień mieć do czynienia z ich technologią. Samorozwój na tak wysokim poziomie. Tyle możliwości. Jesteś pierwszą osobą, Hiro, której to mówię.

– Kolegujemy się od lat i dopiero teraz o tym słyszę?

– Są tajemnice, które lepiej zachować tylko dla siebie, zwłaszcza gdy na Calcaris nie lubi się Nieśmiertelnych. Kiedy jesteś wróblem w stadzie wron, nie stawaj się jedną z nich, jedynie ją udawaj. Inaczej sam sobie udowodnisz, jaki jesteś niestabilny, a twoje poglądy i wartości tak naprawdę są niewiele warte.

– A co z moralnością? Twoim sumieniem?

– Zawsze będziesz tym złym, jeśli twoją historię napisze wroga ci osoba. A wszystko, co wiemy o Kiritianach, pochodzi głównie z ust rebeliantów. Nie ma dowodów na to, że nie jesteśmy karmieni propagandą. Według mnie Nieśmiertelni są szarzy, jak wszystkie grupy społeczne i narody od początku istnienia ludzkości. Mają po prostu własne priorytety i interesy.

– Dobra, nie mam ochoty poruszać tematów polityczno-egzystencjalnych. Skoro od dawna chciałeś być Kiritianinem, czemu po prostu nie zgłosiłeś się na którykolwiek ich posterunek w kosmosie czy nie złożyłeś podania elektronicznie?

– Bałem się odtrącenia. Że moje umiejętności dla nich nic nie będą znaczyć, i co najwyżej mogę liczyć na stanie się ich szeregowcem. A nie zależy mi na byciu achij z bronią, w grę wchodzi tylko bycie pracownikiem cywilnym. Gdybym wyjawiał im jednak istnienie obcego, może miałbym szansę na jakąś wdzięczność. Ty skorzystałbyś jeszcze bardziej, bo jesteś ekspertem w dziedzinie elektroniki, Kiritianie trochę by cię podszkolili i stałbyś się na pewno ich cennym nabytkiem. Jednocześnie nietykalny nie tylko dla sekty Remulusy, ale i likanów na innych planetach, gdybyś zdecydował się jednak opuścić Calcaris. Będę potrzebował twojej pomocy z odbiciem tej krwi. To jak, wchodzisz w to?

– A nie łatwiej byłoby zwyczajnie poprosić o nią Nathana, zwłaszcza że jest skłócony z alfą i guru?

– Skoro Nathan do tej pory mnie, jako swojemu koledze, o niej nie powiedział, znaczy to zapewne, że nie chce ujawniać tych informacji. Znając go, poszumał trochę, ale nie podejmie żadnych radykalnych kroków. Boi się o bezpieczeństwo Lan. Co zatem odpowiesz?

– Że dziś złamię zasady moralne i pofolguję sobie na całego. – Hiro wezwał robota, aby przywiózł mu jeszcze jedną kolejkę piwa.

Jack uśmiechnął się szeroko.

– A wiesz, że to całkiem dobry pomysł?

* * *

Hanako spanikowała, budząc się w mokrym, gorącym otoczeniu, na mocno ograniczonym obszarze. Zwłaszcza że ze snu wyrwał ją koszmar, w którym połknął ją ogromny wilkołak.

Gdy ujrzała nad sobą zniekształcony owal koron drzew i drobne prześwity błękitnego nieba, zrozumiała, że znajduje się zanurzona w kybro. Nie miała pojęcia, jak znalazła się w środku. Pamiętała, że przybyła nocą do benglowa z obawą, że nie zostanie już tam cyborga. Kiedy się okazało, że wciąż znajduje się na terenie enklawy, streściła mu ostatnie wydarzenia, kończąc na tym, że tauricja włączyła jej nadzór w entraserze.

I potem jakby straciła świadomość, pamiętając jedynie, że avor był chyba na nią zły.

Thino'pai, który uchylił karapaks, pociągnięciem za rękę usadził dziewczynę i zdjął jej maskę oddechową. Nie miał na sobie pancerza. Obok w powietrzu wisiał Zo'yo.

– Powinienem to zrobić już dawno – oznajmił cyborg dziwnie melancholijnym głosem.

Ociekająca mazią Hanako, zorientowawszy się, że ma na sobie jedynie bieliznę, patrzyła na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Ale co?

– Nie masz już w głowie entrasera, wyjąłem go.

Wyznanie Thino'paia odebrało jej mowę. Wyszła z kybro z zamiarem pobiegnięcia po lusterko, jednak cyborg podał jej to z torebki, wiedząc, jaka będzie pierwsza rzecz, którą zechce zrobić. Nie znalazła na głowie nawet śladu blizny, w dodatku czuła się bardzo dobrze.

– Coś ty zrobił? Nawet mnie nie zapytałeś!

– Przecież ten czip to i tak popłuczyny po tym, że dostarczono ci wiedzę niezbędną do funkcjonowania w twoim wieku, w tym społeczeństwie. A teraz nikt już nie będzie mógł go wykorzystać, by cię śledzić. Nie ma u was przecież obowiązku posiadania go.

– Jednak w przyszłości znów mogłabym wykorzystać entrasera do transferowania mi kolejnej dawki wiedzy.

– Uwierz mi, lepiej nie mieć tego w głowie. – Wypowiedziane z lekką ironią słowa avora zabrzmiały jak zapowiedź czegoś nieprzyjemnego. – Zresztą jeśli będziesz chciała, zainiekcjujesz sobie przecież drugiego.

– Dlaczego lepiej nie mieć?

Nie doczekała się odpowiedzi, otrzymując jedynie od rozmówcy znane jej już, charakterystyczne, chłodno-ostrzegawcze spojrzenie, będące niewerbalną informacją o zakazie przekraczania pewnej granicy. Wykonała dwa kroki i stanęła blisko Thino'paia, spoglądając mu w oczy, mogła wyczytać cokolwiek tylko z tego białkowego. Drugie stale wyglądało bowiem jak celownik przed oddaniem strzału.

– Nie chodziło o namiar, prawda? – zapytała cicho. – Przyleciałam do ciebie z pełną świadomością, że tauricjanci i tak mnie tutaj nie namierzą.

Thino'pai nie spuszczał z niej oschłego spojrzenia.

– Wygląda to tak, jakbyś symbolicznie zwrócił mi wolność. Byś nigdy nie mógł już nade mną sprawować kontroli. Może to gest pożegnania?

Pytanie i tak mogła sobie darować, bo cyborg i na tę kwestię nie raczył udzielić odpowiedzi.

– To powiedz chociaż, jak go wyjąłeś.

– Standardowe metody avorów. Dopiero byś się wkurzyła. – Historia o tym, że odurzył nagle Hanako środkiem usypiającym, brutalnie wyrwał jej entrasera z głowy, następnie naprawił uszkodzone tkanki tym, co miał pod ręką, w tym zamówionym klejem molekularnym Kiritian, by finalnie umieścić dziewczynę w kybro, także nie została przytoczona. Thino'pai doskonale znał się na anatomii

humanoidalnych gatunków. Wiedział, w którym miejscu zadawać głębokie rany, aby skończyło się na krótkim krwawieniu a nie dysfunkcji układu nerwowego, czy nawet zgonie. A ciało Hanako zbytnio nie różniło się od tych, z którymi miał do czynienia, jak i jego własnego. – Leć sobie gdzieś – odprawił leberiksa, a gdy ten znalazł się już ponad koronami drzew, skupił się znów na dziewczynie. – Wytłumacz mi jedno, Hanako. Mogłaś udać się bezpiecznie do swojej rodziny, dlaczego więc się narażałaś, lecąc głęboko do lasu, po którym kręcą się likanie?

– Jest ich tylko dwóch, zresztą nie odebrano mi strzelby. Mam też przy sobie pistolet energetyczny, jednak największe bezpieczeństwo zapewniałby mi pędzący skulak.

– A jeśli jest ich więcej? – Że już zabił kilku likanów, Thino'pai oczywiście nie chciał oznajmiać.

Hanako zerknęła na grunt między ich nogami.

– Tak naprawdę, poza udaniem się do ciebie, nie miałam dokąd iść – przyznała szeptem.

Uniosła wzrok. Zrozumiała w tej oto chwili, stojąc przed cyborgiem, jak bardzo była oddalona od swojej rodziny, a zniechęciła się do niej jeszcze bardziej po przygodzie z nadajnikiem. W skostniałym ojcu niemalże miała wroga. Tak często ją beształ i poniżał, że nie zwróciłaby się do niego nawet z problemem, w którego rozwiązaniu Riku byłby ekspertem. Dziadek Tun Tun po prostu istniał, równie dobrze mógłby być rzeźbą. Nawet nie wiedziała, czy Fuhito w ogóle ją lubi, czy jego dokuczanie było klasyczną przekorą pomiędzy rodzeństwem, czy też traktował to jako bezduszną zabawę. Shuang była wrażliwa, delikatna, ale tak potwornie uległa, że w chwilach, gdy wypadałoby pokazać pazury, bierna postawa matki drażniła Hanako. Pogodna babcia Misaki chyba najlepiej prezentowała się z towarzystwa Saharów, choć dobrze wychodziło jej raczej uśmiechanie się i sypanie dobrymi radami.

Hanako odetchnęła głęboko. Z ukontentowaniem zamknęła oczy, czując na klatce piersiowej kojący ucisk torsu cyborga, na szczycie głowy ciepło jego podbródka, a na plecach – dotyk mocarnych dłoni. Nie prosiła Thino'paia o pocieszenie, ale i tak jego gest, jakże ludzki, przyniósł jej ogromne ukojenie. Cyborg zdawał się już dobrze rozumieć niektóre ludzkie potrzeby i całkiem trafnie na nie reagować.

Rozczuliła się, świadoma, że jest już całkowicie bezpieczna w swojej leśnej twierdzy, choć bez murów, w ramionach kosmity, porzuciwszy problemy gdzieś daleko za bagażnikiem skulaka.

– Zabiłam człowieka – wyznała, czując, że łamie jej się głos.

– I co z tego?

Zaskoczona wysunęła się z jego objęć, w czym pomogła śliska maź pokrywająca jej ciało.

– I co z tego? Liczyłam, że choć ty mnie jakoś pocieszysz. W przeciwieństwie do ciebie ja mogę sobie pozwolić na wyrażanie emocji. To oczyszcza człowieka.

Prysnęła magia chwili. Hanako poczuła się jak w pierwszych dniach ich znajomości, gdy, rozdzieleni biologią i normami kulturowymi, kompletnie nie potrafili się porozumieć mimo znajomości języka.

– Mówiłaś zaraz po przylocie do benglowa, że działałaś w obronie własnej. Gdzie więc widzisz problem? – Thino'pai kompletnie nie rozumiał jej rozterek. Przytoczył przykład z obroną jedynie dlatego, że wśród ludzi odbieranie komuś życia, by ratować własne, było akceptowalne. Chociaż dla niego nie stanowiło różnicy, czy jest się broniącym czy atakującym. Był avorem stworzonym do eksterminacji, zlikwidował już setki tysięcy istnień. Zaprogramowano go tak, że już swoją pierwszą ofiarę zabił z pełną swobodą.

– Brzmi to tak, jakbyś był oswojony z zabijaniem. – Dziewczyna wypowiedziała głośno jego myśli.

– Lepiej porzućmy ten temat.

Znów pozwoliła mu wziąć się w ramiona. Fizyczna forma pocieszenia w wykonaniu Thino'paia zdawała się najlepszym wyborem – nieodpowiednio dobrane słowa miały moc łamania kości, a o te nietrudno było w ich relacjach.

– Skoro już tu jesteś – wymruczał cyborg – czas pomyśleć o transporcie dla mnie. Nie mogę tu zostać w nieskończoność. – Widząc jej posępną minę, dodał: – Leć ze mną, Hanako. Jako moja wahirika.

– Nie miałam okazji, by przemyśleć wszystko na spokojnie. Jest to dla mnie szczególnie trudne, bo mówisz mi niewiele o swoim życiu i osobach, wśród których przebywałeś. Daj mi, proszę, trochę czasu.

– Dobrze – odparł jedynie, choć dziewczyna liczyła, że oczywista aluzja skłoni go wreszcie do jakichś wyznań.

Poszli do bengłowa.

Hanako wytarła się ręcznikiem z mazi. Thino'pai położył się pod ścianą na jej posłaniu, pociągnął zaskoczoną dziewczynę ku sobie, w efekcie czego wylądowała na jego torsie. Nakrył ją kocem.

Chociaż nie potrafiła zinterpretować, czy cyborg postanowił ją tak pocieszyć, czy znów żywił się jakąś formą jej energii, te błogie chwile sprawiały jej przyjemność. I bardzo odprężyły. A ona tak bardzo tego potrzebowała.

Przestała się obawiać, że Thino'pai bez jej wiedzy i zgody znów zrobi coś szokującego. Zasnęła z głową ułożoną na jego brzuchu jak na wygodnej, ruszającej się poduszce.



11. Wielkie polowanie

– Musiałeś wymyślić akurat coś takiego? Przecież to wali sztaampą i podstępem na kilometr! – Jack porozumiewał się z Hiroshim przy pomocy komunikatora, który miał formę przezroczystych nalepek elektronicznych nakładanych przy ustach i uchu, aby nie musiał korzystać z holonotu. Znajdujący się w swoim informatycznym królestwie, czyli w domu, Japończyk używał z kolei kapripoda.

– Przypominam, że to był twój pomysł, Jack – odpowiedział Sakai.

– Mogłem wejść tam zwyczajnie w caju roboczym. Sprzęt dostałbym na miejscu.

– Zobaczysz, że zadziała, będzie dodatkowym atutem. To przedmiot równie niezmienny, co niezawodny od tysięcy lat. W swoim fachu powinieneś znać jego magię.

Technik mechanik westchnął w odpowiedzi. Udał się rano do placówki medycznej – z niesioną na barku rozkładaną, ultralekką drabiną. Hiro włamał się

na serwery obiektu, by sprawdzić, kto kiedy ma dyżury. Ustalili, że Nathan powinien pojawić się na swoim stanowisku dopiero na drugą zmianę.

Według Hira zadanie miało być dziecinnie proste. Kazał Jackowi po prostu iść przez kolejne korytarze i sektory, kiedy sam zobowiązał się zająć resztą. Krew obcego, wykluczając zabezpieczenia Nathana, nie była strzeżona zgodnie ze standardami obiektu, bo nikt więcej o niej nie wiedział.

Jack poczuł, że robi mu się gorąco, gdy zbliżył się do bramy wejściowej. Z akwarium po lewej stronie wyszedł szczupły strażnik o czarnych włosach.

– Cześć, Jack – przywitał się. – Znowu jakieś naprawy?

– Ależ skąd, ja tylko tak z nudów chcę się przejść z drabiną po placówce – zażartował Schwartzberg. Obaj zaśmiali się krótko. Znali się dość dobrze, strażnik więc wiedział, że młodzieniec nie ironizuje.

– Co tym razem?

– Gabinet Nathana. Pod sufitem wywalila się klimatyzacja.

– Lubię to nasze miasteczko za to, że czynnik ludzki ma tutaj pracę, a nie wciskają wszędzie robotów i androidów. Masz upoważnienie?

Jack błysnął mu monitorkiem holonotu, z którego wychylił się holograf. Widniała tam notka i podpis elektroniczny kierownika poziomu, sfalszowane przez Hira. Wszystko wyglądało autentycznie.

– Baw się dobrze – rzekł strażnik, wracając na swoje stanowisko po zeskanowaniu wejściówki.

– Nawzajem.

Jack przeszedł przez bramkę.

Gdy pokonywał kolejne korytarze, poza znajomymi, którzy się z nim witali i czasem zamieniali kilka słów, nikt nie zwracał uwagi na znanego wszystkim technika mechanika z drabiną na ramieniu.

Minął dział pierwszej pomocy, sektor chorób dziecięcych i wewnętrznych u dorosłych. Nie było wielu pacjentów. Ogólnie każdy, kto przychodził do placówki z jakimkolwiek problemem, zwykle wychodził z niej zdrowy jeszcze tego samego dnia. Najczęściej stosowano nieinwazyjną terapię nanobotową, która polegała na wypijaniu umieszczonych w szklance wody, zaprogramowanych pod pacjenta nanitów. Te przemieszczały się do uszkodzonej tkanki i albo ją rozdrabniały, albo w procesach mechaniczno-biochemicznych przywracały jej

zdrową strukturę. Jedynie w przypadku większych urazów, typu utrata kończyny, należało zostać przez dłuższy czas na miejscu. Odersi nie dysponowali tak dobrymi medykamentami i metodami co Kiritianie, u których podobne terapie przebiegały błyskawicznie.

Paradoksalnie kłopoty zaczęły się dopiero przy wejściu do z pozoru mniej istotnego działu weterynaryjnego, który należało przejść, by dostać się do laboratoriów, gdzie Nathan miał gabinet. Od czasu, gdy skradziono dające główny dochód Sutafochun króliki, bardziej pilnowano związanych z nimi obiektów.

Na koordynatora działu akurat wciśnięto tu androida.

– Jest upoważnienie? – zapytał, wychodząc do Jacka przed dwudzielne drzwi zbudowane z metalu i twardej struktury produkcji bakteryjnej.

Jack pokazał mu to samo, co wcześniej strażnikowi przy wejściu do placówki.

– Nic nie wiem o żadnej awarii – odparł android. – Muszę skontaktować się z dyrektorem.

– Nie sądzę, by dyrektora poinformowano o czymś tak błahym, jak uszkodzona klimatyzacja w pomniejszym pomieszczeniu – wymknęło się Jackowi, czego natychmiast pożałował, bo ewidentnie zabrzmiało to jak kombinatorstwo.

Spoglądająca w srebrną ścianę, beznamiętna maszyna o wyglądzie człowieka jednak już kontaktowała się poprzez holonot z dyrektorem zmiany.

No to wtopa, pomyślał Jack, czując gorąco na karku.

– Dzień dobry, dyrektorze Kova. Tu android 736 z punktu 14. Czy była zamawiana naprawa klimatyzacji do gabinetu 190?

– Chwileczkę, zaraz sprawdzę – odezwał się znany Jackowi męski głos. Po krótkiej chwili ciszy oznajmił: – Tak, wszystko się zgadza. Nathan Nakalski skarżył się wczoraj, że jest mu zimno. Nasz Jack z warsztatu miał się tym zająć z samego rana.

– Dziękuję, panie Kova.

– Miłej pracy, 736.

Android rozłączył się.

– Wszystko się zgadza, proszę wejść. – Wskazał Jackowi uchylone drzwi.

Gdy mężczyzna skręcił za węgiel po przejściu odcinka głównego korytarza, skontaktował się z Hirem.

– Co to niby miało być? Poinformowałeś też Kovę o moim przyjeździe?

- A gdzie tam. - Japończyk uśmiechnął się w swoim pokoju. - To była kombinacja fejka twarzy i głosu, bardzo stara, ale niestety ciągle skuteczna sztuczka. Przyznam, że nie spodziewałem się utrudnień ze strony androida, ale na wszelki wypadek przygotowałem fałszywkę, wiedząc, że Kova będzie obecny na pierwszej zmianie. Bez wnikliwej analizy nie da się odróżnić fejka od autentycznej rozmowy, jeśli tego pierwszego przygotował specjalista - zażartował.

- No a android? Człowieka wykiwasz, maszyna jednak powinna się zorientować.

- To model Liquid 2.2, wystarczający do pełnienia funkcji stróża i kontrolera uprawnień, ale za głupi, by wykryć zaawansowane sztuczki hakerskie.

Dalsza część krótkiej wycieczki przebiegła bez problemów. Gdy tylko Jack zbliżył się do drzwi docelowych, widzący go na celluli z korytarza ochroniarz otworzył mu je ze swojego akwarium. Schwartzberg zawahał się, nie wszedł do środka, tylko oparł drabinę o ścianę przy progu i udawał, że bada palcem prowadnicę.

- Hiro, przecież w gabinecie też jest cellula monitorująca - zagadał do kolegi oddalonego o dwa kilometry. - Będą widzieć, że szukam szafki.

- I do tego się przygotowywałem, gdy ty sobie smacznie spałeś. Jak tylko przekroczysz próg, załaduję im kolejnego fejka, na którym niebawem będą widzieć, że sterczysz pod sufitem na drabinie.

- Ty to masz łeb. - Kiedy Jack wszedł do gabinetu, zapaliły się częściowe, białe światła, które nie rozganiały półmroku zaległego w kątach pomieszczenia. - Kiritianie będą tobą zachwyceni.

- Nie przesadzaj, teraz do roboty.

- Leci już ten twój fejk?

- Tak. Spokojnie. Otworzyłem ci też zablokowane szafki.

Jack oparł drabinę o jedną z nich i, kucnąwszy, zaczął przeszukiwać pierwsze szuflady.

- Tutaj jest to, czego szukasz.

Technik mechanik zeszytniał. Mimowolnie się wyprostował, czując potrzebę rzucenia się do ucieczki, gdy usłyszał za plecami stanowczo wypowiedane słowa, ale i z nutą znużenia. Obrócił się powoli i zobaczył spoglądającego nań obojętnie Nathana, który z nogą założoną na nogę siedział w półcieniu na krześle. Jack nie

zauważył go, tę część gabinetu zasłaniały bowiem urządzenia analityczne oraz szafka z narzędziami. Przyczajony Nakalski postanowił w dodatku nie dawać znaku życia.

– Wiedziałem, że przyjdiesz. – Mający na sobie kitel analityk podniósł się ciężko z siedziska. Wyglądał niewyraźnie, jakby ostatnio mało sypiał. W ręce trzymał niewielki, cylindryczny, przezroczysty pojemnik z zakrwawionym opatrunkiem.

– Hiro... – zwrócił się Jack do komunikatora.

– Też nie wiedziałem, że tu jest. – Z tonu Japończyka przebijała frustracja, jakby był zły na siebie samego. – Tkwił w jedynym martwym punkcie, poza zasięgiem celluli. Słuchaj, zabierz drabinę i idź pod ścianę obok Nathana. Wyłączę fejkowy pokój z twoim płynnym zejściem, gdy znikniesz z widoku, bo teraz to już bez sensu, skoro ochrona wie, że Nakalski jest w gabinecie.

– Rozumiem, że masz na linii Hiroshiego – stwierdził analityk, gdy Jack znalazł się przy nim. Technik mechanik przytaknął. – Nie jestem zaskoczony.

– Co tutaj robisz?

Nathan zignorował pytanie, wcisnął mu w dłoń trzymany pojemnik.

– Wykorzystajcie mądrze broń, którą daję wam do rąk.

– Czyli to jest ta sławetna krew obcego. – Jack przyglądał się zabezpieczonemu przedmiotowi, lekko go okręcając. – Dlaczego odnoszę wrażenie, że wtedy w abysanktum celowo mówiłeś głośno, widząc mnie na dole? Wnioskuje, że ty też masz własne plany.

– Znam cię dobrze, Jack, jesteśmy kolegami od dziecka. Nietrudno było przewidzieć, jak postąpisz. W przeciwieństwie do ciebie zawsze byłem tchórzem, grożenie i unoszenie głosu to najlepsze, na co mnie stać. To domena słabych ludzi. Remulusa, Shanti i Ligrid wiedzą o tym doskonale, dlatego nie wahali się przesłuchać Lan, kiedy potrzebowali informacji. Mieli świadomość, że i tak nigdy nie przysporzę im kłopotów... Nawet gdy w grę wchodziła obrona kogoś, kogo kocham. – Spojrzawszy na jedną z przyziemnych gablotek, Nathan zacisnął zęby, jak i dłoń na materiale kitla. – Mam wprawdzie paru znajomych skorych do pomocy, ale i tak byłaby to zbyt mała siła, by jakkolwiek zaszkodzić sekcje. Przydałby się tu ktoś naprawdę potężny.

Jack nie skomentował, pocieszenie analityka jeszcze bardziej odbiłoby się na jego zszarganym ego. Posłał mu jedynie pobłażliwy uśmiech świadczący o tym, że niezbyt się zgadza z jego rozumowaniem. Schował pojemnik do kieszeni na piersi i klepnął w niego dwukrotnie.

– Chodźmy pod zasięg celluli, niech ochrona ma nas na widoku.

Przemieścili się ku biurku Nathana. Mężczyzna usiadł w fotelu przed swoim kapripodem pracowniczym, podczas gdy Jack oparł się rękoma i pośladkami o krawędź metalowego stołu.

– Jak się w ogóle czuje twoja dziewczyna? – zapytał Jack.

– Fizycznie jest wszystko dobrze, dłoń ma dokładnie taką, jak przedtem. Psychicznie jest jednak roztrzęsiona.

– Powinieneś być przy niej.

Indianin skinął parę razy.

– Mam zamiar zaraz do niej jechać. Wybacz mi, że cię w to wkopałem...

– Przecież nie przyciągnąłeś mnie tu na łańcuchu. Mogłem równie dobrze olać sprawę.

– Po tym, co uczynili Lan, zerwałem z sektą. Jednak nigdy bym się nie odważył działać przeciwko nim.

Jack potrząsnął jego ramieniem. Tym razem musiał coś powiedzieć.

– Niepotrzebnie się usprawiedliwiasz. Odwaga nie polega na staniu na wzniesieniu i krzyczeniu wszem wobec o swoich czynach, bo wtedy nosi miano głupoty. Samokrytyka to najlepsza forma odwagi, bo mało kto chce ujawniać swoje wady. Tak naprawdę otworzyłeś mi bramę na ryzykowną, ale i świetlaną przyszłość. – W jego słowa wdarł się entuzjazm, który Nathan trafnie zinterpretował.

– Niech zgadnę: nie będziesz szedł na łatwiznę i od razu sprowadzisz tu Kiritian? – To brzmiało tak absurdalnie, że analityk zaśmiał się nerwowo. – Wtedy z pewnością rozwalilibyś plany arcykapłanki i reszty ferajny. Oni dokładają wszelkich starań, by poza nimi nikt się nie dowiedział o rzekomym kosmicie. A uściślając: nie robią nic. Są w dupie. Nie wiedzą, jak podejść do problemu. Jedynie niecierpliwy, impulsywny Midnight się rwie do działania. – Spojrzał poważniej na kolegę. – Na argenów... ty serio myślisz o Kiritianach?!

– Skąd wiedziałeś? – Jack był pod lekkim wrażeniem.

– Mówiłem już, że znam cię nie od wczoraj. Jesteś miłą, lubianą przez wszystkich cichą wodą, ale potrafisz też walnąć z krążownika, gdy sytuacja tego wymaga. Twoje ambicje tu nie wykiełkują. Pozostaje mi życzyć ci powodzenia.

– Leć z nami do nich, ze mną i Hirem.

– Żywot Nieśmiertelnego? I jeszcze trzeba się do nich dostać. Wybacz, to nie dla mnie. Wolę już zostać tutaj. – Nathan wskazał palcem na sterylną podłogę. – Ale wszystko jeszcze przemyślę. Niewykluczone, że przeprowadzimy się z Lan do innego miasteczka, skoro sam szeryf jest likaninem, a w Sutafochun władzę sprawuje ordynat tauricyjny, z nim na czele. Skoro już przyszedłeś, to zrób mi ten przegląd gabinetu. – Uśmiechnął się bez entuzjazmu. – I pozdrów Hira.

– On też cię pozdrawia – Jack przekazał słowa niewtrącającego się dyskusję kolegi.

Przeniósł drabinę pod ścianę, w zasięg celluli, i wszedł na kilka szczebli. Wyciągnął skaner techniczny z jednej ze swoich głębokich kieszeni caju.

Od tego momentu dyskutowali z Nathanem na luźne tematy – dotyczące wyposażenia budynku, szczurów w szybach i kwestii BHP.

* * *

Jack i Hiro ustalili, że spotkają się wieczorem, zgodnie z czasem calcaryjskim, w chronionym humansferą porcie lotniczym na niebiesko-szarym księżycu Cal-3. Japończyk zaproponował, aby na wszelki wypadek dolecieli tam osobno orbusami. Pierwszy dotarł na miejsce, odbywszy z planety kilkugodzinną podróż; kolegi wyczekiwał kolejne cztery godziny, oswajając się z co nieco mniejszym niż na Calcaris ciężeniem. W tym czasie udało mu się znaleźć w Univnecie kontakt do pewnego Kiritianina, porucznika Roberta Millesa, który zgodził się z nimi spotkać na Cal-3. Gdyby to się nie udało, Sakai jako plan B uwzględnił lot do Nieśmiertelnych w głąb kosmosu.

W momencie gdy Jack dołączył do Hira, z otchłani kosmosu wyłonił się kiritiański skwadron: średni transporter klasy TN o wyglądzie meduzy *Turritopsis nutricula*, kilka fust oraz parę karawel – okrętów o przeznaczeniu rozpoznawczo-desantowym. Siła wystarczająca, aby wzbudzić strach wśród odersów portu

lotniczego i by znajdujący się w sektorze rebelianci zastanowili się kilka razy, czy leżało w ich interesie atakowanie takich maszyn, co mogłoby skończyć się wojną.

Skwadron wylądował, nie przejmując się żadnymi procedurami, w tym zajęciem zarezerwowanych miejsc postojowych. Nieśmiertelnym nikt nie robił o to pretensji, choć odersi załamywali ręce i kręcili głowami.

Hiro liczył, że spotkanie będzie bardziej kameralne. Chciał wierzyć, że oto przylecieli jacyś inni Kiritianie, ale rozpoznał niestety porucznika Millesa. Mężczyzna wyłonił się z eskortowanego transportera razem z kilkoma achij, wszyscy mieli na sobie lekkie, biometalowo-dhurnstalowe zbroje w barwach czarno-atramentowych z elementami indygo. Ich twarze były odsłonięte. Millesa cechowały jasne włosy oraz karnacja, wizualnie wyglądał na człowieka po trzydziestce, ale zgodnie z legendami krążącymi na temat Nieśmiertelnych kalendarzowo mógł mieć i trzysta lat. Fenotypowo przypominał Jacka, przez co Hiro pomyślał, że Kiritianin być może też pochodził z ziemskiej Europy Środkowej czy Północnej. Pasażerowie oraz pracownicy portu patrzyli z niepokojem w stronę idących przybyszy, majestatycznych, ponurych, niezaszczycających nikogo spojrzeniami. Hiro i Jack z minami z pewnością nie będącymi emanacją niezłomnych osobowości wyszli im naprzeciw.

– Jack Schwartzberg i Hiroshi Sakai? – odezwał się porucznik. Nie czekając na potwierdzenie, wskazał ręką transporter. – Chodźcie za mną.

Potencjalni kandydaci na Kiritian nie mieli wielkiego wyboru i ruszyli za zawracającym Millesem, otoczeni prawdopodobnie jego podkomendnymi. Normą u Nieśmiertelnych było fizyczne nieoznaczanie swoich pancerzy, a te u przybyłej sekcji wyglądały jednakowo. Z ich okrętami i statkami sprawa wyglądała podobnie. Ponoć to zawsze wkurzało rebeliantów, którzy podczas bitew w przeszłości nie mogli zlokalizować wrażego dowództwa.

Hiro i Jack nie wiedzieli kompletnie, czego mają się spodziewać.

– No to wpadliśmy – szepnął Sakai.

– Jak śliwka w kompot – dopełnił ponuro Jack.

Weszli na przypominający wielki organizm transporter i zostali doprowadzeni do kilkuosobowego kubryku o kształcie dysku, gdzie zajęli miejsca. Nieśmiertelni rozsiedli się wokół niczym pilnujący ich goryle.

Skwadron opuścił płytę portu, startując pionowo na napędach antygravitacyjnych. Odersi z księżycą wreszcie mogli odetchnąć z ulgą.

Maszyny szybko oddaliły się od Cal-3 i włączyły napędy plazmowe, aby uzyskać odpowiednią prędkość do skoku na napędach podprzestrzennych Alcubierre'a.

Kiritianie rozmawiali między sobą, z zasady ignorowali swoich gości, sporadycznie odpowiadając na ich pytania. Nie udzielili im jednak odpowiedzi, co dalej planują z nimi zrobić, przez co obaj coraz bardziej utwierdzali się w przekonaniu, że ten lot był fatalnym pomysłem.

Gdy nadszedł moment skoku podprzestrzennego, odersi liczyli, że będą mogli obserwować niezwykle zjawiska kosmiczne przez iluminatory kubryku. Niestety zasłonięto je storami, zmieniając pomieszczenie w mobilny schron, jakby miało dojść w tunelu transferowym do niebezpiecznych zjawisk fizycznych. Jack dowiedział się wcześniej, że puronaksowe osłony miały około metra grubości, więc trudno było sobie wyobrazić, że mogłyby ulec uszkodzeniu. Przypuszczał, iż chodziło o promieniowanie złożone o spotęgowanych parametrach. Dotąd nie myślał o tym, co może się dzieć w takim tunelu.

Że nastąpił skok, załoga kubryku dowiedziała się z przekazu z kokpitu. Jack z Hirem czuli jedynie, że podróżują ze stałą prędkością i gdyby zsunęli natorśniki, mogliby swobodnie się przemieszczać. Na pokładzie działało sztuczne ciężenie dzięki istnieniu „fałszywej” masy cząsteczek atoplaksalnych (transporter wydawał się na tyle duży, że mogła tu funkcjonować ta technologia). Nikt jednak nie opuszczał swojego miejsca.

Japończyk spostrzegł, że jego holonot przestał działać.

– To tymczasowe – rzekł Kiritianin siedzący po jego prawej stronie, widząc, jak próbuje przywrócić aktywność urządzenia.

– A dla zdrowia?

– Brak zagrożenia.

– A co z urządzeniami mostka w takim razie? Silnikami?

– Działają.

Tak mniej więcej przebiegały rozmowy.

Hiro z Jackiem nie mieli jeszcze możliwości latać w ten sposób. Słyszeli, że kiritiańskie napędy podprzestrzenne są o wiele bardziej wydajne i mniej energożerne niż u odersów, co odbijało się na czasie podróży. Zasadę ich działania,

opartą o załamanie czasoprzestrzeni, można było opisać na przykładzie drogi i pieszego. Jeśli prosta droga miała dziesięć kilometrów, człowiek przy swobodnym spacerze pokonałby ją, z punktu początkowego A do końcowego B, mniej więcej w półtorej godziny. Jeśli jednak z tej drogi utworzyć ciasną pętlę skierowaną ku niebu, o kształcie greckiej litery omega, gdzie oba punkty stykałyby się z ziemią, wystarczyłoby jedynie, by człowiek zrobił dwa kroki, aby przejść z punktu A do B, pomijając całą sterczącą w górę konstrukcję. Jego zegarek pokazałby jednak, że podróż trwała półtorej godziny, choć fizycznie dla niego minęłyby dwie sekundy.

Odersi stracili poczucie czasu. Posępne, spokojne oblicza współpasażerów stanowiły dowód na to, że podróż przebiega prawidłowo.

Kiedy odsłonięto story, ujrzeli wiele znajomych gwiazd, ale w innym położeniu. Maszyny towarzyszące przy braku oświetlenia pozostawały niewidoczne, ale stale znajdowały się w pobliżu. Zgodnie ze słowami Kiritianina holonoty znów zaczęły działać. Według nich podróż trwała cztery terrenejskie doby.

– Wciąż jesteśmy w Uniwersum Wagi, tym samym, w którym krąży Calcaris – wyjaśnił im Milles zbyt drobiazgowo to, o czym z zasady wiedziały już dzieci.

Po kolejnej godzinie podróży, tym razem na napędach plazmowych, na bakburcie w przednim iluminatorze dało się dostrzec prawie czarną planetę, przez co sprawiała przygnębiające wrażenie. Jack nie miał pewności, czy nie patrzy na ciemną stronę brązowego karła. Najbliższa gwiazda wyglądała jak jaśniejsza żółta kropka na czarnym tle, nakrapianym jeszcze mniejszymi kropkami, jakby ktoś umoczył igłę w świecącej farbie i dotykał nią losowo po ciemnym materiale.

– CD4G5 – rzucił porucznik Milles.

Tych kilka liczb i liter zmroziło krew w żyłach odersów, jakby wyrzucono ich z pokładu na zero absolutne.

– Przecież tam straszy... – oznajmił Sakai bez zastanowienia.

Kierowali się na Planetę Duchów. Podobno w roku 2770 Kiritianie wymordowali całą jej ludność. Przynajmniej tak twierdzili rebelianci.

Skwadron wleciał w stworzoną niegdyś terraformingiem atmosferę planety. Wkrótce pod poszyciami jednostek dało się zauważyć pierwszy wymarły, zardzewiały ośrodek przemysłowy, ze szkieletami sterczących wież i maszyn, głównie manufakturę górniczą. Od dawna nikt tutaj nie mieszkał, więc nie paliły

się żadne światła. Na tej półkuli panowała noc i gdyby nie włączone właśnie oświetlenie skwadronu, porzuconego miasta nie dałoby się dostrzec gołym okiem.

Minęli to ponure, zimne, smagane wiatrem miejsce i polecili dalej, utrzymując nad ziemią tę samą wysokość. Zaliczyli jeszcze kilka opuszczonych metropolii, nim maszyny wytraciły prędkość i zaczęły zniżać lot ku kolejnemu, pozornie wymarłemu miejscu.

Kiedy pod skwadronem uchyliła się mająca ponad dwieście metrów średnicy pancerna, kolista płyta, prowadząca do tymczasowego, podziemnego ośrodka Kiritian, odersi wiedzieli już, że zwodnicze rozluźnienie, które odczuwali w trakcie podróży, właśnie dobiegło kresu.

– Czy zastaniemy tam Forkisa? – Hiroshi słyszał, że podobno imperator Nieśmiertelnych osobiście rekrutował każdego nowego obywatela do swojego militarnego narodu. Inna wersja brzmiała, że wspólnie z Radą Dygnitarzy. Nieważne jak się to odbywało.

Większość Kiritian w kubryku uśmiechnęła się pobłaźliwie, ten najmłodszy, siedzący najbliżej wyjścia parsknął śmiechem. Choć zdawali sobie sprawę z tego, że odersi mieli prawo do niewiedzy, i tak bawiła ich niepewność tej dwójki, a także nieznaną aktywności rebeliantów w Zodiac Universum.

Milles udzielił im połowicznej odpowiedzi:

– Zajmie się wami niejaki porucznik Gregory Anderson.

– Myśleliśmy od początku, że chodzi o pana! – Jack powiedział głośno to, co od dłuższego czasu nie dawało mu spokoju. – Zdziwiło nas, dlaczego nie załatwiliśmy sprawy jeszcze na księżycu Cal-3.

– Nie odpowiadam za rekrutację – oznajmił Milles. Skwadron wylądował w podziemnej hali o nie wiadomo jak dużej powierzchni, część peryferyjna tonęła bowiem w ciemnościach. – Zasugerowano mi, by was sprowadzić, bo byliśmy akurat w pobliżu. Wasz dalszy los zależy od tego, co cennego dla nas macie. – Posłał Japończykowi stanowcze spojrzenie.

Odersi milczeli. Skoro Milles wcześniej ich po prostu nie zapytał o informacje, oznaczało to tylko jedno – zostaną przesłuchani przy użyciu metod, przy których nie da się mijać z prawdą.

– A jeśli się okaże, że jednak nie będziecie usatysfakcjonowani? – wymuskiło się cicho Hiroshiemu.

– Oczywiście przerobimy was na kotlety – nie wytrzymał achij, który wcześniej chichotał z pytania o Forkisa. Uśmiechnął się sardonicznie. Postanowił pozartować z bzdur krążących na temat Kiritian.

Kiedy Hiro i Jack zbledli, kolejna trójka Nieśmiertelnych zaczęła się śmiać. Milles był sfrustrowany, wołał, gdy jego ludzie zachowywali się na poziomie. Ale rozumiał, że chcieli trochę się zabawić kosztem być może przyszłych „kotów”.

– Wychodzimy – oznajmił.

* * *

– Na dupę Connora. – Vitani Kinsey, przebywająca na CD4G5 członkini kiritiańskiej Rady Dygnitarzy, trzymała ręce splecione na piersi. Przysunęła prawą dłoń do ust i zaczęła pukać się palcem po wardze.

Obok miała porucznika Gregory’ego Andersona, który zajmował się przesłuchaniem odersów z Calcaris. Oboje stali przy zewnętrznej osłonie jadalni, gdzie Jack i Hiro, posilając się, rozmawiali ze sobą cicho, skrępowani obecnością achij. Wczoraj przeszli testy i badania, a teraz czekali na rozstrzygnięcie swojego losu.

– Dokładnie, pani Kinsey. Grubo – poparł ją rudy porucznik. – Powinniśmy powiadomić Pierwszego Dygnitarza Galaktycznego.

Kobieta namyślała się długo. Potrząsnęła głową.

– Nie – odparła. – Na to jeszcze za wcześnie, by iść ze sprawą na samą górę. Trzeba najpierw wszystko sprawdzić i mieć ostateczne potwierdzenie. Ta dwójka sama nie wie do końca, co się tam dzieje. Krew obcego to wciąż za mało.

– Oczywiście, to pani obecnie jest najwyższym decydem na tej planecie. Co zatem mamy robić?

– Na razie nikomu więcej ani słowa, poruczniku. Zorganizuję skwadron i wtajemniczymy w tę sprawę tylko Kiritian stanowiących jego załogę. Polecą na Calcaris. Będą to najlepsze dostępne w tej bazie jednostki bojowe. Na maskowaniu nikt ich nie wykryje.

– A co z tymi tutaj? – Gregory skinął ku dwójce gości.

– Zwykle, małe niegroźne płotki z prowincji. Mają proste umysły. Forkis nie musi nawet ich sprawdzać. Niech zostaną. Przydadzą się.

* * *

Tkwiący w przykucu Midnight z pozorną obojętnością przyglądał się ciału swojej drogiej Vanady, do którego zdążyły dobrać się już liczne, wijące się robaki. Przesunął spojrzeniem po dwóch łuskach po nabojach, leżących przy paprociach. Nie wytrzymał dłużej udawania, że panuje nad sobą. Podniósł się gwałtownie i w gniewie, przy ściśniętych wargach, walnął potężnie pięścią w najbliższe drzewo. Padło na wiekową akację o pobrużdżonej, chropawej korze, co nie mogło skończyć się niczym innym, jak skaleczeniem ręki. Alfa jednak nie przejmował się krwią, która wykwitła mu przy paliczkach. Jego oczy lekko się zaszklily. Tych, którzy według jego standardów na to zasługiwali, potrafił szczerze kochać. A teraz stracił, po synu i żonie, jedyną osobę, na której po latach chandry znów zaczęło mu zależeć. Vanada lubowała się w okrutnych rozrywkach i była zdrowo walnięta, ale ich związkowi nic nie można było zarzucić. Dla siebie zawsze byli wspaniali. Dobrali się tak idealnie, że nawet nigdy się nie pokłócili.

Znając skłonności wkurzonego Midnighta do wybuchów, towarzyszący mu likanie poczuli się niepewnie. Grunt w takich przypadkach to – wzorem uległych wilków – spuścić wzrok i pod żadnym pozorem się nie odzywać. Jedynie otoczony sekcją androidów szeryf Shanti przyglądał się alfie bez strachu, z lekkim współczuciem. Ale to nie obecność maszyn sprawiała, że nie obawiał się jego gwałtownej reakcji – nawet zaślepiony paroksyzmem Midnight nie podniósłby ręki na kapłana sekty.

– Hanako jest trupem – oznajmił nienawistnie alfa. – Martwym ścierwem. Osobiście na nią zapoluję.

Już ruszał ku zostawionym na przesiece nieopodal skulakom i boltom, gdy przystopował go Shanti:

– Czekaj, nie działaj w afekcie.

– W afekcie? – Midnight zaśmiał się nerwowo. Ruszył gwałtownie ku szeryfowi, jakby chciał go uderzyć w twarz. Zamiast tego mu w nią wykrzyczał: – My nie robimy kompletnie nic, cała sekta! Stoimy w miejscu! Na początku miał być tylko kolejny przyjemny, sztamkowy rytuał, a teraz babrzemy się w totalnym gównie! Remulusa nie potrafi ogarnąć tego burdelu!

– Zabrzmiało to jak chęć dokonania puczu.

– Daleko mi do tego – zapewnił Midnight, przywołując na oblicze kpiący uśmieszek. Szeryf nie wiedział za bardzo, jak ma to interpretować.

Alfa jakby przypomniał sobie o leżącej Vanadzie. Patrzył na nią przez chwilę, nim zamknął oczy i wykonał głęboki oddech, co pozwoliło mu wziąć się trochę w garść. Spryskał trucizną zmasakrowane ciało z przywiezionego przez szeryfa zestawu, zabijając robactwo na miejscu, następnie wziął od jednego z likanów syntetyczny materiał i owinął nim z namaszczeniem nieżyjącą ukochaną, po czym ją podniósł.

– W Sutafochun rozeszła się niestety plotka – odezwał się Shanti – że w lesie grasują sadystyczni kidnaperzy. Na szczęście ani Hanako, ani nikt z osób, które wiedzą, co zaszło, nie rozpowiedziały i nie rozpowiedzą, że zabiła Vanadę, co będę mógł wykorzystać. Chciałbym od razu zakończyć sprawę i uspokoić miasteczko, prezentując mu udolność służb porządkowych, ale potrzebowałbym kozłów ofiarnych. Im będzie ich więcej i bardziej rozwalone, tym lepiej. To zawsze robi wrażenie. Wszystko już rozplanowałem, otrzymałem też zgodę Remulusy.

– Nie ma mowy. – Midnight domyślił się, co tamten zamierza powiedzieć.

– Moglibyśmy wykorzystać ciała zabitych likanów, które trzymamy w chłodni Nakhabangi do czasu rytuału w Noc Krwawego Księżyca. Oznajmiłbym oficjalnie, że zlikwidowaliśmy wszystkich kidnaperów z lasu. Przywieźlibyśmy ich w sarkofagach. Zabrałem już wszystko ze sobą. – Skinął głową ku służbowemu transporterowi.

– Przecież będzie widać po ranach, że nie zabiły ich androidy.

– Raczej nikt nie powinien drążyć ani chcieć ich oglądać, zwłaszcza gdy powiem, że problem został definitywnie rozwiązany. W Sutafochun wszyscy szanują mój głos, jestem tam ostoją prawa i sprawiedliwości. Wystarczą im moje słowa. – Szeryf nie mógł się nie uśmiechnąć drwiąco. – Mógłbym nawet wszem wobec oznajmić, że bandytów zabiliśmy w akcji, a następnie ich stopionymi ciałami użyźniliśmy las. Ale zawsze lepiej mieć dowody. Bez obaw, Midnight, zwrócę ci Vanadę... w dobrym stanie.

Alfa spoglądał kapłanowi chwilę w oczy, namyślając się, by zaraz potem mentalnie przesłać mu ostrzeżenie i tym sposobem przypieczętować złożoną przezeń obietnicę.

Grupa przemieściła się ku przesiece, tam w jednym z sarkofagów Midnight złożył ciało swojej dziewczyny.

Likanie z androidami polecili do Nakhabangi, gdzie szeryf pobrał z chłodni ciała Clarka, Tukina, Pabla oraz Tomasza. Nie wiedziano, co się stało z Ariakiem, po którym ślad zaginął, a sekciarze mieli na razie zakaz zapuszczania się do strefy inhibicyjnej.

* * *

Plan szeryfa powiódł się w całości. Kolejnego dnia oznajmił Lan, jak i całemu miasteczku, że dzięki świetnej akcji androidów zabito wszystkich kidnaperów, którzy nie poszli na współpracę, tylko od razu odpowiedzieli agresją. Wcześniej, na wszelki wypadek, kazał podziurawić swoim sztucznym podwładnym podstawione ciała bronią służbową w sposób, by nabrało to sensu. Oszczędził jedynie Vanadę. Wprawdzie archaiczna strzelba, od której zginęła, nie znajdowała się na wyposażeniu lokalnych tauricjantów, ale uznał, że nikt z cywilów nie będzie chciał wykonywać analizy balistycznej. Tak też się stało. Zresztą na placu przed komisariatem, gdzie wystawiono sarkofagi ze „zbirami”, na żądanie ojca Hiroshiego otworzono jedynie te z ciałami Tukina i Pabla, którzy mieli zginąć z bliskiej odległości od kul, noża i cięcia tkanek światłem. Gapie chcieli zobaczyć jakiegokolwiek trupy i dokładnie to otrzymali. Choć zapewne z niebezpiecznej Vanady, rzekomej liderki kidnaperów „zmasakrowanej androidzką bronią”, byliby zadowoleni najbardziej. Shanti oznajmił, że wszystkie ciała zostaną przerobione na nawóz i rozpylone po lesie.

Oczywiście po zmierzchu przytransportował je z powrotem do Nakhabangi.

Widzący start pojazdów z tarasu swojego domu Nathan z niesmakiem pokręcił głową. Zastanawiał się, czy Jackowi i Hiroshiemu udało się dogadać z Kiritianami. Poważnie rozważał, czy taka forma ucieczki od problemów nie byłaby jednak najlepszym rozwiązaniem. Jeśli miało się już przebywać wśród wrogów, najlepiej wybierać tych najsilniejszych.

Ale najważniejsze, że Lan dochodziła do siebie; perfidna metoda Shantiego ukoiliła jej zszargane nerwy. Czyli standard, pomyślał Nathan – kłamstwo jako najlepsze narzędzie do wywoływania spokoju i radości.

* * *

W Nakhabandze z kolei wszystko rozegrało się inaczej niż w Sutafochun. Na żądanie Midnighta obecni w zapomnianym mieście likanie zgromadzili się przed estradą amfiteatru, na której stali Shanti, Kion, Ligrid oraz Remulusa. Tym razem rolę guru, zarazem żywiolowego agitatora, przejął alfa krążący w tę i we w tę po zdezelowanych kamiennych płytach.

– Dość mam tej waszej indolencji! – krzyczał, wskazując oficjeli. Ogień w jego oczach nie ustępował tłacemu się w okolicy. W hierarchii Midnight znajdował się niżej niż elita sekty, ale tej nocy on sprawował tu realną władzę – swojskością, nieokrzesianiem i tym samym co tłum tokiem myślenia kupił sobie jego poparcie i lojalność. Nie obawiał się potępienia za swoją arogancję, gdyż to nie on był stroną niepokojącą się o własną skórę. Pozostałe alfy również popierały jego postawę. Likanie pragnęły wendetty, krwi i ofiar z winnych. – Nie potraficie poradzić sobie z jedną nastolatką. Giną nasi ludzie. Po lesie panoszy się nieuchwytny wróg. Nieuchwytny jedynie dla was, bo wszystko co fizyczne może zostać zgładzone. Jaki w ogóle macie plan?

Remulusa, która przyleciała do Nakhabangi po wiadomości Kiona, że „Midnight szaleje”, chciała odpowiedzieć, iż Hanako, która rzeczywiście uniknęła złożenia jej w ofierze w wytypowanym dniu, spełni swe przeznaczenie w czasie ważniejszego święta. Ale w obecnych okolicznościach zabrzmiałoby to na nieudolne tłumaczenie się. Nie wymyśliła nic lepszego, niż przerzucenie winy na ofiary:

– Wszyscy ci likanie zginęli z powodu własnej niekompetencji i nieposłuszeństwa. Nie mamy nic wspólnego z ich śmiercią.

Syknęła w myślach. Zabrzmiało to jeszcze gorzej niż pierwsza wersja. Dlatego nie zdziwiło jej, że Midnight wybuchnął śmiechem.

– Jasne. Oto słowa godne przywódcy! Pokrzepiające w każdym calu.

– Przypominam ci – wtrącił się Ligrid – że mówisz do pokoleniowej arcykapłanki, której przodkowie byli przywódcami sekt.

– Jeśli coś cię gryzie, Midnight, na przykład kwestia sprawowania władzy, zawsze możesz rzucić mi wyzwanie – odpowiedziała chłodno Remulusa.

Dla zasady – alfa pokroju Midnighta, choć narowisty, był dla nich cennym nabytkiem i nie chciała go usuwać.

– Z całym szacunkiem, ale mam trzydzieści cztery lata, a ty, Remuluso – sto dwadzieścia. Do tego jesteś kobietą, co czyni cię podwójnie słabszą fizycznie.

– Ale może wyznaczyć kogoś do walki – zaznaczył Ligrid.

Alfa posłał mu ledwo zauważalny, kpiący uśmiezek.

– Nie po to tu jestem, by mącić we własnym gnieździe. Dzisiejszej nocy – odwrócił się ku likanom – chciałbym zabrać was wszystkich na prawdziwe łowy.

Odpowiedziano mu z radością, głośno i gremialnie.

– Chcesz ruszyć na Lyrnama? Zwariowałeś?! Przecież nawet nie wiesz, gdzie się znajduje i kim on naprawdę jest!

– Mylisz się, Ligridzie. – Midnight ruszył w stronę tłumu, który zrobił mu przejście. Dla lepszej widoczności umieścił swój holonot na pagórku, usypanym pod wbicie kija z wotami, i aktywował trójwymiarową mapę. – Obszar poszukiwań jest nam dobrze znany. Pokrywa się z polem, na którego terenie działa niezidentyfikowany inhibitor na nasze urządzenia. Clark i Tukin zginęli tutaj. – Poruszył palcem w omawianym punkcie, tworząc marker. Potem zaznaczał kolejne obszary. – Pablowi i Tomaszowi odbiło w tym miejscu. Natomiast tutaj urwał się kontakt z Ariakiem. Na deser można dorzucić Hanako, która uśmierciła Vanadę – udało mu się to wypowiedzieć bez emfazy – na skraju bagien. Odlatywała ewidentnie z terenu zaznaczonego obszaru. – Zatoczył ręką okrąg, który utworzył się też na mapie. Uniósł asystenta, wyłączył mapę i ruszył z powrotem pod amfiteatr. Zwrócił się do Shantiego: – Tam też urwało się połączenie z entraserem Sahary, która uciekła ci z komisariatu.

Szeryf posłał mu niechętne spojrzenie, krzywiąc się.

Midnight odwrócił się plecami do estrady, a rzekł głośno do likanów, unosząc ramiona:

– Kilkoro z nas zginęło, bo byli sami lub w parach. Za każdym razem poza watahą. Gdyby doszło do zbiorowej konfrontacji z wrogiem, my bylibyśmy górą! Znane jest wam zapewne, przynajmniej części z was, powiedzenie, że i Herkules dupa, kiedy ludzi kupa. A Herkules był mitycznym półbogiem! Nasz wróg także jest potężny, ale zgodnie z tym niezmiennym prawidłem nic nie zdziała, jeśli zaatakujemy go wszyscy razem, jako bracia i siostry likanie. Nie watahą, ale

kilkoma! Bo będziemy dziesięciokroć silniejsi! Złapiemy także ukrywającą się w Martwej Strefie dziewczynę, która zabiła jedną z naszych wspaniałych, ukochanych siostr! – Tym razem nie szczędził sobie wyrażanej słowami agresji, która znów zalała go rwącym strumieniem. Niektóre ze stojących bliżej osób ujrzały taki wyraz jego twarzy, jakby Midnight zamierzał rozszarpać Hanako na strzępy swoimi wilczymi kłami. – Jest jednak warunek: w wyprawie mogą wziąć udział jedynie likanie niemający w głowach entraserów. Podejrzewamy, że do śmierci zaciupowanych Pabla i Tomasza doszło, ponieważ wróg przejął nad nimi kontrolę. Nie wolno dopuścić, by to znów się powtórzyło, inaczej zamiast zaatakować wroga, który może być hakerem, rzucilibyśmy się na siebie nawzajem. Zatem żadnej elektroniki, to samo będzie się tyczyć broni i pojazdów.

Ci, których dotyczyła pierwsza kwestia, zabuczeli niezadowoleni.

– Dosyć! – Remulusa zahukała z mocą, jakby była o pięćdziesiąt lat młodsza. Z podobną werwą zeszła z estrady, aby wzorem alfy znaleźć się blisko swoich wyznawców, na tym samym poziomie. – Nasi wrogowie na pewno zginą, ale musimy najpierw mieć plan! Nie działajcie pochopnie, jak w samosądzie!

– Już mieliście czas na jego realizację i on się skończył – odrzekł wyzywająco Midnight. Podszedł blisko kobiety, by następne zdania skierować tylko do jej uszu: – Nie chcę twojego stanowiska, Remuluso, na nic mi ono. Pragnę jedynie sprawiedliwości. Rozum często zawodzi, wtedy pałeczkę należy przekazać pierwotnej sile drzemiącej w każdym z nas. Czystej, skutecznej i nieskazitelnej. Czyż nie jest to jedna z naszych sentencji?

Arcykapłanka nie odpowiedziała, patrzyła na niego zacięcie, ale bez urazy. Nie dysponowała żadnym argumentem, którym mogłaby mitygować najpotężniejszego alfę w lokalnej sekcji. Nad którym realnie nie mieli kontroli.

– Do zbrojowni! – zawołał Midnight ku tłumowi, czując się zwycięzcą.

Na placu zawrzało. Około setki osób ruszyło, jakby otrzymały sygnał do startu w wyścigach, gdzie nagrodą była pula uinali równie wysoka co na koncie Hanako.

Ligrid próbował uspokoić likanów, wykrzykując do nich z estrady, ale go ignorowano. Jediną latarnią tej nocy był bowiem Midnight. Shanti nawet się nie fatygował, by wpłynąć na zachowanie nakręconej tłuszczy. Z pięściami opartymi o biodra obserwował rwącą rzekę ludzką zmierzającą do magazynu, skąd zaczęto pobierać miecze, oszczepy, szable, sztylety, noże, a nawet broń tak osobliwą

i prymitywną, jak sierpy do zboża czy kosy, które w dobrym stanie ostały się po rolnikach zamieszkujących niegdyś te ziemie. Ale znalazły się też strzelby, pistolety i karabiny kinetyczne. Ze spiżarni wybierano prowiant.

Uzbrojeni, rozentuzjasmowani likanie ruszyli między drzewa. Byli zdrowi i wysportowani, więc liczyli, że kryjówkę wroga, z uwzględnieniem postojów, powinni znaleźć najpóźniej za trzy dni.

Ku zaskoczeniu Remulusy za tłuszczą ruszył też Kion.

– A z tobą co? – zapytała.

– Lepiej, jakbym z nimi był – odpowiedział neutralnie. Od czasu zabicia Vanady popierał postawę Midnighta, ale wolał zachować pozory. Teraz wykorzystał dogodną dla siebie okoliczność.

Ligrid również poszedłby z nimi, zawsze chętny do bitki, ale czuł się w obowiązku pozostania przy arcykapłance. Ponadto przeczuwał, że źle się skończy ta peregrynacja. Niczego dobrego nie wróżyło już to, że sporo likanów pobiegło w las z pochodniami. Całe szczęście, że ostatnio padało, pomyślał.

– Pieprzyć to – mruknął Shanti, schodząc z estrady jako ostatni.

Nakhabanga prawie opustoszała. Na polowanie ruszyli wszyscy poza trójką z elity, kilkunastoma zawiedzionymi likanami z entraserami i tymi nieobecnymi w puszczy tej nocy.

Bardziej zła niż zmartwiona Remulusa patrzyła, jak ostatni rozbisurmanieni sekciarze nikną wśród pni drzew. Podeszli do niej Ligrid z Shantim.

– Gdyby nie ta cholerna bariera, wysłałbym androidy nad region docelowy i zrobił bombardowanie – oznajmił szeryf.

Wpatrzona w pomarańczowe łuny między drzewami i czerń ostatnich ruchomych sylwetek Remulusa nie odpowiedziała.

* * *

Ostatnie dni Hanako uznała za najbardziej ambiwalentne w swoim życiu – jednocześnie błogie i mijające w całkowitym niezrozumieniu postawy Thino'paia. Były niczym czas rozwleczony w tunelu podprzestrzennym Kiritian, niemierzalny, nie do ogarnięcia zmysłami prostego człowieka. Jakby enklawa z benglowem

wypadła ze standardowego trybu jego płynięcia. Stała się hermetycznie zamknięta. Ostoją spokoju, zastoju i odpoczynku.

Hanako nigdy nie brała urlopu, korzystała z niego jedynie, gdy był obowiązkowy. Lubiła pracować, sprawiało jej to przyjemność, nie wiedziała, czym są wakacje. Uważała je za stratę czasu, kiedy można było się rozleniwic – marnować go na rzeczy nieproduktywne. Odpoczynek – owszem, ale nie za długi.

Teraz zrozumiała, jak błędne było jej myślenie, wynikające z rutyny, przyzwyczajenia i nieznamomości innych możliwości. Oto odpoczywała sobie w ostępach wonnego lasu, rozbrzmiałego odgłosami wielu gatunków modyfikantów. Kotłujące się w głowie myśli zostały uspię, niektóre wątpliwości rozwiane, umysł się wyciszył. Szczególnie pozytywna okazała się wiadomość w wirtualnych mediach lokalnych, które dziewczyna przeglądała na holonocie, że oddział tauricji rozgromił niewielką grupkę przestępców z Lasu Kolonistów. Puszcza znów stała się bezpieczna. Hanako poinformowała też matkę, aby się o nią nie martwiła, gdyż stale znajduje się „u chłopaka”. Wszystko zdawało się układać po jej myśli.

Prawie.

Jedynym nieusuwalnym cierniem pozostała świadomość, że Thino'pai wkrótce odleci, a ona wciąż nie podjęła decyzji odnośnie do swojej przyszłości.

Żyła więc chwilą. Wzorem cyborga starała się jak najmniej myśleć, odłożyć na bok ludzki sentymentalizm, nie dopuścić do eksterioryzacji niebezpiecznych, niewygodnych emocji, które mogłyby popsuć ich stosunki. Zamierzała jak najlepiej wykorzystać czas, który pozostał jej z Thino'paiem. Ich niezdefiniowany związek mógł zaliczyć się do najosobliwszych na tej planecie: ona walczyła o to, by nie poczuć nic więcej, on – nic więcej czuć nie potrafił.

Próbowała cieszyć się jego obecnością, skupić myśli jedynie na tym. Sypiali razem w kybro albo w benglowie, przytuleni do siebie jak śpiące kociaki. Wspinali się na skałę, aby obserwować niebo; Thino'pai opowiadał jej ciekawostki o planetach i gwiazdach, z których nie zdawała sobie sprawy. Udawali się na wycieczki pojazdami latającymi, samochodem bądź pieszo, ale w obrębie strefy inhibicyjnej. Avor wyłączył ją dopiero po powrocie z ostatniego wypadu – w ciągu doby miał nadlecieć transport z artykułami codziennego użytku zamówionymi dla Hanako, którym planował opuścić planetę.

Ostatniego wspólnego wieczoru siedzieli przy brzegu bajora, dziewczyna z głową opartą o pierś towarzysza. Nagle Thino'pai wyprostował się czujnie, niczym zwierzę, które zwietrzyło zmianę. Obrócił się ku południowej części lasu. Znajdujący się w okolicy leberiks błyskawicznie zniknął między drzewami.

W pełni skupiony Thino'pai wypuścił Hanako ze swoich objęć. Podszedł na skraj enklawy. Neutrinowym wzrokiem widział dziesiątki wrogów oddalonych o parę kilometrów, żwawo zbliżających się w tę stronę. Drugą wizję uzyskał dzięki Zo'yo. Przemieszczający się między gałęziami koron leberiks dotarł niezauważony do pierwszej tyraliery ludzi. Po zwróceniu uwagi na ich zachowanie i broń Thino'pai nie miał wątpliwości, że zmierzają na samosąd.

– Co się stało? – Poczuł na ramieniu dotyk dłoni Hanako.

Okręcił się i otaksował obszar za bajorem.

– Wejdz w samochód albo na skulaka i udaj się na północ, las jest tam pusty i bezpieczny. Potem cię znajdę.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie. – Poszła za nim, gdy skierował się ku benglowowi.

– Zmierza tu masa ludzi, około setki. Z bronią.

Dziewczyna przystanęła zaniepokojona.

– Idą po mnie... – Skrzyżowała z cyborgiem spojrzenie, gdy on również się zatrzymał. – Zabiłam tamtą kobietę, nie widzę innego powodu. Może była kimś ważnym i przyszli masowo po zemstę.

– Albo po mnie – odparł i ruszył, nic więcej nie wyjaśniając.

– Ale jak? – Szła znów za nim. – Przecież masz zabezpieczenia.

– Teraz nie. Czekamy na przesyłkę, pamiętasz? – Nie sądził jednak, że wykryto go z powodu dezaktywacji inhibitora. Uważał ludzi za głupi gatunek, ale nie na tyle, by nie zdołali wyznaczyć obszaru z ukrywającym się zabójcą po znalezieniu wokół niego swoich martwych towarzyszy. Przypuszczał, że medialnych „bandziorów” mogłoby o wiele więcej. Szeryf Shanti więc albo był niekompetentny – albo kłamał.

Dziewczyna sądziła, że cyborg wybierze się razem z nią, dlatego poszedł do domku po pancierz i broń. Ten jednak po dozbrojeniu się stanął pośrodku enklawy jakby... zamierzał jej bronić?

– Co tu jeszcze robisz? Wynocha! – fuknął ze złością na Hanako. Z lasu wrócił Zo'yo, zawisnął obok swojego właściciela.

– Nie, co ty chcesz tu zrobić? – odrzekła zdenerwowana. – Chyba nie zamierzasz walczyć z tymi ludźmi? Dopiero co powiedziałaś, że jest ich prawie setka!

Spostrzegła, że Thino'pai nie zdawał się jednak niczym zaniepokojony, pozostał jedyne skoncentrowany i czujny.

– Zginiesz... – jęknęła, co go bardziej rozżłościło.

– To nie o mnie powinnaś się martwić. Gahreka! Hanako, wynoś się! – rzekł, widząc, że ta mimo niepokoju spogląda na niego z zaciętą miną. Prychnął. – Jeśli potrafisz walczyć, to zapraszam – wskazał w ironicznym geście ramienia miejsce przy sobie. – Dobra, skoro tak stawiasz sprawę, to zamknij się chociaż w benglowie. Na szczęście ci ludzie mają wyłącznie słabą nieelektroniczną broń, zapewne wiedząc, że zaawansowana nie zadziała, ale nie daję ci gwarancji, czy nie przestrzelą ścian i nie dostaną się do środka. Twój wybór.

Oczywiście nie przyznał się, że bardzo martwi się o Hanako i wolałby, aby zniknęła z tego miejsca, pozostawiając mu swobodę działania. Najgorsze było, że ziści się wreszcie to, co od początku starał się przed nią ukrywać – dziewczyna ujrzy, czym on jest naprawdę.

Sahara postanowiła nie sprawiać więcej kłopotów i posławszy avorowi pokrzepiające spojrzenie, wycofała się do domku. Umysł jej podpowiadał, że cyborg nie jest szaleńcem i z pewnością doskonale wie, co robi, ale i tak się o niego bała. Bardziej niż o własne bezpieczeństwo. Jednocześnie irytowała ją myśl, jak bardzo jest bezużyteczna i bezradna. Gdyby posiadała odpowiedni sprzęt, tudzież umiejętności, bez strachu wsparłaby avora. Pokazał jej wprawdzie, jak korzystać z broni, ale jedynie do obrony przed pojedynczą osobą czy małą ich grupą.

Thino'pai stanął w swobodnej, wyczekującej pozycji, ze wzrokiem skierowanym ku południowej części puszczy. Leberiks unosił się przy jego ramieniu. Do zapadnięcia zmroku pozostało sporo czasu i mimo majaczących wokół licznych, wysokich drzew wciąż było relatywnie jasno. Jednak nawet gdyby doszło do potyczki nocą, avor mógłby prowadzić walkę dzięki swemu sztucznemu oku.

Po kilkunastu minutach, straciwszy wcześniejszy rezon, spomiędzy pni zaczęli wychodzić niepewnie pierwsi ludzie. Cyborg miał już do czynienia z ich nacją: niektórzy wyglądali normalnie, inni posiadali wilcze cechy. Nikt nie miał na sobie

pancerza, tylko ubrania słabej jakości, co przyniosło mu spory zawód. Wiedział, że musi zabić ich wszystkich, pozbywając się świadków, nim zdąży zaszyć się w przybyłym transporterze, ale liczył chociaż na jakieś wyzwanie. Niemniej po tak długim czasie stagnacji poczuł się wreszcie jak w swoim żywiole, nawet jeśli zakończy się to rzezią zamiast choć trochę wymagającą walką.

Skinął do Zo'yo, który również był gotowy do ofensywy.

– Co to, kurwa, jest... – Pierwszy komentarz wyszedł z ust Eryka znajdującego się na prawym skrzydle zakrzywionej tyraliery zdziwionych sekciarzy.

Midnight i Kion przez całą drogę nie wspomnieli reszcie o obcym, sami w niego nie wierząc do końca. Uprzedzili jedynie, żeby likanie byli gotowi na każdą ewentualność, szczególnie tę wymagającą dużego zaangażowania z ich strony. Pierwsze niepokoje nastąpiły, gdy przechodzili przez obszar zniknięcia Ariaka, wprawdzie niczego tam nie znaleziono, ale wiele można było się domyśleć po fragmencie gruntu wypalonym jakimś pociskiem chemicznym. Odkrycie zamaskowanej enklawy – z bajorem, domkiem i garażem – o której dotąd sekciarze nie mieli pojęcia, mieściło się jeszcze w zakresie ich tolerancji. Ale na widok osobliwego cyborga o białej skórze, przez co jego ciasno nią obciążona głowa w zapadającym zmierzchu przypominała czaszkę, w opancerzeniu z nieznanego im metalu, równie obco i groźnie wyglądającej broni oraz czegoś w rodzaju drona – oniemieli. Stanęli, aby się gapić.

Cyborga i likanów na najbliższym odcinku dzieliło trzydzieści kroków.

– Na pewno kres twojego żywota – odparł Thino'pai.

– Lyrnam. Czym ty, u diabła, jesteś? – Patrzący na niego z mieszaniną odrazy i zaskoczenia Midnight pokręcił głową. Zabrał ze sobą ponad półmetrowej długości, metalową pałkę, broń popularną w mrocznych zakamarkach slumsów i spelun, którą dla dodania sobie animuszu stukał po wnętrzu dłoni. Jego uwagę przykuł ruch w oknie benglowa. Zauważył głowę Hanako, nim ta zdążyła się pochylić. – Zatem moje przypuszczenia były słuszne. – Zwrócił się agresywnie do cyborga: – Czy to ty zabiłeś moich likanów? Clarka, Tukina, Pabla, Tomasza i Ariaka?

– Nie mam pojęcia, jak oni się nazywali, ale pewnie tak. Pierwszą parę zarżnąłem, bo mnie zaatakowała, jeden wlaź na moje terytorium, a na dwóch przeprowadzałem testy i zabili się sami.

Alfa zauważył w niezamkniętym garażu pojazd będący własnością Ariaka.

– Morderca, i do tego złodziej. W dodatku jest z tobą zabójczyni mojej dziewczyny. Wydaj nam ją, Lyrnamie, a może cię oszczędzimy jako wybryk natury, który zapewne z wielką ochotą obejrzeliby nasi naukowcy – skłamał. Likanie czuliby zawód, że pokonali dziesiątki kilometrów i obeszło się bez rozlewu krwi.

– Sami sobie ją weźcie – rzucił cyborg prowokująco, lekko rozchylając ramiona. Przesunął lewą nogę na bok i odrobinę do przodu, stając w stabilnym, bojowym rozkroku.

– Nie bądź śmieszny, dziwaku. Jesteś sam. Przetoczmy się po tobie jak gład po robaku i za chwilę będziesz trupem.

Thino'pai i Midnight mierzyli się wzrokiem.

Wkurzony alfa zacisnął zęby z irytacji, że tamten wcale się nie boi, nie raniąc się przy tym kłami umiejscowionymi nad specjalnymi kieszeniami w dziąsłach.

– Zabić go – wydał polecenie najbliższym ludziom.

Kilku wyszło z tyraliery i zaczęło zmierzać najpierw wolno, potem biegiem, z wrzaskiem i uniesioną bronią, na stojącego cyborga, zachęceni do działania sloganami Midnighta.

Thino'pai przekazał leberiksowi zdalny komunikat, że ma nie reagować.

Hanako w benglowie wstrzymała oddech. Odnosiła wrażenie, że stanęło też jej serce, bo poczuła nagłą słabość, jakby krew przestała dopływać do mózgu.

Avor błyskawicznie uniósł wielotrybową broń i strzałem energetycznym zmienił najbliższego likanina w mięsną papkę okraszoną rozpuszczonymi kośćmi. Za chwilę dołączył do niego drugi. Zaskoczona reszta zatrzymała się gwałtownie i przerażona gapiła na pozostałości po denatach.

Któryś sekciarz z tyraliery posłał w cyborga serię z karabinu, ale ów pochylił się za wygenerowaną na lewym przedramieniu transparentną, błękitną tarczą z energii riumarikowej.

Thino'pai z rozkoszą przypomniał sobie walkę z Yakijanami, którą zdawał się stoczyć mnóstwo huva temu. Odślonięte miał jedynie diardukowe stopy, po których sporadycznie obrywał kulami równie mocno, jakby rzucano w niego kulkami waty. Pociski uderzające w tarczę rozpadały się w pył.

Wiedział, że walka będzie łatwa, na co wskazywała analiza wszystkich broni w rękach likanów, ale nie spodziewał się, że na tyle tragiczna. Niegodna go jako

xepo, nawet plugawego side zaraz po rekrutacji. Ci ludzie kompletnie nie znali się na taktyce i strategii! Byli bandą prymitywów napędzaną żądzą zemsty i jedyne, czego mieli w nadmiarze, to chęć mordy.

– Żałosne – mruknął do siebie po kandrocku.

Złożył swoją broń do postaci wypukłości na lewym karwaszu, a w zamian z prawego przedramienia wysunął ostrze. Uznał także, że hełm nie będzie mu potrzebny.

Pojmując tę uniwersalną czynność, kiedy wojownik zamierzał dorównać poziomem swojemu wrogowi, rozwścieczony Midnight wydał oficjalnie rozkaz:

– Rozwalić to ścierwo! – Wskazał Thino'paia wyciągniętą pałką. – Nie ruszy nas wszystkich razem!

Likanie hurmą rzucili się do ataku, zalewając enklawę ludzką rzeką.

Hanako w niepokoju splotła boleśnie palce dłoni, jakby desperacko się modliła. Nie wiedziała, co było bardziej przerażające: obecność tylu żądnych krwi dzikusów w jej dotąd cichej, statecznej enklawie – czy prezentacja umiejętności Thino'paia, o których nie miała bladego pojęcia.

Ale rozpuszczenie ciał stanowiło dopiero preludium do makabrycznego pokazu avora, w parze z jego leberiksem.

Podczas gdy latający wszędzie Zo'yo, niemożliwy do strącenia, kosił likanów z góry karabinkiem, Thino'pai przedzierał się przez nich jak dziecko przez zarośla na łące. Mógł złamać, zerwać, zdeptać kogo chciał. Nie było fizycznie możliwości, aby zaatakowali go naraz wszyscy likanie, nawet nie zdołali go otoczyć, bo wzorem leberiksa błyskawicznie przemieszczał się po całej enklawie. Hanako nigdy by nie pomyślała, że ważący ponad sto pięćdziesiąt kilogramów w zbroi cyborg może tak szybko się poruszać. Uznała, że to zapewne kwestia wspomaganie komponentów bądź Thino'pai przystosował się do życia przy innym ciężeniu planety. Ale zapewne była to kombinacja obu czynników. Do walki używał ostrza i kończyn, by niszczyć, oraz tarczy, by się chronić, choć tę drugą także wykorzystywał ofensywnie, zmiatając wrogów sobie z drogi.

Był perfekcyjną maszyną do zabijania. Zbyt szybką. Zbyt brutalną. Nie z tego świata.

Sahara oto w pełni pojęła, czemu miało służyć odgórne ograniczenie emocji w egzystencji avora. Thino'pai powiedziałby, że to zbędne obliczenia dla mózgu

zaprogramowanego na skuteczność w walce, kiedy niewymagane jest myślenie. Żal, strach, współczucie, przerażenie czy litość jedynie stopowałyby doskonałego wojownika.

Thino'pai w tańcu śmierci ścinał likanom głowy, ręce i nogi. Przecinał gładko ciała pod różnymi kątami. Dobijał żyjących na wiele sposobów, w tym uderzeniem stopy miażdżył im czaszki, których zawartość rozbryzgiwała się niczym ze zgniecionych zgniłych jabłek. Był nieprawdopodobnie skuteczny, wielokroć lepszy od przeciwników razem wziętych. Nie do zatrzymania.

Znajdujący się najdalej od Thino'paia pojedynczy sekciarze widząc, że dzieje się coś zupełnie odwrotnego, niż sobie wyobrażali, nakarmieni propagandą alfy i pełni werwy zmierzający w to miejsce, dyskretnie zaczęli zbiegać do lasu.

* * *

Midnightowi udało się zejść od tyłu cyborga, zajętego rozgramianiem jego ludzi. Nie miał już wątpliwości, że ta ludzkopodobna istota dysponuje jakimś ulepszeniem bojowym, możliwe też, że potrafi przewidywać w pewny stopniu ruchy przeciwnika. Cokolwiek było tego przyczyną, centrum zarządzania powinno mieścić się w jego mózgu, więc należało go rozwalić.

Alfa uniósł oburącz pałkę, chcąc spuścić ją błyskawicznie na ciemię przeciwnika. Liczył, że może chociaż jemu uda się zranić tego dziwoląga.

Nic z tego.

Cyborg zdawał się wiedzieć, co dzieje się w obrębie trzystu sześćdziesięciu stopni.

Obrócił się tak gwałtownie, że Midnight ledwo co widział jego plecy, by ułamek sekundy potem spoglądać w przerażające, żarzące się czerwienią oko. Alfie przeleciała przez głowę myśl o wspomaganiu cyborga przez przeklętego drona, gdy zarobił na wylot sztych pod lewym obojczykiem. Także bolesnego kopa pod kolanem. Upadł, upuszczając pałkę. Prawą dłoń przycisnął do krwawiącej rany. Avor nie zdążył dokończyć dzieła, bo trzech likanów skoczyło na niego z różnych stron. Zamierzali zwalić go z nóg, lecz bez problemu zachował równowagę.

Dyszący, obolały i zirytowany Midnight obserwował zmagania, leżąc plecami na gruncie. Wrząca w jego ciele adrenalina nie pozwalała mu oszacować, jak

poważnie oberwał. Zapach krwi i tak przesycił powietrze, nadeszły zmrok uniemożliwił przyjrzenie się ranie; czuł jedynie ciepło pod palcami.

Jego uwagę przyciągnęły żółtozielone światła wysoko w górze, które wziął z początku za lampy zapalone przez drona – albo pierwsze majaki gasnącego mózgu. Obraz pozostał jednak wyraźny, pełen detali. Kiedy blask rozdzielił się na kilka części, z ciemnego granatu nieba wyłoniły się dobrze mu znane sylwetki.

Ktoś złapał go pod ramiona i zaczął tachać ku drzewom, naciągając mu zranione mięśnie, tym samym sprawiając potworny ból. Odchylił głowę i spostrzegł, że to Kion. Od początku wyprawy włókł się zawsze na tyłach, nie miał broni. Midnight nie widział też, czy uczestniczył w potyczce, ale patrząc na jego całe, czyste ubranie, możliwe że guru ograniczył się do roli obserwatora.

– Wyprowadzę cię stąd – rzekł Kion.

Gdy kolejne wykroty, kępy liści i zarośla oddzieliły mężczyzn od infernalnej enklawy, ujrzeni nad nią rozbłyśki światła.

– Czy dobrze widzę, że to Shanti atakuje z powietrza pięcioma taurycznymi szturmowcami? – Midnight skrzywił się, gdy został oparty o głaz do pozycji półsiedzącej.

Kion zapalił potarciem lampkę-plaster przyklejoną do swojego ramienia, wyjął z przełożonej przez tors torby środki w sprayu: odkażający i zasklepiający.

– Wezwałem ich, gdy tylko się zorientowałem, że komunikacja jednak tu działa. Shanti wysłał swoje androidy.

– Czyli wzięłeś holonot? – Midnight jedynie zapytał. Nie miał siły, by strofować kompana, który psikał na niego odkażaczem.

– Na wszelki wypadek, ale trzymałem go cały czas nieaktywnego. Sprawdziłem zasięg dosłownie na moment. I dobrze na tym wyszliśmy. Straciłeś trochę krwi, ale rana nie zagraża życiu. Nic ci nie będzie. – Z westchnieniem potrząsnął głową. – Aż trudno uwierzyć, że ta maszyna wojenna zadała ci tak nieprecyzyjny sztych.

– Wielkie dzięki. – Alfa znów się skrzywił, gdy Kion spryskał mu ranę opatrunkiem tamującym krwawienie i w warunkach polowych wspomagającym błyskawiczne gojenie się.

– Może widział, że dowodzisz, chciał cię zranić, by zająć się tobą na końcu. Musimy teraz szybko spadać, póki cyborg jest zajęty.

Kion pomógł mu podnieść się do pionu. Wzdrygnęli się, gdy enklawa rozbłysła potężnym, niszczycielskim wybuchem. Od huku zadzwoniło im w uszach. Z miejsca, w którym przystanęli, widać było jedynie pomarańczowe światło padające kontrastowo na pnie znajdujące się przed nimi. Androidy Shantiego mogły rozwalić cyborga – choć bardziej prawdopodobna była ta pesymistyczna wersja, bo pod stopami czuli wibracje, jakie powstają, gdy na grunt spada znaczny ciężar.

– Moi ludzie... – szepnął Midnight, którego Kion obrócił w stronę przeciwną do eksplozji.

– Nie możemy zawrócić, bo najpewniej zginiemy. Pozostaje nam wiara w androidy Shantiego. Część likanów najpewniej się uratuje.

Trzymając Midnighta pod ramię, Nafsiga zaczął prowadzić go kuśtykającego w meandry lasu.

Gdy jakiś czas później znaleźli się na zalesionym wzniesieniu, skąd dało się dostrzec obszar z enklawą, nie było już nad nią ani jednej maszyny szturmowej. Za to jednolity, nieskończony dywan lasu szpecił w tym miejscu pożar.

* * *

Thino'paiowi urządzana rzeźnia nie przynosiła oczekiwanej satysfakcji. Było za łatwo, zbyt nudno. A zanim trafił na Calcaris myślał, że to Yakijanie są żałośnie beznadziejnymi varoth. Kandrok wchodził w nich jak nóż w rozgrzane masło, jakby powiedzieli ludzie, ale przynajmniej potrafili długo stawiać opór i zadawać pewne straty. Przez co wojna z nimi rozciągnęła się w czasie.

Jego utyskiwanie jakby usłyszał Niosący Światło, bo momentalnie zjawił się nowy przeciwnik – latające maszyny. Zajęty likanami avor kazał Zo'yo przestać dobijać rannych i uzyskać specyfikację przybyłych obiektów. Zawodu nastąpił ciąg dalszy, Thino'paiowi chciało się śmiać. Kadłub zeskanowanego latacza miał domieszkę eksagonu, stopu odersów o wiele słabszego niż kiritiańska dhurnstal, która z kolei była setki razy gorsza od diarduku Kandrok. Ale przynajmniej rakiety manewrujące współ z działkami jonowymi to zawsze większe wyzwanie, niż dzikusy wymachujące nożami i maczetami. Gdyby Thino'pai się uparł i dostał na dach jednego z przybyłych szturmowców, wykorzystując do wspinaczki i dalekiego

skoku skałę przy benglowie, pociąłby go samym swoim ostrzem, torując sobie drogę do kabiny pilota. Mógłby wybrać też najprostszą, przez co najnudniejszą opcję i przejąć z miejsca kontrolę nad wszystkimi maszynami, albo samymi androidami, zmuszając je do rozbicia swoich szturmowców. Swoją drogą nie rozumiał trendu panującego w tej cywilizacji – dlaczego używano powszechnie maszyn załogowych, choć poziom technologiczny od dawna pozwalał ludziom korzystać z pełnej automatyzacji.

Ostatecznie postawił na zabawę, zamierzając do maksimum wykorzystać rozrywkę, którą dobrowolnie zafundowali mu atakujący.

Oczyścił sobie przestrzeń wokół, walcząc intensywniej niż wcześniej. Zresztą przy życiu i tak pozostali tylko pojedynczy wrogowie. Większość leżała martwa, część rozproszyła się i pouciekała do puszczy. Thino'pai chciał ich ścigać, by wszystkich zlikwidować, albo wysłać Zo'yo, ale wtedy zaatakował go jeden ze szturmowców tauricji, długi jak dwa benglowy Hanako.

Cyborg zamierzał sprawdzić, jak będzie wyglądać przejęcie neurocytem nad nim kontroli. W końcu taki test mógł okazać się owocny, gdy przyjdzie Kandrok zaatakować Zodiac Universum. Najpierw wyłączył maszynę, omal doprowadzając do jej rozbicia. Pozwolił pilotowi metry nad ziemią wyprowadzić ją ku górze, potem z kolei, ku dużej satysfakcji, opanował androida, każąc mu zaatakować sąsiada.

– Cudownie – wypalił avor, znów przywracając pilotowi pełnię władzy. Ostrzelany drugi szturmowiec został tylko lekko uszkodzony.

Android, chcąc powetować sobie wcześniejszą niemoc, otworzył skoncentrowany ogień ku samotnemu, naziemnemu celowi.

Uderzenia działka jonowego avor czuł dość mocno, niczym człowiek, który skulił się pod metalową tarczą, stawiając czoła lawinie kilkukilogramowych głazów. Tylko jedna rzecz niepokoiła go w tej sytuacji: ludzie mogli posłać w las całe eskadry okrętów, wiedząc już, że obcy naprawdę istnieje i znając jego lokalizację. Thino'pai wiele zdziałałby w tym świecie, ale sam nie poradziłby sobie, gdyby rzucono przeciwko niemu spory kawał floty.

Postanowił skupić się na chwili bieżącej.

Zwinięty pod tarczą, obrywał serią z góry, do której doszedł ogień drugiej maszyny, oba wciąż niegroźne, ale pod pancierzem już rwały go mięśnie.

Thino'pai przekształcił broń, załadował ją, wysunął lufę lekko poza tarczę i odpowiedział energią kandrockiej produkcji.

Mały okręt planetarnego reagowania wybuchnął, jakby w swoim sercu miał bombę. Albo niczym rozsadzona od środka wiewiórka – avor bawił się w ten sposób pod nieobecność Hanako, kiedy przygotowywał dla siebie strawę zinabraham bądź sprawdzał wytrzymałość organizmów z Calcaris.

Kolejna maszyna strzeliła w niego rakieta.

Rozkaz Shantiego, aby złapać intruza żywego, okazał się awykonalny. Androidy zresztą miały go wykonać jedynie w przypadku istnienia takiej możliwości.

Thino'pai wraz z tonami ziemi i ciałami likanów wyleciał daleko w powietrze. Opadł plecami nieopodal miejsca, skąd Kion zabrał Midnighta, lądując w ludzkich wnętrznościach niczym na krwawej, ciamkającej pościeli.

– Zatem tak chcecie się bawić? – zawarczał, spoglądając nienawistnie w stronę nieba.



12. Siedlisko Kiritian

Hanako kulila się pod oknem, drżała, przy głośniejszych wybuchach przyciskała ręce do uszu. Nigdy jeszcze nie tkwiła w centrum bitwy! Przeżycie było koszmarne. Chciała uciec stąd jak najdalej. Rozważała nawet możliwość, czy nie wybiec z domu i nie błagać likanów, aby ją zabili, tym autodestrukcyjnym sposobem uwalniając ją od... niego.

Straciła poczucie czasu. Nie wiedziała, ile go spędziła w tej defensywnej pozycji, niedającej żadnej ochrony zarówno przed wszelkim złem, które wśliznęłoby się do bengłowa, jak i psychicznym koszmarem. Była to ewolucyjnie kompletnie niepotrzebna postawa. Relikt nie wiadomo z jakich wieków, na pewno takich, gdy demonstrowana uległość powodowała jedynie litość wroga. W przypadku tego, co rozgrywało się teraz na zewnątrz, o litości nie mogło być mowy.

Gdy odsunęła ręce od uszu, zorientowała się, że w otoczeniu panuje kompletna cisza. Z trudem, jakby jej mięśnie i kości ważyły setki kilogramów, Hanako uniosła się do okna.

Zwymiotowała na podłogę, widząc obróconego plecami do benglowa, zakrwawionego Thino'paia, stojącego w zapadającej ciemności pośród dywanu trupów. Bez tarczy, ze złożoną bronią, ale z wciąż wysuniętym, opuszczonym ostrzem. Świecił na niego czerwony Cal-2, jakby chciał dołożyć od siebie promyk do tej popieprzonej, infernalnej glorii. Ale najwięcej światła i tak padało na cyborga od pożarów, które powstały po katastrofie miejskich szturmowców.

Wśród zabitych leżących najbliżej Sahara rozpoznała mężczyznę paradującego kiedyś z pochodnią w lesie, rozmawiał z nim także Hiroshi w fabryce na stacji orbitalnej. Byłoby to wielkie niedopowiedzenie, gdyby stwierdziła, że wszystko to potwornie jej się nie podoba. Limit strachu, rozpacz, obrzydzenia, zaskoczenia właśnie się jej wyczerpał. Chociaż Thino'pai zdawał się nigdy jej nie okłamywać, czuła się przez niego potwornie oszukana.

Cyborg obrócił się w jej stronę.

Dysząc, z walącym sercem, dziewczyna przywarła odruchowo plecami do ściany obok okna, jakby to miało ją ochronić przed neutrinowym wzrokiem avora.

Dygocząc, poszła po strzelbę leżącą na stole.

Thino'pai będzie miał teraz do pokonania najtrudniejszego wroga na tej planecie. Albo wręcz przeciwnie – niemyślący w ludzkich kategoriach avor zabije ją równie łatwo, co likanów z lasu.

Powoli wyszła z benglowa. Spoglądając prosto na cyborga, ruszyła sztywno w jego stronę, starając się nie patrzeć na nic, co miała pod nogami. Nie rozplakać z rozpacz, gdy jej stopy obijały się i potykały o miękkie ludzkie tkanki, buty grzęzły w świeżej, młazczącej brei. Czarna lufa stale była wycelowana w pierś avora.

Thino'paia w niewielkim stopniu zaskoczył ten widok. Ruchem dłoni odprawił wiszącego mu przy głowie, szczebioczącego Zo'yo, który już chciał reagować ofensywnie na ostatni żywy, uzbrojony cel na polu bitwy. Ale odleciał posłusznie.

Gdy Hanako przystanęła wiele kroków od Thino'paia, ciągle bacznie się weń wpatrując, ten schował ostrze, rzucił broń na ziemię – a po niej górną część zbroi, odsłaniając organiczny korpus. Dziewczyna usilnie starała się wyglądać na twardą, zdecydowaną, utrzymać chłodne spojrzenie, ale drżące dłonie i sztywność całego ciała zdradzały, że psychicznie balansuje na krawędzi wytrzymałości.

Cyborg w rozluźnieniu uniósł ręce.

– Stoję przed tobą całkowicie bezbronny – rzekł beznamiętnie. – Wystarczy, że strzelisz mi w serce, a zginę na miejscu. Jak widzisz, diarduk mnie tu nie chroni. No dalej, zakończ to, Hanako.

Po krótkiej walce ze sobą, mocowaniem się ze spustem, który nagle wydawał się zrobiony z nieruchomej, twardej skały, dziewczyna zaczęła bezgłośnie szlochać.

Cyborg wykonał krok w przód. I kolejne.

Hanako pokręciła głową.

– Nie podchodź – ostrzegła. – Bo cię zabiję. Jak Vanadę.

– No to strzelaj. Na co czekasz? – syknął Thino'pai.

Potrząsnęła ponownie głową.

Opuściła broń, która po chwili wypadła jej z rąk. Osunęła się na rozsunięte golenie, dłońmi zakryła twarz.

Nie zareagowała, gdy cyborg, który od początku wiedział, że dziewczyna nic mu nie zrobi, zbliżył się na tyle, że znalazł się przy jej ubrudzonych likańską krwią kolanach. Przez chwilę słychać było wyłącznie skwierk ognia trawiącego kolejne drzewa. Thino'pai spojrział w stronę najbliższej rozbitego szturmowca. Wszystkie udało mu się zestrzelić.

– Oto, czym jestem, Hanako – zwrócił się do dziewczyny, która odsunęła ręce od twarzy i tępo spoglądała na czyjeś plecy. – Teraz już wiesz, dlaczego unikałem wielu odpowiedzi na twoje pytania. Czas zatem na oficjalną prezentację. Jestem xepo Thino'pai, wysoki varoth kolektywu Sharraxa nadkolektywu Kandrok, mieszkający na planecie Asephor' Cerotis; w twoich realiach miałbym może stopień pułkownika. Należę do wojowniczego gatunku avorów. Nasze życie polega na wierze w Niosącego Światło, posłuszeństwie wobec gerhy i czynieniu wszystkiego, czego od nas zażąda, a żąda podbojów. Rzucania kolejnych cywilizowanych gatunków przed nim na kolana i wykorzystywania ich zasobów do umacniania nadkolektywu. Absorbujemy i przetwarzamy, co się da. Jestem wojownikiem, maszyną zaprogramowaną do rozkazywania i zabijania. I nigdy się nie zmienię, Hanako, nie jestem elastyczny jak ty. Nie mam wolnej woli, czego absolutnie nie żałuję. Jestem dumny ze swojej egzystencji, niczego mi nie brakuje. – Trochę nagiął fakty, ale kwestia była tak błaha, że postanowił ją pominąć. Zdołał już się przekonać, że przebywanie daleko od biosieci, także odsunięcie się od zbiorowego poczucia Jedności prawdopodobnie powoduje lekkie odblokowanie

kilku stanów emocjonalnych. – Zresztą tego wszystkiego na pewno domyśliłaś się już dawno, a niewygodną prawdę postanowiłaś zataić sama przed sobą, by nasze relacje nie zostały zakłócone. Byś mogła żyć w wyimaginowanej przez siebie, nowej rzeczywistości. Wystarczy popatrzeć na moją anatomię, która nie wskazuje na to, bym był hodowcą kwiatów.

– Owszem, domyśliłam się, że jesteś pewną formą obcego żołnierza – odparła, wciąż nie patrząc w jego stronę. – Nawet głupiec poznałby to po twoim uzbrojeniu. Jeszcze ta modyfikacja psychiki, na przykład całkowity brak reakcji na informację, że zabiłam Vanadę. Jakbyś ze śmiercią miał do czynienia równie często, co ja ze spoglądaniem w domu przez okno. Ale nie spodziewałam się czegoś na tak potężną skalę... – Machnęła ku zbiorowisku denatów. – Że jesteś eksterminatorem. Zabijasz bez rozkazu, dla przyjemności. Nie czując przy tym absolutnie nic!

– Tym są właśnie Kandrok, Hanako. Kiedy ty i ja byliśmy razem, zabijałem już ludzi. – Nie przykucnął, aby zrównać się z nią poziomem. Czekał, aż ona się podniesie, co też zrobiła. Skupiła uwagę na upuszczonej strzelbie z wrytymi literami A.K. – Tak w ogóle jak będziesz chciała mnie zabić następnym razem, to najpierw odbezpiecz broń.

Hanako dostrzegła w blasku ognia zieloną kropkę przy górnym biegunie bezpiecznika.

– Nie zamówiłeś tej strzelby, prawda?

– Zabrałem ją jakiemuś zabitemu człowiekowi z lasu.

Czyli jednak czasem naginał fakty, pomyślała.

– A zawartość kybro...

– Nie miałem do dyspozycji soków żołądkowych avorów, jako jednego z kluczowych składników, więc wykorzystałem ludzkie. Skąd, też się zapewne domyślasz.

Hanako poczuła mdłości na myśl, że spała w tym świństwie, ciesząc się przy tym bliskością cyborga. Spojrzała mu w twarz.

– Czyli to wszystko przez ciebie. Ty sprowadziłeś zagrożenie na to miejsce. – Zrobiło jej się na tyle niedobrze, że skrzywiła się i dotknęła dłonią brzucha.

– Posprzątam tu do rana, stopię i spalę, co trzeba. Będzie wyglądało na zwyczajny pożar.

– Myślałam, że mamy wiele ze sobą wspólnego. Myliłam się. Dla ciebie życie jest albo zwykłym zasobem, albo zabawką, z którą możesz robić, co ci się żywnie podoba. Wydawałeś mi się taki... czysty. – Westchnęła. – Inny od wszystkich, których znam. Prosty, przejrzysty i przez to właśnie wspaniały. Podziwiałam twoją chłodną kalkulację i wieczne opanowanie, pomijając oczywiście epizody z gniewem, ale wyjaśniłeś mi, dlaczego tak się dzieje. Teraz mi zademonstrowałeś, czemu to wszystko miało służyć.

Odsunęła się, gdy Thino'pai uniósł rękę w jej stronę, zacisnął więc dłoń i opuścił ramię.

– Takim zostałem stworzony. Nie będzie zmian ani kompromisów. Albo mnie zaakceptujesz, albo będziemy musieli się rozstać.

Hanako zapatrzyła się w dal za jego głową.

– Najwyższy czas. Właśnie przyleciał twój transp...

Zamarła zdziwiona.

Zo'yo momentalnie znalazł się przy swoim panu.

Słyszając szum silnika, który pojawił się znikąd, Thino'pai obrócił się w stronę źródła hałasu. Również był zaskoczony, a bardziej wściekły, jak mógł stracić czujność i przegapić taką aktywność. Popatrzył oskarżycielsko na Hanako.

– Zwariowałaś?! To nie ja ich wezwałam! – wrzasnęła.

– Uciekaj – wydał jej polecenie. – Jazda! Do lasu! Jak najdalej!

Pchnął ją, prawie wywracając, a to zachwianie równowagi dopiero ostudziło struchlałą dziewczynę. Biegąc z chlupotem pośród ludzkich szczątków, znalazła się na skraju enklawy, po czym wpadła pomiędzy drzewa.

Thino'pai stanął naprzeciw nowego zagrożenia, po raz pierwszy poważnego. Wysoko nad nim wisiały, dziobami skierowanymi w jego stronę, kiritiańskie jednostki, które niezauważone przez nikogo weszły na maskowanie w atmosferę planety. Największy był transporter pośrodku skwadronu, towarzyszyły mu aż trzy biremy jako okręty wojenne średniej klasy, także liczniejsze fusty w funkcji lekkich okrętów posiłkowych. Do tego jeszcze sprowadzono kanonierkę na wypadek, gdyby należało zbombardować teren.

Cyborg nie miał na sobie zbroi, a broń leżała w oddaleniu. Podejrzewał, że gdyby ruszył w jej stronę, kiritiańskie okręty natychmiast by zareagowały. Nieśmiertelni byli najinteligentniejsi i najgroźniejsi spośród ludzi.

Uzmysłowił sobie, że może to nawet lepiej, iż zastali go w takim stanie. Pójdzie mu łatwiej, jeśli zachowa pozory spokoju.

Nie zdołał się jednak powstrzymać i musiał przetestować neurocyt na najbardziej zaawansowanym sprzęcie w Zodiac Universum, który Niosący Światło niespodziewanie przywiódł na jego drogę. Taka okazja mogła się potem nie zdarzyć.

Nie poszedł na łatwiznę i skupił się od razu na biremie.

Zgodnie z jego wolą przekierowaną do neurocytu, który po przetworzeniu impulsów bioelektrycznych na sterujące stał się nadrzędnym kontrolerem, niemający zabezpieczenia na taką redundancję okręt przechylił się ostro na bakburtę. Manewr zaskoczył wszystkich Kiritian, zwłaszcza tych z przejętej maszyny, niemogących odzyskać nad nią władzy.

Thino'pai jednocześnie uniósł ręce w geście poddania się, silnie oświetlony kręgami wielu światel. Jego usta wykrzywiły się pod maską w dzikiej satysfakcji. Zdołał się nacieszyć łatwym sukcesem krótką chwilę, nim zdumieni Kiritianie zorientowali się, że to on jest źródłem zakłóceń i dosłownie przejął zdalnie stery ich okrętu.

Nieśmiertelni bez finezji potraktowali go dwiema wiązkami paraliżującymi z fust, służącymi do dezaktywacji elektroniki wrogich statków. Podziałało też na cyborga z obcego świata.

Thino'paia aż odrzuciło na kilka metrów. Padł na ziemię niczym człowiek potraktowany silnym prądem, z drgającymi cybernetycznymi podzespołami, jak i przygaszonym neurocytem. Wiązki energetyczne przeskakiwały pomiędzy odcinkami jego ciała. To samo zrobiono z Zo'yo, którego uznano za groźną, obcą broń.

Cyborg wiedział, że Hanako daleko nie ucieknie, kazał jej się wynosić jedynie dlatego, by oszczędzić jej widoku swojej porażki i ewentualnej kolejnej rzezi.

Wkrótce zjawili się przy nim w pełni zasłonięci, ciężkozbrojni achij, skrzepowano go i uderzono w głowę, od czego stracił przytomność.

Kiritianie wykorzystali zniszczenia po pożarze i wypuścili z pokładu transportera kilka orbów, które użyły szerokiego promienia solarnego do spopielenia reszty roślinności, by utworzyć prowizoryczne lądowisko. Dzięki temu zgasł też ogień w regionie.

Niebawem wszystkie jednostki wylądowały. Z birem wyszli uzbrojeni achij w ciężkim, hermetycznym opancerzeniu.

– Nie wykrywam skażenia – oznajmił technik sprawdzający teren skanerem diagnostycznym wbudowanym w hełm.

– Ale rzeźnia – podsumował ze skrzywieniem dowodzący drużyną kapral, omiatając spojrzeniem zabitych likanów.

– Myślicie, że on to wszystko zrobił? – zapytał jego podwładny, wykonując gest trzymaną bronią w stronę leżącego, Thino'paia, patrzącego na Kiritian z nienawiścią.

– Po tym, co nam urządził przed chwilą w powietrzu, nie zdziwiłoby mnie to. – Kapralowi od razu rzuciło się w oczy, że żaden z zabitych nie miał przy sobie elektronicznej broni, co oznaczało, iż denaci wiedzieli, do czego ów cyborg jest zdolny i przygotowali się do wypadu. Jak widać – nieskutecznego.

Zarzucono na Thino'paia obciążoną z każdej strony, dhurnstalową siatkę. Następnie zrobiono mu, z zachowaniem ostrożności, przy trzymanyh paralizatorach, badanie nukloindektorem służącym do identyfikacji materiałów białkowych. Chociaż achij ze skwadronu zostali poinformowani, że Hiro i Jack dostarczyli Kiritianom badanie tego obcego, potraktowali wówczas informację z dystansem. Dlatego byli zdumieni, kiedy przekonali się na własne oczy, że cyborg ma osiemdziesiąt dziewięć procent wspólnych genów z ludźmi, co nie było procesem ewolucyjnym, ale wyglądało na sztuczną kreację.

Kiedy avor się poruszył, achij, który był jednym z załogantów przejętej biremy, zdzielił go kolbą w głowę, od czego stracił przytomność.

– Przestań, bo go uszkodzisz – rzekł kapral. – Zawijamy go.

Zbliżono dysk antygravitacyjny z kapsułą o wyglądzie małego kontenera, do której włożono avora oplecionego siatką. Przez opuszczoną klapę hangaru transportera wprowadzono go na pokład i natychmiast skierowano do przygotowanego kubryku.

Porucznik z mostka wyszła na zewnątrz i zwróciła się do kaprała:

– Była z nim jeszcze jakaś dziewczyna. Jedyna żywa osoba z regionu. Uciekła do puszczy. Znajdźcie ją.

– Tak jest. To będzie proste.

Kapral wytypował dwójkę ludzi i razem wsiedli na masywne skulaki bioniczne o opancerzeniu przypominającym tkanki organiczne.

Ruszyli w las, poruszając się nad gruntem.

Dzięki bioktowizji dalekiego zasięgu i relatywnie płaskiemu terenowi, dolecenie do wciąż oddalającej się od enklawy Hanako zajęło achij chwilę. Była na tyle wystraszona, że postanowili oszczędzić jej traumy pojęcia i od razu strzelili do niej środkiem usypiającym, który zadziałał po kilku sekundach. Starszy szeregowy podniósł ją z ziemi i przerzucił przez swój pojazd, po czym trójka zaczęła wracać ku skwadronowi.

To nie był koniec działań w regionie. Po wystartowaniu wszystkich maszyn ogromny transporter zawisł nad enklawą i rozsunął klapy komory magazynowej poszycia. Z boków podwozia wysunęły się monstrualne, płaskie i szerokie ramiona z dhurnstali, które zagłębiły się jednocześnie z obu stron gruntu, niczym kleszcze koparki.

Denaci, garaż, benglow, a nawet bajoro – wszystko zostało wessane razem z bryłą gruntu do wnętrza transportera. Po dawnej ostoi Hanako pozostała jedynie kilkunastometrowej głębokości dziura.

Skwadron zaczął się oddalać ku przestrzeni, także na maskowaniu.

Operacja specjalna odbyła się na tyle szybko, że obrona planetarna Calcaris nawet nie zdążyła zareagować.

* * *

Dziewczyna ocknęła się na kanapie stojącej w rogu kilkumetrowej długości pokoju o przyziemionych świątlach. Znajdowały się w nim ponadto stół typu biurowego otoczony paroma krzesłami, szeregowy szafki pod ścianą oraz prostopadle przymocowane, wiszące ławeczki przy dwóch wewnętrznych oknach. Z sufitu spozierała mała płytki cellulii monitorującej. Naprzeciw kanapy widniały metalowe drzwi. Wszystko poza posłaniem i oknami wykonanymi

z przezroczystego puronaksu, czyli „szkła kosmicznego” Kiritian, było metalowe, w kolorach ciemnej, zgniłej, wojskowej zieleni. Całość kojarzyła się Saharze z gabinetem pracoholika lubiącego ucinąć sobie drzemki, który w dodatku był ascetą.

Ubrana w wygodny uniform cywilny Hanako czuła się nad wyraz dobrze, jakby przespała komfortowo noc i obudziła się pełna energii.

Wstała i skonstatowała, że ciążenie jest nieco inne niż to z Calcaris. Jako że wszystkie kolonie obejmowała zasada stałej terraformalnej, czyli zasiedlano planety i księżycy jak najbardziej podobne parametrami fizycznymi do Ziemi, Hanako mogła znajdować się praktycznie wszędzie. Podeszła do drzwi, które, jak się spodziewała, zastała zamknięte, podobnie szafki sprawdzone w następnej kolejności. Umościła się na ławce i zaczęła spoglądać przez puronaks. Mogła tkwić w jakimś ośrodku nieokreślonego pochodzenia, pozbawionym okien zewnętrznych, przynajmniej na tym niewielkim widocznym obszarze o kształcie krzyża, gdzie również wszystko było zrobione z metalu. W przeciwieństwie do jej lokum tamtejsze białe światła paliły się intensywnie. Widziała kilkoro zamkniętych drzwi. Przy jednych rozmawiało dwóch mężczyzn odzianych w spodnie i koszule z krótkim rękawem, trzeci pił coś z kubka przy automacie z jedzeniem. Naprzeciwko Hanako znajdowało się bliźniacze do jej pomieszczenie, gdzie jedna osoba siedziała przy kapripodzie, a druga kręciła się za jej plecami. Wejście przy rozmawiających mężczyznach okazało się windą, z której wyszła kobieta, przeszła przez skrzyżowanie i zniknęła za automatycznie rozsuwanymi drzwiami.

Hanako pomyślała, że powinna być przerażona swoim położeniem, ale podobnie jak w przypadku samopoczucia fizycznego, i w kwestii psychicznej wszystko wydawało się w najlepszym porządku. Czuła po prostu spokój i zaciekawienie. Ostatnią rzeczą, którą pamiętała, był desperacki bieg przez las.

Obróciła głowę na dźwięk rozsuwanych drzwi.

– Dzień dobry, Hanako. – Do środka wszedł rudowłosy, dobrze zbudowany Kiritianin w mundurze, którego natychmiast skojarzyła, co zmanifestowało się na jej obliczu, bo przybyły uśmiechnął się delikatnie. – Widzę, że mnie rozpoznajesz.

– Pan Gregory Anderson?

– Tak, to ja. Ten sam, któremu kiedyś pomogłaś. Przepraszam za skromne apartamenty, ale nie mieliśmy gdzie cię wcisnąć, abys odpoczęła w samotności.

– Skąd się pan tutaj wziął? I gdzie my jesteśmy?

– Chodź, porozmawiajmy. – Wskazał krzesła, jedno odsunął i zajął miejsce.

Hanako ulokowała się naprzeciw niego, umieściła ściśnięte dłonie na złączonych kolanach niczym grzeczny, speszony uczeń.

Gregory położył ramiona na blacie. Stukał weń palcami przez chwilę.

– Jesteś głodna, dobrze się czujesz? – zapytał.

– Nie i tak.

– Zapewne zastanawiasz się, skąd wynika twoja bierność. Wciąż znajdujesz pod wpływem środka uspokajającego, który otrzymałaś podczas przesłuchania. Potem zostałaś tu umieszczona, abys sobie trochę pospała.

– Jakiego przesłuchania? Co zrobiliście z Thino'paiem? – zapytała ostrzej, niż wypadało w jej położeniu.

– Po kolei. Nie mogę ci powiedzieć, gdzie się znajdujesz, jedynie że nie na Calcaris, a na innej planecie. Istnieje ryzyko, że po odstawieniu cię do domu powiedziałaś o tym miejscu osobom trzecim, a na razie nie chcemy mieć tu żadnych niepożądanych gości. Pamięć usuwana jest przez kiritiańskich specjalistów dopiero w naszych ośrodkach. Jednak nie chciałbym, by zastosowano na tobie po raz drugi tę czy jeszcze bardziej radykalną metodę. – Oblicze Gregory'ego na moment zrobiło się chłodne, tym samym nieprzyjemne.

– Co takiego?! – Hanako była w szoku. Tym razem nawet środek uspokajający nie zdołał mitygować jej entuzjazmu. – Zabraliście mnie na Morascrik?!

– Oj, już bez przesady. Wiem niewiele. Przypadkiem dowiedziałem się o tym, że byłaś przesłuchiwana. Nie pamiętasz tego zdarzenia, bo selektywnie wymazano ci pamięć. Nie wiadomo, co potem z tobą zrobić, bo znalazłaś się w placówce praktycznie rykoszetem, więc zgłosiłem się, aby się tobą zająć. W ramach wdzięczności za twoją dawną pomoc. My, Kiritianie, potrafimy spłacać długi.

– Czyli mnie porwaliście? – zapytała z niedowierzaniem i lekką złością. W sumie miało to sens. Skoro Kiritianie znaleźli obcą formę życia, niczym niezwykłym nie było zgarnięcie i zabezpieczenie wszystkiego, co miało z nią styczność. To standardowa procedura, stosowana już w przypadku odkrycia gatunku człekojaguarów z Chulimal.

– Ja nie miałem z tą sprawą nic wspólnego.

Hanako stuknęła pięścią w stół.

– Gdzie Thino'pai?! – Przypuszczała, że środek powoli przestawał działać, bo mogła sobie pozwolić na intensywniejsze odczuwanie emocji. – Co z nim zrobiliście?!

– Nie wiem, o kim mówisz.

Zreflektowała się. Jeśli chciała coś osiągnąć, to na pewno nie krzycząc na Gregory'ego, na razie jedyną przychylną jej osobę.

– Błady cyborg, był z nim taki jakby dron – wyjaśniła spokojnie.

– Wybacz, Hanako, ale nic nie wiem o żadnym cyborgu. Możliwe, że pomyliłaś sen z rzeczywistością, to zdarza się przy wymazywaniu pamięci. Faza REM wydaje się nieraz bardzo realistyczna.

– To na pewno nie pomyłka. Zjawiliście się skwadronem nad Lasem Kolonistów i widzieliście Thino'paia. Złapaliście najpierw jego, potem mnie, gdy uciekłam do lasu na jego żądanie. To dlatego tu jestem.

– Zgadza się, była taka wyprawa. – Porucznik przycisnął plecy do oparcia krzesła i splótł ramiona w koszyk. – Zagarnięto nawet do transportera duży obszar terenu do przesiewu, ale dlatego, że odkryto tam pojedyncze złoża painitu. Znalaziono cię na pokładzie na kawałku gruntu.

Wszystko, co Hanako usłyszała od Andersona w związku z ich misją, nie trzymało się kupy. Skąd Nieśmiertelni nagle mieli się dowiedzieć o painicie w Lesie Kolonistów, zwłaszcza że podczas badania gruntu pod postawienie benglowa nic podobnego nie znaleziono? Dlaczego Gregory kręcił w sprawie Thino'paia? No i po co ją przesłuchiwali, skoro rzekomo chodziło o jakąś ziemię? Przypomniała sobie o pewnym kiritiańskim credo.

– Czy to prawda, że Nieśmiertelni nie kłamią? – Ależ absurdalnie i naiwnie zabrzmiało to w jej własnych uszach.

Mężczyzna aż się uśmiechnął przelotem.

– Zgadza się. Jesteśmy potężni, w niczym nie musimy oszukiwać. To jeden z podpunktów naszego dekalogu, którego sumiennie przestrzegamy. Uważasz, że cię oszukuję – stwierdził.

Dziewczyna zapatrzyła się na moment w drzwi, coś sobie jeszcze uświadamiając.

– Mogę panu zadać dość dziwne pytanie.

– Słucham.

– Czy ma pan w głowie entrasera?

– Mów mi swobodnie per ty. Tak, model stały. A można wiedzieć, czemu się tym interesujesz? – zapytał łagodnie Gregory.

Tym razem ona uśmiechnęła się trochę głupkowato, chcąc, by czynność ta wypadła niewinnie, spontanicznie.

– Nic takiego. Słyszałam o Kiritianach różne rzeczy. W trakcie tej rozmowy wyszło parę nawiązań i chciałam się jedynie upewnić, czy to prawda, co o was mówią.

Gregory nawet przez sekundę jej nie wierzył, czego finałem było posłanie dziewczynie taksującego spojrzenia oraz uniesienie i opuszczenie brwi. Ale nie skomentował, wiedząc, że Hanako pewnie ma swoje powody, dla niego nieistotne, zadając takie pytania.

W jej głowie na prowadzenie wysunęła się natomiast pewna hipoteza. Thino'pai był mistrzem elektroniczno-neuronowej manipulacji, mógł więc namieszać w mózgu Gregory'ego. Chyba że porucznik naprawdę nic nie wiedział. Zgodnie z zasadą kiritiańskiej prawdomówności żaden inny Nieśmiertelny by go nie oszukał w sprawie, nawet jeśli w grę wchodził nowy gatunek kosmity. Tuszowanie i przekręcanie faktów na tym polu miało już wieloletnią historię. Ale to tyczyło się odersów, Nieśmiertelni byli poza takimi zachowaniami, gardzili nimi. Oni raczej by jedynie milczeli. Hanako przyjęła na razie wersję, że Thino'pai zmanipulował Kiritian, ale gdzie znajdował się w takim razie? Co mu zrobili? Była nim potwornie zawiedziona wtedy, gdy stał pośród stosów trupów, bała się go śmiertelnie po ujawnieniu jego jestestwa w pełnej krasie, ale mimo wszystko nadal bardzo się o niego martwiła.

– Jaki mamy w ogóle dzień? – zapytała. Temat Thino'paia wydawał się zamknięty w odniesieniu do porucznika. Może nadarzy się okazja i dowie się czegoś więcej od innego Kiritianina.

– Siedemnasty sierpnia roku 2914 kalendarza terreńskiego.

Spojrzała na swoje dłonie.

– No ładnie, dziś mam urodziny – powiedziała bardziej do siebie. Ze smutnym uśmiechem zerknęła ku Gregory'emu. – W życiu bym się nie spodziewała, że tak je

spędzę. Porwana, zamknięta w jakiejś celi, dowiedziawszy się, że robiono mi coś bez mojej wiedzy i zgody.

– Zatem wszystkiego najlepszego, Hanako. Nie jesteś tu więźniem. Dla Kiritian pozostajesz neutralna. Nie martw się, odwiozę cię na twoją planetę. Nic ci nie grozi. – Patrzył na nią przez moment, rozważając, czy może jej powiedzieć o pewnej sprawie, zwłaszcza w dniu jej święta. Odchrząknął, gdy to zauważyła i posłała mu pytające spojrzenie. – Osiemnastka to ważne święto.

– Nie miałam nigdy szczególnych planów na ten dzień. Myślałam, żeby lecieć ze znajomymi do innego miasta, może na któryś z księżyców, do ciekawego lokalu czy obiektu, gdzie będą do wyboru ekstremalne formy rozrywki, jak symulatory 20D. – Uśmiechnęła się do swoich myśli. – Los potrafi jednak płatać figle.

– Jeśli sobie zażyczysz, możemy zorganizować ci tutaj jakąś imprezę. Tak się składa, że wieczorem oblewamy awans jednej z naszych achij, jak i kiritianizację mojego kolegi. Nie będzie to dla nas żaden kłopot, jeśli zjawisz się na kolacji. Im więcej osób, tym będzie weselej.

Sahara patrzyła nań spłoszona, automatycznie coś sobie przypomniawszy.

– Ale nie podacie tam chyba ludzkiego mięsa? – zapytała z obawą.

Gregory parsknął śmiechem, aż musiał przysłonić oczy otwartą dłonią, trzęsąc się przy tym.

– Następna. Skąd odersi mają takie pomysły? Dopiero co jednemu ze starszych szeregowych udało się wkręcić dwóm takim typkom, że robimy z ludzi kotlety i ci uwierzyli.

– Użyłeś dziwnego sformułowania, no i patrzyłeś przez chwilę na mnie tak niepokojąco... Jakbym to ja miała być podana na stole.

Mężczyzna otarł wilgotne oko.

– Wydawało ci się, Hanako. Musiałś sobie silnie zakodować na temat Kiritian taką informację i zadziałała twoja wyobraźnia. Absolutnie nie jestem Hannibalem Lecterem. Wiesz kto to w ogóle?

– Nie. – Potrząsnęła głową.

– Postać popkulturowa, wprowadzie sprzed tysiąca lat, ale nieraz przytaczana w dyskusjach. Uniwersalna. – Gregory spoważniał, ponownie oparł przedramiona na blacie. – Posłuchaj, dziewczyno. Odersi mówią o nas różne rzeczy, jedne są prawdziwe, inne nie. Na przykład, że jesteśmy bezwzględni i okrutni. To akurat

fakt, ale dotyczy tylko osób, które nam podpadły. Tacy powinni żałować, że w ogóle się urodzili. Ty natomiast jesteś zwykłym dzieckiem z siódmej strefy na Calcaris, apolitycznym, bezbronnym, dla nas więc bez znaczenia, w dodatku znalazłaś się tu przypadkowo. Nic ci zatem nie grozi ze strony Kiritian. Odstawię cię bezpiecznie do domu, jak już mówiłem. Co do poczęstunku możemy podać sushi, ryż i makaron. Tort czekoladowy z owocami na pewno będzie.

– Czyżby stereotyp o Azjatach jako zemsta za pytanie o mięso?

Chichotali przez moment. Hanako pomyślała, że Kiritianie może nie są tacy straszni, jak zakładają opinie na ich temat. Przynajmniej achij pokroju Gregory'ego, który wydawał się sympatyczny. Pewnie nie dyskredytują dyrdymałów, bo ich bawią legendy na ich temat i pasuje im, że odersi się ich boją.

Porucznik znów odchrząknął z zakłopotaniem.

– Słuchaj, Hanako. Jeszcze jedna sprawa, o której powiem ci chyba teraz. Zakładam, że o niej nie wiesz, skoro po swoim obudzeniu nie martwiłaś się o ten... szczegół.

– Jestem na coś chora?

– Nie, nic z tych rzeczy. Jesteś w ciąży, Hanako.

Przez zdające się ciągnąć w nieskończoność sekundy patrzyła na niego, jakby Gregory postradał zmysły. Aż wstała z krzesła.

– Co?

– Wyszło podczas badań.

– Ale jak to?! – Mężczyzna nie wyglądał na takiego, który stroiłby sobie żarty podobnej kategorii. – Naprawdę? – Pytanie ewidentnie nie wypadło jak objaw radości.

Hanako odeszła kawałek i opadła z mocno bijącym sercem na ławkę pod puronaksem. Akurat ktoś przechodził skrzyżowaniem korytarzy i się potknął.

– To nie pomyłka? – odezwała się do Andersona, który podszedł do prostopadłej ławki i usiadł niedaleko niej. Był to miły gest, Sahara odebrała go, że swoją bliskością chciał jej dodać otuchy.

– U Kiritian nie ma takich pomyłek.

– Ale jak... – wymsknęło jej się, gdy zaczęła szukać oczami rozwiązania na posadzce. Szybko przeniosła wystraszony wzrok na porucznika. – Chyba nie zapłodniliście mnie tam in vitro?!

- Nonsens. Dlaczego mielibyśmy robić coś takiego? Jesteś w ciąży już od jakiegoś czasu. Moje szczere gratulacje – dodał ciepło, z uśmiechem. Poklepał ją też po barku.

Hanako wiele jednak brakowało od odczuwania radości. Była w szoku, przerażona. To co właśnie usłyszała, zdawało się do niej nie docierać. Rzeczywiście od dłuższego czasu spóźniał jej się okres, co nie zdarzało się od dawna, gdyż zegar biologiczny naturalnie już jej się wyregulował, ale ostatnio miała wiele stresów. Tłumaczyła też sobie, że to wina brei z kybro, która swoim składem wpłynęła na jej organizm. Cholera, przecież ona miała dopiero osiemnaście lat! Nie myślała o żadnych dzieciach! No i jak do tego doszło? Czyżby coś jednak zaszło między nią a Thino'pajem, gdy całe noce spali przy sobie nieobowiązująco? On, by czuć namiastkę swojego kolektywu i czerpać od Hanako energię życiową, ona, bo sen w półpłynnej brei był dla niej ciekawostką i nowością, chciała również ulżyć avorowi w cierpieniu. Nie mogła też zaprzeczyć, że bardzo jej się to podobało. Ale Thino'pai nie miał jak jej zapłodnić jako cyborg, poniżej brzucha będąc pozbawionym naturalnego ciała. A nawet jakby był w pełni organiczny, czy coś by w ogóle z tego wyszło, skoro należeli do innych gatunków, jeszcze rozdzielonych kosmosem? Hanako nie posiadała wiedzy na temat związków z kosmitami, jedyne badania przeprowadzono dotąd na Onkalotach. Ludzie i człekojaग्रuarzy naturalnie nie mogli mieć ze sobą dzieci.

Złapała się na tym, że myśl o tym, iż Thino'pai mógłby być ojcem dziecka, sprawiła jej przyjemność. Zrobiło jej się ciepło w okolicy podbrzusza, którego dotknęła. Ten sam Thino'pai, który okazał się najstraszliwszym zabójcą kosmosu, którego najchętniej wymazałaby z pamięci od razu po tym, co zaprezentował w enklawie. Przerazał ją, brzydziła się go... ale jednocześnie ją fascynował, pociągając za jakąś pradawną, atawistyczną strunę w jej umyśle. Sahara pomyślała, że pod tym względem niczym nie różniła się od młodziutkiej samicy, którą ogłupił potężny samiec z innego terytorium.

- To jest chore – powiedziała głośno.

Ale chwila.

Jednak był jeszcze inny mężczyzna. Normalny człowiek. W Rimibii spała w łóżku razem z Krystianem. Ale oni nic tam nie robili!... Chyba.

Nie pamiętała. Wtedy serio naćpała się tym dymem z barorestauracji, puszczając na salę nie wiadomo co. Bolało ją krocze od uderzenia, więc teoretycznie mogło to zamaskować inne rodzaje bólu.

– To jeszcze nie koniec galaktyki – pocieszył ją Gregory, co absolutnie Hanako nie pomogło. Przechyliła głowę i patrzyła na niego krzywo. – Naturalna ciąża w naszym społeczeństwie to rarytas. Wśród Kiritian w ogóle jest rzadkością, my się nie rozmnażamy z powodu naszej nieśmiertelności. Prawnie i medycznie musimy pozostać bezpłodni. Jednak to stan odwracalny, ale pozwolenia na dziecko Pierwszy Dygnitarz Forkis udziela relatywnie rzadko. Zmieniłoby się to jedynie w przypadku krwawej wojny, gdyby było sporo ofiar po naszej stronie, ale na coś takiego się nie zapowiada.

– Czyli to akurat prawda, co o was mówią, że jesteście nieśmiertelni? – Było miło z jego strony, że Gregory starał się zająć czymś jej myśli.

– To akurat tak.

– I nie boisz się mi tego wyznawać tak otwarcie?

– I co niby osiemnastolatka z prowincji zrobiłaby z taką wiedzą? – zapytał żartobliwie. – Nawet jak komuś opowiesz, będzie raczej żądać dowodów.

– W sumie racja. Zdradzisz, ile masz lat, panie poruczniku?

– Dwieście dziewiętnaście. – Uśmiechnął się. – Lata mi lecą tylko kalendarzowe, bo biologicznych mam stale mniej więcej czterdzieści dwa. Mój organizm się starzeje cyklicznie o kilka lat od stanu utrwalonego w chwili kiritianizacji, ale potem wraca do tego samego punktu. Dużo by opowiadać, używając fachowych terminów i opisów. Aha, jeszcze jedna osoba chciałaby z tobą porozmawiać, Hanako.

– Tutaj? – W pierwszej chwili pomyślała o Thino'paiu, ale przecież byłoby to kompletnie bez sensu. – Jakiś Kiritianin?

– Tak, dopiero co rekrutowany cywil. To ten od kotletów. Nazywa się Hiroshi Sakai.

Szków przeżytych w krótkich odcinkach czasu było dla dziewczyny stanowczo za wiele.

* * *

Gregory przekonał Hanako, aby przysła wieczorem spędzić czas z innymi ludźmi i spróbowała się zrelaksować. Z początku obawiała się bycia samą pośród Kiritian, w dodatku nie miała pojęcia, czego mogłaby się spodziewać. Ale uznała, że lepszy już taki dyskomfort, niż siedzenie samotnie do momentu wylotu i zadreżczanie się myślami. Nie miała też zbytnej ochoty na rozmowę z Hirem tylko w cztery oczy.

Dziewczynie pasowało, że spotkanie miało charakter kameralny – naliczyła około dwudziestu osób w sali, która mogła służyć jako miejsce odpraw na poziomie drużyny. Skłaniała się ku przypuszczeniu, że placówka, o której wspomniał Gregory, mieściła się gdzieś pod powierzchnią, bo idąc na imprezę, nie zauważyła żadnego okna. Choć z drugiej strony nie znała się na obiektach Kiritian. Centralny stół przesunięto pod ścianę i zastawiono jadłem. Hanako niewiele rozpoznała z tej rzeszy sprowadzonych z całego Zodiac Universum owoców, trunków, słodyczy i dań. Uśmiechnęła się na widok produktów z sushi, ryżu i makaronu, przy których znajdowało się jej imię i nazwisko; Gregory musiał mieć dobre poczucie humoru. Na miejsce przyniesiono kilka mniejszych stołów, gdzie można było pograć w klasyczne karty czy inne gry. Uczestnicy imprezy byli ubrani po cywilnemu za wyjątkiem trzech mężczyzn mających na sobie lekkie zbroje, którzy przyszli bezpośrednio ze służby.

Grzecznościowo przywitano się z Hanako, ale potem ją ignorowano. Czasem tylko ktoś zamienił z nią parę słów na temat ogólnych warunków życia na planecie Calcaris. Padło nawet kontrowersyjne pytanie od jednej z kobiet, jak wygląda tam aktywność rebeliantów, ale nim wymyśliła, jaką podać odpowiedź, podszedł do niej porucznik Anderson i zabrał Hanako ze sobą.

Przez pewien czas dotrzymywał jej towarzystwa, gdy siedzieli przy jednym ze stolików, jedząc i rozmawiając. Potem Gregory musiał iść poza salę i dziewczyna znów została sama.

Kiritianie nie folgowali, nie brali detoksykantów, więc po dwóch godzinach palenia buchów, syntutek, picia i wznoszenia kolejnych toastów połowa była już solidnie wstawiona. Zrobiła się przez to bardziej przyjazna, dowcipna, głośna i wylewna. W zadymionym pomieszczeniu światła rzucały długie snopy. Hanako postanowiła wykorzystać sytuację i wypytać Nieśmiertelnych o swoje miejsce pobytu oraz czy nie wiedzą czegoś na temat cyborga z Calcaris, ale poniosła

klęskę. Na pierwszy temat nie chciano rozmawiać, a na drugi nikt nic nie wiedział. Nawet będąc pijanymi, nie zdradzali poufnych informacji. Wzorem towarzyszy dziewczyna postanowiła również, choć raz, porządnie się upić, zalewając zmartwienia, świętując urodziny jak należy, ale przypomniawszy sobie o dziecku.

Kiedy wrócił Gregory, zajęta była rozmową z jakimś achij w stopniu kaprała, a uściślając, podpity młodzieniec (chyba) opowiadał jej o fermie małży swoich rodziców, gdy dowiedział się, że Hanako mieszka obok słynnej królikarni.

U boku porucznika szedł Hiroshi.

Anderson nie dał czasu dziewczynie na decyzję, czy chce w ogóle rozmawiać z Sakaiem, bo zaprowadził go do jej stolika, gdzie haker przysiadł. Kaprał na chrząknięcie porucznika wrócił do swoich kolegów.

Hiro i Hanako zostali sami. Pół minuty patrzyli na siebie w milczeniu, on mając w oczach wymalowane poczucie winy, ona niewspółgrający ze sobą amalgamat złości i smutku. Chłopak przeniósł spojrzenie na zastawę. Uniósł niedopitą przez poprzednika szklankę alkoholu i pociągnął do dna, potem poczęstował się tortem ze śmietaną i borówkami.

– Czyli jesteś teraz Kiritianinem – zaczęła rozmowę Hanako.

– Jakoś wyszło – odrzekł smętnie. Kompletnie nie przypominał tego brawurowego młodzieńca, który kiedyś jej się narzucał w Sutafochun. – Tak w ogóle to cześć. Zaskoczyła mnie wiadomość, że tu jesteś.

– Mam nadzieję, że chociaż ty będziesz w stanie udzielić mi odpowiedzi na parę pytań, bo inni nabrali wody w usta.

Hiro ponownie spojrzał dziewczynie w oczy.

– Tak, zdecydowanie musimy porozmawiać.

– Napadła mnie grupa dzikich ludzi z cechami zwierząt, wśród nich był człowiek, którego widziałam rozmawiającego z tobą w fabryce, na stacji orbitalnej. Jak to wytłumaczysz?

Hiro odłożył widelec i odsunął pusty talerzyk.

– Ci ludzie to odłam sekty likanów. Bardzo niebezpieczny i nawet dobrze zorganizowany, przebywa w Lesie Kolonistów od pewnego czasu. Jack do niej należał.

– Co takiego? Nasz Jack Schwartzberg?!

Hiro błyskawicznie wyciągnął rękę i złapał Saharę za nadgarstek, gdy ta niebezpiecznie zakołysała się na krześle. Popatrzyło w ich stronę kilku Kiritian, w tym Gregory znad talerza i spod ściągniętych brwi, ale widząc uspokajające skinienie głowy Hanako, wrócił do rozmowy z kolegami przy stole.

– Ten sam.

– Gadasz jakieś głupoty. Jack to najlepsza rzecz, jaka przytrafiła się Sutafochun!

– Ale już nie jest w sekcie, musieliśmy uciekać, dlatego staliśmy się Kiritianami – rzekł Sakai z wyraźnie widocznym wstydem. – Jack jako technik mechanik okazał się potrzebny przy budowie jakiegoś okrętu na planecie Eos Endymion na obrzeżach Uniwersum Skorpiona, dokąd poleciał. Tyle wiem. Najwyższy czas, abym o wszystkim ci powiedział. O ile czujesz się na siłach, by mnie wysłuchać.

Hanako z westchnieniem potarła rękoma całą twarz.

– Wszystko dobrze? – zapytał Hiro.

– Tak. Skoro działa tam sekta likanów i przyznałeś się, że do niej należałeś, to już rozumiem, o co chodziło z kradzieżą królików.

– Nie należałem nigdy do likanów, ale powiedzmy, że przymusowo dla nich pracowałem. Ojciec o niczym nie wiedział i nie wie, bałem się o siebie, jak i o niego. Jack wkręcił mnie w to bagno, ale niespecjalnie – sam nie zdawał sobie sprawy z tego, dokąd to wszystko zmierza. Sekciarzom potrzebne były moje umiejętności. Na początku miała być zaledwie jednorazowa akcja, ale skończyło się na tym, że ze strachem i obrzydzeniem wykonywałem dla nich kolejne zlecenia. Zablokowałem zabezpieczenia królikarni, aby dało się nocą wynieść od południa zwierzęta, sekta wykorzystała je do rozmaitych rytuałów czy polowań. Za każdym razem kazałem likanom, by dali mi spokój. Ale oni żądali więcej i więcej, dostali palec, a chcieli rękę. Grożono mi, bałem się. Jack też zaczął mieć przewalone. Jedyne wyjście, jakie znalazłem w swojej sytuacji, to przyłączyć się do kogoś, kto jest jeszcze silniejszy i kogo likanie się boją. Przynajmniej ci z Calcaris, bo słyszałem, że sekta działająca na planecie Chulimal jest przyjazna Kiritianom.

– A gdzie my w ogóle jesteśmy?

– Wybacz, nie mogę ci powiedzieć. To nie ode mnie zależy. Przepraszam. Czy chcesz wiedzieć więcej o likanach? Jak się domyślasz, nie będą to przyjemne rzeczy.

– Mów, skoro już zacząłeś.

Hiro postukał parę razy palcami w krawędź talerza. Znow uciekł od dziewczyny wzrokiem, zanim się odezwał.

– Na zlecenie Remulusy, arcykapłanki tej sekty, stworzyłem aplikację victim&searcher, czyli visercher, służącą do wyszukiwania ofiar o odpowiednich parametrach na potrzeby rytuałów. Aplikacja miała dostęp do personaliów ludzi z miast położonych wokół Lasu Kolonistów. Visercher wskazał cię na jedno z takich świąt, jako jedyną ofiarę posiadającą pożądane cechy. Jack z początku angażował się w sprawę sekty niczym rasowy wyznawca, ale z czasem zrozumiał, że to wszystko to jedno wielkie gówno. Potajemnie starał się pomóc tylu ofiarom, ilu zdoła. Działał więc na dwa fronty. Nieraz go wspierałem. Chcieliśmy cię ocalić. Jedną z cech ofiary na święto Czystej Krwi było to, że zawsze byłaś singielką.

– I dlatego tak nachalnie starałeś się o to, byśmy zostali parą – dokończyła ponuro za niego.

– Tak. A że sam nigdy nie miałem dziewczyny, robiłem tylko z siebie idiotę, zgrywając alfę jak u likanów. – Hiro uśmiechnął się po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy. Hanako nie miała mu już za złe tamtego zachowania, ona sama przecież szukała w Univnecie, jak należy całować się z chłopakiem. – Grałem przed własnym ojcem, że mi na tobie zależy. Jesteś sympatyczna i ładna, ale nigdy cię nie kochałem. Nakama była pozorantwem, tak jak to, że jest ze mnie super podrywacz. Wszystko było ustawką, bo myślałem... iż polecisz na kogoś tak doświadczonego i wrednego. Czas naglił, miało to służyć ułatwieniu sprawy.

– To bez sensu. Przecież sekta od razu domyśliłaby się, że działasz przeciwko nim, skoro byłeś twórcą tej aplikacji.

– Po jej napisaniu i przekazaniu nie monitorowałem, co likanie z nią robią. O wybraniu ciebie na ofiarę usłyszałem pokątnie od Jacka. Wtedy jeszcze nie wiadano, że ściśle współpracujemy w sprawach sekty, więc to, że cię podrywałem, wyglądało na przypadek.

– Czyli chodziło tylko o wymuszone chodzenie ze sobą?

Sakai speszył się.

– Jedynie w ten sposób zostałabyś odrzucona jako ofiara na święto Czystej Krwi. Nie mieliśmy innych pomysłów.

Hanako domyśliła się, co rozmówca ma na myśli. Nazwa sama w sobie była iście wymowna.

– To obrzydliwe, chore... Dla was wszystkich byłam tylko rzeczą. – Potrząsnęła głową. – Niektórzy twierdzą, że religia, czy taka z bogami, czy bez, nigdy nie prowadzi do niczego dobrego.

– Nieprawda. Twoja wiara na przykład jest zupełnie w porządku. Religia jest niczym nóż, można przy jego pomocy stworzyć smaczne danie dla rodziny, wyrzeźbić w drewnie piękną figurkę, ale również kogoś zabić – samo w sobie to neutralne narzędzie i tylko od człowieka zależy, jak zostanie wykorzystane. A ludzie niestety mają tendencję to wypaczania wszystkiego, co mogłoby być piękne. Wychowałaś się w spokojnym, odseparowanym miasteczku. Do tego jesteś jeszcze bardzo młoda i nie zdajesz sobie sprawy, do czego ludzie potrafią być zdolni. Hanako? – Wstał nieznacznie, widząc, że dziewczyna zbladła i ciężko oparła się na podłokietnikach. – Za dużo tego wszystkiego dla ciebie. Powinnaś odpocząć. Zwłaszcza że jesteś...

– To dopiero drugi miesiąc – warknęła. – No świetnie, połowa Kiritian już pewnie to wie. Tutaj zapewne muszę uchodzić za ewenement.

– Gregory powiedział tylko mnie. Wiedzą też osoby, które cię badały, ale dla nich nie ma to żadnego znaczenia. – Hiro opadł z powrotem.

Dziewczyna popatrzyła na niego z wyrzutem.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o wszystkim od razu? Nie zgłosiłeś tego na tauricję?

– Bo Shanti, szeryf miasta Sutafochun, jest jednym z nich. Kiedy coś się dzieje, okłamuje opinię publiczną, zamiata wszystko pod dywan, zaciera ślady ze swoimi androidami. Większość likanów to dzicz mieszkająca w lesie, ale część znamienitych ludzi z okolicznych miast też postanowiła pobawić się w sektę po godzinach. Zgłaszanie sprawy nic by nie dało. Gdybyś się dowiedziała o istnieniu sekty, nikt by ci nie pomógł, jedynie byś sobie zaszkoziła. Oni są nietykalni.

– A Kiritianie? Nie mógłbyś ich namówić, aby zniszczyli tych niebezpiecznych ludzi?

– Nieśmiertelni nie mają żadnych powodów, aby mieszać się w sprawy Calcaris. Zwłaszcza że gdy zaczną pojawiać się w okolicy planety, dojdzie do napięć z rebeliantami i niewykluczone, że wybuchnie między nimi kolejna wojna.

– Przynajmniej Thino'pai pokrzyżował plany likanów – wypowiedziała luźną uwagę.

Hiro popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Kto taki?

Ona zerknęła w ten sam sposób na niego.

– Powinieneś to wiedzieć. Możesz znać go pod nazwą Lyrnam Galapagos.

– A, mówisz o tym kryminaliście z Aristillusa. Rzeczywiście był taki w lesie, zbiegł z koloni karnej aż z Układu Słonecznego. Trochę napsuł krwi likanom, ale znów go złapano.

Hanako nie musiała pytać Hiroshiego, czy ma w głowie entrasera, bo kiedyś jej to potwierdził. Sprawa Thino'paia została więc zatuszowana, nikt nic nie wiedział, a on po prostu zniknął. Kiedy pomyślała, że wszystko sam zaaranżował, czyszcząc ludziom pamięć albo konfabulując ich wspomnienia, by odejść, poczuła wręcz fizyczne ukłucie żalu, jakby dostała sztych w brzuch.

Odszedł.

Uznał, że Hanako nie jest mu już potrzebna.

Wykorzystał ją jako wahirikę, by nie umrzeć na Calcaris, a potem zwyczajnie odtrącił.

Ale czego ona, naiwna, niby się spodziewała po istocie, która beznamiętnie wyrznęła w pień całą bandę likanów?

Umknął jej moment, gdy zatroskany Hiro znalazł się przy jej krześle, by sprowadzić ją ponownie do pionu, bo od tych myśli dziewczynie zakręciło się w głowie.

– Koniec imprezy, serio, Hanako. Powinnaś iść i odpocząć. Odprowadzę cię do pokoju. I przepraszam za wszystko. Naprawdę nie chciałem nigdy zrobić nic złego.

Uznał to za dobry znak, że przyjęła jego pomoc.

– Poczekaj jeszcze moment – oznajmił.

Podczas gdy Sakai wkładał do dużego pudełka łakocie i napoje z głównego stołu, do Hanako podszedł Gregory, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

– Pójdę z Hirem – odparła uspokajająco, dorzucając wymuszony uśmiech, na który ponad dwustuletni porucznik i tym razem nie dał się nabrać, ale wiedział, że o czymkolwiek rozmawiała ze sobą ta dwójka, doszła do konsensusu. Hanako pomyślała o własnej rodzinie, która nigdy się o nią tak nie troszczyła i zrobiło jej się przykro. Za to nigdy nawet nie śniła o tym, że pomoc znajdzie u całkowicie jej obcych Kiritian.

Kiedy szła z Sakaiem ku drzwiom pomieszczenia, pożegnało się z nią serdecznie kilku Nieśmiertelnych, dwie dziewczyny nawet ją przytuliły i życzyły wszystkiego dobrego. Używki przełamały wcześniejsze lody.

Będąc już w swoim pokoju, Hanako zdjęła buty i bluzę uniformu, pozostając w krótkim rękawku. Położyła się na kanapie. Hiro postawił pudło na stole i powymyślał z niego akcesoria kuchenne oraz jadło, następnie usiadł na krześle.

– Jeśli chcesz, mogę zostać, póki nie zaśniesz – zaproponował. Hanako doceniła, że się stara.

– Nie mam nic przeciwko. Wolałabym nie być teraz sama.

– Dlatego właśnie przyszedłem z tobą. – Zrobił dłuższą przerwę. – Najlepiej, jakbyś nie wracała już do Sutafochun – dodał ciszej, patrząc przez puronaks na pusty korytarz. O najważniejszej sprawie, wiążącej Hanako z sektą, wolał nawet nie wspominać. Takiego szoku raczej by już nie zniosła. Jak dotąd trzymała się dzielnie, jedynie bredząc o jakimś rzekomym obrońcy z lasu, niczym małe dziecko wymyślające sobie w potrzebie urojonych przyjaciół. – Zwłaszcza po tym, jak zastrzeliłaś Vanadę, kochankę alfy Midnighta. To okrutny, mściwy psychopata, który będzie cię teraz ścigał po samą śmierć.

– Tylko gdzie ja się podzieję, Hiro? – Obróciła się w jego stronę.

– Wydaje mi się, że mógłbym ci pomóc. Na drugiej półkuli Calcaris mieszka moja ciotka Anastazja. Mieszka tak w cudzysłowie. Jest politykiem, stale podróżuje międzyplanetarnie, przez co nieraz całymi miesiącami nie ma jej w domu. Pod jej nieobecność posiadłością zajmuje się androidka Agata... która sprawdza się też świetnie jako opiekunka do dzieci.

Poruszona niewygodna kwestia zawisła pomiędzy nimi.

– Mógłbym załatwić ci tam pobyt na pewien czas, potem by się coś wymyśliło. Chociaż niewykluczone, że ciotka nie miałaby nic przeciwko temu, gdybyś została na dłużej. Jest zupełnie w porządku.

Hanako wróciła ponownie do leżenia na plecach, położyła rękę na brzuchu i zaczęła się po nim gładzić.

– Przemyślę to. Jakby co, mam dużo pieniędzy. Dziękuję, Hiro. – Chociaż przedstawił jej swój punkt widzenia i wymienił napotkane problemy, nadal czuła do niego urazę z powodu milczenia. Niemniej Sakai obecnie był jedynym łącznikiem z jej dawnym życiem i wolała mieć go po swojej stronie.

– Akurat kwestia pieniędzy jest bezproblemowa, ciotka ze względu na fuchę śpi na kasie. Może chociaż w ten sposób zdołam ci zrekompensować to, co cię spotkało... – W jego odpowiedzi pobrzmiwała szczerą skrucha. Nałożył na talerz kawałek tortu, oblizał palec, który do niego wcisnął niechcący, podszedł do dziewczyny i wysunął ramię. – Ciasteczko? Z morelami.

Sahara uśmiechnęła się delikatnie, umościła na boku w pozycji półleżącej i przyjęła poczęstunek.

– To likanie powinni dawać mi ciasteczka w ramach przeprosin. Też się poczęstuj. Dzień się nie skończył i ciągle mam urodziny.

– Co jak co, ale takich jak twoje nie miał chyba nikt nigdy w historii ludzkości. – Hiro pozwolił sobie na szczyptę czarnego humoru. Sięgnął po słodczyk niewiadomego pochodzenia o kształcie kwiatu róży, ale bardzo smaczny.

– Żebyś wiedział. Sekty, ciąża, uprowadzenie, Kiritianie...

Hanako nie spodziewała się, że w takich okolicznościach możliwa jest w ogóle poprawa nastroju. Niewykluczone, że na imprezie napiła się czy najadła czegoś rozluźniającego, co zaczęło działać.

Rozmawiali ze sobą jeszcze godzinę. Hiro nie powiedział jej, mimo że zaciekawiona Hanako o to dopytywała, kim jest guru sekty, ale nie drążyła tematu, wiedząc, że Sakai milczy, bo musi mieć ku temu ważne powody.

Zaproponował dziewczynie bezpieczny środek nasenny, ale odmówiła, czego potem trochę żałowała. Sakai opuścił pokój, gdy poczuła znużenie, jednak kiedy została sama, sen nie chciał nadejść mimo zmęczenia. Ciało domagało się odpoczynku, jednak mózg był na to zbyt wybudzony.

Hanako nasunęła story na wewnętrzne okna, przez co w pomieszczeniu zapanowały niemalże egipskie ciemności, bo nieznacznie rozpraszane wąskim prześwitem pod drzwiami; w korytarzu paliło się światło.

Gdy leżała tak w samotności kolejne kwadransy, a wyczulony umysł podsuwał jej depresyjne myśli, odczuwała coraz większy niepokój. Wszystko zaczęło ją przytłaczać ze zwielokrotnioną siłą niż za dnia. Zaszłochała. Zwłaszcza z powodu zdrady Thino'paia. Moc słodczyka i poczucia bezpieczeństwa okazały się za słabe. Nie miała żadnego pojęcia na temat ciąży, kompletnie nie znała się na dzieciach, przekonana, że te sprawy należą do przyszłości równie odległej, co kraniec Zodiak Universum. W pewnych okolicznościach w jej kręgach kulturowych ciążę można

było usunąć, ale i na tym polu brakowało Hanako wiedzy, bo dotąd nie interesowała się takimi rzeczami. W równym stopniu robiło jej się przykro na myśl, że dziecko jeszcze bardziej wywróci do góry nogami cały jej dotychczasowy świat i nałoży na nią masę ograniczeń, jak i że miałyby usunąć ciężę, tym samym unicestwiając rozwijającego się człowieka.

Zdołała zasnąć po ponad czterech godzinach tortur, jakie serwowały jej burzliwe myśli, których długo nie dawała rady uspokoić. Wybudzała się kilka razy aż do rana. Na koniec nie pamiętała swoich snów, ale wiedziała, że musiało jej się przyśnić coś depresyjnego, bo przy próbie ich przypomnienia sobie odczuwała strach.

Fakt, że jest w ciąży, napawał ją większym lękiem niż świadomość, iż chciano ją złożyć w ofierze w jakimś popieprzonym rytuale. Może kolejne środki uspokajające to była jednak najlepsza opcja.

Poszła się umyć do łazienki ulokowanej niedaleko drzwi, a po powrocie zjadła resztki ze stołu. Postanowiła pogadać z Gregorym; kto jak kto, ale długowieczny, doświadczony na wielu polach Kiritianin z pewnością znajdzie rozwiązanie na każdy jej problem. Dla niego zapewne błahy, choć dla Hanako niczym kamień milowy.

Porucznik kazał zostawić dziewczynie PDA, by mogli się komunikować. Rano nie miał czasu na spotkanie, ale udało mu się znaleźć chwilę i do niej przyjść trzy godziny później.

– Nie radzę sobie z tym wszystkim. – Hanako sama sobie się dziwiła, że wzięła ją na podobne wyznanie przed Gregorym. Planowała mówić tylko o konkretach. Niemniej słyszała, iż podobno łatwiej jest rozmawiać o delikatnych sprawach z obcymi niż rodziną i znajomymi, bo ci pierwsi podchodzili do problemu na świeżo i z dystansem. – Ta ciąża mnie przeraża. Nie wiem, co mam robić...

Siedząc na skraju kanapy, na której dziewczyna tkwiła z rękoma obejmującymi podkulone nogi, Gregory namyślał się przez chwilę, nim ostatecznie zdecydował się na odpowiedź.

– U nas istnieje taka metoda, że gdy któraś Kiritianka już zaciąży, na każdym etapie jest możliwość wyjęcia zarodka, płodu albo dziecka i jego hodowli w sztucznej macicy, czyli jako zwykle in vitro. Stan organizmu matki zostaje przywrócony do stanu, jakby ciąży w ogóle nie było. Hodowla może przebiegać

normalnie, ale też w przyśpieszeniu – w trzy tygodnie da się uzyskać z zarodka w pełni rozwiniętego i zdrowego człowieka. Nad wszelkimi chorobami i dolegliwościami mamy zresztą pełną kontrolę, dlatego przeżywalność takich dzieci wynosi sto procent. Mógłbym ci takie coś załatwić. Decyzja nie należy jednak do łatwych – ciągnął. – Chodzi w końcu o twoją przyszłość. W tym ci niestety nie pomogę, sama musisz wykazać się dostateczną dojrzałością, Hanako, by zrozumieć, czego pragniesz. Czy potem nie będziesz żałować podjętych kroków. A w tym wszystkim musisz brać głównie pod uwagę los dziecka.

– Mówiłeś, że procedura nie jest niebezpieczna dla obojga, a twoje słowa zabrzmiały jak ostrzeżenie.

– Chodzi o kwestie psychiczne. Może się zdarzyć, że u matki, której dziecko będzie dorastać in vitro, instynkt macierzyński pozostanie w uśpieniu. Nie będzie czuć naturalnie zadzierzgniętej więzi z takim potomkiem, a może zdarzyć się nawet syndrom *baby blue*, że się go wyrzeknie, stanie się on dla niej źródłem depresji. Matce można jednak zmodyfikować psychikę na poziomie chemiczno-neurologicznym, aby nie odczuwała tego typu syndromów. – Gregory popatrzył poważniej na rozmówczynię. – Spróbuj rozważyć, czy może nie chciałabyś z nami zostać. Gdybyś nadawała się na Kiritiankę, przysługiwałyby ci różne przywileje...

– Nie, dziękuję. Tego jestem akurat absolutnie pewna. Tyle wiem, że aby stać się Nieśmiertelną, należy mieć odpowiednie predyspozycje psychiczne i fizyczne. Także trzeba szczerze chcieć należeć do narodu, coś do niego wnieść, jak to było z Hirem i Jackiem. Podobno i tak nadaje się na Kiritianina jedna osoba na setki, głównie z powodu ciężaru nieśmiertelności, więc ja już zupełnie odpadam.

– Tu masz rację. Coś jednak tam wiesz, co nie jest oderską fanaberią. – Mężczyzna uśmiechnął się.

– Hiro opowiadał mi wczoraj o kiritianizacji, aby odciągnąć moje myśli od problemów. Zmian medycznych też bym nie chciała. Jestem odersem, nieprzyzwyczajonym do modyfikacji, jakie się u was stosuje. Jeszcze raz dziękuję ci za wszystko, co dla mnie robisz, czuję się twoją dłużniczką.

– Uratowałaś mi życie, a ja jedynie zaoferowałem ci podwózkę do miejsca, gdzie sobie zażyczysz. Nawet gdy dołoży się do tego sprawę dziecka, to wciąż ja będę twoim dłużnikiem. – Gregory się podniósł. – Muszę iść, obowiązki czekają. Jakby co, masz do mnie kontakt w PDA. Zastanów się spokojnie nad wszystkim – czy

chcesz lecieć do ciotki Hira na Calcaris i tam donieść ciążę, czy opuścić nas już z dzieckiem na ręku. Życzysz sobie dostać coś na uspokojenie?

– Już nie trzeba. Twoja wizyta i rozmowa podziałały na mnie skuteczniej niż medykament. Czasami najlepszym specyfikiem jest świadomość, że ma się wsparcie i nie pozostaje się samotnym. Dziękuję, Gregory.

– Zatem do zobaczenia. Odwiedź Hira, żebyś sama tak nie siedziała. To szczerzy, porządny chłopak. Inaczej nie miałby co u nas szukać.

* * *

Podjęcie decyzji zajęło Hanako aż tydzień. Kiedy skłaniała się ku jednej z możliwości i już była pewna, że jest to dobre rozwiązanie, nachodziły ją wątpliwości. Nie miała za bardzo z kim porozmawiać o konsekwencjach, bo nieliczni Kiritianie, z którymi miała do czynienia, byli bezpłodni i bezdzietni, natomiast doświadczenie Hira w kwestiach in vitro i macierzyństwa było na jeszcze niższym poziomie niż jej. Otrzymała jedynie zapewnienie lekarza, z którym dyskutowała, że nie ma się zupełnie co przejmować zdrowiem swoim czy potomka.

Ostatecznie zażyczyła sobie, aby „poród” odbył się natychmiast i dziecko rozwinęło się w sztucznej macicy.

Sam zabieg choć w teorii wydawał się efektowny, nie był skomplikowany. Hanako musiała się położyć w gabinecie medycznym w kapsule, która kojarzyła jej się z większą wersją kybro. Zasnęła moment po tym, jak kazano jej wejść obnażonej od pasa w dół do środka i ramię robota podało jej zastrzyk. Odnosiła wrażenie, że przysnęła tylko na kilka minut, ale gdy się ocknęła, rozwijające się łożysko i zarodek były już wspomnieniem. Fizycznie nie zauważyła na sobie śladów zabiegu, jak i nie czuła, że w ogóle jakiś miał miejsce, jakkolwiek przebiegł. A wolała darować sobie szczegóły, by mniej się stresować.

Po wyjściu z kapsuły dostała swoje ubranie. Gdy je na siebie włożyła, podeszła do niej uśmiechnięta kobieta z dyskiem antygravitacyjnym leżącym przy boku, w którego centralnym wgłębieniu spoczywała sztuczna macica. Miała formę przezroczystego baniaka w kształcie poczwarki komara, wewnątrz widać było dokładnie półcentymetrowy zarodek i podpięte do niego miniurządzenia. Hanako

po skorzystaniu z przybliżenia oglądała jego uwydatnione skrzela oraz zawiązek głowy. Ogólnie wyglądał jak dowolny mały kręgowiec, którego drobne serce już zaczynało tętnić. Obraz wydawał się niezwykle, rozczulający, choć do dziewczyny nie docierał jeszcze fakt, że ta istota pochodzi z jej łona. Długo patrzyła na nią po prostu jak na osobliwe zjawisko.

Bardziej niezwykle i osobliwie zaczęło się robić jednak w kolejne dni, zarodek rozwijał się bowiem ze znacznym przyspieszeniem, jakby dołożono mu geny bambusa. Hanako z wielką chęcią przychodziła go oglądać codziennie, wpatrywała się w niego nawet wiele godzin, czasem towarzyszył jej Hiro. Organizm nabierał centymetrów i wagi, na bardzo dużej głowie wykształciły się zawiązki oczu, uszu, nosa i ust. Kończyny miały już zarys palców. Chociaż przez cienką skórę wciąż prześwitywały naczynia krwionośne, niektóre kosteczki zaczynały twardnieć.

– Anna. – Tak Hanako nazwała rozwijającą się dziewczynkę, stworzywszy imię z liter własnego imienia.

Po dziewięciu dniach płód miał już fazę przypadającą na piąty miesiąc ciąży, powoli zaczynał się ruszać, a na skórze pojawił się meszek.

Pełny rozwój ostatecznie zakończył się szesnastego dnia, kiedy to w sztucznej macicy tkwiła czterdziestopięciocentymetrowa dziewczynka ważąca trzy kilogramy.

Po odłączeniu od aparatury i wytarciu, zawiniętą w biokoc Annę podano Hanako na ręce. Patrząc na nią, Sahara mimowolnie się uśmiechnęła. Nie czuła się jakoś szczególnie szczęśliwa, co, jak słyszała, działo się ponoć u matek po naturalnym porodzie, ale na pewno błogo i zadowolona. Nie spełnił się na szczęście scenariusz, którego się obawiała – że będzie wystraszona i ucieknie od tego dziecka.

– Gratulacje – rzekł do niej z zadowoleniem Gregory po tym, gdy wszystkiego dobrego życzyli dziewczynie Hiro i zajmujący się nią personel.

Hanako i noworodka ulokowano w większym pomieszczeniu, które akurat się zwolniło po odlocie mieszkających tam lokatorów. Dziecko otrzymało własne łóżeczko.

Kiedy Hiro odwiedził Hanako wieczorem, ustalili, że odleci na Calcaris z córką za trzy dni.

– Wszystko będzie już gotowe w posiadłości na twoją wizytę – oznajmił. – Miasteczko nazywa się Fragmara.

– Podziękuj ciotce Anastazji w moim imieniu – odparła, patrząc z kanapy na śpiącą obok Annę.

– Sama jej podziękujesz, kiedy będzie miała chwilę na rozmowę. – Sakai przysunął sobie krzesło do łóżeczka, usiadł nań okrakiem, oparł splecione ramiona i brodę na zagłówku i z uśmiechem zaczął przyglądać się dziewczynce. – Śliczna.

– Jak wszystkie dzieci, gdy są małe. I śpią.

– Ma jasnokasztanowe włosy. – Hiro spojrzał na Hanako i zapytał delikatnie: – Czy taki kolor występuje u kogoś w twojej rodzinie?

– Nie, to po jej tacie – odparła bez ogródek. – Może z czasem pociemnieją.

Od kiedy Sahara znalazła się w placówce Kiritian, nie wspominała nikomu, kto jest ojcem Anny, nikt zresztą jej o to nie naciskał. Zwłaszcza że w materiale biologicznym dziewczynki nie znaleziono podczas badań nic nadzwyczajnego – oboje rodziców należeli do gatunku *Homo sapiens*. Hanako przypuszczała, że nastroje mogłyby ulec zmianie, gdyby przyznała się, że chodzi o rebelianta. Z jednej strony poczuła przeogromną ulgę, iż z wyhodowania noworodka nie wynikną żadne kłopoty, ale z drugiej – smutek. Choć fizycznie i biologicznie było to niemożliwe, mimo wszystko miała nadzieję, że to Thino'pai jakoś spłodził Annę. Ale wtedy Kiritianie nie oddaliby jej Hanako tak łatwo – o ile w ogóle.

Hiro okazał się wyjątkiem. Znał Saharę od dzieciństwa i był zwyczajnie ciekawy, komu przypadł zaszczyt stania się wybrańcem koleżanki. Dlatego sobie nie folgował, ale i nie chciał w żaden sposób przypierać Hanako do ściany.

– Anna ma także węższy nos od ciebie, ogólnie twarz bardziej o rysach osoby z rasy białej – kiedy o tym wspominał, dziewczynka akurat uchyliła powieki. – Zobacz, oczy są zielone!

Oboje przyglądali się chwilę dziecku w milczeniu, Anna znów zamknęła powieki i ziewnęła.

– Tyle w tobie entuzjazmu, jakby to była twoja córka – rzekła żartem Sahara. – Może chcesz adoptować?

– To spontaniczne pytanie czy aluzja do tego, że stałem się Nieśmiertelnym? Jeszcze nie miałem procesu kiritianizacji, więc technicznie rzecz biorąc,

przyłączyłem się do narodu, ale nie zostałem jego pełnoprawnym członkiem. Z kiritianizacją planuję poczekać kilka lat. Nie chciałbym żyć jako wieczny dwudziestojednolatek, z lekkimi odchyłami wieku biologicznego.

– Wybacz, jeśli poczułeś się urażony. Nie chciałam, by moje słowa zabrzmiały napastliwie. Tak, to było spontaniczne pytanie sytuacyjne.

– W porządku, nie pogniewałem się przecież. – Hiro uśmiechnął się szczerze. – Chociaż twoje słowa zabrzmiały również tak, jakby z biologicznym ojcem... był jakiś problem. Wybacz, jeśli jestem za bardzo wścibski.

Hanako patrzyła, jak jej córka się porusza.

– Nie wie o narodzinach Anny, ani w ogóle o tym, że byłam w ciąży – odpowiedziała cicho. – Nie wiem nawet, gdzie aktualnie się znajduje.

– No to grubo. Ale masz pewność... kim on jest? – zapytał delikatnie.

Wygląd Anny był ewidentnym dowodem na to, że spłodził ją Krystian. Hanako nie orientowała się w obecnych poglądach politycznych Hira i wołała nie zdradzać mu, do jakiej Sandstorm należy frakcji.

– Nie jestem do końca pewna – rzuciła jakby mimowolnie. Dlaczego znów pomyślała o Thino'paiu?

– Brzmi jak zadanie dla mnie. – Hiro ożywił się, prostując w krześle. – Kiritianie też korzystają z sieci centralnej do wyszukiwania informacji, tyle że ich wersja Univnetu jest w pełni otwarta. Mają dostęp do wszystkich treści. Odersi korzystają z jej ocenzurowanej formy, tylko jasnej strony, czyli jakichś dwudziestu procent zasobów. Kiedyś próbowałem się włamać do kiritiańskiego Univnetu, ale mieli za dobre zabezpieczenia. Przyznam, że czułem się wniebowzięty, gdy dostałem niedawno legalnie do niego dostęp, siłą musiano zaganiać mnie do łóżka. Zmierzam do tego, że byłbym w stanie na podstawie badań, które zrobiono Annie, wyszukać jej ojca po profilu genetycznym. Wprawdzie tylko tożsamość, bo gdyby Nieśmiertelni umieli też wskazywać lokalizację osoby, unieszkodliwiliby wszystkich swoich przeciwników, którzy jednak są mobilni i wcale niegłupi. O ile urodzenie ojca Anny zostało zarejestrowane.

– W porządku, zrób to. – I to tyle, jeśli chodzi o ukrywanie tożsamości Krystiana, pomyślała Hanako. Nie chciała jednak psuć Hiroshiemu zabawy poszukiwań, widząc jego entuzjazm.

Chłopak od razu wstał.

– Wieczorem dostaniesz faceta na tacy. Zatem do zobaczenia, dziewczęta.
Po tej obietnicy szybko wyszedł.

* * *

Sakai dotrzymał słowa i ponownie odwiedził Saharę, jak zapowiedział. Jego lekko zażenowany wyraz twarzy wskazywał na to, że poszukiwania okazały się owocne.

– Ojcem jest Krystian Sandstorm. To rebeliant – oznajmił.

W jego słowach Hanako nie dopatrzyła się odrazy, niechęci czy gniewu, co musiało oznaczać, że neutralny stosunek Hira do opozycji, jaki miał jeszcze na Calcaris, nie uległ zmianie. Przynajmniej na razie. Zażenowanie oczywiście wynikało ze zdumienia i z nowej dla niego sytuacji. Wciąż bardziej interesowały go cuda informatyczne niż polityka. Możliwe, że jego egzystencja w zmilitaryzowanym narodzie ograniczy się także w przyszłości do siedzenia w tych cudach, a chłopak nie znajdzie się bezpośrednio na froncie jako szeregowy achij.

Hanako miała za to definitywne potwierdzenie co do tożsamości ojca dziecka. Wiedziała, że innego scenariusza raczej nie będzie, ale musiała to usłyszeć na głos.

– Dziękuję, Hiro – odparła jedynie.

– Nie wiem, gdzie on jest, ale znalazłem do niego kontakt. Prześlę na twojego PDA. Gdybyś chciała się z nim połączyć, sparuj urządzenie ze stacją komunikacyjną o zasięgu międzygwiazdowym. Jeśli Krystian będzie się znajdował w promieniu sześciuset lat świetlnych, złapiesz go.

– Kontakt bardzo się przyda, moje przepadły wraz z utratą holonotu. Jeśli to nie problem, chciałabym też odzyskać ten do mojej mamy. – Hanako westchnęła. – Na pewno bardzo się martwi.

Nie rozumiała zaskoczonego, smutnego spojrzenia, którym Hiro ją obdarował. Na moment skierował twarz w stronę Anny, która poruszyła się w łóżeczku.

– Mam ją w kontaktach, twojego ojca też – rzekł, nie krzyżując wzroku z Hanako. – Jednak byłoby lepiej, jakbyś nie komunikowała się z rodziną.

– Dlaczego? Powinna wiedzieć, co się ze mną dzieje.

– Może być pod obserwacją. – Powiedział część prawdy.

– Przecież nic mi tu nie grozi... A mojej rodzinie, Hiro? Likanie mogą ją skrzywdzić, gdyby się dowiedzieli, że mam się dobrze i nawiązałam z nią kontakt? Jak niebezpieczna jest to sekta?

– Rodzinie raczej nic nie grozi, jedynie tobie. – Sakai znów zachowywał się niepewnie i unikał kontaktu wzrokowego. – Planujesz wrócić na Calcaris i byłoby lepiej, gdyby odbyło się to anonimowo. Potem będziemy myśleć, co dalej. Chyba że ja albo Gregory mamy załatwić ci jednak pobyt na innej planecie.

– Skoro wszystko zostało dogadane z twoją ciotką, nieuprzejmie byłoby rezygnować. Polecę do Fragmary.

– Dobrze zatem. – Hiro posłał jej wymuszony uśmiech.

Zauważyła, że urwał interesujący ją wątek niczym Thino'pai. Wiedziała już z doświadczenia, obcując z cyborgiem, iż w podobnych okolicznościach mający ku temu własne powody interlokutor nie powie nic więcej, zatem nie było sensu męczyć chłopaka kłopotliwym wypytywaniem.

Musiała wierzyć, że rzeczywiście nic nie grozi Annie ani jej, i wszystko zacznie się układać. Chociaż bardzo trudno będzie wrócić jej do normalności po odejściu Thino'paia i ze świadomością, że z powodu dziecka dawne jej życie przeminęło. Jeszcze nad tym wszystkim wisiało likańskie widmo.



13. Fragmara

Sahara nie była w stanie ustalić miejsca swojego pobytu, zarówno jeśli chodzi o bazę, jak i planetę. Powiedziano jej jedynie to, co już przypuszczała – że placówka Kiritian mieści się pod ziemią. Umieściła Annę w specjalnie skonstruowanym wieszadle na swoim torsie i udała się za przewodnikiem do podziemnego hangaru, małego według Gregory'ego, choć dla Hanako gigantycznego, bo kilkakrotnie większego od tego będącego w użyciu przy Sutafochun.

Trochę była zdziwiona, że lecieć miał z nią jedynie porucznik, natomiast na ich środek lokomocji wybrano mały transporter ewidentnie używany przez cywili odersów. Hanako rozejrzała się po podziemnym hangarze i zauważyła, że tego typu jednostek, zapewne mających służyć jako zmyłka, stacjonuje tu więcej. Miały kształty klasycznych, jasnych maszyn latających, wywodzących się jeszcze od ziemskich promów czy samolotów wojskowych z czasów kolonialnych, czym odcinały się krzykliwie od statków i okrętów Nieśmiertelnych. Te wydawały się

zbudowane z tkanek organicznych i miały całkowicie odmienne geometrie kadłubów, jak i ciemne barwy.

Zastanawiała się akurat, czy podróż z tego powodu bardzo się przeciągnie, gdy dostrzegający wątpliwości wymalowane na jej obliczu Gregory trafił idealnie z odpowiedzią:

– Jest po tuningu. Tak, to jednostka odersów, ale ma nasz napęd Alcubierre’a, jak i wiele modyfikacji związanych z jego działaniem – wyjaśnił. Pomiął informację, że podróż ze skokami podprzestrzennymi zajmie im kilka terreńskich dni. Gdyby się nią podzielił z Hanako, a ona w przyszłości porozmawiałaby z kimś bardziej obeznanym w lotach kosmicznych, osoba ta mogłaby wyliczyć, że dziewczyna przebywała na Planecie Duchów.

Weszli na pokład trapem wysuniętym z hangaru. Nieliczna załoga mogła się rozlokować w sześciu kubrykach, umiejscowionych po trzy w rzędzie w krótkim korytarzu. Hanako zajęła jedno z pomieszczeń bez bulajów. Miała do dyspozycji aneks kuchenny i łazienkę, przystosowane do używania ich w stanie nieważkości. Transporter był bowiem zbyt mały, by aktywować w maszynowni poszycia cząsteczki atoplaksalne symulujące sztuczne ciężenie.

Gregory przekonał dziewczynę, aby umieściła Annę w małej kapsule hibernacyjnej, która już czekała gotowa w kubryku. Hanako mogła pozostać w stanie czuwania na czas trwania krótkiej podróży. Dowiedziała się, że transporter używany był czasem do przewożenia prywatnie niewielkiej liczby osób; w kosmosie brano go za nieistotną jednostkę odersów. Nikt postronny więc się nie domyśli, że na pokładzie leci Kiritianin. Gregory miał założony cywilny uniform lotniczy odersów, ale w schowku znajdowały się oczywiście jego broń i lekki pancerz. Nie przewidywał jednak kontroli wewnątrz transportera. Nie miało to większego znaczenia, że jest Nieśmiertelnym, ale na pewno ów fakt mógł wzbudzić niepokój i niechęć, zwłaszcza we Fragmarze, gdzie Hanako i Anna miałyby szansę doświadczyć bojkotu mieszkańców. Albo wręcz przeciwnie – obawiano by się z nimi zadawać.

– Byle znów cię nie zestrzelili. – Hanako odważyła się na śmiały żart.

– Wtedy były inne okoliczności – odparł Anderson. – Teraz nie ma się czego obawiać. Ale jakby co, po to cię wziąłem, abyś znów mnie uratowała.

– Może w przyszłości otworzę firmę zajmującą się ratowaniem facetów w różnych okolicznościach.

Posłali sobie krótkie uśmiechy, rozumując słowa na swój sposób.

Gregory przeszkolił pasażerkę, jak powinna zachowywać się podczas podróży. Wewnętrzny sygnalizator świetlny miał ją informować, kiedy może odpiąć pasy i polatać sobie w próżni po pomieszczeniu, gdy prędkość transportera będzie stała.

Gdy wystartowali, Anna spała smacznie snem noworodka w kapsule przypominającej wielki chlebak, nieświadoma wszystkiego, co się wokół dzieje. Siedząca w fotelu Hanako czuła się dokładnie tak samo, jak w momencie wznoszenia się orbusa, tyle że nie widziała otoczenia na zewnątrz, miała za to do dyspozycji monitor holograficzny, na którym mogła sobie coś pooglądać. Skupiła zatem na nim uwagę, nieraz rozmawiając z Gregorym przez interkom. Mogła sprawdzać czas na swoim PDA albo skorzystać z tego na ekranie, ale tego nie robiła. Uszanowała prośbę Kiritian, że nie życzą sobie, by znała ich lokalizację. Zresztą ignorowanie czasu wpływało na jej pozytywne samopoczucie; czuła się od wszystkiego odcięta.

Kiedy zapaliła się zielona lampka, nie omieszkała polatać sobie po kubryku, mogła bawić się w ten sposób do chwili pierwszego skoku podprzestrzennego.

Podróż przebiegała spokojnie, Hanako nie opuszczała kabiny. Czas spędzała na spaniu, oglądaniu rozrywki, lataniu, jedzeniu i korzystaniu z łazienki.

– Jesteśmy już w atmosferze Calcaris, poza próżnią – oznajmił w którymś momencie Gregory. – Podejź do mnie, jeśli masz ochotę.

Transporter utrzymywał stałą, niewielką prędkość, więc dało się chodzić po pokładzie. Hanako skorzystała z zaproszenia, weszła do kabiny akurat w momencie, gdy eskortujące maszynę jednostki patrolowe odlatywały.

– Zwykła kontrola – poinformował ją porucznik siedzący za sterami. Miał minę, jakby bawiła go ta eskorta. Hanako zajęła miejsce drugiego pilota. – Zawsze podlatują do obcych.

– I powiedziałaś im, że jesteś Kiritianinem?

Mężczyzna uśmiechnął się szerzej.

– Oczywiście, że nie. Zdobycie fałszywej tożsamości jest dla nas dziecinnie łatwe. Przedstawiłem się jako przewoźnik, który ma cię dostarczyć do domu

Anastazji Sakai. Nasz imperator Forkis byłby o to wściekły.

– Że trwonisz czas na odersa?

– Nie, że ukrywam swoją tożsamość niczym tchórz. Nie lubi też, gdy cudujemy z maszynami, udając kogoś innego. Pierwszy Dygnitarz Galaktyczny uważa, iż powinniśmy zawsze pokazywać się w pełnej krasie, skoro jesteśmy silni. Kombinują tylko słabeusze. I w sumie dlatego właśnie wtedy mnie zestrzelono – wymamrotał Gregory. – Za bardzo kozaczyłem. – Przycisnął jedną z bocznych płytek na konsoli przyrządów. – Zacznę rozbudzać Annę. Kiedy wylądujemy, będziesz mogła ją zabrać.

Na miejscu znaleźli się po kwadransie, czas lokalny wskazywał na wczesne popołudnie. Hanako nigdy nie słyszała o Fragmarze, domyślała się, że to jedna z setek generycznych miejscowości na drugiej półkuli Calcaris. Okazało się, że nie było to miasto, a bardziej osiedle głównie domków znamienitych ludzi, a przynajmniej bogatych. Dziewczyna wyczytała w Univnecie, że Fragmarę zamieszkuje ledwie ponad pięciuset mieszkańców, którzy do pracy dolatywali gdzie indziej.

Osiedle na pierwszy rzut oka sprawiało wrażenie przyjemnego dla oka chaosu. Posiadłości nie były monotonne, każda praktycznie wyglądała inaczej, skonstruowana według pomysłu domowników. Dało się zauważyć białe kule przywodzące na myśl habitaty używane w pierwszej fazie terraformingu planet, klasyczne staroświeckie domy z kamakuni, minimalistyczne bryły rozlokowane na drzewie sekwoi karłowatej o grubych, rozłożystych gałęziach, gdzie zainstalowano windy powietrzne i platformy startowe, także podziemne siedziby zintegrowane ze sztucznymi pagórkami, z dachami pokrytymi plandekami grubej, złocistozielonej trawy oraz mchu. Ktoś wybudował nawet fantastyczny pałacyk z kwarcu.

Obok Fragmary znajdował się niewielki las złożony z różnych gatunków drzew iglastych. Po przeciwnej stronie płynęła wąska rzeka; na wysokich fundamentach u jej brzegów także postawiono domy mieszkalne. Wszędzie było dużo zieleni, jak i kwiatów stworzonych dzięki bujnej wyobraźni ludzkiej. Mieszkańcy mieli do dyspozycji kilka sklepów, punktów naprawczych oraz centrum komunikacji międzyplanetarnej, które z transportera wyglądało niczym plastry ogórka, ułożone jedne na drugich; im bliżej gruntu, tym większe były poziomy. Nie działała tu opieka zdrowotna – każda rodzina miała u siebie kapsułę medyczną, z funkcją

diagnostyczną i przeprowadzania zabiegów, nieraz też androida-sanitariusza. Po przypisane do dolegliwości leki szło się do pobliskiej apteki, złożony wprzód zamówienie, albo dron dostarczał produkt pod wskazany adres. Komunikacja odbywała się wyłącznie powietrzem.

Okazało się, że ciotka Hira nie szalała, chcąc wybić się architektoniczną osobliwością jak wielu mieszkańców. Jej dom był klasyczny, trójpoziomowy, ze schodami zewnętrznymi prowadzącymi na poszczególne piętra, obudowanym miejscem startowym i ogródkiem drzewno-kwiatowym. Uroku dodawała mu wielka przyległa doń akacja, spuszczająca na spadzisty dach gałęzie z zielonymi pióropuszcami liści. Płaszczyzny ścian oddalone od dużych okien pomalowano na jasnoniebiesko, a te miały ciemniejsze obwódki. Hanako dom wydawał się uroczy, pasował jej do dzieci. Gdyby miała na jego podstawie opisać Anastazję, powiedziałaaby, że jest osobą nie lubiącą eksperymentować, wolącą sprawdzone rozwiązania, ale także ciepłą i sympatyczną. W odległości kilkudziesięciu metrów z lewej i prawej strony stały posiadłości sąsiadów. Lądowanie Gregory'ego wzbudziło większe zainteresowanie, widać było głowy w oknach, z jednego domu gapie wyszli nawet popatrzeć.

Oslony chroniące koło startowe rozchyliły się i transporter osiadł, używając napędu antygravitacyjnego o malejącym ciągu.

Przed dom wyszedł android, o którym wspominał Hiro. Był stylizowany na kobietę koło trzydziestki o tak stereotypowym, archaicznym wyglądzie, że trudno byłoby o większą sztafpę: jasna karnacja, stylowy, czarno-biały strój pokojówki ze spódnicą prawie do kolan, surowe rysy twarzy, kok z tyłu głowy.

– Tylko chłop mógł coś takiego wymyślić – podsumował porucznik, przyglądając się wyświetlonej specyfikacji pomocy domowej. – Założę się, że Anastazja miała partnera, rozstali się i zostawił jej androida.

– Hiro ci opowiadał? – Hanako stała przy nim już z rozbudzoną Anną na rękach.

– Nie, sam to wymyśliłem. A trafiłem?

– Mniej więcej. Dlatego ciotka Anastazja tak bardzo zaangażowała się w karierę polityczną.

– To android trzeciej generacji. Zbyt głupi, by przejmować świat, ale zbyt mądry na to, by dziecko, które ma pod opieką, spaliło dom. Czyli w sam raz. – Wstał

z fotela. – Możesz mu w pełni zaufać.

Niebawem zeszli po trapie na lądowisko, androidka do nich podeszła.

– Dzień dobry, jestem Agata. – Podała rękę przybyłym. – Pani Sakai uprzedziła mnie o waszym przybyciu. Od teraz będę do twojej dyspozycji, Hanako. Cześć, słoneczko. – Jej rysy złagodniały. Uśmiechając się, pogładziła po policzku Annę, patrzącą na Agatę wielkimi, zezowatymi oczami. Zachowanie androidki wypadło bardzo naturalnie. Zrobiła dobre pierwsze wrażenie na Saharze. – Obiad już czeka. Zapraszam.

– Wejdiesz? – zapytała Hanako Gregory'ego.

– W sumie mogę na trochę – odparł.

– To dobrze, bo nie przyjąłabym odmowy po tym, co dla mnie zrobiłeś. – Wyobraziła sobie, że sprowadza tak Kiritianina do swego rodzinnego domu i wszyscy stają tam na baczność, co ją rozbawiło. Ale nie byłoby potem do śmiechu, gdyby musiała się z tego tłumaczyć.

Udali się do środka, odprowadzani ciekawskimi spojrzeniami sąsiadów. Hanako zastanawiała się, jakie mogli już ułożyć w głowach scenariusze, widząc obcą Azjatkę z dzieckiem na ręku, w towarzystwie mężczyzny o posturze żołnierza.

* * *

Gregory odleciał po nieśpiesznie zjedzonym posiłku, składającym się z dwóch dań i deseru.

Agata pokazała Hanako jej pokój znajdujący się na parterze, gdzie stało już wydrukowane łóżeczko. Zostawiwszy w nim Annę, dziewczyna poszła obejrzeć resztę domu. Choć na zewnątrz wyglądał trochę retro, w środku okazał się nowoczesny i w pełni zautomatyzowany. Mógł funkcjonować przy nieobecności mieszkańców, którzy po powrocie nie zastaliby nawet drobinki kurzu czy kawałka pleśni. Niemniej Anastazja specjalnie pod Annę aktywowała androida, uznając też, że i jej matce przyda się towarzystwo. Wnętrze urządzono w jasnych odcieniach nieco poniżej bieli, znajdowało się w nim sporo roślin. Na ścianach holu widniały obrazy przedstawiające rodzinę Anastazji. Była całkiem spora, od małych brzdąców, po uśmiechające się wszędzie osoby starsze. Sahara w kilku

miejskach rozpoznała obecnie rozwiedzionych rodziców Hiroshiego oraz samego chłopaka w wieku nastoletnim. Na jednym obrazie był z Jackiem na rybach.

Sutafochun i Fragmara znacznie różniły się od siebie. W tym pierwszym ludzie mieszkali blisko siebie, wszystko wydawało się za kolorowe, do siebie podobne i przytłaczające. We Fragmarze żaden ekstrawertyk na pewno nie cierpiałby z powodu samotności, jednak duże przestrzenie i płaski, otwarty teren dawały znaczne poczucie swobody. Ciekawe, jak będzie z sąsiadami, zastanawiała się Hanako, obserwując z balkonu na drugim piętrze rzekę, przed którą widniało coś w rodzaju rozległego miejsca piknikowego, gdzie mogliby się pomieścić wszyscy mieszkańcy.

Kiedy wróciła do swojego pokoju, Anna spała rozkosznie na plecach, z rozłożonymi rączkami i główką przechyloną na bok. Hanako wzięła z niej przykład i ułożyła się na wygodnej kanapie. Spoglądając w sufit, odnalazła palcami leżący na posłaniu PDA. Jakże pragnęła skontaktować się z matką, babcią czy Lan, by zaskoczyć je informacją o dziecku! Powstrzymywała się jednak przed włączeniem urządzenia, mając na względzie ostrzeżenie Hira. Rozważała, by chociaż odezwać się do Wiktorii z Tikimo. Czy jej dawna koleżanka mogłaby mieć z tego powodu kłopoty? Czy w Tikimo likanie także mieli wpływy? Jak długo będzie musiała tak izolować się od świata? To wszystko było takie przykre i nienormalne...

Jeszcze Gregory nieświadomie popsuł jej nastrój, kiedy chęłpił się przed lądowaniem łatwością, z jaką Kiritianie potrafią oszukiwać odersów. Hanako znowu pomyślała przez to o Thino'paiu, o którym w trakcie podróży zdołała z trudem zapomnieć. Podczas gdy porucznik zapewne sobie żartował, by ją uspokoić i dać jej do zrozumienia, że trzyma rękę na pulsie, cyborg demonstracją swojej wyższości nad innymi gatunkami wyrażał do nich pogardę. Dla Hanako nie przewidział wyjątku. Nie miał nad tym kontroli, ktoś postarał się bowiem, aby owa nienawiść trwała w jego genach. Mimo wszystko, odcięty od wpływu nadkolektywu, był w stanie naginać swój program. Jednak czy to animozja Thino'paia do rodzaju ludzkiego doprowadziła do tego, że ostatecznie porzucił niepotrzebną mu już pomocnicę? Woląta taką wersję niż znacznie bardziej depresyjną myśl, że avora mogło już nie być. Kiritianie mogli go zabić, a potem

tym, którzy badali obcego, ziemię z enklawy i zabitych likanów wymazano pamięć. Jak w starych legendach o eksperymentach z udziałem kosmitów.

– Na argenów... – Umieściła dłoń na czole. Mogła odlecieć z miejsca, które przywodziło ją o traumę, ale od traumy nie uwolni się chyba już nigdy.

Całe szczęście, że Hiro załatwił jej wieczorem w centrum komunikacji międzyplanetarnej rozmowę z ciotką Anastazją. No i do tłumienia dręczących myśli zawsze pozostawała gadka z Agatą. Wypadałoby w przyszłości poznać też sąsiadów, choć dziewczyna wątpiła, że te wszystkie składowe okażą się środkiem służącym zapomnieniu o Thino'pau.

Dopiero teraz zaczęła przeglądać wiadomości dotyczące Sutafochun i Lasu Kolonistów. Stratę kilku jednostek tauricji szeryf Shanti obrócił oczywiście na swoją korzyść, informując społeczność, że rozbił w puszczy dwie groźne szajki bandytów, które pobiły się o naleziony cenny painit. Jako przyczynę wszelkich niepokojów w ostatnim czasie wskazał tych rzekomych bandziorów. Minerale ostatecznie trafił w ręce Kiritian, którzy zagarnęli go z całym terenem, co tłumaczyło wielką dziurę w powierzchni. Nieśmiertelni temu nie zaprzeczyli, ogólnie nie obchodziło ich, co wypisują odersi w brukowcach na ich temat.

Anna niespodziewanie zaczęła płakać. Hanako obróciła się w jej stronę. Mała pewnie była głodna, a ona nie miała pokarmu. Wcześniej dawała jej mlekopodobny specyfik od Kiritian, jednak zapomniała zabrać go w podróż.

Wysoki dźwięk przypominający syrenę alarmową bardzo ją drażnił. Przysłoniła ucho dłonią, drugie mając przyciśnięte do pościeli.

– Cicho bądź – mruknęła.

Anna nie przestawała kwilić, zrobiła się bardziej czerwona. Hanako w końcu się podniosła, wzięła ją na ręce i zaczęła kołysać.

Drzwi uchyliły się i do pokoju weszła Agata uzbrojona już w akcesoria.

– A cóż to tutaj się dzieje? Czemu żuczek nam tak płacze? – powiedziała ciepło.
– Widzę, że kupka.

Hanako mogła jedynie zgadywać, jak androidka to wykryła, skoro ona sama niczego nie poczuła. Może Agata miała rozbudowany ekwiwalent ludzkiego zmysłu węchu albo dostrzegła odchody przez ubrania, na przykład po różnicach w ciepłocie ciała w okolicach pupy dziecka.

Agata przejęła Annę, położyła ją na stoliku dziecięcym, następnie zaczęła przebierać z wprawą weteranki. Zawstydzona Hanako usiadła na łóżku; czuła się niepotrzebna.

– Dziękuję ci, Agato.

– Nie ma sprawy, jak i problemu, z którym w tym domu nie umiałabym sobie poradzić.

Raczej nic byś nie zrobiła, gdyby pojawił się tu Thino'pai i miał złe zamiary, pomyślała dziewczyna. A obiecała sobie nie myśleć o tym rzeźniku z kosmosu...

Płacz Anny przeszedł w kwilenie i zanikł dokumentnie, gdy skóra była już czysta, pachnąca i nawilżona, a pieluszka założona. Agata wzięła dziewczynkę lewą ręką i kołysząc ją pewniej i swobodniej niż Hanako, wsunęła jej w usta smoczek od butelki.

Po dziesięciu minutach śpiącą Annę położyła ponownie do łóżeczka.

– Będę cię wołać, gdybyś była potrzebna – rzekła szeptem Sahara.

– Możemy się tak umówić, ale jakby coś się działo, mam podgląd na cały dom i odpowiednio zareaguję. – Uśmiechnąwszy się, Agata opuściła pomieszczenie, pozostawiając przyniesione rzeczy i Hanako z poczuciem zażenowania.

Co jak co, ale Annie przynajmniej nic się nie stanie z powodu nieudolności własnej matki, musiała przyznać Sahara. Nie miała już entrasera, więc nie mogła starać się o pozwolenie na rozszerzenie swojej wiedzy w zakresie macierzyństwa; pieczę nad jej transferem sprawowała specjalna komisja połączona z rządem.

Wzięła PDA i wyszła niedługo po androidce.

– Czy tutaj jest bezpiecznie? – zapytała ją w holu, który można by mianować małym westybulem. – W sensie we Fragmarze?

– Zupełnie nic się tu nie dzieje, jest bardzo spokojnie. Dlatego oddział tauricji znajduje się w sąsiednim, większym mieście, bo nie byłoby finansowego sensu go tu trzymać, ale w razie ewentualnych kłopotów szybko nadleci pomoc. Możesz chodzić swobodnie po Fragmarze i okolicach, bo zapewne o to chciałaś zapytać.

– Zagrożenie może nadejść z kosmosu.

– A wtedy to już ochroną zajmuje się obrona planetarna.

– Rozumiem. – Pokazała Agacie PDA. – Idę do centrum komunikacyjnego. Czy trzeba mieć tam jakąś przepustkę bądź profil miejski?

– Pani Sakai już ci wszystko udostępniła, po prostu wchodzisz do budynku. Obsługa pomoże ci nawiązać połączenie, jeśli nie będziesz potrafiła sama tego zrobić. Idź i obejrzyj sobie osiedle, o Annę się nie martw, zaopiekuję się nią wzorowo.

– Zatem miłego wieczoru. – Hanako automatycznie spersonifikowała swoją odpowiedź. Czy dla androidów wieczór mógł być w ogóle miły, albo nieudany? – Raz jeszcze dziękuję.

– Nie ma za co. Realizuję jedynie swój program.

Dziewczyna znów miała skojarzenie z cyborgiem. Chciała czym prędzej wyjść, ale zatrzymała się z dłonią opartą o framugę drzwi.

– Agato?

– Tak?

– Co byś zrobiła, gdyby zależało ci bardzo na przekazaniu komuś wiadomości, ale nie chciałabyś, aby został ślad elektroniczny? Na przykład gdy lokalna władza w jakimś miejscu ma powiązania z bandytami i istnieje ryzyko, że monitorowałyby taki kontakt?

Uświadomiła sobie, że znów palnęła gafę. Takie nieprzypadkowe pytanie aż się prosiło o to, aby android storpedował ją własnymi. Ale wyglądało na to, że program Agaty skupiał się na bezpośredniej ochronie domu i zajmowaniu się wszelkimi jego składowymi – zgodnie z wytycznymi właściciela, bo odpowiedziała natychmiast, bez ludzkiej dociekliwości.

– Wtedy wysłałabym zwykły list fizyczny z wiadomością, dronem, po którego wyglądzie nie dałoby się określić miejsca nadania. I kazałabym mu podlecieć dyskretnie do adresata od innego miejsca, niż znajduje się punkt wylotu.

Nic dziwnego, że Hanako w ogóle nie wzięła pod uwagę tej opcji, która obecnie praktycznie już nie funkcjonowała. Dziewczyna podziękowała ponownie Agacie, po czym udała się w stronę centrum komunikacyjnego.

* * *

Że ciotka Hira jest politykiem, widać było na pierwszy rzut oka, zwłaszcza po mowie ciała. Siedziała wyprostowana przed monitorem holograficznym po swojej stronie, swobodnie, ale i pewnie, mimo że uczestniczyła w prywatnej rozmowie

z koleżanką siostrzeńca. Na twarzy utrzymywała oszczędny, ale miły uśmiech z kategorii biznesowych. Nad lewym uchem krótkie kruczoczarne włosy przedzielał asymetryczny przedziałek. Ogólnie sprawiała dobre wrażenie osoby, w której chciałoby się mieć podpórę.

Anastazja opowiedziała Hanako o domu, jak i Fragmarze, unikając krępujących pytań osobistych o dziecko i powód ukrywania się tutaj. Wystarczyło jej zapewnienie Hira, że Sahara nie jest kryminalistką ani osobą patologiczną. Zresztą sama utwierdziła się w przekonaniu co do prawdziwości przekazanych informacji, taksując swoją interlokutorkę podczas rozmowy.

Kobiety dyskutowały ponad dwadzieścia minut, nim Anastazja pożegnała się przyjaźnie i zakończyła holorozmowę.

Hanako odsunęła się w siedzisku, oparła o zagłówek. Rozejrzała się po salce, gdzie oprócz niej rozmowy pozaplanetarne przeprowadzało jedenaście osób. Żadna nie skorzystała z kabiny tłumiącej dźwięk, zapewniającej pełną prywatność. Dziewczyna kolejną rozmowę wołała jednak odbyć w takiej formie.

– Czy mogłabym skorzystać z izolatki? – zapytała jednego z jeżdżących botów obsługowych, które miały wygląd zwierząt domowych skrzyżowanych z ponadmetrowym pachołkiem, wyposażonym w górne kończyny. Ten, do którego zagadała, ustylizowano na szylkretowego psa.

– Oczywiście, proszę ze mną, pani Hanako.

Bot udostępnił jej zamykane pomieszczenie, trochę podobne do cysty katapultacyjnej, która mogła stanowić przetrwalnik dla pilota wyrzuconego z maszyny latającej w przestrzeń kosmiczną. Sahara dostała też zezwolenie na podłączenie PDA, zapewniwszy bota, że nie będzie kontaktować się z Kiritianami.

Kiedy pies odjechał, siedząca w wygodnym fotelu dziewczyna zaczęła postępować zgodnie z instrukcją podaną jej przez Hira. Niebawem udało jej się sparować PDA z konsolą. W jaki sposób elektroniczny asystent Kiritian „znalazł” Krystiana, nie rozumiała już zupełnie, ale przypuszczała, że miało to związek z portacją sygnałów przez rozstawione po Zodiac Universe pośredniki będące amplifikatorami.

Musiała zaufać słowom Hira, że to jedynie prywatne, nieobowiązujące połączenie i swoim kontaktem nie zaszkodzi Krystianowi w żaden sposób, chociażby w taki, że Kiritianie mogliby określić jego lokalizację – a co gorsza,

położenie całej bazy rebelianckiej. Miała wprawdzie wybór i nie musiała korzystać z PDA, ale wolała, by Sandstorm dowiedział się o wszystkim.

– Hanako?! – Niemający na głowie hełmu Krystian zdumiał się, widząc ją przed sobą na ekranie, przez który zwykle rozmawiał z dowódcami. Znajdował się w kabinie małego myśliwca i dziewczyna patrzyła na część jego siedzącej w fotelu sylwetki oraz szaro-granatową geometrię w tle. – Jak ci się udało ze mną połączyć?!

– Cześć, Krystianie. Pomógł mi pewien informatyk z Sutafochun. Możesz rozmawiać?

– Razem z kolegami towarzyszymy transporterowi wiozącemu materiały budowlane do miejsca docelowego, nie można tego nazwać nawet eskortą, bo poza nami nikogo tu nie ma, więc tak. Chwila... Czy ja widzę przy twoim ręką kiritiańskiego PDA? – Młodzieniec był już nie tylko zaskoczony, ale i zaniepokojony, także lekko zagniewany. – Dziewczyno, czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co mogłaś zrobić?! Całe szczęście, że lecę teraz przez strefę Zadupia Górnego i jestem daleko od naszej bazy, bo moglibyśmy mieć przez ciebie kłopoty.

– Połączenie jest bezpieczne, gwarantuję. Też miałam te same wątpliwości. Musimy jednak pilnie porozmawiać.

– I to ci powiedział twój przyjaciel informatyk, że jest bezpiecznie, a ty mu uwierzyłaś tak na słowo?

Hanako speszyła się, nie odpowiedziała.

Sandstorm wziął głęboki oddech. Uspokoił się nieco.

– No dobrze, już, trudno. Co się zatem dzieje u ciebie?

Widząc jego poruszenie, chciała ująć sprawę jak najdelikatniej, by jeszcze bardziej nie wyprowadzać Krystiana z równowagi, ale nie miała pomysłu, w jakiej formie mu przekazać taką nowinę.

– Jesteś ojcem, Krystianie – rzekła ostatecznie. – Mamy dziecko – dodała, widząc na jego obliczu znamiona niezrozumienia.

Uśmiechnął się i potrząsnął głową, jednocześnie prychnął.

– Żartujesz sobie? Przecież my nie... ten tego. A człowiek nie rozmnaża się wiatropylanie czy przez podział plechy.

– Właśnie najwyraźniej było „ten tego” w Rimibii. Oboje byliśmy nocą nietrzeźwi. Ja sama byłam zaskoczona. Ale miałam robione badania, potwierdziło

się twoje ojcostwo.

– Wkręcasz mnie, prawda?

– To przyleć i sam się przekonaj.

– No dobra, załóżmy, że ci wierzę – Sandstorm czuł, jak przy linii włosów na skroni wykwita mu kropla potu. Mniej się bał, gdy niedawno natknął się na eskadrę Kiritian w strefie niczyjej, wyjętej spod jakiegokolwiek prawa, tak że swobodnie mógłby zostać zestrzelony. – Który miesiąc? Drugi, tak?

– Nie miesiąc, Krystianie. W pełni rozwinięte dziecko się już urodziło.

Rebeliant skupiał się dotąd raz za razem na parametrach lotu, a teraz przeniósł pełną uwagę na Hanako.

– Co, cholera?!

– Widzę, że się cieszysz – burknęła, podpierając pięścią skroń.

– Ale jak to... Czekaj... – Pomachał palcem. – Masz PDA. Dziecko też, które powinno dopiero zaczynać się wykształcać. Więc albo urodziłaś je u Kiritian, albo ty... z kimś jeszcze...

– Nie, debilu! Idioto ty! – Zezłościła się jeszcze bardziej niż on, choć zrobiło jej się także strasznie przykro. Znając jego temperament (jak przynajmniej dziewczynie się wydawało), spodziewała się spokojnej, wyluzowanej reakcji starszego od niej o osiem lat rebelianta, a przede wszystkim zapewnienia o oferowanej pomocy. – Byłam tylko z tobą. I tak, urodziłam je u Kiritian, gdzie znalazłam się przez pomyłkę.

– Już to widzę, że chcieli ci ją zrekompensować, udzielając tak zaawansowanej pomocy medycznej.

– Stało się to dzięki pewnemu ich porucznikowi, któremu uratowałam kiedyś życie... Którego zestrzeliliście. – Hanako wolałaby uniknąć pogrążania się jeszcze bardziej, żałowała swoich słów, ale prawda w tym przypadku była jedyną słuszną opcją. Zdawało jej się, że usłyszała „kurwa mać” i coś jeszcze, kiedy Krystian na moment pochylił głowę i potarł dłonią twarz.

– Pięknie – warknął. – To gdzie jest to dziecko?

– W miejscu, gdzie chwilowo się zatrzymałam. Nie brałam go do centrum komunikacyjnego, bo nie wiedziałam, czy w ogóle będziemy rozmawiać. Ale mogę skontaktować się z opiekującym androidem i je pokaże.

– Do tego jeszcze uciekłaś z domu? – Zaśmiał się nerwowo Krystian. – Coraz ciekawiej.

– Poczekasz chwilę?

– Tak.

Lekko roztrzęsiona Hanako połączyła się z Agatą przez PDA i poprosiła ją, czy może pokazać Annę Krystianowi. Znajdująca się akurat w ogródku androidka potwierdziła.

Przez krótki czas oczekiwania oboje tkwili w niezręcznym milczeniu. Rebeliant wymamrotał jedynie pod nosem kolejny niestosowny komentarz, który Hanako usłyszała. Bolało, że nawet nie dopytywał się o płeć, imię czy wygląd dziecka. Osoba siedząca za sterami myśliwca po drugiej stronie wydawała się kompletnie inna niż ta, z którą miała dotąd do czynienia. Krystian, którego znała, był wesołym, brawurowym lekkoduchem, niczego się nie obawiał, przez co myślała, że przyjmie wieść o urodzeniu Anny ciepło i z entuzjazmem.

Agata podeszła do łóżeczka i użyła swoich oczu jako wizjera, przesyłając podgląd na monitor PDA Hanako, która z kolei trzymała go przed ekranem holograficznym swojego stanowiska łączności. Dziecko akurat nie spało, rozpoznawało zarysy kształtów i kolory, wodziło wzrokiem za mówiącą do niego, uśmiechniętą androidką, machającą mu przed nosem maskotką.

Krystian nie komentował, patrzył z lekkim szokiem.

– Czy to aby nie deepfake? – szepnął.

Hanako chętnie by go zdzieliła w twarz, gdyby możliwe było powiązane splątaniem kwantowym ekranu z centrum łączności i komunikacyjnego z myśliwca.

– Anna ma twoje oczy, nos i włosy – powiedziała jednak z opanowaniem. – Bardziej jest do ciebie podobna niż do mnie. Powiedz, Krystian, jaki miałabym cel, aby cię oszukiwać? Jeśli nie wierzysz w to, co widzisz, przyleć na Calcaris do Fragmary. Ujrzysz wtedy Annę na własne oczy, będziesz mógł ją wziąć na ręce...

– Teraz nie mogę. Mamy dużo pracy, zagrożenie ze strony Kiritian znów jest wysokie. Możliwe, że zbliża się wojna. Coś się wydarzyło, zestrzelono naszych ludzi. Nikt z rebeliantów nie może już latać samopas, ale co najmniej w eskadrach.

– Czyli stąd twoja nerwowa reakcja? Myślisz, że bratam się z Kiritianami? Dziękuję, Agato. – Hanako wyłączyła nadawanie obrazu i opuściła PDA.

– Wybacz, ale nie wolno mi ryzykować. – Sandstorm przygryzł wargę. – Mam rozkazy. Do zobaczenia.

– Czekaj! To nie zamierzasz zobaczyć na żywo własnej córki? – W głosie dziewczyny pobrzmiwał żal.

– Wyjaśniłem ci przed chwilą, w jakiej jestem sytuacji. Muszę kończyć. Trzymajcie się zdrowo, ty i Anna.

Krystian zerwał połączenie, pozostawiając zaskoczoną Hanako przed jednolitym, seledynowym polem holografu.

Dziewczyna siedziała nieruchomo przez kolejne minuty. Czując, że zaczyna szczypać ją nos, przycisnęła do niego pięść. Kontakt z rodziną był wykluczony, Hiroshi miał nowe sprawy na głowie i nie mogła go dłużej obciążać swoimi problemami, tym bardziej Gregory'ego, zwłaszcza po tym, gdy odmówiła przejścia testów na bycie Nieśmiertelną. Liczyła – nie, była pewna – że od strony Krystiana, pierwszej osoby, która powinna teraz przy niej być, uzyska wsparcie.

* * *

Krystian wierzył Hanako. Wszystko, o czym właśnie się dowiedział, mogło się zdarzyć. Dziewczyna oczywiście nie pasowała mu do szpicla czy osoby grającej na dwa fronty, była na to zbyt młoda i naiwna, wychowana gdzieś na zapyziałej, spokojnej prowincji, gdzie zwykli pracujący uczciwie ludzie z zasady woleli mieć spokój.

Miał świadomość, że postąpił podle, dając Hanako do zrozumienia, iż niezbyt interesuje się dzieckiem. Możliwość oskarżenia jej o konszachty z Kiritianami okazała się dla niego szczęśliwym trafem, jedyną formą wybawienia, murem, za którym tymczasowo mógł się schować... jak tchórz. Tak, był przerażony obecnością Anny bardziej niż tym, że Nieśmiertelni zestrzelili rebelianckich szpiegów na granicy Uniwersum Skorpiona. Nie nakłamał więc w tym, że sytuacja uległa zaostreniu, a on z rozkazu dowództwa nie mógł się teraz ruszyć z układu gwiazdy K'ajolom, gdzie na planecie Onkalotów Chulimal, oznaczonej przez ludzi jako H14, rebelianci zakładali nową, ukrytą bazę. Za to jego gniew był wymuszony, nie wymyślił na poczekaniu niczego innego. Nie chciał mieć żadnych dzieci. Przynajmniej obecnie o tym nie myślał.

– To ze mnie jest dzieciak – rzekł do siebie, szczerze się nienawidząc.

– No to wiedzą wszyscy, nie musisz nam tego mówić – odparł żartobliwie Carlos Drunkenstein, lecący w eskadrze kilka kilometrów dalej jako skrzydłowy.

Po zerwaniu połączenia z Hanako Krystian znów przeszedł na kanał ogólny, mając kontakt z resztą pilotów, żaden nie słyszał więc jego prywatnej rozmowy z Calcaris.

Planeta H14 była już w zasięgu wzroku. Po kilku godzinach lotu transportowiec razem z myśliwcami osiadł na placu budowy nowej bazy. Załoga zaczęła opuszczać swoje maszyny. Do Carlosa Drunkensteina podszedł jego sześciolatek syn Beliar, który razem z matką oczekiwali na skraju płyty lądowiska. Widok zadowolonego rebelianta ściskającego potomka przyprawił Krystiana o zgrzytanie zębów.

Nie miał na wieczór obowiązków, postanowił więc upić się w otwartym już barze. Biesiadujący tam rebelianci od razu wydedukowali, że Krystian bardzo przeżył zniszczenie przez Kiritian eskadry, w której służył jego kolega.

– Jeszcze dopierdzielimy tym sukinsynom, nasz czas dopiero nadejdzie. – Ktoś poklepał go pocieszająco w ramię.

Sandstorm odpowiedział mu markotnie, unosząc kufel. Skupił się na obserwowaniu przez okno widowiskowego zachodu gwiazdy K'ajolom.

* * *

Hanako nazajutrz wybrała się do punktu pocztowego. Wśród wielu rodzajów dronów dostawczych znajdowała się specjalna nieoznakowana grupa, która dostarczała przesyłki specjalne chcącym zachować anonimowość, na przykład gdy tajemniczy adorator wysłał dziewczynie kwiaty do innego miasta. Sahara napisała w domu przez rękawiczki, na papierze syntetycznym, krótki list do Shuang, że ma dziecko i udała się na pewien czas na wakacje. Zakończyła wiadomość stwierdzeniem, że ma się nie martwić, co bardziej absurdalnie brzmieć już nie mogło.

Po zeskanowaniu listu i uznaniu go za bezpieczny dron wsunął go do skrzyni pod korpusem i udał się w wyznaczoną trasę – tak by do Sutafochun wlecieć od południa.

Myśl, że w końcu uspokoi (ale jednocześnie zaszokuje) swoją rodzinę, przyniosła Hanako znaczną ulgę. Miała jedynie nadzieję, że uznają ten list za wiarygodny – ostatni raz skrobała coś w dzieciństwie, gdy uczyła się pisać literki. Okazało się nieprawdą, że czynność ta nigdy nie przyda się jej w życiu.

* * *

Likanie wiedzieli już o liście – i tym, że Hanako żyje i ukrywa się gdzieś na planecie – ledwo godzinę po tym, jak z zaskoczeniem odczytała go Shuang.

Znajdujący się razem z Kionem na placu w Nakhbandze Midnight cały się spał, jego oczy zwęziły się w napływie nienawiści, jakby Hanako stała tuż obok. Spojrzeli nań z zainteresowaniem najbliżsi likanie, mocno przeredzeni po pogromie urządzonym przez Thino'paia. Nie miano alfie za złe, że tylu ludzi poprowadził na śmierć. Każdy zgodził się iść z nim dobrowolnie, ponad wszelką wątpliwość uważając, że zagrożenie jest znikome, a wcześniejsza śmierć paru likanów to były sporadyczne przypadki. Nieliczni żywi, którzy wrócili z enklawy Hanako, jednogłośnie oznajmili, iż nikt nic nie mógł zrobić w starciu z siłą, jaką tam zastali, nawet Shanti ze swoim sprzętem.

– Spokojnie – odezwał się łagodnie Kion. – Obiecuję, że ją dorwiemy, to tylko kwestia czasu. Dziewczyna nam już nie umknie. Teraz to nie twoja prywatna zemsta, Midnightcie, ale nas wszystkich. – Spojrzał w stronę otworu okiennego abysanktum, gdzie stała oparta o parapet Remulusa, z surową miną przesuwająca zamysłonym spojrzeniem po murach zapomnianego miasta.

* * *

Ludzi mieszkających we Fragmarze można by uznać za wzór sąsiadów do naśladowania: byli przyjaźni, pomocni, skorzy do rozmów. A najważniejsze, że nie nachalni – z lakonicznego wyjaśnienia Hanako wywnioskowali, iż posprzeczała się z rodziną i Sakai załatwił jej tymczasowo pobyt u swojej ciotki. Nie dopytywali się, kto jest ojcem dziecka, którym na pewno nie mógł być Hiro ze swoim japońskim fenotypem, a Sahara była im za to wdzięczna.

Myślała, że skoro wszystko zaczęło się uspokajać i jako tako układać, przyszłość będzie jawić się już w jasnych barwach. Sama Fragmara okaże się uzdrowiskiem dla jej psychiki, oazą sprzyjającą rozmyślaniu i planowaniu dalszych kroków.

Wraz z upływem tygodni okazało się, że działo się zupełnie inaczej.

Z początku dziewczyna była zazdrosna o Agatę, która zajmowała się Anną perfekcyjnie i z „uczuciem”, jednocześnie zła na siebie, iż daje jej na to przyzwolenie, samą będąc zawsze gdzieś z boku przy wykonywanych przez androidkę czynnościach. Z czasem Hanako zaakceptowała ten stan – jednak pojawił się u niej smutek i niezrozumienie, dlaczego ona sama nie chce siedzieć przy własnym dziecku. Anna częściej ją drażniła, niż przynosiła jej radość.

Zakolegowała się z sąsiadami, zwłaszcza z małżeństwem na lewo od posiadłości Anastazji, które miało dziesięcioletnią córkę-jedynaczkę, Monę. Pokochała ona Annę od pierwszego wejrzenia, okazała się godna zaufania, dlatego Hanako nieraz chodziła do niej w odwiedziny bądź pozwalała dziewczynce wyprowadzać małą na spacer w antygravitacyjnej kolebce. W kwestiach towarzyskich Hanako nie miała na co narzekać, mimo to z czasem czuła się coraz bardziej osamotniona i pogrążona w chandrze. Pierwszy raz doświadczyła czegoś takiego – że obecność wielu ludzi wokół, nawet przyjaznych, wcale nie musi zapewnić komfortu psychicznego.

Tęskniła za Thino’pajem. Dzięki własnym doświadczeniom lepiej rozumiała już jego stan.

Nie zdawała sobie sprawy, że tak bardzo była w nim zakochana, czego nigdy nie określiła bezpośrednio, zwłaszcza przy nim, skoro nie znał ludzkich emocji. Uczucie musiało być realne, gdyż przetrwało próbę czasu, a nawet nasiliło się wraz z jego upływem, mimo pełnej świadomości Hanako, że avor jest potworem i złoczyńcą. Nie miało to dla niej sensu. Rozsądek bił na alarm, kazał jej zapomnieć o Thino’paju, ale serce jakby na złość robiło mu pod górkę. Do samotności i tęsknoty dołączył jeszcze głęboki żal o to, że nie może być z rodziną. Krystian więcej się nie odezwał. O co chodzi, stało się oczywiste, gdy przy próbie kolejnego kontaktu okazało się, że ją zablokował. Hanako postanowiła nie angażować Hira w swoje sprawy, by zdjął tego bana. Byłaby to skaza na jej honorze. Nie miała w zwyczaju wpychać się tam, gdzie jej nie chcą.

Żałowała najbardziej, że przez niedojrzałą postawę Krystiana Anna oberwie najsilniejszym rykoszetem. Z żalem spoglądała na własną córkę, mającą widoczne geny rebelianta. Swobodnie czuła się jedynie, gdy nie było jej w pobliżu. Rozważała nieraz, czy aby niechęć do własnego dziecka nie wynikała z tego, iż widziała w niej ojca, który ją zranił.

Hanako zaczęła mieć także fobię przed chodzeniem do lasu, ale z tą akurat próbowała walczyć. Zostawiając Annę pod opieką Mony albo Agaty, udawała się na spacer w pobliże drzew. Przechadzała się wzdłuż ich monumentalnych sylwetek ustawionych w posępnym szeregu. Przez dwa tygodnie nie odważyła się przekroczyć linii lasu; podsuwająca jej niemożliwie straszliwe scenariusze wyobraźnia nie pomagała w ograniczaniu lęku. Wszystko się zmieniło, gdy zagadali do niej miejscowi, czy by nie chciała udać się z nimi na piknik. Pokazali jej jedno z wielu fajnych miejsc, mających postać okrągłej, pustej przestrzeni pośród drzew, gdzie dało się palić ognisko, biwakować – ogólnie posiedzieć mniej produktywnie na łonie natury.

Hanako spędziła z nimi miło czas do zmierzchu. Żaden okropny scenariusz się nie ziścił. We Fragmarze likanów po prostu nie było.

Kiedy jednak dziewczyna samotnie próbowała wybrać się na przechadzkę w te same miejsca, kończyło się to obniżeniem nastroju. Działająca kojąco zieleń czy relaksacyjna woń olejków eterycznych na niewiele się zdały.

Żal Hanako okazał się zbyt silny.

Opierała się plecami o pień i potrafiła ponad godzinę spoglądać nieruchomo w niebo. Nie przynosiło to ukojenia. Nieraz obejmowała drzewo i szlochała, sama nie rozumiejąc, co jest konkretnym źródłem tego smutku.

– Masz specyficzny rodzaj depresji, wywołany rozwojem dziecka w warunkach in vitro – usłyszała, gdy któregoś razu wróciła do domu. Układająca w salonie donice z kwiatami Agata była obrócona tyłem do idącej cicho Sahary. – To efekt stosowania technologii sprzecznej z prawami natury. Nie jest rzadkim przypadkiem, że między matką i dzieckiem nie wytwarza się wówczas macierzyńska więź, co ma miejsce przy zwykłej ciąży. W skrajnych przypadkach matka, choć z początku cieszy się potomkiem wyhodowanym w bioreaktorze, odrzuca go, staje się on dla niej źródłem frustracji i cierpienia.

Hanako cofnęła się do salonu. Rzeczywiście Gregory informował ją o takim zjawisku. Wtedy wydawało jej się, że to wygląda jak przy lekach – zgodnie z normami podaje się skutki uboczne ich stosowania, które realnie pojawiają się u jednego pacjenta na sto. Albo i na dziesięć tysięcy. Dlatego nie wzięła tego na poważnie i zdążyła zapomnieć o ostrzeżeniu.

Agata mówiła dalej, obróciwszy się ku niej.

– U Kiritian życie stoi w sprzeczności z prawami natury i dla nich jest to normalne. Mają ku temu środki, są do tego przyzwyczajeni, ale z odersami sprawa wygląda inaczej. Anna rozwinęła się według ich standardów, a potem puścili cię z nią wolno, że tak to ujmę. Do tego doszła klasyczna depresja poporodowa *baby blue*, znana medycynie od bardzo dawna. Zwłaszcza dotyczy ona kobiet małoletnich. W dodatku bardzo zamartwiasz się innymi sprawami. Nie powinnaś sama zmagać się z problemem, a widzę, że nie raczyłaś się do mnie zwrócić, choć dałam ci czas. To stanowczo zbyt wiele jak na twój wiek. Jestem androidem domowym i wszystko to zauważam.

– Myślałam, że mi samo minie.

Agata podparła się pod boki.

– Nic ci nie minie, dziecko. Można to leczyć terapią behawioralną, farmakologicznie bądź dokonując zmian w mózgu. I trzeba będzie to zrobić.

– Rozumiem, w porządku. Gdzie Anna?

– Teraz śpi. Zastanów się, który sposób chciałabyś wybrać. Możesz też pozwolić, abym wybrała za ciebie najbardziej odpowiednią formę.

– Wybierz zatem, Agato.

– Terapia behawioralna. Powinnaś zacząć od spędzania większej ilości czasu z Anną.

Hanako więc na to przystała.

Zacząła od chodzenia na plac zabaw ulokowany pośrodku Fragmary. Umiejąca już siedzieć około sześciomiesięczna Anna przebywała w towarzystwie innych dzieci; Hanako mogła sobie porozmawiać z ich rodzicami czy opiekunami. Oprócz klasycznych akcesoriów dziecięcych służących rozrywce były tam też różne roboty i łagodne roślinożerne dinozaury karłowate, pełniące rolę przytulanki bądź kucyków. Największy nie przekraczał półtora metra wysokości.

Dziewczyna udawała się także z Anną na otwartą przestrzeń, gdzie odbywały się festyny. Siedziały właśnie na kocu rozłożonym na trawie.

– Wiesz, co to jest? – Pomachała dziecku przed nosem figurką argena, który w tej wersji miał formę demonicznego, majestatycznego anioła, ale nie wyglądał groźnie. Okoliczne dzieciaki naznosiły dla Anny trochę zabawek. Mała wyciągnęła rękę, a Hanako z uśmiechem cofnęła ramię. Uniosła figurkę ku zachodzącej tarczy słonecznej. – Poznałam kiedyś kogoś podobnego. Miał potężne ciało, bo w większości wykonane z metalu, choć był żywy, tak jak ty czy ja. Pochodził z odległych gwiazd. Potrafił być bardzo okrutny, jego zasady nie miały nic wspólnego z naszymi, ale mimo to wiedział, czym jest wdzięczność i lojalność. Nazywał się Thino'pai. Kiedy rozłożył swe skrzydła, wyglądał jak prawdziwy anioł wojny...

Złapała się na tym, że na chwilę zapomniała o istnieniu Anny, która wpatrywała się w nią z zaciekawieniem przy uchylonych, oplutych wargach.

– Ech, po co ci to mówię. I tak nic z tego teraz nie zapamiętasz. – Dziewczyna chwyciła córkę za nos i lekko poruszyła palcami.

Przebywanie z córką rzeczywiście bardzo Hanako pomogło, było to jakże proste i skuteczne rozwiązanie.

Spojrzała na ciągnącą się od strony rzeki ścieżkę, po której szła kolumna małolátów. Kiedy się zbliżyła, a krzaki przestały ją zasłaniać, Hanako dostrzegła, że była dość osobliwa grupa. Każde dziecko – szacując po sylwetkach w wieku od siedmiu do może dwunastu lat – miało bowiem założoną na głowę pełną zwierzęcą maskę, przez co przypominały antropomorficznych bogów ze starożytnego Egiptu, z tą różnicą, że przedstawiały stworzenia leśne, hodowlane i domowe. Uczestnicy i uczestniczki wczuwali się w swoją rolę. Lis, z wysoko uniesionymi rękoma, żartobliwie gonił królika, pies walczył na kije z kotem, chomik pomagał w układaniu sterczących piór papugi, a byk z baranem symulowali pojedynek na rogi.

Dziewczyna poczuła zaniepokojenie, zauważywszy wśród nich postać w masce wilka, która zdawała się omiatać ją wzrokiem.

– Cześć, Hanako! – Wzdrygnęła się, gdy nagle wyrósł przed nią chomik. – Cześć, Anno!

Mona zsunęła nakrycie głowy, spod którego wysypały się półkolistą kaskadą bujne blond włosy. Kucnęła i chwyciła Annę za rączkę, z zadowoleniem machając nią na powitanie. Dołączyli do niej inni uczestnicy pochodu, zdejmując maski; niemowlę znalazło się u centrum zainteresowania. Hanako odetchnęła bezgłośnie z ulgą, gdy okazało się, że wilkiem był zwyczajny chłopiec. Bo niby kóżże inny miałby tam być.

– Co to za fantastyczne przebrania? – zapytała.

– Za trzy tygodnie obchodzimy lokalne Święto Zwierząt – oznajmiła koleżanka Mony, ruda dziewczynka z odchyloną maską wiewiórki, chyba celowo wybraną pod kolor włosów.

Słowo „święto” nie skojarzyło się Saharze najlepiej.

– To jeszcze dużo czasu, a wy już się bawicie.

– Aha. – Uśmiechnęła się Mona.

– Nie słyszałam o Święcie Zwierząt. Na czym ono polega?

– To festyn na wolnym powietrzu – przejęła wyjaśnienia dziewczynka z pyskiem byka przesuniętym na czoło. – Jest zwykle na nim dużo ludzi spoza Fragmary. To świetna zabawa, ze stoiskami, grami, jedzeniem, tańcami, różnymi projekcjami twardej holografów i tak dalej, ale główną atrakcją są zwierzęta. Można je głaskać, bawić się z nimi, rozmawiać o nich, wymieniać się doświadczeniami, zabawnymi historiami z ich udziałem. Tak na żywo, bez udziału sieci.

– Brzmi sympatycznie – odparła Hanako. – Ale ja nie mam zwierzęcia. Jedyne w salonie stoi kolumna od podłogi do sufitu z rybkami. Anastazja często jest poza domem, więc bardziej wymagające i towarzyskie stworzenie czułoby się samotnie.

– Nie szkodzi. Możesz zabrać rybkę – podsunął wesoło szatyn od maski wilka. – Zresztą kto nie ma zwierzęcia, też normalnie przychodzi.

– Pomyślę o tym.

– Masz przyjść! – stanowczo zażądała Mona. – Oczywiście razem z Anną. – Popsuła dziecku jeszcze bardziej i tak sterczącą, naelektryzowaną fryzurę. – Będą same smakołyki. I masa słodczy, w tym torty z makabo i ciasteczka z kremem z ponpongo.

– Na pewno musi być to smaczne, cokolwiek to jest. – Sahara zaśmiała się. – Może zorganizujemy z Agatą własne stoiska, upieczemy jakieś ciasta.

– Super, jest jeszcze sporo czasu. To do następnego! – Mona podniosła się, pomachała do Anny.

Małolaty ponownie nałożyły maski i wygłupiając się, kontynuowały obchód dookoła Fragmary. Do grupy przyłączały się kolejne dzieci, zwykle maluchy, tak że szybko zmieniała się w lokalną pielgrzymkę złożoną z młodocianych uczestników. Pochód zatrzymał się przy ogrodzie sąsiadki Hanako, skąd matka zawołała do córki:

– Mona, wieczorem mieliśmy wszyscy pogadać z wujkiem i ciotką na dużym holoeckranie! Pamiętasz? Prosiłam cię, żebyś nie wyłączała swojego asystenta.

Dziewczynka ze smętną miną odłączyła się od kolumny i poszła do domu.



14. Powrót do przeszłości

Krystian Sandstorm opierał się przedramieniem o kolumnę z syntetyku imitującego metal, jedną z tych, które stały przy frontowej elewacji rezydencji rodziny Drunkensteinów. Wpatrywał się w ciepłe barwy zachodu – czerwony karzeł K'ajolom stykał się właśnie z koronami drzew charakterystycznymi dla podrównikowej strefy umiarkowanej. Młodzieniec przeniósł spojrzenie na bazę rebeliantów. Jej składowe wyrosły w ostatnich miesiącach na planecie Chulimal niczym grzyby po deszczu. Było lotnisko, hangary, pracownie diagnostyczno-naukowe, obiekty szkoleniowe, budynek sztabu, oczywiście kantyna, także koszary. Ci bardziej majątni rebelianci, jak Drunkensteinowie, mieli duże posiadłości, gdzie nieraz odbywały się odprawy.

Kiedy Krystian wrócił do obserwacji nieba, dołączył doń Carlos Drunkenstein, który od pewnego czasu zajmował się opracowywaniem nowych maszyn i technologii dla rebeliantów. Obecnie pracował nad projektem transportera

desantowego, niewykrywalnego przez Nieśmiertelnych. Podparł się pod boki i zadarł brodę.

– Raczej nas tu nie znajdą, mamy zabezpieczenia, wliczając świetne ukształtowanie terenu – zagał dyskusję, sądząc, że umysł zasępionego Sandstorma zaprzęta bezpieczeństwo nowej bazy. – Ponadto nasze lekkie okręty korzystają z nowej technologii stealth, której kiritiańskie łajzy nie powinny mieć jeszcze w swojej specyfikacji.

– To dobrze. Przynajmniej jeden problem z głowy.

– A jaki jest ten drugi, który cię trapi? – Carlos spojrzął na profil Krystiana. Dał mu moment na odpowiedź, ale kiedy ten nie raczył kontynuować, sam pociągnął temat: – Od paru miesięcy jesteś często jakiś nieobecny, powiedziałbym nawet, że zmartwiony. To do ciebie niepodobne. Nie ciągnąłem cię za język, bo myślałem, że będziesz porządnym kolegą i sam mi o tym opowiesz. Zresztą mieliśmy niewiele czasu na własne towarzystwo. Ale wolisz uparcie dusić to w sobie.

Sandstorm spojrzął na przyjaciela.

– Aż tak widać?

– Wiesz, że nic nie powinno nas rozpraszać, zwłaszcza teraz, gdy zarzewie mocnego konfliktu wisi w przestrzeni. Musimy stale być czujni i skupieni. Dlatego powinieneś jak najszybciej rozwiązać swój dylemat, czymkolwiek jest. Może jednak mógłbym jakoś pomóc, Krys?

– Sprawa jest delikatna... Jakby to ująć, bym nie został na starcie potępiony. Wkurzysz się na mnie.

– Co odwalisz tym razem? Jeśli znów chodzi o Kiritian, kapitan własnoręcznie cię zamorduje i utopi w tym bagnie obok bazy.

– Mam dziecko – wysyczał Sandstorm.

Carlosa na moment zamurowało, uniósł brwi. Szybko znalazł się przed rozmówcą.

– Że co? Krys, tu, na mnie patrz. W oczy! – Wskazał swoje palcami. – Nie na bok. Możesz, kurcze, powtórzyć, bo chyba dziś uszu nie domyłem?

– No mam dziecko. – Krystian cofnął ramię z kolumny. – Nie przesłyszałeś się.

– Ale jak?

– Pamiętasz tę dziewczynę ze stacji orbitalnej Calcaris, gdy jeszcze przebywaliśmy w strefie kolonialnej zwanej Uniwersum Wagi?

– Ta mała, czarna, fajna Japonczka? Hanako chyba.

– Dokładnie o nią chodzi.

– Nie gadaj, że ona jest matką dziecka...

– No niby po co innego miałbym o niej teraz wspominać? – Krystian powiedział to z frustracją.

– Przecież widziałeś ją parę miesięcy temu. – Zdumiony Carlos zaczął przed nim gestykulować. – Cz... czekaj, czekaj. Czy ja dobrze dedykuję, że ty, stary byk, zrobiłeś nieletniej lasce dzieciaka i spierdzieliłeś w kosmos? – zakończył ostro.

– Nie spierdzieliłem. – Sandstorm wcisnął dłonie w kieszenie spodni i zrobił parę kroków. Gwiazda znajdowała się już w takim stadium, że dało się swobodnie patrzeć w jej pomarańczowo-czerwoną tarczę. – Dowiedziałem się wtedy, gdy musieliśmy zbierać się na Chulimal. Nie chciałem robić żadnego dzieciaka, nawet nie mam pojęcia, kiedy to się stało.

Drunkenstein zaczął gładzić się po brodzie, kręcić w tę i we w tę i spoglądać na birklonowe podłoże.

– Zresztą co za różnica? Hanako twierdzi, że jest bogata, a dzieckiem zajmuje się we Fragmarze, gdzie oboje teraz mieszkają, profesjonalny android. Miałem holorozmowę z nią z kabiny myśliwca i wszystko widziałem. Nie jestem tam do niczego potrzebny. Co ty robisz? – Nie wytrzymał Sandstorm. – Szukasz czegoś?

– Tamponu, bo chyba zgubiłeś. – Carlos stanął tuż przed kolegą. – Takiej piczy to ja już dawno nie widziałem!

– Mówiłem, że będziesz wściekły. Przeklęty empata.

Kilka osób znajdujących się w pobliżu zwróciło na nich uwagę.

Krystian mógł się spodziewać takiej reakcji. Drunkenstein, podobnie jak on, w niektórych kwestiach zachowywał się z nonszalancją i nieokrzesaniem, jeśli jednak chodziło o dzieci i rodzinę, łatwo się irytował, gdy inni dopuszczali się zachowań niezgodnych z jego kanonem wartości. Zaliczyć tu można było olewanie najbliższych.

– Zejdź ze mnie, Carl. Ja nawet nie jestem do końca pewny, czy Hanako nie zapodała mi jakiegoś fejka.

– I niby po co miałyby to robić, skoro sam twierdzisz, że jest bogata i „wszystko widziałeś”?

– Jest jeszcze kwestia Kiritian.

– Czemu Kiritian?

– Rozmawiała ze mną, parując ich PDA z kapripodem w centrum komunikacyjnym we Fragmarze. Podobno jeszcze Nieśmiertelni przyjęli jej poród. Nie znam dziewczyny na tyle, by wykluczyć, że nie ma z nimi jakichś konszachtów. Co ona w ogóle robiła u tych Kiritian?

Carlos popatrzył z zażenowaniem wysoko w górę i zrobił półobrót.

– Czy ty siebie w ogóle słyszysz? Niewinne dziecko z jakiejś wiochy, gdzie hoduje się króliki, współpracuje z Kiritianami, aby nam zaszkodzić? Wiesz co, ty już lepiej nic nie mów, bo tak się pogrążasz, że zaraz tylko głowa będzie sterczała ci z birklonu. – Carlos wskazał ziemię. – Tak durnych usprawiedliwień, mających na celu wybielenie swojego postępowania, w życiu jeszcze nie słyszałem. Ale przynajmniej jesteśmy w komplecie, jeśli chodzi o naszą paczkę.

– Nie rozumiem.

Drunkenstein chwycił go za ramię i zaczął niezbyt finezyjnie prowadzić w kierunku budynku sztabu. Jeszcze więcej rebeliantów z lotniska przerywało zajęcia i zaczęło spoglądać na nich z zaciekawieniem.

– A tym razem co robisz?

Carlos zaczął wyjaśniać:

– Ja mam kilkuletniego syna Beliara, Marlukowi Croftowi żona dała bliźniaki: Julkę i Arka, Vincentowi urodził się Jarret. I teraz ty masz...

– Annę.

– No, chociaż pamiętasz imię dziecka. Zwyczajnie uciekłeś od problemu, bo bałeś się zmian w swoim brawurowym życiu, i jeszcze nie raczyłeś nikomu powiedzieć o swojej tajemnicy, bo zapewne nie chciałeś, byśmy przemówili ci do rozsądku. Ale cieszę się, że wreszcie wyrzuty sumienia zmusiły cię do tego solennego wyznania.

Krystian wyrwał mu się i zatrzymał. Carlos także przystanął.

– Mówiłem już, że nie mogłem lecieć na Calcaris! Co niby miałem zrobić? Dać się połknąć gdzieś w kosmosie Kiritianom, jak ptakowi maleńka muszka? Mieliśmy rozkazy!

– Kryś... – Krzywiąc się, Carlos pomachał otwartymi dłońmi przy swojej głowie. – Nie ze mną te numery, dobra? Szukasz wymówek. Kilka miesięcy... No ja jebię... Powinieneś z miejsca lecieć do tej dziewczyny, nikt ci nie kazał

paradować po kosmosie samotnie w rebelianckim myśliwcu. Jeśli tego nie wiesz, mamy trzydziesty wiek i istnieje wiele środków transportu. Hanako to nastolatka, jest bardziej wrażliwa od ciebie, nie zna jeszcze życia. Musi być załamana i przerażona tym wszystkim. Milcz... Tylko powiesz słowo o aborcji, to cię walnę!

– Pogroził Krystianowi palcem; Sandstormowi dokładnie to chodziło po głowie. – Boisz się baby z dzieckiem bardziej niż Nieśmiertelnych. Słuchaj, wiem, że gdy byliśmy razem we czwórkę, daleko od swoich rodzin, ja, ty, Marluk i Vincent, robiliśmy ciągle jakieś durnoty. Ale to były zwykłe odskocznie, których potrzebowaliśmy, bo kto ich nie potrzebuje w dzisiejszych czasach? Potem wracaliśmy do poważnego, realnego życia. Tylko ty jeden zawsze bałeś się odpowiedzialności. Od kiedy pamiętam, nigdy nie chciałeś mieć żadnych życiowych obowiązków, jedynie tłuc Kiritian.

– Może po prostu nie chciałem nigdy nikogo stracić? – rzekł z powagą Krystian.

– Zwłaszcza biorąc pod uwagę to, kim jesteśmy. Mam dwadzieścia sześć lat, a odersi dożywają stu pięćdziesięciu, mam więc jeszcze sporo czasu na zmiany w swoim życiu. Przy scenariuszu, że nie kopsnę gdzieś w kosmosie od kiritkańskiej rakiety. Nie każdy jest w końcu taki sam.

– Owszem, każdego z nas dotyczy szczególnie wysokie ryzyko śmierci. Godziliśmy się na nie z pełną świadomością, przywdziewając mundury i podpisując kontrakty. Inni rebelianci nie mają jednak z tym problemu. Nie pozwalają na to, aby strach uniemożliwił im układanie sobie życia. – Drunkenstein uniósł otwarte dłonie. – Dobra, nie zamierzam wymieniać się z tobą na przekonania. Idziemy do kapitana.

– Po co?

– Po przepustkę dla ciebie, może nawet dłuższe wakacje. Powinieneś zająć się tą Hanako, pogadać z jej rodzicami. Masz jeszcze czas, aby wszystko naprawić. Panuje teraz relatywny spokój, potem możesz nie mieć ku temu okazji.

– Nie wolno nam na razie opuszczać układu gwiazdowego K'ajolom.

– Kosmos nie składa się z prostych tuneli do podróżowania. Jest przestrzenny. Ku danej planecie można dolecieć na miliardy sposobów, dla bezpieczeństwa zaleca się nakładanie trasy.

– Ale zapewne będę musiał też wrócić na Chulimal. Kiritianie mogą mnie zauważyć i śledzić, a zainwestowaliśmy cholernie dużo środków i czasu, by

stworzyć tę ukrytą bazę.

– W sumie podsunąłeś mi pewien pomysł. To może być idealna okazja, aby wypróbować najnowszy ekran ochronny. – Carlos chwycił ponownie Krystiana za ramię, tym razem ruszył w innym kierunku. – Zmiana planów.

– A teraz to niby dokąd, tato?

– Najpierw do warsztatu. Pochwalisz się Marlukowi i Vincentemu, jakiego przyzwoitego zaliczyłeś double killa, panie poruczniku.

* * *

Hanako przekonała się, że jej obawy związane ze Świętem Zwierząt okazały się bezpodstawne, skażone jedynie własnymi przeżyciami. Tak jak zapowiedziała Mona, przybyło na nie sporo ludzi z okolicznych miasteczek, jednak wszyscy z zasady zachowywali się spokojnie i przyzwoicie – wykluczając oczywiście przypadki, gdy przeholowano z trunkami. Porządku pilnowała sprowadzona z innego sektora tauricja – niemająca nic wspólnego z tą z Sutafochun – która praktycznie siedziała na bezrobociu.

Płaskie, otwarte tereny przyległe do Fragmary stanowiły idealne miejsce na logistyczną organizację tak sporego święta. Między rankiem a południem wyrosło tam prawdziwe miasteczko stoisk, budek i obiektów zabaw, które szybko zapełniało się zlatującymi zewsząd interesantami. Właściwe obchody zaczęły się wieczorem i zgodnie z nazwą eventu na pierwszy plan wysuwały się zwierzęta. Okolice Fragmary stały się królestwem modyfikantów, prawdziwą ich wystawą cieszącą każde oko. Większość stworzeń była unikalna, wykreowana laboratoryjnie od podstaw wedle uznania właściciela, który wprzód projektował sobie pupila na kapripodzie przy użyciu sieci neuronowej czy korzystając z innych dostępnych metod, nieraz samodzielnie. Dzięki bioinżynierii można było stworzyć praktycznie wszystko, ograniczenie stanowiła jedynie wyobraźnia i niekiedy fizyka oraz normy ewolucyjne. Obok kolorowych koni, których umaszczenie powstało dzięki pigmentowi płazów i gadów tropikalnych, stały jednorożce z dodatkowym zębem nosowym przekształconym w róg oraz pegazy-nieloty z dodanymi do szkieletu skrzydłami pochodzącymi od łabędzia. Na grzbiecie również nielatającego, wysokiego na trzy metry gryfa, stanowiącego prawdziwą hybrydę

gatunkową, spały sobie cztery czerwone, rozleniwione impy, ale większość istot nie miała nazwy gatunkowej czy nawiązującej do mitologii, jedynie imiona. Aktywowano również twarde holografy, których nie dało się od różnić od żywego zwierzęcia.

Hanako choć wiedziała, że z rybkami to był żart kolegów Mony, wzięła ich kilka na stoisko zorganizowane wespół z Agatą. Wpuściła je do akwarium z koralowcami, które kolorystyką przyciągało spojrzenia imprezowiczów; ci następnie kierowali wzrok na kilka rodzajów przygotowanych ciast. Coś tak trywialnego, jak zwyczajne ryby niebędące modyfikantami, wydawało się przyciągać sporo osób, głównie by serdecznie porozmawiać. Za to wypieki sprzedawały się w błyskawicznym tempie. Anna siedziała w krzeselku dziecięcym, co chwilę przez kogoś zabawiana.

Kiedy na stoisku pozostały jedynie okruszki, a Anna przegrała walkę z sennością i zwiesiła główkę jak wyłączona lalka, Agata postanowiła zabrać ją do domu. Na ciemnym niebie zaczęły latać i ziać ogniem wyglądające bardzo realistycznie fosforyzujące smoki, choć będące twardymi holografami. Podczas gdy wiele wymarłych zwierząt z przeszłości udało się przywrócić do życia, to niemające podstaw ewolucyjnych mityczne stworzenia stwarzały problemy przy kreacji, zwłaszcza te olbrzymie. Smok w najbardziej powszechnej wersji musiałby mieć trzy pary kończyn. Dwukrotne zwiększenie jego rozmiarów oznaczałoby czterokrotne zwiększenie powierzchni skrzydeł, aby mógł latać, ale to nie byłoby możliwe, bo wówczas jego masa wzrosłaby ośmiokrotnie. Aby takie stworzenie w ogóle mogło wznieść się w powietrze, wymagałoby długiego startu, potem powinno lecieć z prędkością setek kilometrów na godzinę, a mięśnie odpowiadające za ruch skrzydeł musiałyby mieć ponad połowę jego wagi. Możliwe byłoby co najwyżej stworzenie smoczych modyfikantów wielkości psa, z przerobionymi kręgami grzbietowymi i dodanymi tam sztucznie mięśniami skrzydeł, jednak takie stwory nie byłyby wizualnie satysfakcjonujące. Dlatego ostatecznie poprzestano na twardej holografach.

Hanako chodziła po terenie całego festynu, by pooglądać zwierzęta, przebranych za nie ludzi, jak i wiele innych atrakcji. Została wciągnięta nawet przez jakiegoś młodzieńca do tańca wokół ogniska, a potem udziału w konkursie, gdzie należało się utrzymać jak najdłużej na jurnym mamucie, aby zdobyć

nagrodę. Roześmiana Sahara spadła z niego na puchowe podłoże po siedmiu sekundach.

Spocona i zmęczona podeszła ugasić pragnienie do szwedzkiego stołu, na którym ostały się niedobitki jadła. Stał bliżej rzeki, w oddaleniu od zgiełku, ludzi i świateł, gdzie było więcej krzewów i bardziej rześkie, chłodne powietrze. Oprócz niej częstowała się młoda para, jak i zataczał pijak, ale po paru minutach trójka się oddaliła.

Z kubkiem w ręku Hanako spoglądała w gwiazdy, lepiej widoczne poza łuną światła. Usłyszawszy szelest, spojrzała w stronę brzegu i dostrzegła ganiające się po zaroślach dzieci w znanych jej już maskach, wyglądających trochę onirycznie i złowieszczo w gęstym półmroku. Małolaty zniknęły z widoku równie szybko, jak się pojawiły. Poza jednym, dość wysokim, w długim czarnym płaszczu, który zbliżył się do stołu i przystanął po prawej stronie Hanako. Ponownie zaabsorbowana niebem nie zwracała na niego uwagi.

– Cóż za czysta, wspaniała noc, nieprawdaż? – usłyszała głos, który zdecydowanie nie należał do dziecka. – Widoku nie szpeci nawet jedna czarna chmurka.

Sahara odruchowo mocniej ścisnęła kubek. Tknięta dziwnym przeczuciem, obróciła wolno głowę w stronę mówiącego. Poczowała zaniepokojenie, widząc, że znów ktoś przebrał się za przekłętą wilka – wcześniej rzucił jej się w oczy jedynie zarys postaci. Maskę o lśniących żółtych ślepiach wyglądała bardzo realistycznie, jak wszystko tego wieczoru zdawała się znajdować na pograniczu prawdy i fikcji, jawy i snu.

– Idealna dla zakochanych – mówił przebieraniec, pakując sobie do długiej, zębatej paszczy kawałek mięsa z talerza. – Jednak aby doceniać w pełni piękno tego, co nam oferuje świat, trzeba czuć się kompletnym, mając przy sobie tę ukochaną osobę. Ale niestety nie każdemu dane jest ją posiadać.

Brzmiało to tak, jakby tajemniczy anonim znał sekret Hanako. Już nie czuła zaniepokojenia, ale wręcz przerażenia, narastające adekwatnie do mocy, z jaką biło jej serce.

Osoba nieśpiesznie zdjęła maskę i odłożyła ją na krzesło.

To był Midnight!

To niemożliwe! Jakim cudem? Jak mnie tu znalazł?! Takie pytania cisnęły się do umysłu sparaliżowanej strachem, zaskoczonej Hanako, niezdolnej do wydania nawet jęku.

– Ciiiiii. – Dotykając palcem swoich warg, likanin podszedł bliżej. Objął ją ręką w pasie, jakby byli parą. – Współpracuj, a twoja córka przeżyje w jednym kawałku. Może. Udawaj, że nic się nie dzieje i sobie swobodnie rozmawiamy.

Obrócili się twarzami ku świętującym. Akurat przechodzili nieopodal dwaj tauricjanci, którzy przelotem zerknęli w stronę stołu.

– Tylko spokojnie. Nie mam ochoty psuć sobie całej zabawy. Rozsądna dziewczynka – dodał, gdy Hanako w żaden sposób nie próbowała zwrócić uwagi patrolu.

– Czego chcesz? – Zdołała wydobyć z siebie głos.

Midnight schylił się i pociągnął obleśnie językiem od jej szyi po skroń, aż skrzywiła się z obrzydzenia.

– Oczywiście ciebie. Zdaje się, że mamy niedokończone sprawy. – Szczeknąwszy jej nad uchem i kłapnąwszy zębami, rozejrzał się ostentacyjnie. Przesunął dredy przysłaniające mu prawe oko. – Ciekawa impreza. Zostałbym jeszcze trochę, ale chyba wypadałoby się zwijać, by nie przeholować. Niezły gadżet. – Zabrał jej PDA, wyłączył i wyrzucił w krzaki.

– Mam znajomych Kiritian.

– Oho, pewnie. A nawet jeśli, to ich tu nie ma i nie dasz rady ich wezwać w żaden sposób.

– Byłeś tu cały czas?

– Oczywiście. Długo cię obserwowałem. Myślałem, że dostanie się do ciebie okaże się trudniejsze, ale sama mi się wystawiłaś na tacy. Zrobimy teraz tak: grzecznie pójdziemy sobie w stronę lądowiska i wsiądziemy do transportera.

Nie dał Hanako chwili na przemyślenie, bo nim dokończył zdanie, już kierował ją siłą, wciąż trzymając rękę na jej talii, ku miejscu stacjonowania pojazdów. Z boku wyglądali rzeczywiście jak udający się na przechadzkę chłopak z dwa razy młodszą od siebie dziewczyną.

– Dobrze, pójdę z tobą, ale błagam, nie rób nic Annie. Nie ma ona z wami nic wspólnego. Jest zupełnie niewinna.

– I takie osoby smakują najlepiej.

– Odwal się od niej! – Mimo strachu nad Hanako przejął kontrolę instynkt macierzyński. A jednak go posiadała.

– Morda. – Alfa ścisnął ją boleśnie w bok, aż syknęła przez zęby. Sięgnął po holonot. – Koniec imprezy, Noova. Wracamy.

Zwołał pozostałych wmieszanych w tłum kompanów i po paru minutach pięciu likanów – czterech oczywiście w wilczych maskach – oraz Hanako byli już przy transporterze. Posłusznie weszła z nimi po klapie na pokład.

– Tak naprawdę gównu mnie obchodzi twój bachor, choć w sumie byłby z niego miły dodatek dla sekty – powiedział Midnight, gdy zajęli już miejsca w centralnym kubryku i reszta pozbyła się masek. Jeden z likanów wcale nie był przebierańcem, ale głębokim transhumanistą o wyglądzie włochatego wilkołaka. Zarazem komicznie, jak i nieprzyjemnie to wyglądało, gdy po zdjęciu zbędnej w tych okolicznościach maski ukazało się przerażające wilcze oblicze. – Nie omieszkałbym go zabrać, gdyby nadarzyła się i ku temu okazja, jednak tylko głupiec próbowałaby stawać na drodze androida-opiekuna. Niemniej wspomniałem przy stole o Annie, byś była mniej problemowa, droga Hanako. A teraz pozwól, że położę cię lulu. Nie mam ochoty słuchać podczas podróży twojego pierdzielenia. Pojęczysz sobie za wszystkie czasy dopiero na miejscu, tego możesz być pewna.

Przesunął zamasyście rękę ku Saharze i wbił w jej dłoń igiełkę ukrytą w swoim pierścieniu, pod przesuwany kapturkiem.

Po kilku sekundach dziewczyna sflaczała, wpadając w ramiona siedzącego obok Noovy.

* * *

Agata wiedziała dzięki zewnętrznym cellulom monitorującym, z którymi miała połączenie, o zbliżającym się gościu. Przebywszy ogród, zaczął wiercić się pod drzwiami domu. Naprzemienne unosił i opuszczał rękę, jakby nie był pewny, czy rzeczywiście trafił pod właściwy adres bądź miał inne wątpliwości. Ostatecznie zdecydował się zatłuc pięścią w drzwi.

Androidka podeszła do nich i je otworzyła. Gdyby stojący w progu, mający sto osiemdziesiąt siedem centymetrów wzrostu młodzieniec o bujnych brązowych

włosach zdecydował się rozrabiać, położyłaby go na ziemię w trzy sekundy.

– Kto puka w tych czasach? – zapytała. – Chociaż w pana przypadku – wali. Trzeba było zapowiedzieć się przed furtką, jak wszyscy.

– Przepraszam. Jestem Krystian Sandstorm. Mam przyjemność z panią Agatą, prawda? Można powiedzieć, że w pewnym sensie się spotkaliśmy.

– Pamiętam cię, rozmawiałeś z Hanako w centrum komunikacyjnym.

Agata przesunęła się, lekkim skinieniem głowy i ruchem gałek ocznych zaprosiła Krystiana do środka.

– Myślałam, że nigdy nie przybędziesz – powiedziała z wyrzutem, gdy już wszedł i zaczął rozglądać się po holu.

– Więc chyba zbędna okaże się informacja, że przyszedłem do Hanako.

– Owszem, ale teraz jej nie ma. Bawi się jeszcze na festynie.

– Widziałem właśnie z powietrza, że macie tu większą imprezę.

– Takie lokalne święto. Dziewczyny nie zastałeś, ale jest ktoś, kogo z pewnością też chciałbyś zobaczyć.

– Bardzo chętnie – powiedział poważnie Krystian, tak samo patrząc na Agatę.

Przeanalizowała jego emocje manifestujące się na twarzy, jak i resztę mowy ciała, i poczuła się usatysfakcjonowana. Nadzieja, obawa, ogromna ciekawość, poczucie winy i lęk były w tej sytuacji najbardziej dogodną mieszanką.

– Chodź ze mną.

Poszli do pokoju, gdzie stało łóżeczko. Anna nie spała. Siedziała i z zaciekawieniem patrzyła na obcego, ale sympatycznie wyglądającego mężczyznę. Ku jego zaskoczeniu ucieszyła się, zaczęła gaworzyć i ruszać rękoma. Poczesała postawą od razu zaraziła Krystiana.

– Chyba mnie lubi – rzekł.

– Akurat próbowałam ją położyć. Rozbudziła się, gdy wróciliśmy z festynu.

Krystian przykucnął. Przez ponad minutę taksował dziecko w milczeniu, szukając tym razem na żywo podobieństw między nim a sobą. Spontaniczny, chyba najlepszy uśmiech w jego życiu sam wypełnił mu na oblicze. Anna niesłuchanie mu się podobała. Żalony komentarz o deepfake'u postanowił zachować dla siebie i już nigdy o nim nie wspominać. A przede wszystkim – powinien dziękować Carlosowi.

– Mogę? – Popatrzył w stronę Agaty.

Skinęła głową.

Wziął Annę na rękę, która wcisnęła sobie palec w usta i zaczęła patrzeć w okno.

– Ależ ty jesteś do mnie podobna.

– I co, istny koniec świata? – powiedziała z wyraźną pobłażliwością androidka. –

Nie taki wilk straszny, gdy widzi się go z bliska.

Krystian nie mógł się nie uśmiechnąć. Był wdzięczny Agacie, że raczyła go nie osądzać, nie robić mu wyrzutów. Zapewne będąc robotem domowym, na wskroś znającym psychologię ludzką, wybrała optymalną formę reakcji.

– Z małą poszło jak z płatka, nawet nie płacze ani mnie nie zarzygała. Tylko jak zareaguje jej mama?

– Daję ci gwarancję, że też cię nie zarzyga. Zaraz się z nią skontaktuję.

Agata przesunęła się i aktywowała zdalnie jeden z wewnętrzściennych monitorów.

– Hanako ma wyłączonego PDA – stwierdziła po chwili. – Pewnie świetnie się bawi i nie życzy sobie rozpraszania uwagi. Należało jej się. Cieszę się, że zdecydowała się iść na to święto i wreszcie się rozerwać.

Krystian nie skomentował, domyślając się puenty kryjącej się za tymi słowami.

– Może pójdę jej poszukać?

– A widziałeś, chłopcze, te tłumy? Ja bym ją szybko zlokalizowała, ale nie zostawię przecież Anny.

– Mogę zostać i jej popilnować. – Sandstorm poprawił ułożenie dziecka w swoich rękach; mała dalej ssała palec, wyginając plecy w łuk. – Nie okradnę domu – dodał żartobliwie.

– Odezwę się do Mony, co córka sąsiadki. Może są razem z Hanako.

Agata wybrała kontakt z dziewczynką. Ta włączyła holonot po kilkunastu sekundach, jej powiększona twarz, okolona blond włosami, ukazała się na naściennym holografie. W kadr łapały się jeszcze dzieci w masce byka i wiewiórki.

– Cześć, Mona. Masz tam Hanako gdzieś w pobliżu?

– Dobry wieczór, pani Agato. Nie widziałam jej od jakiegoś czasu.

– A jesteś w stanie poprosić ją o przyjscie do domu? Raczej pilne, a ma wyłączonego PDA – dodała androidka.

Mona dostrzegła w tle Krystiana z Anną na rękach. Hanako nigdy nie wspominała jej o ojcu dziecka, ale dziewczynka od razu domyśliła się, co się

święci, widząc podobieństwo między małą a nieznanym.

– Nie wiem, gdzie teraz jest. Ostatnio widziałam ją z kolegą, jak rozmawiali przy szwedzkim stole obok rzeki.

– Którym kolegą i kiedy?

– Jakaś... bo ja wiem? – Mona poprosiła wzrokiem koleżankę-wiewiórkę o wsparcie, która coś wymamrotała. – Godzinę temu? Facet nie był stąd, taki z zaczesanymi dreadami po prawej stronie, łysy z lewej.

Krystian nagle coś sobie uzmysłowił. Zbliżył się do holoeckranu, wręczywszy Annę androidce.

– Hej, dziewczynko – odezwał się do Mony. – Czy ten facet miał może na wygolonym boku głowy tatuaże?

– Nie wiem, nie zwróciłam uwagi. Gość stał dość daleko i był półmrok.

– Tak, miał, proszę pana – potwierdził gorliwie chłopiec ze zsuniętą maską lisa, który pojawił się na widoku zamiast wiewiórki. – Takie trzy kule.

– To księżycy w pełni – rzekł Krystian, odczuwając coraz większe zaniepokojenie i frustrację. Tyle mu wystarczyło, by mieć potwierdzenie, o jaką osobę chodzi, ale na wszelki wypadek postanowił wykluczyć przypadkowe podobieństwo. – A zwróciliście może uwagę, w jakim był wieku? Przynajmniej na jaki wyglądał?

Teraz jeszcze więcej dzieci tłoczyło się przy ekraniku holonotu Mony, aż dziewczynka położyła urządzenie na głazie, aby wizjer mógł oddzielić się od urządzenia i poszybować w górę, by objąć z powietrza całą grupę. Zapytani patrzyli po sobie i wzruszali ramionami.

– No stary już był, chyba miał ponad trzydziestkę – odpowiedziało któreś z najmłodszych dzieci.

– O, miał jeszcze straszne, długie zęby, chyba to transhumanista – dorzucił ktoś jeszcze.

Sandstorm oczywiście nie miał małym za złe, że tak bardzo istotną rzecz powiedziały dopiero po pewnym czasie. Niemniej wiedział już wszystko.

– Kurwa – wycedził, nie zważając na słuchające go towarzystwo. – Mona, czy możemy się spotkać? Pokażesz mi dokładnie, gdzie Hanako rozmawiała z tym panem?

– A czy coś się stało? – zaniepokoiła się dziewczynka.

– Nie, nic. Muszę tylko pogadać z facetem – skłamał.

Mona patrzyła na obcego podejrzliwie, wyczuwając fałsz w jego tłumaczeniu, co zresztą potwierdzała jego nagła nerwowość; Agata też nie odważyła się zapewnić dzieci, czy Krystianowi można zaufać.

Widząc niepewne miny małolatów, będące odzwierciedleniem ich myśli, Sandstorm sam wyszedł z inicjatywą:

– Mnie nie musicie się obawiać. Kłania się Krystian Sandstorm, porucznik 78 Dywizjonu Rebelianckiego 99 Rebelianckiego Pułku Myśliwskiego, także ojciec Anny. – Dla wywarcia wrażenia przysunął palce do skroni, choć nie miał nakrycia głowy z symbolami, do których należało salutować. Następnie pokazał do holografu swój identyfikator, wyświetlony nad bransoletą lewego nadgarstka. – Jest autentyczny. Nie doprowadzę do żadnej burdy i awantury. Zresztą widziałem, że macie tu tauricjantów do pilnowania porządku.

Mona postanowiła dać mu szansę.

– Spotkajmy się przy projektorze smoków. Od razu go zauważysz, bo teraz jest aktywny i wysyła kolumny światła w niebo.

– Dzięki. Już idę.

Krystian zakończył połączenie.

– Co się dzieje? – zapytała go Agata.

– Ten facet ma pseudonim Midnight. Widziałem go kiedyś na planecie Kalwaria, jak i miałem z nim do czynienia. To bandzior, który siedział w Aristillusie. Wniknął podobno w środowisko jakiejś calcaryjskiej sekty, która działa gdzieś w lokalnym lesie. Pomyślałem o nim, bo ma charakterystyczny wygląd. Niemniej musiałbym go zobaczyć, bo dzieciaki mogły coś namieszać w opisie.

– Moment, Hanako mieszkała przy dużej puszczy, która nazywa się Las Kolonistów. Ale nigdy nie wspominała, że zna takich ludzi.

– Cholera, jeśli rzeczywiście ma to coś wspólnego z sektą... Muszę ją szybko znaleźć.

Krystian skierował się natychmiast ku drzwiom. Za bramą posiadłości wsiadł na wypożyczonego bolta i ruszył pędem w stronę festynu, łamiąc szereg lokalnych przepisów. Nie miał przy sobie swojego myśliwca, bo zorganizowano mu na Calcaris lot cywilny, z czym było trochę kombinacji i nadkładania trasy o lata

światłne, aby nic nie wskazywało na to, że wyleciał z ukrytej bazy na Chulimal. W pierwszej fazie lotu Drunkenstein kazał mu przetestować przy okazji nową, antykiritiańską osłonę stealth transportera, którego miał następnie zostawić w wyznaczonym bunkrze rebelianckim na innej planecie. Potem podróżował już jak turysta. Po którejś przesiadce w kosmosie przybył do Fragmary orbusem.

Szybko znalazł się na wskazanym przez Monę miejscu. Dziewczynka z towarzyszącą jej bandą już na niego czekali.

– Serio jesteś rebeliantem? – zapytał chłopiec, który poinformował Krystiana o tatuażu.

– Tak, ale w cywilu – odparł.

– I walczysz z Kiritianami?

– Walczę. – Wykorzystał swój rozbijający uśmiech, który musiał wywrzeć właściwy efekt, bo dzieciaki szybciej zaczęły go prowadzić do wspomnianego miejsca.

Nie zastali Hanako przy rzece.

– Widzieliście, dokąd poszła?

Małolaty pokręciły głowami.

– Nie, bo poszliśmy wzdłuż brzegu, kiedy rozmawiała z tym kolegą i potem zniknęli nam z widoku – oznajmiła ruda dziewczynka-wiewiórka.

Kiedy na niebie zawitały światła od ziejących ogniem i plazmą smoków, Krystian zauważył ciemny prostokąt pod rdzawobrunatnym krzakiem, odcinający się kolorystycznie na tle piaszczystej ziemi. Gdyby nie rozbłyski nie dałoby się dostrzec nierefleksyjnego przedmiotu w gęstniejącej ciemności. Schylił się, wczułgał między zarośla i sięgnął po przedmiot, kalecząc sobie twarz.

– To Hanako – powiedziała zaniepokojona Mona. – Jedyne PDA we Fragmarze.

– W dodatku wyłączony – rzekł zdenerwowany Krystian, stojący już na równych nogach. Udało mu się uruchomić urządzenie, ale niewiele mu to pomogło, bo nie potrafił się nim posługiwać. – Zastrany kiritiański badziew.

– Ja przepraszam... – zaczęła dziesięciolatka markotnie. – Hanako była ostatnio dosyć smutna. Nie powinnam jej zostawiać samej od chwili odejścia Agaty.

– Spokojnie, to nie twoja wina. W ogóle się na ciebie nie gniewam.

Wcisnąwszy PDA w rękę dziewczynki, rebeliant ruszył w stronę najbliższych dorosłych bywalców święta. Zapytał ich o Hanako, akurat byli to miejscowi, więc

znali dziewczynę, ale ani razu nie widzieli jej wieczorem. Kolejne zapytane osoby też nic nie wniosły do poszukiwań, ale w końcu Krystian natrafił na parę tauricjantów, która miała wyznaczony patrol wzdłuż rzeki. Widzieli Hanako, jak szła z towarzyszem spacerowym krokiem pomostem w stronę lądowiska.

– Dziewczyna może być w niebezpieczeństwie – oznajmił.

Ruszyli ku miejscu postojowemu dla pojazdów, z żądnymi wrażeń dziećmiakami deptającymi im po piętach.

Rebelianci cieszyli się w Calcaris znaczną renomą. Byli po Nieśmiertelnych drugą co do potęgi siłą w Zodiac Universum (ich zwolennicy uważali, że są najsilniejsi), dlatego gdy mający przywrócony już stopień oficerski Krystian poświecił tauricjantom swoją legitymacją, dającą prawo do latania maszynami wojskowymi, zgodzili się udostępnić mu monitoring z zawieszzonego nad okolicą drona. Nie udało się złapać momentu, gdy Hanako rozmawiała z Midnightem, ale potwierdziło się, że jest to ten sam człowiek, o którym myślał Krystian, gdy na uchwyconym obrazie Sahara wsiadała z nim – oraz grupą ludzi w wilczych maskach – na pokład transportera. Pojazd oddalił się w kierunku, gdzie pół świata dalej leżało Sutafochun. Jak i Las Kolonistów.

– Macie może jakiś myśliwiec, hybrydę, chociaż devemera? – zapytał Krystian tauricjantów, widząc na postoju same cywilne jednostki gości i autochtonów. – Jestem przeszkolony do latania na maszynach serii XRS, ale z innymi też sobie poradzę.

– Paaaanie drogi, z takimi wymaganiami to do wojska, a nie tutaj – odparł otyły stróż.

Pośród totalnie bezużytecznych według rebelianta pojazdów znalazła się jednak perełka na peryferiach lądowiska.

– Przecież to kiritiańska fusta – zdumiał się. – Stacjonują tu Nieśmiertelni?

– Aaaa, tamten. – Tauricjant nie miał pewności, czy Krystian byłby skory do bijatyki z Nieśmiertelnymi, czy jedynie podziwia maszynę. – Tak, jest produkcji kiritiańskiej, ale nie należy do militarnego narodu. Usunięto mu też oryginalne uzbrojenie i zastąpiono słabszym. Cokolwiek pan zamierza, radzę o tym zapomnieć. Ta fusta należy do pewnej, że tak to ujmę, uczciwej inaczej pani z Kalwarii, która przyleciała do Fragmary na występ swojej córki. Nie jest to jednak nasza sprawa, mamy tu jedynie pilnować, by nikt nie rozrabiał. Nie radzę...

- Gangsterzy? Dawaj ją pan - rzekł żwawo Sandstorm.

Słyszając, że właścicielem fusty, która bardzo by mu się teraz przydała, jest kobieta, wewnętrzny casanova Krystiana tylko na chwilę doszedł do głosu. Stłumiły go natychmiast wyrzuty sumienia - nie wypadało już odwoływać się w sprawach damsko-męskich do uroku osobistego, tym bardziej dla osiągnięcia korzyści łądować z kobietami w łóżku, bo miał przecież dziecko i partnerkę. Carlos skomentowałby zapewne, że dorasta i rodzi się w nim odpowiedzialność.

Ale często, by coś osiągnąć, wystarczało bycie miłym.

* * *

Hanako ocknęła się, leżąc na wymoszczonym wyschniętymi liśćmi palmy podłożu dużej klatki. Jej ciasno ułożone kraty wykonano z drewna stalowej sekwoi. Nazwa modyfikanta była adekwatna do wytrzymałości uzyskanego zeń materiału. Próbująca się uwolnić dziewczyna szybko się o tym przekonała.

Nie kojarzyła miejsca, do którego ją przetransportowano, ale domyśliła się, że może znajdować się gdzieś w Lesie Kolonistów, na co mogły wskazywać znane jej gatunki drzew. Ubranie Hanako zniknęło, włożono na nią w zamian zasłaniające jedynie jej intymne miejsca odzienie, z wkomponowanymi weń muszlami, koralami i kawałkami roślin. Poczwała wstręt na myśl, że dotykały ją ohydne likańskie łapska, jak i oglądano ją nago. Mimo panującej nocy nie odczuwała chłodu z powodu ciepłego powietrza i braku wiatru. Ognia wokół paliło się na tyle dużo, że były widoczne szczegółowo detale ukrytego, zapomnianego miasta. Na prawo dziewczyna miała zabudowania, niektóre kilkupiętrowe, w tym rozwalającą się estradę, na której w odległej przeszłości mogły odbywać się przedstawienia. Niedaleko niej siedział na tylnych łapach wielki kamienny wilk. Obiekt przy jego przednich kończynach wzięła z początku za rzeźbę odwróconej misy, ale po dokładniejszych oględzinach z niepokojem uświadomiła sobie, że to prymitywny ołtarz.

Poza nią na terenie otoczonej lasem przestrzeni znajdowało się kilkudziesięciu likanów - podobnych do tych, których widziała pod swoim bengłowem. Siedzieli w grupkach przy kręgach z pochodni, ogniskach i koksownikach, kolejni

przebywali w budynkach, bo w niektórych pomieszczeniach paliły się światła i dało się dostrzec poruszające się cienie.

– Puk, puk.

Skulona ze strachu Hanako upadła na siedzenie, zaskoczona tymi słowami, jak i walnięciem w kraty.

Obróciła się. Ujrzała przykucniętego, rozkraczzonego Midnighta z kijem w ręce, który zaczął stukać nim o kolejne kraty, niczym kłusownik płoszący schwyte w klatkę zwierzę. Sam też z wyglądu kojarzył się z kłusownikiem czy innym typem spod ciemnej gwiazdy. Przebrał się w zieloną koszulę na ramiączkach, wsuniętą w luźne spodnie z zapiętym pasem, przy którym sterczał pokrowiec z nożem oraz kabura. Pomalowane na czarno wory pod oczami nadawały alfie jeszcze bardziej ohydny, krwiożerczego wyglądu, zwłaszcza w parze z kłami, które Hanako miała nieszczęście widzieć już z bliska we Fragmarze.

– Spójrz. – Midnight wskazał niebo. Sahara nie zamierzała w żaden sposób współpracować z tym szaleńcem, niemniej ciekawość wzięła nad nią górę i przysunęła się do krat, możliwie jak najdalej od niego. Popatrzyła, gdzie jej poleciał. – Spogląda na nas Oko Opatrzności; ale nam się fajnie trafiło na tę wyjątkową noc. Czyż nie wygląda, jakby któryś z argenów zechciał zaszczyścić nas swoją obecnością? Nie, żebym w nich wierzył, ale nie ma też dowodów na ich nieistnienie. A jeśli nie ma dowodów na nieistnienie czegoś, to czyż każdy, kto uznaje za pewnik, że coś takiego nie istnieje i pyszni się tą wiedzą, nie zasługuje na miano idioty i potępienie? Zgadzasz się ze mną, słodziutka?

Likanin mówił o tranzyście dwóch księżyców, większego czerwonego Cal-2 i zdającego się być jego białą źrenicą Cal-5. Gdyby Hanako widziała zjawisko astronomiczne w innej lokalizacji i okolicznościach, uznałaby je za urocze, choć nierzadkie na planecie.

– Czego ode mnie chcecie?

Sylwetka Midnighta zakołysała się, gdy zaczął chichotać. W tej chwili demoniczny posąg zwierzęcia wyglądał o wiele przyjaźniej od niego.

– Może pobawmy się w zgadywanki. – Wyrzucił kij i zaczął bawić się piaskiem, przesypując go naprzemiennie jedną i drugą dłonią. – Jest sobie nieuchwytna dziewczyna, która sprowadziła potwora do naszego lasu. Przez nią giną nasi ludzie, w tym moja partnerka, którą ta dziewczyna zabija osobiście. Doprowadza

niemalże do naszej zagłady, a potem znika. Co w takim przypadku może zrobić sekta złych wilków? A: zapomnieć o wszystkim. B: starać się za wszelką cenę złapać winowajczynię i ją ukarać. C: starać się za wszelką cenę złapać winowajczynię i jej nie ukarać. D: uprawiać rolę. – Otrzeptał ręce, oparł łokcie o rozsunięte kolana. – Jak myślisz, co powinniśmy wybrać?

– Jak mnie znaleźliście?

Hanako podskoczyła, gdy swój spokojny, hipnotyzujący ton Midnight zmienił na krzyk.

– Odpowiadaj! Ja tu jestem od zadawania pytań!

Dziewczynie puściły nerwy, a głos zaczął drgać.

– Be? – zdołała powiedzieć szeptem.

Alfa uśmiechnął się półgębkiem.

– A dlaczego wybrałaś be, hę? No, co tak milczysz? – dodał po kilkunastu sekundach ciszy. – To może trochę ci pomogę. Powtórz: byłam bardzo niegrzeczną dziewczynką.

– Byłam bardzo niegrzeczną dziewczynką...

Wyszczrzył się jeszcze bardziej.

– I zasługuję na karę.

Przerażona nie dała rady już tego wydukać, świadoma, że mężczyzna każe jej mówić o tym, co zapewne ją spotka. Przymknęła oczy. Drgnęła, gdy Midnight wsunął rękę między kraty i pogłaskał ją czule po włosach i policzku.

– No niech ci będzie. Grzeczna dziewczynka. – Z mruknięciem zadowolenia umościł się w siadzie skrzyżnym na piasku. – Poznaj moją łaskę, bo pozwolę ci zaspokoić twoją ciekawość. Zdradziła się twoja mała koleżanka Mona.

– Co takiego? – jęknęła Hanako z niedowierzaniem.

– Znaczy się, nie miała o niczym pojęcia. Ale tak się składa, że jeden z likanów, o ten z kitką do pasa – odchylił się i wskazał ramieniem mężczyznę grającego nieopodal na noże z kolegami – który mieszka i pracuje w mieście Tikimo, jest bratem matki Mony. Sporadycznie z nimi rozmawia. A Mona jest gadułą i nawijała mu ponad dwadzieścia minut o tobie i dziecku. Nie byliśmy pewni, czy chodzi akurat o ciebie, a nie inną Hanako, bo twoje imię nie jest rzadkością na planecie, ale wpadł nam w ręce jeszcze twój list, który uzupełnił wszystkie luki.

Sahara aż złapała się krat za sobą.

– Skąd wiecie o liście? – zapytała, choć miała na względzie, jak skończyła się jej poprzednia indagacja.

– Swoją drogą nieźle kombinowałaś, aby dostarczyć wiadomość rodzinie. Jeśli chcesz odpowiedzi – alfa uniósł się i w przykucu zbliżył bardziej do klatki – chodź tu do mnie.

Czująca silne uderzenia serca Hanako mogła spodziewać się wszystkiego po tym potworze. Zwłaszcza nie podobał jej się pełen jadu i sarkazmu uśmiech Midnighta. Znała już go na tyle, by wiedzieć, że jeśli zrobi, co jej każe, może obejdzie się z nią łagodnie. Puściła kraty i przesunęła nieco ku przeciwległemu bokowi klatki.

– Bliżej... – szepnął Midnight, kiwając ku sobie palcem wskazującym. – Bliżej. Jeszcze. I jeszcze.

Gdy znalazła się przy nim, wsunął wolno rękę pomiędzy kraty, chwycił ją dłonią za tył głowy i przysunął silnie ku sobie, tak że miał ucho Hanako przy ustach.

– Masz likanina w rodzinie – szepnął, dmuchając jej w małżowinę nieświeżym, gorącym oddechem, na koniec dotknął ją językiem. Podobało mu się, gdy cała się spięła.

– Nie wierzę.

Wycofał rękę tak szybko, że straciła równowagę i runęła na szeleszczące liście.

– Ja kłamie? Ja? – Zrobił smutną minę, dotykając dłońmi piersi. – Złamałaś mi tym wyznaniem serce.

– O kim ty mówisz? Co ze mną zrobicie?

Midnight posłał Hanako najkoszmarniejszy z dotychczasowych uśmiechów, idealnie pasujący do jego zimnych, pełnych rozbawienia oczu – który jeszcze bardziej spotęgował jej strach.

– A na co ci to wygląda, bystrzaku? – Poklepał jedną z krat. – Staniesz się główną atrakcją dzisiejszej ceremonii. Każdy będzie na ciebie patrzeć. A potem – przetoczył krótko spojrzeniem po likanach, a wyobrażająca sobie najstraszniejsze scenariusze Hanako poszła za jego przykładem – odbędzie się wspaniała ucztą, jednak już bez twojego udziału. – Obliznął się wymownie. Uniósł dłonie i oparł o powalę klatki, zadowolony z wywołanego efektu psychologicznego. – Ale niczym się nie musisz martwić, naprawdę – dodał spokojnie. – Śmierć nie dotyczy żywych. Jest niczym sen, żaden człowiek nie wie, kiedy się zaczyna. Chociaż jej przedpole bywa niekiedy bardzo bolesne. Jednak musisz zapłacić za to, co

uczyniłaś Vanadzie i moim ludziom. Trzy czwarte z nas zginęło z twojego powodu, jednak się odrodzimy. Przyjdą tutaj nowi likanie, bo nigdy, po kres trwania gatunku ludzkiego, nie zabraknie tych, którzy będą mieli dosyć mordowania ich każdego dnia przez cywilizację. Tym razem nie ochroni cię twój potworny wojownik, bo jego już nie ma. Noova, który jest jednym z ocalałych z rzezi likanów, widział, jak zabierają go Kiritianie, a dla każdego potężnego, kto trafi w ich łapska i kogo uznają za zagrożenie, będzie to wyrok śmierci. Nieśmiertelni nie pozwalają na to, aby żył ktoś, kto może stać się od nich silniejszy.

Informacja, że wkrótce zginie, nie wstrząsnęła tak mocno dziewczyną, jak słowa alfy dotyczące losu Thino'paia. Taki scenariusz jak najbardziej mógł być prawdziwy. Siedząc na boku w klatce, spuściła głowę.

Do Midnighta odezwał się poprzez nadgarstkowy holonot Kion z abysanktum:

– Skończyłeś już swój monolog? To czas brać się do roboty.

– Z przyjemnością – odrzekł alfa, patrząc na skuloną dziewczynę. Wstał, obrócił się, wsunął palce do ust i gwizdnął głośno. Liczne pary oczu zwróciły się w jego stronę. – Panie i panowie, uroczystość czas zacząć!

Ożywieni, zadowoleni likanie zaczęli zmierzać w stronę klatki i ołtarza niczym mrówki do rozsypanego cukru. Wreszcie dostarczono im odpowiedniego winnego, na którego będą mogli przelać cały swój gniew.

Kiedy Midnight się oddalił, otworzono klatkę i stanowczo, choć bez brutalności, wyciągnięto stawiającą słaby opór Hanako na zewnątrz i postawiono na nogi. Zdawała się nieobecna, dlatego nie reagowała na czynności przygotowawcze do ceremonii. Związano jej z tyłu ręce, także nogi, tak by mogła wykonywać jedynie drobne kroki. Wskazany wcześniej przez alfę mężczyzna z kucykiem oblewał ją wodą z podawanych wiader, aby spłukać nieczystości, następnie dwie kobiety bardziej wyglądające jak wilki niż ludzie zabrały się za jej obmywanie i osuszanie szmatami. Znajdujący się na estradzie grajkowie z bębnami, piszczałkami, tubami i azteckimi gwizdkami śmierci zaczęli grać przyspieszający bicie serca, a zarazem koszmarne utwór. Był połączeniem rytmów wojennych z muzyką adekwatną do rozgrywającego się, chorego wydarzenia.

Na suche już ciało Sahary kolejne kobiety nałożyły palcami farby, tworząc z nich wzory i ornamenty rytualne.

Likanie zaczęli śpiewać, wyc i krzyczeć, jednak umysł Hanako pozostał głuchy na panującą wokół kakofonię dźwięków. Nadal doświadczając skutków odurzenia, biernie dała się prowadzić do ołtarza przez szpaler sekciarzy. Przed posągiem wilka stali kapłani Ligrid z Shantim, czekał też stojący w lekkim rozkroku ze splecionymi na piersi ramionami Midnight. Chociaż dziewczyna wiedziała od Hira o tym, że szeryf Sutafochun piastuje wysokie stanowisko wśród sekty z Lasu Kolonistów, jego widok i tak ją zaskoczył. Co innego jest słyszeć niepokojącą informację, a przekonać się o jej prawdziwości na własne oczy. Shanti spoglądał na nią beznamiętnym wzrokiem, jak na całkiem obcą osobę. Ofiarę, która nie ma żadnych praw i nie należy jej współczuć.

– Szeryfie, jak możesz w czymś takim uczestniczyć...? – wyszeptała z niedowierzaniem. – Powinieneś być człowiekiem prawa.

Prowadzący Hanako likanin odwiązał sznury zaplątane na zmyślne pętle, następnie obaj kapłani ułożyli ją na plecach i przymocowali obręczami do polanego żywicą ołtarza.

– Jesteś za młoda, by znać realia życia, dziewczyno – odparł Shanti. Oparłszy dłonie na kamieniu, pochylił się nad jej głową. – Nie osądzaj więc człowieka za to, że jest tylko człowiekiem.

Od strony abysanktum nadeszła przywódczyni sekty Remulusa w towarzystwie Kiona i likanina niosącego coś na tacy, z której zwisał biały materiał.

Reakcje, jakich doznała dziewczyna na widok szeryfa czy słysząc o możliwym losie cyborga, były niczym w porównaniu z szokiem, jaki przeżyła w tej chwili. Słaby krzyk wyrwał się jej z ust.

– Nie, to niemożliwe...

Liderką tego całego tałatajstwa była jej własna babcia Misaki.

Idąc nieśpiesznie w stronę ołtarza, miała podobny wyraz twarzy co Shanti: próżno było nań szukać oznak tego, że doskonale zna zrozpaczoną ofiarę.

– Babciu, nie... – wyjąkała Hanako, gdy starsza kobieta w długiej szacie ceremonialnej stanęła dumnie przed ołtarzem.

Teraz wiele rzeczy stało się dla dziewczyny jasnych: kwestia nadajnika podłożonego pod skulaka, Hiro zakazujący kontaktów z rodziną czy to, dlaczego list wysłany z Fragmary tak piorunująco szybko znalazł się w rękach sekciarzy. Z oczu pociekły jej łzy.

– Dlaczego? – zapytała, zdolna kręcić głową tylko w niewielkim stopniu.

– To już pokoleniowa tradycja, Hanako – odparła Misaki. – Każda kobieta w naszej rodzinie, w linii genetycznej twojego ojca, jest powiązana z likanami na różnych planetach. Zaczęło się tak dzieć niedługo po powstaniu tego odłamu satanizmu. Ty miałaś być następną, ale się nie nadajesz; nie przodują u ciebie pewne wymagane cechy, nawet wcale się nie rozwinęły. Po raz pierwszy w naszej rodzinie zdarzyło się coś takiego. Nie przeszłaś w dzieciństwie trzech prób, którym zostałam poddana nieświadomie, zostałam więc zrównana z ofiarami.

– Co ty bredzisz, Misaki. – Załamana Hanako nie była już w stanie określić tej nawiedzanej kobiety swoją babką. – Czy może powinnam nazywać cię Remulusą?

– Przynajmniej jedną próbę powinnaś przejść pomyślnie, aby zostać wprowadzoną do wilczej społeczności, ale oblałaś wszystkie. Pamiętasz królika, który cię przydusił w dzieciństwie? Obok materaca leżał nożyk, którym mogłaś przelać jego krew, zabić, aby żyć, ale po niego nie sięgnęłaś, choć nic nie stało ci na przeszkodzie. Wystarczyło wysunąć rękę. Zwierzę było kontrolowane neurologicznie, już się postarałam z innego pokoju, aby usiadło na twojej twarzy i odcięło ci dopływ powietrza. Nie było nigdy żadnej awarii urządzenia i uciezki zwierząt, to wersja, jaką miałaś usłyszeć. Próba z królikiem była ostatnia, decydująca, ale zawiodłaś. Przyznam, że byłam wtedy trochę załamana.

Hanako otrzymywała bezlitosny psychiczny cios za ciosem.

– To wtedy... To wszystko była twoja sprawka?!

– Tak, cała rodzina wiedziała o tym, oprócz Riku. Jest jedyny, który nie ma pojęcia o moim powiązaniu z sektą. No i jeszcze Fuhito, bo jest mały i nie rozumie, co się dzieje.

– Jesteś chora. Kłaść noże w dziecięcym pokoju. Wymagać od kilkulatki krwawych, niebezpiecznych praktyk... Czyli moja matka... – Hanako urwała, gdyż spazmy szloch wstrząsnęły jej ciałem. Jeśli Remulusa nie kłamała, osoba, z którą była najbardziej skonfliktowana, czyli Riku, okazała się paradoksalnie najlepsza w jej rodzinie.

– Oczywiście, że wiedziała od początku. Ta kobieta jest tak słaba i bierna, że godziła się na wszystko, tak jak teraz wie, że umrzesz w Noc Oka Opatrzności. Jednak to, że stałaś się niedoszłą ofiarą na święto Czystej Krwi, nie jest akurat moją zasługą, ale viserchera autorstwa Hiroshiego Sakaia, który uciekł z Sutafochun

razem z Jackiem Schwartzbergiem. Niesłychane, że spośród tylu możliwych ofiar wylosowało akurat ciebie. Zupełnie jakby los chciał wyeliminować w należyty sposób niepotrzebne ogniwo z naszej rodziny. Mimo zawodu, jaki mi sprawiłaś, postanowiłam dać ci jeszcze jedną szansę. Poczekaj, jak podrośniesz. Wybrałaś się skulakiem w interior na samotną wyprawę. Mieliśmy zaaranżować jakąś sytuację testową dla ciebie, ale na twojej drodze znalazł się dużo wcześniej i przypadkiem Kiritianin. Powinnaś go dobić albo pozwolić mu umrzeć, ale ty oczywiście mu pomogłaś.

Hanako nie była w stanie zapytać o nic więcej, kompletnie złamana i załamana. Nie mieściło jej się w głowie to, co usłyszała. Tępo spoglądała w niebo, a ono na nią swym biernym, księżycowym okiem. Ogromnym jak u olbrzyma. Jej własna rodzina... A ona myślała, że to ludzie pokroju Midnighta są świrami.

Nie miała już nic: rodziny, ojca dla córki, Thino'paia, godności. Po słownych ciosach Remulusy, mających moc łamania kości i miażdżenia umysłu, straciła wolę życia. Anna też jej nie potrzebowała; Agata świetnie sprawdzi się w roli wychowawczynie i opiekunki. Niech Anna nie ma nic wspólnego ze skazą trawiącą tę nienormalną rodzinę.

Midnight zbliżył się do likanina trzymającego tacę i wziął z niej ceremonialny sztylet, na widok którego dziewczynę przeszedł dreszcz. Puls przyśpieszył jej jeszcze bardziej, do granicy wytrzymałości ludzkiego ciała, jakby w piersi żyła pasożytnicza istota i spłoszona próbowała wydostać się na wolność.

– Siostry i bracia! – Kion zwrócił się głośno do tłumu, unosząc ramiona. Czekał, póki wszyscy nie ucichli. – Obecna tu Hanako Sahara uniknęła przeznaczonego dla niej rytuału w święto Czystej Krwi, powodując potem szereg nieszczęść na naszej społeczności. Ale jest teraz z nami, jak zostało jej przeznaczone, wróciła w noc Oka Opatrzności, by rozpocząć dla nas tę wspaniałą ceremonię. Ofiarę złoży nasz zasłużony alfa Midnight, który dostąpił szczególnej straty, jednak los jest sprawiedliwy i przywiódł do niego winowajczynię. Bawmy się i radujmy tej nocy, nie poddawajmy smutkowi ani rozpacz. Niech to będzie początek naszego odrodzenia, po którym będziemy silniejsi i liczniejsi, niż kiedykolwiek przedtem! – zakończył z emfazą, unosząc pięść.

Odpowiedziano mu głośno, z entuzjazmem, jakby nawoływał fanatycznych patriotów do pójścia na wojnę.

– Zaczynamy święto! – rzucił Kion na zakończenie.

Midnight ze sztyletem podszedł do ołtarza.

– Chętnie bym sobie ciebie zostawił – zwrócił się do Hanako – byś wypełniła mi lukę po Vanadzie, jednak twój los nie zależy ode mnie. Ale za to będzie należeć do mnie twoje serce, chociaż nie oddasz mi go dobrowolnie. – Zaśmiał się ze swojego dwuznacznego, czarnego humoru. – Nie obawiaj się, umiem to robić. Nie będziesz długo cierpieć.

Chwytał sztylet oburącz i zaczął unosić nad piersią przerażonej, szlochającej dziewczyny, mającej zamknięte oczy.

Ostateczny cios nie spadł tak szybko, jak się tego spodziewała. W ogóle do niego nie doszło.

Hanako uchyliła powieki. Parę chwil wcześniej zaczęła słyszeć charakterystyczny, cichy wizg rozchodzący się w powietrzu, który ignorowała, pewna, że to omam słuchowy. Teraz się nasilił. Spozrzęła, że zaciekawieni likanie rozglądają się na boki.

– Co do... – Midnight także szukał źródła dźwięku, opuściwszy ostrze.

Nieopodal centrum zbieraniny wyłonił się z pola maskującego doskonale znany wszystkim obiekt.

Zdumiona Hanako uniosła głowę.

– Zo'yo?!

Leberiks Thino'paia strzelił precyzyjnie w sztylet trzymany luźno przez zdezorientowanego alfę, wytrącając go z jego zranionej ręki. Wprawione w ruch ostrze pokonało kilka metrów i wbiło się w pierś zaskoczzonego Shantiego. Szeryf chwycił je dłońmi i osunął się na ziemię.

Zo'yo stanowił dopiero preludium do nadciągającego koszmaru – na tyłach likanów stał Thino'pai we własnej osobie, z ostrzem skierowanym ku ziemi. Jak zawsze nie miał ochrony głowy za wyjątkiem maski oddechowej, jego pełne gniewu spojrzenie wyrażało czystą nienawiść.

Tłum popadł w chaos niczym spłoszona ławica, widząc wroga, który nie miał prawa tu być; Hanako spoglądała nań z nie mniejszym niedowierzaniem.

Część likanów zaczęła gnać w kierunku lasu.

– Stać – wycedził cyborg, a ci zatrzymali się jak żołnierze na komendę szanowanego dowódcy.

Niektórzy wbiegli do arsenału i bezmyślnie chwycili za broń energetyczną. Kiedy wrócili na zewnątrz, otworzyli ogień, ale w stronę nieprzyjaciela nie poleciał pocisk z żadnej lufy.

– Widzę, że niczego się nie nauczyliście – mruknął z pogardą Thino'pai. – Hanako, lepiej zamknij znów oczy.

Ruszył w stronę sekciarzy, by powtórzyć scenariusz sprzed benglowa, atakując błyskawicznie z bliskiej odległości w nieznanym odersom sposobie walki. Zaczęły padać mu do stóp pierwsze trupy. W kawałkach.

Do ochrony przed tymi, którzy sięgnęli po broń starodawną, od dystansowej po nawet maczugi, miecze i szable, mogące się sprawdzać co najwyżej w lesie do dobijania zwierzyny, Thino'pai wykorzystał wygenerowaną tarczę riumarikową. Wszystko, co w nią uderzało, pękało albo się rozpadało na cząsteczki.

Nikt nie miał pojęcia, jak walczyć z tą niezmierną istotą, która sama w sobie była bronią.

Nasyciwszy swoją żądzę krwi, avor kazał pozostałym walczącym likanom przystanąć jak tamtym przy drzewach.

Wiedząc już z relacji ocalałych, że uciezką czy pertraktacjami nic nie wskóra, Remulusa zdecydowała się na walkę. Chwyciła pierwsze, co miała pod ręką – wyrwany z piersi rannego szeryfa sztylet i zaszarżowała ku plecom Thino'paia, mając nadzieję zadać cios w nieokryty zbroją kark.

Cyborg otrzymał neurocytowe ostrzeżenie od Zo'yo i obrócił się, wypuszczając z ramion przebitego na wylot Noowę.

– Czy atakowanie od tyłu to wszystko, na co was stać?

Zdezaktywowawszy tarczę, złapał liderkę sekty dłonią pod zuchwą. Uniósł ponad ziemię i przeszedłszy kawałek z dławiającą się Remulusą, która upuściła sztylet i chwyciła oburącz jego mocarne ramię, zwałił ją na ołtarz tuż obok Hanako.

Spojrzał pytająco na przerażoną dziewczynę swym heterochromicznym wzrokiem, ta zrozumiała jego niemy przekaz. Była to jedna z najtrudniejszych decyzji w jej życiu, ale ostatecznie przytaknęła z wahaniem, choć świadoma, że bez medycznej ingerencji w jej psychikę już nigdy nie uwolni się od koszmarnych wspomnień.

Ścisnęła silnie powieki i szczęki, ściągnęła mięśnie twarzy i cała się spięła, gdy głowa jej babki z obrzydliwym mlaśnięciem została oddzielona ostrzem od ciała.

Thino'pai wykonał egzekucję zgodnie ze swoimi standardami, nie biorąc pod uwagę wrażliwości i człowieczeństwa Hanako. Po tym, jak zsunął broczący krwią korpus z postumentu, znów został zaatakowany, tym razem przez Midnighta wojskowym nożem. Pochylił się błyskawicznie, podciął go stopą, od czego rozpędzony likanin zrobił fikołka i zwałił się na ciało swojej liderki.

– Zo'yo, rozkuj ją.

Leberiks szybko przeciął obręcze i łańcuchy krępujące Hanako. Dziewczyna z trudem usiadła, masując nadgarstki. Chwilowo nie próbowała nawet wstawać, bo strasznie ją mdliło i kręciło jej się w głowie.

Tymczasem Thino'pai schował swoje ostrze i podniósł z ziemi sztylet ceremonialny, chcąc powalczyć z będącym już na nogach alfą wedle jego techniki.

Zaczęli pojedynk. Oddalili się od ołtarza.

– I co niby chcesz osiągnąć? – zapytał Thino'pai Midnighta, nie siląc się nawet na większe uniki. Obrywał stale w pancerz, co nie kończyło się nawet rysą. Parował i odbijał ciosy przeciwnika sztyletem, nie angażując się zbyt w tę wymianę. Nie przedłużał jednak walki. Wyrwał alfie nóż w chwili jego kolejnego zamachu, lekkim kopnięciem w brzuch wytrącił go z równowagi, a następnie zdzielił pięścią w podbródek z siłą, by powalić, ale nie zabić.

Midnight poleciał do tyłu jak długi, rąbnął ciałem o płytki dziedzińca, co go zamroczyło. Zdołał w porę unieść głowę, aby nie przygrzmocić nią za bardzo. Miał to szczęście, że upadł na kępkę trawy wyrastającą ze szczeliny.

Cyborg pochylił się nad którymś z wcześniej zabitych likanów. Po szybkim zeskanowaniu cybernetycznym okiem jego głowy zrobił sztyletem w niej otwór, pokręcił nim trochę, aby bardziej uszkodzić czaszkę. Wreszcie sięgnął do środka palcami i z galarety mózgu wyjął mikroskopijny entraser, który wsunął do schowka na piersi pancerza. Przekierował uwagę na magazyn broni, przenikając jego ściany. Znalazłszy to, co mogłoby mu się przydać, zniknął na moment w budynku, by wrócić z pistoletem sygnalizacyjnym w ręku.

– Kim ty, u licha, jesteś? – zapytał podkulający nogę Midnight, który wycofał się nieco na czworaka, gdy Thino'pai nad nim stanął.

– Śmiercią.

Cyborg uniósł ramię i wystrzelił z pistoletu żółtą flarę rozpryskową, która poleciała na trzysta metrów w górę i ukształtowała się w promienistą fontannę. Świetliste cząsteczki zawisły nad Nakhabangą przy bezwietrznej pogodnie, utrzymując się dzięki nanonapędowi.

Thino'pai podszedł rączyym krokiem do złorzeczącego mu Midnighta, szarpnięciem i przyciśnięciem go za kark zmusił go do klęknienia – po czym przebił mu czoło sztyletem.

Alfa darł się z bólu jak oszalały. Thino'pai wiedział jednak doskonale, co robi. Nie chciał go zabić, a jedynie w polowych warunkach utorować sobie drogę do mózgu, do którego wcisnął na igle wysuwanej z palca pobrany ze schowka entraser. Wyciągnął następnie z nadbiodrka urządzenie, które skonstruował podczas pobytu u Kiritian, wsunął syfon do rany, po czym zrekonstruował tkankę, wytwarzając sztuczne sieci neuronowe i unerwienie; scalił wszystko precyzyjnie.

– Coś ty mi zrobił, ścierwo – kwilił alfa, zwijając się w kłębek na ziemi i trzymając dłońmi w miejscu dokonanego zabiegu.

– Nie zabiję cię na razie, być może staniesz się jeszcze użyteczny. Wszystko zależy od woli Hanako.

Thino'pai rzucił z brzękiem na ziemię przy likaninie zakrwawiony sztylet, obrócił się plecami i zaczął oddalać w kierunku ołtarza, gdzie wciąż siedziała dygocząca Hanako w towarzystwie wiszącego powyżej Zo'yo.

Sytuacja została opanowana. Likanie, którzy nie zostali zabici, stali się marionetkami Thino'paia i niczym rozproszona grupa zombie czekali posłusznie na jego polecenia. Zachowali pełnię świadomości, przez co byli przerażeni niezrozumiałym dla nich zjawiskiem, czuli się jak niewolnicy własnych organizmów, które zdawały się skamienieć. Pomijając procesy automatyczne, nie mieli nad nimi żadnej kontroli, bo ciała mogły poruszać się zgodnie z wolą cyborga.

Jedynym, który wyszedł cało z tej krótkiej, brutalnej potyczki był niemający entrasera Kion. Nie odegrał w walce żadnej roli, stale stał w miejscu, chcąc wypróbować taktykę bierności, skoro ginął każdy, kto wojował. Od momentu, gdy cyborg zbliżył się z Remulusą do ołtarza, guru trzymał uniesione ręce.

Avor spojrział w jego kierunku, mógł go z miejsca zastrzelić czy ściąć, ale chwilowo sobie odpuścił. Podobała mu się nawet uległość guru, którego

wnętrznosci skręcały się ze strachu, a mimo to Kion wydawał się opanowany.

Tak jak się spodziewał, nieobjęty kontrolą Midnight zaczął biec z nożem w kierunku jego pleców, chcąc ocalić choć resztki godności.

– Powtarzacie się. I jakże jesteście przewidywalni. – Cyborg, który był nawet pod wrażeniem tego aktu odwagi przy porywaniu się z motyką na gwiazdę, siłą woli zmusił likanina do gwałtownego zatrzymania się dwa kroki za sobą i niewydawania dźwięków, co też się stało. Entraser zainstalował się idealnie w głowie alfy. Ludzki układ nerwowy okazał się prosty w budowie, przez co dobry do adaptacji w nowych warunkach. Thino'pai nabył kolejną umiejętność w Zodiac Universum – one wszystkie po powrocie na planetę Asephor' Cerotis mogą stać się nieocenione.

Popatrzył raz jeszcze na całkowicie rozbrojonego psychicznie, nieszkodliwego Kiona, gotowego bez przymusu wypełniać wszystkie jego rozkazy, po czym skupił się na Hanako. Udało jej się w końcu wstać i obejść ołtarz, tak by nie mieć na widoku zwłok babki.

Kiedy Thino'pai podszedł do Sahary, lustrowała go przez chwilę, wciąż nie mogąc uwierzyć, że naprawdę ma przed sobą swojego zaginionego avora, po czym powoli zatopiła się w jego ramionach. Jak zawsze nie był wylewny uczuciowo, co nadrabiała Hanako, ledwo radząc sobie z własnymi emocjami. Bardzo jej pasowała nieludzka, ale jakże stateczna postawa cyborga.

Stali tak przez kilka minut, niemi i przytuleni do siebie, oświetleni ogniem i blaskiem flary.

– Wróciłeś – wyszeptała wreszcie dziewczyna. – Myślałam, że odszedłeś albo zginąłeś.

– Nie zapomniałem, że jesteś moją wahiriką. Musimy jednak podjąć szybko pewne kroki. Teren został oznaczony, zaraz na pewno ktoś tu przybędzie. – Oddalił się, zdjął szatę z ciała Ligrida, wrócił i narzucił ją na dziewczynę. – Wiem, że dużo przeszłaś, ale czeka cię jeszcze najważniejsza decyzja. Masz do wyboru tylko dwie opcje. Pierwsza: odejść, być może na zawsze, a ciebie tutaj zostawię. Każę likanom pozabijać się nawzajem, by wyglądało to jak krwawy konflikt wewnątrz sekty. W tej wersji będziesz musiała znów zostać przywiązana do ołtarza, tak by ci, którzy tu przybędą, a przybędą na pewno, nie powiązali cię

w żaden sposób z zaistniałą sytuacją. Wypuszczą cię, będziesz mogła wrócić do Fragmary i zająć się Anną.

– Skąd wiesz o mojej córce? Jak w ogóle się tu znalazłeś?

Thino'pai dotknął dłonią boku jej twarzy. Chwyciła jego rękę.

– Nie teraz. Opcja druga: lecisze ze mną na Asephor' Cerotis, a na Calcaris pozorujemy twoją śmierć. Każę likanom ogłosić, że złożyli cię w ofierze. Wymażę siebie z ich pamięci. Świat będzie po prostu myślał, że nie żyjesz...

– Chcę lecieć z tobą – odparła pewnie, nie dając cyborgowi skompletować wypowiedzi.

Położył dłonie na jej barkach. Patrzyli sobie w oczy.

– Hanako... Zastanów się dobrze. Namawiałem cię kiedyś do lotu, ale wtedy nie miałaś dziecka. Anny niestety nie będziesz mogła zabrać ze sobą. Nie wiem, jak wyżsi ode mnie statusem avorowie zareagują na jej obecność. Najprawdopodobniej ją dokładnie zbadają, a potem zabiją i przerobią na kunhikar albo wykorzystają w inny sposób. Na pewno nie wyhodują jej w kierunku varoth, bo mogą być nimi tylko mężczyźni. A ja nie będę mieć na ich decyzje żadnego wpływu. Ciebie z kolei łatwiej będzie chronić jako moją wahirikę, jednak dwóch mieć nie mogę. – Zapatrzył się na najniżej wędrujący odprysk flary. – Powinnaś była mnie zabić, kiedy mogłaś. Teraz odleczę i doniosę gerhi o istnieniu rodzaju ludzkiego. Będzie to oznaczać, że na pewno zostaniecie napadnięci w przyszłości. – Znów zaczęli spoglądać na siebie. – Wtedy nie będziecie mieli z nami żadnych szans. A mogłaś to powstrzymać. Ja się nigdy nie zmienię, Hanako. Nic, co tu widziałem, nie może mieć wpływu na moje zachowanie, bo nie kształtują mnie doświadczenia, czyjeś sugestie czy przemyślenia, jestem bowiem jednostką stałą, trwałą, o czym wiesz już doskonale. Realizuję zapisany we mnie program. Cokolwiek by się nie wydarzyło, i tak poinformuję Kandrok o odkrytym tu gatunku. Jeśli się ze mną wybierzesz, będziesz żyła ze świadomością, że przyczyniłaś się do wydarzeń, które staną się nieuniknione. Jeśli zaś zostaniesz i zdecydujesz się o mnie powiedzieć ludzkości, nikt ci nie uwierzy, bo nie będzie żadnych dowodów na moje istnienie. Hiroshi Sakai zniszczył z mojego rozkazu te wszystkie wiarygodne. Także ci, którzy o mnie wiedzą, ale mnie nie widzieli, jak Lan czy jej chłopak Nathan, których nie jestem w stanie zmanipulować, bo nie mają entraserów, nie będą źródłem problemów. Słowa nieistotnych jednostek

w waszej społeczności są bezwartościowe. Lan i Nathan zapewne z czasem zaakceptują wersję dogodniejszą dla ich mózgów – że zabili cię likanie, a wszystkie zaszłe cuda w Lesie Kolonistów były z nimi powiązane.

– Nie dbam o to wszystko. – Dziewczyna pokręciła głową. Zaskoczyła avora, dając odpowiedź tak szybko. – Dopiero co mówiłeś, że nie mamy czasu. A bycie z tobą to moje jedyne marzenie. Zrozumiałam to, gdy zniknąłeś na wiele długich miesięcy – powiedziała zbyt desperacko, znów walcząc z chcącymi wypłynąć łzami, przez co znalazła się na przegranej pozycji. – I tak nic już nie można zmienić. Czasu nie da się cofnąć. A ja nie żałuję żadnej podjętej w związku z tobą decyzji.

– Jesteś pewna? A co z Anną?

– Widzę, że jej los nie jest ci obojętny.

Zaczął na nią spoglądać w nieokreślony sposób, jakby zamyślony, przez moment wydawał się nawet przygaszony, a kiedy zaciekawiona Hanako nie doczekała się odpowiedzi z jego strony, mówiła dalej:

– Gregory ostrzegał mnie, co się stanie, że mogą nie wykształcić się u mnie matczyne więzi. Czuję się też za młoda na wychowywanie dziecka. Anna nie zasługuje na taką matkę, jak ja... która zdradza własny gatunek. Niech więc będę potępiona. Jeśli mnie tam zabijecie, to trudno. Godzę się na taki los.

– Nie patrz na to w ten sposób. Jesteś dobrym człowiekiem. Ryzykując życiem, nie wiedząc, jakie będą tego konsekwencje, zdecydowałaś się uratować niebezpiecznego obcego. Mam nadzieję, że nie potraktujesz tej podróży jako chęci wymierzenia sobie kary. Czyli rozumiem, że to twoja ostateczna decyzja?

– Tak, Thino'paiu.

– Niech będzie. Chodź zatem na mój demo.

– Na co?

– U ludzi to odpowiednik statku kosmicznego.

Dziewczyna rozejrzała się po Nakhabandze, szukała w powietrzu ciemnej, zawieszanej sylwetki, podobnie jak to miało miejsce z jednostkami szturmowymi Shantiego nad bengłowem.

– Gdzie on jest?

Cyborg wykonał parę swobodnych kroków w tył i odszedł na bok, by tulącej do siebie poły szaty Hanako dać pełny widok na ścianę lasu. Wskazał konkretny

obszar ramieniem, jakby anonsował polityka mającego przemówić do elektoratu.

Dziewczynie z wrażenia dech zaparło w piersi, gdy na jej oczach zaczął materializować się w świetlistej projekcji niewielki statek kosmiczny tuż po tym, jak cyborg dezaktywował neurocytem jego osłonę. Zatem tak Thino'pai się tutaj dostał, czego ani ona, ani likanie nie zauważyli! Żadnego szumu silników, żadnego ciepłego podmuchu. Nie znała się na maszynach latających, ale ta, mająca może czterdzieści metrów długości, wyglądała jej na drobny okręt wojenny odersów. W tle za nim, blisko ściany drzew, kicał biały królik perłowy, którego Thino'pai ocalił kiedyś przypadkiem z rąk Clarka i Tukina.

– Zo'yo zaprowadzi cię na pokład, gdzie sobie odpoczniesz – powiedział avor. – Ja muszę jeszcze coś zrobić. Nie bój się stojących wokół likanów. Nic ci już nie grozi, jesteś całkowicie bezpieczna.

– Czemu są tacy? – Dziewczyna rozglądała się po otoczeniu. Chyba bardziej wołała sekciarzy z ich prawdziwą naturą: dzikich, żywiołowych, agresywnych. Stojący spokojnie, sporadycznie wykonujący ruchy, głównie gałkami ocznymi, wyglądali co najmniej niepokojąco.

Thino'pai dotknął dwoma palcami skroni, a Hanako domyśliła się, że przecież chodziło o entrasery, wszystkie kontrolowane przez jego neurocyt. Wciąż była roztrzęsiona i nie wpadła na to od razu.

– Zostanę z tobą – oznajmiła. – Nie chcę znów być sama...

– Będzie to dla ciebie zbyt traumatyczne, gdy zacznę realizować swój plan. – Thino'pai wykonał gest w stronę likanów.

– Nie boję się, gdy jestem przy tobie. Też mam pewien pomysł.

Przedstawiła go Thino'paiowi, nieznacznie go zadziwiając.

– No proszę, pomyślałem o tym samym. Zupełnie jakbyśmy porozumiewali się przy pomocy neurocytów. Wy dwaj – zwrócił się do Kiona i Midnighta. – Kiedy nadejdzie pora, będziecie gadać. Hanako wszystko wam zaraz opowie. A reszta niech bierze się za sprzątanie tego bałaganu. – Zwołał pozostałych kontrolowanych likanów. – Chcieliście rytuału, to go będziecie mieli.



15. Ku nieznanym światom

Tauricia, która otrzymała rozkaz pilnowania porządku podczas święta we Fragmarze, nie mogła, a nawet nie chciała reagować na prośbę Krystiana o wsparcie, kiedy oznajmił, że Hanako mogła zostać porwana przez byłego więźnia z Aristillusa. Bez odgórných decyzji lokalne władze porządkowe miały związane ręce w grubszych sprawach, a takie procedery zawsze trwały. Zirytowany porucznik osiągnął chociaż tyle, że udało mu się wyczarterować pojazd od gangsterki, której ludzie nieraz robili z rebeliantami interesy. W zamian Sandstorm powiedział prawdę, do czego potrzebuje maszyny i kobieta uznawszy, że Midnight nie ma dla niej żadnego znaczenia, zdecydowała się udostępnić ją dobremu pilotowi.

Na długo przed tym, nim Krystian doleciał w okolice Sutafochun, dostrzegł flarę rozpryskową, której jaskrawe odłamki, migoczące niczym miniaturowe gwiazdy, lewitowały wysoko w powietrzu. Były doskonale widoczne ponad Lasem Kolonistów na tle nocnego nieba. Oznaczając teren, ktoś dawał ewidentny sygnał

do udania się w ten region. Krystiana naszło nagle silne przeczucie, zupełnie jakby narzucano mu wolę transferem zewnętrznym, że powinien udać się w oświetlone miejsce, czemu nie był w stanie się przeciwstawić. Pragnienie nie było jednak przodujące, postanowił więc na wszelki wypadek zajrzeć najpierw do domu rodziny Sahara.

Ignorując komunikaty lokalnej tauricji, nie osiadł na lądowisku, ale od razu podleciał pod dom Hanako i ku zaskoczeniu wielu miejscowych wylądował fustą bezpardonowo na trawniku ogrodu. Zniszczył ogrodzenie i parę ozdób. W przeciwieństwie do gapiących się, zdziwionych sąsiadów nikt więcej nie wyszedł mu na spotkanie. Krystian udał się więc po opuszczeniu pojazdu pod drzwi domu i utartym już dla siebie zwyczajem zaczął w nie walić. Znow coś w głowie podpowiadało mu, że zastraszenie w tym przypadku okaże się najlepszym rozwiązaniem, miał też poczucie, że uczyni dobrze. Im więcej agresji, tym lepiej.

Drzwi okazały się otwarte, rebeliant wszedł do jasnej, krótkiej sieni. Riku z Fuhito byli na targu w innym mieście, zastał więc Tun Tuna i Shuang klęczących na poduszkach przy niskim stole w salonie. Oboje uparcie patrzyli w zastawiony misami po zjedzonym posiłku blat. Nie wyglądali na zaskoczonych wizytą Krystiana.

– Gdzie Hanako? – zapytał zimno.

Nie odparli. Ich zgarbione sylwetki, niespokojnie wykonywane, oszczędne ruchy, ogólne spięcie i usilne unikanie kontaktu wzrokowego od razu wskazywały, że są wystraszeni.

– Coś wiecie. Nie będą tracić cennego czasu, aby się z wami pierdolić.

Krystian wyciągnął pistolet z kabury i wymierzył ku Tun Tunowi. Nie rozumiał, skąd się brało przekonanie, że nie powinien mieć szacunku do tych ludzi, ale i tym razem nie wnikał w odpowiedzi własnego umysłu.

– Jest w Lesie Kolonistów – powiedziała matka Hanako, wreszcie na niego spoglądając. Na jej obliczu malowały się smutek i ból.

– Ale nie wiemy, gdzie dokładnie – dodał dziadek dziewczyny. – Nigdy nam tego nie mówiła. Dla własnego spokoju woleliśmy nie pytać o żadne szczegóły.

– Kto i czego nie mówił? Hanako? – zapytał niecierpliwie rebeliant.

– Misaki. Jej babka. – Odpowiedź kobiety niewiele rozjaśniła mu sytuację.

– Nie byliśmy w stanie się jej przeciwstawić – mówił Tun Tun. – Naprawdę niewiele wiemy.

– Nie prosz o wsparcie szeryfa Shantiego ani nikogo z władz w Sutafochun – Shuang udzieliła Krystianowi niespodziewanej rady. – Oni o wszystkim wiedzą. Najlepiej w ogóle nie kontaktuj się z tauricją, bo nie wiadomo, kto w jakim stopniu jest zaangażowany w życie sekty.

– Znów ta sekta... – wycedził Sandstorm. – Czy nijaki Midnight ma coś wspólnego ze sprawą?

Dzięki ich zaskoczonym minom i błagającym spojrzeniom wiedział, że trafił w sedno.

– Powinieneś odwołać się do samosądu, chłopcze – podsunęła z rezygnacją kobieta. – Masz do tego siłę. – Rzuciła krótkie spojrzenie ku oknu, za którym widać było fragment sylwetki fusty. – Tak byłoby najlepiej.

– Shuang! – Tun Tun uderzył w blat otwartą dłonią. – Dość!

– Co Shuang? – odgryzła mu się, pochylając gwałtownie nad stołem. Od dawna nie czuła takiego napływu nadziei dodającej jej odwagi. – Nie widzisz, że to rebeliant? Patrz, czym wylądował. Wreszcie zjawił się ktoś potężny, w dodatku spoza planety, kto może zakończyć to szaleństwo. Całe szczęście, że nie ma teraz Riku. – Ponownie zwróciła się do przybysza: – Odezwij się do niejakiego Nathana Nakalskiego, był kiedyś jednym z nich, ale odszedł po tym, jak skrzywdzono jego dziewczynę. Nienawidzi likanów. Kiedy zobaczy rebelianta chcącego się z nimi rozprawić, przyśle ci pewnie do pomocy swoich kolegów. Mają maszyny latające. Dam ci zaraz kontakt do Nathana na twój holonot.

Powoli rozumiejący o co w tym wszystkim może chodzić, Sandstorm schował broń. Przyjął od kobiety oferowany kontakt, po czym pospiesznie opuścił dom, mając totalny mętlik w głowie. Był na siebie straszliwie zły o to, że doszło do nieszczęścia tylko dlatego, iż opuścił Hanako, bo wystraszył się własnego dziecka. Żałował też, że z powodu dalece posuniętej ostrożności nie mógł przylecieć na Calcaris swoim myśliwcem.

Wszedł do fusty, skąd postanowił połączyć się z Nathanem, który nie mieszkał obecnie w Sutafochun. Krystian obawiał się, że zmitręży tylko cenny czas, ale gdy wywołany Indianin z czarnym warkoczem odezwał się ze swojego domowego kapripodu, rebeliant odniósł wrażenie, że Nathan wiedział już wszystko. Zupełnie

jakby czekał na kontakt. Wystarczyło wypowiedzieć kilka kluczowych słów: Hanako, Midnight, porwanie, sekta.

– Z przyjemnością się do ciebie przyłączę. Myślałem już, że taka okazja nigdy się nie nadarzy – spuentował szczerze zadowolony Nathan, gdy Sandstorm był już w powietrzu. – Fusta, taka siła! Już do ciebie lecimy!

– To żałuj, że nie mam przy sobie swojego lekkiego myśliwca XRS-14. Wtedy bylibyście mi w sumie niepotrzebni.

* * *

Ostatecznie nie obeszło się bez udziału tauricji z Sutafochun, która nie mogła nie zainteresować się flarą rozpryskową, świecącą nad regionem niczym zatrzymana w miejscu kometa. Gdy więc Sandstorm z kompanami w transporterach zaczęli lecieć nad Nakhabangę, zastępujący nieodzywającego się szeryfa sierżant Wasilewski wysłał z nimi oddział androidów w szturmowcach. Gustaw nie wiedział, czym Shanti zajmował się po godzinach; odnośnie do ostatnich wydarzeń wierzył w to, co podawały media.

– Wolałem milczeć w tej sprawie – mówił Nathan ze swojej maszyny na prywatnym kanale z Krystianem – ale teraz nie ma to już większego znaczenia. Wiem, że likanie zostali przerzedzeni i nie zaczęli jeszcze uzupełniać strat. Powinieneś sobie z nimi poradzić samą fustą.

– Wy jesteście w transporterach cywilnych. Co nimi właściwie chcieliście zrobić? Do ostrzału terenu z powietrza raczej słabo się nadają.

– W sumie myśleliśmy, aby polecieć do Nakhabangi, zrobić na likanach wrażenie, wylądować i się z nimi ponapierdzielać. Rozważaliśmy ten scenariusz, gdy się dowiedzieliśmy, że wielu z nich zginęło w niewyjaśnionych okolicznościach. Mnie już zbojkotowano i nie wiem, co tam się stało. Postanowiliśmy od razu ruszyć dupska, jak cię tylko zobaczyliśmy razem z twoją fustą. W tej wersji wszystko dałoby się załatwić bez wychodzenia z maszyn.

– Zobaczymy. Kiedy już zabezpieczę Hanako i tauricja się do nas nie przywali, będziemy mogli sobie postrzelać. Lepiej dla mnie, gdy będę mieć świadków. Mam nadzieję, że u twojej dziewczyny wszystko dobrze.

– Już jest z nią w porządku. Teraz czas uratować twoją.

Sandstorm skwitował te słowa ponurym milczeniem.

Gdy już przylecieli na miejsce, poniżej fontanny flary zastał oszałamiający widok. Na pustej przestrzeni pośrodku zwartego, gęstego lasu tkwiły ruiny porzuconego miasta, które nawet nie widniało na mapie planety. Patrzył na stare budynki i zdewastowane obiekty, ogień, prymitywnie poubieranych ludzi, w większości transhumanistów, którzy świętowali wokół posągu wilka i ołtarza. Zwrócili się w stronę nieba, gdy Krystian z kompanami zaczęli lądować.

Rebeliant rozpoznał Midnighta, ale nigdzie nie dostrzegł Hanako. Nie był w stanie wyciągnąć jeszcze żadnych wniosków na podstawie tego, co widzi, a już wzmógł się w nim niepokój. Miał na sobie ergonomiczny kombinezon lotniczy, podobnie jak Nathan i jego znajomi, niemniej wiedział, że przeciwko likanom dodatkowa osłona nie będzie mu potrzebna. Androidy wysłano z kolei w lekkim odzieniu taktycznym.

Sandstorm z pistoletem w ręku opuścił fustę, nie myśląc o reszcie przybyłych. Mając coraz gorsze przeczucia z każdym pokonywanym krokiem, szedł ze wzrokiem wbitym sztywno w ołtarz. Likanie coś do niego krzyczeli, niektórzy powarkiwali, grozili mu, co rebeliant bezzwłocznie kwitował kierowaniem lufy w stronę co głośniejszych. Gdy zastrzelił jednego z agresywniejszych, który miał problemy z interpretacją aluzji, reszta zamilkła. Nie rzucono się gremialnie na intruza i nie rozerwano go na strzępy, bo za plecami Krystiana wykwitło kilkanaście uzbrojonych mężczyzn i kobiet, do tego androidy niebędące już pod władzą Shantiego.

Na ołtarzu znajdowały się zwęglone zwłoki.

Krystian z przerażeniem spojrział na Midnighta.

– To Hanako. Spóźniłeś się, już po rytuale – zakomunikował stojący nieopodal Kion.

– Dostał ją zaszczyt uczestnictwa jako najwyższej w noc Oka Opatrzności – dodał zadowolony alfa.

Wiele rzeczy się tu nie zgadzało. Na przykład dlaczego Midnight oznajmia o złożeniu w ofierze drogiej rebeliantowi osoby tak swobodnie i bezczelnie, jakby nie bał się konsekwencji, głównie w postaci bycia na muszce. Albo dlaczego likanie ciągle stoją w kupie, nie uciekają, nie sięgają po broń. Krystian jednak nie

dbał o niuanse. Jego umysł zajmowały tylko dwie myśli: Hanako nie żyje, winni muszą za to umrzeć.

Początkowe przerażenie przeszło w niedowierzanie i rozpacz, te natychmiast wypalił gniew tak wielki, jakby jego niewyczerpane pokłady zaaplikowano Krystianowi z zewnątrz.

Pistoletem energetycznym nie mógł wyrządzić szkód, jakie pragnął teraz zrobić, wyrwał więc jednemu z androidów karabin impulsowy, który okazał się niespersonalizowany pod użytkownika – i zaczął kosić serią sekciarzy z lewa na prawo. Midnight padł pierwszy. Krystian władował w niego najwięcej amunicji, przez co ciało likanina runęło na grunt w strzępach.

Nathan również dołączył do strzelaniny. Wreszcie poczuł ulgę, gdy mógł dać upust trwającej w nim od dawna bezsilności, przekuć ją w czyn.

– Ja się poddam! – ryczał Kion, klęcząc z uniesionymi rękoma.

Androidy kazały przerwać ogień, ale kiedy to nie poskutkowało, powaliły rozwścieczonego Krystiana i zaciskającego zęby z bólu Nathana na płytce dziedzińca. Towarzysze analityka uziemili z kolei czwórkę pozostałych przy życiu likanów, w tym Kiona. Należało przesłuchać sekciarzy – którzy nie powiedzą jednak nic ponadto, co im narzucano odgórnie i o czym pamiętali w wyniku konfabulacji.

* * *

Zanim jeszcze Krystian z towarzystwem dolecieli na miejsce, Thino'pai wystartował swoją maszyną, zwalniając cały obszar. Aktywował jej pełne maskowanie, w tym nałożył filtry blokujące przepływ promieniowania złożonego, i zawisnął bezgłośnie w powietrzu. Śledził przebieg wydarzeń w zapomnianym mieście dzięki skanowaniu neutrinowemu, natomiast Hanako oglądała wszystko na wybranym ekranie kabiny, działającym na podobnej zasadzie co wzrok avora, gdyż dziób statku i drzewa ograniczały widoczność. Dziewczyna zmyła już z siebie namalowane wzory, krew, jak i wszelkie brudy Nakhabangi.

– Nie!

Widok Krystiana bardzo ją zaskoczył, cierpiała równie silnie co on, gdy wziął spalone ciało Misaki za jej zwłoki. Nie przypuszczała w najmniejszym stopniu, że

rebeliantowi w ogóle może na niej zależeć. Myliła się co to niego. Odruchowo wstała, jakby chciała iść i wyskoczyć z pokładu.

– On strasznie przeżywa... Ja muszę się mu pokazać.

– Siadaj, bo wszystko zepsujesz. Wiedziałaś, że tak na pewno się stanie i na to przystałaś. Uczulałem cię na to. Nikt nie może cię już zobaczyć. Nie ma odwrotu. – Cyborg położył rękę na jej ramieniu i lekkim naciskiem zmusił, aby usiadła ponownie w fotelu.

Sahara z wilgocią w oczach śledziła wydarzenia rozgrywające się na ekranie; Thino'pai w skupieniu patrzył na jej profil. W takich oto traumatycznych – jedynie dla ludzi – chwilach można było wyraźnie dostrzec skrajne różnice między nimi. Gdy Hanako cierpiała, on odczuwał nieznaczną pogardę do demonstrowanej otwarcie słabości. Wiedział, że tak będzie już zawsze, we wszystkim, czego z Hanako doświadczą w przyszłości. Nigdy jej nie pokocha ludzką miłością, bo nie zazna natury tej biochemicznej, hormonalnej eksplozji. Przynajmniej tak zakładał. U Thino'paia zaszły pewne drobne zmiany, był bowiem pionierem w dziedzinie głębokiej separacji od nadkolektywu. Teraz na przykład również minimalnie współczuł dziewczynie, widząc, jak przeżywa los Krystiana. Czy ta usterka zacznie się poszerzać, zapoczątkowana zapewne wejściem w relacje z człowiekiem, z którym – czy to avorowi się podobało, czy nie – był genetycznie związany? Czy jeśli wróci na Asephor' Cerotis, w zasięg silnego działania wież AMP, stanie się znów takim samym w zachowaniu avorem, jak wszyscy inni? Odda Hanako w ręce Kandrok, jak powinien, i o niej zapomni, co będzie silniejsze od więzi wahiriki? Czy aby na pewno dobrze postępowali, postanawiając z Saharą być ze sobą? Ciężko mieli ci, którzy robili coś po raz pierwszy.

W jego przypadku również nie było już odwrotu – musiał pokazać dziewczynę Kandrok, jakkolwiek by się to nie odbyło.

Thino'pai wrócił do śledzenia przebiegu pozoranctwa, cały czas mając kontrolę nad wszystkimi likanami w dole oprócz Kiona. Podczas ataku pierwszej fali na benglow zginęli prawie wszyscy niemający entraserów sekciarze, a tych paru uciekinierów z pola potyczki Thino'pai zabił tutaj. Midnighta zaczipował, upiekło się jedynie Kionowi, ale to nie miało najmniejszego znaczenia. Guru sekty uznają za szaleńca, zamkną w jakimś zakładzie i nie uwierzą w nic, co będzie mówił. Ale

i tak Kion nie wygada się o obcym, bo Thino'pai naopowiadał mu sugestywnie i szczegółowo, co mu robi, jeśli zdecyduje się sypać.

W ciągu kolejnych dwóch godzin pojawiły się służby z okolicznych miasteczek. Zabrakło miejsc do lądowania, część osób przybyła więc do Nakhabangi persokarami, inni nawet lecieli przez las boltami i skulakami. To był koniec sekty likanów na Calcaris. Ci, co mieli z nią coś wspólnego albo wiedzieli o jej istnieniu, milczeli. I tym razem do mediów miał przeciec sfałszowany scenariusz: podczas rytuału doszło do sporu wewnątrz wilczego bractwa, spowodowanego odurzeniem narkotykowym, który zakończył się nie tylko śmiercią porwanej Hanako Sahary, ale i wzajemnym wyżynaniem się likanów bronią ręczną. Kion był przekonujący w tej sprawie, podobnie jak pozostali przy życiu aresztowani. Relacje okazały się zgodne, każdy z sekciarzy miał we krwi narkotyki, które Thino'pai kazał wziąć wszystkim w dużych dawkach, więc nie dopatrzonego się nieścistości. Oględziny ciała okazały się zbędne.

Kiedy załamany Krystian mógł już nad ranem opuścić Nakhabangę, Thino'pai polecał w oddaleniu za jego fustą.

* * *

Rebeliant udał się pod posiadłość Anastazji we Fragmarze. W progu drzwi wejściowych pojawiła się Agata trzymająca Annę, którą karmiła butelką. Patrząc na zbolaną minę Krystiana, idącego ścieżką ogrodową jak pozbawiony sił, wiedziała już, że stało się coś złego. Odsunęła się i bez słowa wpuściła go do środka.

Krystian wszedł do salonu, usiadł pochylony w rozkroku w fotelu, z dłońmi splecionymi przy czole, ale zaraz zmienił pozycję, opierając się ciężko o zagłówek.

– Hanako? – zapytała zmartwiona Agata, dołączywszy do niego po odstawieniu dziecka do pokoju.

Sandstorm pokręcił głową.

Androidka przysłoniła rękoma twarz.

– Biedna dziewczyna... Taka młoda. Co się stało?

– Sekta. Rytuał. I od początku o wszystkim wiedziała ta jej popierdzielona rodzinka! – Mężczyzna wstał gwałtownie, chwycił najbliższy przedmiot znajdujący

się w jego zasięgu i potężnie cisnął nim o ścianę. Pusty dzbanek nie rozbił się tylko dlatego, że wykonany był z nietłukącej się struktury rogowej.

Sandstorm przeszedł do pokoju Anny i wziął ją na rękę.

– Przynajmniej ty mi zostałeś – rzekł, poprawiając jej włosy. – Tym razem już cię nie zawiodę. Nigdy cię nie zawiodę. Zaopiekuję się tobą, Anno Sandstorm. Polecimy na Chulimal, zobaczysz, że ci się tam spodoba. Jest ciepło, są tropikalne drzewa, kolorowe zwierzęta i piękne kwiaty. – Zwrócił się nieco ofensywnie do Agaty, która do niego dołączyła: – To moja córka i zabieram ją ze sobą. Potrafię zapewnić jej bezpieczeństwo.

– A ja nie będę cię powstrzymywać, Krystianie. Jest jednak jeden warunek: leć z tobą. Mała potrzebuje stałej opieki.

– A co z Anastazją i jej posiadłością?

– Po prostu kupi sobie nowego androida. – Agata uśmiechnęła się smutno.

* * *

– Widzisz? Wszystko powoli się układa i zmierza w dobrym kierunku. Krystian będzie nienagannym ojcem.

Hanako odnosiła wrażenie, że Thino'pai powiedział to spięty i z powstrzymaną agresją, a nie oznajmił swobodnie, by podbudować jej nastrój. Spojrzała nań ze swojego fotela, chcąc wy badać, czy ma rację, ale cyborg nie przekręcił głowy w jej stronę, patrząc zawzięcie na bok.

Wisiele nad Fragmarą podobnie jak wcześniej w lesie i nikt nie mógł ich zobaczyć, usłyszeć, jak i ogólnie namierzyć w żaden sposób. Skupiona na jednym z licznych monitorów dziewczyna widziała przez ściany domu Anastazji wszystko, co działo się w środku.

Hanako mogła w ten sam sposób ustalić jeszcze w Sutafochun, jak rodzina odebrałaby wiadomość o jej rzekomej śmierci, ale psychicznie byłoby to dla niej zbyt wiele. Czuła się zdradzona. Z wielkim trudem znosiła też fakt, że z powodu jej intrygi Krystian będzie musiał żyć w żalu i świadomości, że ponosi współwinę za jej zamordowanie. Ale i w czasie rozpaczki znalazło się pocieszenie – rebeliant z poczuciem najwyższego obowiązku postanowił zaopiekować się Anną, którą trzymał na rękach i kręcił się z nią przy oknie, rozmawiając z androidem.

Sandstorm zmienił się diametralnie. A może był taki cały czas, rozważała Hanako, tylko potrzebny mu był wyjątkowo potężny bodziec do aktywacji opiekuńczych, ojcowskich instynktów?

– Chyba nadszedł czas, abyś mi opowiedział, co się z tobą działo. – Hanako postanowiła zmienić temat, by odciągnąć myśli od Anny; zwłaszcza tę, że ogląda ją prawdopodobnie po raz ostatni. Dotąd nie była gotowa na poważną rozmowę z Thino'paiem. Świadomość, że jej córka będzie mieć zapewnioną doskonałą opiekę, znacznie ukoła jej nerwy.

– Obezwładniono mnie i zabrano na pokład – zaczął eksplikować Thino'pai. Patrzył na Krystiana z tłumioną złością, jakby rebeliant za choć jeden źle wykonany gest miał zostać zastrzelony przezeń przez ścianę. – Z trudem mi to przechodzi przez gardło, ale gdyby nie wysłano po mnie poślednich Kiritian, byłoby po mnie. Twoi koledzy, Jack Schwartzberg i Hiroshi Sakai, chcąc uchronić się przed gniewem sekty, uciekli do Kiritian i przekazali im dowód na istnienie wysoko rozwiniętego obcego. Oczywiście nie potraktowano informacji zbyt dosłownie, dlatego do twojego benglowa wysłano patrol złożony z niskich stopniem achij. Gdybym trafił przed oblicze Forkisa albo kogoś z jego Rady Dygnitarzy, pokrojono by mnie pewnie na plasterki. Nie miałbym szans na objęcie kontroli nad tak dużą liczbą zaawansowanych technologicznie entraserów, bo zaraz po zabraniu mnie byłem niczym dziecko we mgle.

Sahara słuchała zdumiona, że avor ten jest zdolny do pokory.

– Musiałem szybko się uczyć. Na szczęście zabrano mnie do jakiejś podziemnej dziury na planetę transferową, która pełniła jedynie rolę przystani. W moim otoczeniu nie było wielu Kiritian, w dodatku mieli niskie stopnie, miałem więc ułatwione zadanie. Przecwiczyłem na achij to samo, co potem zrobiłem z likanami, konfabulowałem ich wspomnienia i uzupełniłem luki fałszywymi. Dla nich więc nie istniałem. Przekonałem ich, że na zabranym z Calcaris fragmencie ziemi szukali próbek painitu, o który pobili się likanie pod bengłowem. Kiedy Nieśmiertelni nic nie znaleźli, pozbyli się wszystkiego. Kontrolowanym przeze mnie Kiritianom kazałem przekazywać taką wersję wydarzeń tym, którzy nie nosili stałych entraserów, bo do transferu danych używali bardziej zaawansowanej serii – rozpuszczanej albo wydalanej z organizmu po użyciu. Tych Nieśmiertelnych, wiadomo, kontrolować bym nie mógł. Zorganizowałem sobie na

szczęście „swoją” grupę oficerów z entraserami interesującej mnie generacji. Składali oni dyktowane przeze mnie raporty i ogólnie robili wszystko, co im kazałem, co nie wzbudzało podejrzeń i nie kolidowało z funkcjonowaniem podziemnej bazy.

– To już rozumiem, czemu nikt nic o tobie nie wiedział. Dlaczego się ze mną nie skontaktowałeś? Zabrano nas chyba w to samo miejsce.

Thino'pai zrobił krótką przerwę na zamknięcie oczu i siedzenie tak ze splecionymi na piersi ramionami.

– Zamierzałem cię zostawić i zwrócić ci twoje dawne życie. Myślałem, że mnie znienawidziłaś. Ponadto byłaś bezpieczna, miano cię przetransportować ponownie na Calcaris, w spokojne miejsce. Ja przebrałem się za Kiritianina, nadałem sobie fałszywą tożsamość porucznika Lyrnama Galapagos i uczyłem się żyć wśród nich, ich sposobu myślenia. Miałem do czynienia bezpośrednio z ich technologią. Ogólnie źle to wyglądało, jeśli chodzi o mój powrót na Asephor' Cerotis, bo Nieśmiertelni, ludzie o najwyższym stopniu rozwoju cywilizacyjnego, wciąż są daleko w tyle za Kandrok. W tym konkretnym przypadku nie stanowiło to dla mnie pocieszenia. Nieśmiertelni nie są nawet pewni, czy istnieją inne wszechświaty. O podróżach między nimi nie mają pojęcia nawet w teorii. Uratowało mnie jedynie to, że jestem xepo i posiadam pewien zakres wiedzy o budowie i funkcjonowaniu kandrockich okrętów, której próżno by szukać u umen, midu czy nawet ondo. Ale i tak musiałem zbudować odpowiedni statek z gówna, które miałem do dyspozycji. Mały, nie okręt jak kiedyś zakładałem, by wyglądał niepozornie w przypadku, gdyby osłona niewidzialności przestała działać.

– Wygląda bardzo przyzwoicie – przerwała Hanako, rozglądając się po kabinie.
– Aż zaparło mi dech, gdy zdjęłaś z niego osłonę. Myślałam za pierwszym razem, że to rzeczywiście okręt. Za mało w nim łagodności, ogółem „cywilności”, ale dokładnie czegoś takiego można się po tobie spodziewać.

– Zatem mi nie wyszedł.

– Nie, jest w porządku. Czyli takich statków używacie u siebie?

– Ten został stworzony na wzór ludzki. Nasze wyglądają zupełnie inaczej, ale kazałem technikom, inżynierom i mechanikom zbudować go w formie, która wizualnie nie wzbudzałaby podejrzeń, gdyby coś poszło nie tak.

– Jak tego dokonałeś?

– Zażyczyłem sobie, by wyselekcjonowani Kiritianie polecili ze mną na planetę Eos Endymion, gdzie mają fabryki produkujące sprzęt wojenny. Miej na uwadze, Hanako, że wszystko było ryzykowne, na granicy braku autoryzacji. Musiałem stale się pilnować, mieć wszystko pod kontrolą, przewidywać wydarzenia, aby nie zwracać na siebie uwagi. Miałem przy sobie Jacka Schwartzberga, który okazał się niezłym fachowcem, ale opracować nowatorski napęd, nadający się do skakania po krollach między wszechświatami, i tak musiałem sam. Ulokowałem się z zespołem gdzieś w najbardziej nieistotnym garażu, w najbardziej nieistotnym zaułku kiritiańskiej kolonii, gdzie produkowano małe transportery jednej serii. Ten statek je przypomina, ale systemy napędowe i moduły energetyczne ma oczywiście inne. Po wszystkim skwitowałem ze służby „moich” Nieśmiertelnych i zniknąłem, a oni zapomnieli o wszystkim, co robili i wrócili do swoich zajęć. Nie udało mi się osiągnąć nawet pięciu procent tego, co uzyskałbym w kandrockich fabrykach, ale chociaż mogę już wrócić do mojego wszechświata. Wreszcie. Zajmie mi to jednak trzy wasze lata.

Hanako patrzyła na cyborga oszołomiona, kiedy on zdawał się sfrustrowany.

– Podróż do innego wszechświata? W trzy lata?! Przecież na najdoskonalszym współczesnym napędzie, Alcubierre’a produkcji kiritiańskiej, przebycie całego wszechświata w teorii mogłoby zająć dwieście tysięcy lat! Jack mi to kiedyś mówił.

– I żyjesz właśnie dzięki niemu. Kontaktował się czasem ze znajomym z Calcaris, który okazał się kolegą jednego z likanów zabitych przeze mnie w Nakhabandze. Sekciarz pochwalił się tamtemu, że wreszcie cię złapali, a on przekazał to przypadkiem Jackowi. Statek był już ukończony. Musiałem po ciebie przylecieć, Hanako. Przez ten nagły zew odżyła moja więź z tobą jako z wahiriką.

– Ale przecież od momentu, jak Midnight mnie uprowadził, do chwili, gdy przyszpilili mnie do ołtarza, minęło wiele godzin.

– Podróż tyle mi zajęła.

– Z Eos Endymion na obrzeżach Uniwersum Skorpiona do Calcaris w Wadze?! Na tym odcinku trzeba wykonać mnóstwo skoków podprzestrzennych.

– Ten statek ich nie dokonuje; Kandrok nie podróżują w tak prymitywny sposób. W sensie mój statek może to robić, ale nie jest to jego nadrzędny sposób przemieszczania się między galaktykami i wszechświatami. Stworzyłem hybrydę.

Część technologii kandrockiej, którą byłem w stanie odtworzyć, reszta to uzupełnienie luk technologią i materiałami kiritiańskimi. Nie potrafię ci wytłumaczyć, jak działa ta maszyna. Musiałbym używać kandrockich słów niemających ludzkich odpowiedników. Zresztą nie jest to temat, którym powinnaś się zamartwiać.

Do Hanako zaczęło docierać, cóż za kosmicznego potwora stworzył cyborg, którego sposób działania wykraczał poza zakres ludzkiej wiedzy. Rzeczywiście lepiej byłoby nie zawracać sobie tym głowy. Podeszła do fotela Thino'paia i umościła się na jego nogach.

– Masz rację, to nie ma znaczenia. Po prostu ci dziękuję. – Objęła go za szyję, oparła głowę o jego ciepłą, twardą pierś, scaloną z podzespołami implantów. Cyborg był bez zbroi, ale i w takiej wersji wyglądał, jakby jej część miał na sobie. Na pokładzie cyrkulowało powietrze dogodne dla ludzkich płuc, Thino'pai zadowolił się maską oddechową. – Wypowiedziałeś teraz chyba najdłuższą kwestię w swoim życiu.

Długo obserwowali w milczeniu, jak Krystian zajmuje się Anną przy kręcącej się w pobliżu Agacie. Avor spoglądał na niego chłodno, po raz pierwszy odczuwając zazdrość. Postanowił, że nigdy nie przyzna się Hanako do tego, że podobnie jak w Sutafochun kontrolował Krystiana przez jego entraser, wykorzystując fustę niczym amplifikator dla swojego neurocytu, tak w Rimibii nakłonił bezwiednie rebelianta do współżycia z dziewczyną... Którą też kontrolował poprzez holonot, mając w ryzach obecny jeszcze wtedy w jej głowie entraser. Również z tego powodu Thino'pai postanowił go potem wyjąć z płata czołowego Hanako – by więcej go nie kusił, miał też lekkie poczucie winy, że wykorzystał ją jako królika doświadczalnego przy badaniu możliwości sterowania ludźmi na duże odległości... Ciekawiło go ponadto ich rozmnażanie.

Oznaczało to, że technicznie Anna była córką Thino'paia.

U avorów nie istniał instynkt macierzyński, sprzyjający ochronie genów, zarezerwowany dla prostych, zwierzęcych stworzeń pokroju człowieka. Dlatego cyborg bez żalu zostawi Annę w tym uniwersum.

Parę metrów nad nimi przeleciała kawalkada persokarów – uczestnicy wczorajszego święta wracali do domów w innych miastach. Gdyby znalazła się na kursie kolizyjnym, Thino'pai bezgłośnie przesunąłby swój statek.

– Jesteś już gotowa do odejścia? – zapytał Hanako. – Masz do pozalutowania jeszcze jakieś sprawy, co dałoby się zrobić anonimowo? Im dłużej zostaniemy, tym trudniej będzie ci potem odlecieć.

Dziewczyna wstała, po raz ostatni pożegnała się w myślach z Anną, życzyła też szczęścia Krystianowi. Nie chciała roztrząsać tak skomplikowanego zagadnienia, które dotąd nie wydarzyło się w historii ludzkości: że zostawia swoją córkę w Zodiac Universum jedynie po to, by kiedyś napadł je gatunek, z którego przedstawicielem postanowiła uciec. Nawet jeśli zrezygnowałyby z podróży, Thino'pai na pewno zabrałby ze sobą innego człowieka. Ale do niczego jeszcze nie doszło. Kandrok wciąż nie wiedzieli o istnieniu ludzi i Hanako liczyła, że może zdoła coś na to poradzić. Może gdy pozna tego gerhę, władcę Kandrok, uda jej się dojść z nim do konsensusu.

– Chodź, coś ci pokażę.

Cyborg zszedł z fotela i opuścił kabinę pilota. Sahara podążyła za nim. Poszli najpierw do małego przedziału rufowego, w którym Thino'pai uchylił gródź. Stał tam przymocowany solidnymi zaczepami z dhurnstali monstertruck z garażu obok bengłowa.

– Myślałem, że może się ucieszysz. Odratowałem to od wyrzucenia na śmietnik.

– Mój samochód!

– Kandrok będą mieli się z czego pośmiać. – Avor powiedział to z powagą, ale dla Hanako słowa zabrzmiały niczym żart. Uśmiechnęła się.

– To naprawdę miły gest z twojej strony.

– Jest jeszcze pewna rzecz. Wcześniej ci o tym nie mówiłem, bo najpierw chciałaś lecieć za Krystianem.

Cofnęli się do jednego z kilku kubryków, którego skąpany w czerwieni i pomarańcu światła wystrój przypominał obiekt medyczno-warsztatowy. W stacji leżał wyłączony Zo'yo. Hanako popatrzyła w następnej kolejności na znajdujące się tam kybro, wyglądające niczym poczwarka komara o transparentnych w wyniku nieprawidłowego działania hormonów ściankach. Tkwiło na wspornikach, dodatkowo zabezpieczały je zintegrowane za ścianami pręty. Od razu widać było, że choć zamysł zbudowania nowej wersji kybro pochodził od Thino'paia, projekt stworzyli Kiritianie. Cyborgowi nie chodziło

jednak o ów pojemnik z płynem półorganicznym, ale inny, otwierany pod stropem niczym pawlacz.

Dziewczyna dała krok w tył, gdy wyjął stamtąd schłodzonego, sztywnego psa.

– Nie obawiaj się, nie jest martwy – wyjaśnił od razu avor. – Jedynie ma ograniczone funkcje życiowe.

Wyglądał identycznie jak czarny posokowiec Billy'ego.

– Pamiętam tego psa. Przecież go zjadłeś.

– To nie Lesoto oczywiście, ale taki sam pod względem zachowania i wyglądu. Kopia. Wyposażony jest w podobną pamięć, co oryginał. – Cyborg mówił o psie jak o specyfikacji maszyny. – Zrobiłem go przy okazji podczas pobytu wśród Kiritian. Pamiętam, jak żałowałaś tego zwierzęcia.

Chciała powiedzieć od serca stosowny komentarz na temat jego czułości, ale wiedząc, że mogłoby go to speszzyć, a najgorszym przypadku zirytować, gdyby odebrał słowa jako przypisywanie mu słabości lub człowieczeństwa, zakończyła na zdawkowym:

– Dziękuję. Gruby Billy na pewno się ucieszy.

Uśmiechnął się nieznacznie, widząc, że doceniła jego gest, którego robić nie musiał.

* * *

Odciągnięcie wyposażonego w entraser Billy'ego od domu i sprowadzenie go pod las przy Sutafochun, tak by myślał, że poszedł spacerować z własnej woli, okazało się łatwym zadaniem. Thino'pai nie musiał więc kombinować, jak niepostrzeżenie przekazać mu psa.

Kiedy zwierzak był już rozbudzony, wypuścili go z Hanako z pokładu zamaskowanego statku. Billy zjawił się moment później. Patrzył oszołomiony, gdy druga wersja jego pupila biegła do niego z radością przez oświetloną słońcem łąkę, nierozróżnialna od prawdziwego.

– Lesoto! Wróciłeś.

Myśląc, że w końcu znalazła się jego zguba, mężczyzna przykucnął i chwycił merdające ogonem, rozradowane zwierzę w ramiona. Cieszył się, będąc lizany po twarzy.

– Kłamstwo, które bywa powodem radości – powiedziała Hanako obserwująca powitanie z fotela kabiny. – Tak jak inne może być powodem płaczu.

Chociaż miała drugą okazję dowiedzenia się, co słychać u jej rodziny i tym razem nie zamierzała z niej skorzystać. Skończyło się jedynie na tym, że to, czego nie udało zrobić się z niezaczipowaną Lan, Thino'pai zastosował na Riku. Zakazał mu dzielić się z kimkolwiek informacją, że jego córka ma się dobrze i po prostu uciekła z dzieckiem od rodziny. Hanako uznała, że on jeden, niezwiązany z likanami i szaleństwem Misaki, zasługiwał na część prawdy odnośnie do jej losu.

– Możemy zaczynać podróż – oznajmiła cyborgowi, gdy pojęła, że na Calcaris nie ma już nic więcej do zrobienia.

* * *

Nie ruszyli od razu ku wszechświatowi Thino'paia. Najpierw polecili, jako niewidoczna eskorta, za odwożonym przez Anastazję Krystianem, Agatą i Anną na jedną ze stacji przesiadkowych. Stamtąd trójka udała się ku kolejnej stacji. Na koniec odebrał ją Carlos Drunkenstein nowym, dopiero co wdrożonym typem myśliwca średniego typu, z nieznanym jeszcze Kiritianom maskowaniem, i bezpiecznie zawiózł na Chulimal.

Anna Sandstorm miała dorastać wśród rebeliantów.

* * *

– Gotowa? – zapytał Thino'pai Hanako.

Początkowo lecieli w kosmosie z pięcioprocentową prędkością nadświatłą, gdyż dziewczyna dla odzyskania komfortu psychicznego chciała trochę pooglądać przestrzeń. W ogóle nie odczuwała przeciążenia przy korekcyjnych zmianach prędkości, jak i nie rozumiała, jak statek – oraz wszystko w jego wnętrzu, łącznie z ciałami ich obojga – może wytrzymać niemożliwą do osiągnięcia przez człowieka prędkość, niezgodną z teorią względności Einsteina, bez załamywania czasoprzestrzeni. Żeby jeszcze tego było mało, po pokładzie dało się normalnie poruszać niczym po powierzchni Calcaris! Hanako rozważała, jak to się miało do

wzrastającej masy pozornej. Zresztą w ogóle tu nie powinno być mowy o złożonej materii poruszającej się szybciej niż światło!

Gdy Thino'pai się zlitował i zdecydował wytłumaczyć jej fizyczne aspekty podróży, niewiele do niej dotarło. Hanako poprzestała na przyjęciu do wiadomości, że maszyna posiadała coś w rodzaju ochronnej bańki pozawymiarowej, uzyskiwanej z transferu ze splątania kwantowego, która była sferą nie z tego wszechświata. Oddzielała ona statek od realnego otoczenia, przez co przeciążenia świetlne i nadświetlne na niego nie oddziaływały. Upraszczając: dla środowiska statek w ogóle nie istniał, co było pewną formą oszustwa. U Kandrok tę starą technologię stosowano od tysiącleci; Kiritianie dopiero zaczęli prowadzić badania w tej dziedzinie.

Po przeleceniu przez dwa układy gwiazdne cyborg zachęcił dziewczynę, aby udali się do pomieszczenia z kybro.

– A co z tobą? – Spojrzała nań pytająco, gdy stali przy poczwarkowatej kapsule.

Kandrok nie korzystali z kriosnu jak ludzie – który w przypadku człowieka i tak przy obecnych metodach przemieszczania się między punktami w Zodiac Universum był zbędny ze względu na to, że najdłuższe podróże liczyło się w tygodniach – ale poddawali się procesom regeneracji różnego poziomu. W zanurzonej w kandrockim kybro ciele anaboliczne procesy regeneracyjne mogły powstrzymać kataboliczne starzenie się organizmu, powstające w procesie stymulacji kopie komórek stawały się bowiem identyczne z oryginałem; nie pojawiały się błędy. Kandrok korzystali zatem z tych baniaków na pokładach, kiedy potrzebowali leczenia, nigdy by na długo wygasić świadomość. Chociaż potrafili podróżować między wszechświatami, nie trwało to tyle, aby udawać się w długi stan spoczynku. Zresztą bardziej cybernetyczni Kandrok tego wcale nie potrzebowali.

W kiritiańskim ekwiwalencie kybro nie udało się uzyskać Thino'paiowi identycznego efektu. Ponadto chciał użyć go jako usypiacza z powodu kruchego ciała dziewczyny i jej słabej psychiki. Oznaczało to, że Hanako po dotarciu do celu będzie starsza o parę lat; czas dla niej będzie płynął tak jak na całym statku.

– Zamierzam dokonać skoków portacyjnych najpierw na hirabre w tym wszechświecie, potem na krollach pomiędzy nimi – wyjaśnił.

– O krollach kiedyś mi wspominałeś, ale już nie pamiętam, czym są hirabre?

– Nietrwale wysokoenergetyczne struktury, powstające tylko w głębokim kosmosie, używane najczęściej do skoków między galaktykami. Ludzkość jeszcze ich nie zna.

– I moje ciało w stanie świadomym nie wytrzyma takiej podróży?

– Nie chodzi o sposób podróżowania, ale komfort. Ja mogę lecieć tak – Thino'pai klepnął się dłońmi w pierś – przez trzy lata, i nie odczuję tego psychicznie i fizycznie. Będę cię wykorzystywać, nawet w stanie uśpienia, jako karmę mentalną, bym nie doświadczał skutków braku kolektywu. Ale gdy znajdę się bliżej zasięgu działania amplifikatorów AMP, nie będziesz mi już potrzebna. Ty natomiast musisz się wyłączyć...

– Chciałeś powiedzieć: spać.

– ...spać, bo jesteś niczym zwierzę z intelektem. Kilka lat przebywania w ciasnej przestrzeni przyprawi cię o szaleństwo, z czasem będziesz miała też mnie dosyć. Nazywacie to chorobą kosmiczną. Jej skutki są tym silniejsze, im mniejsza jest powierzchnia, na której się przebywa, im mniej ludzi znajduje się w pobliżu i im czas podróży jest dłuższy. – Uchylił wieko kybro, którego wewnątrz znów skojarzyło się Hanako z żołądkiem olbrzyma. – Nie martw się, nic ci nie grozi.

– Założmy, że ci wierzę. Czego mogę się spodziewać, gdy już mnie rozbudzisz?

– Powinniśmy być wtedy na Asephor' Cerotis. Na bieżąco będę ci udzielać instrukcji, zgodnie z rozwojem sytuacji. Mnie na pewno będzie chciał zobaczyć mój dowódca, a jako że sprowadzę przedstawiciela innego, nieznanego nam dotąd gatunku – zapewne sam gerha w pierwszej kolejności. Rozbierz się. Do naga.

– Potrzebuję czegoś na przeczyszczenie? Albo się nawodnić? – pytała dziewczyna, ściągając szatę Ligrida i likański negliz ceremonialny.

– Nic nie musisz robić.

Kiedy stanęła przed nim obnażona, nie dostrzegła w jego gestach czy spojrzeniu oznak pożądania. Thino'pai po prostu patrzył, jakby była Zo'yo czy dowolną częścią statku. Hanako wciąż nie mogła się przyzwyczaić do reakcji cyborga odmiennych od tych, które miałyby ludzki mężczyzna na jego miejscu. Mylący był już sam antropomorficzny wygląd avora; mózg dziewczyny automatycznie przypisywał mu ludzkie cechy. Dokonała takiego wyboru i musiała nauczyć się z tym żyć, akceptować różnice. W tym związku zmiany dotyczyły tylko jej. Ludzie bowiem byli zmienni i elastyczni – avorowie stali.

Sahara przejęła inicjatywę, aby znaleźć pocieszenie i dodać sobie odwagi. Ściągnęła Thino'paiowi maskę oddechową i przystawiła swoje usta do jego, zaczęła poruszać wargami. Cyborg odpowiedział tym samym, przesunął ręce na plecy dziewczyny i przycisnął ją do swego tułowia, w większości dotykając ją ciepłym metalem implantów.

Całowanie i pieszczoty – to było najwięcej, na co mogli sobie pozwolić. I Hanako w pełni to wystarczało. Na razie. Zastanawiała się, jak pod względem potrzeb malowała się jej przyszłość – która mogła trwać dość krótko.

Thino'pai podszedł z nią do krawędzi kybro, Hanako weszła powoli do środka i umościła się na miękkim podłożu. Cyborg zaczął podłączać instalacje do zbiornika, a na końcu wpuścił płyn półorganiczny, który zaczął zalewać żywą, zamkniętą zawartość.

– Słodkich snów! – Były to ostatnie zarejestrowane przez nią słowa. Sylwetka wiszącego nad karapaksem Thino'paia zaczęła się rozmazywać, ciemnieć i oddalać, jakby dziewczyna w zwolnionym tempie opadała wodami studni.



16. Transformacja

Thino'pai nie powiedział jej całej prawdy. Niektóre rzeczy powinny zostać zrobione i raczej pewny sprzeciw ze strony Hanako oznaczałby tyle, że musiałyby odwołać się do znienawidzonego przez siebie przekonywania, może i przymusu, by wszystko odbyło się zgodnie z jego planem. Taki obrót sprawy na pewno znów popsułby ich relacje, które tym razem Thino'pai zdecydowałby się naprawić, ingerując neurologicznie w mózg dziewczyny. A tak, kiedy spała w kybro, problem nie istniał.

Gdyby był człowiekiem, długi czas podróży spożytkowałby na spokojne przemyślenia, ale jemu podjęcie decyzji zajęło jak zawsze mniej niż sekundę. Decyzja ta zdecydowanie wynikała z usterki, której był świadomy. W jego wnętrzu walczyli dwaj avorowie: prawdziwy, zaprogramowany przez gerhę z powstałym samoczynnie we wszechświecie zamieszkiwanym przez mizernych ludzi. Najgorsze było to, że Thino'pai nie miał pewności, którego wolałby jako zwycięzcę. Liczył, że sama bliskość gerhy, Kandrok i AMP przywróci mu prawidłową

homeostazę umysłową. Ale na razie postanowił brnąć niebezpieczną drogą, którą sobie wyznaczył, decydując też za Hanako. Jeśli zostanie odkryta jego intryga, co było niemalże pewne w doskonałej kandrockiej rzeczywistości, umrą oboje.

W chwili gdy dziewczyna udała się na spoczynek, cyborg zmienił skład powietrza na pokładzie, więc nie musiał już korzystać z maski oddechowej.

Podróż początkowo przebiegała bez zakłóceń. Kiedy Thino'pai był jeszcze w Zodiac Universum, napotkał w przestrzeni przelatujące drobne maszyny. Korciło go, aby je zestrzelić, bo miał taką możliwość i atak zakończyłby się sukcesem, ale mimo wszystko wolał nie ryzykować. Zwłaszcza że zbudowanie sobie drugiego statku, na wypadek gdyby coś stało się z obecnym, mogło się już nie udać.

Thino'pai dokonywał skoków portacyjnych między pojawiającymi się okresowo hirabre, które wyszukiwał specjalnie zbudowanym pod ich aktywność skanerem. Pierwszy wykorzystał do płynnego przejścia z Drogi Mlecznej do Andromedy. Podróż nie miała stałego charakteru. Wszystko zależało od energii zgromadzonej w manifestującym się tymczasowo węźle, a im jej było więcej, tym dalej dało się portować bez zachowania ciągłości lotu, nawet o pięćdziesiąt galaktyk.

Gdy po roku, mając za towarzysza jedynie Zo'yo, avor dotarł do granicy obecnego wszechświata, wystrzelił się w kierunku pierwszego krolla.

Między wszechświatem, gdzie krążyła Macierz Kandrok Asephor' Cerotis, a tym, w którym ludzie utworzyli kolonie Zodiac Universum znajdowały się jeszcze dwa inne. Przebycie ich zajęło Thino'paiowi więcej czasu, niż wyliczył, ale spodziewał się grubego błędu, mając do dyspozycji stworzony w improwizacji statek nafaszerowany kiritiańską technologią. Podczas pokonywania drugiego wszechświata pośredniego statek doznał kilku awarii, w tym jednej krytycznej, z dekompresją pokładu, gdy okazało się, że hirabre wyjściowy utworzył się przy kilkukilometrowej asteroidzie, co zakończyło się jej rozerwaniem i kolizją. Mogło być gorzej, gdyby Thino'pai w porę nie rozpoczął manewru skrętu. Kiedy odzyskał już stabilny kurs, wyszedł na kadłub statku i korzystając z pomocy leberiksa, załatał uszkodzenia.

Kiedy pierwsze zajęte przez Kandrok planety znalazły się w zasięgu jego widzenia aparaturowego, miał za sobą pięć ludzkich lat i prawie osiem miesięcy podróży. Rozważał, na którą planetę powinien się udać, by zrealizować swój

szalony plan. Bezpośredni lot na Asephor' Cerotis nie wchodził chwilowo w grę, bo musiałby przelecieć przez utworzoną na wysokości jonosfery neurosferę, która wykazałaby pełną specyfikację statku, łącznie z zawartością kybro, i sprawdziłaby neurocyt cyborga. Wszystkie te dane od razu miałyby gerha, kontrolerzy, strażnicy, jak i dowódcy kolektywu Sharraxa.

Wybrał ostatecznie peryferyjną, niezbyt ważną Meera'bsigę, co po kandrocku znaczyło planeta transferowa. Cybernetyczny naród nadawał swoim obiektom niewyszukane nazwy, niemające nic wspólnego z kulturą, historią czy słynnymi osobistościami, a jedynie z pełnioną funkcją. Często był to zlepek sylab związany z umiejscowieniem na kosmicznej mapie.

Meera'bsiga leżała w układzie pomarańczowego, niezbyt masywnego olbrzyma, jako dziewiąta z czternastu okrążających go planet (kiedyś było ich więcej, ale kilka zostało pochłoniętych przez gwiazdę). Uściślając, na jednej orbicie krążyły dwie planety – ósma i dziewiąta, o prawie identycznych parametrach i czasie obiegu wokół olbrzyma, dzięki czemu jeszcze przez bardzo długi czas miały być wzajemnie równoważne. Kandrok osadzali się wyłącznie przy wysokoenergetycznych, jasnych gwiazdach, potrafiąc się zabezpieczać przed ich niestabilnością i silnym promieniowaniem, a gdy takie ciało niebieskie rozrastało się za bardzo, po prostu opuszczali zasiedloną planetę, rzadziej odpychali ją na nową orbitę. Na Meera'bsidze założono infrastrukturę dostosowaną do obrabiania ciał i umysłów jeńców, od biofabryk po neurostacje, jak i wielobranżowe centra medyczne. Avorowie przywozili na nią czasem więźniów, jeśli mieli planetę po drodze. Niepotrzebnych zabijano i zmieniano w produkty pochodzenia organicznego, takie jak wydajne paliwa, resztę transformowano w Kandrok, a następnie przerzucano w regiony kosmosu, gdzie akurat by się przydali.

Thino'pai potrzebował dokładnie czegoś takiego: znano go na planecie i obecnie przebywało na niej niewielu Kandrok – tylu, ilu wymagano do funkcjonowania obiektów.

Skierował dziób maszyny ku pozbawionej neurosfery różowej planecie. Tę nietypową barwę zawdzięczała nagromadzeniu się na powierzchni skał głębinowych: aplitów, granitoidów, sjenitów, które wydostały się z wnętrza ziemi na skutek migracji spowodowanej różnicą gęstości skał. Dominowały ponadto różowe ryolity, gipsy oraz marmury, które miały także wersję białą, tworząc

widoczne z kosmosu pasy tej barwy. Thino'pai zameldował się strażnikom i transferował kody autoryzacyjne. Te wprowadziły się zmieniły, a avor użył starych, dokładnie z okresu swojego zniknięcia, co jedynie uwiarygodniało, że jest tym, za kogo się podaje.

Po kwadransie wylądował przed interesującym go centrum medycznym, jednym z mniejszych, które znajdowało się na płaskim, suchym terenie, gdzie poza Kandrok próżno by szukać śladu życia. W tle odcinały się kolejne budynki o innym przeznaczeniu, wzniesione na kandrocką modłę – nieforemne, brzydkie, asymetryczne, kanciaste, ale za to niesłychanie solidne. Były bowiem w stanie wytrzymać trzęsienie ziemi najwyższej amplitudy i falę uderzeniową upadłej komety (gdyby do takich zjawisk w ogóle doszło; miejscowi mieli je pod kontrolą). Zanim jeszcze wleciał w sztucznie stworzoną atmosferę, wiedziano już, kto znajduje się na pokładzie, ale i tak Thino'pai wzbudził powszechną sensację. Niecodziennie przylatywał tu avor uznany za zaginionego, do tego kuriozalnym statkiem i z jeszcze dziwniejszym stworzeniem na pokładzie.

Razem z Zo'yo opuścili statek; Hanako pozostała w uśpieniu. Od chwili wylądowania Thino'pai czuł, że ciężenie planety jest trochę większe niż to, do którego się przyzwyczał. Zmieniły się też ciśnienie, skład powietrza i temperatura, a przede wszystkim – jasność. Cyborg ponownie miał na sobie diardukowy pancerz o barwie indygo-karminowej, w którym walczył z Yakijanami przed feralną portacją na Calcaris. Z ukontentowaniem skierował twarz ku pomarańczowemu olbrzymowi, przymknął oczy i chwilę kąpał się w jego intensywnych promieniach.

– Likum – rzekł, co oznaczało po kandrocku światło. Rozsunął ramiona i panele grzbietowe. – Jakże się za nim stęskniłem.

Wyszło mu na spotkanie paru avorów ze swoimi latającymi bądź chodzącymi leberiksami. Najwyższy stopniem miał stanowisko umen, będące o kilka szczebli niżej niż xepo.

– Tanagri varoth ergrih! – przywitał się z entuzjazmem cyborg z osiemdziesięcioma procentami własnego ciała, odziany w lekki pomarańczowy niczym świecący nad nimi olbrzym pancerz, świadczący o przynależności do konkretnego kolektywu. Na jego ramieniu siedział leberiks podobny do brązowego żuka.

Thino'pai zassał informację z neurocytu umen, że pełni on tu funkcję szefa ochrony. Wszyscy Kandrok mówili tym samym językiem, więc problem w komunikacji nie istniał w narodzie. Jako że było to ważniejsze, niecodzienne spotkanie, rozmawiano ze sobą głównie słownie. Umen uniósł prawą zaciśniętą pięść na wysokość barku, w geście pozdrowienia, podobnie jak Kandrok w jego pobliżu. Thino'pai odpowiedział tym samym, po czym wszyscy opuścili ręce.

Thino'pai czuł się cudownie, będąc w zasięgu działania tyłu neurocytów i potężnej wieży AMP zamontowanej na planecie. Avorowie, jak i przerobieni pod ich wymogi wszyscy Kandrok, reagowali odwrotnie niż ludzie na obecność silnego pola elektromagnetycznego, a także wszelkiego innego promieniowania złożonego, pochodzenia naturalnego czy stworzonego sztucznie, jak neurosfera – działało ono na nich uspokajająco i prozdrowotnie. Jednak samopoczucie Thino'paia znacznie bardziej poprawił fakt, że wreszcie mógł oglądać innych avorów. Nie zważając na niższe od niego stopniem towarzystwo, osunął się na kolana. Tkwił chwilę na czworaka, po czym schylił się i dotknął czołem gruntu. Nie miało to nic wspólnego z modlitwą, ale z wyrazem tęsknoty, szczęścia i radości. Doskonale go rozumiano, więc nie widziano w tym geście oznak destabilizacji czy słabości. Rzadko kiedy Kandrok odczuwali takie natężenie emocji, ale jeśli już się zdarzało, trwało to krótko. To samo było w przypadku Thino'paia, któremu pozwolono kontemplować w ciszy otoczenie, także ciesząc się z jego obecności.

– Odebrałem informację – zaczął znów mówić szef ochrony, gdy przybysz się podnosił – pochodzącą ze skanowania twojego osobliwego demo, że jesteś, kanda⁸, zaginionym fragment huva temu xepo z Yakiji. Chwała Niosącemu Światło, że przywrócił cię dla Kandrok! To dla nas wielka radość, że jednak żyjesz i udało ci się dotrzeć akurat na naszą nieważną planetę. Rozumiem, że nie zechcesz mi przekazać, ergrih, co było przyczyną twojego zniknięcia?

– Powiem jedynie, że trafiłem przypadkiem na odległą, dziką planetę i tyle czasu zajął mi powrót – odparł Thino'pai. Podwładni umen popatrzyli na jego statek, rozumiejąc już, czemu zawdzięcza tak dziwaczny, nieergonomiczny wygląd. – Zostałem odcięty od Źródła i Jedności, nie mogłem z nikim się skontaktować. Odpocznę i udam się na Macierz prosto do gerhy i mojego kolektywu, ale muszę najpierw zrobić parę rzeczy.

– Masz na pokładzie, ergrih, w podróbce kybro, stworzenie podobne do avora. Czy to ono podarowało ci demo? – Nie wytrzymał jeden z młodszych podwładnych szefa ochrony.

Skurczył się, gdy xepo spiorunował go wzrokiem. Ale Thino'pai odpowiedział:

– Tak. Wiozę je do gerhy. To odkryty przypadkiem przeze mnie nowy gatunek, który okazał się z nami kompatybilny. Musi jednak mieć płuca i oczy takie, jak avorowie, bo obecnie potrzebuje innego powietrza niż my, a światło, które tolerujemy, oślepi go. Chciałbym więc od razu go zmodyfikować.

Realnie wystarczyłoby, aby Hanako nosiła maskę oddechową i osłonę na oczy, ale Thino'pai liczył, że nikt mu tego nie wygarnie. Ta oto chwila była decydująca, czy jego pomysł nie okaże się klęską już na początku.

Umen na szczęście nie sprawiał problemów i nie kwestionował jego zamiarów. Raz, że miał przez sobą obecnie najwyższego stopniem avora na planecie, to jeszcze sławetnego dowódcę, który powrócił z martwych.

– Oczywiście, proszę za mną. – Wskazał brzydki budynek, kojarzący się z upadłą i obronioną wskutek długotrwałej erozji, kilometrowej długości asteroidą. Stał przy nim baon wielkich mechów oraz znacznie więcej robotów.

– Sam niedługo osobiście poinformuję gerhę i mój kolektyw, że żyję i znalazłem coś przydatnego – rzekł stanowczo Thino'pai na wypadek, gdyby któryś z obecnych tu avorów zechciał zrobić to wprzód zgodnie z procedurą. Wspomagając się wzmocnieniem wieży AMP, przekazał wiadomość przy pomocy neurocytu także do wszystkich avorów na Meera'bsidze odpowiedzialnych za łączność.

Podziękował w myślach Niosącemu Światło, że na razie wszystko szło tak łatwo.

Poszedł w towarzystwie Zo'yo do myjni i na szybki przegląd do technika medycznego, czego świadkiem było wielu zajmujących się nim avorów. Musiał zrobić to otwarcie i z własnej woli, by nie wzbudzać podejrzeń. Obawiał się wyniku diagnozy. Wprawdzie znaleziono w jego mózgu nowe połączenia neuronowe, ale zinterpretowano to, że powstały na skutek przebywania w obcym środowisku. Rozpoznano też zmiany wynikające z posiadania wahiriki. Nikt za to nie wykrył w Thino'paiu usterki, co mogło być związane z tym, że stosowane na Meera'bsidze metody diagnostyczne nie były tak rygorystyczne, jak na Macierzy.

Wrócił razem z zespołem naukowców do swojego statku. Przybyły z nimi ciężki robot wszedł przygarbiony na pokład, by zabrać kybro. Thino'pai pozwolił potem technikom odlecieć nowym nabytkiem do garażu, bo nie mogli się już doczekać, by zbadać ludzkie innowacje technologiczne.

Robot postawił kapsułę na ziemi. Kiedy jeden z medyków odsunął pokrywę karapaksu, nadal uśpioną Hanako otoczył wianuszek ciekawskich. Dziewczyna miała aktualnie dwadzieścia parę lat zgodnie z czasem, który upłynął na pokładzie statku, ale z powodu delikatnych rysów twarzy i drobnego ciała prawie w ogóle nie było widać zmian.

– To moja wahirika – zakomunikował ostro Thino'pai na wypadek, gdyby komuś przyszło do głowy, żeby jeszcze przed wizytą u gerhy przeprowadzić na dziewczynie zbyt śmiałe eksperymenty, grożące jej uszkodzeniem. – Bez niej mogłem umrzeć, a tak wykształciła się kurha – dodał, gdy wszystkie zdziwione oblicza skierowały się w jego stronę. – Zabierzcie ją do centrum medycznego, zmieńcie jej płuca i oczy, ale macie dziewczyny nie wybudzać. Zrobię to dopiero na Asephor' Cerotis.

Xepo zasunął na powrót osłonę. Robot znów wziął kybro pod ramię i zaczął kierować się do bramy budynku wskazanej przez głównego medyka zespołu. Stały przy niej imponujące, dziesięciometrowej wysokości mechy bojowe, chwilowo nie wykonujące żadnego zadania, ale zwykle używane do pilnowania nieraz całych kompanii sprowadzanych jeńców wojennych.

Zanim dotarli do punktu diagnostycznego, towarzyszący Thino'paiowi szef ochrony przekazał mu do neurocytu wszystko, co wydarzyło się podczas jego nieobecności. Okazało się, że wojna z Yakijanami została wygrana i ostatecznie zakończona, a lud ten absorbowano do nadkolektywu, by urozmaicić i wzmocnić armię Kandrok. Podczas mijania pomieszczeń o przezroczystych ścianach Thino'pai widział zresztą gdzieniegdzie w rzędach kybro scyborgizowanych, uśpionych Yakijan, gotowych do aktywacji.

Pierwszy dzień przeznaczono na zbadanie Hanako – zeskanowanie jej po ostatni atom i poznanie funkcjonowania jej organizmu. To pozwoliło wyhodować dla niej narządy.

– Ona ma sitri verako tikru wspólnego z nami materiału genetycznego! – zawołał jeden z zajmujących się dziewczyną avorów, co miało wydźwięk pogardy.

– Wiem, już to wcześniej odkryłem – oznajmił xepo bez entuzjazmu.

– To raczej dobrze – upomniał medyka kolega. – Będziemy mogli łatwiej tworzyć kolejnych Kandrok, jeśli udałoby się nam dostać do tego gatunku.

Nie pytano się Thino'paia o poziom rozwoju devoka – który to neologizm wymyślono na określenie ludzi – stan ich armii czy uzbrojenia, bo ta informacja była wprzód zarezerwowana dla dowódców z Asephor' Cerotis oraz gerhy. Xepo uznał, że dobrze zrobił, lądując akurat na tej planecie, gdzie miał swobodę działania.

Kolejnej doby miała się odbyć właściwa transformacja ciała Sahary.

Procedury medyczne u Kandrok odbywały się w sposób brutalny, co przyprawiało jeńców o cierpienie. Wielu z nich mdlało z bólu i utraty charakterystycznej dla danego gatunku posoki, jednak rzadko który umierał w trakcie trwania procesu przemiany. Hanako była więc rzadkim wyjątkiem i miała szczęście, że znajdowała się w stanie anabiozy.

– Zaczynajcie – wydał polecenie Thino'pai.

Z założonymi na piersi rękoma i Zo'yo wiszącym przy barku stał na diardukowym pomoście ponad stanowiskiem pracy czterech medyków. W pomieszczeniu zabiegowym działały bardzo jasne światła, zalewając je dominującym błękitem. Modyfikację ciała Hanako mógł przeprowadzić pojedynczy robot, ale avorowie nie chcieli przepuścić takiej okazji, by nie zająć się osobiście przedstawicielem obcego gatunku z kosmosu. Posprzeczano się, kto będzie pracować przy devoka, bo było wielu chętnych. Przegrani w tej sprzeczce stali teraz za osłonami, gapiąc się na kozetkę otoczoną sprzętem i medykami. Thino'pai uzmysłowił sobie, że z powodu licznej widowni może wyniknąć duży kłopot, ale chwilowo nie skupiał się na zaplanowanej czynności. Mógł wprawdzie wydać rozkaz grupie, aby sobie poszła, ale wówczas nasuwałoby się pytanie, dlaczego w nietajnym procederze nie pozwala avorom nacieszyć oczu. Zwłaszcza że taka sensacja rzadko zdarzała się na Meera'bsidze – dawno już nie odkryto w kosmosie nowej inteligencji.

Avorowie najpierw zajęli się oczami Hanako, wrywając je z oczodołów, by wymienić na wyhodowane. Zaingerowano uprzednio w całe unerwienie, układ hormonalny i odpornościowy, także nafaszerowano ciało specyfikami, które umożliwiały przeprowadzenie tak brutalnej operacji. Thino'pai obserwował

wszystko z chłodnym spokojem, podobne zabiegi widział setki tysięcy razy, znał również stuprocentową skuteczność zespołu.

Przy zabiegu wymiany płuc proceder wyglądał bardziej sadystycznie – krew zalała leżankę, medyków, sprzęt i podłogę. Pozbyto się organów dziewczyny i wstawiono nowe, wszystko na poziomie biologicznym, bez odnoszenia się do cyborgizacji.

Finalnie na życzenie Thino'paia odtworzono tkanki, by nie pozostały blizny, którymi Kandrok w ogóle się nie przejmowali.

Wszystko przebiegło szybko i sprawnie, mimo iż w kilka chwil zadrwiono sobie z setek milionów lat ewolucji; udowodniono, że Kandrok za nic mieli prawa przyrody. Dziewczyna wyglądała po operacji identycznie, jakby dopiero co wyjęto ją z kybro na statku. Kiedy się obudzi, nawet się nie zorientuje, że była w ogóle na Meera'bsidze, myślał xepo. Zacznie dopiero zadawać pytania, gdy odkryje, że może patrzeć w trionarne słońca Cerotis i oddychać tym samym co Kandrok powietrzem.

– Wynosić się wszyscy – zażądał. – Będę teraz potrzebował mojej wahiriki.

Taką informację rozumiano i zaakceptowano. Nie brzmiała podejrzenie. Korzystanie z lusu wahiriki uchodziło za sprawę intymną i jeśli avor zażyczył sobie, by nikogo nie było w pobliżu podczas procesu pożerania energii, szanowano jego prośbę.

Nie śledzono, co robi Thino'pai. Na czas, jakiego potrzebował, pomieszczenie zostało odcięte.

On tylko na to czekał.

Nie rozumiejąc do końca, co nim kieruje i jak może czynić coś przeciwko nadkolektywowi, wykorzystał sprzęt z pomieszczenia, by usunąć informacje na temat Zodiac Universum z kory kojarzeniowej Hanako. Pozostawił jej wszystkie wspomnienia, ale o położeniu kolonii czy ludzkich militariach nikt niczego się już nie dowie.

Sam nie musiał pozbywać się nabytej wiedzy. Gdyby nie trafił do Zodiac Universum i nie nabył tam unikalnych właściwości, nie potrafiłby jej ukryć przed gerhą. Thino'pai byłby dla jego potężnego umysłu niczym otwarta księga – jak mawiali ludzie. Ale przebywając wśród nich, nauczył się nie tylko sterować nimi przy użyciu entraserów, ale przy okazji, niezauważenie nawet dla gerhy, tuszować

zasoby swojej pamięci. Było to jedno z nieokreślonych połączeń neuronowych, które medycy uznali za kliniczne nieważne. Thino'pai nie miał nic do ukrycia jedynie przed Niosącym Światło.

Dzięki jego intrydze córka Anna Sandstorm nie zginie w przyszłości.

Na tym oto polegała usterka Thino'paia – potrafił naginać zasady kierującego nim programu. Devoka określiłaby to opluwaną, znienawidzoną przez Kandrok wolną wolą.

Kiedy skończył, miał napad agresji. Demolował pomieszczenie, walił w ścianę, kopał przedmioty. Stał się rozszczepiony.

– Co się dzieje? – zapytał ktoś zza drzwi.

– Wszystko w porządku – odburknął.

I to nie wzbudziło podejrzeń, wybuchy gniewu xepo Thino'paia były bowiem powszechnie znane.

* * *

Thino'pai kazał umieścić Saharę tym razem w prawdziwym kybro i przenieść na kandrocki okręt, którym miał odbyć podróż prosto na Asephor' Cerotis. Poza załogą przydzielono mu też dwóch umen.

Siedzący na mostku xepo obserwował z zadowoleniem start majestatycznego okrętu, który nie był już skażony prymitywną kiritiańską technologią. Towarzyszyła mu mieszana eskadra likwidatorów i destruktorów. Patrząc przez osłonę na gigantyczny okrąg pomarańczowego olbrzyma, Thino'pai popijał kunhikar wytworzony z odrzuconych w procesie selekcji ciał Yakijan.

Cokolwiek zaszło w centrum medycznym, odeszło już w zapomnienie. Znów się czuł jak prawdziwy avor, dumny ze swego pochodzenia i dziedzictwa. Gotowy niszczyć i zabijać. Liczył, że gdy dotrze na Asephor' Cerotis, gerha wyśle go do dowodzenia na kolejną kampanię wojenną, za którą jakże się stęsknił. Przez ostatnie lata liczone w ludzkich jednostkach czasu walczył jedynie z dzikusami z puszczy, co było równie satysfakcjonujące, jak rozdeptywanie grudki piasku.

* * *

Hanako oczywiście zirytowała się i przeraziła faktem, że bez jej wiedzy zaingerowano w jej organizm. Wszystko to było dla niej, przybyszki z małego, spokojnego miasteczka, trudną do zaakceptowania, straszliwą nowością, zwłaszcza jej zmieniony wiek. Jakby zawsze pływała łódką po stawie, a nagle ocknęła się gdzieś na bezkresnym oceanie.

Thino'pai postanowił rozbudzić ją kilkaset tysięcy kilometrów od powierzchni Asephor' Cerotis, by zdążyła jeszcze zobaczyć planetę i oświetlające ją w pełnym majestacie trzy słońca, a także zrozumiała potęgę świata, do którego przybyła.

– To było konieczne, byś mogła funkcjonować na tej planecie – oznajmił kojąco, gdy byli we dwoje w kubryku okrętu. – Być może zajdzie jeszcze potrzeba wprowadzenia zmian w twojej skórze, choć ochronę powinna zapewnić ci atmosfera.

– Daliście mi też neurocyt?!

– Nie. Jesteś w pełni organiczna, jak byłaś.

Dziewczyna czuła się świetnie i całkowicie zwyczajnie, ostatecznie więc uznała, że powinna się uspokoić i pogodzić z tym, że ma teraz ciało dostosowane do przebywania w nowych warunkach. Przed udaniem się w podróż z Thino'paiem miała świadomość, że przyjdzie jej zmierzyć się z szeregiem drastycznych zmian, ale wówczas była to jedynie nieabsorbująca zbyt umysłu myśl. Coś abstrakcyjnego z przyszłości, nieważne na bieżącą chwilę. W sumie jedyną widoczną zmianę dało się znieść – miała teraz zielone tęczówki. Nie chciała już dociekać, czy to wynikało z braku drobiazgowości avorów – którzy byli kompletnie pozbawieni zmysłu estetycznego i nie przywiązywali wagi do spraw cielesnych – czy miało to jakieś znaczenie funkcjonalne. Przynajmniej otrzymała oczy podobne do Anny, co na pewno będzie Hanako ją przypominać.

Kiedy przestała już utrzymywać między sobą a Thino'paiem największy możliwy dystans, na jaki pozwalał kubryk, dała się mu wytrzeć z płynów półorganicznych. Musiała założyć lekką, elastyczną zbroję w barwach kolektywu Sharraxa. Z wyglądu i dotyku trochę przypominała dwuczęściowy uniform. Takie odzienie w „wersji cywilnej”, jak określił je cyborg, nosiła niecybernetyczna, żeńska część społeczności Kandrok, zwykle mająca zajęcia w fabrykach. Zaczepił jej ponadto na nadgarstku bransoletę-identyfikator – teraz nawet gdy Hanako się zgubi, nikt jej nic nie zrobi, bo będzie wiedział, że jest wahiriką xepo Thino'paia.

Kubryk znajdował się w centrum okrętu i był pozbawiony iluminatorów, Thino'pai użył jednak swojego neurocytu, aby zmienić charakter ścian poza tą z wyjściem, i przekształcił je w punkty widokowe. Jakkolwiek to działało, Hanako mogła teraz oglądać kosmos, jakby znajdowała się na mostku.

Chociaż została poinformowana, że Kandrok osiedlają się w pobliżu wielkich gwiazd, zastany widok i tak zapierał dech w piersi.

Asephor' Cerotis rzeczywiście leżała w trionarnym optycznym układzie. Głównym dostawcą energii był błękitny nadolbrzym, w oddaleniu znajdowały się dwa żółte olbrzymy, z poziomu biosfery globu muszące wyglądać jak księżycy w pełni. Podczas ruchów planetarnych na powierzchnię Asephor' Cerotis stale padało światło którejś gwiazdy, przez co w żadnej jej strefie nigdy nie zapadał totalny zmrok, choć pory nocne były ciemniejsze niż dzienne. Podczas zwiększonej aktywności gwiazd w atmosferze planety Kandrok rozpylali substancję zwaną w ich języku kragoh griroka, blokującą dopływ promieniowania, zapobiegawczo też przechodzili do podziemnych kompleksów. Kiedy warunki zmieniały się znów na dogodne do funkcjonowania, kragoh griroka sedymentowała.

Hanako mogła swobodnie patrzeć na te gwiazdy, zwłaszcza na jasnego nadolbrzyma.

Sama planeta, obecna Macierz Kandrok, gdzie przebywał gerha, była gęstsza i masywniejsza od Calcaris, miała też znacznie większe ciężenie. Pierwotnie należała do innego inteligentnego gatunku opierającego swoją cywilizację o układ trionarny, został on jednak eksterminowany przez avorów. Z kosmosu planeta miała barwę jasnobrażowo-pomarańczową. Jej naturalnie rzadka atmosfera, w której wyewoluował rodzimy gatunek, została zagęszczona przez Kandrok pod ich potrzeby; zwiększyło się także ciśnienie. Roczne temperatury wahały się od piętnastu do siedemdziesięciu pięciu stopni Celsjusza. Była to planeta jałowa, poza Kandrok pozbawiona innego życia, nawet bakterii, z dużą ilością piasków i skał. Dominowały na niej płaskie tereny, góry natomiast bywały imponujące – najwyższe szczyty sięgały siedemdziesięciu kilometrów.

Eskadra towarzysząca razem z okrętem weszły w atmosferę Cerotis. Neurosfera stała się już widoczna nawet dla Hanako – zdawała się cienką warstewką szarej mgły. Dla kogoś niemającego pojęcia o jej istnieniu byłaby łatwa do pomylenia ze

smogiem zawieszonym na nienaturalnej wysokości. Thino'pai miał obawy związane z przejściem przez tę strefę infiltrującą, ignorującą klatkę Faradaya, w efekcie czego przebijała się nawet przez pancerze kandrockich okrętów. Pozwalała tym sposobem rozpoznać uszkodzone jednostki wchodzące na główną planetę czy ją opuszczające, w tym buntowników. Cyborg liczył mimo wszystko, że zostanie przepuszczony, skoro jego wada nie posiadała specyfikacji.

Pomylił się.

Ośłona planety była zbyt doskonała. Sprzężone z nią algorytmy potrafiły opracować nieskończoną ilość scenariuszy.

Kiedy załoga znalazła się w zasięgu działania bariery, Thino'paia przeszył potężny impuls mający źródło w głowie, aż krzyknął z bólu.

Zdążył pomyśleć, że Niosący Światło zdecydował się go ukarać za straszliwą próbę oszustwa – i słusznie – nim pozbawiony przytomności zwałił się z łomotem na posadzkę mostka.

* * *

Dzięki implantom Thino'pai ocknął się w pełni funkcjonalny i nie musiał stopniowo dochodzić do siebie niczym całkowicie biologiczna jednostka. Do jego stanu przyczyniły się ponadto dwie kobiety yakijańskiego pochodzenia, które przywróciły mu maksimum sprawności i energii. Usiadł więc na leżance, nie odczuwając żadnych powikłań. Jego pancerz znajdował się w rogu niewielkiego, szeregowego pomieszczenia. Avor ustalił po jaskrawym oświetleniu, dźwiękach tła i wyposażeniu, że znajduje się w komórce hali centrum diagnostycznego. Nad jego głową sterczał odsunięty wklęsły talerz służący do diagnozy neurocytów.

– Gdzie ja jestem? – zapytał bliżej stojącą cyborginię.

– Przeniesiono cię, xepo Thino'paiu, do Madaxy – odparła. – Można już odłączyć kapilary – dodała, widząc, że pacjent sięga ręką do powbijanych i doczepionych przyrządów, by pozbyć się ich z ciała.

Nie czekając na uruchomienie maszyny usuwającej inwazyjny sprzęt, Thino'pai pozbył się go samodzielnie. Chciał porozmawiać z kobietami, ale akurat opuściły boks, ściągnięte do innego punktu. Ich miejsce zajął doskonale mu znany członek z jego kolektynu Sharraxa – umen Rei'than. Nie licząc neurocytu w jego głowie,

był to avor w pełni organiczny. Nosił opancerzenie odpowiadające swojej randze – o barwie morskiej z czarnymi detalami. Od czubka wygolonej po bokach głowy aż do jego pasa ciągnęło się pasmo białych jak skóra Rei'thana włosów. Oczy miał bursztynowożółte. Towarzyszący mu latający leberiks przypominał Zo'yo.

Thino'pai ogarnęła radość, gdy wreszcie od tak dawna ujrzał kogoś ze swojego kolektywu. Wymienili pozdrowienia, ale zanim rozpoczęli rozmowę, xepo posłał komunikat Rei'thanowi, aby podszedł bliżej. Wówczas obaj zetknęli się czołami w geście powitania i „bliźniaczych neurocytów”.

– Czemu przysłali akurat umen? – zapytał Thino'pai, siedząc na krawędzi leżanki, tak że czubkami stóp dotykał posadzki.

– Chwilowo tylko ja byłem dostępny w Madaxie – odparł Rei'than, jak zawsze trochę się garbiąc. W połączeniu z chropawym głosem, zwykle brzmiącym, jakby ironizował, można było odnieść wrażenie, że stale coś knuje albo nabija się z rozmówcy.

– Czyli jesteśmy w metropolii centralnej. Co się ze mną stało?

– Neurosfera uznała cię, ergrih, za wadliwą jednostkę, dlatego zostałeś porażony i obezwładniony. Załoga demo sprowadziła cię do centrum na polecenie samego gerhy.

Lekko zdenerwowany, że jego intryga stała się zapewne powszechnie jawna, Thino'pai nie pomyślał od razu, że sam może przecież sprawdzić swoją diagnozę. Połączył się zdalnie z urządzeniem o kształcie geoidy, stojącym obok jego stanowiska. Uzyskał specyfikację swojego przypadku, z finałowym werdyktem, że aktualnie jest w pełni sprawny.

Szczegóły dopowiedział mu już Rei'than, któremu kazano czuwać przy xepo:

– Twój przypadek, ergrih, okazał się pierwszy w historii, bo nigdy jeszcze nie zdarzyło się, by pojedynczy avor przebywał poza nadkolektywem aż fragment huva. W twoim mózgu zaszły drobne zmiany organiczne, ale nie patologiczne, spowodowane odcięciem od Źródła i Jedności. Czują neurosfera je wykryła, bo neurocyt powiązany jest silnie z układem nerwowym. Nie posiadała jednak wzorca postępowania, skorzystała więc zapobiegawczo z zaprogramowanej procedury. Ot, cały incydent. – Avor rozłożył ręce. – Na szczęście nic się nie stało, kanda.

- A dane pamięciowe? - Thino'pai musiał się pilnować, aby pytanie nie zabrzmiało nerwowo. Zsunął się z leżanki i stanął przed umen, znacznie górując nad nim wzrostem.

- Pobrane, dysponuje nimi gerha. Tylko tyle wiem. Na razie nie podzielił się z nikim więcej swoją historią.

Thino'pai przeklął w orhadzie, przeszedł na skraj boku. Oto wszelkie jego starania poszły na próżno. Gerha znał jego tajemnicę, a co gorsza - wiedział, że jego postępowanie wynikało z powiązania emocjonalnego z Hanako i Anną, które były devoka.

Odruchowo chciał przywołać wspomnienia dotyczące Zodiac Universum - i uświadomił sobie, że nic nie pamięta!

Jedynie pamiętał wszystko, czego doświadczył osobiście, przebywając z dziewczyną, ale i tu pojawiły się luki. Czyli musiano zrobić mu kasację, wprzód pobrawszy cenne informacje dotyczące nowo odkrytego gatunku i jego siedliska. To akurat była standardowa procedura, co go trochę uspokoiło. Każdemu Kandrok co pewien czas czyszczono pamięć, bo wspomnienia mogły spowodować destabilizację i zaśmiecały pamięć, niczemu nie służyły. Nie miało to jednocześnie wpływu na nabyte doświadczenia, polegające na niepopelnianiu tych samych błędów w przyszłości.

Skoro gerha wiedział już wszystko, rozważał Thino'pai, to dlaczego go jeszcze, w najlepszym przypadku, nie wyczyszczono do ustawień pierwotnych, a w najgorszym nie zlikwidowano za konspirację i indywidualizm? Ten ostatni ostro tępiono wśród Kandrok, zawsze prowadził bowiem do chaosu i był objawem arogancji. Zbrodnią na starannie opracowanym systemie zbiorowym. Należało niszczyć go w zarodku.

Rozważania te zajęły mu ułamek sekundy, więc Rei'than nie zauważył, że xepo zmaga się z myślami.

- Gdzie mój leberiks? - Thino'pai zaczął zakładać elementy zbroi.

- Zostawiliśmy go razem z devoka.

Xepo wyprostował się i zapytał chłodno:

- Gdzie ona jest?

- To twoja wahirika, tak? Kazano mi się nią zająć. Nie wiedziałem, co z nią zrobić, więc zamknąłem ją w celi. W sumie też mógłbym taką mieć...

– Co zrobiłeś? – Thino'pai wykonał krok w jego stronę, a Rei'than się cofnął. Jego leberiks nastroszył odnóża, co dodało mu złudnej masy. Odleciał trochę do tyłu, gdy xepo spojrział nań groźnie. – Też chcesz celę? To da się załatwić.

– Nie, mówiłem, że masz ciekawą wahirikę. Nic jej nie jest – odparł pośpiesznie Rei'than, gestykułując. – Ma wodę i żywność. Wiedzieliśmy wprzód, co jej dać, dzięki badaniu, które przysłano nam z Meera'bsigi, bo nie można kompletnie się z nią dogadać. Obcy gatunek, obcy język. Zna tylko parę naszych słów. I jak mówiłem, kanda, towarzyszy jej twój Zo'yo. Gerha i wyżsi ergrih oczekują cię w kolektyworacie, skoro już doszedłeś do siebie.

– Otrzymałem właśnie taki sam przekaz. Prowadź więc – nakazał xepo.

* * *

Hanako umieszczono w jednej z cel, których szeregi służyły do przetrzymywania więźniów przed procesem selekcji. Klawisze zostawili jej wodę w jednym z pojemników, do drugiego wrzucili strzępy mięsa, będące odpadami po cyborgizacji, co wywołało u dziewczyny odruch wymiotny. Do tego doszły silny stres, stałe patrzenie na nią przez przechodzących Kandrok, wszechobecny zapach posoki i walające się wszędzie odpady organiczne, co wyglądało, jakby rzucono granat w kampanię nagich żołnierzy. Nie mogło się to zakończyć niczym innym, jak zwymiotowaniem na posadzkę; gdyby Thino'pai nie uleczył Hanako, miałaby teraz czkawkę swojego życia. Przypomniła sobie jego słowa, że ponoć u Kandrok wszystko było jałowe, nie znali wirusów i bakterii, i pewnie dlatego pojęcia „dbanie o higienę przemysłową” czy „zasady BHP” tu nie funkcjonowały. Jedynie obecność Zo'yo, którego zostawiono jej do towarzystwa, i świadomość, że bransoleta na nadgarstku w pewnym stopniu chroni ją przed głębszą „gościnnością” Kandrok pracujących w hali więziennej, nie doprowadziły Sahary do szaleństwa.

Nastrój natychmiast jej się poprawił, gdy zjawił się Thino'pai, cały i zdrowy. Towarzyszył mu ten sam avor, który wszedł na mostek osadzonego już okrętu po tym, jak roboty zabrały nieprzytomnego xepo, a ją samą uśpił, przykładając jej coś do głowy. Dziewczyna ocknęła się już w tym straszliwym piekle.

Thino'pai rozkazał klawiszowi uwolnić ją z celi.

Bardzo by chciała znaleźć się w jego ramionach, ale z trudem się wstrzymała. Nie znała tutejszych norm behawioralnych i mogła zaszkodzić Thino'paiowi, zarówno jako dowódcy z wysokim stanowiskiem, jak i członkowi społeczności. Skinęła mu więc w podziękowaniu głową, co skwitował tak samo.

– Macie szczęście, że nic jej nie jest – warknął Thino'pai do Rei'thana i stojących w pobliżu strażników. – To moja wahirika, dzięki której udało mi się przeżyć – dodał, by z pierwszej wypowiedzi nie wywnioskowali, że między nim a Hanako zadzierzgnęły się jakieś komitywy. Tymczasem honor i spłacanie długów stały wysoko w kandrockich priorytetach społecznych. – Musimy oboje stawić się przed gerhą – rzekł do dziewczyny po kiritaińsku.

– Czy jest coś, co powinnam wiedzieć?

– Po prostu trzymaj się blisko mnie, to wszystko. Będę mówił.

Hanako, Thino'pai, Rei'than i dwa leberiksy opuścili teren więzienia, ku wielkiej uldze tej pierwszej, przerażonej rozgrywanymi się wokół okropnościami. Chociaż widziała dopiero niewielki skrawek kandrockiego świata, akurat od najgorszej strony, zaczynała mieć coraz większe wątpliwości odnośnie do podjętej naprędce decyzji, podchodzącej pod eskapizm.

Na zewnątrz przywitała ich gorąca kula błękitnego nadolbrzyma wiszącego w zenicie. Gdyby Hanako nie zmieniono oczu, musiałyby oglądać Madaxę przy silnych filtrach, za to wyraźnie odczuwała ciepło potężnej gwiazdy. Popatrzyła na towarzyszy. U avorów z całkowicie białą karnacją, jak w przypadku Rei'thana i Thino'paia, sprawa wyglądała inaczej niż u jasnoskórych ludzi – ich gruba skóra była niepodatna na opalanie, zawierała związki chemiczne chroniące ją przed promieniowaniem silnych gwiazd. Kandrok uznali zapewne, że Hanako nie należy modyfikować pod tym względem, o czym zresztą informował ją Thino'pai. Nadolbrzym jej nie zaszkodzi, ale będzie musiała przyzwyczać się do gorąca jego czy innych wielkich, podobnych mu gwiazd, jeśli nie zostanie na tej planecie.

Wszędzie było światło – tak można by w skrócie opisać dominującą cechę Madaxy. Dziewczyna ledwo zdołała się oswoić z większym niż znane jej ciążenie planety, a już została zaatakowana dziesiątkami, jeśli nie setkami zaintrygowanych, ciekawskich spojrzeń. Nie brakowało oczywiście tych nienawistnych i najgorszych ze wszystkich – cynicznie głodnych, jakby tylko czekano na nieuwagę Thino'paia, by móc skrzywdzić dziewczynę w zabawie podyktowanej dziką satysfakcją. Cyborg

poinstruował ją, by nie spuszczała wzroku, co u Kandrok oznaczało proszenie się o kłopoty z powodu oznak słabości i uległości, jednak Sahara nie była w stanie patrzeć tym istotom wyzywająco, a zarazem łagodnie w oczy. Zwłaszcza że te oczy wyglądały strasznie – miały spektra kolorów piekieł, przynajmniej u avorów, a bardzo drobne źrenice jedynie potęgowały ich demoniczny charakter. Dziewczynie udało się pójść na kompromis i patrzeć na ramię idącego przez nią Thino'paia, jej jedynej ostoji bezpieczeństwa na tej osobliwej planecie.

Musiała przyznać, że pod względem pluralizmu Kandrok stanowili ciekawą społeczność. Uznawali za swojego każdego humanoida z innego gatunku, o ile był wyposażony w neurocyt. Nie mogła nie porównać ich do ludzi, którzy pod względem ksenofobii czy rasizmu pozostali niezmienni od początku swojego istnienia. Próbowano im nieraz w historii siłą narzucić tolerancję, ale nigdy nie uzyskano pożądanego złotego środka – zawsze kończyło się to radykalizmem, gdy któraś strona szalki przechylała się za bardzo.

Wiedząc, że Kandrok są znacznie bardziej rozwinięci cywilizacyjnie od ludzi, Hanako spodziewała się ujrzeć w ich świecie niewyobrażalne cuda. Tymczasem płaty jałowej, piaszczysto-skalnej powierzchni zajmowały wyłącznie ośrodki industrialne i militarne. Jak dowiedziała się od Thino'paia, starającego się rozmową zgładzić jej zdenerwowanie, Asephor' Cerotis była jednym wielkim zbiorowiskiem fabryk wszelkiego rodzaju, przetwórci energetycznych, wież, biocentrów, centrów medycznych, hangarów, lądowisk, magazynów i masy innych surowych, wielkich, kanciastych budynków, którym dziewczyna nie potrafiła przypisać przeznaczenia. A i w kwestii rozpoznanych mogła się mylić. Gdzie nie spojrzała, widziała wiele odmian dronów, w niektórych strumieniach powietrznych było od nich gęsto jak w przypadku roju szarańczy. Na lądzie szczególnie rzucały się w oczy mechy bojowe i przemysłowe. Ogólnie robotów było kilkukrotnie więcej niż żywych Kandrok.

Ci ostatni nie znali pieniądza, handlu czy polityki, z nikim nie byli w układach. Religia opierała się na wierze w Niosącego Światło, co miało charakter umysłowy i zbiorowy, a zarazem swoisty dla jednostki, przez co dla uzewnętrznionego Światła jako bóstwa nie stawiano świątyń. Było to ogólnie społeczeństwo murmuracyjne, bardzo proste, praktycznie wolne od emocji – tu dominował gloryfikowany gniew – i potrzeb hedonistycznych, przez co funkcjonujące

perfekcyjnie. Niecierpiące, niewiele myślące (co nie wiązało się z intelektem) i niesłychanie okrutne. Ewidentnie stało w sprzeczności z ludzkim wyobrażeniem inteligentnych kosmitów.

Dojście na miejsce nie zajęło im dużo czasu.

Budynek zarządzania zwany kolektyworatem był gigantyczny, dosłownie sięgał chmur, w tej chwili rzadko pokrywających bladokremowe niebo. Wydawał się amalgamem złotych i ciemnobrunatnych brył przetkanych punkcikami i żyłkami światła. Latało przy nim, niczym pszczoły przy kwitnącym drzewie, sporo dronów konserwacyjnych. Obok bramy stało kilku Elitarnych w złoto-pomarańczowych pancerzach – członków pozaklasowego, uprzywilejowanego kolektywu przybocznego gerhy. Byli jednocześnie kadrą zarządzającą, znajdującą się ponad szczytowymi dowódcami. Składali się wyłącznie z Wyzwolonych i cyborgów wyższego rzędu i nie mógł się nimi stać nikt poza avorami.

Rei'than ruszył ku swoim sprawom; do Thino'paia i Hanako przyłączyła się trójka Elitarnych.

Wnętrze kompleksu w niczym nie przypominało architektonicznie tworów ludzkich. Nie dbano w nim o estetykę czy symetrię, ale stawiano na solidność i funkcjonalność, mające odzwierciedlenie w surowym charakterze pomieszczeń, skrzyżowań i korytarzy, choć okraszonych intensywnym światłem.

Grupa dotarła pod wielodzielne drzwi sali audiencyjnej gerhy. Po ich przekroczeniu Hanako ujrzała rozlokowane w pomieszczeniu o skośnych ścianach kolumny wykonane z substancji przypominającej organiczną, które na pewno były nieznanymi jej urządzeniami. W wystroju dominowały kuliste i kolczaste struktury. Oświetlenie pochodziło głównie z zawieszonych w powietrzu dronów. Strop maskowała poruszająca się mgiełka.

Elitarni weszli z nimi do środka, po czym dołączyli do wartujących przy drzwiach towarzyszy.

Thino'paia przywitano niczym bohatera: szedł szpalerem avorów z różnych kolektywów, tkwiących nieruchomo z pięściami uniesionymi na wysokości głowy.

Przed centralnym siedziskiem stał sam władca nadkolektywu, istota rzadko widziana przez Kandrok niższych rangą niż Elitarni, koordynatorzy wojenni lyh oraz dowódcy floty troh. Paru ostatnich stało na podeście, ze wzrokiem wbitym

w Thino'paia, choć większą atrakcję niż zaginiony i odzyskany xepo stanowiła jego kuriozalna towarzyszką.

Na Hanako gerha zrobił większe wrażenie, niż się spodziewała po wysłuchaniu wcześniej jego okrojonego opisu. Czuła jednocześnie strach, podziw i fascynację. Chociaż miał w pełni sztuczne ciało – zgodnie z normą, że każdy gerha to Wyzwolony – wyglądał jak śnieżnoskóry avor z irokezem, twarzą o drobnych rysach i intensywnie błękitnych, wręcz świetlistych oczach, który to kolor był rzadką cechą fenotypową gatunku. Z wyglądu przypominał leptosomicznego mężczyznę w młodym wieku, jedynie te oczy były bardzo stare, pełne powagi, łagodności – jak Hanako się wydawało – wyrozumiałości oraz jowialności. Thino'pai mówił jej zresztą, że ich władca jest leciwy. Ciekawiło ją, jak to może się objawiać, skoro Wyzwoleni jako maszyny nie mogli się starzeć. Wystarczyło im zmieniać komponenty. Czyżby chodziło o orhadę, będącą kandrockim odpowiednikiem duszy? Postanowiła dopytać się kiedyś xepo o szczegóły.

Gdy doszli do końca szpaleru, avorowie opuścili ręce.

– Gerho. – Xepo przyklęknął na kolano i schylił głowę. Zmieszana dziewczyna stała sztywno za nim, obok wiszącego Zo'yo.

– Tanagri varoth, xepo Thino'pai – przywitał się gerha, lekko rozchylając ramiona. Głos miał głęboki, niskiej tonacji, ale łagodny niczym jego spojrzenie. – Wstań, przyjacielu. Cieszę się, że wreszcie mogę cię widzieć osobiście. Wróciłeś z martwych, do tego przyprowadziłeś cenną zdobycz. – Spojrzał na Hanako, która na moment wstrzymała oddech.

Thino'pai się podniósł. Przywitał się poprzez przekaz neurocytowy z resztą oligarchów, którzy także bezgłośnie pogratulowali mu udanego powrotu na Macierz.

– Ja również niezmiernie się cieszę – odparł władcy – że udało mi się wrócić do nadkolektywu. Mój umysł wreszcie zaznał utęsknionego, potrzebnego spokoju. Uczyniłem z tej oto devoka – wskazał ramieniem towarzyszkę – swoją wahirikę, gdyż pomogła mi się uleczyć i odnaleźć tych, którzy zbudowali mój demo. Stanowi też dowód na to, że w kosmosie istnieje kolejny gatunek nam podobny, o którym nie mieliśmy pojęcia.

Gerha przytaknął parę razy głową.

– Złe zawsze ma jakąś dobrą stronę. Nie odkryłbyś tych istot, gdyby nie twoja przypadkowa peregrynacja spowodowana działalnością wroga. Informacje o Hanako przekazano mi już z Meera’bsigi. Spełnia nasze kryteria.

Thino’pai popatrzał nań z lekkim niepokojem. Władca uśmiechnął się kojąco, unosząc dłoń. Na stojącej cicho, nierozumiejącej przebiegu rozmowy Hanako zrobił nawet dobre wrażenie. Podświadomie spodziewała się bowiem zobaczyć archetyp spasionego, obleśnego, starego tyra na poniżającego swoich podwładnych.

– Nie obawiaj się, xepo – rzekł kojąco gerha. – Nikt inny jak władca nadkolektywu nie zna lepiej właściwości wahiriki. Devoka będzie mogła z tobą zostać.

Thino’pai z wdzięcznością skinął głową.

– Jeśli chodzi o ciebie – kontynuował Wyzwolony – niestety neurosfera przypiekła twój neurocyt, przez co straciliśmy wiele cennych informacji o odkrytym przez ciebie gatunku. Dziewczyna wie coś jedynie o prymitywnym środowisku, w którym się wychowała. Statek, który skleciłeś, aby wrócić do domu, także niewiele nam mówi o poziomie tamtejszej cywilizacji, bo skonstruowałeś go pod kandrocką modłę.

Xepo nie dał poznać zgromadzonym w pomieszczeniu, jak bardzo ucieszyła go ta przemowa. Sam nie spodziewał się po sobie tak intensywnej reakcji, co było dlań nowością. Nabyta przez niego usterka okazała się nienaprawialna, możliwe że dlatego, iż nie miała swojego wzorca – żaden avor nie żywił dotąd uczuć do devoka! Podziękował Niosącemu Światło, że z tylko sobie znanych powodów zechciał jednak mu sprzyjać. Ale ceną będzie permanentne poczucie winy w stosunku do nadkolektywu.

– Też nad tym bardzo ubolewam. Chciałbym to jakoś naprawić.

Gerha podszedł do Hanako; był wyższy od niej ponad pół metra. Wzdrygnęła się, gdy umieścił dłoń na jej głowie i zaczął ją gładzić, aż po podbródek. Unosił ręce dziewczyny, pukał dość mocno w plecy, oglądał od stóp do głów niczym krowę na targu.

– W trakcie twojej nieobecności, xepo, nam również udało się odkryć nowy gatunek avorokształtnych. Walka z nimi to czysta przyjemność, bo są dopiero na etapie wynajdowania napędu rakietowego. Posiadają także niewolniczą naturę. Łatwo ich wytresować. To dobry materiał na szpiegów czy rzekomych uchodźców.

– Puściwszy włosy Hanako, gerha znów skupił się na Thino'paiu. – Możemy wysłać ich w przyszłości do tego Zodiac Universum chociażby jako fałszywych migrantów wojennych. Sondy, które wybadają na nowo i niesłuchanie szczegółowo odwiedzone przez ciebie obszary. Wybadają poziom technologiczny naszego nowego wroga. Może też wprowadzą wśród niego trochę zamieszania. Potrzebuję jednak kogoś, kto poprowadziłby przeciwko nim kampanię.

– Jestem, gerho, na twoje usługi – odrzekł Thino'pai. – Potraktuj to jako zadośćuczynienie za moją niekompetencję.

– Honorowy jak zawsze. Za bardzo się przejmujesz. To był przypadek i nie twoja wina. Niemniej pomoc takiego xepo jak ty będzie nieoceniona.

– Co stanie się z Hanako? – zapytał Thino'pai.

– Zostanie tutaj, bezpieczna. Stworzymy jej środowisko, w którym będzie czuć się komfortowo.

– Dostanie neurocyt?

– Jest całkowicie nieszkodliwa, to nie będzie konieczne.

– Jak długo może potrwać ta kampania?

– Niewiele. Nie musisz się zatem martwić, że w Hanako zajdą istotne zmiany spowodowane nagromadzeniem się błędów w czasie. Myślę, że to wszystko, xepo Thino'paiu. Możesz odejść ze swoją wahiriką i odpocząć.

* * *

Okrutny, bezwzględny, skuteczny, stawiający nadkolektyw ponad wszystko, gotowy do działania mimo przeżytej traumy. Będzie z niego świetny materiał na mojego zastępcę, myślał gerha, gdy Thino'pai z Hanako opuszczali salę audiencyjną. A myśl ta sprawiła mu sporą przyjemność, aż uśmiechnął się półgębkiem.

* * *

– I co? – zapytała Thino'paia zaniepokojona, zniecierpliwiona dziewczyna, gdy opuścili budynek kolektyworatu dopiero godzinę po zakończeniu rozmowy

z gerhą. Oligarchowie z sali audiencyjnej postanowili jeszcze pooglądać ją szczegółowo – ale bez skanowania – jak championa na wystawie.

– Wyślą mnie na wojnę, ale jest dobrze. Będziesz mogła tu przeczekać, nie zostaniesz więcej zmodyfikowana.

Przystanęli w oddaleniu od wejścia, w cieniu budynku.

– Odlatujesz do Zodiac Universum?

– Na razie do walk z innym ludem. Kwestia twojego gatunku jest odroczone w czasie.

– Ile cię nie będzie?

– Gerha twierdził, że potrwa to krótko.

– Ale wiesz: wasze krótko może oznaczać sto lat. Dla ludzi krótko to kilka tygodni, może miesiące.

– Na pewno wrócę jeszcze za twojego życia – zażartował Thino'pai. – Ale i na twoje zmiany w czasie wiele mógłbym poradzić, by zachować cię w takiej formie. Naturalnie jeśli wyrazisz na to zgodę. Kandrok są ekspertami od modyfikacji ciał i ingerencji w procesy życiowe gatunków humanoidalnych.

– Na razie wolałabym bez kolejnych zmian. I tak jest ich dla mnie za dużo.

Hanako zaczęła w pełni odczuwać, jak wielu rzeczy nie przemyślała, decydując się na podróż z Thino'paiem. Zawiniły jej ignorancja oraz brak wyobraźni, ale przede wszystkim nie była w stanie ekstrapolować wielu zjawisk, nie posiadając wiedzy na temat Kandrok. A przyzwyczajony do wymiany informacji przez neurocyt Thino'pai nie zaliczał się do miłośników długich dyskusji. Przede wszystkim nie wzięła pod uwagę tego, że był żołnierzem, co musiało wiązać się z rozłąką. Podobnie miałyby w sumie z Krystianem, gdyby to z nim zdecydowała się związać. O ile nie przystałaby na rebeliancką profesję, zapewne pozostawałaby często sama z Anną. Ale co innego czekać na partnera wśród swoich, a... jak daleko i gdzie w ogóle znajdował się jej gatunek? Nie pamiętała tego z jakiegoś powodu. Jedynie tyle, że skolonizowany obszar nazywał się Zodiac Universum. W każdym razie rozłąka z Thino'paiem oznaczała, że będzie musiała żyć bez ochrony wśród obcych, groźnych Kandrok i ich maszyn, mając za gwarancję swojego bezpieczeństwa słowa xepo i bransoletę na nadgarstku.

Kolejna sprawa to ogólnie ich związek, chyba najdziwniejszy w całym kosmosie. Co oznaczał właściwie status wahiriki na Asephor' Cerotis? Jak ktoś taki był tu

postrzegany? Jako popychadło i niewolnik, czy może traktowano go na wzór bóstwa, zwłaszcza że należał do avora z wysokim stanowiskiem? Hanako nakręciła się jeszcze bardziej i pomyślała o pewnej historycznej nacji Indian, którzy z ofiary czynili bóstwo na rok, by po tym czasie okrutnie ją zabić. Przyszłość wahiriki w sumie wyglądała podobnie. Jak długo Thino'pai pozwoli jej żyć? Czy dane jej będzie wybrać datę końca z jego ręki? Będą mogli w ogóle zachowywać się wśród Kandrok jak chłopak z dziewczyną? Thino'pai zostałby za to potępiony.

Tyle ślepych zaułków, tak mało odpowiedzi. Wszystko wydawało się takie nierealne. Czuła, że puchnie jej głowa.

– Gdzie ty w ogóle mieszkasz? – zapytała. – Nie widziałam w Madaxie czegoś na kształt domów.

– Nie mam mieszkania, śpiam na fermie kybro.

Hanako przetarła dłońmi twarz, po czym z westchnięciem spojrzała na stale towarzyszącego im Zo'yo.

– Coraz lepiej...

Przechodzili obok nich kolejni Kandrok i każdy się na nią gapił. Natychmiast przestawali, gdy Thino'pai przekazywał im coś do neurocytów.

– Ale nie martw się – odrzekł – mogę poprosić o przydzielenie mi kwatery jako xepo. Po prostu nigdy nie miałem potrzeby korzystania z tego przywileju. O, już to zrobiłem. Będziemy mieszkać w gmachu razem z ergrih, czyli jakby oficerami. W sensie osobno. Sami – podkreślił, by rozwiać wątpliwości towarzyszki.

– No tak, neurocyt. Kurcze, gdyby u ludzi tak szybko rozdawano mieszkania...

– Hanako się zreflektowała. – Ale to tak za darmo?

– U nas wszystko jest za darmo. Każdy ma jakąś profesję, którą służy nadkolektywowi. Widziałaś zapewne, że mamy nieograniczone źródła energii, iż nawet nie trzeba jej gromadzić.

Thino'pai postanowił od razu udać się w przydzielone miejsce, aby mogli mieć dla siebie trochę prywatności – niezbędnej dla Hanako, bo nie dla niego. Przywołał zdalnie transporter przypominający żywe, zmiennokształtne srebro, który stał zaparkowany na lądowisku w pobliżu kolektyworatu.

Po kilku minutach lotu, w czasie którego wymijali daleko stojące od siebie obiekty – znaczna odległość między nimi była ogólnie cechą kandrockiej architektury industrialnej – znaleźli się na miejscu. Budynek oficerów wciśnięty

pomiędzy majestatyczne coś, co Hanako mogłaby opisać, po wyjaśnieniu xepo, jako dystrybutory energii solarnej, także trudno jej było do czegoś przyrównać. Chyba najbardziej do zbombardowanej, ostrzelanej bryły skalnej (co nie miało jednak nic wspólnego ze zniszczeniami), u której szczytu zamontowano kilka pierścieni o średnicy kilometra.

Dziewczyna powoli zaczynała się przyzwyczajać do wszechobecnego zainteresowania, choć Kandrok wyższego stopnia spoglądali na nią z jedynie przelotną ciekawością, a nie nachalnie jak szeregowi bywalcy Madaxy.

Przydzielone Thino'paiowi pomieszczenie okazało się niesłychanie rozległe, w kształcie wielościanu z łagodnie stykającymi się krawędziami. Światło można było sobie dopasować, więc avor wybrał mieszankę jasnego seledynu oraz błękitu. Ściany zdawały się zrobione z wielu mikrokryształów, szara posadzka przypominała zaschnięte, wygładzone pokłady lawy. Znajdowało się tu ponadto parę urządzeń – Hanako poddała się i nawet nie próbowała dochodzić, do czego służą – okno z widokiem na kolumnowe skały oraz warsztat mechów, i oczywiście kybro w centralnym miejscu.

Na polecenie Thino'paia z basenu gospodarczego wyłonił się płynny metal, który przeszedł w formę stałą, tworząc coś w rodzaju kanapy. Dziewczyna opadła na nią, odnosząc wrażenie, że jednocześnie straciła spory ciężar zmartwień. Jednak nie wszystkim.

– I jak tam? – Cyborg uśmiechnął się w siadzie skrzyżnym naprzeciwko niej. Zo'yo podleciał do stacji dla leberiksów, gdzie się złożył i wyłączył.

– Silnie odczuwam obce mi parametry planety. Boli mnie głowa od tego wszystkiego. Długo tak pozostanę sensacją?

– Ze mną byłoby w Zodiac Universum to samo. Pamiętasz, jak likanie zareagowali na mój widok. Do nadkolektywu należy wiele podbitych przez nas gatunków, każdy nowy wzbudzał na początku ciekawość. Niedługo przestaną zwracać na ciebie uwagę. A poza tym jak się czujesz?

– Ogólnie dobrze. – Hanako uśmiechnęła się delikatnie. – Udało nam się. Żyję i mogę tutaj zostać. Cięży jednak na mnie ogromne poczucie winy: za Annę i o to, że przeze mnie Kandrok wiedzą o istnieniu ludzi. Jestem potworną egoistką.

Cyborg przytulił ją, zaczął gładzić po plecach, wiedząc, że istotom ludzkim takie gesty bardzo pomagają.

– Gdybyś została i tak przekazałbym gerhi wieści o istnieniu Zodiac Universum, porwawszy kogoś stamtąd. A nawet jeśli nie ja, to Kandrok wcześniej bądź później dowiedzieliby się o ludziach. Kiedy zobaczyłem was po raz pierwszy, ogarnęło mnie silne przeczucie, że taka musiała być kolej rzeczy. Że mamy ze sobą wiele wspólnego i zostaliśmy rozdzieleni czasem. Coś jakby aktywowało się w moich genach. To plan Niosącego Światło. Co do Anny, wybrałaś dla niej to, co uznałaś za najlepsze. – Starał się mówić pocieszająco na podobieństwo człowieka.

– Zostawiłam ją z rebeliantem...

– Krystian nie będzie jej przecież ciągał do walk. Zapewni dziecku dobre schronienie, jest jeszcze androidka Agata. Odrzuć zmartwienia, w naszym świecie one w ogóle nie istnieją. – Poglądził dziewczynę wierzchem palców po policzku, po czym przystawił dłoń do boku jej twarzy. – Teraz jest czas dla nas. Bez podglądaczy, tak jak lubisz.

– Masz rację. Wszystko jest tu dla mnie nowe, straszne, przez co czuję zaniepokojenie.

– Aby pozbyć się strachu, musisz poznać najpierw imię, potem naturę swojego wroga, wówczas będziesz mogła zdobyć dogodną broń do jego unicestwienia. A na Asephor' Cerotis ja jestem twoją bronią. Pomogę ci dostosować się do naszej rzeczywistości i osiągnę to bez twojej cyborgizacji, choć bez niej, co tu ukrywać, wszystko potrwa dłużej. Pamiętaj, że Kandrok nigdy nie czują się i nie zostają samotni... no chyba że któryś zgubi się w innym wszechświecie.

– Ale nawet taki zagubiony w kosmosie nie pozostał bez pomocy.

– Tak, i za to jestem ci wdzięczny, Hanako. Niechaj przeszłość i przyszłość nie mają do ciebie dostępu. Skup się na teraźniejszości. Co było, umarło, jest nieważne i nie istnieje, co ma być – stanowi płynną abstrakcję.

– W wersji filozofa to cię jeszcze nie znałam.

Zetknęli się ustami i zaczęli całować bez namiętności – Thino'pai nie był zdolny do takich rzeczy, a Hanako nawet zaczęła pasować subtelność ich intymnych relacji. Stanowiło to całkiem ciekawy paradoks, biorąc pod uwagę agresywną, bojową naturę avorów. Oboje wiele rzeczy będą musieli robić pod potrzeby partnera, stale trzymać się kompromisu, ale dzięki tym skrajnościom ich kuriozalny związek być może będzie miał szansę przetrwać.

Przenieśli się na improwizowane łóżko. Po pocałunkach i pieszczotach leżeli przytuleni do siebie, rozluźnieni i zadowoleni. Nieobciążeni myślami. Odcięci od przeszłości i przyszłości.



Epilog

Zgodnie z przewidywaniami gerhy i wyższych oficerów, walki z nowo odkrytym ludem, nazwanym później Ercesami, zakończyły się relatywnie szybko jego przegraną, przy praktycznie zerowych stratach Kandrok. Natychmiast zabrano się za selekcję pokonanych, w tym utworzono grupę w liczebności dywizji, która po przeszkoleniu i otrzymaniu sprzętu udawałaby rzekomych uchodźców uciekających przed wojną ze swojej planety. W przyszłości mieliby „przypadkiem” dolecieć do Zodiac Universum, gdzie powinni zostać rozlokowani po koloniach, by przez kolejne lata zbierać informacje na temat rodzaju ludzkiego i jego technologii, których Thino’paiowi nie udało się przekazać Kandrok. Plan został dopracowany do najdrobniejszego szczegółu, z uwzględnieniem niewiadomych na temat ludzi, i tylko jedna kwestia mogła budzić wątpliwości: dlaczego Ercesi przelecieli aż kilka wszechświatów, by szukać schronienia, skoro wcześniej mijali biliony galaktyk. Mieli wówczas mówić, że ludzie to jedyny inteligentny gatunek napotkany na ich drodze. Jako że kandroccy infiltratorzy mieli z nimi zero

wspólnych genów, choć wyglądali podobnie, metody przesłuchania z Zodiac Universum nie powinny na nich działać.

Thino'pai nie brał udziału w pacyfikacji i selekcji, jedynie w samej wojnie. Miał już wracać na Asephor' Cerotis, gdy zmieniono plany i przerzucono jego kolektyw wraz z innymi do galaktyki, w której wcześniej odbywały się walki z Yakijanami. Humanoidom tym udało się bowiem potajemnie odbudować gospodarkę i zdobyć środki jak i sprzęt na kolejną wojnę, którą tym razem wywołali oni.

Yakijanie przegrywali na kolejnych frontach, jednak dzięki swojemu sprytowi odnieśli dwa gigantyczne sukcesy – z ich rąk zginął zarówno avor w stopniu troh z kolektynu Sharraxa, jak i sam dowódca wojenny lyyh.

Walki musiały trwać, Kandrok musieli mieć też dowódcę.

Ostatecznie wakat objął Thino'pai, który jako xepo był w tej galaktyce kolejnym w łańcuchu dowodzenia. Spośród kilkunastu dostępnych xepo zdecydowano się właśnie jemu przydzielić stanowisko głównodowodzącego, jako najbardziej doświadczonemu varoth, z kontem obciążonym sukcesami.

I rzeczywiście się sprawdził, bo nie stroniąc od okrucieństwa, szybko rozprawił się z buntownikami. Wojna z Ercesami, potem Yakijanami sprawiła mu wielką radość, nie wspominając o awansie. Oznaczało to, że mógł stać się już Wyzwolonym! Pomyślał wówczas o Hanako. Polubiła go być może dlatego, że był cyborgiem – częściowo organizmem, częściowo maszyną. Czymś nieludzkim, przez to dla niej niezwykłym i idealnym. Wyważonym. Wyjątkowym. Czy dalej będzie mieć do niego ten sam stosunek, kiedy już orhada Thino'paia zostanie przeniesiona do w pełni sztucznego ciała? Czy byłby gotowy zrezygnować dla Hanako z kwintesencji swojego istnienia, by pozostać w formie cyborga? Wówczas wiele by stracił w oczach nadkolektynu, pogardzano by nim, może tym razem uznano by go ostatecznie za wadliwy egzemplarz i eksterminowano.

Istniała jeszcze jedna opcja – mógł stać się samym gerhą. Obecny rządził już pięćdziesiąt huva, co oznaczało koniec jego kadencji. Thino'pai jako lyyh wydawał się idealnym kandydatem na najwyższe stanowisko. Będąc gerhą, miałby prawo ustalać własne zasady. Nadkolektyn zawsze stał na pierwszym miejscu, ale mógłby uwzględnić w drobnych zmianach potrzeby Hanako, aby żyło jej się bardziej komfortowo, a on sam nie musiałby przeistaczać się w Wyzwolonego, co dotąd było obowiązkowe na stanowisku gerhy. Władca musiał być bowiem stale

dyspozycyjny, nieulegający emocjom, zdolny do przetwarzania ogromnej ilości danych, jak i wzbudzać szacunek. Ostatecznie wysoki cyborg także by się do tego nadawał.

Thino'pai wrócił wreszcie ze swoim wojskiem na Asephor' Cerotis.

Jeszcze zanim wylądował w Madaxie, otrzymał wezwanie do kolektyworatu gerhy. Po niezbyt długim, niewylewnym przywitaniu wracającej armii (Kandrok nie przywiązywali wagi do takich uroczystości, lubili, gdy wszystko odbywało się szybko i sprawnie) przez mieszkańców i bywalców Madaxy, udał się do swojego mieszkania.

Poinformowana o jego przybyciu Hanako już na niego czekała. Przytulili się do siebie, finalizując pierwsze od dawna spotkanie długim pocałunkiem.

– Cieszę się, że jesteś cały i zdrowy – mówiła, tkwiąc w jego ramionach.

– A jak ci się wiodło podczas mojej nieobecności? Miałaś jakieś problemy? Odmówiłaś uśpienia cię w kybro na czas moich dwóch kampanii...

– Zaprowadzono mnie do kobiet Kandrok pracujących w waszych fabrykach. Z początku mi nie ufały, bo nie miałam neurocytu, więc byłam dla nich nieprzewidywalna, niepodlegająca prawom Madaxy, ale zrozumiały z czasem, że można mi ufać i mnie polubiły. Miały przy okazji wyzwanie, bo musiały uczyć mnie waszego języka, co okazało się dla nich nową, długotrwałą rozrywką.

– Czyli możemy rozmawiać już po kandrocku? – Thino'pai zapytał we własnym języku.

– Owszem – odparła tak samo. – Nie znam jeszcze wielu słów i ciągle kaleczę mowę. Macie mnóstwo neologizmów.

– I akcent także masz tragiczny. – Uśmiechnął się.

– Oj tam. Wyszkołę się z czasem. Tak więc siedziałam głównie w tych fabrykach.

– Hanako popatrzyła na Zo'yo. Przed odlotem Thino'paia oboje rozważali, czy nie zostawić jej leberiksa jako pomoc i strażnika, ale przekonała go, że bardziej przyda mu się na wojnie. – Najbardziej lubię wytwórnę dronów, całkiem ładne i miłe miejsce. Wspaniałe technologie.

– Później sobie jeszcze porozmawiamy, długo i na spokojnie. Teraz muszę iść do gerhy. Wpadłem, bo musiałem cię zobaczyć w pierwszej kolejności.

– Jesteś mu potrzebny natychmiast?

– Raczej tak. Zostałem lyyh.

Patrzyła na niego przez moment oszołomiona.

– Moje szczerze gratulacje! Jestem z ciebie dumna... To musi być dla ciebie wielkie wydarzenie. – Sahara przesunęła rękoma po jego piersi i ramionach. – Rzeczywiście masz inny pancerz niż poprzednio, nie rozpoznałam go, więc nie wzięłam za oznakę awansu. Myślałam, że związany jest z przydziałem na wojnie. Ciągle nie wiem o was wielu rzeczy.

– Gerha chce mi oficjalnie podziękować. Może zechcesz mi towarzyszyć? Nie ma zakazu, by wahirika nie była przy swoim avorze, zwłaszcza gdy jest lyyh. – Zauważył zmianę w zachowaniu dziewczyny: spuściła wzrok, nagle jakby się skurczyła w sobie. – Coś się stało?

– Gerha... Z góry przepraszam, jeśli powiem coś niestosownego i zepsuję chwilę twojego triumfu, nie chcę nikogo obrażać. Wiem, jak go tu szanujecie, jest dla was jak bóg, albo i samym bogiem...

– Mów. Śmiało – Thino'pai odrzekł kategorycznie, ale łagodnie. Dotknął palcami jej podbródka i uniósł głowę Hanako, tak by znów na siebie patrzyli. – Mogę jeszcze poczekać.

– Dobrze więc. Od pewnego czasu gerha jest jakiś dziwny. Nie przypomina już opiekuńczego, jowialnego starca, z którym zawsze mi się kojarzył. Ma inne oczy, choć niby takie same. Wcześniej w ogóle go nie widywałam, ale od pewnego czasu mnie obserwuje, jak przechadza się po fabryce. Raz mi nawet proponował, czy nie mam ochoty go odwiedzić.

Hanako dostrzegła w pomarańczowym oku cyborga oznaki gniewu.

– Przysięgnij, że nic ci nie zrobił – rzekł.

– Nie. Jakby coś się działo, zwróciłabym się do ciebie.

Thino'pai najpierw skrzyżował spojrzenie z Zo'yo, potem zerknął w okno. Podrapał się po brodzie.

– Dziwne. Gerha nigdy się tak nie zachowywał. Chodźmy razem na to spotkanie, może czegoś się dowiem.

– Czy to na pewno dobry pomysł? Będzie wiedział, że ci się poskarżyłam i mogę mieć przez to kłopoty. Wyglądasz teraz, jakoś chciał go pobić.

– Nic ci nie zrobi. Gerha nie gerha, takie sprawy trzeba wyjaśnić.

Po wyjściu z gmachu podlecieli podstawionym już bezzałogowcem pod kolektyworot.

Thino'pai liczył, że będzie to większe spotkanie zwycięzców, cała sala audiencyjna wypełniona znamiennymi avorami, weteranami obu konfliktów. Tymczasem znajdował się w niej sam gerha w towarzystwie paru stojących pod ścianami robotów. Elitarni wartowali przed wejściem.

– Lepiej gdyby Hanako została na zewnątrz – oznajmił gerha, następnie, nie zważając na reakcję Thino'paia, wydał zdalne polecenie jednemu z miniaturowych mechów.

Ten opuścił swoje stanowisko, chwycił za ramię dziewczynę oglądającą się niepewnie na swojego partnera i wyprowadził ją na korytarz.

Odesławszy Zo'yo dziewczynie do towarzystwa, lyyh przypatrywał się swojemu władcy, który stał ze skrzyżowanymi na piersi ramionami na podwyższeniu przed siedziskiem. Hanako rzeczywiście miała rację; i on spostrzegł, że w gerhi zaszła pewna zmiana. Wygląd zdawał się taki sam, ale jego błękitne oczy, będące odzwierciedleniem orhady, miały zupełnie inny charakter: ofensywny, ironiczny, wydawały się należeć do szaleńca. Ponadto były w niedający się określić sposób przerażające – Thino'pai autentycznie się bał, jednak zapomnianym już, atawistycznym strachem z zamierzchłej przeszłości gatunkowej, co w ogóle mu się nie podobało. Trochę jakby stanął przed obliczem potęgi na miarę Niosącego Światło. Niektórzy avorowie wręcz uważali, że w gerhę jako lidera nadkolektywu wstępuje na stałe lub sporadycznie kandrocki bóg.

– Sala została trochę przeze mnie zmodyfikowana – zagaił rozmowę gerha, opuszczając luźno ręce. – Przez te ściany nie przeniknie żadne promieniowanie, dźwięk czy cokolwiek innego. Możemy więc sobie porozmawiać swobodnie.

– Rozumiem. – To również wydawało się Thino'paiowi zagadkowe. Po co gerha nagle miałby się tak zabezpieczać, skoro nic mu nie groziło i stale kontrolował przepływ informacji? Wystarczyło, że wydawał Kandrok polecenie sterownicze, a nikt by nawet nie pomyślał o podsłuchiowaniu rozmów. Zresztą i tak nikt nigdy tego nie robił.

– Moje szczerze gratulacje, Thino'paiu. Otrzymałem raporty, że świetnie sprawowałeś się na obu wojnach, do tego awansowałeś na lyyh. Dobra robota. Zasłużyłeś na to, by stać się Wyzwolonym.

Władca zszedł z podwyższenia, wyminął Thino'paia i zbliżył się do jednego z naziemnych paneli kontrolnych, mających postać krystalicznych steli.

- Dziękuję. Jednak jak zawsze na zwycięstwo zapracowała militarnie i logistycznie znaczna część nadkolektywu.

Zajęty panelem gerha nie patrzył już na rozmówcę.

- Doszły mnie słuchy, że chciałbyś ubiegać się o stanowisko najwyższego. Z twoimi talentami i doświadczeniem jak najbardziej na nie zasługujesz, ja jednak nie mam zamiaru ustępować. Moja kadencja została przedłużona.

Z każdą kolejną chwilą lyyh czuł się coraz bardziej nieswojo, o zaskoczeniu nie wspominając.

- Jak to? Nic mi nie wiadomo o tym, kanda, by wybory rozegrały się pod moją nieobecność. Zmiana władzy to niesłychanie ważne wydarzenie, nie ma prawa przejść niepostrzeżenie, nawet dla członków społeczności znajdujących się bardzo daleko.

Coś tu mocno Thino'paiowi nie pasowało, zwłaszcza że rozmowa odbywała się bez żadnych świadków, wliczając w to pozbawione świadomości automaty. Wygląd, tembr i ton głosu władcy także nie odbiegały od normy, ale dobór słów był inny. Lyyh rzadko widywał swojego gerhę, niemniej tych kilka spotkań wystarczyło, aby poznał wzorce jego zachowań.

Gerha popełnił oszalamiający błąd – zbyt gwałtownie i blisko przesunął dłonią przy spiczastej krawędzi modułu panelu, co zakończyło się rysą na jego ręce.

Krwawą.

A ponoć był Wyzwolonym.

Do tego posoka wyglądała jak woda.

Żaden Kandrok w nadkolektywie takiej nie miał!

Neurocyt Thino'paia natychmiast aktywował procedurę na takie przypadki. Ostrze samo wysunęło się z karwasza – avor naturalnie nie zabrał broni dystansowej na to spotkanie.

- Kim ty jesteś, na Niosącego Światło?! – spytał gniewnie. – Bo nie naszym gerhą!

- Ach, co za pech... Ten wasz twardy diarduk. No i się wydało. – Władca Kandrok ze skrzywieniem i znużeniem popatrzył na swoją ranę. Ku zaskoczeniu Thino'paia przesunął po niej drugą ręką, co spowodowało, że skóra się zasklepiła. – Mogę ci wszystko powiedzieć, bo to zaraz i tak nie będzie miało znaczenia. Zgadza się, nie jestem tym, kogo żegnałeś, lecąc na wojnę. Prawdziwy gerha nie

żyje. Przyjąłem jego wygląd, tyle że pod tym pancerzem znajduje się organiczne ciało. Zmieniłem jednak przekaz płynący ze Źródła – Kandrok pewne kwestie dotyczące mojej osoby będą ignorować i myśleć, że wszystko jest normalne. Nie dziwi ich na przykład, że ponownie będę sprawować władzę przez kolejną kadencję.

Cyborg słuchał tego w oszołomieniu.

– KIM JESTEŚ? – rzekł z furią. – Pokaż swe prawdziwe oblicze!

Fałszywy gerha podszedł do kolejnego ze stelowatych słupów i wysunął z jego zamaskowanej wnęki przedmiot o wyglądzie czarnej kuli. Trzymając go w dłoni – zaczął się zmieniać. Proces trwał ponad minutę, w trakcie której nieruchomy Thino'pai patrzył na transformację oniemiały, nie dowierzając i nic z tego nie rozumiejąc.

Wkrótce kilkanaście kroków przed nim stała istota, na temat której miał jakiegokolwiek skojarzenie wyłącznie dlatego, że pamiętał nadal ze świata Hanako, czym są zwierzęta. Stworzenie przypominało Lesota, psa Billy'ego, nawet czarne umaszczenie sierści się zgadzało, tyle że było prawie dwuipółmetrowym antropomorfem. Zdarzyła się raz w benglowie sytuacja, że Thino'pai ostro pokłócił się z Hanako o wiarę, kiedy dziewczyna pokazała mu na holonocie, jak ludzie wyobrażali sobie starożytnych bogów różnych kultur. Jeden z nich nazywał się Anubis i miał postać czarnego psa. Stojąca teraz przed Thino'paiem dwunożna kreatura w bogatych szatach monarszych wyglądała dokładnie tak samo! Nie wzbudzała jednak litości z powodu swojej zacofanej, zwierzęcej formy, mającej nawet ogon, a wręcz przeciwnie – kłamstwem byłoby stwierdzenie, że brakuje jej splendoru władzy i majestatu. Boskiego majestatu. Thino'pai wręcz miał ochotę paść przed nią na kolana i pochylić czoło aż do ziemi. Wola zdawała się płynąć automatycznie, neurocyt realizował obcy mu program, zupełnie jak wtedy, gdy po raz pierwszy spotkał na Calcaris organizmy mające część jego materiału biologicznego, przez co zadziałała blokada broni.

– To kubadi – zaczęła eksplikować istota, uniósłszy przedmiot. – Jeden z wielu artefaktów Nimja, choć fachowo nazywamy je transferatami. Z jednym z nich miałeś już do czynienia – tym, który przeniósł cię z Yakiji na Calcaris. Yakijanie znaleźli go w porzuconej przez Nimja dawno temu kolonii i uznali za broń, kiedy realnie służył on do podróżowania. Transferaty są urządzeniami wysoce

zaawansowanej technologii, o niewyobrażalnym nawet dla Kandrok potencjale energetycznym. Przy ich pomocy możemy czynić, co chcemy z materią. Dowolnie naginać prawa fizyki i biologii, bez konsekwencji. Kubadi dla przykładu służy do zmieniania formy na zasadzie błyskawicznej transmutacji, który to proces nie miałby prawa zajść naturalnie. Jesteśmy bardzo starym gatunkiem, każdy z nas posiada jakąś wykształconą naturalnie umiejętność, co jest darem ewolucyjnym dla Nimja, związaną z kontrolą materii i energii, natomiast transferaty to zwieńczenie tego, czym jesteśmy. Trochę jak wasze neurocyty, przy pomocy których potraficie kontrolować maszyny. W przypadku Nimja nie ma to jednak nic wspólnego z polem elektromagnetycznym, ale zdolnościami psionicznymi, których wam czy ludziom zupełnie brakuje. Mam na imię Tepew.

Istota znów użyła kubadi i na powrót zmieniła się w gerhę. Artefakt wrócił na swoje bezpieczne miejsce.

Thino'pai przeskanował Tepewa. Jediną nienaturalną częścią jego ciała był neurocyt w głowie, ale zupełnie inny model niż te używane wśród Kandrok. Nie mógł uwierzyć, że nikt z nadkolektywu nie zdołał tego zauważyć, a jeśli wiedział, to w żaden sposób nie zareagował. Oznaczało to, że Tepew rzeczywiście mógł mieć nad Kandrok całkowitą kontrolę.

– Co ty masz w głowie? – zapytał o to. – Nie jest to neurocyt, jaki znam.

– To też artefakt Nimja – wyjaśnił Tepew. – W przeciwieństwie do kandrockich neurocytów łatwo jest go usunąć z płata czołowego, co nie skończy się śmiercią. Wasze neurocyty scalone są bowiem z orhadą, która się uwalnia wraz ze zniknięciem urządzenia z głowy. Sam zaprojektowałem swoją wersję, aby uzyskać jak największą wydajność z sieci Źródła. Jako nowy gerha musiałem idealnie dostosować się do waszej społeczności. Obecny system jest znacznie wydajniejszy niż poprzedni, ale nie mogę też za bardzo folgować.

– Kimkolwiek jesteś i cokolwiek potrafisz, zabiłeś naszego władcę, więc teraz musisz umrzeć w męczarniach – zawyrokował Thino'pai. – Wydaję na ciebie wyrok śmierci.

Ruszył ku Nimja zamaszystym krokiem, kipiąc z furii, trzymając ostrze skierowane ku podłożu, gotowe do błyskawicznego cięcia lub sztychu.

Tepew stał spokojnie i dumnie, jedynie nań spoglądając z wyższością; roboty też ani drgnęły. Lyyh zwrócił na to uwagę, że przeciwnik jakby nie zamierzał się

bronić, ale nie przystanął.

Pomylił się, sądząc, że nic bardziej niż rzekomy Wyzwolony zmieniający się w psa już go nie zaskoczy.

Kiedy zbliżył się do Nimja na odległość kroku, gotowy przebić mu ostrzem sterczącą nad pancerzem głowę, ów uniósł szybko rękę. Avor znieruchomiał, jakby zmienił się w skałę. Tepew niedbale machnął dłonią i Thino'pai wrócił na swoje pierwotne miejsce, tyle że lecąc w powietrzu i finalnie z łomotem metalu wylądował na plecach.

Spoglądał z niezrozumieniem na istotę idącą bez pośpiechu w jego kierunku ze splecionymi z tyłu rękoma.

– Telekineza – wyjaśnił Tepew. – To moja cecha ewolucyjna, choć może nie tak silna, jakbym sobie tego życzył. Wielu Nimja to potrafi.

Chwycił lyyh pod brodą i uniósł go wyprostowaną ręką, ponownie korzystając z telekinezy, a nie opancerzenia i siły swojego ramienia.

– Musiałeś wszystko zepsuć. Myślałeś, że oszukasz system i ukryjesz swoje matactwo? – tym razem Tepew cedził słowa, spoglądając Thino'paiowi z bliska w oczy. – Wydawało ci się, że nikt nie zauważył, że wyczyściłeś pamięć dziewczyny? Prawdziwy gerha to wiedział, ale przymknął oko na twój czyn, bo rozumiał, że zrobiłeś to z powodu swojej wahiriki. Był bardzo starym avorem i wiele już doświadczył. Ponadto uznał, że twój mankament mózgowy jest niegroźny społecznie. Jednak to od niby niepozornego błędu może zawalić się cały system. Ja, zanim gerha zginął, a uściślając, zanim uwolniłem jego orhadę, bo był już niecielesnym Wyzwolonym, pobrałem informacje z jego neurocytu. Nie znalazłem jednak tego, czego potrzebowałem.

– A czego w ogóle chcesz ode mnie? – charczał Thino'pai.

Tepew posłał go na ziemię o kolejne metry. Kontrolowany telekinetycznie nie mógł wstać. Nimja wrócił na swój tron, umościł się wygodnie i podparł pięścią bok żuchwy.

– Miałem dla ciebie zadanie, ale okazało się, że znajdujesz się poza moją kontrolą. Po dokonaniu diagnozy nie usunięto twojej usterki, która wykształciła się w świecie Hanako. Ale i na to znajdzie się sposób. My, Nimja, mamy własne konflikty, w które ani myślę cię wtajemniczać, bo to nie sprawa żadnego z Kandrok. Powiem jedynie, że dawno temu udaremnilo mi stworzenie czegoś

wielkiego. Musiałem zniknąć reszcie Nimja z oczu, aby poczuli się w końcu bezpiecznie. Przemyslałem wszystko od początku, mam teraz nowe ambicje, ale do ich realizacji będę potrzebował was, Kandrok. Powinno nam się świetnie współpracować, bo aby osiągnąć mój cel, będziecie musieli wygrywać kolejne wojny, rzucać kolejne gatunki na kolana. Hartować się, stawać coraz silniejsi. Przybyłem na tę planetę w sposób, o jakim nie macie pojęcia, bezpośrednio do tej sali, kiedy gerha był sam. Musiałem ją potem przekształcić, by w chwili zamiany nie dosięgło mnie oko Obserwatora, jednego z wszechwidzących Nimja. Ale teraz, gdy jestem gerhą – powiedział z ironią – nikt z nich mnie już nie wykryje. Tak w ogóle to ja stworzyłem avorów. Jesteście moimi ulubieńcami i dziećmi. Dzięki temu wiem, w jaki sposób myślicie i funkcjonujecie. Nimja są twórcami niższej od nas inteligencji w kosmosie, którą następnie pozostawialiśmy samą sobie, by rozwijała się samodzielnie, w odpowiednim czasie wchodziła ze sobą w interakcje. Zgodnie z pewnym naszym traktatem. Wnikając w wasze społeczeństwo, oczywiście go złamałem. – Tepew uśmiechnął się. – Traktat dotyczący nieingerencji, by program sam się realizował.

– Heretyk! Nie jesteś naszym twórcą! – Thino'pai z trudem wstał, jakby zmagając się ze zwielokrotnionym ciężeniem planety. – Stworzył nas Niosący Światło! Jesteśmy potomkami Światła! Umrzesz za swoją bezczelność!

Dzięki swojej ogromnej sile fizycznej, spotęgowanej gniewem, rzeczywiście zaczął zmierzać w stronę coraz bardziej zdziwionego i zaniepokojonego Tepewa, który się wyprostował. Bytowanie w obcym ciele zablokowało inne umiejętności, które posiadał, a słabą z natury telekinezę osłabiło jeszcze bardziej.

– Stój, albo każę cię powalić robotom – ostrzegł, unosząc się z tronu.

– Morderca, heretyk i do tego tchórz, który potrzebuje cudzych rąk, bojąc się używać swoich.

– Idź po dziewczynę – nakazał Tepew maszynie stojącej najbliżej wyjścia.

Thino'pai wówczas przystanął, dysząc ciężko.

Po chwili do sali została wprowadzona Hanako, obok niej leciał Zo'yo. Tepew posłał go telekinetycznie w ręce innego robota, który nakrył go wielkimi dłońmi niczym piłkę.

Cyborg patrzył nienawistnie na Nimja, którego sardoniczny uśmiech stawał się coraz szerszy.

– Thino, co się dzieje? – rzekła dziewczyna, której odchylone do tyłu ramiona przytrzymał robot. Przesuwała nierozumiejącym, zaniepokojonym spojrzeniem to na gerhę, to na cyborga.

– Będiesz teraz grzeczny, jak na dobrego avora przystało? – zapytał Nimja.

– Zostaw Hanako w spokoju. To nie jej sprawa.

Tepew podszedł do niej. Odgarnął pukiel włosów Hanako, przesunął dłonią po skórze jej twarzy, by ostatecznie ją chwycić palcami i skierować w stronę własnej.

– No proszę, wreszcie do tego doszło. Avor i człowiek się spotykali, choć stało się to całkowicie przypadkowo. Ale najlepsze dopiero nadejdzie – wasze gatunki stoczą ze sobą wojnę i wiadomo już, kto w niej będzie zwycięzcą. Próbowaleś zapobiec przeznaczeniu, mały anarchisto – Tepew zwrócił się do Thino'paia – które ustalili dawno temu znacznie silniejsi od ciebie. Niesamowite, że wróg pokochał wroga. A najbardziej niezwykle jest to, że zdołałeś okiełzać swój kandrocki gniew, zaszczerpiony wam przez Nimja, by poddać się uczuciu, które jest jedynie skutkiem ubocznym naszych eksperymentów medycznych. W sumie ładna ta twoja wahirika.

Sahara patrzyła na gerhę z trwogą, pamiętając zapewnienie Thino'paia, że żaden inny Kandrok nie powinien się nią interesować w ten konkretny sposób. Ale przypuszczała, że gerha prędzej tak się zachowywał, bo chciał zrobić Thino'paiowi na złość, upokorzyć go, a przede wszystkim zademonstrować mu swoją władzę. Musiało zatem dojść w tej sali do ostrego konfliktu między tą dwójką.

Tepew za bardzo skupił się na Hanako, pewny, że cyborg przy niej złagodnieje – a stało się wręcz odwrotnie.

Do wściekłości spowodowanej śmiercią prawdziwego gerhy, mówieniem przez Tepewa kłamstw (Thino'pai wolał nie myśleć, że Nimja jednak nie blefuje) i poniżaniem go jako lyyh doszedł teraz najpotężniejszy bodziec – obawa o los dziewczyny. Cyborg wiedział, że cała ta farsa służyła temu, bo Tepew chciał go zaszczyć jako prawowitego następcę, pokazać mu, że nie zdobędzie należnego mu stanowiska. Być może tak wśród Nimja załatwiała się sprawy władzy – ale u Kandrok preferowano egzekucję.

Ogarnięty amokiem niczym w bitwie lyyh rzucił się na Tepewa, powalił go na posadzkę, a sam wylądował na jego piersi.

Władca został porysowany ostrzem od czoła, przez skroń aż po podbródek. Nie zginął tylko dlatego, że zdołał użyć telekinezy i odrzucił Thino'paia na bezpieczną odległość, aż pod ścianę. Przezroczysta krew ciekła Tepewowi obficie z rany.

Wstał, przyłożył dłoń do policzka, spojrzął na mokrą rękę. Ponownie zasklepił ranę, co potrafił robić do pewnego zakresu uszkodzeń. Zmagania z potężnym avorem też go trochę wyczerpały.

– Dostyc tego! – krzyknął do Thino'paia, który także był już na nogach. – Brać go!

Roboty poza tym trzymającym Hanako ruszyły na cyborga. Każdy ważył ponad tonę, więc bez większego wysiłku spacyfikowały buntownika, który nie mógł ich kontrolować z powodu blokady nałożonej przez Tepewa.

Zo'yo został uwolniony, ale Nimja unieruchomił go w powietrzu, nim leberiks podjął samodzielną decyzję, aby otworzyć doń ogień.

– Zostaw go! – odezwała się Hanako. – Zrobię, co zechcesz, a przynajmniej co nie jest sprzeczne z moim sumieniem, ale wypuść Thino'paia. Nie rób mu krzywdy.

– Odważna jesteś, doceniasz również swoją wartość, ale przede wszystkim myślisz jak dziecko – zwrócił się do niej Nimja. Machnął ręką ku leżącemu na ziemi Thino'paiowi, wyszczerzonemu jak rozjuszony likanin, przyciśniętemu wielkimi stopami i ramionami robotów. – Spójrz, co się tu dzieje. Niby jak miałbym go teraz puścić?

– Nie wiem, co tutaj zaszło, ale na pewno da się jakoś pójść na kompromis.

– No to zobaczymy.

Nimja dał znak robotowi trzymającemu dziewczynę, by mu towarzyszył. Podeszli trójką do Thino'paia. Tepew przyklęknął, przyglądał mu się chwilę.

– Rzadko kto podnosi na mnie rękę, ogólnie na Nimja. Jako że mi zaimponowałeś, rzeczywiście możemy iść na pewien układ. Oczywiście będę mieć ze sobą kartę przetargową, abyś nie wywinął mi jakiegoś numeru. – Tepew ostentacyjnie przyciągnął Hanako do swojego boku. – Nie rozpowszechnisz nikomu, co tu się wydarzyło, o czym i tak bym się dowiedział dzięki sieci Źródła. Będziesz mi normalnie służył jako lyyh, który wrócił ze zwycięskiej wojny. Wydawał rozkazy dowódcom flot. Za moralne szkody, jakie mi tu wyrządziłeś, dziewczyna zostaje ze

mną. Jeśli zadziałasz choć w najmniejszym stopniu na moją szkodę, zmienię Hanako w cyborga i unicestwię pół Sharraxy.

Oblicze Thino'paia stężało, stając się maską, z której nic nie dało się wyczytać. Hanako w niemocy zamknęła oczy. Chciała odsunąć się od gerhy, ale przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej. Był ciepły i bezwonny, lecz odnosiła wrażenie, jakby miała przy sobie wielką, ohydłą larwę.

Na znak Tepewa roboty puściły unieruchomionego Thino'paia. Ten podniósł się do pionu i złożył ostrze do karwasza pancerza. Otaksowawszy stan Zo'yo, spojrzął obojętnie w oczy wyższemu od siebie Nimja.

– I jak będzie?

– Pół Sharraxy... Dobre sobie. Dorwę cię wcześniej bądź później, impostorze. – Avor zaczął mówić agresywnie i patrzeć tak nienawistnie, że nawet Hanako się go wystraszyła. – Przed chwilą mi udowodniłeś, że mimo iż chcesz zrównać się z Niosącym Światło – splunął krwią na podłogę, choć korciło go, by zrobić to w twarz Tepewa – popełniasz błędy jak my wszyscy. I popełnisz go kolejny raz. A ja tylko będę na to czekał. Wtedy wyszarpię z piersi twoje serce i pożrę na twoich oczach, następnie urwę ci łeb i okręcę w stronę upadłego ciała. Potrafię zrobić te dwie rzeczy na tyle szybko, byś o nich wiedział i gasnął ogarnięty skrajnym przerażeniem. Na koniec oddam twe truchło Kandrok do rozszarpania.

Hanako słuchała krótkiej obietnicy, sztywna, jakby to ją Tepew unieruchomił telekinetycznie. Wiedziała, że oto Thino'pai wydał na nich dwoje wyrok śmierci, ale mimo to była z niego dumna po raz kolejny. Rozumiała go, zupełnie nie czuła żalu. W jej azjatyckim społeczeństwie często stawiano honor ponad życie.

Tepew westchnął niezaskoczony.

– Trzymaj ją. – Ponownie wepchnął Hanako do rąk robota. Zwrócił się do kolejnego: – Wezwać Elitarnych.

Niebawem z korytarza przyszło paru najwyższych Kandrok, nieświadomych wydarzeń, które rozegrały się za drzwiami sali.

– Brać go. – Nimja od niechcienia wskazał Thino'paia. Kiedy Elitarni patrzyli po sobie niepewnie, bo to przecież był lyyh, dodał: – Czas, aby ten avor stał się Wyzwolonym, jest jednak trochę zdenerwowany i dziwnie się zachowuje. Nie zwracajcie na to uwagi. Zabierzcie go i dziewczynę do centrum medycznego. Najwyższy czas, by Hanako stała się częścią naszej społeczności.

- Nie! - Cyborg ruszył naprzód, ale dorwało go tym razem trzech Elitarnych, skrępowali mu ręce za plecami paskiem energetycznym, a paralizatorem przyłożonym do karku usztywnili mięśnie. Kolejny z Wyzwolonych złapał Zo'yo.

- Thino'pai! - Gdy dotarło do niej, że gerha zamierza ją scyborgizować, serce Hanako zaczęło bić szaleńczo, ciśnienie jeszcze silniej pulsować w głowie, niemalże odbierając jej słuch. Ale bardziej niż o siebie obawiała się o Thino'paia, domyślając się, że jego zmiana w Wyzwolonego na pewno nie będzie przebiegać konwencjonalnie. Nie po tym, gdy zaatakował i obraził gerhę.

Zdolnego jedynie do biernego wykonywania nakazywanych ruchów Thino'paia Elitarni wyprowadzili z sali. Zaraz potem na zewnątrz wyszła też Hanako, z łatwością ciągnięta przez robota. Tam dwójka została skierowana w różne strony: dziewczyna do zwykłego centrum przetwarzania dla więźniów, Thino'pai - do gabinetu w kolektyworacie przeznaczonych dla Kandrok wyższego stopnia.

* * *

Thino'paia rozłożono na metalowym, szerokim stole zabiegowym, unieruchamiając jego kończyny, głowę i tors. Na mniejszym stojaku z narzędziami postawiono pojemnik z nieczynnym Zo'yo. W normalnych okolicznościach taki proceder byłby spełnieniem marzeń Thino'paia - wreszcie pozbyłby się w pełni biologicznego ciała i związanych z nim ograniczeń. Zapomniałby, czym są śmierć i ból. Transferowana świadomość natomiast pozostałaby ta sama. Byłby bliżej Niosącego Światło. Stałby się ważniejszy i powszechnie szanowany.

Teraz jednak, w tej całkowicie niepodniosłej chwili, czuł się niczym skazaniec, na którym lada moment dokona się egzekucji - sprowadzono go tu bowiem niczym splugawionego skazańca. Odebrano mu godność i wahirikę. Przeklęty Tepew pogwałcił święty, nienaruszalny przywilej.

Hanako przeżywała zapewne równoległe taki sam koszmar, a on nic nie mógł na to poradzić! Zawiódł na całej linii. A obiecał dziewczynie, że będzie ją chronić. Że świat Asephor' Cerotis stanie się mimo wszystko dla niej przyjazny. Owo pandemonium zaaplikował jej jednak na własne życzenie. Wybierając między honorem i cierpieniem a spokojnym życiem w hańbie, znając straszliwą tajemnicę

gerhy – wybrał honor i cierpienie. Cudze cierpienie. Nie był pewien, kto okazał się w tej konfrontacji gorszym potworem: on czy Tepew.

Nimja osobiście przyszedł do małego centrum medycznego, aby być świadkiem jego ostatecznego upokorzenia i upadku. Thino'pai widział go ze swojego położenia, jak stoi na mostku nad niszą zabiegową. Szarpnął się mimowolnie, ale unieruchomione ciało wydawało się zrobione ze skały o ogromnej gęstości – dobrze go przymocowano.

Tepew ze znudzonym wyrazem twarzy oparł dłonie o barierkę. Przywołał na mostek ordynatora obiektu, prowadzącego zabieg.

– Nie ruszajcie mu pamięci – zwrócił się do avora. Patrzył, jak jeden z medyków przysuwa do głowy Thino'paia urządzenie o wyglądzie dużego, krystalicznego minerału zawieszzonego na topornej konstrukcji, zwane po kandrocku riyemashika. Przypominało funkcjonalnie recyfrator przeznaczony do zrywania bądź tworzenia połączenia między leberiksem a jego operatorem (z którego wcześniej też skorzystano, aby oddzielić Zo'yo od Thino'paia), jednak służyło do setki razy bardziej skomplikowanego zabiegu. – Wzmocnijcie też standardowe blokady, gdy będzie po wszystkim.

Ordynator popatrzał z zainteresowaniem na gerhę.

– Brzmi to, wielki ergrih, jakby jednostka była zbuntowana – skomentował. – Ale to nie może się już zdarzyć u Wyzwolonego, bo nie ma ciała.

– Thino'pai posiada wyjątkowo silną wolę. Jest specyficzny – odparł Tepew ogólnikiem. – To tak na wszelki wypadek. Zaczynajcie.

Na komendę ordynatora aktywowano riyemashikę, która z białego koloru w ustawieniu startowym przeszła na lekko żółty i zaczęła buczeć na progu słyszalności.

Thino'pai patrzył hardo w górę na urządzenie, także widziane na opak. Proces wydarcia orhady z ciała przebiegał nieraz boleśnie, a pacjent cierpiał straszliwe męki, stopniowo pozbawiany siły życiowej. Mimo to cyborg zamierzał trzymać się z godnością do samego końca, by nie dać Tepewowi najmniejszej satysfakcji z oglądania tego procesu.

Początkowo zupełnie nic się nie działo – on leżał spokojnie, medycy stali w pobliżu, gerha gapił się z góry, a riyemashika pracowała. Wkrótce Thino'pai zaczął odczuwać mrowienie w pozostałym mu ciele, jakby zbyt długo uciskał

każdą jego część, a następnie gwałtownie się rozprostował. Stan zaczął powoli przechodzić w pieczenie, potem pojawił się lekki ból, który każdy avor zniósłby z łatwością.

Ów ból już pozostał – i niestety zaczął się robić coraz dokuczliwszy, skumulowany na mózgu, będącym biologicznym centrum siedziby orhady. Początkowo wystarczyło się skrzywić, aby wytrzymać irytujący dyskomfort, niebawem należało zacisnąć już zęby. W kolejnym etapie Thino'pai chciał się wiercić, syczeć i pojękiwać, ale wciąż znosił niemo tę mimowolną torturę, której nie można było zniwelować żadnymi medykamentami, aby proces odbywał się czysto.

Gdy nastał etap średniego stadium, avor dłużej już nie mógł wytrwać w swoim postanowieniu. Siła jego woli przegrała z ostatnimi bodźcami, jakie serwowało mu ciało na pożegnanie. Z ostatnią słabością.

Krzyczał.

Potem wrzeszczał.

Ostatecznie darł się jak torturowane zwierzę – albo avor uwolniony z wszelkich blokad emocjonalnych – nie mogąc wytrzymać z przerażenia i bólu, których po raz pierwszy doświadczył w takim natężeniu. Udało mu się na moment skupić myśli na Hanako. Przynajmniej jej nic nie robiono z orhadą, jedynie wymieniano niektóre części ciała i aplikowano neurocyt, ale Thino'pai modlił się do Niosącego Światło, by chociaż dostała znieczulenie albo została uszpiona.

Czuł, jak orhada jest wydzierana z jego ciała, które stopniowo słabło. Ściągana do riyemashiki niczym cała krew z organizmu, uwalniana po kolei z każdej komórki. Wszystkie członki ogarnął paraliż – avor nie miał już nad nimi władzy, mimo to ból nie folgował.

Thino'paiowi poszczęściło się, bo zanim umarły jego umysł i ciało, w strasliwym cierpieniu zdążył stracić przytomność.

* * *

Kiedy aktywowali go medycy, było już po wszystkim. Orhadę na powrót wtłoczono do jego głowy, by mogła objąć we władanie cały organizm.

Tyle że jego organizm był teraz w pełni sztuczny, ale przy odpowiednio przeprowadzonym zabiegu nie miało to żadnego znaczenia – dzięki zaawansowanym manipulacjom technologiczno-medycznym orhada traktowała takie ciało jak naturalne. Avor żył dalej, mentalnie czuł się jak wcześniej.

Transformacja, której poddano Thino'paia, była dość wymagająca. Wyzwolonym stawał się bowiem zwykle avor-cyborg mający już niewiele ciała – tracił je stopniowo przez długi czas podczas kolejnych awansów; jego orhada przystosowywała się powoli do nowych warunków. Nieraz wymienić należało jedynie sam mózg. W przypadku Thino'paia przeprowadzono zabieg przy dużej ilości tkanek organicznych, szczepionych siłą życiową, stąd proces dla pacjenta stawał się szczególnie bolesny i trwał długo.

Thino'pai przesunął spojrzeniem po medykach, którzy zbliżyli się i coś do niego mówili. Jeden, mało scyborgizowany avor wydawał się na tyle upierdliwy, że chwycił go za gardło z leżącej pozycji i charczącego odrzucił na pewną odległość. Zignorował resztę, która i tak się od niego odsunęła, za to zwrócił uwagę na liczne dane, które wyświetlały mu się na HUD-zie zmodyfikowanego narządu wzroku. Miał też znacznie więcej trybów wizyjnych niż poprzednio, w dodatku obuoczne, i umiał już z tego wszystkiego korzystać. Zerknął obojętnie na wciąż wpatrującego się weń z pomostu gerhę, który skierował się ku bocznym schodkom. Zo'yo znów był z nim sparowany, wisiał nad jego miejscem zabiegowym i klekotał, co wywołało uśmiech na twarzy avora. Uniósł dłoń, aby musnąć palcem jego obudowę. Zwrócił wówczas większą uwagę, niż przy ciśnięciu pracownikiem, na swoją toporną, potężną rękę, potem drugą. Usiadł. Obie były wykonane w pełni z diarduku, miały tę samą kolorystykę, co opancerzenie Thino'paia, gdy był jeszcze xepo – ciemne indygo i karmin. Spojrzał na swoje nogi i przód torsu, dostrzegając te same barwy; rozgniewało go to mocno. Przywołał na wizjerze resztę swojej specyfikacji.

Był teraz masywnym Wyzwolonym. Skażony Gniewem, który ujawniał się często w początkowych fazach transformacji jako szok pourazowy związany z pełną utratą biologicznego ciała. A po nim Thino'paiowi nie pozostał nawet atom. Heterochromia jego oczu także stała się przeszłością – oba miały teraz pomarańczową barwę, jak poprzednio jego naturalne oko. Ważył dwa razy więcej, bo trzysta dziesięć kilogramów masy własnej, gdyby miał to określać

w jednostkach używanych przez Hanako. Przybyło mu też trzydzieści pięć centymetrów wzrostu. Pierwsza myśl, jaka mu się nasunęła w związku ze swoim nowym wyglądem, to że jakże wspaniale wypływałaby posoka i kawałki mięsa między jego palcami, gdyby ścisnął szyję Tepewa. Wykonał nawet delikatny gest dłonią w powietrzu, jakby chciał urzeczywistnić swoje myśli.

Thino'pai popatrzył na pojemniki ustawione przy jego leżance. Zakrwawione, wypełnione resztkami jego ciała – szczątkami pociętymi przez lewitujące roboty biorące udział w zabiegu. Tym, co przez czterdzieści huva było jego częścią, przynajmniej teoretycznie, bo praktycznie komórki stale mu się wymieniały. Nie czuł z tego powodu nic szczególnego, pomyślał jedynie o Hanako, że lubiła go w formie cyborga. Teraz jednak nie miało to żadnego znaczenia – jego własna wahirika została mu odebrana.

Gerha odprawił personel i został z Thino'paiem sam na sam. Podszedł bliżej.

– Wstań – polecił.

Wyzwolony celowo z lekkim łomotem stanął na posadzce, prostując się; teraz on górował nad gerhą wzrostem. Mieliby podobną wysokość, gdyby władca przyjął swoją prawdziwą formę, łącznie z kretyńskimi, sterczącymi psimi uszami. Ale nie zapowiadało się na to, by fałszywy gerha komukolwiek z Kandrok zademonstrował jeszcze realną postać.

– Potężny, gniewny Thino'pai – rzekł Nimja z ironią. Uśmiechał się półgębkiem.

– Znowu jako xepo. Wręcz wyczuwam nienawiść, jaką do mnie pałasz. Ulżyj więc sobie i uderz mnie.

Wyzwolony z wielką przyjemnością wykonał ten nakaz, a raczej wałnąłby Tepewa prosto w twarz, gdyby ręka nie odmówiła mu posłuszeństwa, jakby nagle została mu odebrana kontrola nad ciałem.

– Słodko – skomentował gerha. – I o to chodzi. Znajdujesz się teraz całkowicie pod moją kontrolą.

– Co zrobiłeś z Sharraxą? – Thino'pai odezwał się po raz pierwszy w nowym wcieleniu. Tembr głosu też mu się zmienił na głębszy i bardziej dudniący.

Tepew zaczął kręcić się po pomieszczeniu i zawieszać spojrzenie na mało interesujących go przedmiotach.

– Twój kolektyw zostawiłem w spokoju. Zapamiętasz nasze spotkanie w sali audiencyjnej i swoje upokorzenie. Będiesz żyć z tą skazą na swoim honorze, ale

nikomu się z tego nie zwierzysz. Nigdy też nie podniesiesz na mnie ręki, jak i na samego siebie, gdybyś postanowił ze sobą skończyć. Ale znasz te procedury zabezpieczające, by Kandrok – pomijając oczywiście drobne bijatyki czy inne niekończące się śmiercią interakcje – nie zwrócił się przeciwko Kandrok, jak i nie poddawał się autodestrukcji. Kazałem zwiększyć w tobie poziom nienawiści i widzę, że medykom bardzo ładnie się to udało. Wręcz widać po tobie, że chciałbyś coś rozwalić. Dzięki temu będziesz doskonałym varoth. – Obrócił się ku xepo. – Kto jest twoim obecnym wrogiem?

– Devoka – odparł Thino'pai, zaciskając dłonie w pięści. – Ludzie.

Wysunął ostrze z karwasza, aby mu się przyjrzeć w feerii świateł ambulatoryjnych. Przesuwał palcami po grubej, ale ostrej krawędzi. Było teraz dłuższe i szersze, dopasowane do jego nowych gabarytów.

– Czy dalej lubisz Hanako?

Thino'pai po raz pierwszy po przemianie spojrzał gerhi w oczy.

– Nie lubię jej.

– Cieszy mnie to. Dziewczyna zostanie od teraz ze mną w Madaxie. Ty stale będziesz w drodze, więc takie rozwiązanie wydaje się najodpowiedniejsze, nieprawdaż? Pod moją ochroną żaden Kandrok nic jej nie zrobi. Idź teraz do swojego kolektynu, a ja wracam do własnych obowiązków. Wezwę cię, gdy będziesz mi potrzebny.

Nimja się oddalił, zostawiając Thino'paia samego z Zo'yo.

– Oczywiście, że jej nie lubię – warknął, gdy fałszywy władca nie mógł już go usłyszeć. – Bo wciąż ją kocham tak samo. Stało się coś, co nie powinno było zaistnieć.

A ty zginiesz z mojej ręki. Będę cierpliwie czekać na okazję, która na pewno nadejdzie, dodał w myślach, wiedząc, że Tepew nie jest telepatą, a przynajmniej utracił tę zdolność w swojej obecnej formie. Taka prywatna myśl nie mogła też trafić do sieci Źródła, bo tak zwana usterka, którą Thino'pai uznał ostatecznie za potężną zaletę, wciąż w nim tkwiła niczym orhada i pozwalała mu w pewnym zakresie znajdować się poza kontrolą gerhy.

A może zawsze była częścią jego orhady, rzeczą tak prywatną i indywidualną, że niedostępną dla nikogo innego? Zdolną oszukać najczulsze, najdoskonalsze systemy.

* * *

Tepew pozwolił mu zobaczyć Hanako w centrum kontroli kolektyworatu już po jej cyborgizacji. Przywilejem Thino'paia jako xepo było przebywanie w tej sali, ale teraz poszedł tam jedynie, by ujrzeć dziewczynę. Stała obok gerhy, wyglądała na zasmuconą, ale pogodzoną z losem. Jej zintegrowany z ciałem biało-błękitnoczarny, wyszczuplający sylwetkę pancerz wyglądał nawet przyzwoicie. Kobięco i delikatnie. Włosy jej przycięto w prostokąt na czubku głowy, której potylicą łączyła się miękkimi pasmami metalu z grzbietową częścią opancerzenia. Oczy miała intensywnie zielone. No i założono jej neurocyt.

Chociaż jedna myśl dała Thino'paiowi satysfakcję – gerha zapewne zaczipował dziewczynę, bo bez tego nie umiałby sobie z nią poradzić. Potrzebował gadżetów, by go słuchano. Ale mimo to xepo był świadkiem dialogu, w którym mianowała siebie Hanako Sandstorm, by zdenerwować swojego nowego właściciela.

Oboje patrzyli na siebie w milczeniu, oddaleni. Taksowali swoje nowe wcielenia. Gerha rzucił im tylko przelotne spojrzenie i wrócił do rozmowy z jednym z kilkunastu avorów obecnych w centrum. Thino'pai poczuł ulgę, gdy nie dostrzegł w spokojnych oczach Hanako żalu skierowanego pod jego adresem. Za to widział w nich wielkie pokłady cierpliwości.

Ona też będzie czekać. Zniesie wszystko, ale kiedyś nadejdzie ich chwila.

Tepew jeszcze nie wiedział, jak strasznego wroga sobie stworzył, pomyślał Thino'pai.

– Masz dla mnie jakieś rozkazy, gerho? – zapytał, gdy zbliżył się do władcy.

Tepew wziął zawarty w jego słowach entuzjizm za chęć działania.

– A owszem. Szykujemy ostatnio podbity lud do odlotu do Zodiac Universum na przespīgi. Kiedy dotrą już do nas wyczerpujące, rzetelne informacje o wrogu, polecicie jako pierwsza grupa uderzeniowa. Możesz już teraz zacząć sobie wybierać inne kolektywy obok Sharraxy do szkoleń i kampanii.

Thino'pai popatrzył na Zo'yo.

– Z największą przyjemnością się tym zajmę.

Przypisy

- ¹ Odpowiednik godziny kandrockiej. Słowo wywodzi się od pory dnia na Asephor' Cerotis.
- ² Astronomiczny rok kandrocki, określany okrążeniem Asephor' Cerotis wokół jednego z trzech słońc układu trionarnego. 1 huva = 20 lat.
- ³ Mocniejszy od stali stop odersów, ale znacznie gorszy niż dhurnstal Kiritian
- ⁴ Odmiana materiału odersów do wyrobu ubrań.
- ⁵ Materiał budowlany otrzymywany z syntetycznych i przyjaznych środowisku tworzyw sztucznych wymieszanych z gliną.
- ⁶ Odpowiednik z rodzaju „do diabła”. Argeni to fi kcyjne złe duchy albo demony zamieszkujące przestrzeń kosmiczną.
- ⁷ Nawiązanie do naukowca, który podobno stracił pośladki podczas amatorskich prób z portacją.
- ⁸ Odpowiednik „sir”